



a r t e f a k t y

# CORDWAINER SMITH

DRUGIE ODKRYCIE  
LUDZKOŚCI  
NORSTRILIA



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

drugie odkrycie ludzkości

Na próżno żyją skanerzy

O damie, co *Duszą* żeglowała

Gra w szczurosmoka

Wypalenie mózgu

Zbrodnia i chwała komandora Suzdała

Jaki był złoty, jeju, jeju!

Umarła pani z Miasta Prostaczków

Pod Starą Ziemią

Matki Hitton kotecki puhate

Bulwar Alfa Ralfa

Ballada o zgubionej Ka-Mell

Planeta zwana Shayol

norstrilia

Wprowadzenie i prolog

U bram Ogrodu Śmierci

Proces

Gniew Honseka

Stare, podniszczone skarby w dziurze

Kłótnia przy stole

Pałac Gubernatora Nocy

Oko na wróbla  
Pieniądze BID-ne i WROG-ie  
Pułapki, fortuny i kibice  
Niedalekie ustronie  
Gościnność i usidlenie  
Polecimy wysoko tam  
Dociekanie i uciekanie  
Droga do Kotmistrza  
Dom Towarowy Spełnionych Pragnień  
*„Noc i niebo, co nieznane”*  
Kasę każdy chętnie złupi  
Tostig Amaral  
Ptaki, głęboko pod ziemią  
Jego własny ołtarz  
Rady, narady, obrady i porady

Chronologia świata instrumentalności

Noty wydawnicze

Notka biograficzna

Cordwainer Smith

DRUGIE ODKRYCIE LUDZKOŚCI

NORSTRILIA

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2015



Tytuł oryginału: *The Rediscovery of Man. Norstrilia*

Copyright © 1993, 1975 by Cordwainer Smith

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-7480-569-8

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

drugie odkrycie ludzkości

## NA PRÓŻNO ŻYJĄ SKANERZY

Tutaj ludzkość wydobywa się wreszcie z mrocznej epoki, opisanej dokładniej w opowiadaniach *The Queen of the Afternoon* oraz *Mark Elf* – tam dowiadujemy się, że Bestie to zmutowane inteligentne zwierzęta, a „menszenjegry” to dawne niemieckie maszyny bojowe – od słowa *Menschenjäger*, „łowca ludzi”. Kiedy Smith pisał to opowiadanie, w roku 1945, koło domu miał opuszczony sklep pod nazwą Little Cranch. Nie miał pojęcia, co znaczy owo „Cranch”, ale i tak tego słowa użył. „Pradawna dama”, której potomkiem jest Vomact, to jedna z sióstr VomAcht wspomnianych w historiach z Wieków Ciemnych – ale nie wiemy która.

Martel był wściekły. Mimo to nie przykręcił sobie poziomemu złości. Przebiegł przez pokój na pamięć, nie patrząc. Ale kiedy zobaczył, jak stół uderza w podłogę, a po minie Luci poznał, że zrobił to z głośnym łomotem, spojrzął w dół, żeby sprawdzić, czy nie ma złamanej nogi. Nie miał. Jako skaner do szpiku kości musiał sam siebie przeskanować. Było to odruchowe i automatyczne. Na liście inwentarzowej miał nogi, brzuch, skrzynkę z przyrządami, dłonie, ramiona, twarz i plecy – w lustrze. Dopiero wtedy wrócił do złości. Mówił głosem, choć wiedział, że żona go nie cierpi – był dla niej za hałaśliwy – i woli, żeby pisał.

– Mówię ci, muszę się skranczować. Muszę i już. To tylko mój problem, nie?

Gdy Luci odpowiedziała, czytając z ruchu jej ust, zrozumiał tylko niektóre słowa:

– Skarbie... jesteś moim mężem... prawo cię kochać... niebezpiecznie... niebezpiecznie... robić... czekaj...

Spojrzał jej w oczy, ale odezwał się głosem, znów denerwując ją tym rykiem:

– Jeszcze raz ci mówię. Chcę się skranczować.

Widząc jej minę, poczuł skruchę i trochę złagodniał.

– Rozumiesz, co to dla mnie znaczy? Wydostać się z tego potwornego więzienia we własnej głowie? Znowu stać się człowiekiem, słyszeć twój głos, czuć zapach dymu? W ogóle czuć – czuć stopy na ziemi, czuć powiew powietrza na twarzy? Nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy?

Jej pełna obawy mina i rozszerzone oczy znów wywołały irytację. Odczytał z jej ust tylko parę słów:

– ...kocham... dla własnego dobra... nie myśl, że nie chcę... znów człowiekiem... dla własnego dobra... za dużo... mówił... mówili...

Rycząc na nią, uświadomił sobie, że jego głos musi brzmieć wyjątkowo paskudnie. I że jego dźwięk boli ją nie mniej niż same słowa:

– Myślisz, że chciałem, żebyś wychodziła za skanera? Nie mówiłem ci, że upadamy prawie tak nisko, jak habermani? Jesteśmy martwi, mówię ci, martwi. Musimy być martwi, żeby wykonywać swoje zadania. Jak inaczej wypuścić się w Przestrzeń? Wyobrażasz sobie, co to jest? Naga Przestrzeń? Ostrzegałem. Ale wyszłaś za mnie. Tak, wyszłaś za człowieka. Więc teraz pozwól mi być człowiekiem. Niech usłyszę twój głos, niech poczuję ciepło życia, niech się stanę człowiekiem. Pozwól mi!

Widział po smutnej minie, że ją przekonał. Więcej nie użył głosu. Uniósł za to zawieszoną na piersi tabliczkę. Zaczął pisać na niej, spiczastym paznokciem palca wskazującego prawej dłoni – mówiącym paznokciem skanera – szybkim, wyraźnym pismem:

*Daj drut krancz.*

Wyciągnęła z kieszeni fartucha długi pozłacany drut. Pozwoliła, by sfera jego pola opadła na dywan. Szybko, zręcznie, posłusznie, jak przystało na żonę skanera, owinęła mu drutem głowę, potem, spiralą, szyję i pierś. Ominęła zestaw przyrządów na piersi. Ominęła nawet odchodzące od nich promieniście blizny – stygmaty ludzi, którzy zapuszczają się w Przestrzeń.



Mechanicznie uniósł stopę, żeby mogła przeciągnąć drut pod nogami. Naprężyła go. Wetknęła małą wtyczkę na końcu w gniazdo wysokiego napięcia tuż obok monitora czynności serca. Pomogła mu usiąść, ułożyła mu ręce, wsunęła głowę w zagłówek na szczycie fotela. Następnie odwróciła się twarzą do niego, żeby mógł zobaczyć, co mówi. Minę miała spokojną.

Klękła, podniosła sferę na drugim końcu drutu, spokojnie wstała, zwrócona plecami do niego. Przeskanował ją – nie dostrzegł w jej postawie niczego oprócz bólu, który uszedłby uwagi każdego, ale nie skanera. Odezwała się: widział, jak poruszają się jej mięśnie piersiowe. Dotarło do niej, że stoi tyłem – odwróciła się, żeby mógł czytać z ust.

– Jak? Gotowy?

Uśmiechnął się z aprobatą.

Znów odwróciła się plecami. (Nie była w stanie patrzeć na niego pod wpływem drutu). Cisnęła drucianą sferę w powietrze. Zawisała w polu siłowym. I nagle się rozjarzyła. I to było wszystko. Wszystko... nie licząc nagłego żaru i wizgu wrażeń powracających do zmysłów. Wracaly, przelewając się falą przez próg bólu.

Gdy się obudził, pod wpływem drutu, wcale nie poczuł się jak po kranczowaniu. Choć było to drugie kranczowanie w tym tygodniu, czuł się dobrze. Leżał w fotelu. Uszy syciły się dźwiękiem powietrza muskającego sprzęty w pokoju. Z sąsiedniego słyszał oddech Luci, wieszającej drut, żeby ostygł. Czuł tysiąc jeden zapachów, obecnych w każdym mieszkaniu – ostrą świeżość dezynfektora, kwaśno-słodką aurę nawilżacza, aromat kolacji, którą dopiero co zjedli, zapachy ubrań, mebli, samych ludzi. Wszystko to było niesamowicie przyjemne. Odśpiewał zwrotkę czy dwie swojej ulubionej piosenki:

*Wypijmy za habermana, daleko w kosmosie!*

*W kosmosie wysoko, daleko w kosmosie!*

Usłyszał, że Luci zachichotała w sąsiednim pokoju. Rozkoszował się szmerem jej sukienki, gdy biegła do drzwi.

Rzuciła mu krzywy uśmieszek.

– Niezły masz ten głos. Naprawdę dobrze się czujesz?

Mimo obfitości wrażeń zmysłowych nadal skanował. Zrobił błyskawiczną inwentaryzację, kwintesencję swoich umiejętności zawodowych. Wzrok przeskoczył po informacjach na przyrządach. Żadne wskazanie nie wychodziło poza skalę, poza napięciem nerwów, na pograniczu *Niebezpieczeństwa*. Tak się zawsze robiło przy kranczowaniu. Kiedy jedziesz na drucie, nerwomierz zawsze coś pokazuje. Któregoś dnia przeskoczy na *Przeciążenie*, a potem na *Zgon*. Tak kończą habermani. Ale nie można mieć wszystkiego. Ludzie, którzy latają wysoko, płacą cenę za podbój kosmosu.

No, ale powinien się przejmować! Był skanerem. I to dobrym. I dobrze o tym wiedział. Jeśli sam się nie przeskanuje, kto to za niego zrobi? To kranczowanie nie było zbyt niebezpieczne. Owszem, trochę, ale nie zanadto.

Luci wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach, jakby czytała mu w myślach, zamiast po prostu ich słuchać.

– Ale wiesz, że nie powinienes! Nie powinienes!

– Ale i tak to zrobiłem! – Wyszczrzył się do niej.

Wciąż z wymuszoną pogodą dodała:

– Daj spokój, skarbie. Zajmijmy się lepiej przyjemnymi rzeczami. Lodówka jest pełna. Same twoje ulubione przysmaki. I mam dwie nowe płyty z zapachami. Już je wypróbowałam, nawet mnie się podobały. A znasz mnie...

– Które?

– Co które, skarbie?

Wyszedł, kuśtykając, z pokoju. Po drodze przesunął ręką po jej ramionach. (Nie potrafił wrócić do odczuwania podłogi pod stopami, powietrza na twarzy, bez jednoczesnego oszołomienia i niezdarności. Tak jakby kranczowanie było rzeczywistością, a stan habermana złym snem. Ale on był habermanem i skanerem).

– Wiesz, o co mi chodzi, Luci... te zapachy... który na płycie ci się podobał?

– Nooo... – zaczęła ostrożnie. – Były te kotleciki jagnięce, to było bardzo dziwne...

Przerwał jej:

– Koty-leciki, co to?

– Poczekaj, zaraz powąchasz, potem będziesz zgadywał. Mogę ci powiedzieć, że to zapach, co ma setki, grube setki lat. Dowiedzieli się o nim ze starych książek.

– Kot-lecik, to zwierzę jakieś?

– Nie powiem. Będziesz musiał poczekać.

Zaśmiała się, pomagając mu usiąść. Rozłożyła przed nim talerzyki do degustacji. Chciał najpierw powtórzyć kolację, skosztować wszystkich pyszności, które wcześniej jadł, tym razem delektując się smakiem, żywymi ustami i językiem.

Gdy Luci znalazła drut grający i rzuciła jego sferę w pole siłowe, przypomniał jej o tych nowych zapachach. Wyjęła długie szklane płyty i wstawiła pierwszą z nich do odtwarzacza.

– Wąchaj!

Po pokoju rozszedł się osobliwy, przerażający, ekscytujący zapach. Pachniał jak nic na świecie, ani nic z Przestrzeni. Mimo to był znajomy. Ślina napłynęła mu do ust. Serce zabiło trochę żywiej, przeskanował wskaźnik. (Tak, oczywiście, że szybszy). Ale co to za zapach? Z udawanym niepokojem chwycił ją za dłonie, spojrzał jej w oczy i zawył:

– Powiedz, skarbie! Powiedz, bo cię zjem!

– No właśnie!

– Co „no właśnie”?

– Dobrze mówisz. Powinieneś to właśnie czuć, że chcesz mnie zjeść. To mięso.

– Mięso? Kto to?

– To nie jest „ktoś” – powiedziała, świadomie. – To Bestia. Bestia, którą ludzie kiedyś jedli, dawno temu. Jagnię, to była mała owca – widziałeś kiedyś owce w Dziczy, prawda? – a kotlecik to jego kawałek, o, stąd!

Wskazała własną pierś.

Martel nie słyszał jej. Wszystkie wskazania przeskoczyły na *Alarm*, niektóre na *Niebezpieczeństwo*. Walczył z szumem własnego umysłu, zmuszającego jego ciało do nadmiernej ekscytacji. Jakże łatwo jest być skanerem, gdy stoi się poza własnym ciałem, po habermanowemu, i patrzy się na nie tylko swoimi oczyma. Wtedy da się nim zarządzać, kierować nim na spokojnie, nawet wśród bolesnej pustki kosmosu. Ale mieć świadomość, że jest się tym ciałem, że to ono nad tobą panuje, że jego umysł może dźgnąć impulsem całe to mięso i wzbudzić w nim rozdygotaną panikę! To było straszne.

Spróbował sobie przypomnieć czasy przed wejściem do habermaszyny, zanim zoperowano go do latania w Przestrzeń. Czy zawsze czuł takie fale emocji przechodzące z umysłu do ciała, z ciała z powrotem do umysłu, tak dezorientujące, że nie dawało się skanować? Ale przecież wtedy nie był skanerem.

Wiedział, co to było. Puls dudnił w uszach, a on wiedział. Ten zapach dotarł do niego podczas koszmarne go lotu, przebił się, gdy statek płonął na orbicie Wenus, a habermani walczyli gołymi rękami z kruszącym się metalem. Skanował wówczas. Wszyscy wskazywali *Niebezpieczeństwo*. Wszyscy wokół. Ich piersiowe wskazania przeskoczyły na *Przeciążenie*, potem na *Zgon* – a on przechodził od jednego do drugiego, odsuwając z drogi nieważkie trupy, i skanował każdego po kolei, unieruchamiał połamane nogi, czego nie zauważyli, przestawiał zawór snu u tych, których wskazania były niebezpiecznie blisko przeciążenia. Wciąż usiłowali pracować, przeklinali go za to, że skanuje, walczyli, by wykonać zadanie i zachować wszystkich przy życiu wśród bolesnego kosmosu – wtedy właśnie poczuł ten zapach. Przebił się po zmodyfikowanych nerwach, przez habermańskie blokady, przez wszystkie bezpieczniki dyscypliny fizycznej i umysłowej. W najgorszej, najtragiczniejszej godzinie poczuł zapach. Pamiętał to jak nieudane kranczowanie, skojarzone z wściekłością i koszmarną sytuacją dookoła. Na moment nawet przerwał pracę, żeby się przeskanować, w obawie, że zaraz odczuje pierwsze skutki, że emocje przebiją habermańskie blokady i dotrą do niego bólem Przestrzeni. Dał jednak radę. Jego własne przyrządy zostały w pozycji *Niebezpieczeństwo*,

nawet nie zbliżyły się do *Przeciążenia*. Wykonał zadanie, został odznaczony. Zapomniał nawet o płonącym statku.

O wszystkim, oprócz tego zapachu.

A tu znów poczuł go w całej okazałości – zapach mięsa i ognia...

Luci spojrzała nań z żoniną troską. Myślała, oczywiście, że za długo się kranczował i zaraz wróci do habermana. Próbowwała być pogodna.

– Skarbie, lepiej byś odpoczął.

Szepnął do niej:

– Wy-łącz-ten-za-pach.

Nie pytała o nic. Wyłączyła odtwarzacz. Wstała nawet i pokręciła pokojowym sterownikiem, póki łagodny wietrzyk nie powiał od podłogi i nie usunął zapachów przez sufit.

Wstał, zmęczony i sztywny. (Wskazania były w normie, nie licząc serca, które biło szybko, i nerwów, wciąż na progu *Niebezpieczeństwa*).

Odezwał się smutno:

– Przepraszam, Luci. Chyba nie trzeba mi było się kranczować. Nie drugi raz z rzędu. Ale wiesz, kochanie, ja muszę czasem wyjść z habermana. Pobyć trochę z tobą. Jak inaczej to zrobić? Jak mam być człowiekiem, skoro nie słyszę własnego głosu, nawet własnego życia nie czuję, jak przelatuje mi przez żyły? Ja cię kocham. Chciałbym być blisko ciebie, to w ogóle możliwe?

Jej dumna i zdyscyplinowana odpowiedź była niemal odruchowa.

– Przecież jesteś skanerem.

– Wiem, że jestem skanerem. I co z tego?

Zacząła recytować, jakby po raz tysięczny powtarzała sobie tę historię dla dodania otuchy:

– Jesteś najdzielniejszym z dzielnych i najzręczniejszym ze zręcznych na świecie. Cała ludzkość winna jest szacunek skanerowi, który zapewnia jedność wszystkim Ziemiom ludzkości. Skanerzy to obrońcy habermanów i sędziowie Przestrzeni. Pozwalają człowiekowi żyć tam, gdzie desperacko pragnie umrzeć. Są najbardziej szanowani na całej Ziemi i nawet przywódcy Instrumentalności z przyjemnością składają im hołd!

Sprzeciwił się z uporem i smutkiem:

– Luci, ja już to sto razy słyszałem. Ale czy nas wynagrodzą...

– „Skanerzy nie pracują tylko dla pieniędzy. To najpotężniejsi strażnicy ludzkości”. Nie pamiętasz tego?

– Ale, Luci... nasze życie... co masz z tego, że jesteś żoną skanera? Po co za mnie wyszłaś? Jestem człowiekiem tylko wtedy, gdy się skranczuję. Przez resztę czasu – no, sama wiesz. Jak maszyna. Człowiek zamieniony w maszynę. Człowiek, którego zabili i utrzymują przy życiu, żeby służył. Nie rozumiesz, czego mi w życiu brakuje?

– Oczywiście, skarbie, oczywiście...

Mówił dalej:

– Myślisz może, że nie pamiętam dzieciństwa? Że nie kojarzę już, jak to jest być człowiekiem, a nie habermanem? Chodzić, czuć pod stopami ziemię? Czuć piękny, czysty ból, a nie co minutę patrzeć na przyrządy, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyję? Po czym ja poznam, że umarłem? Zastanawiałaś się nad tym, Luci?

Zignorowała irracjonalność tego wybuchu. Odezwała się uspokajająco:

– Kochanie, usiądź sobie, strasznie zdenerwowany jesteś. Zrobię ci może jakiegoś drinka.

Odruchowo się przeskanował.

– Wcale nie jestem! Posłuchaj mnie. Jak to według ciebie jest w Przestrzeni, wśród załogi unieruchomionej do lotu? Jak myślisz, jak się czuję, kiedy obserwuję, jak śpią? Myślisz, że to takie fajne, skanować i skanować, miesiąc za miesiącem, cały czas czując, jak na wszystkie części ciała napiera mi ból Przestrzeni, próbując przebić się przez habermanowe blokady? Jak myślisz, czy lubię budzić tych ludzi, kiedy jest konieczność, wiedząc, że mnie za to znienawidzą? Widziałaś kiedyś, jak walczą habermani, potężni mocarze, którzy walczą i nie czują bólu, walczą, póki nie dopadnie ich *Przeciążenie*? Zastanawiałaś się nad tym, Luci? – I triumfalnie dodał: – Nie możesz mi mieć za złe, że ledwo dwa razy na miesiąc biorę drut i z powrotem staję się człowiekiem.

– Niczego nie mam ci za złe. Cieszymy się, że jesteś na drucie. Wykorzystajmy tę chwilę. Usiądź, zrobię ci drinka.



Usiadł i ukrył twarz w dłoniach, a ona robiła mu drinka z naturalnych soków w butelkach z dodatkiem nieszkodliwych alkaloidów. Patrzył na nią niespokojnie. Było mu jej szkoda, że wyszła za skanera; a potem pomyślał, że to niesprawiedliwe; rozeźlił się sam na siebie, że się nad nią lituje.

Gdy odwracała się, żeby podać mu drinka, oboje lekko podskoczyli, zadzwonił bowiem telefon. Nie powinien dzwonić. Wyłączyli go. Zadzwonił po raz kolejny. To był obwód alarmowy. Martel, wyprzedzając Luci, podszedł do telefonu i spojrział. Ze środka popatrzył na niego Vomact.

Tradycja skanerów pozwalała mu zachowywać się obcesowo, nawet wobec przełożonych, w pewnych określonych sytuacjach. To była jedna z nich.

Zanim Vomact zdążył się odezwać, Martel wypowiedział do telefonu trzy słowa, nie dbając o to, czy starszy pan potrafi czytać z ust, czy nie.

– Skranczowany. I zajęty.

Przerwał połączenie i wrócił do Luci.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

Luci delikatnie zaproponowała:

– Skarbie, może ja się dowiem, o co chodzi? Proszę, weź sobie drinka i usiądź.

– Zostaw – odparł jej mąż. – Nikt nie ma prawa dzwonić, kiedy jestem skranczowany. I on o tym wie. Powinien to wiedzieć.

Telefon zadzwonił ponownie. Wściekły Martel wstał i podszedł do ekranu. Włączył go z powrotem. Na ekranie był Vomact. Zanim Martel zdążył się odezwać, Vomact uniósł swój mówiący paznokciec i przytknął do monitora serca. Martel wrócił do dyscypliny.

– Skaner Martel melduje się obecny i gotowy, sir.

Usta poruszyły się z namaszczeniem:

– Najwyższy alarm.

– Sir, ale ja jestem na drucie.

– Najwyższy alarm.

– Sir, nie rozumie pan? – Zaczął mówić powoli, żeby mieć pewność, że Vomact rozumie: – Jestem... na... drucie... Niezdatny... do... lotu!

Vomact powtórzył:

– Najwyższy alarm. Zgłosić się do Centralnej Łącznicy.  
– Ale proszę pana, nigdy dotąd nie...  
– Tak jest, Martel. Nigdy dotąd nie było takiego alarmu. Zgłoś się do Łącznicy. – I z nieznacznym złagodzeniem tonu dodał: – Nie ma potrzeby się dekranczować. Idź tak, jak stoisz.

Tym razem to Vomact się rozłączył. Ekran zszarzał.

Martel odwrócił się do Luci. Złość uleciała, głos uspokoił się. Podeszła do niego. Pocałowała go i zmierzwiła mu włosy. Była w stanie powiedzieć tylko:

– Jakże mi przykro.

Widząc jego rozczarowanie, ucałowała go jeszcze raz.

– Uważaj na siebie, kochanie. Poczekam na ciebie.

Przeskanował się i włożył przezroczystą latającą pelerynę. Przy oknie zawahał się i pomachał jeszcze do niej.

– Powodzenia! – zawołała.

On zaś, gdy owiewało go powietrze, powiedział do siebie:

– Pierwszy raz czuję lot, pierwszy raz od... jedenastu lat. Jezu, jak to łatwo latać, kiedy człowiek czuje, że żyje!

Centralna Łącznica jarzyła się, biała i ascetyczna, daleko przed nim. Martel rozejrzał się. Nie było widać poblasku statków przylatujących z Przestrzeni, ani migotliwych płomieni niekontrolowanego kosmicznego ognia. Wszędzie spokój, jak przystało na noc wolną od służby.

A Vomact mimo to go wezwał. Ogłosił alarm wyższy od kosmicznego. Nie było czegoś takiego. Ale Vomact i tak go ogłosił.

Kiedy dotarł na miejsce, zastał tam mniej więcej połowę wszystkich skanerów – czyli dwudziestu paru. Uniósł mówiący palec. Większość obecnych stała parami zwrócona do siebie i rozmawiała, czytając sobie z ust. Paru starszych i niecierpliwych bazgrało po tabliczkach i podsuwało je sobie na przemian pod nos. Wszystkie twarze miały tępy, martwy, rozluźniony, habermański wyraz. Martel, wchodząc do sali, wiedział, że większość pozostałych śmieje się w grubo izolowanej intymności własnych umysłów, myśląc sobie to, czego nie dałoby się wyjaśnić normalnymi

słowami. Od dawna nie zdarzyło się, by skaner przyszedł na spotkanie skranczowany.

Vomacta jeszcze nie było. Zapewne, pomyślał Martel, wciąż wisi na telefonie i obdzwania innych. Światelko telefonu błyskało i gasło; dzwonił dzwonek. Dziwnie się poczuł, gdy dotarło do niego, że ze wszystkich obecnych tylko on słyszy ten głośny dzwonek. Zrozumiał, dlaczego zwykli ludzie nie lubili przebywać w towarzystwie grupek habermanów lub skanerów. Rozejrzał się za jakimś towarzystwem.

Wypatrzył swojego kumpla Changa, który właśnie z ożywieniem wyjaśniał jakiemuś staremu i zgryźliwemu skanerowi, że nie wie, czemu Vomact dzwonił. Rozglądał się dalej i dostrzegł Parizianskiego. Podszedł do niego, lawirując między innymi ze zręcznością pokazującą, że czuje własne stopy od środka i nie musi na nie patrzeć. Paru innych spojrzęło nań martwymi twarzami i spróbowało się uśmiechnąć. Nie panowali jednak do końca nad własnymi mięśniami i ich twarze wykrzywiały się w paskudne maski. (Skanerzy przeważnie pilnowali się, żeby nie robić min twarzami, których nie kontrolują. Martel dodał do siebie: Przysięgam, nigdy już nie będę się uśmiechać nieskranczowany).

Parizianski pokazał mu mówiący palec. Stanąwszy z Martelem twarzą w twarz, odezwał się:

– Pokazujesz się tu skranczowany?

Nie słyszał własnego głosu, słowa zabrzmiały więc jak skrzekot starego i zepsutego telefonu. Martel podskoczył, choć tamten nie miał nic złego na myśli. Nikt nie był bardziej dobroduszny od tego potężnego Polaka.

– Vomact zadzwonił. Powiedział: „Najwyższy alarm”.

– Powiedziałeś mu, że jedziesz na drucie?

– Tak.

– I mimo to kazał ci przyjść?

– Tak.

– Czyli tu nie chodzi o kosmos? Przecież w kosmos nie pójdziesz? Jesteś jak zwykły człowiek?

– No właśnie.

– To po co nas wszystkich wezwał?

Z jakiegoś przedhabermanowego nawyku uniósł pytająco rękę. Dłonią uderzył w plecy starszego faceta za sobą. Odgłos rozniósł się po całej sali, ale usłyszał go tylko Martel. Odruchowo przeskanował Parizianskiego i starszego faceta, a oni przeskanowali jego. Dopiero wtedy starszy zapytał, czemu to zrobił. Gdy Martel wyjaśnił, że jedzie na drucie, starszy mężczyzna od razu odszedł, żeby przekazać wszystkim nowinę, że na spotkaniu w Łącznicy jest skranczowany skaner.

Nawet ta drobna sensacja nie była w stanie odwrócić uwagi większości skanerów od zaniepokojenia najwyższym alarmem. Jeden, młody, który ledwo rok temu skanował swój pierwszy lot, dramatycznie wszedł pomiędzy Parizianskiego i Martela. Teatralnym gestem uniósł swoją tabliczkę:

*Vmct zwariował?*

Starsi pokręcili głowami. Martel, pamiętając, że młody człowiek jeszcze niedawno był habermanem, złagodził powagę zaprzeczenia życzliwym uśmiechem. Odezwał się normalnym głosem:

– Vomact to najwyższy rangą skaner. Jestem przekonany, że nie mógłby zwariować. Na pewno zobaczyłby to na swoich przyrządach.

Musiał powtórzyć odpowiedź, powoli, wyraźniej układając usta – dopiero wtedy tamten zrozumiał. Młody usiłował zmusić twarz do uśmiechu, ale tylko wykrzywił ją w komiczną maskę. Wziął jednak tabliczkę i naskrobał:

*Racja.*

Chang odłączył się od swojego kumpla i podszedł do nich. Twarz pół-Chińczyka promieniała pośród ciepłego wieczoru. (Dziwne, pomyślał Martel, że nie ma więcej Chińczyków-skanerów. Albo zresztą może nie takie dziwne, jak sobie przypomnieć, że nawet swojego procenta habermanów nie są w stanie dostarczyć. Za bardzo lubią dobrze żyć. Ale ci, którzy już skanują, są naprawdę dobrzy). Chang zobaczył, że Martel jest skranczowany, i odezwał się głosem:

- Tworzysz precedens. A jak Luci, pewnie zła była, że idziesz?
- Dobrze to zniosła. Wiesz, Chang, to dziwne.
- Co?

– Jestem skranczowany i wszystko słyszę. Twój głos brzmi dobrze. Jak się nauczyłeś mówić jak... normalny człowiek?

– Ćwiczyłem na ścieżkach dźwiękowych z filmów. Zabawne, że zauważyłeś. Zdaje się, że jestem jedynym skanerem na Ziemi czy pomiędzy Ziemią, który byłby w stanie udawać zwykłego człowieka. Lustra i ścieżki dźwiękowe. Nauczyłem się to grać.

– Ale ty nie...

– Nie. Nie czuję, nie mam smaku, słuchu i węchu tak jak wszyscy inni. Samo gadanie jest mi na nic. Ale za to pozytywnie działa na innych ludzi wokół.

– Dla Luci to odmieniłoby całe życie.

Chang kiwnął mądrze głową.

– Mój ojciec na to nalegał. Mówił: „Ty może jesteś dumny, że jesteś skanerem. A mnie jest przykro, że nie jesteś człowiekiem. Trzeba ukrywać swoje wady”. Więc próbowałem. Chciałem staremu opowiedzieć o kosmosie i o tym, co tam robimy, ale nie wyszło. Powiedział: „Konfucjusz zadowolony był samolotami, to mnie też wystarczą”. Stary pozer! Tak bardzo chce być Chińczykiem, a starochińskiego ani w ząb nie przeczyta. Ale bystry jest naprawdę nieprzeciętnie i jak na kogoś, kto dobiega dwusetki, dobrze się porusza.

Martel uśmiechnął się na samą myśl.

– Samolotem?

Chang odpowiedział uśmiechem. Niesamowicie panował nad mięśniami twarzy; ktoś postronny nawet nie wpadłby na to, że Chang jest habermanem i ma nad oczyma, policzkami i wargami zimną, świadomą kontrolę. Był wyrazisty i żywy. Poczł ukłucie zazdrości, spojrzawszy w martwe, zamarłe twarze Parizianskiego i reszty. Wiedział, że sam wygląda dobrze, bo czemu miałyby być inaczej? Był skranczowany. Odwrócił się do Parizianskiego i powiedział:

– Słyszałeś, co Chang mówił o swoim ojcu? Stary używa samolotu.

Parizianski poruszył ustami, lecz te dźwięki nic nie znaczyły. Wziął tabliczkę i pokazał ją Martelowi i Changowi.

*Bzz bzz ha ha. Dzielny stary.*

W tym momencie Martel usłyszał kroki w korytarzu. Mimo woli spojrzął ku drzwiom. Inni też zwrócili się w tamtą stronę.

Wszedł Vomact.

Grupa stanęła na baczność w czterech równoległych szeregach. Przeskanowali się nawzajem. Liczne dłonie wyciągnęły się i pokręciły kontrolkami na swoich pulpitych piersiowych, regulując parametry biochemiczne, które zaczęły wychodzić poza normę. Jeden skaner pokazał złamany palec, który wykrył mu inny skaner. Zaczęli mu go opatrywać i unieruchamiać.

Vomact uniósł pastorał. Sześcian na czubku zalał czerwonym blaskiem całą salę, szeregi przegrupowały się, wszyscy skanerzy uczynili gest oznaczający: *Obecni i gotowi!*

Vomact odpowiedział postawą oznaczającą: *Jestem najstarszym rangą i przejmuję dowodzenie.*

Mówiące palce uniosły się w odpowiedzi: *Zgadzamy się i słuchamy.*

On zaś uniósł prawą rękę, opuścił przegub jakby był złamany, w dziwacznym geście oznaczającym: *Czy są tu jacyś ludzie? Jacyś nieskrępowani habermani? Czy jest wolna droga dla skanerów?*

Skranczowany Martel jako jedyny z obecnych usłyszał osobliwy szmer stóp, gdy wszyscy obracali się, nie zmieniając miejsca, patrzyli uważnie po sobie nawzajem i błyskali światelkami na pasach w ciemne zakamarki wielkiej sali. Gdy znów zwrócili się twarzami do Vomacta, ten uczynił kolejny gest.

*Wolna droga. Słuchajcie i odpowiadajcie.*

Martel zauważył, że tylko on się rozluźnił. Reszta nie wiedziała, co to „rozluźnienie” – mózgi mieli zamknięte we własnych czaszkach, połączone tylko z oczyma, a resztę ciała łączyły z umysłem tylko nerwy niezmysłowe i przyrządy na piersi. Uświadomił sobie, że, skranczowany, spodziewał się słyszeć głos Vomacta, najstarszy wśród skanerów mówił bowiem od pewnego czasu. Ale jego usta nie wydawały żadnego dźwięku. (Vomactowi nigdy nie chciało się bawić w dźwięki).

– ...a kiedy pierwsi ludzie, którzy poszli w kosmos, trafili na Księżyc, to co tam znaleźli?



– Nic – odpowiedział bezgłośny chór warg.  
– Polecieli więc dalej, na Marsa i na Wenus. Statki wylatywały rok po roku, ale nie wracały, aż do Pierwszego Roku Kosmosu. Wtedy dopiero wrócił statek. Z pierwszym skutkiem. Zapytuję was, skanerzy, jaki był pierwszy skutek?

– Nikt nie wie. Nikt nie wie.

– I nikt się nigdy nie dowie. Za dużo jest zmiennych. A po czym poznamy pierwszy skutek?

– Po wielkim bólu Przestrzeni – odpowiedział chór.

– I po czym jeszcze?

– Po potrzebie i pragnieniu śmierci.

Vomact:

– A kto powstrzymał pragnienie śmierci?

– Pierwszy skutek opanował Henry Haberman, w 83. Roku Kosmosu.

– Zapytuję was, skanerzy: co zrobił?

– Stworzył habermanów.

– Jak, o skanerzy, powstają habermani?

– Poprzez cięcia. Odcina się mózg od serca, płuc. Odcina się mózg od oczu, nosa. Odcina się mózg od ust, brzucha. Odcina się mózg od pragnienia, bólu. Odcina się mózg od świata. Wszystkiego oprócz oczu. Wszystkiego oprócz zawiadywania ciałem.

– Jak, o skanerzy, zawiadywa się ciałem?

– Poprzez osadzone w ciele czujniki, umieszczone na piersi przyrządy, znaki stworzone, by zawiadywać żywym ciałem, znaki, które ciało odbiera, by żyć.

– Jak haberman żyje i żyje?

– Haberman żyje i żyje kontrolowany przez przyrządy.

– Skąd biorą się habermani?

Martel słyszał, gdy odpowiadali, chaotyczną płataninę ryczących głosów, niosących się echem po pokoju, skanerzy bowiem, sami będący habermanami, wydawali dźwięki, odpowiadając.

– Habermani to ludzka szumowina. Habermani to słabi, okrutni, naiwni i nieprzystosowani. Habermani to skazani na los gorszy od śmierci.

Habermani mieszkają w swoim umyśle. Giną dla kosmosu, ale żyją dla kosmosu. Kierują statkami, które łączą Ziemię. Cierpią wielki ból, podczas gdy zwykli ludzie śpią zimnym, zimnym snem w ładowniach statków.

– O bracia i skanerzy, zapytuję was teraz: czyż my jesteśmy habermanami?

– Ciałem jesteśmy habermanami. Odcięto nam mózgi od ciała. Jesteśmy gotowi, aby wyprawić się w Przestrzeń. Wszyscyśmy przeszli przez maszynę Habermana.

– Czyli jesteśmy habermanami? – Oczy Vomacta rozbłysły, kiedy zadawał rytualne pytanie.

I znów chóralną odpowiedź zagłuszył słyszany tylko przez Martela ryk głosów:

– Jesteśmy habermanami i czymś więcej, czymś więcej. Jesteśmy wybrańcami, którzy stali się habermanami z własnej nieprzymuszonej woli. Jesteśmy agentami Instrumentalności Ludzkości.

– Co muszą Inni nam mówić?

– Muszą mówić: „Jesteś najdzielniejszym z dzielnych i najzręczniejszym ze zręcznych na świecie. Cała ludzkość winna jest szacunek skanerowi, który zapewnia jedność wszystkim Ziemiom ludzkości. Skanerzy to obrońcy habermanów i sędziowie Przestrzeni. Pozwalają człowiekowi żyć tam, gdzie desperacko pragnie umrzeć. Są najbardziej szanowani na całej Ziemi i nawet przywódcy Instrumentalności z przyjemnością składają im hołd!”.

Vomact stanął prosto.

– A jaki jest tajemny obowiązek skanerów?

– Zachować nasze prawo w tajemnicy i zniszczyć tych, którzy się o nim dowiedzieli.

– Jak się ich niszczy?

– Dwa razy na *Przeciążenie*, z powrotem, i *Zgon*.

– Jeśli habermani giną, jaki jest wtedy obowiązek?

Skanerzy w odpowiedzi zacisnęli usta. (Według kodeksu było to milczenie). Martel, który – dawno nauczony kodeksu – trochę nudził się tą recytacją, zauważył, że Chang oddycha zbyt ciężko; wyciągnął rękę

i pokręcił regulatorem płuc. Chang podziękował mu wzrokiem. Vomact zauważył to i łypnął groźnie na nich obu. Martel rozluźnił się, próbując naśladować martwy bezruch. Jakże trudno to przychodziło po skranczowaniu!

– A jeśli zginą Inni, jaki jest wtedy obowiązek? – zapytał Vomact.

– Skanerzy meldują Instrumentalności. Skanerzy wszyscy razem ponoszą karę. Skanerzy wszyscy razem wyjaśniają sprawę.

– A jeśli kara będzie surowa?

– Nie wyleci żaden statek.

– A jeśli skanerowi nie odda się szacunku?

– Nie wyleci żaden statek.

– A jeśli skaner nie otrzyma należnej zapłaty?

– Nie wyleci żaden statek.

– A jeśli Inni oraz Instrumentalność nie pamiętają przez cały czas o swoich zobowiązaniach wobec skanerów?

– Nie wyleci żaden statek.

– I co będzie, o skanerzy, gdy nie wyleci żaden statek?

– Ziemie utracą kontakt. Dzicz urośnie w siłę i powróci. Wrócą Dawne Machiny i Bestie.

– Jaki jest pierwszy obowiązek skanera?

– Nie zasnąć w Przestrzeni.

– Jaki jest drugi obowiązek skanera?

– W zapomnieniu mieć imię strachu.

– Jaki jest trzeci obowiązek skanera?

– Używać drutu Eustace’a Crancha tylko ostrożnie i z umiarem. – Kilka par oczu zerknęło szybko na Martela, zanim odezwał się chór ust. – Kranczować się tylko w domu, tylko pomiędzy przyjaciółmi, tylko dla pamiętania, odpoczynku i płodzenia potomstwa.

– Jaka jest definicja skanera?

– Wierna myśl pośród śmierci.

– Jakie jest motto skanera?

– Przytomny, choć otoczony ciszą.

– Jakie jest dzieło skanera?

– Pracuje nawet w najdalszej Przestrzeni, lojalny nawet w studni Ziemi.  
– Po czym poznaje się skanera?  
– Znamy samych siebie. Martwi jesteśmy, choć żyjemy. Rozmawiamy tabliczką i paznokciem.

– A co to za kodeks?

– Kodeks to pradawna i dobrotliwa mądrość skanerów, spisana w skrócie, abyśmy o niej pamiętali i aby nasza lojalność wobec siebie nawzajem dodawała nam otuchy.

Dalej litania szła tak: „Kodeks swój szanujemy. Czy jest jakieś zadanie dla skanerów?”. Vomact jednak powiedział co innego. Dwukrotnie:

– Najwyższy alarm. Najwyższy alarm.

Odpowiedzieli gestem: *Obecni i gotowi!*

Powiedział, a wszyscy wyteżyli wzrok, by odczytać z jego warg:

– Niektórzy znają zapewne dokonania Adama Stone’a?

Martel zobaczył poruszające się usta, sylabizujące:

– Czerwona Asteroida. Inna, która żyje na skraju Przestrzeni.

– Adam Stone przyszedł do Instrumentalności, twierdząc, że odniósł kolejny sukces. Twierdzi, że dowiedział się, jak stłumić ból kosmosu. Twierdzi, że kosmos można uczynić bezpiecznym dla zwykłych ludzi, w pełnej przytomności. Twierdzi, że nie będzie już potrzeba skanerów.

W całej sali rozbłysły światełka na pasach – to skanerzy prosili o głos. Vomact kiwnął głową jednemu ze starszych.

– Głos ma skaner Smith.

Smith powoli wszedł w światło, patrząc na własne stopy. Odwrócił się do reszty, żeby widzieli jego twarz. Powiedział:

– Ja twierdzę, że to kłamstwo. Że Stone to kłamca. Instrumentalność nie może dać się oszukać. – Zawahał się. Po czym w odpowiedzi na jakieś pytanie, którego większość nie dostrzegła, dodał: – Powołuję się na tajny obowiązek skanerów. – Uniósł prawą rękę w geście alarmu. – Mówię, że Stone musi umrzeć.

Martel, cały czas na drucie, wzdrygnął się, słysząc buczenie, jęki, krzyki, pokwikiwania, stękania i sapania wydawane przez skanerów, którzy zapomnieli się podekscytowani i usiłowali sprawić, by ich martwe ciała

przemówiły do głuchych uszu Innych. W całej sali wściekle zamigotały lampki na pasach. Zaczęli przepychać się ku mównicy, tłoczyć na niej, domagając się uwagi, póki Parizianski – jako największy – nie porozpychał innych na boki i nie odwrócił się twarzą do grupy.

– Bracia skanerzy, zwróćcie na mnie swoje oczy.

Ludzie na dole wciąż się wiercili, potrącając się nawzajem odrętwiałymi ciałami. W końcu przed Parizianskiego wszedł Vomact, stanął twarzą do reszty i powiedział:

– Skanerzy, zachowujcie się jak skanerzy! Zwróćcie na niego swoje oczy.

Parizianski nie był zbyt dobrym mówcą. Za szybko poruszał ustami. Machał rękami, co odwracało uwagę od ust. Mimo to Martel był w stanie wychwycić większość sensu:

– ...nie można tego zrobić. Stone'owi mogło się udać. Jeśli mu się udało, oznacza to koniec skanerów. A także habermanów. Żaden z nas nie będzie musiał się trudzić w Przestrzeni. Nie trzeba będzie traktować się drutem, żeby na parę godzin lub dni wrócić do człowieczeństwa. Wszyscy będą Innymi. Nikt nie będzie się już nigdy musiał kranczować. Ludzie będą mogli pozostać ludźmi. Habermanów można będzie zabić humanitarnie i stosownie, jak się zabijało w dawnych czasach, zamiast sztucznie utrzymywać przy życiu. Nie będą musieli walczyć w Przestrzeni! Nie będzie już tego wielkiego cierpienia – pomyślcie tylko! Żadnego... bólu... Przestrzeni! Skąd wiadomo, że ten Stone kłamie...

Światła zaczęły błyskać mu prosto w oczy. (Największa obelga wobec skanera).

Vomact po raz kolejny skorzystał ze swojej władzy. Wszedł przed Parizianskiego i powiedział coś do niego, czego nie widziała reszta. Parizianski zszedł z mównicy. Znow odezwał się Vomact:

– Wydaje mi się, że część skanerów nie zgadza się z naszym bratem Parizianskim. Postanawiam, abyśmy nie korzystali z mównicy, póki nie zakończą się prywatne dyskusje. Za piętnaście minut wznowimy obrady.

Martel rozejrzał się za Vomactem, gdy ten dołączył do grupy na dole. Znalazłszy go, pośpiesznie zaczął pisać na tabliczce, czekając na okazję, by podsunąć ją przełożonemu pod oczy. Napisał:

*Skranczowany pozwolenie wyjść czekać na rozkazy.*

Dziwne rzeczy działy się z nim pod drutem. Większość spotkań, na których bywał, wydawała mu się poważna, dumna i ceremonialna, rozświetlająca otuchą mroczną pustkę stanu habermana. Kiedy nie był skranczowany, prawie nie uświadamiał sobie własnego ciała – tak jak marmurowe popiersie nie zauważa własnego marmurowego cokołu. Wiele razy tak stał z nimi. Wiele razy stał z nimi, bez wysiłku spędzając godziny, podczas gdy przed jego osamotnionymi oczyma odbywał się długi, wlokący się bez końca rytuał. Czuł wtedy, że skanerzy, choć są bractwem potępionych, mają jednocześnie świadomość, z jak szczytnych pobudek dali się okaleczyć, by pełnić swoje obowiązki.

Tym razem było zupełnie inaczej. Skranczowany, zanurzony w pełni wrażeń smakowo-słuchowo-węchowo-czuciowych, reagował w przybliżeniu jak normalny człowiek. Widział w swoich kolegach i współpracownikach grupę pozbawionych ludzkich uczuć okrutnych duchów, odprawiających bezsensowny obrzęd prowadzący do nieuniknionego potępienia. Przecież kiedy jesteś habermanem, jest ci kompletnie wszystko jedno? Po co całe to gadanie o habermanach i skanerach? Habermani są przestępcami lub heretykami, skanerzy zaś dżentelmenami-ochotnikami, ale znajdują się w takiej samej sytuacji, z wyjątkiem tego, że skanerów uznano za godnych krótkotrwałego powrotu do człowieczeństwa pod drutem Crancha, podczas gdy habermanów, gdy statek stał w porcie, po prostu odłączano – tkwili tak w zawieszeniu aż do następnego alarmu lub problemu, gdy budzono ich, żeby odsłużyli kolejny ułamek swojego wyroku. Rzadko widziało się habermana na ulicy, zwykle był to ktoś wyróżniony za specjalne zasługi lub odwagę, mogący w nagrodę patrzeć na ludzkość z potwornego więzienia swojego zmechanizowanego ciała. Ale czy jakiś skaner litował się kiedyś nad habermanem? Czy jakiś skaner oddał kiedyś habermanowi szacunek, nie licząc zdawkowego salutu na służbie? Czy skanerzy jako cech i jako społeczność kiedykolwiek zrobili coś dla habermanów, z wyjątkiem mordowania ich jednym ruchem nadgarstka, gdy tylko któryś, zbyt długo stojący ramię w ramię ze skanerami, nauczył się ich zawodowych sztuczek



i zaczął żyć własnym życiem, uwalniając się od narzucanego przez skanerów przymusu? Skąd Inni, zwykli ludzie, mogliby wiedzieć, co dzieje się wewnątrz statków? Inni spali sobie w swoich walcach, miłosiernie nieprzytomni, budzący się dopiero na docelowej Ziemi. Co mogli Inni wiedzieć o ludziach, którzy musieli na tym statku pozostawać przy życiu?

Jakie mieli pojęcie o Przestrzeni? Który z nich mógłby stanąć oko w oko ze żrącą urodą gwiazd w otwartym kosmosie? Co wiedzieli o wielkim bólu, który zaczynał się łagodnie, w szpiku kostnym, niczym delikatne ćmienie, a kończył mdłościami i zmęczeniem odczuwanym przez wszystkie komórki nerwowe, mózgowe, czuciowe całego ciała – tak że samo życie stawało się potworną żądzą ciszy i śmierci?

Był skanerem. Oczywiście, był skanerem. Był skanerem od chwili, gdy, jeszcze całkowicie normalny, stanął w słońcu przed wiceszefem Instrumentalności i przysiągł: „Ofiarowuję ludzkości swój honor i swoje życie. Z własnej woli poświęcam się dla jej dobra. Przyjmując ten niebezpieczny i groźny zaszczyt, zrzekam się wszelkich praw bez wyjątku na rzecz czcigodnych lordów Instrumentalności i szacownego bractwa skanerów”.

Przysiągł.

Wszedł do maszyny Habermana.

Pamiętał, jakie piekło przeszedł. Nie było aż tak straszne, choć wydawało się, że trwało sto milionów lat, cały czas bez snu. Nauczył się czuć oczyma. Nauczył się widzieć mimo wbudowanych za oczy grubych osłon, mających izolować je od reszty ciała. Nauczył się obserwować własną skórę. Cały czas pamiętał, jak zauważył wilgoć na koszuli, spojrzał w skanerskie lustro i dopiero wtedy zauważył, że zrobił sobie dziurę w boku, zbyt długo opierając się o drgającą maszynę. (Teraz już by mu się coś takiego nie zdarzyło – za dobry był w odczytywaniu własnych wskaźników). Przypominał sobie, jak wyszedł pierwszy raz w kosmos, jak wielki ból atakował go, mimo że praktycznie pozbawiono go dotyku, smaku, czucia i słuchu. Pamiętał, jak zabijał habermanów, a innych utrzymywał przy życiu, jak miesiącami stał u boku wybitnego skanera-pilota i obaj przez ten czas nie zmrużyli oka. Pamiętał, jak zszedł na ląd na

Ziemi 4, pamiętał, że wcale nie sprawiło mu to przyjemności i że właśnie wtedy uświadomił sobie, że nagrody nie będzie.

Stał pomiędzy innymi skanerami. Drażniła go niezborność, kiedy się poruszali, i całkowity bezruch, gdy tego nie robili. Drażniły go dziwaczne zapachy wydzielane przez niekontrolowane ciała. Drażniły go jęki, stękania i pokwikiwania, które wydawali w swej głuchocie. Nienawidził ich i siebie.

Jak Luci była w stanie to znosić? Gdy zabiegał o jej względy, wskaźnik na piersi miesiącami pokazywał *Niebezpieczeństwo*, całkowicie nielegalnie stale nosił przy sobie drut do kranczowania i wchodził z jednego kranczu w drugi, nie przejmując się, że wszystkie wskazówki zbliżają się groźnie do *Przeciążenia*. Rozkochał ją w sobie, nie zastanowiwszy się, co będzie, kiedy powie „Tak”. A powiedziała.

„A potem żyli długo i szczęśliwie”. Tak to było w starych książkach, ale jak miało się im udać w życiu? Przez cały zeszły rok był pod drutem ledwo osiemnaście dni – lecz ona i tak go kochała. Cały czas go kochała. Wiedział o tym. Drżała o niego przez długie miesiące, gdy był w Przestrzeni. Starła się, żeby dom coś dla niego znaczył nawet kiedy jest habermanem, przyrządzała pyszne jedzenie nawet kiedy nie był go w stanie smakować, była miła, kiedy nie potrafił całować – ani być całowanym, bo ciało habermana znaczyło nie więcej niż mebel. Cierpliwa była Luci.

A teraz ten Adam Stone! (Pozwolił, by napis na tabliczce zniknął. Jakżeby mógł teraz wyjść?).

Adam Stone, niech go Bóg błogosławi.

Mimo woli ulitował się odrobinę nad sobą. Przenikliwe wezwanie do służby już nie poniesie go przez dwieście czy więcej lat według czasu Innych, a dwa miliony prywatnych wieczności według własnej rachuby. Będzie mógł się rozluźnić, zrelaksować. Zapomnieć o otwartym kosmosie, niech go sobie Inni sami pilnują. Będzie mógł się kranczować – na ile starczy mu odwagi. Będzie mógł być prawie normalny – prawie – przez rok, pięć lat czy krócej. Ale przynajmniej będzie mógł zostać z Luci. Może wyprawią się razem w Dzicz, tam gdzie w ciemnych zakamarkach nadal czają się *Bestie* i *Dawne Machiny*. Może umrze podekscytowany

polowaniem, rzucając oszczepami w przedwiecznego menszenjgra zrywającego się ze swego legowiska, albo ciskając rozżarzonymi kulami w Bezlitosnych, wciąż wędrujących po Dzicy. Będzie mieć do przeżycia całe życie, zakończone normalną śmiercią, a nie jednym drgnieniem wskazówki pośród ciszy i bólu Przestrzeni!

Nerwowo chodził w kółko. Uszy miał nastrojone na normalną mowę, żeby nie śledzić ruchów ust swoich braci. Wyglądało jednak na to, że dochodzą do jakiejś decyzji. Vomact wchodził na podium. Martel rozejrzał się za Changiem i stanął obok niego. Chang zaszeptał:

– Niepokojny jesteś jak woda w powietrzu! O co chodzi? Krancz ci ustępuje?

Przeskanował Martela, ten zrobił to samo, wskaźniki jednak nie sugerowały, by krancz miał się kończyć.

Rozbłysło silne światło, wzywające wszystkich do stanięcia na baczność. Ponownie ustawili się w szyku. Vomact wsunął chudą, starą twarz w snop światła i przemówił:

– Skanerzy i bracia, wzywam do oddania głosu. – Przy czym stał w postawie oznaczającej: *Jestem najstarszym rangą i przejmuję dowodzenie.*

Na znak protestu zapaliło się jedno światełko.

Był to stary Henderson. Wszedł na mównicę, powiedział coś do Vomacta, który kiwnął głową z aprobatą, po czym odwrócił się twarzą do wszystkich i powtórzył pytanie:

– A kto wypowie się w imieniu skanerów w kosmosie?

Nie odpowiedziało żadne światełko ani ręka.

Henderson i Vomact zwrócili się twarzami do siebie i naradzali przez chwilę. Potem Henderson ponownie odwrócił się do reszty.

– Uznaję władzę najstarszego rangą. Nie uznaję natomiast decyzji tego spotkania. Skanerów jest sześćdziesięciu ośmiu, z czego obecnych tutaj jest tylko czterdziestu siedmiu. Z tego jeden skranczowany i niepełnosprawny. Proponuję zatem, aby najstarszy rangą uznał się przewodniczącym tylko nadzwyczajnego spotkania bractwa, a nie pełnoprawnego zgromadzenia. Czy czcigodni skanerzy rozumieją i zgadzają się ze mną?

Dłonie uniosły się na znak zgody.

Chang zaszeptał Martelowi do ucha:

– Strasznie mi wielka różnica. Kto tu odróżnia spotkanie od zgromadzenia?

Martel zgodził się ze słowami, ale jeszcze bardziej zaimponowało mu, że Chang, choć haberman, był w stanie aż tak panować nad własnym głosem.

Vomact objął przewodnictwo:

– Głosujemy nad kwestią Adama Stone’a. Na początek założmy, że mu się nie udało, a jego przechwałki to kłamstwo. Wiemy o tym z naszej praktyki, jako skanerzy. Ból Przestrzeni to tylko jedna część skanowania – (Ale kluczowa część, podstawa wszystkiego, pomyślał Martel) – możemy być więc pewni, że Stone nie rozwiąże najważniejszego: problemu kosmicznej dyscypliny.

– Znowu ta nuda – szepnął Chang, niesłyszany przez nikogo poza Martelem.

– To dzięki kosmicznej dyscyplinie naszego bractwa otwarty kosmos jest wolny od wojen i sporów. Sześćdziesięciu ośmiu zdyscyplinowanych ludzi kontroluje cały otwarty kosmos. Nasza przysięga i nasz stan habermana uwalnia nas od wszelkich doczesnych emocji. Jeśli zatem Adam Stone opanował ból kosmosu, wskutek czego Inni będą mogli zniszczyć nasze bractwo i sprowadzić w Przestrzeń nękające Ziemię problemy i zniszczenie, twierdzę, że Adam Stone postępuje źle. Jeśli Adam Stone odnosi sukces, na próżno żyli skanerzy! Po drugie, jeśli nawet Adam Stone nie opanował bólu kosmosu, narobi nam wielkich kłopotów na wszystkich Ziemiach. Instrumentalność i wicelordowie mogą przestać nam zapewniać wystarczająco dużo habermanów, byśmy mogli obsługiwać wszystkie statki ludzkości. Rozejdą się niewiarygodne opowieści, ochotników będzie mniej, a co najgorsze, na skutek rozsiewanych nonsensownych herezji także dyscyplina w samym bractwie może się rozluźnić. Zatem sukces Adama Stone’a grozi zniszczeniem bractwa. Adam Stone musi umrzeć. Poddaję pod głosowanie śmierć Adama Stone’a.

I uczynił gest: *Szanownych skanerów prosi się o oddanie głosu.*

Martel nerwowo sięgnął do światełka. Chang, przewidujący, miał już je w pogotowiu: jasny snop światła oznaczający sprzeciw celował wprost w sufit. Martel włączył własne i również wycelował promień do góry na znak niezgody. Potem rozejrzał się. Na czterdziestu siedmiu obecnych widział może pięć lub sześć świateł.

Zapaliły się dwa kolejne. Vomact stał prosto niczym zamrożony trup. Błyskały mu tylko oczy, gdy przeskakiwał wzrokiem po grupie, wypatrując świateł. Jeszcze parę. W końcu Vomact przybrał postawę kończącą głosowanie.

*Szanownych skanerów prosi się o policzenie głosów.*

Trzech starszych weszło na podium z Vomactem. Rozejrzeli się po sali.

(Martel pomyślał: przeklęte upiory decydują w głosowaniu o życiu prawdziwego człowieka! Żywego człowieka! Nie mają prawa. Powiem Instrumentalności! Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Potem pomyślał o Luci, o tym jak wiele skorzystałaby na triumfie Adama Stone'a – gdy sobie to uświadomił, absurd głosowania stał się dlań aż nieznośny).

Wszyscy trzej skrutatorzy unieśli dłonie, jednomyślnie wyrażając gestem tę samą liczbę.

*Piętnastu przeciw.*

Vomact odprawił ich uprzejmym ukłonem. Odwrócił się do sali i znów stanął w postawie oznaczającej: *Jestem najstarszym rangą i przejmuję dowodzenie.*

Zachwycony własną odwagą Martel zapalił światełko na pasie. Wiedział, że za coś takiego dowolny z sąsiadów może wyciągnąć rękę i przestawić mu regulator serca na *Przeciążenie*. Poczul jak dłoń Changa łapie go za latającą pelerynę. Usunął się jednak i wbiegł, szybciej niż jakikolwiek skaner, na podium. A biegnąc, zastanawiał się, jak właściwie do nich przemówić. Apelowanie do zdrowego rozsądku nie miało już sensu. Już nie. Musiało to być prawo.

Wskoczył na mównicę obok Vomacta i przybrał postawę: *Bracia, naruszenie prawa!*

Naruszył dobry obyczaj, bo przemówił, jeszcze stojąc w postawie:

– Na zwykłym spotkaniu prawo nie pozwala zatwierdzać wyroku śmierci zwykłą większością! Potrzeba do tego dwóch trzecich głosów na zgromadzeniu.

Poczuł, jak Vomact rzuca się na niego od tyłu, poczuł, że spada z podium, uderza o podłogę, czując ból w kolanach i wrażliwych na dotyk dłoniach. Pomogli mu wstać. Przeskanowali go. Jakiś skaner, którego prawie nie znał, chwycił za jego regulatory i uspokoił go.

Martel natychmiast poczuł się spokojniejszy, zdystansowany i sam się za to znienawidził.

Spojrzał na mównicę. Vomact cały czas stał w postawie nakazującej *Spokój!*

Skanerzy wyrównali szeregi. Dwóch stojących obok Martela wzięło go za ramiona. Krzyknął na nich, ale odwrócili twarze i odcięli się tym samym od wszelkiej komunikacji.

Vomact odezwał się ponownie, gdy zobaczył, że zapadła cisza.

– Jeden ze skanerów stawiał się tu skranczowany. Szanowni skanerzy, przepraszam za to. To nie jest wina wybitnego skanera i drogiego przyjaciela Martela. Taki otrzymał rozkaz. Powiedziałem mu, że ma się nie rozkranczowywywać. Liczyłem, że uniknie w ten sposób jednego niepotrzebnego habermana. Wszyscy wiemy, jak szczęśliwy jest Martel w swoim małżeństwie, i wszyscy życzymy mu powodzenia w tym odważnym eksperymencie. Lubię go. Szanuję jego osąd. Chciałem, żeby przyszedł. Wszyscyśmy tego chcieli. Jest jednak skranczowany. Nie jest w odpowiednim stanie, by zajmować się wzniosłymi sprawami skanerów. Proponuję zatem wyjście, które będzie pod każdym względem sprawiedliwe. Proponuję, abyśmy wykluczyli Martela z narad za naruszenie reguł. To wykroczenie byłoby niewybaczalne, gdyby nie był skranczowany. Jednocześnie, oddając mu sprawiedliwość, proponuję, abyśmy zajęli się kwestiami, które nasz cenny choć zdyskwalifikowany brat w tak niestosowny sposób podniósł.

Pokazał gest: *Szanownych skanerów prosi się o oddanie głosu.*

Martel próbował sięgnąć do swojej lampki na pasie; silne, martwe ręce przytrzymały go jednak. Na próżno się szamotoł. Zabłyśło jedno samotne



światelko. Bez wątpienia Chang.

Vomact znów wsunął twarz w snop światła.

– Mając zgodę wielce szanownych obecnych tutaj skanerów na tę ogólną decyzję, postuluję teraz, aby niniejsze spotkanie ukonstytuowało się jako zgromadzenie oraz aby to zgromadzenie uczyniło mnie odpowiedzialnym za wszelkie czyny, które z mocy decyzji zgromadzenia podejmiemy, i rozliczyło mnie z nich na następnym walnym zgromadzeniu, ale nie przed jakąkolwiek inną władzą oprócz zamkniętego i tajnego kręgu skanerów.

Tym razem już zamaszyście i triumfująco przybrał postawę *Głosowanie*.

Zapaliło się tylko parę świateł. Wyraźnie o wiele mniej niż wynosząca jedną czwartą mniejszość.

Vomact zaraz przemówił ponownie. Światło błyszczało na wysokim spokojnym czole, na martwych kościach policzkowych. Szczupłe policzki i podbródek były na wpół skryte w cieniu, choć dolny reflektor podświetlał i podkreślał usta, nawet w spoczynku mające okrutny wyraz. (Podobno Vomact był potomkiem pewnej przedwiecznej damy, która w jakiś niewytłumaczalny i nielegalny sposób przez jedną noc przeżyła setki lat. Jej nazwisko, lady Vomact, stało się legendą; lecz jej krew i archaiczna żądza władzy przetrwały w niemym, władczym ciele potomka. Martel mógł uwierzyć w stare bajdy, wpatrując się w mównicę i zastanawiając, jaka to nieodgadniona mutacja sprawiła, że ród Vomactów stał się grasującymi pomiędzy ludźmi drapieżnikami). Bezgłośnie, choć dobitnie poruszając wargami, Vomact zaapelował:

– Wysokie zgromadzenie z przyjemnością potwierdza wyrok śmierci wydany na heretyka i wroga, Adama Stone'a. – I znów postawa wzywająca do głosowania.

I znów w samotnym proteście rozbłysło tylko światelko Changa.

Wtedy Vomact przedstawił ostatni ze swoich postulatów:

– Wnoszę o mianowanie najwyższego rangą z obecnych nadzorującym wykonanie wyroku. Wnoszę, by miał prawo mianować wykonawców, jednego lub więcej, którzy wprowadzą w życie wolę i władzę skanerów. Proszę, abym był odpowiedzialny za sam czyn, nie zaś za środki. Czyn jest

szlachetny, ma na celu ochronę ludzkości i honoru skanerów; środki zaś muszą być stosowne do celu i nic poza tym. Kto potrafi zabić Innego, do tego na czujnej i zatłoczonej Ziemi? To nie jest takie proste, jak odłączenie śpiącego w cylindrze podróżnika, ani podkręcenie habermanowi kroplówki. Kiedy ludzie umierają na Ziemi, nie dzieje się to jak w kosmosie. Umierają niechętnie. Zabijanie na Ziemi nie wygląda jak wasze codzienne zajęcia, o bracia skanerzy. Musicie mi pozwolić, abym mógł dowolnie i samodzielnie wybrać agenta, który tego dokona. W przeciwnym wypadku współdzielona wiedza może stać się wspólną winą; jeśli jednak tylko ja będę o tym wiedział, tylko ja będę mógł nas zdradzić, a wy będziecie wiedzieli, kogo podejrzewać, jeśli Instrumentalność przyjdzie do nas z pytaniami.

(A co z zabójcą, którego wybierzesz? – pomyślał Martel. On też będzie wiedział, chyba że po wszystkim uciszysz go na zawsze).

Vomact przybrał postawę: *Szanownych skanerów prosi się o oddanie głosu.*

I ponownie tylko jedno światełko zapłonęło na znak protestu. Chang.

Martel wyobraził sobie, że widzi na martwej twarzy Vomacta okrutny uśmiech radości – uśmiech człowieka, który wie, że ma słuszność, a w tej słuszności utwierdziło go jeszcze wojownicze gremium.

Spróbował po raz kolejny się uwolnić.

Martwe dłonie nie puszczały. Były zaciśnięte jak imadła, dopóki wzrok właścicieli ich nie rozewrze – jak inaczej dawałoby sobie radę z pilotowaniem całymi miesiącami?

Martel krzyknął wtedy:

– Szanowni skanerzy, to jest morderstwo przez sąd!

Nikt go nie usłyszał. Był skranczowany i samotny. Mimo to krzyknął raz jeszcze:

– Narażacie bractwo na szwank!

Nic się nie wydarzyło.

Echo głosu poniosło się z jednego końca sali w drugi. Nie odwróciła się żadna głowa. Nie popatrzyły nań żadne oczy.

Gdy znów dobierali się w pary, żeby rozmawiać, Martel uświadomił sobie, że skanerzy unikają go wzrokiem. Widział, że nikt nie ma ochoty

ogłądać tego, co mówi. Wiedział, że pod lodowatymi twarzami kolegów kryje się współczucie albo rozbawienie. Wiedział, że mają świadomość, że jest skranczowany – bezsensowny, normalny, ludzki – że chwilowo nie jest skanerem. Wiedział jednak, że tylko ktoś skranczowany może poczuć sercem, jakie oburzenie i jaki gniew wywoła wśród Innych to morderstwo z premedytacją. Wiedział, że bractwo naraża się na wielkie ryzyko, wiedział, że jedną z najstarszych zasad prawa jest monopol państwa na przemoc. Już w dawnych państwach, w czasach Wojen, zanim nastąpiły Bestie, zanim ludzie zaczęli się wyprawiać w Przestrzeń – już starożytni znali tę zasadę. *Tylko Państwo może zabijać.* Państwa dawno zniknęły, pozostała jednak Instrumentalność, a Instrumentalność nie będzie pobłażać tym, którzy czynią jej wbrew na Ziemiach. Śmierć w kosmosie była esencją pracy skanerów: zresztą, jak Instrumentalność mogłaby pilnować przestrzegania swoich praw w miejscu, gdzie wszyscy ludzie, którzy się budzą, budzą się tylko po to, by umrzeć wśród wielkiego bólu? Mądrze uczyniła Instrumentalność, że zostawiła kosmos skanerom, mądrze uczyniłoby bractwo, nie mieszając się w sprawy Ziem. A teraz bractwo nagle chce zostać bandą zbrodniarzy, szajką przestępców okrutnych i głupich jak plemiona Bezlitosnych!

Martel wiedział to wszystko, bo był skranczowany. Gdyby był w stanie habermana, myślałby tylko umysłem, nie sercem, trzewiami i krwią. Skąd inni skanerzy mieliby wiedzieć?

Vomact po raz ostatni wszedł na mównicę. *Zgromadzenie podjęło decyzję. Tak się stanie.* Głosem dodał:

– Jako najstarszy rangą wśród was proszę o lojalność i milczenie.

Na te słowa dwaj skanerzy puścili Martela. Roztarł zdrętwiałe dłonie, poruszając palcami, żeby przywrócić krążenie w zmarzniętych opuszkach. Czując prawdziwą wolność, zaczął się zastanawiać, co można jeszcze zrobić. Przeskanował sam siebie: wciąż był skranczowany. Może jeszcze z dzień. Zresztą pójdzie nawet jako haberman, choć niewygodnie będzie rozmawiać palcem i tabliczką. Rozejrzył się za Changiem. Przyjaciel stał cierpliwie i nieruchomo na uboczu. Martel poruszał się powoli, żeby nie

zwracać na siebie więcej uwagi niż trzeba. Staął na wprost Changa, nadstawił twarz do światła i odezwał się:

– Co robimy? Chyba nie pozwolisz im zabić Adama Stone’a, prawda? Rozumiesz, co znaczy dla nas to jego osiągnięcie? Nie będzie już skanerów. Nie będzie habermanów. Nie będzie bólu w Przestrzeni. Mówię ci: gdyby inni też byli skranczowani, jak ja, patrzyliby na to wszystko po ludzku, a nie przez tę wąską, wariacką logikę, której się tu używa. Trzeba ich powstrzymać. Jak to zrobić? Co robimy? Co myśli Parizianski? Kogo wybrano?

– Na które pytanie mam odpowiedzieć?

Martel parsknął śmiechem. (Przyjemnie było się zaśmiać, nawet wtedy; można się było poczuć naprawdę człowiekiem).

– Pomożesz mi?

Wzrok Changa przesłakiwał po twarzy Martela, gdy odpowiadał:

– Nie. Nie. Nie.

– Nie pomożesz mi?

– Nie.

– Dlaczego, Chang? Dlaczego?

– Jestem skanerem. Zagłosowaliśmy. Zrobiłbyś dokładnie to samo, gdybyś nie był w tym niezwykłym stanie.

– Nie jestem w niezwykłym stanie. Jestem skranczowany. To znaczy tylko, że patrzę na świat tak samo jak Inni. Dostrzegam głupotę. Brak skrupułów. Egoizm. To morderstwo.

– Co „morderstwo”? A ty nie zabijałeś? Nie jesteś Innym, jesteś skanerem. Jeśli to zrobisz, będziesz żałował.

– To czemu głosowałeś przeciwko Vomactowi? Nie zdawałeś sobie sprawy, co odkrycie Stone’a oznacza dla nas wszystkich? Skanerzy będą żyli na próżno! I dzięki Bogu! Nie widzisz tego?

– Nie.

– Ale ze mną rozmawiasz, Chang. Jesteś moim przyjacielem.

– Rozmawiam. Jestem. Dlaczego pytasz?

– Więc co zrobisz?

– Nic, Martel. Nic.

- A pomożesz mi?
- Nie.
- Nawet w ratowaniu Stone’a?
- Nie.
- To pójde po pomoc do Parizianskiego.
- To się nie uda. On ci nie pomoże.
- Dlaczego? Teraz jest bardziej człowiekiem niż ty.
- Nie pomoże ci, bo to on otrzymał zadanie. Vomact wyznaczył go do zabicia Adama Stone’a.

Martel urwał w pół słowa. Stał w postawie oznaczającej: *Dziękuję ci, bracie, i odchodzę.*

Przy oknie odwrócił się jeszcze ku sali. Zobaczył, że Vomact patrzy na niego. Powtórzył postawę *Dziękuję ci, bracie, i odchodzę*, dodając do niej jeszcze gest szacunku, należący się starszym stopniem. Vomact dostrzegł ten gest, Martel zauważył, że okrutne usta poruszyły się. Wydało mu się, że odczytał z nich słowa „...uważaj na siebie...”, ale nie wnikał, co to znaczy. Cofnął się i wyskoczył przez okno.

Kiedy przestali go widzieć, ustawił latającą pelerynę na maksymalną szybkość. Płynął leniwie w powietrzu, skanując się dokładnie i regulując sobie poziom adrenaliny. Po czym uczynił gest startu i poczuł na twarzy falę zimnego powietrza, niczym prąd wody.

Adam Stone musiał być w Głównym Dolnym Porcie.

Musiał tam być.

Będzie zapewne zaskoczony, w środku nocy. Zaskoczony spotkaniem z najdziwniejszym ze stworzeń, pierwszym renegatem pośród skanerów. (Do Martela nagle dotarło, że myśli o sobie. Martel Zdrajca Skanerów! Dziwnie to brzmiało i źle. Ale gdyby tak: Martel, Lojalny wobec Ludzkości? Czy to tego nie równoważy? Jeśli wygra, zdobędzie z powrotem Luci. Jeśli poniesie klęskę, nic nie traci, traci nieważnego i nieistotnego habermana. Który przypadkiem jest nim samym. Cóż to jednak znaczy wobec ogromnej nagrody, zysku dla ludzkości, dla bractwa, dla Luci?

Pomyślał, że będzie miał dzisiaj dwóch gości. Dwóch skanerów, którzy w dodatku się przyjaźnią. Wciąż liczył, że Parizianski jest jego

przyjacielem.

– A losy całego świata zależą od tego, który dotrze pierwszy – dodał.

Przez mgłę przed nim zaczęły przeświecać jasne, wielofasetkowe światła Głównego Dolnego Portu. Martel widział zewnętrzne wieżowce miasta, dostrzegał także fosforyzującą granicę pola, które odgradzało je od Dzicy i żyjących tam Bestii, Maszyn i Bezlitosnych.

Po raz kolejny przywołał panów swego szczęścia:

– Pomóżcie mi udawać Innego!

Kiedy znalazł się w porcie, poszło mu jednak łatwiej niż się spodziewał. Udrapował pelerynę na ramionach tak, by zasłaniała przyrządy. Wyciągnął skannerskie lusterko i ustawił sobie twarz od środka, dodając krwi i nerwom ożywienia, aż mięśnie twarzy zajaśniały, a skóra pokryła się zdrowym potem. Dzięki temu zaczął wyglądać jak zwykły człowiek, który dopiero co ukończył długi nocny lot.

Poprawiwszy ubranie, schował tabliczkę pod bluzę i zaczął się zastanawiać, co zrobić z mówiącym paznokciem. Jeśli go zachowa, od razu zdemaskuje go jako skanera. Będą oddawać mu szacunek, ale rozpoznają go. A ochroną, którą Instrumentalność niewątpliwie otoczyła Adama Stone'a, natychmiast go zatrzyma. Gdyby go sobie złamał... lecz przecież nie może! Żaden skaner w historii bractwa dobrowolnie nie złamał sobie paznokcia. To byłaby rezygnacja, a rezygnacja nie wchodziła w grę. Jedyne wyjście wiodło przez Przestrzeń! Martel przytknął palec do ust i obgryzł paznokieć. Spojrzał na dziwnie wyglądający teraz palec i westchnął.

Ruszył ku miejskiej bramie, wsunął dłoń pod bluzę i podkręcił sobie siłę mięśni do czterokrotności normalnej. Zaczął się skanować, po czym uświadomił sobie, że wskaźniki ma zasłonięte. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę, pomyślał.

Strażnik zatrzymał go drutem rewizyjnym. Kula niespodziewanie uderzyła Martela w pierś.

– Czy jest pan człowiekiem? – odezwał się głos znikąd.

(Martel wiedział, że gdyby był skanerem w stanie habermana, jego pole elektryczne rozświetliłoby kulę).

– Jestem człowiekiem. – Czuł, że ton głosu ma właściwy. Miał nadzieję, że nie wezmą go za menszenjegra, Bestię czy Bezlitosnego – zdarzało się, że w kamuflażu próbowały przeniknąć do ludzkich portów i miast.

– Nazwisko, numer, stopień, cel podróży, zadanie, pora wyjścia.

– Martel. – Musiał przypomnieć sobie swój dawny numer, nie „Skaner 34”. – Przysłoneczny 4234, 782. Rok Kosmosu. Stopień: awansujący podszef. – To nie było kłamstwo, naprawdę miał taki wysoki stopień. – Cel: osobisty i zgodny z prawem, w obrębie miasta. Żadnego zadania od Instrumentalności. Wylot, godzina 20.19 z Głównego Portu Wylotowego.

Wszystko zależało teraz od tego, czy mu uwierzą, czy potwierdzą to z Portem Wylotowym.

Głos był beznamiętny, pełen rutyny.

– Planowany czas pobytu w mieście?

Martel użył standardowego zwrotu:

– Uprzejmie proszę o cierpliwość.

Stał w chłodnym nocnym powietrzu i czekał. Wysoko ponad jego głową, przez lukę we mgle, widział jadowite migotanie skanerskiego nieba. Gwiazdy to moi wrogowie, pomyślał. Okiełznałem je, ale mnie nienawidzą! Ha, to brzmi jak z jakiejś starożytnej księgi! Za dużo się kranczuję.

Głos wrócił:

– Przysłoneczny 4234 łamane przez 782, awansujący podszef Martel, zgodnie z prawem wkracza w bramy miasta. Witamy. Czy życzy pan sobie żywności, odzieży, pieniędzy lub towarzystwa? – Nie brzmiał ani trochę gościnnie, ton był handlowy. Zupełnie co innego, niż kiedy się wchodziło do miasta w roli skanera! Wtedy zlatywali się funkcjonariusze, oświetlali sobie przestraszone twarze światełkami na pasach, a słowa wypowiadali z wręcz absurdalnym uniżeniem, wkrzykując je w głuche jak pień uszy skanerów. Zatem tak traktowano podszefa. Obojętnie, ale nieźle. Wcale nieźle.

Martel odpowiedział:

– Mam wszystko, czego mi potrzeba, proszę jednak miasto o pomoc. Jest tu mój przyjaciel Adam Stone. Chciałbym się z nim zobaczyć, w pilnej i ważnej praworządnej sprawie osobistej.

Głos rzekł:

– Czy jest pan z Adamem Stone'em umówiony?

– Nie.

– Miasto go odnajdzie. Jaki ma numer?

– Zapomniałem.

– Zapomniał pan? Czyż Adam Stone nie jest magnatem Instrumentalności? To naprawdę pana przyjaciel?

– Naprawdę. – Martel zabarwił głos odrobiną irytacji. – Panie strażniku, jeśli mi pan nie wierzy, proszę wezwać swojego podszefa.

– Nie sugerowałem, że nie wierzę. Dlaczego nie zna pan numeru? Muszę to zanotować w aktach – dodał głos.

– Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. Potem wyleciał w... – Już zaczął mówić „Przeźren”, ale przypomniał sobie, że tylko skanerzy używają tego słowa. – Latał z Ziemi na Ziemię i dopiero teraz wrócił. Znam go dobrze i chcę go odszukać. Mam dla niego wieści o rodzinie. Niech Instrumentalność ma nas w opiece!

– Wysłuchałem i wierzę. Adam Stone zostanie odszukany.

Ryzykując, choć nieznacznie, że kula rozpozna w nim nieczłowieka i ogłosi alarm, Martel włączył pod bluzą skanerski komunikator. Zobaczył drżącą świetlną igielkę, czekającą na jego słowa. Zaczął pisać po niej tępym palcem. To się nie uda, pomyślał i na chwilę spanikował, a potem wyciągnął grzebień, wystarczająco ostry, by nim pisać. Napisał: „Alarm zero, skaner Martel wzywa skanera Parizianskiego”.

Igielka zadrżała, odpowiedź rozjarzyła się i zgasła: „Skaner Parizianski na służbie. Wiadomości przejmuje Przekaznik”.

Martel wyłączył komunikator.

Czyli Parizianski był gdzieś w pobliżu. Czy mógł polecieć na skróty, ponad murem miasta, uruchamiając alarm, i tłumaczyć się oficjalnymi zadaniami, gdyby miejscy funkcjonariusze przejęli go w powietrzu? Nie za bardzo. Oznaczało to, że z Parizianskim przyszła tu grupa innych skanerów, zapewne twierdzących, że idą na poszukiwanie nielicznych i trudno dostępnych przyjemności, jakimi może się cieszyć haberman, na przykład oglądanie filmów informacyjnych, albo patrzenie na piękne



kobiety w Galerii Rozkoszy. Parizianski tu był, ale nie mógł się dyskretnie poruszać, bo Centrala Skanerów zarejestrowała, że jest na służbie, i śledziła jego ruchy od miasta do miasta.

Głos powrócił. Pobrzmiwał zdziwieniem.

– Znalaziono i obudzono Adama Stone’a. Bardzo przeprasza szanownego pana i mówi, że nie zna żadnego Martela. Czy może się pan z nim zobaczyć z rana? Miasto chętnie pana przyjmie.

Martelowi skończyły się pomysły. Już i tak wystarczająco ciężko było mu udawać człowieka, a co dopiero kłamać jako człowiek. Był w stanie tylko powtórzyć:

– Proszę mu powiedzieć, że jestem Martel. Mąż Luci.

– Tak zrobimy.

Znow cisza, wrogo łypiące gwiazdy i poczucie, że Parizianski jest gdzieś w pobliżu, coraz bliżej. Poczul, że serce bije mu szybciej. Ukradkiem zerknął na przyrządy i przykręcił je o jeden stopień. Poczul się spokojniejszy, mimo że nie był w stanie się dokładnie przeskanować.

Tym razem głos odezwał się radośniej, jakby rozwiązał jakiś denerwujący problem:

– Adam Stone zgadza się pana widzieć. Proszę wejść do Głównego Dolnego Portu. Witamy.

Mała kulka opadła bezgłośnie na ziemię, drut ze szmerem skrył się w ciemności. Z ziemi przed Martelem wyłonił się wąski, jaskrawy świetlny łuk, wiodący przez powietrze ku jednemu z wyższych wieżowców – pewnie był to hotel. Martel nigdy w nim nie był. Przygarnął latającą pelerynę do piersi, żeby utrzymać równowagę, wszedł całymi stopami na belkę i poczul, jak unosi się przez powietrze do wejścia, które otworzyło się przed nim nagle i niespodziewanie niczym żarłoczna paszcza.

W drzwiach stał członek ochrony wieżowca.

– Czekają na pana, sir. Czy jest pan uzbrojony?

– Nie – odparł Martel, zadowolony, że poprzestał na własnej sile.

Strażnik przeprowadził go przez bramkę kontrolną. Martel zauważył, że po ekranach przemknęły ostrzeżenia – przyrządy zidentyfikowały go jako skanera. Tamten jednak niczego nie zauważył.

Strażnik zatrzymał się w drzwiach.

– Adam Stone jest uzbrojony. Zgodnie z prawem i wolą Instrumentalności oraz regulacjami tego miasta. Wszyscy, którzy tam wchodzi, otrzymują takie ostrzeżenie.

Martel kiwnął głową na znak, że rozumie, i wszedł.

Adam Stone był niski, krępy i łagodny. Siwe włosy sterczały sztywno nad niskim czołem. Twarz miał rumianą i pogodną. Wyglądał jak jowialny przewodnik z Galerii Rozkoszy, nie jak człowiek, który podróżował na skraj Przestrzeni i bez pomocy habermanów zmagał się z wielkim bólem.

Wytrzeszczył oczy na Martela. Patrzył ze zdziwieniem, może odrobiną irytacji, ale nie wrogo.

Martel przeszedł do sedna.

– Pan mnie nie zna. Skłamałem. Nazywam się Martel i dobrze panu życzę. Mimo to skłamałem. Proszę pana uprzejmie o gościnność. Proszę wyciągnąć broń i wycelować ją we mnie...

Stone uśmiechnął się.

– Tak zrobię.

Martel zauważył mały drutowiec w jego zręcznej, pulchnej dłoni.

– Świetnie. Proszę zachować czujność. Dzięki temu szybciej mi pan uwierzy. Ale proszę, bardzo proszę, niech pan włączy prywatność. Żadnych przypadkowych obserwatorów. To sprawa życia i śmierci.

– Po pierwsze, czyjego życia i śmierci? – Twarz Stone'a pozostała spokojna.

– Pana, mojego, i wszystkich światów.

– Enigmatycznie to brzmi, ale zgoda. – Stone zawołał przez drzwi: – Poproszę o prywatność!

Coś nagle zabuczało. Zapanowała cisza, zniknęły wszystkie dyskretne odgłosy nocy.

Stone zapytał:

– Sir, kim pan jest? Co pana do mnie sprowadza?

– Jestem Skaner 34.

– Pan jest skanerem? Nie wierzę.

W odpowiedzi Martel rozsunął bluzę, ukazując skrzynkę piersiową. Stone spojrzał nań ze zdumieniem. Martel wyjaśnił:

– Jestem skranczowany. Nigdy pan tego wcześniej nie widział?

– Nie u ludzi. Na zwierzętach. Niesamowite. Ale... czego pan ode mnie chce?

– Prawdy. Pan się mnie boi?

– Mając to w ręku, nie boję się. – Stone ścisnął końcówkę drutu. – Ale i tak powiem prawdę.

– To prawda, że opanował pan wielki ból?

Stone zawahał się, szukając słów.

– Szybko, niech pan mi wytłumaczy, jak pan to zrobił, tak, żebym uwierzył – powiedział Martel.

– Nappełniłem statki życiem.

– Życiem?

– Życiem. Nie wiem, co to takiego „wielki ból”, ale doświadczałem stwierdziłem, że kiedy wysyłałem w kosmos wielką masę zwierząt lub roślin, te pośrodku masy żyją najdłużej. Konstruowałem statki, oczywiście nieduże, i wysyłałem w nich króliki, małpy...

– Czyli Bestie?

– Tak, małe Bestie. I wracały całe i zdrowe. Wracały, bo ściany statków były wypełnione życiem. Próbowaliśmy różnych gatunków, w końcu stanęło na takich, które żyją w wodzie. Ostrygi. Ławice ostryg. Zewnętrzne ostrygi umierały w wielkim bólu. Wewnętrzne przeżywały. Pasażerom nie działo się nic.

– Ale to były Bestie?

– Nie tylko Bestie. Ja sam też latałem.

– Pan?

– Wyleciałem sam w kosmos. Przeleciałem przez to, co nazywacie Przestrzenią, sam. Na jawie i we śnie. Nic mi się nie stało. Jeśli mi pan nie wierzy, niech zapyta swoich braci skanerów. Przyjdźcie z rana i obejrzyjcie mój statek. Z przyjemnością was wszystkich przyjmę. Mam wówczas pokaz dla lordów Instrumentalności.

Martel powtórzył pytanie:

– Przyleciał pan tu sam?

Adam Stone odparł szorstko:

– Tak, sam. Niech pan idzie i sprawdzi w waszym skanerskim rejestrze, jeśli mi pan nie wierzy. W życiu nie dałbym się włożyć do butli, żeby latać w Przestrzeń.

Martel rozpromienił się.

– Teraz panu wierzę. To prawda. Nie będzie już skanerów. Nie będzie habermanów. Nie będzie kranczowania.

Stone spojrział znacząco ku drzwiom.

Martel nie zrozumiał aluzji.

– Muszę panu powiedzieć...

– Z rana mi pan powie. Na razie niech się pan cieszy swoim kranczem. Czy to jest przyjemne? Od strony medycznej wiem, o co chodzi. Ale nie praktycznie.

– To jest przyjemne. To jest taka... normalność. Przez chwilę. Ale proszę posłuchać. Skanerzy przysięgli pana zniszczyć, pana i pana dzieło.

– Co takiego?

– Spotkali się, zagłosowali, przysięgli. Mówią, że przez pana skanerzy staną się niepotrzebni. Jeśli skanowanie przepadnie, jeśli skanerzy będą żyć na próżno, ściągnie pan na świat z powrotem dawne wojny!

Adam Stone zdenerwował się, ale zachował opanowanie:

– Pan jest skanerem. Będzie pan próbował mnie zabić?

– Nie, głupcze. Zdradziłem nasze bractwo. Jak tylko ucieknę, niech pan zawoła straż. I niech pana pilnuje. Będę próbował przechwycić zabójcę.

Dostrzegł w oknie rozmazaną smugę. Zanim Stone zdążył drgnąć, końcówka drutu wyrwała mu się z ręki. Smuga zestaliła się i przybrała kształt Parizianskiego.

Martel zorientował się, co tamten robi: *Dużą szybkość.*

Nawet nie pomyślawszy o tym, że jest na drucie, podniósł dłoń do piersi i siebie także ustawił na *Dużą szybkość.* Zalały go fale ognia, jak wielki ból, ale gorętsze. Z trudem utrzymywał czytelny wyraz twarzy, wchodząc przed Parizianskiego i pokazując gest: *Najwyższy alarm.*

Parizianski odezwał się, a poruszające się w normalnym tempie ciało Stone'a odsuwało się tymczasem od nich, powoli jak dryfujący obłok:

– Nie przeszkadzaj mi. Wykonuję zadanie.

– Wiem o tym. Chcę cię powstrzymać. Przestań. Przestań. Stone ma rację.

Usta Parizianskiego były ledwie czytelne poprzez otulającą Martela mgłę bólu. (Myślał: Boże, Boże, Boże starożytnych! Daj mi siłę! Spraw, żebym przeżył pod Przeciążeniem akurat tyle, żeby zdążyć!).

Parizianski mówił:

– Nie przeszkadzaj mi! W imieniu bractwa rozkazuję ci: zejdź mi z drogi! – Po czym pokazał gest: *Żądam pomocy w wypełnianiu obowiązków!*

Martel z trudem łapał oddech w lepkim jak syrop powietrzu. Spróbował po raz ostatni:

– Parizianski, przyjacielu, mój przyjacielu. Przestań. Przestań. – (Nigdy dotąd skaner nie zabił innego skanera).

Parizianski zrobił gest: *Jesteś niezdatny do służby, przejmuję obowiązki.*

Martel pomyślał: po raz pierwszy w historii! Po czym wyciągnął rękę i przekręcił mu kontrolkę mózgu na *Przeciążenie*. Oczy Parizianskiego rozbłysły przerażeniem, gdy uświadomił sobie, co się stało. Ciało zaczęło osuwać się na podłogę.

Martel miał w sam raz dość sił, by sięgnąć do własnej skrzynki piersiowej. Pograżając się w stanie habermana lub śmierci – tego nie wiedział – poczuł, jak palce przekręcają gałkę szybkości, zmniejszając ją. Spróbował coś powiedzieć:

– Pomocy, sprowadźcie skanera, dajcie skanera...

Wokół jednak zapadła ciemność. Znalazł się w szponach martwej ciszy.

\*\*\*

Obudził się i zobaczył nad sobą twarz Luci.

Otworzył szerzej oczy i stwierdził, że słyszy – słyszy, jak płacze z radości, słyszy w jej piersi nierówny oddech.

Odezwał się słabo:

– Dalej na drucie? Żyję?

We mgłę obok Luci wpłynęła kolejna twarz. Adam Stone. Jego basowy głos musiał przemierzyć ogrom Przestrzeni, zanim dotarł do uszu Martela. Ten próbował czytać mu z ust, ale nie widział ich wystarczająco wyraźnie. Poprzestał na słuchaniu głosu:

– ...nie jesteś... Rozumiesz mnie? Nie jesteś skranczowany!

Usiłował powiedzieć:

– Ale przecież słyszę! Czuję!

Tamci słów nie zrozumieli, ale sens do nich dotarł.

Stone odezwał się jeszcze raz:

– Przeszedłeś przez habermana i wróciłeś. Ciebie pierwszego poddałem zabiegowi. Nie wiedziałem, jak to się uda w praktyce, ale teoretycznie wszystko miałem opracowane. Chyba nie sądzisz, że Instrumentalność zmarnotrawiłaby wszystkich skanerów? Wracacie do normalności. Habermanom pozwalamy umierać, w miarę jak wracają statki. Oni już nie muszą żyć. Za to skanerów naprawiamy. Ty byłeś pierwszy! Rozumiesz? Jesteś pierwszy. A teraz odpoczywaj, nie denerwuj się.

Adam Stone uśmiechnął się. Martelowi wydało się, że gdzieś za jego plecami widzi, niewyraźnie, twarz jednego z lordów Instrumentalności. Tamta twarz też się do niego uśmiechnęła, po czym obie uniosły się, odplynęły i zniknęły.

Spróbował podnieść głowę i się przeskanować. Nie był w stanie. Luci wpatrywała się w niego, uspokajając się, choć na twarzy wciąż miała pełne miłości zakłopotanie. Powiedziała:

– Mój kochany mąż! Wróciłeś i zostaniesz ze mną!

Martel wciąż próbował zobaczyć swoje wskaźniki. Wreszcie niezdarnie przesunął ręką po piersi. Nic tam nie było. Wskaźniki zniknęły. Wrócił do normalności, ale wciąż żył.

Wśród błęgiego otumanienia umysłu powoli uformowała się kolejna niepokojąca myśl. Próbował pisać palcem, tak jak oczekiwała Luci, ale nie miał ani spiczastego paznokcia, ani skanerskiej tabliczki. Musiał użyć głosu. Zebrał wszystkie siły i wyszeptał:

– A skanerzy?

– Tak, skarbie? O co chodzi?

– Skanerzy?

– Ach, skanerzy. Tak, tak, skarbie, nic się im nie stało. Paru musieli aresztować, bo włączyli sobie *Dużą szybkość* i uciekali. Ale Instrumentalność wszystkich złapała – wszystkich, którzy byli na Ziemi – i już wszystko z nimi dobrze. Są szczęśliwi. A wiesz, kochanie – zaśmiała się – że niektórzy nie chcieli być przywrócenii do normalności? Ale Stone i lordowie przekonali ich.

– Vomact?

– Też nic mu nie jest. Jest skranczowany, póki go nie naprawią. Ale wiesz, ustalił z Instrumentalnością, że skanerzy będą mieli nowe zadania. Będziecie wicelordami do spraw Przestrzeni. Świetnie, prawda? On zaś będzie lordem do spraw Przestrzeni. Wszyscy będziecie pilotami, dzięki czemu przetrwa i wasze bractwo. Changa właśnie teraz operują. Niedługo się z nim zobaczysz.

Posmutniała nagle. Popatrzyła nań poważnie i dodała:

– Lepiej powiem ci teraz, żebyś się nie niepokoił. Jeden wypadek się zdarzył. Tylko jeden. Kiedy ty i twój kumpel poszliście do Adama Stone’a, on był tak zadowolony, że zapomniał się skanować i zmarł od *Przeciążenia*.

– Poszliśmy do Stone’a?

– No tak. Nie pamiętasz? Ty i twój kumpel.

Wciąż miał zdziwioną minę, więc dodała:

– Parizianski.

## O DAMIE, CO DUSZĄ ŻEGLOWAŁA

Opowiadanie powstało we współpracy z Genevieve Linebarger (maszynopis jest nawet podpisany „by Genevieve Linebarger and P.M.A”), która po śmierci męża dokończyła jedno z nieukończonych opowiadań i pracowała nad kolejnym. *Spieltier* to po niemiecku po prostu „zwierzę-zabawka”. W czasach, gdy dzieje się akcja tego opowiadania, Dzicz już została okiełznana, a Bestie i menszejegry zniknęły. Wrócił nawet luksus – może aż zanadto!

### I

Historia szła tak... jak właściwie szła ta historia? Każdy słyszał o Helen Americe i Panu Juźniesiwym, każdy kojarzy to nawiązanie, ale nikt nie ma pojęcia, jak to się właściwie stało. Ich imiona związały się na trwałe ze skrzącym się ponadczasowym romantycznym klejnotem. Czasem porównywano ich z Heloizą i Abelardem, historią odnaniezoną w książkach w dawno pogrzebanej bibliotece. W innych epokach zwyczajem było porównywanie się z inną osobliwą romantyczną historią, piękną i paskudną zarazem – historią lot-kapitana Taliano i lady Dolores Oh.

A z tej pierwszej opowieści zapamiętano dwie rzeczy – ich miłość oraz obraz wielkich żagli – metalowych błon, na których ludzkie ciała wreszcie pofrunęły pomiędzy gwiazdy.

Wspomnisz ją, a ktoś od razu przypomni jego. Przypomnisz jego, a na myśl przyjdzie ona. On był jednym z pierwszych żeglarzy, którzy powrócili, ona była damą, co żeglowała *Duszą*.



Całe szczęście, że zaginęły wszystkie zdjęcia. Romantyczny bohater był bowiem niezwykle młodo wyglądającym mężczyzną, przedwcześnie postarzałym i nadal trochę chorym, kiedy przydarzył mu się romans. A Helen America była dziwadłem, ale całkiem pozytywnym: ponurą, poważną, drobną brunetką, urodzoną pośród śmiechu ludzkości. Zupełnie nie przypominała wysokich, pewnych siebie heroin, jak aktorki, które później grały jej rolę.

Natomiast żeglarzem była znakomitym. Tyle chociaż było prawdą. A ciałem i umysłem kochała pana Juźniesiwego, okazując mu oddanie, które nie mija z czasem i nie zostaje zapomniane. Historia może zdrapać patynę z ich nazwisk i wizerunków, lecz nawet historia nie będzie w stanie przedstawić miłości Helen Ameriki i pana Juźniesiwego w niekorzystnym świetle.

Należy pamiętać, że oboje byli żeglarzami.

## II

*Dziecko bawiło się spiertierem. Znudziła mu się postać kury, więc przestawiło go na wyrastanie futra. Gdy do tego wydłużyło optymalnie uszy, zwierzątko zaczęło naprawdę wyglądać bardzo dziwnie. Lekki wietrzyk przewrócił je na bok, lecz spiertier pogodnie się wyprostował i zaczął z zadowoleniem przeżuwać dywan.*

*Dziewczynka niespodziewanie klasnęła w dłonie i zadała mamie pytanie:*

*– Mama, a co to „żeglarz”?*

*– Kiedyś, dawno temu, byli tacy ludzie, który się nazywali żeglarze. Byli odważni i wyprawiali się statkami do gwiazd. To były pierwsze statki, które oddaliły się od naszego Słońca. I miały wielkie żagle. Nie wiem, jak to naprawdę działało: jakimś sposobem światło ich popychało, a droga w jedną stronę zajmowała im ćwierć życia. Bo ludzie żyli wtedy tylko po sto sześćdziesiąt lat, wiesz? A lot trwał czterdzieści. Ale teraz już nie ma takich żeglarzy. Są niepotrzebni.*

– Pewnie, że nie – powiedziało dziecko – możemy sobie skakać, kiedy tylko chcemy. Byliśmy na Marsie, byliśmy na Nowej Ziemi, prawda, mamo? I możemy niedługo pojechać jeszcze gdzie indziej, wystarczy jeden wieczór.

– To jest planoformacja, skarbie. Ale minęło dużo czasu, zanim ludzie nauczyli się planoformować. Wcześniej nie umieli tak podróżować, musieli budować ogromne, ogromne żagle. Tak wielkie, że nie dało się ich zrobić na Ziemi. Musiały wisieć w kosmosie, w pół drogi między Ziemią i Marsem. I wiesz, zdarzyła się wtedy dziwna rzecz... Słyszałaś kiedyś o tym, jak zamarzył świat?

– Nie. A co to było?

– Kiedyś, dawno temu, jeden z tych żagli przypadkiem się przesunął. Ludzie próbowali go uratować, bo budowa takiego żagla to masa pracy. Ale on był tak wielki, że zasłonił Ziemi całe Słońce. I zrobiło się ciemno, cały czas była noc. I zrobiło się bardzo zimno. Wszystkie elektrownie atomowe pracowały pełną parą, a powietrze zaczęło dziwnie pachnieć. Ludzie zaczęli się niepokoić. Ale za parę dni zepchnęli żagiel na bok i wróciło Słońce.

– Mama, a były jakieś dziewczyny-żeglarze?

Twarz matki przybrała osobliwy wyraz.

– Jedna było. Dowiesz się o niej później, jak będziesz starsza. Nazywała się Helen America i pożeglowała do gwiazd statkiem Dusza. To jedyna kobieta, która tego dokonała. Wspaniała historia.

Matka otarła oczy chusteczką.

Dziewczynka powiedziała:

– Mama, opowiedz mi już teraz. Co to za historia?

Teraz matka zrobiła się bardzo stanowcza i stwierdziła:

– Skarbie, jesteś jeszcze za mała na tę historię. Ale jak trochę podrośniesz, to ci wszystko opowiem.

Matka była prawdomówna. Namysliła się i dodała:

– ...chyba że wcześniej sama sobie przeczytasz.

Helen America miała zapisać się w historii ludzkości, lecz początek miała kiepski. Samo nazwisko było pechowe.

Nikt nie miał pojęcia, kto był jej ojcem. Urzędnicy zgodzili się zachować dyskrecję.

Matka natomiast wątpliwości nie miała.

Była sławną gwiazdą, męskobietą Moną Muggeridge, która przeprowadziła sto kampanii na rzecz całkowitej identyczności obu płci. Była ekstremalną feministką, feministką ponad wszelkie granice. Kiedy więc Mona Muggeridge obwieściła w prasie, że będzie mieć dziecko, znalazło się to na wszystkich pierwszych stronach gazet.

Mona Muggeridge posunęła się jeszcze dalej. Oświadczyła stanowczo, że ojcowie nigdy nie powinni być znani. Że żadna kobieta nie powinna mieć kolejnych dzieci z tym samym mężczyzną, przeciwnie, powinna wybierać dla kolejnych dzieci różnych ojców, aby rasa ludzka różnicowała się i piękniała. Zwieńczyła to wszystko, ogłaszając, że ona sama, Mona Muggeridge, wybrała dla siebie ojca doskonałego, więc niechybnie zrodzi doskonałe dziecko.

Ta koścista, pompatyczna blondynka oświadczyła, że chce uniknąć wszystkich tych bzdur z małżeństwem i nazwiskami, zatem dziecko, jeśli okaże się chłopcem, będzie się nazywać John America, a jeśli dziewczynką – Helen America.

Tym oto sposobem mała Helen America urodziła się, a przed porodówką czekali już korespondenci agencji informacyjnych. Na ekranach informacyjnych błyskało zdjęcie ślicznej trzykilogramowej dziewczynki. „Dziewczynka. Dziecko idealne. Kto jest ojcem?”

To był dopiero początek. Mona Muggeridge była bojowo nastawiona. Upierała się, nawet po zrobieniu dziecku tysięcznego zdjęcia, że to najdoskonalsze niemowlę w historii. W kółko opowiadała o jego cudownych przymiotach. Wykazywała normalną czułość zakochanej w dziecku matki, sądząc jednocześnie, że to ona, wojowniczką wielkiej krucjaty, pierwsza owo uczucie odkryła.

Stwierdzić, że to było dla dziecka trudne, byłoby poważnym niedomówieniem.

Helen America okazała się jednak wspaniałym przykładem triumfu ludzkiego materiału nad prześladowcami. W wieku czterech lat mówiła sześcioma językami i zaczynała odszyfrowywać niektóre dawne marsjańskie teksty. W wieku lat pięciu poszła do szkoły. Koledzy zaraz ułożyli wierszyk:

*Helen, Helen,  
Gruba piegowata,  
Nie wie kto  
Jest jej tata!*

Helen wszystko to dzielnie znosiła, choć nieodgadnionym zrządzeniem genetyki wyrosła na niedużą osobę – śmiertelnie poważną drobną brunetkę. Dręczyła ją sława, męczyły lekcje – w kontaktach z innymi ludźmi stała się nieufna i pełna rezerwy oraz desperacko osamotniona we własnym wewnętrznym świecie.

Gdy miała szesnaście lat, jej matka źle skończyła. Mona Muggeridge uciekła z mężczyzną, którego ogłosiła najdoskonalszym mężem w najdoskonalszym małżeństwie, jakie widziała ludzkość. Ów ideał męża był wykwalifikowanym szlifierzem maszynowym. Miał już żonę i czwórkę dzieci. Pił piwo, a jego zainteresowanie panną Muggeridge wydawało się mieszkanką życzliwego koleżeństwa i rozsądnej świadomości jej zacnego majątku. Kosmiczny jacht, którym uciekli, złamał przepisy podczas nieplanowego lotu. Żona i dzieci pana młodego zawiadomili policję. Wynikło z tego zderzenie z automatyczną barką. Oba ciała łatwo zidentyfikowano.

Helen w wieku szesnastu lat była już sławna, w wieku siedemnastu – zapomniana, a do tego niezwykle samotna.

Była to era żeglarzy. Z gwiazd zaczęły wracać tysiące sond rozpoznawczych i mierniczych. W polu widzenia ludzkości pojawiała się planeta za planetą. Poznawano coraz to nowe światy: międzygwiazdne rakiety poszukiwawcze przywoziły zdjęcia, próbki atmosfer, pomiary ciążenia, pokrywy chmur, składu chemicznego i tak dalej. Wśród niezmiernie licznych sond powracających z dwustu- czy trzystuletnich podróży, trzy przywiozły informacje o Nowej Ziemi, planecie tak podobnej do samej Terry, że nadawała się od ręki do zasiedlenia.

Pierwsi żeglarze wyruszyli prawie sto lat wcześniej. Zaczynali od małych żagli, nieprzekraczających nawet trzech tysięcy kilometrów kwadratowych. Stopniowo jednak się zwiększały. Technika adiabatycznego pakowania i transportowania pasażerów w odrębnych kapsułach minimalizowała straty w ludzkim ładunku. Gdy żeglarz wracał na Ziemię, budził wielką sensację: oto był człowiek zrodzony i wychowany w blasku innej gwiazdy. Oto człowiek, który przeżył miesiąc w męce i cierpieniu, wioząc garstkę uszpionych i zamrożonych osadników, kierując ogromnym, napędzanym światłem statkiem, przebywającym ogromną międzygwiazdną przestrzeń w obiektywnym czasie czterdziestu lat.

Ludzkość nauczyła się rozpoznawać żeglarzy po wyglądzie. Mocno stąpali po ziemi, całymi stopami. Szyją poruszali szybko, mechanicznie. Żeglarz nie był ani młody, ani stary. Czuwał nieprzerwanie od czterdziestu lat, dzięki nowemu środkowi, pozwalającemu na coś w rodzaju ograniczonej przytomności. Kiedy przesłuchali go psychologowie, najpierw dla stosownych władz Instrumentalności, potem dla mediów, było oczywiste, że według niego owe czterdzieści lat to mniej więcej miesiąc. Żeglarz nigdy nie zgłaszał się na lot z powrotem, bo naprawdę postarzał się o czterdzieści lat. W sferze nadziei i pragnień był młodym człowiekiem, który jednak zużył jedną czwartą swego życia na jedno nieprzyjemne doświadczenie.

Helen America szła wówczas na studia w Cambridge. Lady Joan's College był najlepszym college'em dla kobiet w atlantyckiej części świata. Cambridge odbudowało swe prehistoryczne tradycje, a Neobrytyjczycy – swoje godne przodków i tradycji talenty inżynierskie.

Zajęcia prowadzono oczywiście w kosmopolitycznym ziemskim a nie archaicznym angielskim, studenci byli jednak dumni, że przebywają na zrekonstruowanej uczelni, według wykopalisk bardzo podobnej do tego, jak wyglądała, zanim na Ziemi zaczął się okres mroku i kłopotów. Helen udawało się zabłysnąć w tym renesansowym środowisku.

Serwisy informacyjne śledziły ją w najokrutniejszy z możliwych sposobów. Wyciągnęły jej nazwisko i historię matki. A potem znowu o niej zapomniały. Aplikowała na sześć profili zawodowych, z których ostatnim był „żeglarz”. Tak się jednak złożyło, że była pierwszą kandydatką-kobietą – pierwszą, ponieważ dopiero ona była na tyle młoda, by się zakwalifikować, a jednocześnie spełniała wszystkie wymagania naukowe.

Dlatego jej zdjęcie znalazło się na ekranach obok jego podobizny, zanim się jeszcze poznali.

A naprawdę była zupełnie inna. W dzieciństwie tyle przecierpiała przez wredne wierszyki, że zaczęła konkurować z innymi jedynie zimnym profesjonalizmem. A nieobecnej matki, gwiazdy, znakomitości, do tego stopnia nienawidziła, kochała i tęskniła za nią, że stanowczo postanowiła, że nie będzie taka jak ona. Stała się jej wcielonym przeciwieństwem.

Matka była wysoką blondynką o końskich rysach – taką, która zostaje feministką, bo nie jest zanadto kobieca. Helen zaś nigdy się nad własną kobiecością nie zastanawiała. Po prostu była niepewna siebie i tyle. Twarz miała okrągłą, gdyby była pulchna, ale pulchna nie była. Ciemnowłosa, ciemnooka, grubokoścista, choć chuda, była genetycznym odbiciem swego nieznanego ojca. Nauczyciele często się jej bali. Była blada, grzeczna i zawsze wszystko wiedziała.

Koledzy ze studiów pożartowali z niej przez parę tygodni, a potem zwarli szyki, widząc, do czego potrafi posunąć się prasa. Gdy pojawiała się kolejna ramka z absurdalnymi rewelacjami o dawno zmarłej Monie, przez kolegium przechodził szept:

- Znowu się za to wzięli... tylko nie pokazujcie Helen.
- Niech ona na to nie patrzy. Jest najlepsza z niepobocznych nauk, nie może się denerwować przed ostatnimi egzaminami.

Chronili ją. Dlatego dopiero przez przypadek zobaczyła własną twarz na ekranie informacyjnym. Obok widać było jakiegoś mężczyznę. Pomyślała, że przypomina podstarzałą małpkę. Potem przeczytała: „IDEALNA DZIEWCZYNA CHCE ZOSTAĆ ŻEGLARZEM. CZY ŻEGLARZ UMÓWI SIĘ Z IDEALNĄ DZIEWCZYNĄ?”.

Policzki zapłonęły jej od bezradnego, nieuniknionego zażenowania i złości, lecz już zbyt dobrze umiała być sobą, żeby zareagować tak, jak wtedy, gdy była nastolatką – i znienawidzić tego faceta. Wiedziała, że to nie jego wina.

Takie były czasy, takie były zwyczaje, tak to już było. Wystarczy być sobą – o ile kiedykolwiek dowie się, co to naprawdę znaczy.

## V

A ich pierwsze spotkania, kiedy się w końcu odbyły, zapowiadały się koszmarne.

Serwis informacyjny posłał do niej kobietę, żeby ją zawiadomić, że wygrała tygodniowe wakacje w Nowym Madrycie.

Z żeglarzem z gwiazd.

Helen odmówiła.

Potem on także odmówił, trochę za szybko jak na jej gust. Zainteresowało ją to.

Minęły dwa tygodnie, a księgowy serwisu wszedł do naczelnego z dwoma świstkami papieru. Były to kupony na nazwiska Helen Ameriki i pana Juźniesiwego, zapewniające im tydzień pływania się w luksusie w Nowym Madrycie. Powiedział:

– Wystawiliśmy je i zarejestrowaliśmy w Instrumentalności jako darowizny. Czy mam je anulować?

Naczelny miał już zamknięty numer i był w ludzkim nastroju. Pod wpływem impulsu polecił księgowemu:

– A wiesz co? Damy je tym młodym ludziom. Po cichu, bez rozgłosu. Nie będziemy się w to pchać. Jeśli nie chcą mieć z nami nic wspólnego, to niech im będzie. Namów ich. Tyle. Leć.

I wróciły do Helen. Na egzaminach osiągnęła najwyższy wynik w historii Cambridge. Potrzebowała odpocząć. Gdy kobieta z agencji wręczyła jej bilety, zapytała:

– To jakiś podstęp?

Zapewniona, że nie, zapytała znowu:

– A ten facet też jedzie?

Nie była w stanie wydusić z siebie „ten żeglarz”, bo zbyt to przypominało ton, którym ludzie zawsze mówili o niej – a jego nazwisko naprawdę zapomniała.

Kobieta nie wiedziała.

– A muszę się z nim widywać? – zapytała ponownie Helen.

– Oczywiście, że nie – odparła kobieta. Prezent był bezwarunkowy.

Helen zaśmiała się, niemal ponuro.

– No dobrze. Biorę to i dziękuję. Ale wystarczy jeden fotograf, rozumie pani, jeden i rezygnuję. Albo zrezygnuję w ogóle bez powodu. Zgadza się?

Zgodzili się.

Cztery dni później znalazła się w rozrywkowym świecie Nowego Madrytu, a mistrz tańca przedstawiał jej dziwnego, poważnego mężczyznę o ciemnych włosach.

– Młodszy naukowiec Helen America, Gwiazdny żeglarz pan Juźniesiwy.

Spojrzał na nich przebiegle i uśmiechnął się uprzejmie, jak ktoś doświadczony. Dodał typowe dla swej profesji okrągłe zdanie:

– Miałem ten zaszczyt, ale już się wycofuję.

Znaleźli się sami na skraju wielkiej jadalni.

Żeglarz rzucił jej naprawdę bardzo bystre spojrzenie i zapytał:

– A kim pani jest? Czy my się już kiedyś poznaliśmy? Powinienem panią pamiętać? Na tej Ziemi jest stanowczo za dużo ludzi. I co robimy dalej? Co mamy robić? Nie usiądzie pani?



Helen odpowiedziała na wszystkie te pytania jednym „tak”, choć w życiu nie spodziewała się, że owo „tak” będzie przez wiele stuleci powtarzane na wszelkie sposoby przez wszystkie najwybitniejsze aktorki ludzkości.

Faktycznie usiedli.

Ale jak stało się wszystko, co nastąpiło potem, oboje nie do końca wiedzieli.

Musiała prawie od razu go uspokoić, jakby był chorym w Domu Rehabilitacyjnym. Opisała mu poszczególne dania, a kiedy wciąż nie potrafił wybrać, wybrała za niego dania polecane przez robota. Pouczyła, choć życzliwie, o regułach zachowania przy stole, które wszyscy znali: o tym, że należy wstać, by rozłożyć serwetkę, resztki wrzucić do tacy z rozpuszczalnikiem, a sztućce na pas transmisyjny.

Wreszcie rozluźnił się i przestał wyglądać tak staro.

Na chwilę zapomniawszy o tym, że i jej tysiąc razy zadawano głupie pytania, zapytała:

– A czemu chciał pan zostać żeglarzem?

Spojrzał na nią, wytrzeszczając oczy, jakby odezwała się w nieznanym mu języku i oczekiwała odpowiedzi. W końcu wymamrotał:

– Czy pani... czy pani też myśli, że nie powinienem był?

Odruchowo uniosła dłoń do ust w przeproszającym geście.

– Ależ nie, nie. Widzi pan, ja sama aplikowałam na żeglarza.

Popatrzył tylko, młodo-stare oczy rozświetliła spostrzegawczość. Nie gapił się bezczelnie, po prostu próbował pojąć te słowa, rozumiał je bowiem każde z osobna, ale w sumie dawały coś nie do pomyślenia. Ona poczuła się dziwnie, ale nie odwróciła twarzy. Po raz kolejny miała okazję zauważyć nieopisaną dziwaczność tego człowieka, niegdyś zmagającego się z gigantycznymi żaglami w pustej czerni pomiędzy niemrugającymi gwiazdami. Był młody jak chłopak. Włosy, od których wziął się przydomek, lśniły czernią. Brodę usunięto mu chyba na trwałe, cerę miał bowiem jak kobieta w średnim wieku – dobrze utrzymaną, przyjemną, choć pełną charakterystycznych zmarszczek – i niezdradzającą ani śladu szorstkiej szczeciny, którą w jej kulturze mężczyźni lubili zostawiać sobie na

twarzach. Emanowała wiekiem, ale bez doświadczenia. Mięśnie postarzały się, lecz nie było po nich widać, jak ta osoba dojrzewała.

Helen nauczyła się być wnikliwym obserwatorem ludzi w czasach, gdy matka prowadziła się z jednym fanatykiem za drugim; świetnie wiedziała, że ludzie mają swoje sekretne biografie zapisane w mięśniach mimicznych twarzy i że mijany na ulicy nieznajomy opowiada nam (chce czy nie chce) wszelkie swoje intymne szczegóły. Jeśli spojrzeć odpowiednio bystro, da się poznać, czy czas upłynął mu na strachu, nadziei czy radości, ustalić, jak się zaczęły i skończyły jego najskrytsze zmysłowe rozkosze, dopatrzeć się niewyraźnego acz trwałego odbicia innych ludzi, którzy zostawili w jego psychice odciski swoich osobowości.

U pana Juźniewego nic takiego nie występowało. Miał swój wiek, ale żadnych stygmatów wieku; miał wzrost, ale bez śladów tego wzrostu; żył, nie żyjąc, w świecie, w którym większość ludzi pozostawała młodymi, przeżywając zbyt dużo.

Helen w życiu nie widziała kogoś będącego większym przeciwieństwem matki – i z ukłuciem nieokreślonego niepokoju uświadomiła sobie, że ten człowiek, chce czy nie, odgrywa wielką rolę w jej przyszłym życiu. Widziała w nim młodego, przedwcześnie postarzałego kawalera, człowieka, który oddał miłość pustce i grozie przestrzeni, zamiast materialnym nagrodom i rozczarowaniom ludzkiego życia. Jego kochanką był kosmos, i ta kochanka podle go wykorzystała. Wciąż młody był stary; już stary wciąż był młody.

Takiego miszmaszu nigdy wcześniej nie widziała – i podejrzewała, że nikt inny także. U zarania życia wykazywał smutek, współczucie i mądrość, jakie u większości ludzi wykształcają się dopiero pod koniec.

Ciszę przerwał on:

– Chyba nie powiedziała pani, że też aplikowała na żeglarza?

Odpowiedź nawet jej samej wydała się głupkowata i dziewczynkowata:

– Jestem pierwszą osobą, która ma niezbędne kwalifikacje naukowe, a jednocześnie jest na tyle młoda, by przejść testy sprawnościowe...

– Musi być z pani niezwykła dziewczyna – stwierdził łagodnie.

Helen poczuła przyjemny dreszczyk nadziei, słodko-gorzkiej nadziei, że ten staro-młody człowiek z gwiazd nigdy nie słyszał o „idealnym dziecku”, z którego świat śmiał się od urodzenia, o dziewczynce, która miała za ojca całą Amerykę, a potem była sławna, niezwykła i tak potwornie samotna, że nawet nie wyobrażała sobie, jak to jest być kimś zwykłym, szczęśliwym, przywoitym lub nieskomplikowanym.

Pomyślała sobie: trzeba dopiero przemądrego dziwaka z gwiazd, żeby nie zwrócił uwagi, kim jestem.

– Nie ma co mówić o niezwykłości – powiedziała. – Ja po prostu jestem znużona tą Ziemią, a skoro nie muszę umierać, żeby ją opuścić, to chcę pożeglować do gwiazd. Mam do stracenia mniej niż się panu wydaje...

I już zaczęła opowiadać mu o Monie Muggeridge, lecz w samą porę się powstrzymała.

Współczujące szare oczy spoglądały na nią: to nie ona, lecz on panował wówczas nad sytuacją. Spojrzała mu prosto w oczy. Nie zamykały się przez czterdzieści lat, w niemal całkowitej ciemności maleńkiej kabiny. Przyćmione wskaźniki błyszcząły dla zmęczonych siatkówek jak oślepiające słońca, póki nie zdołał odwrócić wzroku. Od czasu do czasu wyglądał w czarną nicość, by zobaczyć sylwetki swoich żagli, prawie czarne na tle całkowitego mroku, na łapiące parcie światła mile kwadratowe ich powierzchni, przyspieszające jego i jego zamrożony ładunek do niemal niemierzalnej szybkości, by pokonali ocean niezmierzonej ciszy. A przecież sama stwierdziła, że chce robić to samo, co on.

Do spojrzenia szarych oczu dołączył uśmiech na ustach. Pośrodku tej młodo-starej twarzy, męskiej z kształtu, damskiej z faktury, wydawał się ogromnie życzliwy. Aż dziwnie zachciało jej się płakać, gdy zobaczyła, że uśmiecha się do niej w ten szczególny sposób. Czy to coś, czego ludzie się uczą między gwiazdami? Cenić innych ludzi, wchodzić między nich, by okazywać miłość, a nie polować na ofiary?

Starannie dobranym tonem powiedział:

– Wierzę ci. Jesteś pierwszą osobą, której wierzę. Tylu ludzi patrzyło na mnie i mówiło, że też chcą zostać żeglarzami. Nie mogli wiedzieć, co to znaczy, ale i tak to mówili, a ja ich za to nie cierpiałem. U ciebie to co

innego. Może rzeczywiście pozeglujesz między gwiazdy. Mam jednak nadzieję, że nie.

Jak obudzony ze snu rozejrzał się po pełnej przepychu sali, ze zdobionymi emalią i złotem robotami stojącymi z boku z nonszalancką elegancją. Tak je zaprojektowano: miały być zawsze obecne, ale nigdy się nie narzucać; ten trudny do osiągnięcia efekt udał się jednak projektantowi.

Reszta wieczoru rozwijała się w sposób nieunikniony niczym dobra muzyka. Poszli razem na wiecznie pustą plażę, którą architekci Nowego Madrytu zbudowali zaraz obok hotelu. Trochę pogadali, trochę popatrzyli na siebie i zaczęli się kochać z pozytywną pewnością siebie, zaskakującą nawet ich samych. On był bardzo delikatny, czuły i nie zauważył nawet, w tym genitalnie skomplikowanym świecie, że był pierwszym kochankiem jakiego miała, albo chciała mieć. (Bo jakże córka Mony Muggeridge mogłaby pragnąć kochanka, partnera czy dziecka?).

Następnego dnia po południu skorzystała z wolności przysługujących w tych czasach kobiecie i poprosiła go, żeby się z nią ożenił. Wrócili na prywatną plażę, na której dzięki cudom mikroregulacji pogodowej panowało polinezyjskie popołudnie, mimo że znajdowała się na wysokim, chłodnym płaskowyżu w środkowej Hiszpanii.

Naprawdę poprosiła go o rękę, naprawdę, a on odmówił, łagodnie i czule, jak tylko mężczyzna sześćdziesięcioletni może odmówić osiemnastoletniej dziewczynie. Nie naciskała; ciągnęli dalej ów słodko-gorzki romans.

Siedli na sztucznym piasku sztucznej plaży i zanurzyli palce u nóg w sztucznie ogrzanej wodzie oceanu. Potem położyli się pod sztuczną piaskową wydmą zasłaniającą Nowy Madryt.

– Jeszcze raz zapytam, powiedz mi – odezwała się ona – dlaczego zostałeś żeglarzem?

– Trudno powiedzieć – odparł. – Może dla przygody. Może... trochę. Po drugie, chciałem zobaczyć Ziemię. A na lot kapsułą nie było mnie stać. Teraz to co innego, mam dość środków, żeby utrzymać się do końca życia. Mogę wrócić na Nową Ziemię jako pasażer, w miesiąc, a nie czterdzieści

lat. Dać się zamrozić w okamgnieniu, wsadzić do adiabatycznej kapsuły, podpiąć do następnego żaglowca obudzić się w domu. Niech jakiś inny dureń zajmuje się żeglowaniem.

Helen kiwnęła głową. Nie chciało jej się mówić, że wszystko to wie. Zbierała informacje o żaglowcach, odkąd go poznała.

– A kiedy się żeglujecie między gwiazdami – zapytała – możesz mi powiedzieć, jak tam jest?

Jego oczy jakby spojrzwały do środka własnej duszy. Głos, gdy się odezwał, dochodził jakby z ogromnego oddalenia.

– Są takie chwile... może i tygodnie... bo na statku trudno to określić, gdy wydaje się, że było warto. Czujesz... jakby twoje nerwy czuciowe rozszerzały się i rozszerzały, aż dotkną gwiazd. Jakimś sposobem czujesz się taki... olbrzymi.

Stopniowo do niej wracał.

– To banał, oczywiście, ale człowiek już nigdy nie jest taki sam. Nie chodzi mi o oczywiste skutki fizyczne, ale... odnajdujesz siebie. Albo może tracisz siebie. O właśnie. Dlatego – ciągnął, wskazując przesłoniętą wydumą Nowy Madryt – nie mogę już tu wytrzymać. Nowa Ziemia wygląda tak, jak pewnie wyglądała Ziemia w dawnych czasach. Ma w sobie coś świeżego. A tutaj...

– Wiem – wtrąciła Helen America. Wiedziała. Klimat na Ziemi, ta lekka dekadencja, lekkie zepsucie, nadmiar zbytku – to musiało przytłaczać przybysza z gwiazd.

– U nas – dodał – nie uwierzysz, ale ocean jest czasami za zimny, żeby do niego wejść. Mamy muzykę, która nie wydobywa się z maszyn, i przyjemności, które pochodzą z wnętrza naszych ciał, chociaż nikt ich tam nie włożył. Muszę wracać na Nową Ziemię.

Helen przez chwilę się nie odzywała, skupiona na uspokajaniu bólu serca.

– Ja... ja... – zaczęła.

– Wiem – powiedział z naciskiem, gwałtownie się do niej odwracając. – Ale nie mogę cię zabrać. Naprawdę nie mogę! Jesteś za młoda, masz życie przed sobą, a ja już jedną czwartą swojego roztrwoiłem. Nie, nie tak. Nie

roztrwoniłem. Nie chciałbym go z powrotem, bo dostałem coś, czego wcześniej nie miałem. A także ciebie.

– Ale gdyby... – Znów chciała się sprzeczać.

– Nie. Nie psuj tej chwili. W przyszłym tygodniu zamrażają mnie w kapsule i będę czekać na najbliższy żaglowiec. Nie zniosę tego dłużej, pobyt tutaj może wyzuć mnie z sił. A to byłby karygodny błąd. Lecz jeszcze chwilę jesteśmy razem, a potem będziemy mieć nasze oddzielne życia, by to wszystko pamiętać. Nie myśl o niczym innym. Nic, absolutnie nic się nie da zrobić.

Helen nie powiedziała mu – ani wtedy, ani później – o dziecku, na które już zaczęła liczyć, o dziecku, którego nigdy nie będą mogli mieć. O tak, mogła to wykorzystać. Mogła go ze sobą związać, był bowiem człowiekiem honoru i gdyby tylko mu powiedziała, ożeniłby się z nią. Lecz Helen, już wtedy, w młodości, kochała go tak, że nie mogła tego wykorzystać. Chciała, by był przy niej z własnej nieprzymuszonej woli, by małżeństwo oznaczało, że nie może bez niej żyć. A dziecko byłoby tylko dodatkowym błogosławieństwem.

Istniała oczywiście alternatywa. Mogła urodzić dziecko, nie wskazując ojca. Ale nie była Moną Muggeridge. Za dobrze wiedziała, jak samotna i pozbawiona poczucia bezpieczeństwa czuła się sama, by poważić się na zrodzenie kolejnej takiej istoty. A w życiu, które sobie zaplanowała, na dziecko miejsca nie było. Zrobiła więc jedyną możliwą rzecz. Na koniec pobytu w Nowym Madrycie ucałowała go na pożegnanie na zawsze. Odleciała, bez słowa i bez jednej łzy. A potem udała się do arktycznego miasta, miasta rozkoszy, gdzie dobrze znają takie rozwiązania, i czując wstyd, niepokój i dojmujący żal, udała się do dyskretnej placówki medycznej, gdzie usunęła nienarodzone dziecko. Po czym wróciła do Cambridge i potwierdziła wolę żeglowania do gwiazd jako pierwsza kobieta w historii.

Rolę urzędującego lorda Instrumentalności pełnił wówczas człowiek nazwiskiem Czekał. Czekał nie był okrutny, ale z ustępliwości też nie sływał, ani z pobłażliwości dla awanturnicznych zapędów młodych ludzi. Asystent powiedział mu:

– Ta dziewczyna chce pożegłować statkiem na Nową Ziemię. Czy pan jej zezwoli?

– A czemu by nie? – odparł Czekał. – Osoba to osoba. Dobrze urodzona, dobrze wykształcona. Jeśli poniesie klęskę, dowiemy się o tym za osiemdziesiąt lat, kiedy wróci statek. A jeśli odniesie sukces, to uciszą się przynajmniej niektóre z tych kobiet, które teraz się skarżą. – Pochylił się nad biurkiem. – Ale jeśli się zakwalifikuje i polecą, to żadnych skazańców jej nie dawajcie. Są zbyt pożyteczni i zbyt wartościowi jako osadnicy, żeby wysyłać ich na zatracenie. Można ją wysłać z jakimś ryzykownym ładunkiem. Dajcie jej samych fanatyków religijnych. Mamy ich aż nadto. Na liście oczekujących jest pewnie ze dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy, prawda?

Asystent odpowiedział:

– Tak, proszę pana, dokładnie dwadzieścia sześć tysięcy dwustu. Nie licząc ostatnio dopisanych.

– I świetnie – stwierdził lord Instrumentalności. – Dostanie ich wszystkich i ten nowy statek. Nazwalimy go jakoś?

– Nie, proszę pana.

– To nazwijcie.

Asystent popatrzył tępo.

Na twarzy ważnego urzędnika wykwitł pogardliwy uśmiech mądrości. Powiedział:

– Nazwijcie go już. Niech się nazywa *Dusza*. I niech *Dusza* polecą w gwiazdy. Niech Helen America, jeśli już koniecznie chce, zostanie aniołem. Bo na Ziemi biedactwo nie ma życia, nie z takim pochodzeniem, nie z takim wychowaniem. Osobowości nie ma jej sensu naprawiać, to żywy, interesujący charakter. Ale nic pożytecznego nie robi. Nie powinniśmy jej karać za to, że taka się urodziła. Niech leci. Niech ma.

Czekaj wyprostował się, spojrzął na asystenta i powtórzył bardzo stanowczo:

– Dacie go jej tylko jeśli się zakwalifikuje.

## VII

Helen America się zakwalifikowała. I to jak.

Lekarze i eksperci próbowali ją od tego odwieść.

Jeden z techników powiedział:

– Czy ty rozumiesz, co to oznacza? W jeden miesiąc z twojego życia ucieknie czterdzieści lat. Wyjeżdżasz jako dziewczyna. Na miejsce dotrzesz jako sześćdziesięcioletnia kobieta. Będziesz mieć przed sobą jeszcze ze sto lat życia. A po drugie, to jest nieprzyjemne. Będziesz wieść tysiące ludzi. Do tego jakiś ładunek z Ziemi. Na szesnastu linach za tobą będzie wisieć ze trzydzieści tysięcy kapsuł. Mieszkać będziesz w sterowni. Robotów damy ci, ile tylko potrzeba, pewnie kilkanaście. Będziesz mieć grota i foka. Do podróży potrzebne będą oba.

– Wiem, wiem. Czytałam instrukcję – odparła Helen America. – Statek napędza światło. Podczerwień tylko muśnie żagle i lecę. Będą jakieś zakłócenia radiowe – zwijam żagle. A jeśli się uszkodzą, czekam na pomoc do końca życia.

Technik zrobił rozłoszczoną minę.

– Nie ma co aż tak tragizować. Tragedię da się znaleźć wszędzie. Jak chcesz być postacią tragiczną, to zrób to, nie narażając na szwank trzydziestu tysięcy innych ludzi i nie marnując cennego ziemskiego sprzętu. Nie ruszając się z Ziemi, możesz się utopić, albo wskoczyć do wulkanu, jak Japończycy w dawnych księgach. Tragedia to nie jest główna trudność. Główna trudność to jak się coś nie uda i trzeba będzie walczyć dalej. Przec naprzód, mimo że szanse na powodzenie są mizerne, a pokusa rezygnacji bardzo silna. A teraz: fok działa tak. Będzie mieć w najszerszym miejscu dwadzieścia tysięcy mil, a jego wysokość wyniesie niecałe



osiemdziesiąt tysięcy. Do stawiania i zwijania będą takie małe serworoboty sterowane radiem. Radia trzeba używać oszczędnie. W końcu bateria może i jest atomowa, ale musi starczyć na czterdzieści lat. Musi, żeby utrzymać cię przy życiu.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedziała ze skrucłą Helen.

– Musisz pamiętać, jakie masz zadanie. Lecisz, bo kosztujesz niewiele. Lecisz, bo żeglarz waży o wiele mniej niż maszyna. Nie ma na świecie uniwersalnego komputera, który ważyłby mniej niż siedemdziesiąt kilogramów. A ty owszem. Lecisz, bo ciebie można zastąpić. Wszystko, co leci do gwiazd, ma jedną szansę na trzy, że w ogóle tam nie dotrze. Nie wybraliśmy ciebie, bo jesteś urodzoną przywódczynią. Wybraliśmy cię, bo jesteś młoda i masz życie do dyspozycji. Bo masz zdrowe nerwy. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana, już to wiedziałam.

– Co więcej, lecisz, bo będziesz w stanie pokonać tę odległość w czterdzieści lat. Moglibyśmy wysłać automatyczne urządzenia i kazać im sterować żaglami. Dotarłyby na miejsce. Prawdopodobnie. Ale zajęłoby im to od stu do stu dwudziestu lat, albo i więcej, do tego czasu zawartość adiabatycznych kapsuł by się zepsuła – większość ludzi nie nadawałaby się do ożywienia, a ubytki ciepła spowodowałyby, mówiąc otwarcie, fiasko całej ekspedycji. Pamiętaj więc, że tragedie i trudności, z jakimi się zmierzysz, to głównie praca. Praca będzie wszystkim. Na tym polega twoje wielkie zadanie.

Helen uśmiechnęła się. Była niską dziewczyną o bujnych, ciemnych włosach, piwnych oczach i bardzo gęstych brwiach, ale gdy się uśmiechała, jakby stawała się znowu dzieckiem, i to przemiłym, pełnym wdzięku dzieckiem. Powiedziała:

– Moje zadanie polega na pracy. Rozumiem, proszę pana.

Przygotowania w ośrodku przygotowawczym szły sprawnie, ale bez pośpiechu. Dwa razy technicy namawiali ją, by przed zgłoszeniem się na ostatnie szkolenie wzięła sobie urlop. Nie usłuchała ich rady – chciała iść naprzód; wiedziała, że wiedzą, że chce opuścić Ziemię na zawsze, wiedziała także, że wiedzą, że nie jest tylko córką swojej matki: że próbuje być sobą. Świat w to nie wierzył, lecz świat już był nieważny.

Gdy za trzecim razem zaproponowali jej urlop, była to propozycja nie do odrzucenia. Dostała ponure dwa miesiące, które w końcu spędziła, nawet nieco przyjemnie, na Hesperydach, wyspach, które powstały, gdy ciężar Ziemioportów spowodował wypiętrzenie poniżej Bermudów grupy małych archipelagów.

Zgłosiła się z powrotem, zwarta, zdrowa i gotowa do wylotu.

Główny oficer medyczny nie owijał w bawełnę.

– Naprawdę zdajesz sobie sprawę, co z tobą zrobimy? Każemy ci przeżyć czterdzieści lat życia w miesiąc.

Pobladła i kiwnęła głową, a on mówił dalej:

– Żebyś mogła owe czterdzieści lat przeżyć, spowolnimy ci procesy fizjologiczne. W końcu samo przepuszczenie przez płuca czterdziestoletniego zapasu powietrza w jeden miesiąc to mniej więcej jak pięćset do jednego. Żadne płuca by tego nie wytrzymały. Twoje ciało musi mieć obieg wody. Musi przyjmować pożywienie. W większości to będą białka. Coś nawadniającego. Będziesz też potrzebować witamin. Przede wszystkim spowolnimy ci mózg, i to bardzo. On właśnie będzie pracował z tym pięćsetkrotnym przelicznikiem. Nie chcemy, żebyś nie była w stanie pracować. Ktoś musi kontrolować żagle. Dlatego, jeśli zaczniesz się wahać, albo zaczniesz coś myśleć, jedna myśl czy dwie zajmą ci kilka tygodni. Tymczasem ciało da się spowolnić trochę mniej – i to różne organy w różnym stopniu. Zapotrzebowanie na wodę udało nam się zredukować do około jednej ósmej. Pokarm – do jednej trzechsetnej. Zatem nie będziesz musiała wypijać zapasu wody na czterdzieści lat. Woda będzie w obiegu zamkniętym, będziemy ją przez ciebie przepuszczać, potem oczyszczać i tak z powrotem, chyba że ten obieg się przerwie. Czeka cię zatem miesiąc pełnej przytomności, przez który leżysz na stole

operacyjnym, operowana bez znieczulenia, jednocześnie wykonując jedno z najtrudniejszych znanych ludzkości zadań. Będziesz musiała notować obserwacje, pilnować lin, na których holujesz kapsuły z ludźmi i ładunkiem, będziesz musiała regulować żagle. Jeśli u celu podróży będzie ktoś żywy, skontaktuje się z tobą. A przynajmniej w większości przypadków tak się dzieje. Nie będę cię zapewniać, że na pewno ci się uda zadokować statkiem. Jeśli nikt się z tobą nie skontaktuje, wejdiesz na orbitę poza najdalszą planetą i albo poczekasz na śmierć, albo spróbujesz się ratować. Nie dasz rady w pojedynkę posadzić trzydziestu tysięcy ludzi na planecie. Ale na razie czeka nas kupa roboty. Trzeba ci będzie podłączyć do ciała wszystkie te urządzenia. Na początek w twoich tętnicach piersiowych założymy zawory. Potem dodamy cewnik dostarczający wodę. Trzeba ci będzie zrobić kolostomię, tu z przodu, przy stawie biodrowym. Przyjmowanie wody ma pewną psychologiczną zaletę, więc mniej więcej jedną pięćsetną wody będziesz wypijać normalnie, ze szklanki. Reszta pójdzie bezpośrednio do krwiobiegu. I znowu, to samo z jedzeniem. W tym przypadku jedną dziesiątą. Rozumiesz?

– To znaczy – zapytała Helen – że jem jedną dziesiątą pokarmu, a resztę dostaję dożylnie?

– Właśnie – powiedział technik. – Zostanie ci wpompowana. Są koncentraty, z nich powstanie roztwór. Wszystko jest podłączone w dwa miejsca. Jeden zestaw połączeń idzie do maszyny podtrzymującej życie. To będzie logistyczne utrzymanie twojego ciała. Dla człowieka wśród gwiazd te rurki są jak pępowina. Od nich zależy twoje życie. Ale gdyby się nagle przerwały, albo gdybyś upadła, możesz na rok czy dwa stracić przytomność. Jeśli tak się stanie, kontrolę przejmie twój lokalny system, czyli ten plecak na plecaku. Na Ziemi waży tyle samo, co ty. Z modelem już ćwiczyłaś, więc wiesz, jak łatwo się z tym poruszać w kosmosie. On pozwoli ci przetrwać przez subiektywne dwie godziny. Kolejna rzecz. Nikt jeszcze nie wymyślił zegara, który dopasowywałby się do ludzkiego umysłu, więc zamiast niego dostaniesz coś w rodzaju licznika zliczającego tętno. Będzie wskazywać dziesiątki tysięcy uderzeń serca, może to będzie dla ciebie jakąś informacją. Nie wiem dokładnie jaką, ale może ci się to na

coś przydać. – Spojrzał na nią ostro i wrócił do narzędzi, wybierając z nich lśniąca igłę z krążkiem na końcu. – Dobrze, to wracamy do pracy. Muszę ci to wprowadzić do mózgu. To też będzie chemia.

Helen przerwała mu:

– Ale mówiliście, że mózgu nie będziecie mi operować.

– Tylko ta igła. To jedyny sposób, żeby się do niego dostać. I zwolnić go na tyle, żeby czterdzieści lat minęło ci w subiektywny miesiąc. – Uśmiechnął się ponuro, lecz potem na moment zrobił czułą minę, widząc jej pełną odwagi i uporu pozę oraz dziewczęcą, godną podziwu i litości jednocześnie, determinację.

– Nie będę protestować – powiedziała. – Wygląda to strasznie, jak małżeństwo. Jakby gwiazdy miały być moim mężem.

Przez głowę przemknął jej obraz żeglarza, ale nie zająknęła się o nim ani słowem.

Technik ciągnął:

– Składowe psychotyczne już masz wbudowane. Nie możesz oczekiwać, że będziesz zdrowa na umyśle. Więc najlepiej się tym w ogóle nie przejmuj. Musisz być szalona, by sterować żaglami i przeżyć całkiem samotnie choćby ten jeden miesiąc w kosmosie. Problem polega na tym, że będziesz mieć świadomość, że mija ci w tym czasie czterdzieści lat. Lustra na statku nie ma, lecz zawsze znajdziesz sobie jakąś błyszczącą powierzchnię, żeby na siebie spojrzeć. A wyglądać będziesz na pewno kiepsko. Zobacysz, jak się starzejesz, za każdym razem, gdy zatrzymasz się i spojrzysz. Nie wiem, jak to będziesz odbierać. Już u mężczyzn był z tym wielki problem. Za to z włosami będzie trochę mniej kłopotu niż u mężczyzn. U nich trzeba po prostu usunąć wszystkie cebulki, inaczej utonęliby we własnych brodach. Poza tym to straszne marnotrawstwo substancji odżywczych, zużywać je na hodowanie włosów na twarzy, których żadna maszyna nie nadąży usuwać tak szybko, by się dało pracować. Myślę jednak, że zatrzymamy ci porost włosów na czubku głowy. Czy potem odrosną w takim samym kolorze, czy nie, to już przekonasz się sama. A w ogóle poznałaś tamtego żeglarza, który niedawno przyleciał?

Lekarz wiedział, że się z nim spotykała. Ale nie wiedział, że to było z inicjatywy żeglarza. Udało się jej zachować spokój. Z uśmiechem odpowiedziała:

– Tak. Widziałam, że daliście mu nowe włosy. Pielęgniarz przeszczepił mu nową skórę głowy, pamiętam. W każdym razie ktoś od pana. Wyrosły mu nowe, czarne włosy i zaczęli na niego mówić pan Juźniesiwy.

– Jeśli jesteś gotowa na przyszły wtorek, to my też. Myślisz, młoda damo, że zdążysz do tego czasu ze wszystkim?

Helen dziwnie się poczuła, gdy ten starszy, poważny człowiek zatytułował ją „młodą damą”, wiedziała jednak, że to wyraz szacunku dla jej zawodu, a nie dla niej samej.

– Wtorek może być.

Ucieszyło ją, że był na tyle staroświecki, by znać starożytnie nazwy dni tygodnia i umieć ich użyć. Był to znak, że na uniwersytecie nauczył się nie tylko tego co niezbędne, ale przyswoił sobie także eleganckie, historyczne niekonsekwencje.

## IX

Dwa tygodnie później według chronometrów w kabinie minęło dwadzieścia jeden lat. Helen po raz dziesięciotysięczny razy dziesięć tysięcy obróciła się, by spojrzeć na żagle.

W plecach zapulsował ból.

W piersi czuła miarowe wycie serca, szybkie jak wibrator, wbrew skali czasowej jej świadomości. Mogła spojrzeć na licznik na przegubie i zobaczyć, jak wskazówki podobnych do zegarka tarcz bardzo powoli odmierzają dziesiątki tysięcy uderzeń.

Słyszała rytmiczny świst powietrza w krtani, gdy płuca niemal dygotały od szybkości.

I czuła pulsujący ból od grubej rury wpompowującej ogromne ilości mętnej wody prosto w tętnicę na szyi.

Na brzuchu jakby ktoś rozpałił jej ognisko. Układ wydalniczy działał automatycznie, ale piekło, jakby do skóry przytknięto rozżarzony węgielek, a cewnik łączący pęcherz z kolejną rurką uwierał niczym rozgrzana igła. Bolała ją głowa, mącił się wzrok.

Wciąż jednak widziała wskaźniki, wciąż mogła pilnować żagli. Od czasu do czasu dostrzegała wąty jak smużka pyłu ciągnięty za statkiem łańcuch kapsuł z ludźmi i ładunkiem.

Usiąść nie mogła. Za bardzo bolało.

Odpocząć była w stanie jedynie opierając się o pulpity sterownicze dolną częścią klatki piersiowej i przytykając zmęczone czoło do wskaźników.

Pewnego razu, odpoczywając w ten sposób, uświadomiła sobie nagle, że minęło dwa i pół miesiąca. Dotarło do niej, że słowo „odpoczynek” jest pozbawione sensu – widziała, jak porusza się jej twarz, jak zniekształcone odbicie w szybcie wskaźnika ciężenia pozornego starzeje się w oczach. Rozmazywały się jej własne ramiona, widziała pulsowanie skóry, to tężejącej, to rozluźniającej się w miarę zmian temperatury.

Raz jeszcze spojrzała na żagle i zdecydowała, że trzeba zwinąć fok. Znużona powlokła się do pulpitu serworobotów. Wybrała właściwą dźwignię i nacisnęła ją na tydzień czy dwa. Czekala, serce bzycało, w gardle świstało powietrze, paznokcie rosły i miękko się odłamywały. W końcu przyjrzała się, czy to na pewno właściwa dźwignia, pchnęła ją jeszcze raz i – nic się nie stało.

Pchnęła po raz trzeci. Żadnej reakcji.

Wróciła do głównego pulpitu, ponownie spojrzała na wskaźniki, sprawdziła kierunek światła, stwierdziła, że jest pewien powiew w podczerwieni, na który powinna reagować. Żagle bardzo powoli przyspieszyły statek prawie do prędkości światła, skręcając, gdyż jedną stronę miały skrzywioną; kapsuły za statkiem, zabezpieczone przed upływem czasu i przed wiecznością, posłusznie płynęły za nią w niemal idealnej nieważkości.

Przepatrzyła wskazania. Dobrze widziała.

Z żaglem faktycznie było coś nie tak.

Wróciła do pulpitu awaryjnego i nacisnęła. Nic się nie wydarzyło.

Uruchomiła robota naprawczego i wysłała go na miejsce, dziurkując karty, jak najszybciej się dało, by wydać mu rozkazy. Robot wyszedł w przestrzeń i po chwili (czyli po trzech dniach) odpowiedział. Na panelu robota zamigotał sygnał: „Niezgodne”.

Wysłała drugiego robota. Też nic nie wskórał.

Wysłała trzeciego i ostatniego. Mrugnęły na nią trzy jasne kontrolki: „Niezgodne”. Przesunęła serworoboty na drugą stronę żagla i pociągnęła mocno.

Żagiel wciąż był pod niewłaściwym kątem.

Stała tam, znużona, zagubiona w kosmosie. Zaczęła się modlić:

– Nie chodzi o mnie, Panie Boże, ja tylko uciekam od życia, którego nie chciałam. Chodzi o wszystkie dusze w tym statku, tych biednych nieszczęśników, których zabrałam, na tyle odważnych, by chcieć ci oddawać cześć na swój własny sposób, którzy potrzebują do tego światła innej gwiazdy. Proszę cię, Panie Boże, pomóż mi teraz.

Pomyślała, że to była bardzo żarliwa modlitwa. Liczyła, że doczeka się odpowiedzi.

Niestety, modlitwa nie zadziałała. Helena była sama w tarapatach.

Nie było słońca. Nie było nic, tylko maleńka kabinka i ona sama, najsamotniejsza ze wszystkich kobiet w historii. Czowała dygot i skurcze mięśni, poruszających się całymi dniami, gdy jej umysł postrzegał zaledwie minuty. Pochyliła się, siłą woli zrelaksowała i nagle przypomniała sobie, że jeden ze wścibskich techników wyposażył statek w broń.

Nie miała wtedy pojęcia, do czego jej mogłaby się przydać.

Broń mogła celować. Miała zasięg dwustu tysięcy mil. Cel dawał się wybierać automatycznie.

Padła na kolana, ciągnąc za sobą rurkę do kolostomii, rurkę do karmienia, rurki od cewników i kable od hełmu, wszystkie prowadzące do głównego pulpitu. Wczołgała się pod pulpit serworobotów i wyciągnęła drukowaną instrukcję. W końcu udało się ustalić właściwe pasmo, na którym sterowało się bronią. Ustawiała ją i podeszła do okna.

W ostatniej chwili pomyślała: może ci durnie chcą, żeby przestrelili sobie okno. To powinno być tak skonstruowane, żeby strzelić przez okno,

ale go nie uszkodzić. Tak powinni to zrobić.

Zastanawiała się nad tą kwestią przez tydzień lub dwa.

Tuż przed strzałem obróciła się jednak, i proszę: obok niej stał jej żeglarz, żeglarz z gwiazd, pan Juźniesiwy. Powiedział:

– Tak to nie zadziała.

Stał wyraźny, przystojny, dokładnie taki, jak w Nowym Madrycie. Nie miał żadnych rurek, nie dygotał, widziała normalne unoszenie się i opadanie jego piersi, gdy mniej więcej co godzinę brał oddech. Część jej umysłu zdawała sobie sprawę, że to halucynacja. Inna część wierzyła, że jest prawdziwy. Zwariowała. I bardzo się ucieszyła, że akurat teraz zwariowała. I pozwoliła halucynacji udzielać sobie rad. Na nowo wycelowała broń, tak by strzeliła przez ścianę kabiny. Odpaliła mały ładunek, prosto w mechanizm naprawczy przesłonięty wygiętym i unieruchomionym żaglem.

I ten mały ładunek działał cuda. Nieprzewidziana techniczna przeszkoda zniknęła, a roboty mogły wziąć się z powrotem do pracy jak rój oszalałych mrówek. I zadziałały. Znały środki zaradcze na wszystkie drobne kosmiczne kłopoty. Zaczęły się uwijać i krzątać.

Z oszołomieniem bliskim religijnemu, dostrzegła gwiazdny wiatr wydymający ogromne żagle. Wróciły na miejsce. Przez moment czuła ciężenie, lekki ciężar, przyspieszenie. *Dusza* wróciła na właściwy kurs.

## X

– To dziewczyna – powiedzieli mu na Nowej Ziemi. – Młoda dziewczyna. Wylatując, musiała mieć z osiemnaście lat.

Pan Juźniesiwy nie wierzył własnym uszom.

Pojechał jednak do szpitala i tam zobaczył Helen Amerykę.

– Oto jestem, żeglarzu – powiedziała. – Ja także żeglowałam. – Twarz miała bladą jak kreda, spojrzenie mniej więcej dwudziestolatki. Ciało – dobrze zakonserwowanej sześćdziesięcioletniej kobiety.



Za to on nie zmienił się w ogóle, bo całą drogę do domu przespał we wnętrzu kapsuły.

Spojrzał na nią. Oczy mu się zwięzły, role nagle się odwróciły: to on ukląkł obok jej łóżka i zalał jej dłonie łzami.

Wybełkotał, prawie niezrozumiale:

– Uciekłem od ciebie, bo tak strasznie cię kochałem. Wróciłem tutaj, bo nigdy byś tu nie przyleciała, a gdyby nawet, ciągle byłabyś młodą kobietą, a ja ciągle byłbym zbyt stary. Ale ty przypląnęłaś tu *Duszą* – a wszystko to dla mnie.

Pielęgniarka z Nowej Ziemi nie wiedziała, jakie zasady stosuje się wobec gwiazdnych żeglarzy. Bardzo cicho wyszła z sali, uśmiechając się z czysto ludzką litością i czułością. Zobaczyła miłość. Była jednak kobietą praktyczną i dbającą także o własną karierę. Zaraz zadzwoniła do znajomej w serwisie informacyjnym i powiedziała jej:

– Mam tu chyba najbardziej romantyczną historię na świecie. Przyjedź szybko, to pierwsza będziesz miała materiał o Helen Americie i panu Juźniesiwym. Po prostu się spotkali. Ot tak. Pewnie musieli się już kiedyś widzieć. Spotkali się i od razu w sobie zakochali.

Nie miała pojęcia, że przysięgli sobie miłość jeszcze na Ziemi. Nie wiedziała, że Helen America przebyła samotną drogę pchana lodowatą determinacją, nie wiedziała, że utkany z obłędu obraz pana Juźniesiwego, żeglarza we własnej osobie, stał u jej boku przez dwadzieścia lat pustki i czerni pomiędzy gwiazdami.

## XI

*Mała dziewczynka dorosła, wyszła za mąż i sama miała teraz małą córeczkę. Matka się nie zmieniła, za to spieltier był bardzo, bardzo stary. Zestarzał się tak, że już nie był w stanie się cudownie przeobrazić i zastygł w roli żółtowołosej, niebieskookiej laleczki. Z sentymentu matka ubrała go w jasnoniebieski sweterek i pasujące kolorem spodenki. Zwierzątko pęzło po podłodze na maleńkich ludzkich*

rączkach i kolanach. Nibyludzka twarzyczka uniosła się ślepo i skrzeknęła, prosząc o mleko.

Młoda matka powiedziała:

– Mamo, trzeba by już go wyrzucić. Strasznie jest zużyty i nie pasuje do twoich zabytkowych mebli.

– Myślałam, że go lubisz – odparła starsza pani.

– Pewnie – powiedziała córka. – Kiedy byłam mała, być śliczny. Ale teraz jestem duża, a on w ogóle nie działa.

Spieltier z trudem pozbierał się na nogi i przywarł do kostki swojej pani. Starsza kobieta delikatnie go odsunęła, a potem postawiła przed nim spodeczek z mlekiem i filiżankę wielkości naparstka. Spieltier próbował dygnąć, tak jak go nauczono na samym początku, potknął się, upadł i jęknął. Matka postawiła go z powrotem i małe zwierzątko zaczęło nabierać mleka naparstkiem i siorbać je maleńką, bezzębną, starą buzią.

– A pamiętasz, mamo... – zaczęła młoda kobieta i urwała.

– Co pamiętam, kochana?

– Opowiadałaś mi o Helen Americie i panu Juzniesiwym, kiedy to była świeża historia.

– Możliwe, kochana, możliwe.

– Ale nie powiedziałaś mi wszystkiego – dodała oskarżycielsko.

– Oczywiście, że nie. Za mała byłaś.

– Ale to było straszne. Okropni ci ludzie i straszne życie na tym statku. Nie wiem, jak ty mogłaś to tak wyidealizować i mówić, że to takie romantyczne.

– Bo to było romantyczne. Dalej jest – upierała się matka.

– Akurat, romantyczne. Okropne, jak ty i ten zepsuty spieltier. – Wskazała maleńką, żywą, postarzałą lalczkę, która zasnęła obok spodeczka z mlekiem. – Strasznie wygląda. Trzeba się go pozbyć. A świat powinien się pozbyć żeglarzy.

– Nie bądź nieprzyjemna, kochana – powiedziała matka.

– A ty nie bądź sentymentalną staruchą – odparła córka.

– Może i tak – stwierdziła matka, zaśmiawszy się z miłością. Dyskretnie położyła śpiącego spieltiera na miękkim fotelu, żeby nikt na niego nie nadepnął.

Nikt obcy nigdy nie poznał prawdziwego zakończenia tej historii.

Ponad sto lat po ślubie, Helen leżała na łożu śmierci. Umierała szczęśliwa, ponieważ ukochany żeglarz był przy niej. Wierzyła, że skoro pokonali kosmos, to może i śmierć uda im się pokonać.

Zakochany, otepiały, zmęczony umysł zaćmił się i wypączkowało z niego stwierdzenie, którego nie wypowiadała od lat:

– Ty naprawdę mi się pojawiłeś na *Duszy*. Naprawdę stanąłeś przy mnie, kiedy się pogubiłam i zapomniałam, jak się obsługuje broń.

– Skoro wtedy przyszedłem, to już zawsze przyjdę, kochanie. Gdziekolwiek będziesz. Jesteś moim skarbem, jesteś dla mnie wszystkim. Moją najodważniejszą kobietą we wszechświecie. Kobietą, która dla mnie przepłynęła wszechświat. Kobietą, która płynęła *Duszą*.

Głos mu się załamał, twarz jednak pozostała spokojna. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś umarł tak szczęśliwy i tak kogoś pewny.

## GRA W SZCZUROSMOKA

Inspiracją dla kapitana Wow i innych kocich postaci były koty mieszkające u Linebargerów w domu, w czasach gdy powstało to opowiadanie – a powstało przez jedno popołudnie w roku 1954. Odkrycie planofornacji, która zmusza ludzi do mierzenia się z okropnościami przestrzeni, zostało opisane rok później, w nieopublikowanym opowiadaniu... które może już się nigdy nie ukazać, ponieważ jego motyw został następnie rozwinięty w opowiadanie *Pijany statek*.

### 1. Stolik

Światłostrzelectwo to paskudny sposób zarabiania na życie. Underhill był wściekły, gdy zatrząskiwał za sobą drzwi. Co za sens nosić mundur i wyglądać na żołnierza, jeśli ludzie nie doceniają tego, co robisz.

Usiadł w fotelu, oparł głowę o zagłówek i zsunął hełm na czoło.

Czekając, aż hełm światłostrzelecki się rozgrzeje, przypomniał sobie dziewczynę z zewnętrznego korytarza.

Zerknęła na hełm, potem na niego. Z pogardą.

– Miau. – Tylko tyle powiedziała. Lecz ubodło go to jak nóż.

Za kogo ona go miała, za durnia, lenia, nieważnego ciecica w mundurze? Nie wiedziała, że za każde pół godziny światłostrzelania należą mu się obowiązkowe dwa miesiące rekonwalescencji w szpitalu?

Rozgrzał się. Poczł wokół siebie kwadraty przestrzeni, poczuł, że znalazł się pośrodku gigantycznej siatki sześciennej, pełnej nicości. A z tej

nicości emanowała pusta, aż bolesna groza kosmosu – już czuł ten potworny niepokój, jaki budził się w jego umyśle, gdy napotykał choćby śladową ilość obojętnego pyłu.

W miarę jak się rozluźniał, uświadamiał sobie uspokajającą solidność Słońca i mechanizm zegarowy znajomych planet i księżyców. Nasz Układ Słoneczny był ładny i prosty niczym zabytkowy zegar z kukułką, spokojnie sobie cykający i wypełniony napawającymi otuchą odgłosami. Małe, nieregularne księżyce Marsa ganiały się wokół niego jak szalone myszy, a mimo to ich regularność zapewniała, że wszystko jest w porządku. Wysoko ponad płaszczyznę ekliptyki czuł obecność pół tony pyłu, dryfującej mniej lub bardziej poza szlakami ludzkich lotów.

Nie było tu z czym walczyć, nie było żadnego wyzwania dla umysłu, nic nie wydzierało duszy żywcem z ciała, z korzeniami ociekającymi czymś prawie tak materialnym jak krew.

W Układzie Słonecznym nic się nigdy nie ruszało. Mógł trzymać ten hełm na głowie przez całe wieki i być tylko telepatycznym astronomem, kimś, kto czuje gorące, ochronne promienie słońca, pulsującego i parzącego mu żywy umysł.

Przyszędł Woodley.

– Ten sam stary świat, chodzący jak w zegarku – powiedział Underhill. – Nie ma o czym opowiadać. Nic dziwnego, że nie wynaleźli hełmu światłostrzeleckiego, póki nie zaczęli planoformować. Tutaj, pod naszym gorącym słońcem, jest tak miło i tak spokojnie. Czujesz, jak to wszystko się kręci, jak wiruje. Ładne, precyzyjne, zwarte. Tak, jakby siedzieć w domu.

Woodley chrząknął. Niespecjalnie był skłonny do puszczania wodzy fantazji.

Niezrażony Underhill ciągnął:

– Takim starożytnym ludziom to musiało być fajnie. Nie rozumiem, czemu ciągle palili sobie świat w jakichś wojnach. Nie musieli planoformować. Nie musieli lecieć i zarabiać na życie między gwiazdami. Nie musieli unikać szcurów ani grać w grę. Nie mogli wynaleźć planoformacji, bo nie była im do niczego potrzebna, prawda?

Woodley burknął:

– No...

Miał dwadzieścia sześć lat i za rok przechodził w stan spoczynku. Już wybrał sobie farmę. Spędził dziesięć lat na światłostrzelaniu wśród najlepszych. Równowagę psychiczną zachowywał, nie myśląc za dużo o pracy: pokonywał trudności, kiedy się pojawiały, a potem nie myślał o obowiązkach, póki nie zdarzała się kolejna wyjątkowa sytuacja.

I chyba nigdy mu nie zależało, żeby być lubianym przez partnerów. Żaden z partnerów za bardzo za nim nie przepadał. Niektórzy wręcz darzyli go niechęcią. Podejrzewało się go, że czasami paskudnie o nich myśli, ale ponieważ żaden partner nigdy nie wyartykułował skargi, pozostali światłostrzelcy i przywódcy Instrumentalności dawali mu spokój.

Underhill był wciąż pełen zachwytu dla swojej pracy. Wciąż radośnie paplał:

– Co się z nami dzieje podczas planoformacji? Nie myślisz, że to trochę jak umieranie? Widziałeś kiedyś kogoś, komu wyrwali duszę?

– Wyrwanie dusz to tylko takie sformułowanie – odparł Woodley. – Po tylu latach to już nikt nie wie, czy my mamy dusze, czy nie.

– Ale ja raz widziałem. Widziałem, jak wyglądał Dogwood, kiedy się rozpadł. Coś dziwnego się tam pojawiło. Coś, co wyglądało na mokre, jakby trochę lepkie, trochę jakby krwawił i to z niego wyszło – a wiesz, co mu potem zrobili? Zabrali go do tej części szpitala, gdzie nigdy nie zaglądamy, tam na samej górze, gdzie zawsze pakują innych, jeśli przeżyli po tym, jak dopadły ich szczury.

Woodley usiadł i zapalił zabytkową fajkę. Palił w niej coś zwanego „tytoniem”. Był to dość paskudny nałóg, ale przydawał mu aury przystojniaka i awanturnika.

– Posłuchaj no, młodziaku. Tym nie musisz się przejmować. Światłostrzelanie coraz lepiej nam wychodzi. Partnerzy są coraz lepsi. Raz widziałem, jak w półtorej milisekundy zbombardowali dwa szczury odległe o czterdzieści sześć milionów mil. Kiedy ludzie sami próbowali obsługiwać hełmy światłostrzeleckie, zawsze była szansa, że skoro ludzki umysł je uaktywnia w czterysta milisekund, nie zdążymy oświetlić szczura na tyle szybko, żeby ocalić statek. Odkąd są partnerzy, to się wszystko zmieniło.

Jak już się rozkręca, są szybsi od szczurów. I zawsze będą. Wiem, że to nie przychodzi łatwo, udostępnić partnerowi swój mózg...

– Dla nich to też nie jest łatwe – powiedział Underhill.

– Nimi się nie przejmuj. To nie są ludzie. Umieją się o siebie zatroszczyć. Z tego, co widziałem, więcej światłostrzelców ześwirowało od wygłupów z partnerami niż od faktycznego ataku szczura. A ty ilu znasz takich, których dopadły szczury?

Underhill spojrział na swoje palce, świecące zielono i fioletowo w intensywnym blasku nastrojonego hełmu, i policzył statki. Kciuk za *Andromedę*, straconą razem z załogą i pasażerami, wskazujący i środkowy za *Statki wyzwolenia 43 i 56*, odnalezione z przepalonymi hełmami i obłąkaną całą załogą, co do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka. Serdeczny, mały, i kciuk drugiej ręki – pierwsze trzy pancerniki stracone na wojnie ze szczurami – stracone, ludzie bowiem dopiero zaczęli sobie wtedy uświadamiać, że pod spodem przestrzeni czai się coś jeszcze, coś żywego, kapryśnego i złośliwego.

Planoformacja była nawet trochę zabawna. Czuło się ją jak...

Jak nic wielkiego.

Jak skurcz od łagodnego elektrycznego wstrząsu.

Jak ból urażonego pierwszy raz chorego zęba.

Jak nieco bolesny błysk światła w oczy.

Ale w tym czasie ważący czterdzieści tysięcy ton statek, unoszący się nad Ziemią, zniknął gdzieś w dwóch wymiarach i wyłaniał się z nich ponownie o pół roku świetlnego albo pięćdziesiąt lat świetlnych dalej.

W jednej chwili siedział w Centrum Bojowym, z hełmem w pogotowiu, z cykającym w głowie znajomym Układem Słonecznym. Przez sekundę czy rok (nigdy nie potrafił poznać, ile to subiektywnie trwa) przesywał go dziwny, łagodny błysk i już unosił się swobodnie pomiędzy gwiazdami, w okropnych pustych przestrzeniach pomiędzy nimi, czując telepatycznym umysłem wypukłości gwiazd. Planety natomiast były zbyt odległe, by je wyczuć czy rozpoznać.

Gdzieś w tej przestrzeni międzygwiazdnej czaiła się paskudna śmierć, groza, której człowiek nigdy nie zaznał, póki nie poważił się zapuścić

w otwarty kosmos. Wyglądało na to, że światło słońc odstrasza smoki.

Smoki. Tak je ludzie określali. Dla zwykłego człowieka to nie było nic, nic poza drgnięciem planofornacji i spadającą jak młot nagłą śmiercią lub skurczami wkradającego się do mózgu obłądu.

Za to dla telepatów to były smoki.

W ułamku sekundy pomiędzy uświadomieniem sobie przez telepatę wrogiej obecności w czarnej pustce przestrzeni a zadaniem potężnego, niszczyielskiego ciosu wszystkim żywym istotom na pokładzie, telepaci wyczuwali istoty przypominające smoki z dawnych legend ludzkości, stwory inteligentniejsze od zwierząt, demony bardziej namacalne niż demony, żarłoczne wiry życia i nienawiści złożone z gęstniejącej w niepojęty sposób rzadkiej międzygwiazdnej materii.

Aby wrócić na Ziemię z informacją, musiał przeżyć choć jeden statek – statek, na którym, czystym trafem, telepata akurat miał w pogotowiu bombę świetlną i wycelował ją w niewinnie wyglądający gwiazdny pył, w telepatycznej panoramie widząc, jak smok rozprasza się w nicość – a inni pasażerowie, nietelepaci, żyli sobie jak gdyby nigdy nic, nie wiedząc, że cudem uniknęli natychmiastowej śmierci.

Odtąd już było łatwo. Prawie.

Odtąd statki planofornacyjne zawsze miały na pokładzie telepatów. Ich wrażliwość, wzmocniona hełmami, przystosowanymi do mózgu ssaka telepatycznymi wzmacniaczami, miała ogromny zasięg. One z kolei były elektroniczne sprzężone z małymi, nadmuchiwanyimi bombami świetlnymi. Światło załatwiało sprawę.

Uszkadzało smoki, pozwalało statkom wrócić do trójwymiarowej przestrzeni i skakać dalej, od gwiazdy do gwiazdy.

Szansę od razu zwiększyły się ze stu do jednego przeciwko ludzkości do sześćdziesięciu do czterdziestu na jej korzyść.

To jednak było wciąż za mało. Telepaci ćwiczyli i ćwiczyli, szlifowali ultrawrażliwość, by identyfikować smoki w czasie poniżej milisekundy.

Okazało się jednak, że smok potrafi w dwie sekundy przemieścić się o mniej więcej milion mil – a to było zbyt dużo, by ludzki umysł zdążył uaktywnić światła.



Podjęto próby osłaniania statków światłem przez cały czas.

Szybko przestało to działać.

Gdy ludzkość uczyła się smoków, one tymczasem uczyły się ludzkości. Nauczyły się jakimś sposobem spłaszcząć własne ciało i podchodzić bardzo szybko po bardzo płaskim kursie.

Potrzebne więc stało się niezmiernie mocne światło – o intensywności słońca. A takie dawały tylko bomby świetlne. I tak narodziło się światłostrzelectwo. Polegało na detonowaniu ultrajaskrawych, miniaturowych bomb fotoatomowych, przetwarzających kilkanaście gramów izotopu magnezu na czyste, widzialne światło.

Szansę zwiększyły się na korzyść ludzkości, ale statki i tak tracono.

Sytuacja była taka, że ludzie nawet nie chcieli ich szukać – ratownicy z góry wiedzieli, co tam znajdują. Smutno było przywozić z powrotem na Ziemię trzysta trupów do pochowania i dwustu do trzystu obłąkanych, nieuleczalnie uszkodzonych, których do końca życia trzeba było budzić, karmić, myć i kłaść spać, i tak w kółko.

Telepaci usiłowali zajrzeć do umysłów tych smoczycy ofiar, lecz nie znajdowali tam nic poza jaskrawymi, ziejącymi słupami ognistej grozy, emanującymi z samego pierwotnego *id*, wulkanicznego źródła życia.

I wtedy pojawili się partnerzy.

Człowiek z partnerem byli w stanie dokonać tego, czego sam człowiek nie był w stanie. Człowiek miał inteligencję. Partner miał szybkość.

Partnerzy lecieli swoimi maleńkimi pojazdami, nie większymi od piłki nożnej, tuż przy statku. Razem ze statkiem szli w planoformację. Lecieli obok w trzykilogramowym pojeździe, gotowym do ataku.

Maleńkie stateczki partnerów były zwinne. W każdym mieściło się dwanaście bomb błyskowych nie większych od naparstka.

Światłostrzelcy rzucali partnerów – dosłownie rzucali – za pomocą mózgowego przekaźnika wyzwalającego strzał bezpośrednio w smoka.

A to, co dla ludzkiego umysłu wydawało się smokiem, partnerzy postrzegali jako gigantycznego szczura.

Tam, w bezlitosnej pustce przestrzeni, umysły partnerów reagowały zgodnie z instynktem starym jak samo życie. Atakowali szybciej niż

człowiek i przechodzili od ataku do ataku, póki nie zginęły wszystkie smoki – lub oni sami. Jednak prawie za każdym razem zwyciężali partnerzy.

Skoro planofarmacyjne skoki statków, hop, hop, hop, stały się znów bezpieczne, wymiana handlowa niesamowicie się ożywiła, wzrosło zaludnienie wszelkich kolonii – i wzrosło zapotrzebowanie na wyszkolonych partnerów.

Underhill i Woodley należeli do trzeciej generacji światłostrzelców, a i tak wydawało im się, że ich praca trwa wiecznie.

Naginanie przestrzeni hełmem światłostrzeleckim tak, by ogarnął ją umysł, dodanie do równania jeszcze partnera, spięcie dwóch umysłów do pełnej napięcia walki, od której zależało wszystko – na dłuższą metę to było zbyt dużo dla ludzkich synaps. Underhill po półgodzinie walki potrzebował dwóch miesięcy odpoczynku. Woodley – przejścia w stan spoczynku po dziesięciu latach służby. A byli młodzi. Byli dobrzy. Mieli jednak swoje ograniczenia.

Tak wiele zależało od doboru partnera, od czystego trafu, szczęścia w losowaniu.

## **2. Tasowanie**

Do pomieszczenia weszli ojciec Moontree i mała dziewczynka imieniem West. To była pozostała dwójka światłostrzelców. Tym samym ludzka część obsady Centrum Bojowego znalazła się w komplecie.

Ojciec Moontree był rumianym czterdziestopięcioletnim facetem, który do czterdziestego roku życia wiódł spokojne życie rolnika. Dopiero wtedy, ponieważ, władze dowiedziały się, że jest telepatą i zgodziły się, w zaawansowanym wieku, skierować go do pracy światłostrzelca. Miał do tego talent, ale jak na branżę był niesamowicie stary.

Ojciec Moontree spojrział na ponurego Woodleya i zamyślnego Underhilla.

– Jak tam, młodziaki? Gotowi do walki?

– Ojciec to ciągle „do walki” i „do walki”. – Dziewczynka o imieniu West zachichotała. Strasznie młoda była. Chichotała dziecinnym, wysokim głosikiem. Wyglądała na ostatnią osobę na świecie, jakiej by się człowiek spodziewał w brutalnym świecie walk światłostrzeleckich.

Underhilla rozbawiło kiedyś, gdy dowiedział się, że jeden z najpowolniejszych partnerów jest bardzo zadowolony po kontakcie z umysłem dziewczynki imieniem West.

Partnerzy przeważnie nie interesowali się specjalnie ludzkimi umysłami, z którymi grupowano ich do walki. Uważali, jak się zdaje, że ludzkie umysły są złożone i niewiarygodnie brudne. Żadnemu z partnerów nie zdarzyło się zakwestionować wyższości ludzkiego umysłu, choć chyba też im specjalnie nie imponowała.

Lubili ludzi. Chętnie z nimi walczyli. Skłonni byli dla nich ginąć. Lecz kiedy partner polubił człowieka, jak na przykład kapitan Wow albo lady May – Underhilla – nie miało to wiele wspólnego z intelektem. Chodziło raczej o temperament, emocje.

Underhill doskonale wiedział, że kapitan Wow ma jego underhillowy mózg za przygłupi. Lubił natomiast jego underhillową konstrukcję emocjonalną, tę pogodę ducha i błysk złośliwego rozbawienia, przenikający jego podświadome przebiegi oraz optymizm, z jakim stawiał czoło niebezpieczeństwu. Natomiast słowa, książki historyczne, idee, nauka – odbijały mu się w lustrze myśli kapitana Wow, według których to wszystko były bzdury.

Panna West zerknęła na Underhilla.

– Założę się, że czymś oblepięś kostki.

– Nic podobnego!

Underhill poczuł, że uszy rumienia mu się z zażenowania. Podczas nowicjatu spróbował oszukiwać podczas losowania, bo szczególnie sobie upodobał jedną partnerkę, śliczną młodą kotkę z potomstwem, imieniem Murr. Tak łatwo mu się z nią współpracowało, a ona była w stosunku do niego tak uczuciowa, że aż zapomniał, że światłostrzelanie to ciężka praca

i że nie zalecano mu, żeby się z partnerem dobrze bawił. Byli po prostu tak wyszkoleni i tak przygotowani, by iść razem w bitwę na śmierć i życie.

Drugi raz nie śmiał oszukać. Wykryli to i od lat się z niego śmiali.

Ojciec Moontree uniósł kubek ze sztucznej skóry i potrząsnął kamiennymi kośćmi, służącymi do losowania partnerów na drogę. Jako najstarszy mógł losować pierwszy.

Skrzywił się. Wypadł mu łakomczuch, twardy, stary samiec, którego umysł wypełniały zaślinione myśli o jedzeniu, istne oceany na wpół zgniłych ryb. Moontree powiedział kiedyś, że po locie z tym żarłokiem przez całe tygodnie odbijało mu się tranem, tak silnie odcisnął mu się w głowie telepatyczny obraz góry ryb. Lecz żarłok równie jak ryb, spragniony był niebezpieczeństwa. Zabił sześćdziesiąt trzy smoki, więcej niż ktokolwiek we flocie, i był dosłownie na wagę złota.

Następna była mała West. Wylosowała kapitana Wow. Zobaczywszy to, uśmiechnęła się.

– Jego lubię – powiedziała. – Tak fajnie się z nim walczy. Jest w głowie taki milusi i puchaty.

– Milusi, akurat – odezwał się Woodley. – Też byłem u niego w głowie. To najbardziej namolny umysł na statku, bez wyjątku.

– Paskudnik – powiedziała dziewczynka. Oznajmująco, bez wyrzutu.

Underhill spojrział na nią i wzdrygnął się.

Nie rozumiał, jak może tak spokojnie traktować kapitana Wow. Jego umysł faktycznie był namolny. Gdy nakreślił się w czasie bitwy, skłębione obrazy smoków, śmiercionośnych szczurów, miękkich łóżek, zapachy ryb i kosmiczny szok – wszystko to mieszało się w umyśle, kiedy stąpił się z kapitanem Wow w złączoną hełmami jedną fantastyczną hybrydę człowieka i perskiego kota.

Taki właśnie jest problem pracy z kotami, pomyślał Underhill. Niestety, nic innego nie nadaje się na partnera. A koty są w sam raz, jak tylko nawiąże się z nimi telepatyczne porozumienie. Są na tyle inteligentne, by spełnić wymagania lotu, ale motyw i chęci mają absolutnie odmienne od ludzkich.

Są w miarę kontaktowe, póki myśli się do nich konkretnymi obrazami, lecz ich umysły po prostu zamykają się i usypiają, kiedy się recytuje Szekspira albo Colegrove'a, czy próbuje im powiedzieć, czym jest kosmos.

Dziwnie było mieć świadomość, że ci partnerzy, w kosmosie tak poważni i dojrzały, to te same śliczne małe stworzonka, które ludzie hodowali w domach na Ziemi od tysięcy lat. Już parę razy pomiędzy lotami naraził się na śmieszność, salutując najzwyczajniejszym nietelepatycznym kotom, bo zapomniał na moment, że nie są partnerami.

Ujął kubek i potrząsnął kamiennymi kośćmi.

Miał szczęście – wylosował Lady May.

Lady May była najbardziej uważnym i rozumnym partnerem ze wszystkich, jakich w życiu widział. Wyrafinowany przez lata hodowli umysł rodowodowej perskiej kotki wspiał się w niej na wyżyny rozwoju. Była bardziej skomplikowana niż jakakolwiek ludzka kobieta, ale ta złożoność opierała się wyłącznie na emocjach, wspomnieniach i przefiltrowanych doświadczeniach – do których nie potrzeba było słów.

Kiedy po raz pierwszy nawiązał kontakt z jej umysłem, zdumiał się jego klarownością. Przypomnił sobie jej kocie czasy. Zobaczył wszystkie gody, jakie kiedykolwiek odbyła. Ujrzał w na wpół rozpoznawalnej galerii wszystkich innych światłostrzelców, z którymi łączyła się na lot. I siebie też ujrzał, promiennego, pogodnego, atrakcyjnego.

Wydało mu się nawet, że dostrzegł jakby nutkę pożądania...

Bardzo pochlebną i pełną pragnienia myśl: co za szkoda, że nie jest kotem.

Woodley uniósł ostatnią kość. Dobrze mu tak – wylosował ponurego, poznanego bliznami starego kocura, kompletnie pozbawionego werwy kapitana Wow. Partner Woodleya był najbardziej zwierzęcym ze wszystkich kotów na pokładzie, prymitywnym, brutalnym typem o przytępionym umyśle. Nawet od telepatii charakter mu się nie poprawił. Uszy miał na wpół podgryzane podczas młodzieńczych bijatyk. Do walki się jeszcze w miarę nadawał, nic ponadto.

Woodley stęknął.

Underhill spojrział na niego dziwnie. Czy on wydaje z siebie coś poza stęknieniami?

Ojciec Moontree spojrział na pozostałą trójkę.

– Lepiej idźcie już po swoich partnerów. Zaraz przekażę lot-kapitanowi, że jesteście gotowi do lotu w pustkę.

### 3. Rozdanie

Underhill zakręcił zamkiem szyfrowym klatki z Lady May. Obudził ją łagodnie i wziął na ręce. Wygięła zmysłowo grzbiet, wysunęła pazury, zamruczała, zastanowiła się, po czym polizała go po przegubie. Nie miał jeszcze hełmu, więc ich umysły były przed sobą zamknięte, jednak po ustawieniu wąsów i ruchu uszu poznał, że trochę się cieszy, że wylosowała go na partnera.

Mówił do niej ludzkimi słowami, choć kot nic z tego nie rozumiał, jeśli hełm nie był włączony.

– Co to za robota, żeby taką milutką, słodką kotkę wysyłać w mroźnicości na polowanie na szczury większe i groźniejsze niż my wszyscy razem. Nie prosiłaś o taką walkę, prawda?

W odpowiedzi polizała go po ręce, zamruczała, połaskotała w policzek długim puszystym ogonem, po czym odwróciła się i spojrzała mu w twarz złotymi, lśniącymi oczyma.

Przez chwilę tak na siebie patrzyli, człowiek w kucki, kot na tylnych łapach, wpijający pazury przednich w jego kolano. Ludzkie i kocie oczy spoglądały na siebie przez przepaść, której nie mogły pokonać słowa, za to uczucia przeskakiwały w okamgnieniu.

– Czas się zbierać – powiedział.

Grzecznie poszła do swojego pojemnika. Weszła do środka. Dopilnował, by jej miniaturowy hełm opierał się solidnie i wygodnie o podstawę czaszki. Zadbał, by opatulić jej pazury, żeby w ferworze walki się nie pokaleczyła.

Łagodnie zapytał:

– Gotowa?

W odpowiedzi wygięła grzbiet, na ile pozwalała uprząż, i cicho zamruczała, unieruchomiona przez przytrzymującą ją ramię.

Zatrzasnął pokrywę i popatrzył, jak uszczelniacz przesącza się wokół krawędzi. Przez parę godzin będzie zaspawana w swoim pocisku, póki pracownik z krótkim łukiem do cięcia nie wydobędzie jej stamtąd po służbie.

Podniósł cały pocisk i wsunął go do rury wyrzutni. Zamknął drzwiczki, przekręcił zamek, usadowił się w swoim fotelu i włożył hełm.

Po raz kolejny wcisnął przełącznik.

Siedział w ciasnym pomieszczeniu, małym, małym, ciepłym, ciepłym, ciała trzech pozostałych ludzi napierały na niego, jaskrawe i mocne światło z sufitu aż namacalnie padało na zamknięte powieki.

Gdy hełm się rozgrzał, kabina zniknęła. Reszta załogi przestała być ludźmi i stała się małymi punktami żaru, ciemnoczerwonymi węgielkami, w których świadomość płonęła niczym rozżarzone drewno w wiejskim kominku.

Gdy rozgrzał się jeszcze bardziej, poczuł pod sobą Ziemię, poczuł, jak statek odpływa od niej, poczuł obracający się Księżyc po drugiej stronie świata, poczuł planety i gorącą dobroć Słońca, niedopuszczającą smoków do kolebki ludzkości.

W końcu osiągnął kompletną świadomość.

Sięgał telepatycznie na miliony mil. Wyczuł pył, który wcześniej zauważył wysoko ponad płaszczyznę ekliptyki. Z ekscytującym ciepłem i czułością poczuł, że świadomość Lady May wlewa się do jego umysłu. Mózg odbierał ją jako łagodną, klarowną, a mimo to ostrą, jak aromatyczny olejek. Pełną otuchy i relaksującą. Czuł, że ona też go przyjmuje. To nawet nie była myśl, po prostu proste, gościnne uczucie.

Wreszcie stali się jednością.

W odległym zakątku umysłu, małym jak najmniejsza z zabawek z dzieciństwa, wciąż miał świadomość kabiny, statku oraz ojca Moontree

podnoszącego słuchawkę i rozmawiającego z dowodzącym statkiem lotkapitanem.

Jego telepatyczny umysł odebrał ideę, zanim uszy zinterpretowały słowa. Fizyczny dźwięk przyszedł później, tak jak grzmot nad oceanem przychodzi po przeskakującej daleko nad wodą błyskawicy.

– Melduję gotowość Centrum Bojowego. Gotowi do planoformacji, panie kapitanie.

## 4. Partia

Underhilla zawsze trochę drażniło, że Lady May wyczuwa wszystko na długo przed nim.

Spiął się, czekając na szybką, kwaśną iskrę planoformacji, ale zanim jego nerwy zarejestrowały, co się dzieje, odebrał to już z jej zmysłów.

Ziemia oddaliła się tak bardzo, że przez parę milisekund szukał jej po omacku; w końcu znalazł Słońce w górnym prawym tylnym rogu telepatycznego pola widzenia.

Ładny skok, pomyślał. Tylko tak dalej, a będziemy na miejscu po czterech czy pięciu susach.

Paręset mil od statku Lady May pomyślała do niego: o mój ciepły, o dobry, o olbrzymi człowieku! O dzielny, o miły, o czuły i wielki partnerze! O wspaniale z tobą, z tobą tak dobrze, tak ciepło, teraz walczyć, teraz lecieć, dobrze z tobą...

Wiedział, że ona nie myśli słowami, że to jego umysł interpretuje ten koci potok emocji i tłumaczy go na obrazy, które jego własny mózg potrafi zapamiętać i pojąć.

Ta zabawa w witanie się nawzajem nie zaprzętała zanadto ich uwagi. Sięgnął daleko poza zasięg jej postrzegania, żeby rozejrzeć się za zagrożeniem. Zabawne, że tak się daje robić dwie rzeczy naraz: umysłem wzmocnionym przez hełm światłostrzelecki mógł przepatrywać przestrzeń, a jednocześnie odbierać jej zbłąkaną myśl – miłą, czułą myśl



o synku, który miał złoty pyszczek i pierś porośniętą niezmiernie delikatnym białym puszkciem.

Jeszcze się rozglądał, gdy odebrał od niej ostrzeżenie:

*Będzie skok!*

I skoczyli. Statek wszedł w kolejną planoformę. Gwiazdy zmieniły się. Słońce niezmiernie się oddaliło, nawet z najbliższymi gwiazdami trudno było nawiązać kontakt. Paskudna, otwarta, pusta przestrzeń, domena smoków. Sięgnął dalej, szybciej, wypatrując zagrożenia, gotowy, by wystrzelić Lady May, gdy tylko cokolwiek poczuje.

Groza rozbłysła mu w myśli, ostra, wyraźna, objawiająca się aż fizycznym skurczem.

Dziewczynka imieniem West coś znalazła – coś ogromnego, długiego, czarnego, ostrego, żarłocznego i przerażającego. Strzeliła w to kapitanem Wow.

Underhill starał się zachować przytomność umysłu.

– Uważajcie! – krzyknął telepatycznie do innych, próbując wymierzyć wyrzutnię z Lady May.

W innym punkcie bitwy poczuł żądzę krwi kapitana Wow, który podleciał do zagrażającej statkowi i załodze chmury pyłu i zdetonował błyski.

Błyski minimalnie minęły się z celem.

Pył rozpląszczył się, przeobraził z płaszczki w grot włóczni.

Nie minęły nawet trzy milisekundy.

Ojciec Moontree mówił słowami – głosem, który miał tempo wylewanej z ciężkiego słoja melasy:

– K-a-p-i-t-a...

Underhill wiedział, że zdanie będzie brzmiało: „Kapitanie, szybko!”. Bitwa odbędzie się i zakończy, nim ojciec Moontree skończy mówić.

Teraz, ułamek milisekundy później, Lady May już namierzyła cel.

Tak właśnie objawiała się zręczność i szybkość partnerów. Reagowała o wiele szybciej niż on. Postrzegala zagrożenie jako szarżującego na nią ogromnego szczura.

Była w stanie odpalić bomby świetlne z precyzją, na którą jego nie byłoby stać.

Miał połączenie z jej mózgiem, ale za nim nie nadążał.

Jego świadomość odniosła ranę zadaną przez obcego wroga. Na Ziemi nie zdarzały się takie rany – prymitywny, obłądny ból, zaczynający się od palenia w pępku. Zaczął się wić w fotelu.

Naprawdę jednak nie zdążył ruszyć choćby jednym mięśniem, zanim Lady May zaatakowała wroga.

Pięć odpalonych w równych odstępach bomb fotoatomowych rozświetliło sto tysięcy mil przestrzeni.

Ból w mózgu i ciele zniknął.

Poczuł płynącą z mózgu Lady May falę drapieżnej, potwornej, dzikiej radości. Dokończyła dzieła. Koty zawsze były rozczarowane, gdy pokonany wróg tak po prostu zniknął.

Potem poczuł jej ból i strach, który owładnął nimi obojgiem, gdy bitwa, krótsza niż okamgnienie, skończyła się. W tej samej chwili pojawiła się ostra, kwaśna nuta planoformacji.

Statek wykonał kolejny skok.

Słyszał, że Woodley myśli do niego:

– Na razie się nie przejmuj. Mój stary sukinkot i ja teraz się tym zajmujemy.

Jeszcze dwa razy skurcz i skok.

Nie miał pojęcia, gdzie jest, póki w dole nie zaświeciły światła portu kosmicznego na Kaledonii.

Ze znużeniem, które trudno było ogarnąć umysłem, skupił się na nowo na hełmie, łagodnie i precyzyjnie dokując pojazd Lady May z powrotem w wyrzutni.

Była na wpół nieprzytomna ze zmęczenia, poczuł jednak bicie serca, usłyszał dyszenie i wyłapał jeszcze nadaną przez jej umysł wdzięczną nutę:

– Dzięki.

## 5. Wynik

Umieścili go w szpitalu na Kaledonii.

Doktor był miły, acz stanowczy.

– Ten smok naprawdę pana dotknął. W życiu nie widziałem kogoś, komu tak niewiele brakowało. Wszystko odbyło się tak szybko, że upłynie sporo czasu, zanim się naukowo dowiemy, co się stało, ale podejrzewam, że gdyby kontakt trwał o parę dziesiątych milisekundy dłużej, nadawałby się pan do szpitala psychiatrycznego. A co to za kota miał pan przed sobą?

Underhill czuł, że słowa wydobywają się z niego powoli. Słowa były takie mozolne w porównaniu z szybkością i przyjemnością myślenia, umysł do umysłu, szybko, ostro i klarownie! Lecz do zwykłych ludzi w rodzaju doktora tylko nimi dało się dotrzeć.

Usta poruszały się ociężale, gdy je artykułował.

– Proszę nie nazywać naszych partnerów kotami. Właściwe słowo to „partnerzy”. Walczą ramię w ramię z nami. Powinien pan wiedzieć, że nazywamy ich partnerami, nie kotami. A jak się ma moja partnerka?

– Nie wiem – odrzekł ze skruchą doktor. – Ale się dowiemy. A tymczasem, proszę pana starszego, proszę odpoczywać. Nic oprócz odpoczynku panu nie pomoże. Da pan radę sam zasnąć, czy chciałby pan otrzymać jakiś środek uspokajający?

– Sam usnę – oświadczył Underhill. – Chcę się tylko dowiedzieć, co z moją Lady May.

Włączyła się pielęgniarka. Spojrzała trochę nieprzyjaźnie.

– A nie interesuje pana, co z innymi ludźmi?

– Wszystko w porządku – odparł. – Wiedziałem to już zanim tutaj trafiłem.

Przeciągnął się, westchnął i uśmiechnął do nich. Widział, że się rozluźnili i zaczynają traktować go jak osobę, nie jak pacjenta.

– Nic mi nie jest. Po prostu powiedzcie, kiedy będę się mógł zobaczyć z moją partnerką.

Nagle coś innego przyszło mu do głowy. Spojrzał ostro na lekarza.

– Chyba nie odesłali jej razem ze statkiem, co?

– Zaraz się dowiem, za chwilę – odpowiedział lekarz. Ścisnął go uspokajająco za ramię i wyszedł.

Pielęgniarka zdjęła serwetkę z pucharu pełnego zimnego soku owocowego.

Underhill spróbował się do niej uśmiechnąć. Coś z nią było nie tak. Mogłaby już sobie pójść. Już zaczynała być miła, lecz nagle znowu nabrała dystansu. Co za utrapienie z tą telepatią, pomyślał. Myślisz do kogoś, nawet kiedy nie nawiązujesz żadnego kontaktu.

Znienacka zamachnęła się na niego.

– Ech, wy, światłostrzelcy! Wy i te wasze cholerne koty!

Gdy wybiegała, wdarł się do jej umysłu. Ujrzał siebie jako świetlistego bohatera, odzianego w elegancki zamszowy mundur, z koroną hełmu światłostrzeleckiego lśniąca niczym dawne klejnoty koronne nad głową. Zobaczył promieniejącą w jej umyśle własną twarz, przystojną i męską. Zobaczył się z bardzo daleka i dostrzegł, jak bardzo go nie cierpiała.

Nie cierpiała go w skryciu, w myślach. Nienawidziła go, bo był – tak myślała – dumny, niezwykły i bogaty, lepszy i piękniejszy niż otaczający ją ludzie.

Wyszedł z jej umysłu i skrywając twarz w poduszce, przywołał w wyobraźni obraz Lady May.

Faktycznie jest kotką, pomyślał. Kotką... i tyle!

Lecz jego umysł widział ją całkiem inaczej – szybką ponad wszelkie wyobrażenia, bystrą, sprytną, niewiarygodnie pełną wdzięku, piękną, milczącą i niewymagającą.

Gdzież znajdzie kobietę, która mogłaby się z nią równać?

## WYPALENIE MÓZGU

Odmladzanie, do którego nawiązuje się w opowiadaniu *O damie, co Duszą żeglowała*, a tu wspomina nieco bardziej dosłownie, jest możliwe dzięki środkowi santaclara (zwanemu też „strunem”), pochodzącemu wyłącznie ze Starej Australii Północnej (Norstrilii) – choć dopiero wiele lat po wydaniu tego opowiadania, co nastąpiło w roku 1955, Smith wymienił tę planetę z nazwy. Już w tym okresie widać coraz większy luksus i dekadencję kultury Instrumentalności.

### 1. Dolores Oh

Powiadam wam, to smutne ponad wszelki smutek i okropne – albowiem straszną rzeczą jest wyprawiać się poza i ponad wszystko, latać nie latając, przemieszczać się między gwiazdami, jak ćma dryfuje między liśćmi w pogodną letnią noc.

Wśród wszystkich mężów, którzy wyprawiali się statkami w planofornę, nie było mężniejszego i potężniejszego niż kapitan Magno Taliano.

Skanerów nie było już od stuleci, a zjawisko jonasoidalne wydawało się takie proste i tak doskonale opanowane, że przeskakiwanie lat świetlnych było dla większości pasażerów wielkich statków równie proste, jak przechodzenie z pokoju do pokoju.

Dla pasażerów – tak.

Lecz nie dla załogi.

A już szczególnie nie dla kapitana.

Kapitan jonasoidalnego statku w podróży międzygwiazdnej musiał znosić niespotykane i miazdzące napięcia. Sztuka przedostawania się przez kosmiczne komplikacje o wiele bardziej przypominała pokonywanie wzburzonych wód w starożytności niż spokojnych mórz, po których gładko sunęli, na samych żaglach, bohaterowie legend.

Lot-kapitanem statku *Wu-Feinstein*, najlepszego w swojej klasie, był Magno Taliano.

Mówiło się o nim, że potrafiłby piekło przepłynąć samymi mięśniami lewego oka. Potrafiłby przeciąć kosmos samym gołym mózgiem, gdyby zawiodły przyrządy...

Żoną lot-kapitana była Dolores Oh. Nazwisko miała z lekka japońskie, na pamiątkę przedwiecznych czasów. Była niegdyś piękna, tak piękna, że mężczyznom zapierało dech w piersi, z najmądrzejszych z nich czyniła głupców, a na młodych sprowadzała koszmary żądz i tęsknoty. Gdziekolwiek się pojawiała, mężczyźni kłócili się o nią i walczyli między sobą.

Dolores Oh była także dumna. Odmówiła poddania się standardowym zabiegom odmładzającym. Mniej więcej sto lat temu opanowała ją okropna tęsknota. Być może mówiła do siebie, siedząc przed tym ucieleśnieniem nadziei i lęku, jakim w samotności staje się dla każdego lustro:

– Ja to ja. „Ja” to musi być coś więcej niż tylko piękno mojej twarzy, coś więcej niż delikatność cery i przypadkowo nakreślone kontury podbródka i policzków. Co więc ci mężczyźni kochali, jeśli nie mnie? Czy w ogóle dowiem się kiedykolwiek kim jestem, jeśli nie pozwolę urodzie sczeznąć i nie będę żyć dalej w ciele, które przyniesie mi czas?

Lot-kapitana poznała i poślubiła po romansie, o którym mówiło się na czterdziestu planetach i który zdumiewał połowę linii żeglugowych.

Magno Taliano wówczas dopiero zaczynał rozwijać swój geniusz. Przestrzeń, jak mówimy, jest sroga – sroga niczym najdziksze wzburzone oceany, wypełniona niebezpieczeństwami, które są w stanie pokonać tylko najwrażliwsi, najszybsi i najśmielsi z ludzi.

A najlepszym z nich wszystkich, we wszystkich klasach, we wszystkich przedziałach wiekowych, pokonując starszych od siebie mistrzów, był

Magno Taliano.

W jego przypadku, ślub z największą pięknnością czterdziestu światów był czymś jak zaślubiny Heloizy i Abelarda, albo niezapomniany romans Helen Ameryki i pana Juźniewego.

A statki lot-kapitana Magno Taliano piękniały z każdym rokiem, z każdym stuleciem.

Gdy pojawiały się lepsze, od razu się w nie zaopatrywał. Przewagę nad innymi lot-kapitanami miał taką, że niewyobrażalne było wysłanie najlepszych statków ludzkości we wzburzone odmęty dwuwymiarowej przestrzeni, jeśli nie on stał u steru.

Stop-kapitanowie dumni byli, że mogą żeglować u jego boku. (Choć zajmowali się wyłącznie utrzymaniem statku oraz wyładunkiem i załadunkiem, zawsze w normalnej przestrzeni, i tak byli kimś więcej niż szary człowiek – żyli we własnym świecie, chociaż o wiele poniżej imponującego i pełnego niebezpieczeństw wszechświata lot-kapitanów).

Magno Taliano miał siostrzenicę, która, zgodnie z najnowszą modą, nie miała nazwiska, lecz przydomek od miejsca: Dita z Wielkiego Domu Południa.

Zanim weszła na pokład *Wu-Feinsteina*, słyszała wiele o Dolores Oh, żonie swego wuja, niegdyś władającej sercami mężczyzn na wielu światach. Lecz na to, co tam zastała, była kompletnie nieprzygotowana.

Dolores pozdrowiła ją dość uprzejmie, lecz ta uprzejmość była jak pompa ssąca, pełna paskudnych lęków, życzliwość – jak sucha drwina, a samo przywitanie – jak atak.

Co jest z tą kobietą? – pomyślała Dita.

Jakby reagując na jej myśli, Dolores powiedziała, na głos i słowami:

– Miło mi wreszcie poznać kobietę, która nie chce mi odebrać Taliana. Bo ja go kocham. Wierzysz w to? Wierzysz?

– Oczywiście – odparła Dita.

Spojrzała na zniszczoną twarz Dolores Oh, na przerażenie w jej oczach i uświadomiła sobie, że ona przekroczyła już wszelkie granice koszmaru i stała się najprawdziwszym demonem żalu i smutku, zaborczym upiorem wysysającym z męża wszelkie siły vitalne, bojącym się towarzystwa,

nienawidzącym przyjaźni, odrzucającym nawet najbardziej zdawkowe znajomości – ponieważ bała się, że jest już niczym, a bez Magno Taliano stanie się pustką większą niż w najczarniejszych czeluściach próżni pomiędzy gwiazdami.

Wszedł Magno Taliano.

Zobaczył żonę i siostrzenicę razem.

Pewnie już się przyzwyczaił do wyglądu Dolores Oh. W oczach Dity jednak była ona bardziej przerażająca niż oblepiony błotem jaszczur, podnoszący ranną, jadowitą głowę, emanujący ślepym głodem i ślełą furią. Dla Magno Taliano zaś ta paskuda, stojąca obok niego jak wiedźma, jakimś sposobem pozostała prześliczną dziewczyną, którą sobie sto sześćdziesiąt lat temu przygruchał i poślubił.

Ucałował ją w zwiędły policzek, pogładził po suchych, drucianych włosach, spojrzął w chciwe, pełne przerażenia oczy, jak w oczy ukochanego dziecka. Powiedział, lekko i łagodnie:

– Skarbie, bądź dobra dla Dity.

I poszedł przez okrętowy hall do sanktuarium sali planoformacyjnej.

Czekał tam na niego stop-kapitan. Przez otwarte okna statku wpadała do środka aromatyczna bryza z planety Sherman, tego przyjemnego świata.

*Wu-Feinstein*, najlepszy statek w swojej klasie, nie potrzebował metalowych ścian. Zbudowano go na wzór starożytnej, prehistorycznej posiadłości zwanej Mount Vernon, a kiedy żeglował między gwiazdami, chroniło go własne, twarde i ciągle odnawiające się pole siłowe.

Dla pasażerów podróż była paroma przyjemnymi godzinami spędzonymi na przechadzkach po trawie, podziwianiu przestronnych pomieszczeń, pogawędkach pod wspaniale zasymulowanym atmosferycznym niebem.

Dopiero w sali planoformacji lot-kapitan dowiedział się, co się stało. Tu lot-kapitan, ze światłostrzelcami u boku, przechodził statkiem z jednej kompresji przestrzeni do drugiej, przeskakując nerwowo i w pośpiechu przez przestrzeń, czasem o rok świetlny, czasem o sto lat, i skakał tak, skakał i skakał, póki statek, kierowany delikatnymi muśnięciami myśli lot-



kapitana, nie ominął zagrożeń milionów milionów światów, nie wyłonił się u celu podróży i nie osiadł na nim lekko jak piórko, pośród prześlicznego wiejskiego krajobrazu, gdzie pasażerowie mogli wysiąść ze statku tak łatwo, jak gdyby nie robili nic poza spędzeniem popołudnia w przyjemnym starym domostwie nad rzeką.

## 2. Zgubiona blok-karta

Magno Taliano kiwnął głową do światłostrzelców. Stop-kapitan uklonił się służalczo w drzwiach do sali. Taliano spojrział nań surowo, acz życzliwie. Z oficjalną, sztywną uprzejmością zapytał:

– Szanowny panie kolego, czy wszystko gotowe do uruchomienia zjawiska jonasoidalnego?

Stop-kapitan skłonił się jeszcze bardziej oficjalnie.

– Absolutnie gotowe, panie kapitanie i dowódco!

– Blok-karty zainstalowane?

– Tak jest, panie kapitanie.

– Pasażerowie zabezpieczeni?

– Zabezpieczeni, ponumerowani, zadowoleni i gotowi, panie kapitanie i dowódco.

Po czym nastąpiło ostatnie i najważniejsze pytanie:

– Światłostrzelcy: hełmy w pogotowiu? Gotowi do walki?

– Gotowi do walki, panie kapitanie i dowódco. – Z tymi słowy stop-kapitan wyszedł. Magno Taliano uśmiechnął się do światłostrzelców. Przez umysły ich wszystkich przeszła ta sama myśl.

Jak to możliwe, że tak sympatyczny człowiek od lat jest żonaty z tą czarownicą Dolores Oh? Jak to możliwe, że ta wiedźma, to okropieństwo, była kiedyś piękną? Jak to możliwe, że ten potwór był kiedyś kobietą, a co dopiero boską, prześliczną Dolores Oh, której obrazy od czasu do czasu widzimy w 4-D?

To prawda, wciąż był sympatyczny i życzliwy, choć od dawna żonaty z Dolores Oh. Jej samotność i chciwość może i trawiły go niczym koszmar, mimo to sił wystarczało mu aż nadto na dwoje.

Czyż nie był kapitanem największego statku, jaki kiedykolwiek żeglował między gwiazdami?

Już wtedy, gdy światłostrzelcy uśmiechali się do niego na powitanie, jego prawa ręka wciskała złotą, ceremonialną dźwignię. Był to jedyny mechaniczny przyrząd na całym statku – wszystkie inne od dawna działały elektronicznie lub telepatycznie.

W sali planoformacyjnej pokazało się czarne niebo, a kanwa czasoprzestrzeni zakłębiła się wokół nich jak kipiela u podstawy wodospadu. Poza tym pomieszczeniem pasażerowie wciąż spokojnie spacerowali po pachnących trawnikach.

Siedząc sztywno w fotelu lot-kapitana, Magno Taliano czuł, że na ścianie naprzeciwko niego wyłania się wzór, który za trzysta czy czterysta milisekund powie mu, gdzie jest, i podpowie mu cel następnego skoku.

Poruszał statkiem impulsami własnego mózgu, który znakomicie się uzupełniał ze ścianą. Była bowiem żywym murem złożonym z blok-kart, zalaminowanych map, w liczbie stu tysięcy na cal. Ściana wybierała z nich i pokazywała wszystkie wyobrażalne cele podróży, które za każdym razem od nowa przenosiły statek przez na wpół nieznaną czeluść czasu i przestrzeni. Statek skoczył, tak samo jak przedtem.

Zogniskowała się nowa gwiazda.

Magno Taliano odczekał, aż ściana pokaże mu, gdzie jest, spodziewając się, że (wspólnie z nią) z powrotem cisną statek w przestrzeń międzygwiazdą, przemieszczając go ogromnymi krokami do celu.

Tym razem nie wydarzyło się nic.

Nic?

Po raz pierwszy od stu lat jego umysł poznał smak paniki.

To nie mogło być nic. Nie nic. Coś się musiało wyłonić. Blok-karty zawsze się na czymś ogniskowały.

Zajrzał umysłem pomiędzy blok-karty i uświadomił sobie z rozpaczą ponad wszelką ludzką rozpacz, że są zgubieni, zgubieni jak żaden statek

w historii. Wskutek jakiegoś błędu, którego nikt dotąd nie popełnił, cała ściana składała się z kopii tej samej blok-karty.

Co najgorsze, gdzieś zgubiła się blok-karta z awaryjnym powrotem. Znaleźli się pomiędzy gwiazdami, których w życiu nie widzieli, może zaledwie o pięćset milionów mil, może aż o czterdzieści parseków.

A blok-karty nie było.

I tutaj zginą.

Gdy statkowi skończy się zapas energii, opadną na nich zimno, mrok i śmierć. W najlepszym razie za parę godzin. I to będzie koniec, koniec całego *Wu-Feinsteina* i koniec Dolores Oh.

### 3. Sekrety mrocznej, starej głowy

Poza pomieszczeniem planoformacyjnym *Wu-Feinsteina*, pasażerowie nie mieli powodu, by podejrzewać, że utknęli w samym środku nicości.

Dolores Oh kołysała się tam i z powrotem w zabytkowym fotelu bujanym. Pobrużdżona twarz patrzyła bez przyjemności na nieprawdziwą rzekę płynącą za skrajem trawnika. Dita z Wielkiego Domu Południa siedziała na pufie u jej kolan.

Dolores opowiadała o locie, jaki odbyła, gdy była młoda i oszałamiająco piękna, pięknem, które sprowadzało kłopoty i nienawiść, gdziekolwiek się pojawiała.

– ...Wtedy strażnik zabił kapitana, przyszedł do mojej kabiny i powiedział: „Teraz musisz wyjść za mnie. Wszystko dla ciebie rzuciłem”. A ja odpowiedziałam: „Nigdy nie powiedziałam, że cię kocham. Miło było widzieć, jak dla mnie walczysz, to na swój sposób chyba komplement dla mojej urody, ale to nie oznacza, że do końca życia do ciebie należę. Za kogo ty mnie w ogóle uważasz?”.

Dolores Oh wydała suche, paskudne westchnienie, niczym trzask zamrożonych gałązek na mroźnym wietrze.

– Widzisz więc, Dito, uroda, taka jak twoja, to żadne rozwiązanie. Kobieta musi być sobą, zanim odkryje, kim naprawdę jest. Wiem, że mój pan i mąż, pan lot-kapitan, kocha mnie, bo straciłam piękno, a skoro nie ma piękna, do kochania pozostałam już tylko ja, prawda?

Na werandę weszła osobliwa postać. Światłostrzelec w pełnym bojowym rynsztunku. Mieli nigdy nie opuszczać sali do planofornacji; to niespotykane, by któryś z nich pojawił się wśród pasażerów.

Skłonił się obu damom i powiedział z uprzedzającą uprzejmością:

– Szanowne panie, czy udacie się ze mną do sali planofornacji? Pan lot-kapitan potrzebuje natychmiast się z wami widzieć.

Dolores uniosła dłoń do ust. Gest przestrawu był odruchowy niczym atak węża. Dita czuła, że ciotka od stu i więcej lat czekała na katastrofę – że pragnęła klęski męża tak, jak niektórzy pragną miłości, a inni – śmierci.

Dita nie powiedziała nic. Także Dolores, choć po namyśle, nie odezwała się ani słowem.

W milczeniu poszły za nim do sali planofornacyjnej.

Magno Taliano wciąż siedział sztywno w kapitańskim fotelu.

Odezwał się, bardzo powoli. Brzmiał jak nagranie odtwarzane zbyt wolno przez starożytny fonograf.

– Zgubiliśmy się w kosmosie, skarbie – rozległ się lodowaty, upiorny głos Taliana, wciąż pogrążonego w lot-kapitańskim transie. – Zgubiliśmy się w kosmosie i pomyślałem, że może jeśli pomożesz mi swoim umysłem, wspólnie wymyślimy, jak wrócić.

Dita zaczęła coś mówić.

Światłostrzelec powiedział jej:

– Mów, skarbie, mów. Masz jakiś pomysł?

– Czemu po prostu nie wrócimy? To upokarzające, prawda? Ale lepsze od śmierci. Skorzystajmy z awaryjnej blok-karty i polecimy z powrotem. Świat wybaczy kapitanowi Magno Taliano jedno niepowodzenie po tysiącach wspaniałych i udanych lotów.

Światłostrzelec, całkiem sympatyczny młody człowiek, był życzliwy i spokojny jak lekarz zawiadamiający kogoś o śmierci czy kalectwie.

– Ale widzisz, Dito z Wielkiego Domu Południa, stało się niemożliwe. Wszystkie blok-karty są błędne. Wszystkie są takie same. I żadna z nich nie pozwala na awaryjny powrót.

Dopiero wtedy dwie kobiety zrozumiały powagę sytuacji. Wiedziały, że kosmos rozerwie je jak wysnute z materiału nitki, tak że będą umierać stopniowo, w miarę jak mijają godziny, w miarę jak substancja ich ciał umiera, po parę cząsteczek to tu, to tam. Albo mogą zginąć wszyscy nagle i jednocześnie, jeśli lot-kapitan zdecyduje zabić siebie i statek, żeby nie czekać na powolną śmierć. Ewentualnie, jeśli wierzą w religię, mogą się jeszcze modlić.

Światłostrzelec powiedział do zeszywniałego lot-kapitana:

– Wydaje nam się, że na pograniczu pana mózgu widzimy znajomy wzór. Czy możemy zajrzeć?

Taliano skinął głową, bardzo powoli i bardzo ponuro.

Tamten znieruchomiał.

Obie kobiety obserwowały. Nie wydarzyło się nic widocznego, wiedziały jednak, że poza zasięgiem wzroku, a mimo to na ich oczach rozgrywa się wielki dramat. Mózgi światłostrzelców zapuszczały się jak sondy głęboko w umysł nieruchomego lot-kapitana, szukając pośród synaps najdrobniejszej wskazówki mogącej pozwolić na ratunek.

Mijały minuty, a wydawało się, że to godziny.

W końcu światłostrzelec odezwał się.

– Panie kapitanie, zajrzeliśmy panu do śródmózgowia. Na skraju pana kory starej widać rysunek gwiazd, który przypomina górną lewą tylną stronę naszej obecnej pozycji. – Zaśmiał się nerwowo. – Pytamy więc: czy będzie pan w stanie doprowadzić statek do domu swoim mózgiem?

Magno Taliano spojrział głębokimi, pełnymi tragizmu oczyma na pytającego. Powolny głos wydobył się po raz kolejny – bał się wychodzić z półtransu, który utrzymywał cały statek w stabilnym stanie.

– Pytacie, czy mogę poprowadzić statek samym mózgiem? To wypali mi mózg, a statek i tak będzie stracony...

– Ale my przepadliśmy, przepadliśmy, przepadliśmy! – krzyknęła Dolores Oh. Na jej twarzy malowała się ohydna nadzieja, żądza klęski,

paskudne pragnienie katastrofy. Wrzasnęła na męża: – Budź się, kochanie! Razem umrzemy! Wreszcie będziemy należeć tylko do siebie, do siebie, na zawsze!

– Ale czemu umierać? – odezwał się łagodnie światłostrzelec. – Dito, powiedz mu.

Dita powiedziała:

– Wuju i kapitanie, dlaczego nie spróbować?

Magno Taliano powoli zwrócił twarz ku siostrzenicy. Znow zabrał ten sam pusty głos:

– Jeśli to zrobię, stanę się głupcem, dzieckiem, albo umrę, ale tak, zrobię to dla was.

Dita studiowała pracę lot-kapitanów i dobrze wiedziała, że jeśli kora stara ulegnie zniszczeniu, człowiek będzie intelektualnie sprawny, ale upośledzony emocjonalnie. Razem z tą przedwieczną częścią mózgu przepadała fundamentalna kontrola nad wrogością, głodem i żądzą. Sprowadzało to i najdrapieżniejsze zwierzęta, i najinteligentniejszych ludzi do wspólnego mianownika – do prymitywnej łagodności, w której mieli tkwić po wieki, myśląc wyłącznie o seksie, zabawie, czując jedynie łagodny, niezaspokojony głód.

Magno Taliano nie czekał.

Powoli wyciągnął rękę i ścisnął dłoń Dolores Oh.

– Kiedy zginę, wreszcie będziesz pewna, że cię kocham.

Kobiety znow nie zobaczyły nic. Domyśliły się, że wezwano je tylko po to, by Magno Taliano mógł po raz ostatni spojrzeć na swoje dotychczasowe życie.

Milczący światłostrzelec strzelił promieniem-elektrodą prosto w korę starą lot-kapitana Magno Taliano.

Sala planoformacyjna ożyła. Wokół nich zawirowały dziwne obrazy nieba, niczym ubijana w misce śmietana.

Do Dity dotarło, że jej fragmentaryczne zdolności telepatyczne działają nawet bez pomocy maszyny. Samym umysłem czuła martwą ścianę blok-kart. Uświadamiała sobie kołysanie *Wu-Feinsteina* przeskakującego

z przestrzeni w przestrzeń, niepewnie, jak człowiek skaczący po oblodzonych kamieniach, żeby pokonać rzekę.

Tą osobliwą drogą dowiedziała się także, że kora stara mózgu wuja przepala się na zawsze, a zamrożone w blok-kartach gwiazdne układy żyją teraz w nieskończenie złożonych zapisach jej własnej pamięci – że on z pomocą własnych światłostrzelców-telepatów wypala sobie mózg, neuron po neuronie, żeby mogli odnaleźć w nim drogę do celu. To naprawdę był jego ostatni lot.

Dolores Oh spoglądała na męża z zachłannością niwelującą wszystkie inne uczucia.

Jego twarz powoli rozluźniła się, wyzuta z wszelkiej inteligencji.

Dita widziała śródmózgowie wypalające się do zera, gdy przyrządy statku z pomocą światłostrzelców wyszukiwały w najwspanialszym umyśle obecnych czasów ostatni kurs do bezpiecznej przystani.

Dolores nagle osunęła się na kolana, przypadła do dłoni męża i rozszlochała się.

Światłostrzelec ujął Dite za rękę.

– Dotarliśmy do celu.

– A mój wuj?

Spojrzał na nią dziwnie.

Uświadomiła sobie, że mówi do niej, nie poruszając ustami, prosto do mózgu, czystą telepatią.

– Nie widzisz tego?

Pokręciła głową oszłomiona.

Tamten jeszcze raz z emfazą do niej pomyślał:

– Kiedy twój wuj wypalał sobie mózg, ty przejęłaś jego umiejętności. Nie czujesz tego? Sama stałaś się lot-kapitanem, i to jednym z najlepszych pośród nas.

– A on?

Światłostrzelec przekazał jej litościwą myśl.

Magno Taliano wstał z krzesła, a żona i towarzyszka, Dolores Oh, wyprowadziła go z sali. Uśmiechał się pogodnie jak idiota, a na jego twarzy

po raz pierwszy od ponad stu lat malowała się nieśmiała, rozedrgana,  
głupia miłość.



## ZBRODNIA I CHWAŁA KOMANDORA SUZDAŁA

Jedno z kilku opowiadań mówiących o tym, jak zostały zasiedlone niektóre co dziwniejsze światy we wszechświecie Instrumentalności – i o cenie, jaką często zdarzało się za to płacić. Dość dokładnie są w nim opisane metody działania Instrumentalności – zarazem genialne, oświecone, jak i całkowicie pozbawione skrupułów i amoralne, a wszystko to w szczytnym celu ochrony ludzkości oraz zachowania i rozwinięcia swojej potęgi i władzy. Imię Suzdała pochodzi od pewnego rosyjskiego miasta.

Nie czytajcie tej historii, szybko odwróćcie stronicę. Może was zdenerwować. Zresztą pewnie i tak już ją znacie. To bardzo bulwersująca opowieść. Wszyscy ją znają. O chwale i zbrodni komandora Suzdała opowiadało się już na tysiąc różnych sposobów.

Nie pozwólcie sobie myśleć, że to prawda.

Bo nie jest. Absolutnie nie. Nie ma w niej ani krzty prawdy. Nie ma takiej planety – Arachozja, nie ma takich ludzi – kloptów, nie ma takiego świata, który zwałby się Kociarnią. Wszystko to tylko wytwory wyobraźni, to się nie zdarzyło, dajcie sobie z tym spokój, zapomnijcie i zajmijcie się inną lekturą.

### **Początek**

Komandor Suzdał został wysłany statkiem-wydmuszką na badanie najdalszych rubieży naszej galaktyki. Statek nosił miano krążownika, ale

miał tylko jednego żywego członka załogi. Miał hipnotyki i kostki, stanowiące namiastkę towarzystwa – wielki tłum ludzi, których mógł sobie utkać z własnych halucynacji.

Instrumentalność dała mu nawet możliwość wyboru tych pozornych towarzyszy, z których każdy mieścił się w małej ceramicznej kostce, zawierającej mózg niewielkiego zwierzaka, choć z wdrukowaną osobowością prawdziwej ludzkiej istoty.

Suzdal, niski, krępy mężczyzna o pogodnym uśmiechu, jasno wyraził swoje potrzeby:

– Dajcie mi dwóch dobrych oficerów bezpieczeństwa. Statkiem ja się zajmę, ale skoro mam lecieć w nieznane, ktoś musi mi pomóc, jeśli pojawią się jakieś osobliwe problemy.

Oficer zaopatrzeniowy uśmiechnął się do niego.

– W życiu nie słyszałem, żeby jakiś dowódca krążownika prosił o oficerów bezpieczeństwa. Dla większości stanowią tylko kłopot.

– I niech im będzie. Ja tak nie uważam – odparł Suzdal.

– A szachistów też pan nie chce?

– W szachy mogę sobie grać, ile dusza zapagnie, z zapasowymi komputerami. Trzeba im tylko trochę zmniejszyć moc i zaraz zaczynają przegrywać. Na pełnej mocy ciągle mnie ogrywają.

Wtedy urzędnik spojrział nań dziwnie. Nie do końca podejrzliwie, ale poufale i jakby trochę nieprzyjemnie.

– A innej natury towarzyszy? – zapytał, nieco dziwnym tonem.

– Mam książki – odrzekł Suzdal – parę tysięcy książek. Według ziemskiego czasu nie będzie mnie tylko przez parę lat.

– Ale według subiektywnego lokalnego, to może być parę tysięcy lat – stwierdził urzędnik – choć wszystko to się cofnie, kiedy będzie pan z powrotem podchodzić do Ziemi. I nie miałem na myśli książek – dodał tym samym, nieco wścibskim tonem.

Suzdal, chwilowo nieco zdenerwowany, pokręcił głową. Przegarnął dłonią piaskowe włosy. Niebieskie oczy patrzyły szczerze i prosto w oczy oficera.

– Zatem, co pan ma na myśli, jeśli nie książki? Nawigatorów? Już mam, nie wspominając o ludziach-żółwiach. Dobrze się z nimi gada, jeśli mówić powoli i dać dużo czasu na odpowiedź. Proszę nie zapominać, że ja już latałem...

Urzędnik w końcu wykrztusił swoją propozycję:

– Tancerki. KOBIETY. Konkubiny. Niczego takiego panu nie potrzeba? Moglibyśmy nawet skostkować pana własną żonę. Wtedy mogłaby być z panem przez cały czas, gdy pan nie śpi.

Suzdal wyglądał, jakby miał splunąć z obrzydzeniem na podłogę.

– Alice? To znaczy, chcecie, żebym poleciał z jej duchem? I jak będzie się czuła prawdziwa Alice, kiedy do niej wrócę? Nie mówcie mi, że chcielibyście zainstalować moją żonę na mysim mózdzku. Wy mi proponujecie delirium, nic więcej. A ja muszę tam być przytomny, kiedy wokół będą się przewalać wielkie fale czasu i przestrzeni. Już od tego samego trochę zwariuję. Proszę nie zapominać, ja już latałem. Powrót do prawdziwej Alice – to właśnie będzie moje zakotwiczenie w rzeczywistości. To mi pomoże wrócić do domu. – Teraz z kolei ton Suzdala stał się konfidencjonalny, gdy dodawał: – Pan mi nie mówi, że dowódcy krążowników powszechnie biorą sobie na pokład wyimaginowane żony. Mnie to się wydaje dość obrzydliwe. Naprawdę wszyscy to robią?

– Jestem tutaj po to, żeby pomóc się panu zaopatrzyć, a nie dyskutować o tym, co robią, a czego nie robią inni oficerowie. Uważamy, że czasem dobrze mieć na pokładzie towarzyszkę, nawet jeśli wyimaginowaną. Jeśli bowiem napotka pan między gwiazdami coś, co przybierze kobiecą postać, będzie pan wobec tego całkiem bezbronny.

– Kobiety wśród gwiazd? Brednie! – rzucił Suzdal.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

– Ale nie takie – odrzekł Suzdal. – Ból, szaleństwo, zniekształcenie postrzegania, nieskończona panika, napady dzikiego apetytu, tak, to się zdarza i jestem na to gotowy. Bo to się trafia. Ale nie kobiety. Nie ma tam żadnych. Kocham swoją żonę i nie będę sobie wytwarzać w głowie żadnych innych kobiet. Zresztą będę mieć na pokładzie ludzi-żółwi, a oni będą wychowywać swoje dzieci. Więc i w życiu rodzinnym mogę brać udział, ile

tylko zechcę. Nawet przyjęcia bożonarodzeniowe dla ich dzieci będę mógł urządzać.

– Jakie przyjęcia? – zapytał urzędnik.

– A, taki tam śmieszny, staroświecki obrzęd, nauczyłem się tego od jednego pilota zewnętrznego. Daje się wszystkim młodym prezenty, co jeden subiektywny rok.

– Brzmi ładnie – powiedział urzędnik, znużonym tonem, chcąc już uciąć dyskusję. – Cały czas pan odmawia wzięcia na pokład kostki z kobietą. Przecież wcale nie musi jej pan aktywować, póki nie będzie naprawdę potrzebna.

– A pan sam latał, prawda? – zapytał Suzdal.

Teraz z kolei zaczerwienił się urzędnik.

– Nie – odparł martwo.

– Ja i tak będę mieć na głowie wszystko, co będzie w tym statku. Jestem człowiekiem pogodnym i bardzo przyjacielskim. Pan pozwoli, że zadowolę się moimi ludźmi-żółwiami. Nie są może za szybcy, ale są rozważni i spokojni. Dwa tysiące, czy więcej lat lokalnego subiektywnego czasu, to masa czasu. Proszę mnie nie obciążać dodatkowymi decyzjami. Prowadzenie takiego statku to i tak pracy aż nadto. Wystarczą mi ludzie-żółwie. Zawsze się z nimi dobrze dogadywałem.

– Oczywiście, to pan dowodzi – oświadczył oficer zaopatrzeniowy. – Zrobimy, jak pan uzna za stosowne.

– No to świetnie. – Suzdal uśmiechnął się. – Pewnie spotyka pan tu różne dziwadła, ale ja się do nich nie zaliczam.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się zgodnie do siebie i ładowanie statku się zakończyło.

Statkiem samym w sobie zarządzali ludzie-żółwie, którzy byli bardzo długowieczni, więc gdy Suzdal przemierzał zewnętrzne rubieże galaktyki, przesypiając w zamrożonym łożu tysiące lokalnych lat, oni rodzili się pokolenie za pokoleniem, uczyli młodych obsługiwać statek, opowiadali im historie o Ziemi, której nigdy nie ujrzą, i pokazywali, jak poprawnie odczytywać wyniki z komputera, tak by budzić Suzdala tylko wtedy, gdy potrzebna okazywała się ludzka interwencja i ludzka inteligencja. Suzdal

budził się zatem od czasu do czasu, robił co należało i z powrotem szedł spać. Miał wrażenie, że opuścił Ziemię zaledwie parę miesięcy temu.

Miesiące, akurat! Był w podróży od ponad dziesięciu tysięcy subiektywnych lat, gdy spotkał syrenią kapsułę. Wyglądała jak zwyczajna kapsuła alarmowa. Tego typu urządzenia wystrzeliwało się często w kosmos, by zawiadomić o komplikacjach, które przydarzyły się ludziom między gwiazdami. Ta na oko przebyła już ogromną odległość. Suzdał zapoznał się dzięki niej z historią Arachozji.

A historia była fałszywa. Wysilek umysłowy planety, cały szalony geniusz złowrogiej, nieszczęśliwej rasy został poświęcony problemowi zwabienia i ściągnięcia normalnego pilota ze Starej Ziemi. Wyśpiewywana przez kapsułę pieśń emanowała bogatą osobowością wspaniałej kobiety obdarzonej atrakcyjnym kontraltem. Historia była częściowo prawdziwa. Powab był częściowo prawdziwy. Suzdał wysłuchał historii, która wryła mu się, niczym misternie zaaranżowana operowa aria, głęboko w mózgowy zwoje. Nie zdarzyłoby się to, gdyby wiedział, jak było naprawdę.

Teraz wszyscy znają prawdziwą historię Arachozji, gorzką i straszną opowieść o planecie, która była rajem, a zmieniła się w piekło. O tym, jak jej mieszkańcy stali się czymś odmiennym od ludzi. O tym, co wydarzyło się daleko stąd, w najokropniejszym miejscu pod gwiazdami.

Gdyby wiedział, jak było naprawdę, uciekłby. Nie wiedział tego, co wiemy teraz: ludzkości nie wolno spotykać się ze strasznymi ludźmi z Arachozji – ci bowiem trafią za nimi na ich planety i urzędują im los gorszy od wszystkich losów, obłąd gorszy od zwykłego szaleństwa, kataklizm przewyższający wszelkie wyobrażalne plagi.

Arachozjanie stali się nie ludźmi, choć w najgłębszych zakamarkach osobowości ludźmi pozostali.

Śpiewali pieśni wychwalające własne upośledzenie, sławiące to, na co ich skazał okrutny los, choć pobrzmiwały w tych balladach organowe tony refrenu, powtarzające: „I szkoda mi Człowieka!”.

Wiedzieli, kim są, i brzydzili się sobą. A brzydząc się sobą, poszukiwali kontaktu z ludzkością.

Możliwe, że dalej go poszukują.

Lecz teraz Instrumentalność podjęła zdecydowane kroki, żeby Arachozjanie nigdy nas nie znaleźli – rozpostarła na skrajach galaktyki całą maskującą sieć, by mieć pewność, że ci zagubieni nieszczęśnicy nie mogli nas odnaleźć. Instrumentalność wie o wszystkim i strzeże naszego świata oraz innych ludzkich światów przed okropnością, jaką stała się Arachozja. Nie chcemy mieć z Arachozją nic wspólnego. Niech sobie szukają. W życiu nas nie znajdą.

Skąd Suzdal miał o tym wiedzieć?

On pierwszy natknął się na Arachozjan, a do tego tylko za pośrednictwem wiadomości, w której elfi głos wyśpiewywał elfią pieśń o upadku, używając idealnie klarownych słów dawnego wspólnego języka, by wyrazić taki smutek i takie przygnębienie, że ludzkość dotąd tej opowieści nie zapomniała. Istota historii była bardzo prosta. Tak ją usłyszał Suzdal i taką poznała ją później ludzkość.

Arachozjanie byli osadnikami. Osadnicy wyruszali w przestrzeń zagłowcami świetlnymi, ciągnącymi za sobą kapsuły. Tak się robiło wcześniej.

Mogli także wyprawić się statkiem stosującym planoformację, kierowanym przez wyuczonych pilotów. Taki statek znikał w Przestrzeni<sup>2</sup>, wychodził z niej i znajdował świat.

Albo, jeśli odległość była naprawdę wielka, mogli skorzystać z całkiem nowej kombinacji. Indywidualne kapsuły pakowano do ogromnego statku-wydmuszki, gigantycznej wersji statku Suzdala. Pasażerowie zamrożeni, maszyny czuwają, statek przyśpiesza do prędkości światła i dalej, leci poza obserwowalną przestrzeń, wypada w losowym punkcie i szuka odpowiedniego celu. Loteria, ale dzielni podróżnicy godzili się na to ryzyko. Jeśli cel się nie znajdował, maszyny mogły krążyć po kosmosie w nieskończoność, jednak ciała, choć zamrożone, powolutku się psuły i w poszczególnych zamrożonych mózgach stopniowo gasło światelko życia.

Statki-wydmuszki były sposobem ludzkości na przeludnienie, z którym nie mogła poradzić sobie ani Stara Ziemia, ani jej potomne planety. Zabierały do gwiazd ludzi odważnych, lekkomyślnych, romantycznych,

zdecydowanych, a czasem i przestępców. Ludzkość traciła je z pola widzenia. Później zwiadowcy Instrumentalności natrafiali na istoty ludzkie, całe miasta i kultury, wysokie lub niskie, oparte na plemionach lub rodzinach – tam, dokąd trafiły statki-wydmuszki, daleko poza najdalszymi rubieżami spenetrowanego kosmosu. Przyrządy wykrywały planetę typu ziemskiego, a wydmuszki, jak wielkie zdychające owady opadały na nią, budziły ludzi, otwierały się i ulegały samozniszczeniu, dostarczywszy do nowego świata nowo narodzonych osadników, kobiety i mężczyzn.

Arachozja wydawała się osadnikom dobrym światem. Piękne plaże, nad nimi wznoszące się klify nieskończonych riwier, na niebie dwa jasne księżyce, słońce wcale niedaleko. Maszyny sprawdziły wcześniej atmosferę i pobrały próbki wody, rozsiały po atmosferze i oceanach formy staroziemskiego życia, tak że przybysze, budząc się, od razu słyszeli śpiew ziemskich ptaków i wiedzieli, że ziemskie ryby przystosowały się do oceanów i obficie w nich rozmnożyły. Miało się tam żyć dobrze i wśród obfitości. Wszystko było na jak najlepszej drodze.

Na jak najlepszej drodze dla Arachozjan.

To wszystko prawda.

Tak brzmiała także, do pewnego momentu, historia opowiedziana przez kapsułę.

Potem jednak się z prawdą rozmijała.

Kapsuła nie przedstawiła pożałowania godnej, okropnej prawdy o Arachozji, lecz wymyśliła ciąg brzmiących wiarygodnie kłamstw. Głos dochodzący telepatycznie z kapsuły brzmiał jak dojrzała, ciepła i zadowolona kobieta – kobieta w średnim wieku, obdarzona przepięknym kontraltem.

Suzdał prawie zapragnął z nim porozmawiać, tak realna była ta osobowość. Skąd miał wiedzieć, że to przynęta, że wpada w pułapkę?

Głos brzmiał naprawdę, naprawdę autentycznie.

– A potem – powiedział – dopadła nas arachozyjska choroba. Nie ląduj. Trzymaj się z daleka. Tylko rozmawiaj. Opowiedz nam o medycynie. Nasi młodzi umierają. Bez powodu. Pola mamy żyzne, nasza pszenica jest bardziej złota niż na Ziemi, śliwki bardziej fioletowe, a kwiaty bielsze.

Wszystko ma się dobrze, tylko nie ludzie. Nasi młodzi wymierają... – powiedział kobiecie głos i zaniósł się szlochem.

– A są jakieś objawy? – pomyślał Suzdal, kapsuła zaś ciągnęła dalej, całkiem jakby usłyszała jego pytanie.

– Umierają... bez powodu. Nasi lekarze nie są w stanie niczego wykryć, nasza nauka nie potrafi niczego wykazać. Umierają i tyle. Wymieramy. Ludzie, nie zapomnijcie o nas! Człowieku, kimkolwiek jesteś, przybywaj szybko, przybywaj zaraz, sprowadź pomoc! Ale dla własnego dobra nie ląduj. Pozostań na orbicie i rozmawiaj z nami przez ekrany, abyś mógł zanieść swojemu światu prawdę o zagubionych dzieciach ludzkości wśród dziwnych i nieznanymi gwiazd!

Istotnie, bardzo dziwnych gwiazd!

Prawda jednak była o wiele dziwniejsza i o wiele bardziej okropna.

Suzdal był przekonany, że przekaz jest prawdziwy. Właśnie dlatego wybrano go na tę wyprawę – bo był pogodny, inteligentny i odważny; a przekaz wykorzystywał dokładnie te trzy cechy.

Później, dużo później, po aresztowaniu, zapytano go:

– Suzdal, ty głupcze, dlaczego nie sprawdziłeś tej wiadomości? Dla głupiego wabika naraziłeś na szwank bezpieczeństwo całej ludzkości!

– Wcale nie był głupi! – zaprotestował Suzdal. – Ta kapsuła alarmowa przemawiała smutnym, kobiecym głosem, a to, co mówiła, się zgadzało.

– Z czym? – zapytał śledczy, beznamiętnie i tępo.

Suzdal odpowiedział ze znużeniem i smutkiem:

– Z moimi książkami. Z moją wiedzą. – Po czym niechętnie dodał: – I z moim oglądem sytuacji...

– A twój ogląd był dobry? – odezwał się śledczy.

– Nie – przyznał Suzdal i słowo to zawisło w powietrzu, jakby miało być ostatnim wypowiedzianym przez niego. Jednak sam zaraz przerwał tę ciszę, dodając: – Zanim ustawiłem kurs i poszedłem spać, włączyłem moich oficerów bezpieczeństwa, z kostek, i kazałem im sprawdzić historię. Udało im się ustalić prawdziwą historię Arachozji. Bez problemu. Odszyfrowali ją ze wzorców z kapsuły alarmowej i opowiedzieli mi, bardzo szybko, jeszcze jak się budziłem.



– I co zrobiłeś?

– Zrobiłem, co zrobiłem. Zrobiłem to, za co spodziewam się otrzymać karę. Arachozjanie już chodzili mi po kadłubie. Przechwycili mój statek. I mnie złapali. Skąd miałem wiedzieć, że ta piękna, smutna historia jest prawdziwa tylko przez pierwsze dwadzieścia lat, o których opowiada ta kobieta. A to w ogóle nie jest żadna kobieta. Tylko klopt. Tylko pierwsze dwadzieścia lat...

Przez pierwsze dwadzieścia lat Arachozjanom wiodło się znakomicie. Potem zaś nadeszła katastrofa, choć zupełnie nie taka jak w opowieści z kapsuły.

Nie mogli tego zrozumieć. Nie wiedzieli, czemu im się to przytrafia. Nie wiedzieli, dlaczego odczekało dwadzieścia lat, trzy miesiące i cztery dni. Lecz ten czas nadszedł.

Sądzimy teraz, że to musiało być coś związanego z promieniowaniem ich słońca. Albo z pewną interakcją między tym promieniowaniem a reakcjami chemicznymi, których nawet przemądre maszyny statku-wydmuszki nie potrafiły zanalizować. Ten czynnik zaktywizował się i w okamgnieniu zaatakował wszystkich. Został zadany cios. Prosty i nie do obrony.

Mieli lekarzy. Mieli szpitale. Mieli nawet pewne możliwości badawcze.

Ale nie byli w stanie wystarczająco szybko przeprowadzić tych badań. Nie na tyle, by zdążyć przed katastrofą. Zdarzyło się coś bardzo prostego, acz potwornego i na gigantyczną skalę.

Kobiecość stała się kancerogenna.

Wszystkie kobiety na Arachozji zaczęły jednocześnie zapadać na raka – raka warg, raka piersi, raka macicy, czasem szczęki, czasem miękkich części ciała. Nowotwór miał wiele postaci, a mimo to zawsze był taki sam. Coś w widmie promieniowania słonecznego wpływało na ludzkie ciała i sprawiało, że pewna forma deoksykortykosteronu rozkładała się do pewnej, nieznannej na ziemi, formy pregnanediolu, która nieuchronnie wywoływała postępujący błyskawicznie nowotwór.

Najszybciej umierały małe dziewczynki. Kobiety tuliły się z płaczem do ojców i mężów. Matki próbowały pożegnać się z synami.

Jednym z czołowych lekarzy również była kobieta. Silna kobieta.

Bez skrupułów wycinała sobie żywą tkankę, kładła ją pod mikroskop, pobierała próbki własnego moczu, krwi, śliny i znalazła rozwiązanie: nie ma rozwiązania. A oprócz tego znalazła coś zarazem lepszego i gorszego niż rozwiązanie.

Może i słońce Arachozji zabija wszystko, co żeńskie, może i samice ryb pływają po morzach do góry brzuchami, a samice ptaków wyśpiewują ostatni, smutny, przenikliwy tryl, umierając nad jajami, które już nigdy się nie wyklują, może i samice zwierząt stękają i wyją w norach, do których schowały się przed bólem, jednak ludzkie samice nie będą się potulnie godzić z tym losem.

Nazywała się doktor Astarte Kraus.

## **Magia kloptów**

Ludzka samica była zdolna do czegoś więcej niż samica zwierzęcia.

Potrafiła zmienić się w samca. Z pomocą sprzętów ze statku wytworzono ogromne ilości testosteronu i zamieniono wszystkie ocalałe kobiety i dziewczynki w mężczyzn. Zarządzono masowe, obowiązkowe zastrzyki. Kobietom grubiały rysy, zaczynały odrobinę rosnąć, biusty robiły się płaskie, mięśnie silniejsze i po niecałych trzech miesiącach stawały się prawdziwymi mężczyznami.

Niektóre niższe formy życia przetrwały, gdyż nie miały wystarczająco wykształconej płci i nie potrzebowały do przetrwania tych konkretnych związków organicznych. Zniknęły ryby, a oceany zarosły rośliny; zniknęły ptaki, ale przetrwały owady – na planecie zaroilo się od ważek, motyli, zmutowanych odmian szarańczy, chrząszczy i innego robactwa.

Mężczyźni, którzy stracili kobiety, trudzili się ramię w ramię z mężczyznami uczynionymi z ciał kobiet.

A kiedy znali się wcześniej, spotykali się z powrotem w niewypowiedzianym smutku. Mąż i żona, oboje brodaci, silni, kłótniwi,

zdesperowani i zapracowani. Mali chłopcy, uświadamiający sobie nie wiadomo jakim sposobem, że nigdy nie będą mieli ukochanych, żon, córek.

Czymże jest jednak jakiś tam świat wobec zmotywowanego mózgu i płomiennego intelektu doktor Astarte Kraus? Została przywódcą swojego ludu, mężczyzn i kobieto-mężczyzn. Pchała ich naprzód, zmuszała do przetrwania, traktowała kolejnymi zimnymi przemyśleniami.

(Gdyby była osobą współczującą, może pozwoliłaby im wymrzeć. Lecz współczucie nie leżało w naturze doktor Kraus – mogła być tylko inteligentna, pozbawiona skrupułów i bezlitosna, naprzeciwko wszechświata, który chciał ją zniszczyć).

Zanim umarła, opracowała starannie przemyślany system genetyczny. Drobne skrawki tkanki pobranej od mężczyzn dawało się wszczepiać chirurgicznie do brzuchów, tuż pod otrzewną, pomiędzy jelitami – taka sztuczna macica, interwencja chemiczna i sztuczne zapłodnienie pozwalały mężczyznom rodzić chłopców.

Jaki sens bowiem rodzić córki, skoro wszystkie zaraz umrą? I ludzie Arachozji żyli dalej. Pierwsze pokolenie rozpamiętywało tragedię, na wpół obłąkane z bólu i rozczarowania. Zaczęli wysyłać kapsuły z wiadomościami, wiedząc, że na Ziemię dotrą najwcześniej za sześć milionów lat.

Ponieważ byli nowymi podróżnikami, zaryzykowali i zapuścili się dalej niż jakiegokolwiek inne statki. Udało im się znaleźć dobry świat, nie byli jednak pewni, gdzie są. Czy jeszcze w znanej galaktyce, czy może przeskoczyli do jakiejś innej? Trudno im było to poznać. Taktyka Starej Ziemi nakazywała nie wyposażać ekspedycji badawczych w zbyt wielką ilość sprzętu, z obawy, że niektóre z nich przejdą gwałtowne zmiany kulturowe albo staną się agresywnymi imperiami, a następnie zwrócą się przeciwko Ziemi i ją zniszczą. Ziemia pilnowała więc, by zawsze mieć przewagę.

Trzecie, czwarte i piąte pokolenie Arachozjan wciąż było ludźmi. Wyłącznie płci męskiej. Mieli ludzką pamięć, mieli ludzkie książki, znali słowa „mama”, „siostra”, „ukochana”, lecz już nie rozumieli, do czego się odnoszą.

Ludzkie ciało, którego ukształtowanie trwało na Ziemi cztery miliony lat, dysponuje potężnymi zasobami, potężniejszymi niż mózg, charakter czy nadzieje pojedynczego osobnika. I ciała Arachozjan zdecydowały za nich. Jako że żeńska biochemia oznaczała natychmiastową śmierć, skoro od czasu do czasu rodziły się dziewczynki, martwe i chowane byle gdzie, ciała dostosowały się do tego. Ludzie z Arachozji stali się na równi mężczyznami, jak i kobietami. Nadali sobie paskudny przydomek „kloptów”. Skoro nie mieli pożytków z życia rodzinnego, stali się napuszczonymi kogutami – miłość przetykali morderstwem, pieśni pojedynkami, ciągle szlifowali swoją broń, a prawo do reprodukcji musieli sobie wywalczyć w ramach osobliwego ustroju rodzinnego, którego nie zrozumiałby żaden przyzwoity Ziemianin.

Jednak przetrwali.

A ich metoda przetrwania była tak brutalna i ostra, że istotnie trudno ją było pojąć.

W niecałe czterysta lat Arachozjanie zorganizowali się w grupy wojujących klanów. Wciąż mieli tylko jedną planetę, krążącą wokół tylko jednego słońca. Mieszkali tylko w jednym miejscu. Mieli kilka statków kosmicznych, które sami sobie zbudowali. Ich nauka, sztuka i muzyka posuwały się do przodu nagłymi zrywami natchnionego neurotycznego geniuszu, brakowało im bowiem fundamentu ludzkiej osobowości, owej równowagi pierwiastka męskiego i żeńskiego, rodziny, wpływów miłości, nadziei, potomstwa. Przetrwali, lecz jednocześnie stali się potworami. I nie wiedzieli o tym.

Ze wspomnień o dawnej ludzkości upletli sobie legendę o Starej Ziemi. W owej legendzie kobiety były istotami ułomnymi, które się zabijało. Upośledzonymi, likwidowanymi istotami. Rodzina zaś – ohydą i zwyrodnieniem, które poprzysięgli wyplenić, jeśli kiedykolwiek się z nim zetkną.

A sami zostali brodatymi homoseksualistami, z pomalowanymi ustami, ozdobnymi kolczykami, pięknymi lokami. Rzadko trafiali się wśród nich starsi wiekiem. Zabijano ich, zanim się zestarzelili, to bowiem, czego nie dało się osiągnąć miłością, relaksem i otuchą, zdobywało się u nich przez

walkę i śmierć. Układali pieśni, w których obwoływali się ostatnim bastionem dawnego człowieka i pierwszym przyczółkiem nowego, wyśpiewywali nienawiść dla ludzkości, z którą mieli się spotkać, śpiewali „Biada Ziemi, jeśli ją znajdziemy”, a mimo to coś w środku kazało im do każdej pieśni dokleić refren, który nawet ich niepokoił:

*I oplakuję człowieka! Oplakuję was!*

Oplakiwali ludzkość, a mimo to planowali ją zaatakować.

## **Pułapka**

Suzdal dał się nabrać kapsule alarmowej. Położył się z powrotem spać, a ludziom-żółwiom polecił skierować krążownik na Arachozję, gdziekolwiek to jest. To nie było szaleństwo ani bezmyślność. Decyzję podjął po starannym namyśle. Decyzję, za którą został później przesłuchany, postawiony przed sądem, sprawiedliwie osądzony i skazany na los gorszy od śmierci.

Zasłużył na to.

Poleciał na Arachozję, nie zadawszy sobie najbardziej fundamentalnego pytania: jak będzie w stanie powstrzymać Arachozjan, te rozśpiewane monstra, by nie wyszły dokąd wraca i nie zniszczyły całej Ziemi? Może faktycznie ich przypadłość okaże się zaraźliwa, a może ich brutalne społeczeństwo będzie chciało obrócić w popiół i pył wszelkie inne ziemskie społeczności? Nie pomyślał o tym, dlatego o wiele później został przesłuchany, osądzony i skazany. Jeszcze do tego dojdziemy.

## **Przylot**

Obudził się na orbicie Arachozji, a budząc się, już wiedział, że popełnił błąd. Kadłuba krążownika uczepliły się dziwne statki, niczym złowrogie pąkle z nieznanego oceanu, przyczepione do znajomego okrętu. Rozkazał ludziom-żółwiom uruchomić napęd – i napęd nie zadziałał.

Istoty na zewnątrz, kimkolwiek były – kobietami, mężczyznami, zwierzętami czy bogami – opanowały technikę na tyle, by unieruchomić mu statek. Suzdał natychmiast uświadomił sobie swój błąd. Przyszło mu oczywiście do głowy, by zniszczyć siebie i statek, obawiał się jednak, że jeśli siebie zniszczy, a statek nie całkiem, będzie szansa, że krążownik, nowoczesny model, wyposażony w nowe uzbrojenie, wpadnie w łapy chodzących po jego kadłubie stworów. Nie mógł ryzykować, że uda mu się tylko własne samobójstwo. Trzeba było podjąć bardziej drastyczny krok. To nie była pora na przestrzeganie ziemskich reguł.

Jego oficer bezpieczeństwa – duch z kostki obudzony do ludzkiej postaci, wyszeptał mu szybkimi, inteligentnymi sapanieściami całą historię:

– Sir, to są ludzie. Są bardziej ludźmi ode mnie. Ja jestem duchem, echem opartym na dawno umarłym mózgu. A to są prawdziwi ludzie, komandorze Suzdał, ale najgorsi, jakich można spotkać między gwiazdami. Sir, musi pan ich zniszczyć!

– Nie mogę – powiedział Suzdał, próbując się całkowicie obudzić. – To w końcu ludzie.

– To musi pan ich pokonać. Dowolnymi środkami, sir. Dowolnymi, czyli jakimi bądź. Uratować Ziemię. Powstrzymać ich. Ostrzec Ziemię.

– A ja? – zapytał i natychmiast pożałował, że zadał tak samolubne, osobiste pytanie.

– Pan zginie, albo poniesie karę – odparł współczująco oficer – i nie wiem, który los będzie gorszy.

– Teraz?

– Natychmiast. Nie ma już czasu. W ogóle nie ma czasu.

– Ale reguły?

– Pan już dawno wykroczył daleko poza reguły.

Były oczywiście reguły, lecz Suzdał zostawił je wszystkie daleko za sobą.

Reguły na zwykłe zdarzenia, zwykłe miejsca, zrozumiałe zagrożenia.

A to był koszmar zgotowany przez ludzkie ciała, napędzany ludzkimi umysłami. Monitory już informowały go, kim są ci ludzie, ci z pozoru maniacy, ludzie, którzy nigdy nie znali kobiet, chłopcy, którzy dorastali wśród żądy i walk, w rodzinach, których nie zaakceptowałby normalny ludzki mózg, nie uwierzyłby w nie, nie zniósłby ich. Byli ludźmi i zarazem nie byli. Mieli ludzkie umysły, ludzką wyobraźnię, ludzką mściwość, a mimo to Suzdal, odważny oficer, był tak przerażony samą ich naturą, że nie mógł odpowiedzieć na ich prośby o nawiązanie łączności.

Czuł, że kobiety-żółtvice w jego załodze nie posiadają się z niepokoju – docierało do nich, kto wali im w kadłub i kto przez wielkie megafony obwieszcza, że chce wejść, wejść, wejść.

Suzdal popełnił zbrodnię. Instrumentalność szczyci się tym, że pozwala swoim oficerom popełniać zbrodnie, błędy czy samobójstwa. Instrumentalność bowiem robi dla ludzkości to, czego nie zrobi żaden komputer. Instrumentalność zostawia pole manewru ludzkiemu umysłowi i ludzkiej decyzji.

Instrumentalność przekazuje swoim ludziom mroczną wiedzę o sprawach, których na ogół się w zamieszkanym świecie nie porusza, sprawach zakazanych zwykłym mężczyznom i kobietom – ponieważ jej funkcjonariusze, kapitanowie, naczelnicy dowódcy, ich zastępcy, muszą to wiedzieć, żeby spełniać swoje zadania. Inaczej zginąć mogłaby cała ludzkość.

Sięgnął do swojego arsenału. Wiedział, co robi. Większy księżyc Arachozji nadawał się do zamieszkania. Widział, że już są na nim ziemskie rośliny i ziemskie owady. Monitory pokazywały mu też, że Arachozjanom nie chciało się go zasiedlić. Z niepokojem zadał komputerom pytanie:

– W jakim on jest wieku?!

Maszyny odśpiewały:

– Ponad trzydzieści milionów lat.

Suzdal miał różne dziwne zasoby. Miał bliźnięta lub czworaczki niemal wszystkich ziemskich zwierząt. Siedziały w małych kapsułkach, jak od lekarstw, w postaci plemników i jajeczka, gotowe do zasiań. Miał także

małe żywe bomby, które mogły dać dowolnej formie życia chociaż cień szansy na przetrwanie.

Poszedł do tego banku i pobrał z niego koty, osiem parok kotów, szesnaście ziemskich kotów, *Felix domesticus*, dobrze znanych nam wszystkim. Tych kotów, które się hoduje, czasem wykorzystuje do telepatii, a czasem bierze na statki w charakterze pomocniczej broni, kiedy umysły światłostrzelców kierują nimi, by walczyły z zagrożeniami.

Zaprogramował te koty. Wdrukował im przekaz równie potworny jak te, które uczyniły potwory z kobieto-mężczyzn Arachozji. Oto, co im wprogramował:

*Rozmnażajcie się i zmieniajcie.*

*Wymyślcie nową chemię.*

*Macie służyć człowiekowi.*

*Stwórzcie cywilizację.*

*Nauczcie się mówić.*

*Macie służyć człowiekowi.*

*Gdy człowiek was wezwie, pomożecie mu.*

*Idźcie, ale wróćcie.*

*Służyć człowiekowi.*

To nie były proste słowne polecenia. To były imprinty wdrukowane w samą molekularną strukturę tych zwierząt. Obciążenia w ich kodzie genetycznym. A potem Suzdał popełnił swoje wykroczenie przeciwko prawom ludzkości. Miał na pokładzie statku maszynę chronopatyczną. Urządzenie zniekształcające czas, przeważnie wykorzystywane przez chwilę, przez sekundę lub dwie, by uratować statek przed całkowitym zniszczeniem.

Kobieto-mężczyźni z Arachozji już przebijali się przez kadłub.

Słyszał ich wysokie pohukiwania, pełne delirycznej rozkoszy – widzieli w nim pierwszego z obiecanych wrogów, których nigdy dotąd nie spotkali, pierwszego potwora ze Starej Ziemi, który wreszcie do nich dotarł.



Prawdziwego złego nieprzyjaciela, dzięki któremu wreszcie pomszczą swój los.

Sam zachował spokój. Zaprogramował geny kotów. Zapakował je do żywych bomb. W niedozwolony sposób zmanipulował ustawienia maszyny chronopatycznej, tak, że zamiast cofnąć o sekundę statek ważący osiem tysięcy ton, cofnęła o dwa miliony lat ładunek niecałych czterech kilogramów. Wystrzelił koty na bezimienny księżyc Arachozji.

I daleko w przeszłość.

I wiedział, że nie będzie musiał czekać.

I nie musiał.

## **Koci świat Suzdala**

Koty przybyły. Ich statki zamigotały na nagim niebie nad Arachozją. Małe bojowe pojazdy zaatakowały. Koty, których chwilę temu jeszcze nie było, ale które potem miały dwa miliony lat na podążanie ścieżką wdrukowaną w umysły, rdzenie kręgowo, biochemię ciał i osobowość. Zmieniły się w coś w rodzaju ludzi, obdarzonych mową, inteligencją, nadzieją i poczuciem misji. A misja brzmiała: nawiązać kontakt z Suzdalem, uratować go, słuchać go i zniszczyć Arachozję.

Koty wydały ostrzegawcze bojowe okrzyki.

– Oto nadchodzi pierwszy dzień obiecanej ery! Oto nadchodzą koty!

Arachozjanie od czterech tysięcy lat czekali na bitwę i w końcu się doczekali. Koty ich zaatakowały. Dwa kocie pojazdy rozpoznały Suzdala. Koty się zameldowały:

– O Panie, o Panie, o Stwórcu Wszechrzeczy, Panie Czasu, Stwórcu życia, wieki całe czekaliśmy, by Ci służyć, służyć w Twoje Imię, ku Twojej Chwale! Dla Ciebie żyjemy, dla Ciebie umieramy! Jesteśmy Twoi!

Suzdal zawołał i przekazał rozkaz wszystkim kotom:

– Przegonić kloptów, ale nie zabijać wszystkich! – Powtórzył: – Przegonić ich i powstrzymać, póki nie ucieknę. – Skoczył krążownikiem

w nieprzestrzeń i zniknął.

Nie ścigał go ani żaden kot, ani żaden Arachozjanin.

\*\*\*

Taka to była historia. Tragedia zaś polega na tym, że Suzdał wrócił. A Arachozjanie i koty nadal tam są. Instrumentalność może wie, gdzie to jest, a może nie wie. Ludzkość tak naprawdę nie chce się dowiedzieć. Tworzenie form życia wyższych od człowieka jest wbrew prawu. A koty mogą być czymś takim. Może ktoś wie, czy Arachozjanie wygrali, pozabijali koty, przejęli ich osiągnięcia naukowe i teraz szukają nas w kosmosie, po omacku jak ślepcy, by nas spotkać, znienawidzić, wymordować. A może wygrały koty.

Może te koty mają wdrukowaną osobliwą misję, cudaczną nadzieję służenia ludziom, których nie rozpoznają. A może myślą, że wszyscy jesteśmy Arachozjanami i należy spośród nas oszczędzić tylko jednego konkretnego dowódcę krążownika, którego nigdy nie zobaczą.

Nie zobaczą Suzdała, albowiem wiemy, co się z nim stało.

## **Proces Suzdała**

Postawiono go przed sądem na wielkiej scenie, na otwartej przestrzeni. Cały proces nagrywano.

Zapuścił się tam, gdzie nie powinien. Zaczął szukać Arachozjan, nie pomyślawszy, nie poprosiwszy o radę i posiłki. Skąd mu przyszło do głowy pomóc komuś, kto tkwi w tym nieszczęściu od stuleci? Czy to w ogóle jego sprawa?

I jeszcze te koty. Mieliśmy zapisy ze statku, pokazujące, że z tego księżycyca faktycznie coś przyleciało. Statki kosmiczne, istoty obdarzone głosem, potrafiące komunikować się z ludzkim mózgiem. Nie mamy nawet pewności, czy mówiły ziemskim językiem, komunikowały się

bowiem bezpośrednio z odbiornikami. Może robiły to bezpośrednio telepatią. Przystępstwo polegało jednak na tym, że Suzdalowi się udało.

Rzucając koty dwa miliony lat w przeszłość i programując je na przetrwanie i rozwinięcie cywilizacji, tak by przyszły mu na ratunek, w niecałą sekundę obiektywnego czasu stworzył cały nowy świat.

Chronopatyczna machina pchnęła maleńkie żywe bomby na wilgotną glebę wielkiego księżycy Arachozji. W czasie krótszym niż trzeba, by zapisać te słowa, bomby wróciły w postaci floty zbudowanej przez nowy lud, lud ziemski, choć pochodzący od kotów i liczący sobie dwa miliony lat.

Sąd odebrał Suzdalowi imię i powiedział:

– Już nie będziesz nazywać się Suzdal.

Sąd odebrał Suzdalowi stopień.

– Nie będziesz komandorem ani naszej marynarki, ani żadnej innej, ani imperialnej, ani instrumentalnej.

Sąd odebrał Suzdalowi życie.

– Nie będziesz dłużej żył, były komandorze i były Suzdalu.

A potem sąd odebrał Suzdalowi także śmierć.

– Trafisz na planetę Shayol, miejsce największej hańby, z którego nikt nigdy nie wraca. Pojedziesz tam okryty pogardą i nienawiścią całej ludzkości. Nie ukarzymy cię. W ogóle nie chcemy więcej o tobie słyszeć. Będziesz żył, ale dla nas jakbyś przestał istnieć.

I to jest koniec historii. Smutna i przepiękna historia. Instrumentalność próbuje pocieszać wszystkie gatunki ludzkości, twierdząc, że to nieprawda, że to tylko ballada.

Możliwe, że są jakieś zapisy. Może szaleni kloptowie z Arachozji faktycznie gdzieś rodzą swoich chłopczków, zawsze przez cesarskie cięcie, karmią ich, wyłącznie butelką, od pokoleń znając tylko ojców i nie mając pojęcia, co oznacza słowo „matka”. Możliwe, że Arachozjanie spędzają swoje szalone życie na nieustającej wojnie z inteligentnymi kotami w służbie ludzkości, która może nigdy do nich nie wrócić.

I to by było tyle.

A poza tym to wszystko nieprawda.

## JAKI BYŁ ZŁOTY, JEJU, JEJU!

„Kocia afera” może odnosić się do wypadku z partnerami światłostrzelców, do podludzi, albo nawet do rasy inteligentnych kotów stworzonych przez komandora Suzdala – Smith nigdy nie sprecyzował tego nawiązania. Podobnie jest z ewentualnym związkiem pomiędzy imperium Raumsoga a Jasnym Imperium, o którym wspomina zdawkowo w *Norstrillii* oraz *Planecie zwanej Shayol*. W każdym razie opowiada o okresie w historii Instrumentalności przed Drugim Odkryciem Ludzkości, gdy Ziemia była u szczytu dekadencji. To opowiadanie również, nawiasem mówiąc, powstało we współpracy z Genevieve Linebarger.

Agresja zaczęła się bardzo dawno.

Wojna z Raumsogiem wybuchła mniej więcej dwadzieścia lat po wielkiej kociej aferze, która przez pewien czas groziła odcięciem Ziemi od rozpaczliwie jej potrzebnego leku *santaclara*. Wojna była krótka i zacięła.

Mądra, zepsuta, zmęczona i stara Ziemia walczyła zamaskowaną bronią, gdyż tylko niewidoczna broń była w stanie utrzymać jej wiekową suwerenność – suwerenność, która dawno temu przekształciła się w tytularną władzę nad wszystkimi ludzkimi społecznościami. Ziemia wygrała, inni przegrali, przywódcy Ziemi bowiem zawsze nad wszystko przedkładali kwestię przetrwania. A tym razem uznali, że zagrożenie jest naprawdę realne.

Wojna z Raumsogiem nigdy nie przedostała się do publicznej świadomości, nie licząc wskrzeszenia dziwnych, pradawnych legend o złotych statkach.

## I

Lordowie Instrumentalności spotkali się na Ziemi. Przewodniczący rozejrzał się po sali i powiedział:

– No cóż, moi panowie, wszyscy zostaliśmy przekupieni przez Raumsoga. Wszystkim nam po kolei dał w łapę. Ja sam otrzymałem sześć uncji najczystszej strunu. Czy ktoś może się pochwalić korzystniejszym targiem?

Członkowie rady zaczęli wymieniać kwoty swoich łapówek.

Przewodniczący zwrócił się do sekretarza.

– Wpisz kwoty łapówek do protokołu, a potem zaznacz, że protokół jest poza protokołem.

Reszta kiwnęła poważnie głowami.

– Ale teraz trzeba walczyć. Przekupstwo to za mało. Raumsog grozi, że zaatakuje Ziemię. Na groźby mogliśmy mu pozwalać, to nie kosztuje wiele, ale oczywiście nie pozwolimy mu tych gróźb zrealizować.

– A jak go powstrzymamy, lordzie przewodniczący? – wychrypiął stary, ponury członek rady. – Wyciągniemy złote statki?

– Tak właśnie. – Przewodniczący był śmiertelnie poważny.

Po sali przebiegły mrukliwe westchnienia. Wiele stuleci temu użyto złotych statków przeciwko nieludzkim formom życia. Były ukryte gdzieś w pozaprzestrzeni i tylko garstka ziemskich urzędników wiedziała, na ile są realne. Nawet na poziomie lordów Instrumentalności i złożonej z nich rady nie do końca było wiadomo, gdzie one dokładnie są.

– Wystarczy – powiedział przewodniczący – jeden statek.

I wystarczył.

## II

Dyktator lord Raumsog poznał tę różnicę parę tygodni później.

– Nie mówicie poważnie – stwierdził. – Niemożliwe. Nie ma tak dużych statków. Złote statki to tylko bajka. Nikt nigdy nie widział zdjęcia.

– Proszę, oto zdjęcie – powiedział jego podwładny.

Raumsog spojrział na nie.

– To jakaś sztuczka. Jakiś trik fotograficzny. Powiększyli go sztucznie. Wymiary się nie zgadzają. Nikt nie ma tak wielkiego statku. Nie dałoby się go zbudować, a gdyby nawet, nie dałoby się nim sterować. Nie ma czegoś takiego... – Gadał jeszcze przez chwilę, po czym dotarło do niego, że jego ludzie patrzą nie na niego, lecz na zdjęcie.

Uspokoił się.

Najodważniejszy z oficerów podjął kwestię.

– Wasza Wysokość, ten tutaj ma dziewięćdziesiąt milionów mil długości. Migocze jak płomień, ale porusza się tak szybko, że nie jesteśmy w stanie do niego podejść. Ale pojawił się pośrodku naszej floty, prawie zetknął się z naszymi statkami i był tam przez dwie czy trzy setne sekundy. Myśleliśmy, że to już koniec. Widzieliśmy oznaki życia na pokładzie, widzieliśmy poruszające się promienie światła – badali nas, a potem z powrotem wskoczyli w pozaprzestrzeń. Dziewięćdziesiąt milionów mil, Wasza Wysokość. Stara Ziemia ma jeszcze parę żądeł. Nic nie wiemy o zamiarach tego statku.

Zaniepokojeni oficerowie z zaufaniem wpatrzyli się w twarz swojego przywódcy.

Raumsog westchnął.

– Skoro trzeba walczyć, będziemy walczyć. Taki statek też zniszczymy. Co w końcu znaczy wielkość w przestrzeni międzygwiazdnej? Co za różnica, czy ma dziewięć mil, dziewięć milionów czy dziewięćdziesiąt milionów? – Znow westchnął. – Muszę jednak powiedzieć, że dziewięćdziesiąt milionów mil to faktycznie strasznie wielki statek. Nie mam pojęcia, jak oni go chcą użyć.

I nie miał pojęcia.

### III

To osobliwe – osobliwe, a nawet straszne – co może z ludźmi zrobić miłość do Ziemi. Dla przykładu, Tedesco.

Reputacja Tedesco sięgała daleko. Nawet między lot-kapitanami, którzy rzadko zaprzęтали sobie głowę takimi kwestiami, Tedesco był znany ze swojego stroju, fircykowatego kroju galowej peleryny i wysadzanych kamieniami odznak. Słyszał także z ospałości w zachowaniu i wystawnego, sybaryckiego stylu życia. Gdy nadeszła wiadomość, nie wychodził ze swej zwykłej roli.

Leżał na poduszce powietrznej, a ośrodki przyjemności w mózgu miał podłączone do stymulującego prądu. Był tak pogrążony w rozkoszy, że znajdujące się wokół w apartamentach jedzenie, kobiety, stroje, książki popadły w zapomnienie i zaniedbanie. Zapomniana została wszelka przyjemność poza przyjemnością działania na mózg prądem.

A ta rozkosz była tak wielka, że Tedesco tkwił podłączony bez przerwy od dwunastu godzin, otwarcie łamiąc regułę nakazującą nieprzekraczanie sześciu.

Mimo to, gdy nadeszła wiadomość – przekazana mu bezpośrednio do mózgu przez mikroskopijny kryształ, wstawiony tam, by transmitować wiadomości tak tajne, że nawet myśl była zbyt podatna na przechwycenie – gdy nadeszła wiadomość, Tedesco przebił się z wielkim trudem przez kolejne warstwy błogości i nieświadomości.

*Złote statki – statki ze złota – albowiem Ziemia w niebezpieczeństwie.*

Zaszamotał się. *Ziemia w niebezpieczeństwie.* Z westchnieniem rozkoszy uczynił wysiłek, by przycisnąć guzik wyłączający prąd. Po czym z westchnieniem wrócił do zimnej rzeczywistości, rozejrzał się po otaczającym świecie i zajął się czekającym go zadaniem. Pośpiesznie przygotował się do spotkania z lordami Instrumentalności.

Przewodniczący rady lordów Instrumentalności rozkazał lordowi admirałowi Tedesco objąć dowództwo nad złotym statkiem. A statek, większy od większości gwiazd, był niewiarygodnym monstrum. Już wieki

temu odstraszał niehumanicznych najeźdźców z zapomnianych zakątków galaktyk.

Lord admirał przeszedł się tam i z powrotem po mostku. Kabinę miał małą, sześć metrów na dziewięć. Cała sterownia mierzyła niecałe trzydzieści. Resztę stanowił złoty bąbel pozorujący kadłub statku, nic tylko cienka i niezwykle sztywna pianka, a na niej cieniutkie druciki, dające złudzenie twardego metalu i mocnego pancerza.

Dziewięćdziesiąt milionów mil długości było prawdą. I nic poza tym.

Statek był gigantyczną makietą, największym strachem na wróble, jaki kiedykolwiek zrodził się w ludzkim umyśle.

Stulecie za stuleciem spoczywał sobie w pozaprzestrzeni pomiędzy gwiazdami, czekając, aż się przyda. Teraz ruszył, bezradny i bezbronny, naprzeciwko wojowniczego i szalonego dyktatora Raumsoga oraz jego hordy walecznych i bardzo prawdziwych statków.

Raumsog łamał kosmiczne regulaminy. Zabijał światłostrzelców. Więził lot-kapitanów. Wykorzystywał renegatów i ich bandy, by napadać na potężne międzygwiazdne statki, a potem zbroił je po zęby. Miał znakomity plan na opanowanie ustroju, który nie zaznał prawdziwej wojny, nie mówiąc już o wojnie przeciw Ziemi.

Przekupywał, kantował, siał propagandę. Spodziewał się, że Ziemia upadnie na sam widok zagrożenia. Po czym przypuścił atak.

Lecz w obliczu ataku i Ziemia się zmieniła. Skorumpowani szubrawcy stali się tym, kim się mienili w tytułach – przywódcami i obrońcami ludzkości.

Także sam Tedesco był elegantem i fircykiem. Wojna uczyniła z niego agresywnego dowódcę, manewrującego największym statkiem w historii, jakby to była rakietą do tenisa.

Wbił się ostro i mocno w sam środek floty Raumsoga.

Skoczył statkiem na prawo, na północ, w górę, ponad nich.

Pojawił się przed wrogiem i uciekł mu – w dół, w przód, na prawo, w górę.

I znowu pojawił się przed nimi. Jeden celny strzał zniszczyłby złudzenie, od którego zależały losy całej ludzkości. Jego zadaniem było do



tego strzału nie dopuścić.

Tedesco nie był głupi. Wojował na swój osobliwy sposób, mimo woli zastanawiając się, gdzie właściwie toczy się prawdziwa wojna.

## IV

Książę Kaczkolub nosił ten osobliwy przydomek, ponieważ jego chiński przodek naprawdę lubił kaczkę, kaczkę po pekińsku – soczyste kacze piersi pojawiały się przed nim w marzeniach o kulinarnej ekstazie.

Jego partnerka, angielska lady, powiedziała: „Lord Kaczkolub całkiem pasuje!” – i ród przyjął to dumne miano. Książę Kaczkolub miał mały statek. Naprawdę maleńki, o bardzo prostej i groźnie brzmiącej nazwie: *Ktokolwiek*.

Statek nie był wpisany do rejestru kosmicznego, a on sam nie był na listach Ministerstwa Kosmicznej Obrony. Powiązany był jedynie z Urzędem Statystyczno-Badawczym, jako „pojazd” ziemskiego skarbu. Miał bardzo skromne środki obronne. Na pokładzie wiózł jednego debila chronopatycznego, niezbędnego dla końcowych, kluczowych dla powodzenia manewrów.

Poleciał z nim także monitor. Monitor, jak zawsze, siedział sztywny, katatoniczny, niemyślący, nieświadomy – nie licząc rejestratora, który stanowił jego żywy umysł, nieświadomie notujący wszystkie mechaniczne poruszenia statku. Był gotowy, by zniszczyć Kaczkoluba, debila chronopatycznego i cały statek, gdyby tylko spróbowali uciec spod władzy Ziemi, albo zwrócili się przeciwko niej. Monitor miał ciężkie życie, ale i tak lepsze od kary śmierci – a zwykle taka była alternatywa. Monitor nie sprawiał więc kłopotów. Kaczkolub miał także niewielki zbiór broni, starannie dobranej do atmosfery, klimatu i dokładnych warunków panujących na planecie Raumsoga.

Miał jeszcze silną psioniczkę, nieszczęsną, obłąkaną dziewczynę, która płakała, a lordowie Instrumentalności uparcie nie chcieli jej uleczyć –

ponieważ jej talenty objawiały się silniej w nieekranowanej formie, niż gdyby wcielono ją na nowo do ludzkiej wspólnoty. Była zakłóceniem etiologicznym III klasy.

## V

Kaczkolub podszedł swoim stateczkiem do atmosfery planety Raumsoga. Za ten statek zapłacił kapitanatowi ogromną sumę i zamierzał go przejąć na własność. Jeśli nie zawiedzie w tej awanturniczej misji, dadzą mu i statek, i jeszcze sownie zapłacą.

Lordowie Instrumentalności byli zepsutymi przywódcami zepsutego świata, nauczyli się jednak, jak to zepsucie wykorzystywać do swoich cywilnych i wojskowych celów. Porażek nie zamierzali tolerować. Jeśli Kaczkolub zawiedzie, najprawdopodobniej w ogóle nie wróci. I nie uratuje go żadne przekupstwo. Monitor nie pozwoli mu uciec. Ale jeśli mu się uda – będzie niemal tak bogaty jak mieszkaniec Starej Australii Północnej albo kupiec strunu.

Kaczkolub zmaterializował statek akurat na tyle, by skontaktować się z planetą przez radio. Przeszedł na drugi koniec kabiny i spoliczkował dziewczynę. Ta niezmiernie się ożywiła. U szczytu tego ożywienia nasunął jej hełm na głowę, podłączył do pokładowego systemu łączności i rzucił jej osobliwe psioniczne fale emocjonalne na całą planetę.

Dziewczyna była przynosicielką pecha. Udało jej się: na parę sekund na całej planecie, nad wodą, na wodzie i pod wodą, na niebie i w powietrzu, wszędzie zaczął się przytrafiać drobny pech. Zdarzały się kłótnie, wypadki, zbiegi okoliczności na pograniczu prawdopodobieństwa. Wszystko to działo się w tej samej minucie. W eterze podniósł się krzyk, dokładnie wtedy, gdy Kaczkolub przesunął się statkiem na następną pozycję. Teraz nastąpiła najbardziej krytyczna chwila. Opadł w atmosferę. Natychmiast został wykryty. Wycelowały się ku niemu drapieżne lufy, bronie na tyle

ciężkie, że mogły spalić samo powietrze i przerazić do wrzasku wszystkie żywe istoty na dowolnej planecie.

Nic ziemskiego nie obroniłoby go przed takim atakiem.

Kaczkolub jednak się nie bronił. Chwycił za ramiona chronopatycznego debila. Uszczypnął go; debil uciekł, zabierając statek ze sobą. Cofnęli się o trzy-cztery sekundy w czasie, odrobinę przed pierwsze wykrycie. Wszystkie przyrządy na planecie Raumsoga zgasły. Nie było nic, na czym mogłyby się oprzeć.

Kaczkolub był gotowy. Zrzucił ładunki bojowe, a nie była to szlachetna broń.

Lordowie Instrumentalności udawali rycerskich i kochali pieniądze, naprawdę, ale gdy szło o życie i śmierć, nie dbali o forszę, kredyty, czy nawet honor. Walczyli jak zwierzęta z zamierzchłej ziemskiej przeszłości – walczyli, by zabić. Kaczkolub zrzucił na planetę mieszaną organicznych i nieorganicznych trucizn, w formie szybko rozprzestrzeniającego się pyłu. Do wieczora miało umrzeć siedemnaście milionów ludzi, dziewięćdziesiąt pięć procent populacji.

Znów uderzył chronopatycznego debila. Biedny wariat jęknął. Statek cofnął się o kolejne dwie sekundy w czasie.

Zrzucając dalsze ładunki trucizn, czuł, jak wyciągają się ku niemu mechaniczne przekaźniki.

Przeskoczył na drugą stronę planety, po raz ostatni cofając się w czasie, zrzucił ostatni ładunek zjadliwych środków rakotwórczych i wystrzelił w pozaprzestrzeń, w najdalsze rubieże nicości. Tam był daleko poza zasięgiem Raumsoga.

## VI

Złoty statek Tedesco sunął majestatycznie ku umierającej planecie. Ścigały go myśliwce Raumsoga. Strzelały, a on robił uniki, zdumiewająco zręcznie jak na tak olbrzymi pojazd, większy niż jakiegokolwiek słońce wodoczne na

niebie w tej części kosmosu. Lecz w miarę jak zbliżały się do niego, ich radia meldowały:

- Stolica nie reaguje.
- Raumsog nie żyje.
- Północ nie odpowiada.
- W stacji przekaźnikowej umierają ludzie.

Flota przegrupowała się, skomunikowała ze sobą i zaczęła się poddawać. Złoty statek pojawił się jeszcze raz, a potem zniknął, zdaje się, że na zawsze.

## VII

Lord Tedesco wrócił do swoich apartamentów i do prądu podłączanego do mózgowego ośrodka przyjemności. Jednak, gdy układał się na poduszce powietrznej, a ręka już wędrowała do włącznika prądu, niespodziewanie coś ją powstrzymało. Uświadomił sobie nagle, że już czuje przyjemność. Rozmyślanie o złotym statku i o tym, czego dokonał – sam, podstępem, nie czekając na pochwały wszystkich światów za ten samotny wyczyn – sprawiało mu większą przyjemność niż prąd elektryczny. Opadł więc na poduszkę powietrzną i zaczął myśleć o złotym statku, a rozkosz była większa niż kiedykolwiek.

## VIII

Na Ziemi, lordowie Instrumentalności taktownie przyznali, że złoty statek zniszczył wszelkie życie na planecie Raumsoga. Na wszystkich ludzkich światach złożono im hołd. Kaczkoluba, debila, dziewczynkę i monitora zabrano do szpitala. Wykasowano im z umysłów wszelkie ślady ich dokonań.

Sam Kaczkolub stanął potem przed lordami Instrumentalności. Miał wrażenie, że służył na złotym statku, ale nie pamiętał, co zrobił. Nie miał pojęcia o chronopatycznym debilu. Nie pamiętał niczego o swoim małym „pojeździe”. Łzy płynęły mu po twarzy, gdy lordowie przypinali mu najwyższe odznaczenia i wypłacali ogromną sumę pieniędzy. Powiedzieli:

– Zasłużyłeś się świetnie. Zwalniamy cię teraz ze służby. Niech po wiek wieków będzie z tobą wdzięczność ludzkości...

Kaczkolub wrócił do swej rezydencji, zastanawiając się, czym takim się zasłużył. Zastanawiał się także, przez setki lat życia, jak to możliwe, że ktoś – na przykład on – został tak wielkim bohaterem, a nie bardzo pamięta, jak to się stało.

## IX

Na bardzo odległej planecie zwolniono z internowania ocalałych członków załogi krążownika Raumsoga. Na mocy specjalnych rozkazów, prosto z Ziemi, rozsynchronizowano im wspomnienia, tak by nie mogli określić, dlaczego zostali pokonani. Za jednym z nich zaczął chodzić uparty dziennikarz. Lecz po wielu godzinach intensywnego picia odpowiedź marynarza dalej brzmiała tak samo:

– Jeju, jaki był złoty, jeju, jeju! Jeju, jaki był złoty, jeju, jeju!

## UMARŁA PANI Z MIASTA PROSTACZKÓW

Akcja opowiadania, w którym mowa o siedmiu pokoleniach Żestokostów, prawdopodobnie toczy się dwa tysiące lub więcej lat przed Drugim Odkryciem Ludzkości, które jest w nim zapowiadane. Oczywiście są tu nawiązania do legendy o Joannie d'Arc, podobnie jak aluzje do Dawnej Potężnej Religii, natomiast niektóre z nazw własnych już nie są tak przejrzyste. „Anfang” to po niemiecku dosłownie „początek”, a „Panc Aszasz” to w języku hindi „pięć-sześć”[1]. Styl narracji w opowiadaniu wywodzi się z chińskiej literatury; Smith zaczął się nim posługiwać w ostatnim etapie twórczości, choć użył go wcześniej w paru niepublikowanych historycznych opowiadaniach – już w roku 1939.

### I

Koniec już znacie – wielki dramat lorda Żestokosta, siódmego z rodu, oraz to, jak dziewczyna-kot Ka-Mell zapoczątkowała wielki spisek. Nie znacie natomiast początku, nie wiecie skąd swoje miano wziął pierwszy lord Żestokost – a inspiracją dla jego matki, lady Goroke, była okropna, prawdziwa tragedia dziewczyny-psy, Pi-Joan. Jeszcze mniej prawdopodobne, byście znali drugą historię kryjącą się za postacią Pi-Joan. Czasem nawiązuje się do niej, wspominając o „bezimiennej wiedźmie”, co jest bez sensu, naprawdę bowiem miała imię. Było to imię „Elaine”, starożytne i zakazane.

Elaine była pomyłką. Jej narodziny, życie, kariera – wszystko było pomyłką. Rubin się mylił. Jak to się mogło stać?

Trzeba wrócić do An-Fangu, do Placu Pokoju w An-Fangu, Placu Początku w An-Fangu, gdzie wszystko się zaczęło. Jasno tam było. Plac Czerwony, martwy plac, pusty plac, pod żółtym słońcem.

Działo się to na Pierwszej Ziemi, Kolebce Ludzkości, gdzie Ziemioport pnie się w górę, przebijając burzowe chmury wyższe od gór.

An-Fang leżał w pobliżu miasta, jedyne ocalałego miasta o nazwie sprzed epoki atomowej. Ta piękna, pozbawiona znaczenia nazwa brzmiała Maja Mi Efel, gdzie linie starodawnych szos, od tysięcy lat nietkniętych kołami, przez wieczność biegly równolegle do ciepłych, jasnych, czystych plaż Starego Południowego Wschodu.

W An-Fangu mieściła się centrala Programatora Ludzi, i to właśnie tam zaszła pierwsza pomyłka:

Rubin drgnął. Dwie turmalinowe sieci nie zdołały skorygować promienia lasera. Diament zarejestrował błąd. Zarówno błąd, jak i poprawka powędrowały do głównego komputera.

Wskutek błędu został wybrany, na podstawie rozkładu narodzin na Fomalhaucie III, zawód „naturalnej terapeutki z wrodzoną, intuicyjną zdolnością naprawiania ludzkiej fizjologii przy wykorzystaniu miejscowych zasobów”. Na pierwszych statkach nazywano te kobiety „wiedźmami”, ponieważ ich leczenie bywało niezrozumiałe. U pionierów i osadników owe znachorki były bezcenne; w zakorzenionych, post-Riesmannowskich społeczeństwach stawały się kłopotem i ciężarem. W dobrych warunkach choroby zanikały, wypadki nie zdarzały się prawie nigdy, a lekarz stawał się urzędnikiem.

Po co komu wiedźma, choćby i dobra, gdy na pacjentów czeka szpital na tysiąc łóżek, pełen personelu żadnego klinicznego doświadczenia... a tylko siedem z tych łóżek zajmują prawdziwi pacjenci? (Pozostałe wypełniały imitujące życie roboty, na których personel mógł ćwiczyć, żeby zachować morale). Mogli oczywiście praktykować na podludziach – zwierzętach o ludzkiej postaci, wykonujących wszystkie ciężkie i męczące prace, będących ostatnią paskudną pozostałością w naprawdę doskonale

funkcjonującej gospodarce – ale przyjmowanie zwierząt, choćby i były podludźmi, do ludzkiego szpitala było wbrew prawu. Gdy podludzie chorowali, zajmowała się nimi Instrumentalność – w rzeźni. Łatwiej było wyhodować nowych podludzi do konkretnych zadań, niż męczyć się z naprawianiem chorych. A po drugie, troskliwa i czuła opieka szpitalna mogłaby im nasunąć różne pomysły. Na przykład taki, że są ludźmi. A to byłoby problemem – tak się przeważnie uważało. Dlatego ludzkie szpitale świeciły pustkami, podczas gdy podczłowiek, który cztery razy kichnął, albo raz zwymiotował, był zabierany i już nigdy nie zdarzyło mu się zachorować. Puste łóżka zajmowały roboty-pacjenci, ciągle okazujące objawy typowo ludzkich urazów i chorób. Nie zostawało nic do roboty dla wieźm, nawet urodzonych i wyszkolonych do tego fachu.

Mimo to rubin drgnął, program faktycznie popełnił błąd; dla Fomalhauta III została zamówiona „naturalna terapeutka do natychmiastowego wykorzystania”.

Dużo później, gdy tę historię przeanalizowano do ostatniego historycznego szczegółu, zaczęto badać, skąd wzięła się Elaine. Gdy laser drgnął, do maszyny weszły oryginalne zamówienie oraz jego korekta. Maszyna zauważyła sprzeczność i natychmiast przesłała oba dokumenty do rozstrzygnięcia przez żywego administratora, prawdziwego człowieka, który zajmował to stanowisko od siedmiu lat.

Uczył się muzyki i nudziło mu się. Był tak blisko końca swojego kontraktu, że już odliczał dni do wolności. A tymczasem bawił się w nową aranżację dwóch popularnych piosenek. Jedna nazywała się *Gruby bambus* i była prymitywnym utworem próbującym przywołać pierwotną ludzką magię. Druga była o dziewczynie – *Elaine, Elaine*, którą piosenka błagała, by uleczyła ból i przywróciła sen. Żadna z tych piosenek nie była ważna, ale wzięte razem wpłynęły na bieg historii, najpierw odrobinę, a potem bardzo znacząco.

Muzyk miał masę czasu na ćwiczenie gry. Podczas całych siedmiu lat ani razu nie zdarzyła się sytuacja awaryjna. Maszyna od czasu do czasu coś mu raportowała, on wtedy po prostu mówił jej, żeby skorygowała własne błędy, a ona to niezawodnie robiła.



W dniu, gdy zdarzył się incydent z Elaine, próbował wyćwiczyć palcowanie na gitarze, bardzo starym instrumencie, pochodzącym prawdopodobnie z epoki przedkosmicznej. Po raz setny grał *Grubego bambusa*.

Maszyna najpierw zasygnalizowała błąd melodyjką. Administrator dawno zapomniał wszystkie instrukcje, których siedem lat temu z wielkim poświęceniem wyuczył się na pamięć. Alarm zresztą nie miał większego znaczenia, bo maszyna zawsze korygowała własne błędy, obojętne, czy administrator był na dyżurze, czy nie.

Skoro na melodyjkę nikt nie zareagował, maszyna zasygnalizowała alarm drugiego poziomu. Wrzasnęła wysokim, czystym ludzkim głosem, głosem jakiegoś pracownika, który umarł tysiąc lat temu, z głośnika wbudowanego w ścianę pokoju:

– Alarm, alarm! Uwaga, uwaga, potrzebna korekta. Potrzebna korekta!

Odpowiedzi, jaka nadeszła, maszyna nigdy nie słyszała, choć liczyła sobie sporo lat. Palce muzyka z radością-czułością przebiegły po gryfie gitary, a sam wyśpiewał maszynie czysto, z zapalem, rozkaz tak dziwny, że żadna maszyna by go nie zrozumiała:

*W gruby Bambus wal, wal, wal!*

*Dla mnie w Bambus wal!*

Maszyna pośpiesznie uruchomiła wszystkie swoje banki pamięci i zaczęła szukać w nich odwołania do słowa „bambus”, usiłując je przypasować do bieżącego kontekstu. Niczego takiego nie znalazła, więc raz jeszcze pomęczyła człowieka:

– Polecenie niejasne. Polecenie niejasne. Proszę poprawić.

– Cicho bądź – odezwał się człowiek.

– Nie mogę wykonać – obwieściła maszyna. – Proszę poprawić i powtórzyć dwukrotnie. Proszę poprawić i powtórzyć dwukrotnie.

– Zamknijże się – powiedział człowiek, choć już wiedział, że maszyna nie usłucha. Bez zastanowienia przeszedł do drugiej piosenki i dwa razy zaśpiewał dwa pierwsze wersy:

*Elaine, Elaine,  
Ulecz ból, przywróć sen!  
Elaine, Elaine,  
Ulecz ból, przywróć sen!*

Maszyna miała wprowadzone zabezpieczenie reagujące na powtórzenia: zakładano, że żaden prawdziwy człowiek nie powtórzy czegoś błędnego. Imię „Elaine” nie było poprawnym kodem, ale wydawało się, że poczwórne podkreślenie potwierdza zamówienie „naturalnej terapeutki”. Maszyna zapisała także, że prawdziwy człowiek skorygował opis sytuacyjny przedstawiony mu w sytuacji wyjątkowej.

– Przyjęte – powiedziała maszyna.

To słowo wreszcie, choć za późno, oderwało administratora od muzyki.

– Co przyjęte? – zapytał.

Nie usłyszał żadnego głosu. Żadnego dźwięku, poza szmerem lekko nawilżonego ciepłego powietrza z wentylatorów.

Administrator zerknął za okno. Widział kawałek krwistoczarnej czerwieni placu Pokoju w An-Fangu, a za nim leżał ocean, bez końca piękny i bez końca męczący.

Westchnął z nadzieją. Był młody.

– Chyba już nieważne – pomyślał, biorąc z powrotem gitarę.

(Trzydzieści siedem lat później dowiedział się, że jednak było to ważne. Sama lady Goroke, jedna z szefów Instrumentalności, wysłała swojego podszefa, by dowiedział się, co spowodowało Pi-Joan. Gdy stwierdził, że źródłem problemów była wiedźma Elaine, posłała go, by wykrył, skąd w uporządkowanym wszechświecie wzięła się Elaine. Znalezionego administratora. Wciąż był muzykiem. Nie pamiętał z tamtych zdarzeń nic. Zahipnotyzowali go. Wciąż nic nie pamiętał. Podszef ogłosił sytuację wyjątkową – podano muzykowi Środek Policyjny nr 4 („czysta pamięć”). Natychmiast przypomniał sobie całą tę głupią scenę, upierał się jednak, że nie miała ona żadnego znaczenia. Sprawę zreferowano lady Goroke. Poleciała władzom zapoznać muzyka z całą straszną i piękną historią Pi-Joan z Fomalhauta – czyli właśnie tą historią, której w tej chwili słuchacie.

Rozpłakał się. Innej kary mu nie wymierzono, choć lady Goroke rozkazała także, by owe wspomnienia pozostały w jego umyśle do końca życia).

Podniósł gitarę, a maszyna pracowała dalej.

Wybrała zapłodniony ludzki embrion, oznaczyła go tym cudacznym imieniem „Elaine”, wszczepiła do kodu genetycznego silne wiedźmie zdolności, a potem zapisała na karcie człowieka skierowanie na szkolenia medyczne i transport statkiem żaglowym na Fomalhauta III oraz oddelegowanie do służby na tej planecie.

Elaine urodziła się jako niepotrzebna, niechciana, pozbawiona umiejętności, które mogłyby pomóc czy zaszkodzić jakiegokolwiek istniejącej ludzkiej istocie. Wkroczyła w życie bezużyteczna i skazana na klęskę.

W tym, że była niewydarzona, nie było nic nadzwyczajnego. Omyłki się zdarzają. Nadzwyczajne było to, że udało jej się przetrwać bez modyfikacji, korekcji czy zabicia przez zabezpieczenia, jakie ludzkość dla własnej ochrony poinstalowała wokół społeczeństwa.

Niewykorzystana i niemile widziana, przewędrowała pełne udręki miesiące i lata swojej egzystencji. Była dobrze karmiona, bogato odziana, nocowała w urozmaiconych miejscach. Miała roboty i maszyny, które jej służyły, podludzi, którzy jej słuchali, ludzi, którzy broniliby jej przed innymi albo przed sobą samą, gdyby zaszła taka potrzeba. Nigdy jednak nie znalazła pracy; a bez pracy nie pragnęła miłości; a bez pracy i miłości nie miała żadnej nadziei.

Gdyby tylko przypadkiem trafiła na właściwych ekspertów lub odpowiednie władze, zmodyfikowaliby ją albo przekwalifikowali. Stałaby się kobietą akceptowalną przez społeczeństwo; ona jednak nie znalazła policji, ani policja nie znalazła jej. Sama zaś nie była w stanie poradzić sobie z własnym programowaniem – w tej kwestii była całkowicie bezradna. Narzucono jej to w An-Fangu, gdzie wszystko ma swój początek.

Rubin drgnął, turmalin popełnił błąd, diament przekazał go dalej bez potwierdzenia. Tak urodziła się kobieta skazana na katastrofę.

Dużo, dużo później, gdy ludzie zaczęli układać piosenki o dziwnym przypadku dziewczyny-psy Pi-Joan, minstrele i śpiewacy próbowali sobie wyobrazić, jak się czuła Elaine, ułożyli więc dla niej *Piosenkę Elaine*. Nie jest autentyczna, ale dobrze ilustruje, jak musiała patrzeć na własne życie, zanim swoimi poczynaniami przyczyniła się do osobliwych zdarzeń związanych z Pi-Joan:

*Kobiety nie cierpią mnie.  
Mężczyźni się boją mnie,  
W sobie mam za dużo mnie!  
Wiedźmą stanę się!*

*Mama nie tuliła mnie.  
Tata nie strofował mnie.  
Małe dzieci drażnią mnie,  
Wredną stanę się!*

*Ludzie nie nazwali mnie.  
Psy przyhołubiły mnie.  
Sama sobie mówię nie!  
Wiedźmą stanę się!*

*Niechaj unikają mnie.  
Nigdy nie dogonią mnie.  
Może obezwładnią mnie?  
Wiedźmą stanę się.*

*Niechaj atakują mnie.  
Tylko trochę zmęczą mnie.*

*A ja sama zmienię się.  
Wiedźmą stanę się.*

*Kobiety nie cierpią mnie.  
Mężczyźni boją się mnie,  
W sobie mam za dużo mnie.  
Wiedźmą stanę się.*

Piosenka trochę przesadza. Kobiety Elaine nie nienawidziły; w ogóle jej nie dostrzegały. Mężczyźni jej nie unikali – także jej nie zauważali. Na Fomalhaucie III nie było żadnego miejsca, gdzie mogłyby się spotkać z ludzkimi dziećmi, ponieważ przedszkola z uwagi na kapryśne promieniowanie i ostrą pogodę znajdowały się głęboko pod ziemią. Według piosenki, Elaine na początku myśli, że nie jest człowiekiem, lecz podczłowiekiem, a w dodatku, że urodziła się jako pies. Ale to się nie wydarzyło na początku historii, lecz na jej końcu – gdy między gwiazdami już krążyła opowieść o Pi-Joan, z każdym krokiem wzbogacając się o nowe folklorystyczne i legendarne elementy. Nigdy też nie wpadła w obłąd.

(„Obłąd” to rzadkie zaburzenie, polegające na tym, że ludzki mózg nie wpasowuje się poprawnie w swoje otoczenie. Elaine zbliżyła się do tego stanu, zanim spotkała Pi-Joan. Nie była jedynym przypadkiem, ale rzadkim i autentycznym. Jej osobowość, niedopuszczona do choćby najmniejszego rozwoju, zwróciła się sama ku sobie, a mózg zaczął opadać spiralą ku jednemu bezpiecznemu stanowi, jaki znał – psychozie. Obłąd jest zawsze lepszy niż X, a X u każdego pacjenta jest kwestią indywidualną, osobistą, sekretną i niesamowicie ważną. Normalne było, że wpadła w obłąd; to jej wdrukowana i wprogramowana ścieżka kariery była nienormalna. „Naturalne terapeutki” były zaprogramowane, by pracować stanowczo i samodzielnie, polegać tylko na sobie i działać szybko. Takie przymioty były niezbędne na nowych planetach. Nie zaprogramowano ich, by konsultować się z innymi ludźmi – w większości miejsc nie byłoby się kogo poradzić. Elaine robiła to, co ustalono dla niej w An-Fangu, aż po indywidualny skład chemiczny jej płynu rdzeniowego. Była niewłaściwą

osobą i nigdy się o tym nie dowiedziała. Obłąd był o wiele miłszy niż świadomość, że nie była sobą, nie powinna w ogóle istnieć i sprowadzała się do pomyłki popełnionej gdzieś pomiędzy drgającym rubinem i młodym, niechlujnym facetem z gitarą).

Spotkała jednak Pi-Joan i świat zawirował.

Ich spotkanie odbyło się w miejscu nazywanym „brzegiem świata”, czyli tam, gdzie na podziemne miasto pada światło dzienne. To było samo w sobie niezwykle – Fomalhaut III był jednak niezwykle i niekomfortową planetą, na której zła pogoda i ludzkie kaprysy kazały architektom porywać się na zamaszyste projekty i groteskowe realizacje. Elaine szła przez to miasto w swym potajemnym obłądzie, wypatrując chorych ludzi, którym mogłaby pomóc. Tak ją odlano, zaprojektowano, skonstruowano, tak jej wdrukowano, taką się narodziła, tak ją wyszkolono. Do takich zadań. Nie było takich zadań.

Kobietą była inteligentną. Bystre umysły służą obłądowi równie sprawnie, jak rozumowi – czyli bardzo dobrze. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by porzucić swą misję.

Ludzie z Fomalhauta III, podobnie jak ludzie z Kolebki Ludzkości, są niemal bez wyjątku przystojni; dopiero na odległych, trudno dostępnych światach ludzka rasa, pod presją wysiłku związanego z przerwaniem, staje się brzydka, zmęczona lub urozmaicona. Elaine nie różniła się zbytnio wyglądem od reszty chodzących po ulicach inteligentnych i przystojnych ludzi. Włosy miała czarne, była wysoka, miała długie ręce i nogi, a tułów krótki. Włosy zaczesywała w tył nad wysokim, wąskim, prostokątnym czołem. Oczy zaś miała osobliwego, ciemnoniebieskiego koloru. Usta mogłyby być równie piękne, lecz nigdy się nie uśmiechały, więc nikt naprawdę nie wiedział – jest piękna czy nie. Trzymała się prosto i dumnie; ale tak samo trzymali się wszyscy inni. Naprawdę osobliwy w jej ustach był natomiast brak komunikatywności, w oczach zaś – to, jak przeskakiwały tam i z powrotem, tam i z powrotem, niczym przedpotopowy radar, wypatrując chorych, potrzebujących i dotkniętych nieszczęściem, którym pragnęła pomagać.

Jakże mogła być nieszczęśliwa? Nie miała czasu być szczęśliwa. Naturalnie przychodziło jej myśleć, że szczęście to coś, co znika wraz z końcem dzieciństwa. Od czasu do czasu, tu i tam, na przykład gdy w pełnym słońcu zaszemrała fontanna, albo gdy oszałamiająca fomalhaucka wiosna eksplodowała liśćmi, zastanawiała się, czy inni ludzie – równie jak ona naznaczeni wiekiem, stopniem, płcią, edukacją i numerem przydziału zawodowego – mogą być szczęśliwi, gdy ona jedna nie ma czasu na szczęście. Zawsze jednak odpędzała tę myśl i spacerowała po pochylniach i ulicach, aż bolały ją stopy, i wypatrywała pracy, która nie istniała.

Ludzkie ciało, starsze niż historia i bardziej zawzięte niż kultura, ma swą własną mądrość. W ciałach ludzi są zapisane przedwieczne sztuczki przetrwania, a zatem i Elaine na Fomalhaucie III pielęgnowała umiejętności przodków, o których nawet nie pomyślała – przodków, którzy w niewiarygodnej i odległej przeszłości podbili całą straszną Ziemię. Elaine była szalona. Ale fragmentem umysłu uświadamiała sobie, że jest szalona.

Może właśnie ta mądrość owładnęła nią, gdy szła ulicą Wodnej Skały ku jasnym bulwarom Ciągu Handlowego. Zobaczyła zapomniane drzwi. Roboty były w stanie sprzątać obok nich, ale wskutek ich dziwnego, starodawnego, architektonicznego kształtu, nie mogły zmyć posadzki i wypastować jej tuż pod samą ich dolną krawędzią. U podstawy drzwi tkwiła, jak uszczelka, cienka, wyraźna warstwa starego kurzu i zaskorupiałej pasty. Oczywiście było, że nikt tędy dawno, dawno nie przechodził.

Cywilizowana reguła brzmiała: zakazane obszary są oznaczone zarówno symbolami, jak i telepatycznie. Najbardziej niebezpieczne zaś mają dodatkowo strażników, roboty lub podludzi. Lecz wszystko, co nie jest zakazane, jest dozwolone. Elaine miała zatem prawo otworzyć te drzwi, a nie miała obowiązku tego nie robić. Otworzyła je...

Dla czystego kaprysu. Przynajmniej tak się jej wydawało.

Daleko temu było do motywu „Wiedźmą stanę się!”, przypisanemu jej w późniejszej balladzie. Nie była jeszcze zdesperowana, nie była zdenerwowana, ani nawet nie działała ze szlachetnych pobudek.

A jednak otwarcie tych drzwi odmieniło jej świat i odmieniło życie na tysiącach planet na wiele pokoleń, choć sam akt otwarcia nie był niczym dziwnym. Był wymęczonym kaprysem potwornie sfrustrowanej i nieco nieszczęśliwej kobiety. Niczym więcej. Wszystkie inne późniejsze opisy to ozdobniki, fantazje, falsyfikaty.

Gdy otworzyła drzwi, doznała szoku, ale nie z powodów przypisanych jej później przez balladzystów i historyków.

Zszokowała się, bo drzwi otwierały się na schody, a schody schodziły do innego, słonecznego świata. Patrzyła z wysokości Nowego Miasta na Stare Miasto. Nowe Miasto wznosiło się jak skorupa nad starym, ale zajrzawszy „do wewnątrz”, zobaczyła w mieście poniżej zachód słońca. Jego nieoczekiwane piękno aż zaparło jej dech.

Jedne otwarte drzwi – a za nimi cały świat. Tutaj – znajoma od lat ulica, schludna, ładna i bezużyteczna, tysiąc razy przemierzona przez jej bezużyteczne „ja”. Tam – coś. Tutaj – świat, który znała. Nie znała słów „kraina czarów” czy „bajeczna kraina”, ale gdyby je znała, użyłaby ich w tej sytuacji.

Rozejrzała się na prawo, na lewo.

Przechodnie nie zauważali ani jej, ani drzwi. W górnym mieście słońce właśnie zaczynało zachodzić. W dolnym – było już krwistoczerwone ze złotymi pasmami, jak gigantyczny zamarznięty płomień. Elaine nie uświadamiała sobie, że wącha powietrze; nie wiedziała, że jest bliska płaczu; nie wiedziała, że czuły uśmiech, pierwszy od wielu lat, rozluźnił jej usta i przydał zmęczonej, spiętej twarzy przelotnego piękna. Zbyt uważnie się rozglądała, żeby to zauważyć.

Ludzie szli zajęci własnymi sprawami. W głębi drogi podludzie, samice, zapewne kota, obchodzili szerokim łukiem prawdziwego człowieka, który szedł dużo wolniej od nich. Daleko na niebie trzepotał policyjny ornitopter, okrążając jedną z wież; jeśli roboty nie spojrzą z niego przez teleskop, albo nie mają przy sobie któregoś z tych rzadkich podludzi-jastrzębi, czasem wykorzystywanych w policji, to na pewno jej nie zobaczą.

Przeszła przez drzwi i zamknęła je za sobą.



Nie wiedziała, że tym samym urzeczywistnia niezrodzone dotąd ścieżki przyszłości, ognie buntu, które ogarną całe stulecia, że ludzie i podludzie będą umierać za osobliwą sprawę, że matki będą zmieniać imiona nienarodzonych lordów, a statki gwiazdne będą przylatywać ze szmerem z miejsc, których człowiek dotąd sobie nie wyobrażał. Przestrzeń<sup>3</sup>, która zawsze tam była i czekała, aż człowiek się na niej pozna – miała nadejść najszybciej, a to przez nią, przez te drzwi, przez jej następne kilka kroków, przez to, co miała powiedzieć, i przez dziecko, które miała spotkać.

(Autorzy ballad opowiedzieli później całą tę historię, ale wszystko opisali na odwrót, wychodząc od własnej wiedzy o Pi-Joan i o tym, co zrobiła Elaine, żeby świat stanął w ogniu. Prosta prawda jest taka: samotna kobieta weszła w tajemnicze drzwi. I tyle. Wszystko inne wydarzyło się później).

I stanęła na górze tych stopni, zamknąwszy drzwi za sobą, a przed sobą mając rozzłocony zachód słońca nad nieznanym miastem. Widziała wyginający się ku niebu wielki łuk Nowego Miasta Kalma; widziała, że budynki pod spodem są starsze, mniej harmonijne niż te, które opuściła przed chwilą. Nie знаła pojęcia „malowniczy”, inaczej tak by to właśnie określiła. Nie umiała w żaden sposób nazwać obraz, który rozciągał się w błogim spokoju u jej stóp.

W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Daleko, na czubku starego wieżowca, wykrywacz pożarów zakreślił się tam i z powrotem. Jeśli go nie liczyć, przed nią nie było nic oprócz złotożółtego miasta oraz ptaka – czy to był ptak, czy wielki poderwany wiatrem liść? – w średniej odległości.

Przepelniona lękiem, nadzieją, wyczekiwaniem i budzącymi się dziwnymi apetytami, zeszła na dół z poczuciem nieznanego, niewypowiedzianej misji.

U stóp schodów, a liczyły sobie one dziewięć pięter, czekało dziecko. Dziewczynka, mniej więcej pięcioletnia. Miała jasnoniebieską sukienkę, kręcone rudobrazowe włosy i najdelikatniejsze rączki, jakie Elaine w życiu widziała.

Uśmiechnęła się do niej serdecznie. Dziecko podniosło wzrok i skuliło się. Elaine domyśliła się wtedy, co znaczą te ładne piwne oczy, ta wyrażana ciałem błagalna prośba o zaufanie, ten odruch unikania ludzi. Ona w ogóle nie była dzieckiem, lecz po prostu jakimś zwierzęciem o ludzkich kształtach, zapewne psem – później nauczy się mówić, pracować, spełniać użyteczne funkcje.

Dziewczynka wstała. Wyglądała, jakby chciała uciec. Elaine czuła, że mała psinka nie zdecydowała jeszcze, czy pobiec do niej, czy uciec. Nie chciała mieć do czynienia z podczłowiekiem – któż by chciał? – ale nie chciała jej także straszyć. W końcu była bardzo młoda i bardzo maleńka.

Stały tak naprzeciw siebie przez chwilę, mała niepewna, Elaine rozluźniona. Wreszcie dziewczynka-pies odezwała się:

– Zapytaj ją – powiedziała, jakby to był rozkaz.

Elaine zdziwiła się. Odkąd to zwierzęta rozkazują?

– Zapytaj ją! – powtórzyła mała istotka. Wskazała na okienko z tabliczką „Pomoc dla podróżnych” u góry. Po czym pobiegła. Sukienka błysnęła niebiesko, podeszwy sandałków białe, i zniknęła.

Elaine stała bez słowa, zakłopotana, pośród pustego, zapomnianego miasta.

Okienko powiedziało do niej:

– To może jednak podejść. Sama wiesz, że podejdiesz.

Był to mądry, dojrzały głos doświadczonej kobiety, głos skrywający gdzieś pod spodem bąbelki śmiechu, o tonie sugerującym sympatię i entuzjazm. Polecenie nie było tylko poleceniem, brzmiało, od samego początku, jak niewinny prywatny żart pomiędzy dwiema mądrymi kobietami.

Elaine nie zdziwiła się, gdy maszyna się do niej odezwała. Przez całe życie nagrania mówiły jej różne rzeczy. Ale w tej sytuacji nie była pewna.

– Jest tam kto? – zapytała.

– Tak i nie – odpowiedział głos. – Jestem „Pomoc dla podróżnych” i pomagam każdemu, kto tu przyjdzie. Bo musiałaś się zgubić, inaczej byś tu nie trafiła. Przyłóż dłoń do mojego okienka.

– O coś innego pytałam. Jesteś człowiekiem czy maszyną?

– To zależy – odparł głos. – Jestem maszyną, ale kiedyś, dawno, dawno temu, byłam człowiekiem. Kobieta, lady nawet, członkiem Instrumentalności. Lecz nadszedł mój czas i powiedzieli mi: „Masz coś przeciwko, żebyśmy zrobili maszynową odbitkę całej twojej osobowości? Świetnie się sprawdzi w punktach informacyjnych”. Więc oczywiście się zgodziłam, zrobili te kopie, potem umarłam, moje ciało wystrzelono w kosmos z wszelkimi honorami i, proszę, jestem tutaj. Dziwnie mi tu było, patrzyłam na ludzi, rozmawiałam, dawałam dobre rady, zajęta byłam aż miło, póki nie zbudowali na górze tego nowego miasta. I jak sądzisz? Ja to ja czy nie ja?

– Nie wiem, proszę pani. – Elaine zachowała dystans.

Ciepły głos stracił swój humor i przybrał rozkazujący ton:

– To daj mi swoją rękę, żebym poznała kim jesteś i mogła ci powiedzieć, co masz robić.

– Ja chyba wiem – odparła Elaine. – Pójdę z powrotem na górę i wejść drzwiami do górnego miasta.

– I pozbawisz mnie – powiedział głos z okienka – okazji do pierwszej od czterech lat rozmowy z prawdziwym człowiekiem?

Głos był natarczywy, ale czuło się w nim i ciepło, i humor; a także samotność. Ta samotność zadecydowała. Elaine podeszła do okienka i położyła dłoń płasko na parapecie.

– Ty jesteś Elaine! – wykrzyknęło okienko. – Jesteś Elaine! Całe światy na ciebie czekają. Jesteś z An-Fangu, gdzie wszystko się zaczyna, z placu Pokoju w An-Fangu, na samej Starej Ziemi!

– Tak – powiedziała Elaine.

Głos zbulgotał entuzjazmem.

– On na ciebie czeka. Och, on czeka na ciebie od bardzo, bardzo dawna. I na tę dziewczynkę, którą spotkałaś. To była Pi-Joan we własnej osobie. Oto zaczęła się historia. „Epoka świetności tego świata zaczyna się na

nowo”. A kiedy się zakończy, będę mogła spokojnie umrzeć. Przepraszam, kochana. Nie chciałam ci namieszać w głowie. Jestem lady Panc Aszasz. Ty jesteś Elaine. Twój numer pierwotnie kończył się na 783 i w ogóle nie powinno cię być na tej planecie. Wszyscy ważniejsi ludzie tutaj kończą się na 5 lub 6. Jesteś „naturalną terapeutką” i jesteś nie tam, gdzie trzeba, ale twój ukochany już jest w drodze, a ty jeszcze nie zaznałaś miłości... jakie to wszystko ekscytujące.

Elaine pośpiesznie rozejrzała się wokół. Dolne miasto w miarę zachodzenia słońca robiło się coraz bardziej czerwone i mniej złote. Schody z tyłu wydawały się potwornie wysokie, gdy obejrzała się za siebie, a drzwi na górze bardzo małe. Może zatrzęsnęły się za nią, gdy je zamknęła. Może już nie będzie w stanie wyjść ze starego, dolnego miasta.

Okienko musiało ją jakimś sposobem obserwować, ponieważ głos lady Panc Ashash mocno złagodniał.

– Usiądź, kochana – powiedziała. – Kiedy byłam sobą, byłam znacznie uprzejmiejsza. Ale od bardzo, bardzo dawna już sobą nie jestem. Jestem maszyną, choć czuję się sobą. Usiądź, proszę, i wybacz mi.

Elaine znów się rozejrzała. Miała za sobą przydrożną marmurową ławkę. Posłusznie usiadła na niej. Szczęście, które poczuła u szczytu schodów, zakipiło na nowo. Skoro ta stara, mądra maszyna tyle o niej wiedziała, może powie jej, co robić. Co miała na myśli, mówiąc, że „nie powinno jej być na tej planecie”? Albo o „ukochanym”, co „jest już w drodze”? Czyż nie tak powiedziała?

– Weź głęboki oddech, skarbie – powiedział głos lady Panc Aszasz. Może i nie żyła od setek czy tysięcy lat, lecz i tak przemawiała z autorytetem i uprzejmością wielkiej damy.

Elaine wzięła głęboki oddech. Zobaczyła ogromną czerwoną chmurę, podobną do ciężarnego wieloryba, gotową, by sięść na szczytach górnego miasta, daleko w górze i daleko nad morzem. Zastanawiała się, czy chmury mogą mieć jakieś uczucia.

Głos odezwał się jeszcze raz. Co powiedział?

Zdaje się, że powtórzył pytanie.

– Wiedziałaś, że nadejdiesz? – zapytał.

– Oczywiście, że nie. – Elaine wzruszyła ramionami. – Po prostu zobaczyłam te drzwi, a nie miałam nic ciekawszego do roboty, więc je otworzyłam. I oto stanął przede mną cały nowy świat, schowany w tym domu. Wyglądał dziwnie i dość pięknie, więc zesłam na dół. Pani by nie zrobiła tego samego?

– Nie wiem – odparł głos szczerze. – Tak naprawdę jestem maszyną. Od bardzo, bardzo dawna nie jestem sobą. Kiedy byłam żywa, pewnie tak by było. Nie wiem tego, ale wiem różne rzeczy, mogę się domyślać. Może dostrzegam przyszłość, a może moja maszynowa część tak świetnie liczy prawdopodobieństwa, że wszystko samo wychodzi. Wiem kim jesteś, wiem co się z tobą stanie. Lepiej byś sobie rozczesała włosy.

– A po co?

– Bo on nadchodzi – powiedział radosny starczy głos lady Panc Aszasz.

– Kto nadchodzi? – zapytała Elaine, niemal z irytacją.

– Masz lusterko? Lepiej spojrzalabyś na swoje włosy. Mogłyby wyglądać trochę lepiej, choć nie mówię, że teraz nie są ładne. Powinnaś wyglądać jak najpiękniej. Dla twojego ukochanego, który przybywa, oczywiście.

– Nie mam żadnego ukochanego – odparła Elaine. – Nie dostałam pozwolenia i nie dostanę, póki nie odpracuję swojej służby, a jeszcze nawet nie znalazłam miejsca, gdzie bym ją mogła odsłużyć. A nie jestem z tych, co poprosiłyby podszefa o śnionego, nie, kiedy mogę mieć prawo do prawdziwego. Może kimś wielkim nie jestem, ale trochę szacunku dla siebie mam.

Tak się zdenerwowała, że obróciła się na ławce i usiadła z twarzą odwróconą od wszystkowidzącego okienka.

Jednak następne słowa wzbudziły u niej gęsią skórę na rękach, tak poważnie, szczerze i poruszająco zostały wypowiedziane.

– Elaine, Elaine, ty naprawdę nie masz pojęcia, kim jesteś?

Elaine znów okręciła się na ławeczce i spojrzała w okienko. Twarz czerwono podświetliły promienie zachodzącego słońca. Ledwo wysapała:

– Nie wiem, o co pani chodzi...

Nieubłagany głos ciągnął:

– No pomyśl, Elaine, pomyśl. Imię Pi-Joan naprawdę nic ci nie mówi?

– Pewnie chodzi o podczłowieka, psiego. Od tego jest „Pi”, prawda?

– To była ta mała dziewczynka, którą spotkałaś – oświadczyła lady Panc Aszasz, jakby to było coś niesamowitego.

– No dobrze – posłusznie potwierdziła Elaine. Była uprzejma i nigdy nie kłóciła się z nieznanymi.

– Poczekaj chwilę – dodała lady Panc Aszasz. – Tylko wyciągnę swoje ciało. Bóg jeden wie, kiedy je ostatnio zakładałam, ale dzięki niemu lepiej się będziesz ze mną dogadywać. Wybacz strój. Stare to wszystko, ale powinno jeszcze w miarę działać. To jest początek historii Pi-Joan, a te włosy masz mieć uczesane, choćbym ci je sama miała uczesać. Zaczekaj chwilę, dziewczyno, nigdzie nie chodź. Minutkę dosłownie.

Chmury zmieniały się z ciemnoczerwonych w brunatno-czarne. Co mogła zrobić? Została na ławeczce. Kopnęła butem w bruk. Podskoczyła odrobinę, gdy nagłym geometrycznym wzorem zapaliły się staroświeckie latarnie uliczne dolnego miasta; nie rozpały się płynnie i łagodnie jak w mieście na górze, gdzie dzień powoli przechodził w jasną noc bez nagłych zmian kolorów.

Drzwi obok małego okienka zaskrzypiały. Na chodnik posypał się wiekowy plastik.

Elaine osłupiała.

Wiedziała, że podświadomie spodziewała się monstrum, tymczasem stanęła przed nią urocza kobieta mniej więcej jej wzrostu, w dziwnym, staromodnym ubraniu. Miała lśniące czarne włosy, żadnych oznak niedawnej lub aktualnej choroby, żadnych śladów poważnych zmian chorobowych w przeszłości, ani widocznego upośledzenia wzroku czy narządów ruchu.

(Nie mogła oczywiście od razu sprawdzić smaku ani wężu, ale tę listę kontrolną miała wbudowaną w mózg prawie od urodzenia – i traktowała nią każdą dorosłą osobę, jaką w życiu spotkała. Wyhodowano ją na „naturalną terapeutkę” i była w tym dobra, choć nie miała okazji nikogo leczyć).

A ciało to było naprawdę coś. Musiało kiedyś kosztować tyle, co opłaty za czterdzieści lub pięćdziesiąt lądowań na planecie. Kształt miało idealnie

ludzki. Usta skrywały w środku autentyczne zęby; słowa formowała krtań, podniebienie, język, zęby i wargi, a nie wmontowany w głowę głośnik. Istny eksponat muzealny. Zapewne stanowiło kopię lady Panc Aszasz za życia. Kiedy się uśmiechało, efekt był nieopisanie przyjemny. Lady miała na sobie strój z minionej epoki – stateczną, pozbawioną dekoltu suknię z ciężkiej niebieskiej tkaniny, ze stanem, rąbkiem i talią haftowanymi złotą nitką w kwadraty. Na tym dopasowaną kolorystycznie pelerynę w kolorze starego złota, wyszytą niebieską nicią w ten sam wzór z kwadratów. Włosy miała zaczesane do góry i umocowane wysadzany kamieniami grzebykami. Wyglądały jak prawdziwe, choć po jednej stronie były zakurzone.

Robot uśmiechnął się.

– Trochę jestem nie na czasie. Sporo minęło, od kiedy byłam sobą. Ale pomyślałam, kochana, że z tym starym ciałem będzie ci łatwiej gadać niż z jakimś okienkiem...

Elaine kiwnęła głową.

– Ale wiesz, że to nie ja? – powiedziało ostrym tonem ciało.

Elaine pokręciła głową. Nie wiedziała; miała wrażenie, że już w ogóle nic nie wie.

Lady Panc Aszasz spojrzała na nią poważnie.

– To nie jestem ja. To robot. Patrzyłaś na niego, jakby był prawdziwym człowiekiem. I ja też nie jestem sobą. Czasami mnie to boli. Wiedziałaś, że maszyna może umieć cierpieć? Ja umiem. Ale wszystko jedno: to nie ja.

– A kim pani jest? – zapytała Elaine ładną starszą panią.

– Zanim umarłam, byłam lady Panc Aszasz. Tak jak ci mówiłam. Teraz jestem maszyną i częścią twojego losu. Pomożemy sobie nawzajem odmienić los światów, może nawet i przywrócimy ludzkości jej człowieczeństwo.

Elaine gapiała się na nią w osłupieniu. To nie był pospolity robot. Wyglądał jak żywy człowiek i mówił z taką ciepłą stanowczością. A w dodatku, czymkolwiek był, chyba niesamowicie dużo o niej wiedział. Nikogo innego nie obchodził jej los. Opiekunki w ziemskim Dziecińcu

powiedziały: „Jeszcze jedna mała wiedźma, do tego ładna, kłopotu z nią nie będzie”. I puściły ją w świat samopas.

W końcu była w stanie stanąć twarzą w twarz z twarzą, która naprawdę twarzą nie była. Lecz w niczym to nie ujmowało jej wdzięku, humoru i wyrazistości.

– C...co... – wyjąkała – mam teraz zrobić?

– Nic – odparła dawno nieżyjąca lady Panc Aszasz – jedynie spotkać własne przeznaczenie.

– To znaczy tego ukochanego?

– Jaka niecierpliwa! – Nagranie zmarłej damy zaśmiało się bardzo po ludzku. – Co za pośpiech. Najpierw kochanek, potem przeznaczenie. Rozumiem, rozumiem, w twoim wieku też taka byłam.

– Ale co mam robić?

Nad nimi zapadła już niemal całkowita ciemność. Uliczne latarnie oświetlały puste i niezamiecione ulice. Kilka wejść do domów, odległych o niecałą szerokość ulicy, obrysowywały prostokąty cienia lub światła – światła, jeśli znajdowały się z dala od latarni, tak że widać było światło w środku – cienia, jeśli były tak blisko latarni, że jej światło nie wpadało do wewnątrz.

– Przejdź przez te drzwi.

Wskazała jednak białą połąć ściany. Wcale nie było tam żadnych drzwi.

– Ale tam nie ma drzwi – zdziwiła się Elaine.

– Gdyby były, to nie musiałabym ci mówić, że masz przez nie przejść. A ja mam być ci potrzebna.

– Dlaczego?

– Dlaczego? A dlatego że czekałam na ciebie setki lat.

– To żadna odpowiedź! – burknęła Elaine.

– To jedyna słuszna odpowiedź. – Kobieta się uśmiechnęła, a jej całkowity brak wrogości wydał się kompletnie nieprzystający do roboty. Emanował łagodnością i opanowaniem dojrzałej ludzkiej istoty. Spojrzała Elaine w oczy i dodała spokojnie, z naciskiem: – Wiem, ponieważ wiem. Nie dlatego że nie żyję, to już nie ma znaczenia, ale dlatego że jestem bardzo starą maszyną. Pójdiesz do Brązowo-żółtego Korytarza, pomyślisz



o swoim ukochanym, wykonasz swoją pracę, a ludzie zaczną cię ścigać. Potem wszystko dobrze się skończy. Czy rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem. – Ale i tak wyciągnęła dłoń do przemiłej starszej pani.

Pani wyciągnęła swoją. W dotyku była ciepła i bardzo ludzka.

– Nie musisz rozumieć. Po prostu tak zrób. Zresztą wiem, że tak zrobisz. To skoro masz iść, idź.

Elaine spróbowała się do niej uśmiechnąć, była jednak podenerwowana, świadomie zaniepokojona jak nigdy w życiu. Działo się z nią, z jej jaźnią, coś najprawdziwszego – jak nigdy dotąd. Nareszcie.

– Ale jak przejść przez te drzwi?

– Ja ci otworzę. – Lady uśmiechnęła się, puszczając jej dłoń. – A kochanka poznasz, gdy odśpiewa ci wiersz.

– Jaki wiersz? – zapytała Elaine, grając na zwłokę, przerażona drzwiami, których w ogóle nie było.

– Zaczyna się tak: „Poznałem cię, kochałem cię, w Kalmie cię zdobyłem...”. Poznasz, poznasz. No idź. Na początku będzie trochę niezręcznie, ale jak spotkasz Łowcę, wszystko się zmieni.

– Pani tam kiedyś była?

– Oczywiście, że nie – odparła miłym tonem starsza dama. – Ja jestem maszyną. A całe to miejsce jest myśłoszczelne. Nie wydostanie się i nie przejdzie żadna myśl, nikt nic nie usłyszy ani nie zobaczy. To schron, który pozostał po dawnych wojnach, gdy najmniejszy ślad myśli ściągnąłby na tych w środku całkowitą zagładę. Dlatego właśnie lord Englok zbudował coś takiego, na długo przed moim urodzeniem. Lecz ty możesz wejść. I zrobisz to. Tu są drzwi.

Dłużej nie czekała. Rzuciła Elaine osobliwy, życzliwy, krzywy półuśmiešek, na wpół dumny, na wpół przeprasający. Zdecydowanym ruchem chwyciła ją czubkami palców za lewy łokieć. Podeszły parę kroków do ściany.

– Tutaj. Raz, dwa, trzy – powiedziała i pchnęła ją.

Elaine, popchnięta prosto na ścianę, skuliła się. I zanim zdążyła pomyśleć, już przez nią przeszła. Zapachy uderzyły w nią jak bitewny

zgiełk. Było gorąco. Panował półmrok. Wyglądało to jak obraz ukrytej gdzieś w kosmosie Planety Bólu. Lata później poeci próbowali opisać Elaine przy drzwiach wierszem, który zaczynał się tak:

*W Mieście Prostaczków, w miejscu zakazanym,  
W Mieście Prostaczków, w miejscu zapomnianym,  
Brązowi i niebiescy wszyscy się zebrali,  
Zjawili się biali oraz śnieżnobiali,  
Przyszli straszni, a niektórzy spośród nich przerażał,  
Wszyscy wśród żółcieni i brązu korytarza.*

Prawda jednak była o wiele prostsza: jako urodzona i szkolona wiedźma, natychmiast dostrzegła tę prawdę. Wszyscy ci zgromadzeni, wszyscy jak okiem sięgnąć, byli chorzy. Potrzebowali pomocy. Była im potrzebna.

Sęk w tym, że żadnemu z nich nie mogła pomóc. Nikt tu nie był prawdziwą osobą. Wszystko to były tylko zwierzęta, stworzone na kształt człowieka. Podludzie. Śmieci.

Była uwarunkowana do szpiku kości, by nigdy im nie pomagać.

Nie wiedziała, dlaczego mięśnie nóg kazały jej ruszyć naprzód. Uczyniła to jednak.

Istnieje wiele obrazów przedstawiających tę scenę.

Lady Panc Aszasz, ledwie od paru chwil będąca przeszłością, wydała się nagle bardzo odległa. A samo miasto Kalma, nowe miasto, znajdujące się dziesięć piętér powyżej, jakby nigdy nie istniało. Realne było tylko to co tutaj i teraz.

Wpatrzyła się w podludzi.

I tym razem, po raz pierwszy w życiu, oni odwzajemnili jej spojrzenie. W życiu czegoś takiego nie przeżyła.

Nie przestraszyła się, jedynie zdziwiła. Lęk, sądziła, przyjdzie później. Pewnie niedługo, ale nie tutaj i nie teraz.

## IV

Coś, co przypominało kobietę w średnim wieku, podeszło do niej i zawarowało.

– Jesteś śmierć?

Elaine wytrzeszczyła oczy.

– Śmierć? Jak to? Jestem Elaine.

– Niech cię diabli! – powiedziało kobietopodobne coś. – Jesteś śmierć?

Elaine nie wiedziała, co to takiego „diabli”, ale była dość pewna, że „śmierć”, nawet dla tych stworów, oznacza po prostu przerwanie życia.

– Pewnie, że nie – odparła. – Jestem po prostu człowiekiem. Wiedźmą, tak by mnie nazwali normalni ludzie. Nie mam z wami podludźmi nic wspólnego. Nic a nic.

Zauważyła, że kobietopodobny stwór miał ogromną szopę miękkich, brązowych, rozczochranych włosów, czerwoną, spoconą twarz i krzywe zęby, które szczyrzył.

– Wszyscy oni tak mówią. Nigdy nie wiedzą, że są śmiercią. Jak myślisz, umieralibyśmy, gdybyście tu nie przysyłali robotów roznoszących choroby? Kiedy coś takiego robicie, wszyscy tu umieramy, potem jacyś nowi podludzie za jakiś czas znajdują to miejsce, urządzają w nim sobie schronienie i mieszkają przez parę pokoleń, póki takie jak ty maszyny śmierci znów nie rozejdą się po mieście i wszystkich nie pozabijają. To jest Miasto Prostaczków, miejsce dla podludzi. Nie słyszałaś o czymś takim?

Elaine próbowała ją minąć, lecz tamta chwyciła ją za ramię. To się na pewno nigdy wcześniej nie zdarzyło, w całej historii świata! Żeby podczłowiek łapał za coś normalną osobę!

– Puszczaj! – wrzasnęła.

Kobietopodobny stwór puścił jej ramię i odwrócił się do reszty. Głos mu się odmienił, już nie był piskliwy i podekscytowany, lecz niski i pełen namysłu.

– No nie wiem. Może to i prawdziwa osoba. To jakiś żart? Zgubiła się i zesłała między nas. A może jednak to śmierć? Nie umiem poznać. A ty,

Charley-moje-kochanie?

Mężczyzna, do którego się odezwała, postąpił krok naprzód. Elaine pomyślała, że w innym czasie i w innym miejscu mógłby uchodzić za atrakcyjnego człowieka. Twarz rozświetlała mu inteligencja i czujność. Spojrzał wprost na Elaine, jakby zobaczył ją po raz pierwszy – tak zresztą było, ale patrzył dalej, tak bystrym i tak dziwnym spojrzeniem, że aż zrobiło jej się nieswojo. Głos, gdy się odezwał, miał jasny, wysoki, czysty i przyjacielski; w kontekście tego miejsca efekt był iście karykaturalny, jakby zwierzęciu wprogramowano sposób mówienia człowieka będącego z zawodu agitatorem lub wróżbitą, kimś, kto mówi ludziom rzeczy ani dobre, ani złe, a po prostu świetnie skomponowane. Nawet jego niesamowita uroda była sama w sobie kalectwem. Elaine zaczęła się zastanawiać, czy nie powstał z koziego materiału.

– Witamy, młoda damo – odezwał się Charley-moje-kochanie. – Przyszłaś tu do nas, ale jak zamierzasz wrócić? Mabel, słuchaj, jakbyśmy przekręcili jej głowę, tak z osiem czy dziesięć razy, pewnie by się urwała. Wtedy moglibyśmy pożyczyć jeszcze parę tygodni, albo parę miesięcy, zanim lordowie znajdą nas i pozabijają. A pani, młoda damo, co sądzi? Mamy panią zabić?

– Zabić? To znaczy, przerwać życie? Nie wolno wam. To wbrew prawu. Nawet Instrumentalność nie ma prawa uczynić tego bez procesu. Nie wolno wam. Jesteście tylko podludźmi.

– Ale my umrzemy – powiedział Charley-moje-kochanie, błyskając zębami w pełnym inteligencji uśmiechu – jeśli wrócisz przez te drzwi. Policja doczyta się w twoim umyśle informacji o Brązowo-żółtym Korytarzu i zaleją nas tu trucizną, albo rozpylą zarazki, żebyśmy zginęli my i nasze dzieci.

Elaine wytrzeszczyła oczy.

Ognisty gniew nie psuł mu ani uśmiechu, ani przekonującego tonu, potworne napięcie było za to widoczne w mięśniach wokół oczu i na czole. Dawało to wyraz twarzy, jakiego Elaine nigdy wcześniej nie widziała, sugerujący samokontrolę sięgającą daleko poza granice szaleństwa.

On także się w nią wpatrzył.

Właściwie to nie bała się go. Podludziom nie wolno było ukrecać głów prawdziwym ludziom, to było wbrew wszystkim przepisom.

Uderzyła ją nagła myśl. Może i rzeczywiście w takim miejscu, gdzie nielegalne zwierzęta nic, tylko czekają na nagłą śmierć, nie obowiązują żadne przepisy. Stworzenie, które stało naprzeciwko niej miało dość siły, by dziesięć razy skręcić jej głowę w lewo czy w prawo. Z lekcji anatomii pamiętała, że po drodze głowa musiałaby się oderwać. Spojrzała nań z zainteresowaniem. Nie czuła zwierzęcego strachu, wykorzenionego z niej warunkowaniem, odczuwała natomiast, jak sama stwierdziła, ogromną niechęć do kończenia życia w przypadkowych okolicznościach. Może jej wiedźmie wyszkolenie coś tu pomoże? Spróbowała udać, że ma przed sobą człowieka. W głowie od razu wyświetliła się diagnoza: „nadciśnienie; chroniczna nierozładowana agresja, powodująca przestymulowanie i nerwicę; objawy niedożywienia; prawdopodobne zaburzenia hormonalne”.

Postanowiła zmienić podejście.

– Jestem dużo mniejsza od ciebie – powiedziała – i równie dobrze możesz „zabić” mnie później. Na razie może się poznamy. Jestem Elaine i przysłali mnie tu z Ziemi, Kolebki Ludzkości.

Skutek był piorunujący.

Charley-moje-kochanie cofnął się o krok. Mabel opadła szczęką. Reszta wybałuszyła oczy. Paru, bystrzejszych od reszty, zaraz zaczęło szeptać z sąsiadami.

W końcu Charley-moje-kochanie odezwał się do niej.

– Witamy, młoda lady. Mogę tak panią tytułować? Zapewne nie. Witamy, Elaine. Jesteśmy twoim ludem. Zrobimy wszystko, co rozkażesz. Nic dziwnego, że tu zesłaś. Posłała cię lady Panc Aszasz. Od stu lat powtarzała nam, że przyjdzie do nas ktoś z Ziemi, prawdziwy człowiek, ale ze zwierzęcym imieniem, a nie numerem, i że mamy mieć w pogotowiu dziecko imieniem Joan, by związało nici przeznaczenia. Siadaj, proszę. Napijesz się wody? Nie mamy żadnego czystego naczynia. Mieszkają tutaj tylko podludzie i wszystko jest używane, więc dla normalnego człowieka skażone. – Coś przyszło mu do głowy. – Słuchaj, Mała-mała, nie masz

czasem w piecu nowego kubka? – Ewidentnie ktoś skinął głową, Charley-moje-kochanie kontynuował: – To wyciągnij go szczypcami. Nowymi szczypcami. Nie dotykaj. Nalej wody z samej góry wodospadu. Tym sposobem nasz gość napije się niezanieczyszczonej wody. Czystej.

Rozpromienił się gościnnością, tyleż absurdalną, co szczerą.

Elaine nie miała serca powiedzieć, że nie chce wody.

Czekała. I oni czekali.

Oczy już przyzwyczyły się jej do ciemności. Widziała, że główny korytarz jest pomalowany żółtą farbą, wyblakłą i poplamioną, oraz kontrastującą z nią jasnobrązową. Zachodziła w głowę, jaki ludzki umysł mógł wybrać tak paskudne połączenie. Wyglądało na to, że odchodzą od niego boczne korytarze, a w każdym razie oświetlone łuki, z których wychodziły szybkim krokiem kolejne stworzenia. Nie da się wyjść naturalnym szybkim krokiem z płytkiej wnęki, była więc przekonana, że te łuki muszą dokądś prowadzić.

Widziała też podludzi. Byli bardzo podobni do ludzi. Co poniektóre osobniki wykazywały regres do cech swoich przodków – był człowiek-koń, któremu pysk wyrósł w dawnym rozmiarze, kobieta-szczur o normalnych ludzkich rysach, ale z białymi wąsami jakby z żyłki, po dwanaście czy czternaście z obu stron twarzy, sterczących po dwadzieścia centymetrów na boki. Jeden zaś wyglądał zupełnie jak prawdziwy człowiek – prześliczna młoda kobieta, siedząca na ławce jakieś osiem czy dziesięć metrów w głębi korytarza, zupełnie niezwracająca uwagi na tłum, na Mabel, na Charleya-moje-kochanie, czy na samą siebie.

– Kto to? – zapytała Elaine, wskazując ją brodą.

Mabel, w końcu wyzbywszy się napięcia, jakie ogarnęło ją, gdy zapytała, czy Elaine to „śmierć”, zaczęła paplać plotkarskim tonem, co kompletnie nie pasowało do otoczenia.

– To jest Pełzanka.

– A co robi? – zapytała Elaine.

– Ma swoją dumę – odezwała się Mabel. Jej groteskowa czerwona twarz była teraz wesoła i pełna zapału; gdy mówiła, z ust pryskała ślina.

– Ale co w ogóle robi?

Wtrącił się Charley-moje-kochanie.

– Lady Elaine, tu nikt nie musi nic robić...

– To nielegalne, mówić do mnie „lady” – stwierdziła Elaine.

– Przepraszam, człowieku Elaine. Tutaj nikt nic nie musi. Wszyscy tu jesteśmy kompletnie nielegalni. A ten korytarz to myślochron, więc żadne myśli nie mogą do niego przeniknąć ani go opuścić. Poczekaj! Popatrz na sufit... teraz!

Czerwony poblask przemknął po suficie i zniknął.

– Sufit zapala się – wyjaśnił Charley-moje-kochanie – gdy ktoś próbuje przeniknąć go myślą. Dla świata zewnętrznego cały ten tunel opisany jest jako „zbiornik kanalizacyjny – ścieki organiczne”, zatem drobne przecieki życia nikogo nie dziwią. Ludzie zbudowali go dla własnego użytku, z milion lat temu.

– Milion lat temu nie było ich na Fomalhaucie III – warknęła Elaine. Dlaczego właściwie, zastanowiła się, zaczęła na niego warczeć? Nie był osobą, tylko gadającym zwierzakiem, którego przypadkiem ominęła najbliższa spalarnia odpadków.

– Przepraszam, Elaine – powiedział Charley-moje-kochanie. – Trzeba mi było od razu powiedzieć. My, podludzie, nie bardzo mamy możliwość studiować prawdziwą historię. Za to mamy ten korytarz. Ktoś z wisielczym poczuciem humoru nazwał to miejsce „Miastem Prostaczków”. Żyjemy tu sobie przez dziesięć, dwadzieścia albo i sto lat, a potem ludzie i roboty znajdują nas i zabijają. Dlatego Mabel się zezłościła. Pomyślała, że tym razem to ty przynosisz śmierć. Ale nie przynosisz. Jesteś Elaine. To wspaniałe, wspaniałe!

Jego bystra, aż za cwana twarz rozpromieniła się szczerze i otwarcie. Musiał to być dla niego niezły szok, dla odmiany mówić prawdę.

– Miałaś mi powiedzieć, co robi ta dziewczyna – przypomniała Elaine.

– Nazywa się Pełzanka – wyjaśnił. – Nic nie robi. Nikt z nas właściwie nie musi nic robić. I tak czeka nas zagłada. Ona jest jedynie odrobinę bardziej otwarta od nas wszystkich. Ma swoją dumę. Gardzi całą resztą. Pokazuje nam, gdzie nasze miejsce. Wszyscy czują się przy niej gorsi. Sądzymy, że jest wartościowym członkiem naszej grupy. Trochę dumy

mamy wszyscy, co i tak nie na wiele się zdaje, ale Pełzanka ma ją jakby sama z siebie, w ogóle nie musi się starać. Jest dla nas takim memento. A jak jej nie zawracać głowy, ona też nam nie zawraca.

Elaine pomyślała: jakie dziwne z was stworzenia, takie podobne do ludzi, ale takie w tym niedoświadczone, jakbyście wszyscy musieli „umrzeć”, żeby naprawdę się nauczyć co to znaczy „żyć”.

Na głos jednak mogła tylko powiedzieć:

– Nigdy kogoś takiego nie spotkałam.

Pełzanka musiała wyczuć, że mówią o niej, bo rzuciła Elaine przelotne spojrzenie pełne płomiennej nienawiści. Śliczna twarzyczka wykrzywiła się w ucieleśnienie wrogości i pogardy; potem dziewczyna odwróciła wzrok i Elaine poczuła, że już przestała istnieć w umyśle Pełzanki, że została skarcona i zapomniana. Nigdy nie widziała tak nieprzeniknionej osłony prywatności. Mimo to owo stworzenie, choć nie wiadomo na podstawie czego powstało, było w oczach ludzi prawdziwą pięknnością.

Energiczna starucha, cała porośnięta mysioszarą sierścią, podbiegła do Elaine. To właśnie była Mała-mała, kobieta-mysz, którą posłali po wodę. Wyciągnęła trzymany w długich szczypcach gliniany kubek. W środku była woda.

Elaine wzięła go.

Sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu podludzi, wliczając dziewczynkę w niebieskiej sukience, którą widziała na zewnątrz, patrzyło, jak wypija łyk. Woda była dobra. Wypiła wszystko. Nastąpiło zbiorowe westchnienie, jakby wszyscy zebrani w korytarzu czekali na tę chwilę. Elaine już miała odstawić kubek, lecz staruszka-mysz była zbyt szybka. W pół gestu wyjęła jej go z ręki – szczypcami, by nie skazić kubka dotykiem podczłowieka.

– No i świetnie, Mała-mała – powiedział Charley-moje-kochanie. – Teraz możemy porozmawiać. Mamy taki zwyczaj, że nie rozmawia się z nowo przybyłym, póki nie skorzysta z naszej gościnności. Będę szczery. Być może trzeba cię będzie zabić, jeśli się okaże, że to wszystko jest pomyłką, ale zapewniam cię, że jeśli do tego dojdzie, zrobię to łagodnie i bez najmniejszej złej woli. Dobrze?



Elaine nie wiedziała, co w tym takiego dobrego, i powiedziała to. Wyobrażała sobie, jak ukręcają jej głowę. Pominąwszy ból i upokorzenie, wydawało się to takie niechlujne – skończyć życie w ściekach, jako ofiara stworów, które w ogóle nie mają prawa istnieć.

Nie dał jej sposobności do dyskusji i tłumaczył dalej.

– Załóżmy, że wszystko udało się jak trzeba. Załóżmy, że jesteś tą Ester-Elaine-Eleanor, na którą czekaliśmy, tą osobą, która coś zrobi z Pi-Joan i przyniesie nam wszystkim pomoc i zbawienie – w skrócie mówiąc, da nam prawdziwe życie. Co w takim razie robimy?

– Nie wiem, skąd wy to wszystko bierzecie. Czemu niby mam być jakąś Ester-Elaine-czy-Eleanor? Co mam zrobić z Pi-Joan? Czemu w ogóle ja?

Charley-moje-kochanie spojrzał na nią, jakby nie dowierzał, że o to spytała. Mabel zmarszczyła czoło, jakby trudno jej było znaleźć właściwe słowa do sformułowania własnego zdania. Mała-mała, która z mysią szybkością i zwinnością przypląnęła z powrotem do grupy, rozejrzała się, jakby oczekiwała, że ktoś stojący z tyłu się odezwie. I miała rację. Pełzanka odwróciła twarz do Elaine i powiedziała z bezbrzeżną pogardą:

– Nie wiedziałam, że prawdziwi ludzie mogą być niedoinformowani albo głupi. A ty wyglądasz na jedno i na drugie. Wszystko, co wiemy, wiemy od lady Panc Aszasz. Ponieważ nie żyje, nie ma uprzedzeń wobec nas, podludzi. A ponieważ nie ma też za wiele do roboty, przeliczyła dla nas miliardy miliardów różnych prawdopodobieństw. Wszyscy dobrze wiemy, do czego się na ogół sprowadzają – nagła śmierć od choroby lub gazu, albo transport do rzeźni wielkim policyjnym ornitopterem. Jednak lady Panc Aszasz odkryła także, że być może przyjdzie do nas osoba nosząca takie imię jak ty, stare imię i bez numeru. Ta osoba spotka się z Łowcą i razem przekażą coś małej Pi-Joan, a ten przekaz zmieni losy światów. Od setek lat staraliśmy się zawsze mieć dziecko o imieniu Pi-Joan. Czekaliśmy sto lat. I teraz przychodzisz. Może to ty jesteś tą wybraną. Ale na oko nie masz jakichś specjalnych kwalifikacji. Co ty w ogóle umiesz?

– Jestem wiedźmą – odpowiedziała Elaine.

Pełzanka nie omieszkała okazać zdziwienia.

– Wiedźmą? Naprawdę?

– Tak – odrzekła, raczej pokornie, Elaine.

– W życiu bym nie chciała – odparła Pełzanka. – Mam swoją dumę.

Odwróciła twarz i przybrała swoją stałą, urażoną i pogardliwą minę.

Charley-moje-kochanie zaszeptał do pobliskiej grupki, nie przejmując się, czy Elaine słyszy go, czy nie.

– Wspaniale, wspaniale. Jest wiedźmą. Ludzką wiedźmą. Może naprawdę nadszedł wielki dzień! Elaine – dodał z pokorą. – Spojrzysz może na nas?

Elaine spojrzała. Gdy wreszcie zastanowiła się, gdzie jest, było to niewiarygodne: puste, dawne miasto Kalma było tuż-tuż za ścianą, a nowe, pełne ruchu miasto ledwie trzydzieści pięć metrów wyżej. A ten korytarz był kompletnym, pełnoprawnym światem. Robił takie wrażenie, mimo paskudnych żółtych i brązowych ścian, słabych, starych lamp oraz ludzkiego i zwierzęcego odoru przemieszanego w nieznośnie kiepskiej wentylacji. Mała-mała, Pełzanka, Mabel i Charley-moje-kochanie należeli do tego świata. Byli autentyczni, ale byli na zewnątrz, przynajmniej z punktu widzenia Elaine.

– Wypuście mnie – powiedziała. – Pójdę i przyjdę innym razem.

Charley-moje-kochanie, ewidentnie przywódca, przemówił jak w transie:

– Nic nie rozumiesz, Elaine. „Pójść” możesz stąd tylko na śmierć. Żadnego innego kierunku nie ma. Nie możemy pozwolić, by twoje poprzednie ja wyszło tamtymi drzwiami, nie po tym, jak lady Panc Aszasz wysłała cię do nas. Musisz iść naprzód na spotkanie przeznaczenia, swojego i naszego. Albo to robisz, wszystko świetnie się udaje, kochasz nas i my cię uwielbiamy – dodał rozmarzonym tonem – albo zabijam cię własnymi rękami. Tu i teraz. Mogę cię co najwyżej jeszcze raz poczęstować czystą wodą. Ale to wszystko. Więc nie masz wyboru, człowieku Elaine. Jak myślisz, co by się stało, gdybyś wyszła na zewnątrz?

– Nic, mam nadzieję, że nic – odpowiedziała Elaine.

– Nic! – prychnęła Mabel, a jej twarz przybrała z powrotem wyraz pełen oburzenia. – Przyleciałyby policja w swoich ornitopterach...

– Grzebaliby nam w mózgach – dodała Mała-mała.

– I dowiedzieliby się o nas – dodał wysoki, blady mężczyzna, który dotąd się nie odzywał.

– I w godzinę, dwie w najlepszym razie, wszyscy byśmy zginęli – uzupełniła Pełzanka ze swojej ławeczki. – Ciebie, Elaine, to by w ogóle obeszło?

– A, i jeszcze – wtrącił Charley-moje-kochanie – odłączyliby lady Panc Aszasz, tak że zniknęłoby nawet to kochane, wiekowe nagranie. I świat już w ogóle nie znałby miłosierdzia.

– Co to jest „miłosierdzie”? – zapytała Elaine.

– Oczywiście, że nigdy o czymś takim nie słyszałaś – burknęła Pełzanka.

Mysia staruszka Mała-mała podeszła do Elaine. Uniosła głowę i wyszeptała przez żółte zęby:

– Nie dawaj im się straszyć. Śmierć nie jest aż taka ważna, nawet dla was, ludzi, którzy macie przydzielone czterysta lat, ani dla nas, zwierząt, na które za rogiem czeka ubojnia. Śmierć to kwestia „kiedy”, a nie „jak”. Wszyscy mamy tak samo. Nic się nie bój. Idź prosto do celu, a może znajdziesz miłosierdzie i miłość. To o wiele lepsze niż śmierć, oby tylko udało ci się je znaleźć. A jak to się uda, śmierć przestanie tak się liczyć.

– Dalej nie wiem, co to „miłosierdzie” – powiedziała Elaine – ale wydawało mi się, że wiem, co to „miłość” i nie spodziewałam się spotkać ukochanego w brudnym, starym korytarzu pełnym podludzi.

– Nie o taką miłość mi chodziło. – Mała-mała parsknęła śmiechem, machnięciem ręki-łapki zbywając próbę przerwania jej przez Mabel. Pomarszczona mysia twarzyczka aż promieniała wyrazistością.

Elaine nagle wyobraziła sobie, jak Mała-mała mogła wyglądać w oczach innego mysiego podczłowieka, gdy była młoda, zgrabna i szara. Zapal rozświetlił jej rysy po młodzieńczemu, gdy mówiła dalej:

– Nie chodzi mi o miłość z kochankiem. Dziewczyno. Miłość do samego siebie. Miłość do życia. Miłość do wszystkich żywych istot. Nawet do mnie. Ty byś mnie kochała. Możesz to sobie wyobrazić?

Elaine chwiała się ze zmęczenia, ale spróbowała uczciwie odpowiedzieć na pytanie. Spojrzała w półmroku na pomarszczoną mysia staruszkę,

w brudnym ubraniu, z małymi czerwonymi oczkami. Przelotny obraz pięknej młodej myszy-dziewczyny zbladł; pozostała tylko stara, beznadziejna istota, ze swoimi nieludzkimi żądaniami i bezsensownym błaganiem. Zresztą ludzie nigdy nie kochali podludzi. Korzystali z nich, jak z krzesel albo klamek. Odkąd to klamki domagają się Karty Przedwiecznych Praw?

– Nie – odpowiedziała spokojnie i rzeczowo. – Nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Wiedziałam – rzuciła Pełzanka ze swojej ławeczki. Jej głos brzmiał triumfująco.

Charley-moje-kochanie potrząsnął głową, jakby chciał sobie coś w niej przejaśnić.

– Ty w ogóle wiesz, kto rządzi Fomalhautem III?

– Instrumentalność – powiedziała Elaine. – A my musimy tak gadać i gadać? Puśćcie mnie, albo mnie zabijcie, albo coś. To wszystko nie ma sensu. Już jak tu schodziłam, byłam zmęczona, a teraz jestem o milion lat bardziej.

Mabel powiedziała:

– To bierzcie ją tam.

– Dobrze – powiedział Charley-moje-kochanie. – A Łowca już jest?

– Jest – odezwała się mała Pi-Joan. – Wszedł z drugiej strony, kiedy ona wchodziła od przodu.

Elaine spojrzała na Charleya-moje-kochanie.

– Oszukałeś mnie. Powiedziałeś, że jest tylko jedna droga.

– Nie oszukałem – odparł. – Dla ciebie, dla mnie, dla przyjaciół lady Panc Aszasz jest tylko jedna droga. Ta, którą przysłaś. Druga to śmierć.

– A co to znaczy?

– To znaczy, że prowadzi prosto do ubojni, u tych ludzi, których nie znasz. Lordów Instrumentalności obecnych na Fomalhaucie III. A są to: lord Fentiosex, który nie ma ani krzty litości. Lord Limaono, który uważa, że podludzie są potencjalnym zagrożeniem i w ogóle nie należało ich stwarzać. Lady Goroke, która nie umie się modlić, ale próbuje zastanawiać się nad tajemnicą życia. Ta okazywała już dobroć podludziom, o ile była to

dobroć w granicach prawa. I jeszcze jest lady Arabella Underwood, której pojęcia sprawiedliwości nie rozumie żaden człowiek. Ani podczłowiek – dodał i parsknął śmiechem.

– A ta, to kim jest? Znaczy, skąd ma to dziwaczne imię? Bez żadnej liczby? Prawie tak cudaczne jak wasze. Albo moje – stwierdziła Elaine.

– Pochodzi ze Starej Australii Północnej, ze świata, gdzie rośnie strun, Instrumentalność wypożyczyła ją na pewien okres, ale przestrzega praw swojego ojczystego świata. Łowca potrafi przechodzić przez pomieszczenia i rzeźnie Instrumentalności, ale ty? Potrafisz?

– Nie – odrzekła Elaine.

– Zatem naprzód – zdecydował Charley-moje-kochanie – na śmierć lub wielki cud. Czy mogę ruszać, Elaine?

Elaine kiwnęła głową.

Staruszka-mysz Mała-mała poklepała ją po rękawie; oczy błyszczały jej dziwną nadzieją. A gdy mijiała ławeczkę Pełzanki, dumna i piękna dziewczyna spojrzała wprost na nią, beznamiętna, martwa i sroga. Dziewczynka-pies, Pi-Joan, zamykała pochód, jakby też została zaproszona.

Szli w dół, w dół i w dół. Właściwie to nie mogło być całe pół kilometra. Lecz wśród nieskończonych brązowych i żółtych ścian, dziwnych sylwetek bezprawnych i niepilnowanych podludzi, dziwnych wyziewów i ciężkiego, gęstego powietrza, Elaine miała wrażenie, że zostawiają za sobą wszelkie znane światy.

Tak zresztą było, dokładnie tak, ale nie przyszło jej wtedy do głowy, że jej podejrzenie może być prawdziwe.

## V

W końcu korytarza były okrągłe drzwiczki ze złota albo mosiądzu.

Charley-moje-kochanie zatrzymał się.

– Dalej pójść nie mogę – powiedział. – Pójdziecie we dwie, ty i Pi-Joan. To zapomniany przedsionek między tunelem i pałacem na górze. Tam będzie Łowca. Idź. Jesteś człowiekiem. Nic ci nie grozi. Podludzie przeważnie tam giną. No idź. – Szturchnął ją w łokieć i otworzył przesuwne drzwi.

– Ale dziewczynka...

– Ona nie jest dziewczynką – odparł Charley-moje-kochanie. – Jest tylko psem, tak samo jak ja nie jestem mężczyzną, tylko kozłem, trochę rozjaśnionym, przystrzyżonym i przyciętym, żebym wyglądał jak mężczyzna. Jeśli wrócisz, Elaine, pokocham cię jak boga, albo cię zabiję. Zależy.

– Zależy od czego? – zapytała Elaine. – I co to jest „bóg”?

Charley-moje-kochanie uśmiechnął się swoim zagadkowym, szybkim uśmiechem, jednocześnie zupełnie nieszczerym i stuprocentowo przyjacielskim. W normalnych czasach pewnie był to znak rozpoznawczy jego charakteru.

– O „bogu” dowiesz się gdzie indziej, jeśli w ogóle. Nie od nas. A od czego to zależy, tego sama się dowiesz. Nie musisz czekać, aż ci powiem. Idź już. Kilka minut i będzie po wszystkim.

– Ale Pi-Joan... – upierała się Elaine.

– Jeśli to się nie uda, zawsze będziemy mogli wyhodować sobie kolejną Pi-Joan i czekać na kolejną taką jak ty. Lady Panc Aszasz nam to obiecała. No idź!

Pchnął ją, a ona potknęła się i weszła do środka. Oślepiło ją jasne światło, a świeże powietrze smakowało równie dobrze, jak czysta woda w pierwszy dzień po wyjściu z kapsuły statku kosmicznego.

Mała psia dziewczynka truchtała tuż obok niej.

Drzwi, złote albo mosiężne, zatrzasnęły się.

Elaine i Pi-Joan stały obok siebie, nieruchomo, patrząc w przód i w górę.

Istnieje wiele znanych obrazów przedstawiających tę scenę. Większość ukazuje Elaine w lachmanach, z wykrzywioną, udręczoną twarzą wiedzmy. To kompletnie ahistoryczne. Gdy wchodziła do Miasta Prostaczków, miała na sobie zwyczajne spodnie, bluzkę i dwie zarzucone na ramię torby. Tak

się wówczas na Fomalhaucie III ubierano. Nie zrobiła niczego, by zniszczyć sobie ubranie, zatem, wychodząc stamtąd, powinna wyglądać tak samo. A Pi-Joan – cóż, wszyscy wiedzą, jak wyglądała Pi-Joan.

Łowca czekał na nie.

\*\*\*

Spotkały się z Łowcą. Tworzenie nowego świata się zaczęło.

Był mężczyzną, raczej niskim, miał czarne kręcone włosy, czarne oczy, w których igrał śmiech, szerokie barki i długie nogi. Ręce trzymał spokojnie po bokach, choć nie wyglądały na twarde i spracowane, jak by było, gdyby przerywał życie, choćby i tylko zwierzęce.

– Chodźcie i usiądźcie sobie – przywitał je. – Czekałem na was.

Elaine poczłapała przed siebie, pod górę.

– Czekaleś? – wysapała.

– Żadna w tym tajemnica – wyjaśnił. – Włączyłem sobie ekran. Pokazuje tunel. Ma ekranowane kable, więc policja nie może do niego zajrzeć.

Elaine stanęła jak wryta. Mała psia dziewczynka, o krok za nią, również stanęła. Spróbowała się maksymalnie rozprostować. Była mniej więcej tego wzrostu, co on. Trudne to było, on bowiem stał o cztery czy pięć stopni wyżej niż one. Udało jej się zachować spokój w głosie, gdy pytała:

– Czyli wiesz?

– Co wiem?

– Wszystko to, co oni tam mówili.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. – Dlaczego nie?

– Ale... – wyjąkała Elaine – o tym, że będziemy kochankami, też? To też?

– Też. – Uśmiechnął się jeszcze raz. – Pół życia to słyszę. Ale najpierw podejdźcie, siądźcie sobie, coś zjedzcie. Wieczorem będzie dużo roboty, jeśli faktycznie mamy odmienić historię. Co byś zjadła, malutka? – zapytał czule Pi-Joan. – Surowe mięso, czy jedzenie dla ludzi?

– Jestem ukończoną dziewczyną – odparła Pi-Joan. – Wolę ciasto czekoladowe z waniliowymi lodami.

– Jak sobie życzysz – powiedział Łowca. – Chodźcie teraz i zasiądźmy do stołu.

Weszły na górę schodów. Czekał na nie obficie zastawiony elegancki stół. Stały przy nim trzy fotele. Elaine rozejrzała się za trzecią osobą, która się do nich przyłączy. Dopiero siadając, uświadomiła sobie, że on zamierza zaprosić do stołu dziecko-psa.

Dostrzegł jej zdziwienie, ale nie skomentował go.

Odezwał się za to do Pi-Joan.

– Znasz mnie, dziewczynko, prawda?

Dziecko uśmiechnęło się i rozluźniło, po raz pierwszy odkąd Elaine ją poznała. Uwolnione od napięcia było naprawdę uderzająco piękne. Ta nieufność, cichość, skryty niepokój – to były psie cechy. Teraz dziewczynka wydawała się wyłącznie ludzka i ponad wiek dojrzała. W białej twarzy miała ciemne, ciemne piwne oczy.

– Wiele razy cię widywałam. I to ty mi powiedziałeś, co się stanie, jeśli okażę się tą Pi-Joan. Jak rozniosę słowo po świecie i jak poddadzą mnie wielkim próbom. Jak być może zginę, a być może nie, ale ludzie i podludzie zapamiętają moje imię na tysiące lat. Powiedziałeś mi prawie wszystko, co wiem, z wyjątkiem tego, o czym nie wolno mi z tobą rozmawiać. Ty też to wiesz, ale nie będziesz o tym mówić, prawda? – powiedziała błagalnie Pi-Joan.

– Wiem, że byłaś na Ziemi – odezwał się Łowca.

– Nie mów tego! Nie mów! Proszę! – jęknęła dziewczynka.

– Na Ziemi! W samej Kolebce Ludzkości?! – wykrzyknęła Elaine. – Niech mnie gwiazdy, jak się tam dostałaś?

Wtrącił się Łowca:

– Elaine, nie naciskaj, proszę. To wielka tajemnica i ona chce ją zachować. I tak dziś wieczorem dowiesz się więcej, niż kiedykolwiek wiedziała jakakolwiek śmiertelna kobieta.

– A co to znaczy „śmiertelna”? – zapytała Elaine. Nie cierpiała starożytnych słów.

– Po prostu, że skończy jej się życie.



– Głupota. Wszystko się kończy. Popatrz tylko na tych nieszczęśników, którzy wyszli poza przepisowe czterysta lat. – Rozejrzała się wokół.

Wisały tam grube czarno-czerwone kotary, sięgające od sufitu do podłogi. Z jednej strony pokoju stał mebel, jakiego nigdy nie widziała. Trochę przypominał stolik, choć z przodu miał szerokie, niskie drzwiczki, sięgające od boku do boku; był też bogato zdobiony nieznanym drewnem i metalem. Miała jednak ważniejsze tematy do rozmowy niż jakieś tam meble.

Przyjrzała się Łowcy (brak przewlekłych chorób; kiedyś ranny w lewe ramię; nadmierna ekspozycja na światło słoneczne; może wymagać skorygowania krótkowzroczności) i zapytała go:

– To ja też jestem teraz w twojej niewoli?

– W niewoli?

– Jesteś Łowcą. Polujesz na różne stworzenia. Pewnie po to, żeby je zabić. Taki jeden podczłowiek, który mówi o sobie „Charley-moje-kochanie”...

– W życiu! – przerwała jej Pi-Joan.

– Co w życiu? – zapytała Elaine, zła, że się jej przerywa.

– W życiu tak na siebie nie mówi. Inni ludzie, to znaczy podludzie, tak na niego mówią. Ma na imię Baltazar, ale nikt go tak nie nazywa.

– Jakie to ma znaczenie, mała? Mówię o swoim życiu. Twój przyjaciel powiedział, że jeśli coś się nie wydarzy, odbierze mi życie.

Ani Pi-Joan ani Łowca nie odezwali się.

Elaine usłyszała w swoim głosie nerwowy ton.

– Ty to słyszałeś! – Odwróciła się do Łowcy. – Widziałeś to na ekranie.

Głos Łowcy był esencją spokoju i otuchy:

– Mamy we troje wiele zadań do wykonania, zanim skończy się noc. Nic nie osiągniemy, jeśli będziecie się denerwować albo bać. Znam podludzi, ale równie dobrze znam lordów Instrumentalności – całą czwórkę, którą tu mamy. Lordów Limaono i Femtiosexa, lady Goroke. I tę Norstrilijkę też. Oni cię ochronią. Charley-moje-kochanie być może chciał ci odebrać życie, bo się niepokoił, bał się, że tunel Engloka, który dopiero co przeszłyście,

zostanie wykryty. Mam jednak swoje sposoby, by uchronić i jego, i was. Zaufajcie mi na chwilę. To nie powinno być takie trudne, prawda?

– Ale – zaprotestowała Elaine – ten facet, czy ten kozioł, czy kim on tam był, Charley-moje-kochanie, powiedział, że to wszystko wydarzy się od razu, jak tylko tu do ciebie przyjdziemy.

– Jak coś się ma wydarzyć – powiedziała mała Pi-Joan – skoro cały czas nic, tylko gadasz?

Łowca uśmiechnął się.

– Otóż to – stwierdził. – Dość rozmów. Teraz musimy zostać kochankami.

Elaine zerwała się na równe nogi.

– O nie, nic nie musimy. Nie ze mną. Ani z nią. Nie teraz, kiedy wreszcie odnalazłam swoją misję. Jestem wiedźmą. Powinnam coś robić, ale nigdy nie dowiedziałam się, co takiego.

– Popatrzcie na to – powiedział spokojnie Łowca, podchodząc do ściany i wskazując palcem misterny okrągły ornament.

Elaine i Pi-Joan spojrzały na niego.

Wtedy Łowca odezwał się znów, nagłym tonem.

– Widzisz to, Pi-Joan? Naprawdę to widzisz? Mijają wieki, czekając, aż nadejdzie twoja chwila. Widzisz to? Widzisz siebie w tym?

Elaine spojrzała na psią dziewczynkę. Pi-Joan prawie przestała oddychać. Wpatrzyła się w osobliwie symetryczny wzór, jakby był oknem wychodzącym na zaczarowane światy.

Łowca wrzasnął ile sił w płucach:

– Pi-Joan! Pi-Joan! Joanie!

Dziewczynka nie zareagowała.

Łowca podszedł do niej, klepnął ją delikatnie w policzek, znów krzyknął. Pi-Joan wciąż wpatrywała się w misterny wzór.

– A teraz – powiedział – będziemy się kochać. Dziecka tu nie ma, jest w świecie szczęśliwych snów. Ten wzór to mandala, ocalała z niewyobrażalnie odległej przeszłości. Unieruchamia ludzką świadomość. Pi-Joan ani nas nie zobaczy, ani nie usłyszy. Poza tym nie popchniemy jej ku przeznaczeniu, jeśli wcześniej się nie pokochamy.

Elaine, z dłonią przytkniętą do ust, próbowała wyliczać objawy, żeby uspokoić myśli. Nie zadziało. Po ciele rozlało się rozluźnienie, błogość i spokój, jakiego nie czuła od dzieciństwa.

– Myślałaś – powiedział Łowca – że poluję własnym ciałem i zabijam własnymi rękami? Nikt wam nie powiedział, że zwierzyzna przychodzi do mnie z radością i umiera, wyjąc z rozkoszy? Jestem telepatą i mam licencję na swoją pracę. A licencję tę otrzymałem od świętej pamięci lady Panc Aszasz.

Elaine wiedziała, że to oznacza koniec gadania. Rozdygotana, szczęśliwa i przerażona padła mu w objęcia i dała się zaprowadzić na kanapę stojącą pod ścianą czarno-złotego pokoju.

Tysiąc lat później obcałowywała mu ucho i szeptała do niego miłosne słówka. Nawet nie podejrzewała, że je zna. Widocznie, pomyślała, zapamiętała ze skrzynek z opowieściami więcej, niż się jej wydawało.

– Mój skarbie – mówiła – mój jedyny, mój kochany. Nigdy, nigdy mnie nie opuszczaj, nigdy mnie nie zostawiaj. Och, mój Łowco, strasznie cię kocham!

– Rozdzielimy się – odparł on – przed końcem jutrzejszego dnia, ale spotkamy się znów. Czy zdajesz sobie sprawę, że to wszystko trwało niecałą godzinę?

Elaine zarumieniła się.

– A ja... – zająknęła się. – Ja... jestem głodna.

– Nic dziwnego – rzekł Łowca. – Już niedługo obudzimy małą i razem coś zjemy. A potem będzie się działa historia, chyba że ktoś tu wejdzie i nas powstrzyma.

– Ale skarbie mój – powiedziała Elaine – nie moglibyśmy tak jeszcze przez chwilę? Przez rok? Miesiąc? Dzień? Odstawimy małą na jakiś czas z powrotem do tunelu.

– Nie bardzo – odparł Łowca – ale zaśpiewam ci za to piosenkę o tobie i o mnie. Fragmenty przychodziły mi do głowy od bardzo dawna, lecz teraz to wszystko się naprawdę wydarzyło. Posłuchaj.

Ujął jej dłonie w swoje, spojrział szczerze i otwarcie w oczy. Nic nie zdradzało, że ma telepatyczną moc.

Zaśpiewał jej piosenkę, którą znamy jako *Kochałem cię, straciłem cię.*

*Poznałem cię, kochałem cię,  
W Kalmie cię zdobyłem,  
Kochałem cię, mój skarbie,  
A potem straciłem!  
Ciemne niebo Wodnej Skąty,  
Zaciągnęło się nad nami,  
Oświetlone było tylko  
Kochania błyskawicami!*

*Czasu było mało,  
Godzinę to trwało,  
Rozkoszy i odtrącenia  
Ciało skosztowało.  
Ta życia historia,  
Słodko-gorzki ma smak,  
Krótka jak euforia,  
Jak śmierć długa tak.*

*A gdy się kochaliśmy,  
Chciało się planować  
Piękno tej miłości,  
Przed wojną ratować.  
Wszystko to na próżno,  
Czas nie znał litości.  
Życie idzie dalej,  
Na gruzach miłości.*

*Kłęska, koniec, pocałunek,  
A potem rozstanie,  
Pamięć pozostanie,*

*O tobie, i o mnie.  
Wspomnienia chwil pięknych,  
Chwile pięknych wspomnień.  
Zdobyłem cię, kochałem,  
I w Kalmie straciłem.*

Poruszając palcami w powietrzu, wydobywał z niego cichą, jakby organową muzykę. Widziała już wcześniej muzyczne promienie, ale nikt nigdy nie grał na nich dla niej.

Gdy skończył śpiewać, miała łzy w oczach. Takie to było prawdziwe, wspaniałe i wzruszające.

Lewą ręką cały czas ujmował jej prawą dłoń. Teraz nagle puścił ją i wstał.  
– Najpierw obowiązki. Później zjemy. Ktoś jest w pobliżu.

Podszedł pośpiesznie do małej psiej dziewczynki, wciąż siedzącej na krześle i otwartymi sennymi oczyma wpatrującej się w mandalę. Ujął ją zdecydowanie, choć delikatnie, za głowę i odwrócił od rysunku. Chwilę się szarpała, potem raptownie się przebudziła.

Uśmiechnęła się.

– Fajne to było. Odpoczęłam sobie. Ile to trwało... z pięć minut?

– Dłużej – powiedział łagodnie Łowca. – Teraz weź Elaine za rękę.

Jeszcze parę godzin temu Elaine zaprotestowałyby – co za groteska, trzymać się za rękę z podczłowiekiem. Tym razem nie powiedziała nic i usłuchała; rzuciła przy tym Łowcy miłosne spojrzenie.

– Nie musicie zbyt wiele wiedzieć, jedna i druga – stwierdził Łowca. – Ty, Pi-Joan, zaraz otrzymasz wszystko, co jest w naszych umysłach i naszej pamięci. Staniesz się nami, obojgiem nas. Na wieki wieków. I spotka cię twój wspaniały los.

Dziewczynka zadygotała.

– To naprawdę ten dzień?

– Ten dzień czy wieczór. Przyszłe pokolenia zapamiętają go na zawsze. A ty, Elaine – zwrócił się teraz do niej – musisz tylko mnie kochać i stać całkowicie nieruchomo. Rozumiesz? Doświadczysz niesamowitych rzeczy,

czasem bardzo przerażających. Ale nie będą prawdziwe. Po prostu stój i się nie ruszaj.

Elaine skinęła głową.

Łowca zawołał:

– W imię Pierwszego Zapomnianego, w imię drugiego Zapomnianego, w imię Trzeciego Zapomnianego! W imię miłości dla ludzkości, która da im życie. W imię miłości, która da im łagodną śmierć i prawdziwe... – Mówił wyraźnie, lecz Elaine nic nie rozumiała.

Przyszędł wielki dzień.

O tym akurat wiedziała.

Nie miała pojęcia skąd wie, ale wiedziała.

Lady Panc Aszasz przeniknęła przez podłogę, w swoim życzliwie uśmiechniętym robocim ciele. Podeszła do Elaine i szepnęła:

– Nic się nie bój, nie ma strachu.

Strachu? – pomyślała Elaine. Nie ma żadnego strachu. Zbyt ciekawe to wszystko.

Jakby w odpowiedzi, znikąd przemówił wyraźny, czysty męski głos:

– Czas na pełne śmiałości złączenie osobowości.

Gdy padły te słowa, jakby ktoś przekłuł bąbel. Elaine poczuła, że jej osobowość zlewa się z osobowością Pi-Joan. Gdyby to była zwykła telepatia, byłoby to przerażające. Ale to nie była żadna łączność. To było współlistnienie.

Stała się Joan. Poczwała na sobie to ładne, drobne ciało w schludnym ubraniu. Uświadomiła sobie jego kształt. Był dziwnie przyjemny i znajomy, choć to wspomnienie było niesamowicie odległe – pamiętała jednak, że i sama kiedyś miała takie ciało: gładką, niewinną, płaską pierś; nieskomplikowane łono, palce, które wciąż wydawały się oddzielne i żyjące własnym życiem. Za to umysł – och, ten umysł! Przypominał gigantyczne muzeum oświetlone przepięknymi witrażami i szczelnie zastawione górami pięknych i drogocennych przedmiotów, pachnące dziwnym kadzidłem, dymem falującym powoli w nieruchomym powietrzu. Pi-Joan miała umysł, który sięgał korzeniami aż do koloru i piękna ludzkiej starożytności. Pi-Joan była lordem Instrumentalności, człowiekiem-małą

leącym kosmicznym statkiem, przyjacielem drogiej zmarłej lady Panc Aszasz, jak i lady Panc Aszasz we własnej osobie.

Nic dziwnego, że dziecko przejawiało tak bogatą i dziwną osobowość – miało w sobie wielowiekowe dziedzictwo.

„Czas, by ze współdzielenia ciała prawda wyłonić się miała”, powiedział bezimienny, wyraźny, czysty głos w jej umyśle. „Czas na ciebie i na niego”.

Elaine uświadomiła sobie, że reaguje na hipnotyczne sugestie, wszczepione przez lady Panc Aszasz do mózgu małej pi-dziewczynki – sugestie, które uaktywniły się z pełną siłą, gdy cała trójka nawiązała telepatyczny kontakt.

Przez ułamek sekundy nie czuła nic poza zdumieniem własną osobą. Nie widziała nic oprócz siebie – ze wszelkimi szczegółami, wszelkimi sekretami, wszelkimi myślami i każdym zakamarkiem ciała. Osobliwie wyraźnie dostrzegała, jak piersi zwisają jej z żeber łagodną krzywizną, napięcie mięśni brzucha i grzbietu trzymających w prostej, dumnej pozycji jej kobiecy kręgosłup...

Kobiecy kręgosłup?

Skąd jej przyszło do głowy, że ma kobiecy kręgosłup?

Domyśliła się.

Podążała tropem umysłu Łowcy, który przelewał się przez jej ciało, upajał się nim, rozkoszował, kochał się z nim po raz kolejny, tym razem od środka.

Jakimś sposobem wiedziała także, że mała pi-dziewczynka patrzy na to wszystko w milczeniu, bez słowa, chłonąc z nich obojga pełnię człowieczeństwa ze wszystkimi jego niuansami.

Zawstydziała się, nawet w tym delirycznym stanie. Tego było za wiele, nawet jak na sen. Zaczęła zamykać umysł – przyszło jej do głowy, że powinna także zabrać dłonie, złączone z dłońmi Łowcy i pi-dziewczynki...

Wtedy jednak pojawił się ogień...

Ogień wydobył się spod podłogi i niematerialnie zapłonął wokół nich. Elaine nic nie poczuła... poza dotykiem dłoni dziewczynki.

– Ogień wokół dam mam – powiedział głos kretyna znikąd.

– Ogień na stosie, o losie – dodał kolejny.

– Będzie gorąco, nieustająco – rzekł trzeci.

Nagle Elaine wspomniała Ziemię – lecz to nie była znana jej Ziemia. Była Pi-Joan i nie była Pi-Joan. Była wysokim, silnym człowiekiem-małą, nie do odróżnienia od prawdziwego. Czuł/a w sercu wielką czujność, gdy szedł/szła po Placu Pokoju w An-Fangu, po Starym Placu w An-Fangu, gdzie wszystko się zaczyna. Zauważył/a jakąś niespójność. Brakowało niektórych budynków.

Prawdziwa Elaine pomyślała: ach, więc tak postąpili z tym dzieckiem, wdrukowali mu wspomnienia innych podludzi. Innych, którzy odważyli się wyruszyć w nieznane.

Ogień zniknął.

Elaine przez chwilę widziała czarno-złoty pokój, czysty i pusty, dopóki nie zalał go spieniony zielony ocean. Woda zalała ich troje, ani trochę ich nie mocząc. Zieleń przelewała się wokół, nie topiąc ich ani nie wywierając ciśnienia.

Elaine była Łowcą. Na niebie nad Fomalhautem III unosiły się gigantyczne smoki. Stwierdziła, że wędruje po wzgórzach, wzdychając z miłości i tęsknoty. Nosila umysł Łowcy i jego pamięć. Smok wyczuł ją i zanurkował. Potężne gadzie skrzydła były piękniejsze niż zachód słońca i delikatniejsze niż storczyki. Ich łopot w powietrzu był lekki jak oddech niemowlęcia. Była nie tylko Łowcą, ale i smokiem jednocześnie; poczuła, jak ich umysły spotkały się. Smok umarł z rozkoszy i z radości.

Woda jakimś sposobem zniknęła. Podobnie jak Pi-Joan i Łowca. Nie była już z nimi w pokoju. Była spiętą, zmęczoną, podenerwowaną Elaine, rozglądającą się za jakimkolwiek celem po bezimiennej ulicy. Miała obowiązek robić coś, czego się w życiu zrobić nie da. Nie ta ja, nie to miejsce, nie ten czas – i jestem sama, sama, sama jak palec – wołał jej umysł. Pokój pojawił się z powrotem, podobnie jak dłonie Łowcy i dziewczynki.



Zaczęła się podnosić mgła...

Kolejny sen? – pomyślała Elaine. Czy to już nie koniec?

Odezwał się jednak kolejny głos znikąd, głos, który zgrzytał jak tnąca kość piła, jak tryby zepsutej maszyny pędzącej z katastrofalną szybkością. Zły, przerażający głos.

Może to faktycznie była ta „śmierć”, z którą pomylili ją podludzie z tunelu na dole.

Dłoń Łowcy puściła jej dłoń. Ona puściła Pi-Joan.

W pokoju pojawiła się dziwna kobieta. Miała na sobie trykot podróżnika i szarfę władzy.

Elaine wytrzeszczyła na nią oczy.

– Zostaniesz ukarana – powiedział straszny głos, który wydobywał się teraz z tej kobiety.

– C-co? – wyjąkała Elaine.

– Warunkujesz podczłowieka, nie mając do tego uprawnień. Nie wiem, kim jesteś, ale Łowca powinien być mądrzejszy. A zwierzę oczywiście musi umrzeć. – Kobieta spojrzała na małą Pi-Joan.

Łowca mruknął, jakby trochę na powitanie nieznajomej, trochę tytułem wyjaśnienia dla Elaine, a trochę jakby nie wiedział, co właściwie powiedzieć:

– Lady Arabella Underwood.

Elaine nie była w stanie się uklonić, choć chciała.

Natomiast psia dziewczynka ją zaskoczyła.

– Jestem twoją siostrą Joan – powiedziała – a nie jakimś zwierzęciem.

Lady Arabella miała chyba problem ze słuchem. (Elaine sama nie wiedziała, czy słyszy mówione słowa, czy odbiera je umysłem).

– Jestem Joan i kocham cię.

Lady Arabella wzdrygnęła się, jakby ktoś opryskał ją wodą.

– Oczywiście, że jesteś Joan. Kochasz mnie. I ja cię kocham.

Ludzie i podludzie spotykają się i mówią o miłości.

– Kocham. Oczywiście, kochanie. Jesteś dzielną małą dziewczynką. I dobrze robisz.

– Zapomnisz o mnie – powiedziała Joan – dopóki nie spotkamy się i nie pokochamy po raz drugi.

– Tak jest, kochanie. Zatem do widzenia.

Przynajmniej Pi-Joan użyła teraz słów. Odezwała się do Łowcy i Elaine:

– Już koniec. Wiem, kim jestem i co mam robić. Elaine lepiej niech pójdzie ze mną. Na razie, Łowco, o ile przeżyjemy.

Elaine zerknęła na lady Arabellę, która stała jak słup soli i wytrzeszczała oczy niczym ślepa. Łowca kiwnął Elaine głową, ze swoim mądrym, uprzejmym, smutnym uśmiechem.

Dziewczynka poprowadziła ją w dół, w dół, w dół i w dół, aż pod drzwi wiodące z powrotem do tunelu Engloka. Gdy przechodziły przez wielkie mosiężne drzwi, usłyszała, jak Lady Arabella mówi do Łowcy:

– A co ty tu robisz zupełnie sam? Dziwnie tu pachnie. Były tu jakieś zwierzęta? Coś upolowałeś?

– Tak, proszę pani – odparł Łowca, gdy Pi-Joan i Elaine przechodziły przez drzwi.

– Co takiego?! – wykrzyknęła lady.

Łowca musiał podnieść głos, chciał bowiem, żeby i tamta dwójka go usłyszała:

– Zabiłem, proszę pani, tak jak zawsze, miłością. Tym razem chodziło o cały ustrój.

Prześliznęły się na drugą stronę, słysząc protestujący głos lady Arabelli, pełen autorytetu i dociekliwy, wciąż rozlegający się wokół Łowcy.

Joan prowadziła. Miała ciało ślicznej dziewczynki, lecz osobowość wypełniały w pełni przebudzone charaktery wszystkich wdrukowanych podludzi. Elaine tego nie rozumiała, dla niej wciąż była małą pi-dziewczynką, tymczasem Joan była także Elaine i Łowcą. Nie było wątpliwości, że dziecko, już nie podczłowiek, prowadzi, a Elaine, choćby i człowiek, idzie za nią.

Drzwi zamknęły się za ich plecami. Znalazły się z powrotem w Brązowo-żółtym Korytarzu. Czekala tam większość podludzi. Gapili się na nie. Ciężkie, zwierzęce zapachy ze starego tunelu opłynęły je jak gęste, powolne

fale. Elaine poczuła w skroniach początki bólu głowy, była jednak zbyt skupiona, by się tym przejąć.

Przez chwilę stały tak naprzeciwko podludzi.

Większość z was widziała przedstawiające tę scenę obrazy lub spektakle teatralne. Najślynniejszy z nich jest bez wątpienia „rysunek jedną linią” Sana Shigonandy – ściana w tle niemal jednolicie szara, z odrobiną brązu i żółci po lewej, odrobiną czerni i czerwieni po prawej, a pośrodku ta dziwna biała linia, niemal jak rozmazana farba, niepojętym sposobem sugerująca osłupiałą Elaine oraz przekłętą-błogosławioną Joan.

Pierwszy mowę odzyskał oczywiście Charley-moje-kochanie. (Elaine już nie postrzegaa go jako człowieka-koźła. Wyglądał jak szczerzy, przyjacielski mężczyzna w średnim wieku, dzielnie zmagający się z kiepskim zdrowiem i życiem w niepewności. Jego uśmiech wydał się teraz przekonujący i pełen wdzięku. Dlaczego, pomyślała Elaine, wcześniej go takim nie widziałam? Czy się zmieniłam?).

Charley-moje-kochanie odezwał się, zanim zebrała myśli.

– Udało mu się. Czy jesteś Pi-Joan?

– Czy jestem Pi-Joan? – zapytało dziecko, zwracając się do tłumu zniekształconych, cudacznych postaci w tunelu. – Myślicie, że jestem Pi-Joan?

– Nie! Nie! Jesteś nam obiecaną, jesteś pomostem do ludzi! – wykrzyknęła wysoka, żółtowłosa kobieta, której Elaine sobie nie przypominała.

Padła przed dziewczynką na kolana i usiłowała chwycić ją za rękę. Dziecko spokojnie acz stanowczo zabrało rękę, kobieta ukryła więc twarz w jej spódniczce i zapłakała.

– Jestem Joan – powiedziała dziewczynka – i nie jestem już psem. A wy jesteście teraz ludźmi, ludźmi jesteście, i jeśli zginiecie razem ze mną, zginiecie ludzką śmiercią. Czy to nie lepiej niż w całej przeszłości? A ty, Ruthie – zwróciła się do kobiety u swoich stóp – wstań i przestań płakać. Ciesz się. Nadeszły dni, kiedy będę z tobą, Ruthie. Wiem, że odebrali ci dzieci i je zabili. Boleję nad tym. Ale nie mogę ci ich zwrócić. Dam ci za to kobiecość. Nawet Elaine uczyniłam w pełni człowiekiem.

– Kim ty jesteś? – zapytał Charley-moje-kochanie. – Kim jesteś?

– Jestem małą dziewczynką, którą godzinę temu wysłałeś, by przeżyła lub zginęła. Teraz jestem Joan, nie Pi-Joan i przynoszę wam broń. Jesteście kobietami. Jesteście mężczyznami. Jesteście ludźmi. Będziecie mogli tej broni użyć.

– Co to za broń? – zapytał głos Pełzanki, mniej więcej z trzeciego rzędu widowni.

– Życie i wspólne życie – odrzekła mała Joan.

– Nie bądź głupia – burknęła Pełzanka. – Co to za broń? Nam nie potrzeba słów. Słowa i śmierć mamy, odkąd pojawili się podludzie. Tym właśnie karmią nas ludzie – dobre słowa, szczytne zasady i morderstwo z zimną krwią, rok za rokiem, pokolenie za pokoleniem. Nie mów mi, że jestem człowiekiem, bo nie jestem. Jestem żubrem i dobrze o tym wiem. Zwierzęciem tak spreparowanym, żeby wyglądało jak człowiek. Daj nam coś, czym można zabijać. Niech zginę w walce.

Mała Joan wyglądała absurdalnie ze swoim dziecięcym ciałkiem, niska, ubrana w niebieską sukieneczkę, w której Elaine pierwszy raz ją widziała. Mimo to panowała nad swoimi słuchaczami. Gdy uniosła rękę, szmer głosów, które odezwały się, kiedy Pełzanka zaczęła krzyczeć, ucichł z powrotem.

– Pełzanko – powiedziała, głosem, który niósł się po całym pomieszczeniu – pokój niech będzie z tobą na wieki.

Pełzanka najeżyła się. Miała tyle przyzwoitości, by zdziwić się skierowanym do niej przekazem, ale nie odezwała się ani słowem.

– Nie mówcie do mnie, kochani ludzie – ciągnęła Joan. – Najpierw się do mnie przyzwyczajcie. Przynoszę wam wspólne życie. To coś więcej niż miłość. Miłość to twarde, smutne słowo, zimne i nieczyste. Mówi zbyt wiele i obiecuje zbyt mało. Ja przynoszę wam coś o wiele większego niż miłość. Jeśli żyjecie, to żyjecie. Ale jeśli żyjecie wspólnie, to wiecie, że poza wami jest jeszcze jakieś inne życie – jest was dwoje lub więcej. Nic nie róbcie. Po prostu bądźcie. To jest właśnie ta broń. Ani ogień, ani karabin, ani trucizna jej nie powstrzyma.

– Chciałabym ci uwierzyć – powiedziała Mabel – ale nie wiem jak.

– Nie musicie mi wierzyć – odparła mała Joan. – Po prostu bądźcie i zostawcie sprawy własnemu biegowi. Przepuście mnie, dobrzy ludzie. Muszę się chwilę przespać. Elaine mnie popilnuje, a kiedy wstanę, powiem wam, dlaczego już nie jesteście podludźmi.

Postąpiła parę kroków naprzód...

Korytarz rozdarł obłąkany, zawodzący wrzask.

Wszyscy rozejrzeli się, ciekawi, skąd dochodzi.

Był niemal jak ptasi bojowy okrzyk, lecz dobiegał gdzieś spomiędzy nich.

Elaine pierwsza to zobaczyła.

Pełzanka miała nóż, i gdy tylko ucichł krzyk, rzuciła się z nim na Joan.

Dziewczynka i kobieta upadły na podłogę, szamotały się. Większa dłoń dwa razy uniosła się z nożem, za drugim razem zakrwawiona.

Czując ostre pieczenie w boku, Elaine domyśliła się, że i ją trafił jeden z ciosów. Nie wiedziała, czy Joan przeżyła.

Podludzie odciągnęli Pełzankę od dziecka.

Była blada z furii.

– Słowa, słowa, słowa. Wszystkich nas pozabija tymi swoimi słowami.

Wielki gruby facet z niedźwiedzim pyskiem, ale normalną ludzką głową i ciałem, przyskoczył do trzymającego Pełzankę. Spoliczkował ją raz, potężnie. Padła nieprzytomna na podłogę. Nóż, umazany krwią, spadł na stary wystrzępiony dywan.

(Elaine pomyślała odruchowo: później podać lek wzmacniający; zbadać kręgi szyjne; brak krwotoku).

Po raz pierwszy w życiu mogła zadziałać jak wykształcona i skuteczna wiedźma. Pomogła ludziom ściągnąć ubranie z małej Joan. Ciało, z którego tuż pod klatką piersiową tryskała gęsta, ciemnoczerwona krew, wyglądało na bezbronne i kruche. Elaine sięgnęła do swojej torby. Wyciągnęła chirurgiczny pisak radarowy. Przytknęła go do oka i obejrzała ciało w okolicy rany. Przebita otrzewna, przecięta wątroba, perforacja górnych fałd jelita grubego w dwóch miejscach. Zobaczywszy to, wiedziała co ma robić. Odsunęła gapiów na bok i zabrała się do pracy.

Najpierw skleić rany, poczynając od wewnątrz, od obrażeń wątroby. Każde tryśnięcie organicznego kleju poprzedzała maleńka dawka proszku rekodującego, mającego wspomagać zdolności regeneracyjne uszkodzonej tkanki. Całe badanie, spryskiwanie i wyciskanie zajęło jedenaście minut. Zanim skończyła, Joan odzyskała przytomność i wymamrotała:

– Ja umieram?

– Absolutnie nie – odparła Elaine – chyba że te leki dla ludzi zaszkodzą ci na psią krew.

– Kto to zrobił?

– Pełzanka.

– Ale dlaczego? Dlaczego? Czy ona też jest ranna? Gdzie ona jest?

– Na razie nie za bardzo ranna, ale jeszcze będzie – wtrącił człowiek-koziół, Charley-moje-kochanie. – Jeśli przeżyje, wyleczymy ją, osądzimy i skazemy na śmierć.

– Nic z tego – powiedziała Joan. – Pokochacie ją. Musicie.

Człowiek-koziół zrobił zdeorientowaną minę. Zwrócił się do Elaine.

– Może jednak spojrzysz na Pełzankę – powiedział. – Orson mógł ją zabić, jak ją klepnął. Bo wiesz, to niedźwiedź.

– Widziałam – burknęła Elaine. Co, myślał, że wzięła go za kolibra?

Podeszła do nieprzytomnej Pełzanki. Dotknęła jej ramion i od razu wiedziała, że będą problemy. Zewnętrzny wygląd miała ludzki, ale mięśnie pod spodem już nie. Podejrzewała, że wyszła z laboratoriów jako istota potwornie silna, z zachowaną siłą i uporem żubra, do jakichś nieokreślonych przemysłowych zastosowań. Wyjęła mózgowe złącze, przekaźnik telepatyczny o krótkim zasięgu, który działał tylko przez chwilę i słabo, żeby sprawdzić, czy ma nieuszkodzony mózg. Lecz kiedy tylko dotknęła głowy Pełzanki, żeby go podłączyć, nieprzytomna dziewczyna ocknęła się raptownie, zerwała na nogi i krzyknęła:

– Nie ma mowy! Nie zaglądam do mnie, ty człowiecza paskudo!

– Pełzanko, nie ruszaj się!

– Nie rozkazuj mi, ty potworze.

– Pełzanko, nie wolno tak mówić – odezwała się Joan.

Dziwnie było słyszeć tak rozkazujący ton wydobywający się z krtani i ust małego dziecka. Joan może i była mała, ale ta scena należała do niej.

– Nie interesuje mnie, co mówisz. Wszyscy mnie nienawidzicie.

– To nieprawda, Pełzanko.

– Jesteś psem, a teraz nagle człowiekiem. Urodzona zdrajczynie. Psy od zawsze trzymały z ludźmi. Nienawidziłaś mnie już jak tu weszłaś i zmieniłaś się w coś innego. Teraz nas wszystkich zabijesz.

– Być może zginiemy, Pełzanko, ale nie ja to uczynię.

– Ale mnie i tak nienawidzisz. I zawsze nienawidziłaś.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale zawsze cię kochałam. Byłaś najpiękniejsza w całym naszym korytarzu.

Pełzanka parsknęła śmiechem. Elaine poczuła gęsią skórę.

– Założmy, że ci wierzę. Jak mogłabym żyć, myśląc, że ludzie mnie kochają? Gdybym ci uwierzyła, musiałabym sama siebie rozedrzeć na strzępy, rozprysnąć własny mózg na ścianie, i... i... – Śmiech zmienił się w szloch, lecz mimo to mówiła dalej: – Jesteście wszyscy tak głupi, że nawet nie dostrzegacie, że jesteście potworami. Nie jesteście ludźmi. I nigdy nie będziecie. Ja jestem taka jak wy. Ale na tyle uczciwa, by przyznać, kim jestem. Jesteśmy śmieciem, niczym, jesteśmy mniej ważni niż maszyny. Chowamy się pod ziemią, jak śmieci, a kiedy ludzie zabijają, w ogóle nie czują żalu. Ale przynajmniej udało nam się dobrze ukryć. A teraz przychodzisz ty, i ta twoja oswojona ludzka samica... – Pełzanka zerknęła na Elaine – ...i nawet to chcesz zmienić. Zabiłabym cię jeszcze raz, gdybym tylko mogła, ty suko, ty kundlu! Co ty wyprawiasz ze swoim dzieciennym ciałem? Już nie wiadomo, kim jesteś. Powiesz nam może?

Człowiek-niedźwiedź niepostrzeżenie przysunął się do Pełzanki, gotów uderzyć ją po raz kolejny, gdyby zaatakowała małą Joan.

Joan spojrzała wprost na niego i samym ruchem oczu zabroniła mu ją uderzyć.

– Jestem zmęczona – powiedziała. – Jestem zmęczona, Pełzanko. Mam tysiąc lat, a jeszcze nie skończyłam pięciu. Jestem teraz Elaine, jestem Łowcą, jestem lady Panc Aszasz i wiem o wiele więcej niż myślałam, że się

dowiem. Mam zadanie do wykonania, Pełzanko, bo was kocham, i myślę, że niedługo umrę. Ale proszę, kochani ludzie, dajcie mi najpierw odpocząć.

Orson, niedźwiedź, stał po prawej stronie Pełzanki. Po lewej pojawiła się kobieta-wąż. Twarz miała ładną – i ludzką – jeśli nie liczyć cienkiego, rozwidlonego języka, który wyskakiwał z ust i znikał z powrotem, jak dogasający płomyk. Miała ładne ramiona i biodra, za to zupełnie nie miała biustu. Na piersi wisiał, kołysząc się, złoty stanik z pustymi miseczkami. Jej dłonie wyglądały na mocniejsze od stali. Pełzanka ruszyła ku Joan. Kobieta-wąż zasyczała.

Był to syk węża ze Starej Ziemi.

Wszyscy ludzie-zwierzęta w korytarzu na moment wstrzymali oddech. Wpatrzyli się w kobietę-węża. Znów zasyczała, utkwivszy wzrok w Pełzance. Strasznie brzmiał ten dźwięk w wąskim korytarzu. Elaine zauważyła, że Joan spięła się nerwowo niczym mały piesek, Charley-moje-kochanie wyglądał, jakby miał jednym skokiem pokonać dwadzieścia metrów, a ona sama poczuła chęć, by niszczyć, zabijać, mordować. Ten syk prowokował ich wszystkich.

Kobieta-wąż rozejrzała się spokojnie dookoła, w pełni świadoma, że skupia uwagę wszystkich obecnych.

– Nie bójcie się, drodzy ludzie. Widzicie, nazywam was tak samo, jak Joan. Nic nie zrobię Pełzance, jeśli ona nie zrobi nic Joan. Ale jeśli ona zrobi jej coś złego, jeśli ktokolwiek zrobi jej coś złego, będzie mieć ze mną do czynienia. A dobrze wiecie, kim jestem. My, wu-ludzie, wyróżniamy się wielką siłą, dużą inteligencją i całkowitym brakiem strachu. Wiecie, że nie potrafimy się rozmnażać. Ludzie muszą nas produkować na sztuki, ze zwykłych węży. Nie wchodźcie mi w drogę, kochani ludzie, ja tylko chcę się dowiedzieć czegoś o tej nowej miłości, jaką przynosi nam Joan. Póki tu jestem, nikt jej nic nie zrobi. Zrozumieliście, ludzie? Nikt. Ktoś spróbuje, to zginie. Spokojnie dam radę zabić was wszystkich zanim zginę, nawet jeśli rzucicie się na mnie wszyscy naraz. Słyszycie mnie, ludzie? Nie ruszajcie Joan. Dotyczy to i ciebie, miętka ludzka samiczko. Ciebie też się nie boję. A ty, słuchaj – zwróciła się do człowieka-niedźwiedzia – weź małą Joan na rękę i zanieś w jakieś spokojne miejsce, do łóżka. Musi odpocząć. Musi



przez chwilę mieć spokój. I wy też zachowacie spokój i ciszę, wszyscy, inaczej będziecie mieć ze mną do czynienia. Ze mną.

Spojrzenie czarnych oczu przemknęło po twarzach. Kobieta-wąż przesunęła się naprzód, a wszyscy rozstąpili się przed nią, jakby była jedyną materialną istotą w tłumie duchów.

Jej wzrok na moment spoczął na Elaine. Odwzajemniła spojrzenie i poczuła się bardzo nieswojo. Czarne oczy pozbawione brwi i rzęs wydawały się pełne inteligencji i kompletnie pozbawione emocji. Orson, człowiek-niedźwiedź, posłusznie ruszył za nią. Niósł małą Joan.

Mijając Elaine, spróbowała otworzyć oczy. Szepnęła:

- Musisz sprawić, żebym była większa. Powiększyć mnie. I to szybko.
- Ale nie wiem jak... – odrzekła Elaine.

Dziewczynka wzięła się w garść i oprzytomniała.

– Mam misję. Pracę... a być może i śmierć. To wszystko na nic, jeśli będę taka mała. Muszę być większa.

- Ale... – zaprotestowała Elaine.
- Jeśli nie wiesz jak, zapytaj lady.
- Jakiej lady?

Wu-kobieta zatrzymała się, przysłuchiwała się rozmowie. Wtrąciła się:

– Oczywiście lady Panc Aszasz. Tej, co nie żyje. Myślisz, że żywa lady z Instrumentalności zrobiłaby coś dla nas? Zabiłaby nas wszystkich i tyle.

Gdy kobieta-wąż i Orson wynieśli Joan, Charley-moje-kochanie podszedł do Elaine i zapytał:

- Idziesz?
- Dokąd?
- No jak to? Do lady Panc Aszasz.

– Ja? – zdziwiła się Elaine. – Teraz? – Dodała z naciskiem. – Oczywiście, że nie – zaprzeczyła, podkreślając każde słowo, jakby stanowiła prawo. – Za kogo ty mnie masz? Parę godzin temu nawet nie wiedziałam, że istniejesz. Nie byłam pewna, co to znaczy „śmierć”. Wydawało mi się, że każdy po prostu kończy życie po czterystu latach, tak jak powinien. Przez te godziny cały czas się narażałam, a wszyscy grozili wszystkim tą „śmiercią”. Jestem zmęczona, brudna, chce mi się spać i muszę się sobą zająć, a poza tym...

Urwała nagle i zagryzła wargę. Już miała powiedzieć, że poza tym jest wyczerpana śnionym uprawianiem miłości z Łowcą. To nie sprawa Charleya-moje-kochanie, tego capa. Miał koźli umysł i nie dostrzeże wzniosłości aktu.

Człowiek-cap odezwał się bardzo łagodnie.

– Tworzysz historię, Elaine, a kiedy się tworzy historię, nie zawsze jest czas przejmować się drobiazgami. Czyż nie jesteś szczęśliwsza, nie czujesz się ważniejsza niż kiedykolwiek? Nie? Czyż nie jesteś inną osobą niż ta, która ledwo parę godzin temu poznała Baltazara?

Ta powaga zbiła Elaine z tropu. Kiwnęła głową.

– Jeszcze przez chwilę musisz być głodna i zmęczona. I brudna. Jeszcze tylko trochę. Nie wolno nam tracić czasu. Porozmawiasz z lady Panc Aszasz. Dowiesz się, co trzeba zrobić z małą Joan. A gdy wrócisz z tą informacją, sam się o ciebie zatroszczę. Ten tunel nie jest aż tak obskurny. W Sali Engloka mamy wszystko, co tylko zechcesz. Zbudował ją, dawno temu, Englok we własnej osobie. Jeszcze chwilę nam pomożesz, a potem zjesz i odpoczniesz. Mamy tam wszystko. „Nie lada jakiego miasta jestem obywatelem”. Ale najpierw musisz pomóc Joan. Bo ją kochasz, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– To jeszcze trochę nam pomóż.

Pomóc? W śmierci? – pomyślała. W morderstwie? W naruszaniu prawa? Ale... wszystko to dla Joan.

Tak oto Elaine znalazła się pod zamaskowanymi drzwiami, po raz wtóry znalazła się pod gołym niebem i zobaczyła wielki spodek Górnego Miasta rozciągający się nad Starym, Dolnym Miastem. Porozmawiała z głosem lady Panc Aszasz i uzyskała pewne wskazówki oraz pewne wiadomości. Będzie je w stanie później powtórzyć, choć na razie była zbyt zmęczona, by je do końca pojąć.

Powlokła się do punktu na murze, gdzie sądziła, że znajdzie drzwi. Oparła się o niego – i nic się nie stało.

– Dalej, obok, Elaine, trochę dalej. Szybko! Kiedy byłam sobą, kiedyś, też się męczyłam – dobiegł ją wyraźny szept lady Panc Aszasz. – Ale się pośpiesz!

Elaine odsunęła się od muru i przyjrzała mu się.

Trafił ją snop światła.

Instrumentalność ją znalazła.

Rzuciła się nerwowo pod ścianę.

Drzwi otworzyły się na moment. Silna, opiekuńcza dłoń Charleya-moje-kochanie pomogła jej wejść.

– Światło! Światło! – krzyczała Elaine. – Wszystkich nas zabiłam! Zobaczyli mnie!

– Jeszcze nie. – Człowiek-cap uśmiechnął się swoim szybkim, krzywym, inteligentnym uśmiechem. – Może wykształcony nie jestem, ale całkiem bystry.

Wyciągnął rękę ku wewnętrznym drzwiom, otaksował wzrokiem Elaine i wypchnął za nie robota wielkości człowieka.

– Proszę, poszedł. Sprzątaczu, mniej więcej twojej postury. Bez banku pamięci. Zużyty mózg. Tylko proste motywacje. Jeśli zejda na dół, żeby sprawdzić, co widzieli, zobaczą jego. Trzymamy paru takich pod ręką koło drzwi. Za często nie wychodzimy, ale jak już trzeba, używamy ich jako kamuflażu. – Wziął ją za rękę. – Zjesz i mi powiesz. Nie dałoby się jej trochę powiększyć...?

– Kogo?

– Joan, oczywiście. Naszej Joan. Tego właśnie miałaś się dla nas dowiedzieć.

Elaine musiała poszukać w pamięci, co konkretnie lady Panc Aszasz mówiła na ten temat. Po chwili przypomniała sobie.

– Potrzebna będzie kapsuła. I żelowa kąpiel. I narkotyki, bo będzie bolało. Cztery godziny.

– Wspaniale – odparł Charley-moje-kochanie, prowadząc ją coraz dalej w głąb tunelu.

– Ale co za sens – zapytała Elaine – skoro ja to wszystko zaprzepaściłam? Instrumentalność widziała, jak tu wchodzi. Pójdą za mną. Wszystkich was pozabijają, Joan też. Gdzie Łowca? Nie powinnam się najpierw trochę przespać? – Poczowała, że usta drętwieją jej ze zmęczenia; nie spała i nie

jadła, odkąd podkusiło ją wejść w dziwne małe drzwiczki pomiędzy ulicą Wodnej Skały a Ciągiem Handlowym.

– Nic ci nie grozi, Elaine, nic ci nie grozi – powiedział Charley-moje-kochanie; uśmiech miał niezwykle ciepły i podstępny, a jego aksamitny głos pobrzmiwał autentycznym przekonaniem.

Sam nie wierzył w ani jedno słowo. Sądził, że wszyscy są w niebezpieczeństwie, ale nie ma sensu straszyć Elaine, która jest jedynym prawdziwym człowiekiem po ich stronie, nie licząc Łowcy, lecz Łowca to dziwna postać, trochę jak zwierzę, i lady Panc Aszasz, dobrotliwej, ale przecież od dawna nieżyjącej. Sam też był przerażony, ale bał się tego strachu. Niewykluczone, że wszyscy są już skazani na klęskę.

W pewnym sensie miał rację.

## VII

Lady Arabella Underwood skontaktowała się z lady Goroke.

– Ktoś manipulował moim umysłem.

Lady Goroke zbulwersowała się. Odpowiedziała:

– Zarzuć sondę.

– Zrobiłam to. I nic.

– Nic. – Kolejny szok u lady Goroke. – Trzeba ogłosić alarm.

– Oj, nie. Nie, nie. To był przyjacielski, łagodny kontakt.

Lady Arabella Underwood, ponieważ pochodziła ze Starej Australii Północnej, była dość oficjalna. Zawsze myślała do rozmówców pełnymi słowami. Nigdy nie wysyłała surowych obrazów.

– Ale to jest nielegalne. Jesteś z Instrumentalności, to wiesz. To przestępstwo! – pomyślała lady Goroke.

W odpowiedzi usłyszała chichot.

– Śmiejesz się...? – zapytała.

– Po prostu przyszło mi do głowy, że może zjawił się tutaj jakiś nowy lord. Z Instrumentalności. I chciał mi się przyjrzeć.

Lady Goroke była nadmiernie porządna i łatwo się szokowała.

– My byśmy czegoś takiego nie zrobili!

Lady Arabella pomyślała sobie: tobie, skarbie, to w życiu. Jesteś pruderyjna, że aż strach. Lecz nie nadała tego. Nadała natomiast:

– Dobrze, to nieważne.

Zdziwiona i zaniepokojona lady Goroke pomyślała:

– No dobrze. Koniec?

– Jasne. Koniec.

Lady Goroke zmarszczyła czoło z namysłem. Puknęła w ścianę.

– Centrala Planetarna – pomyślała do niej.

Za biurkiem siedział zwykły człowiek.

– Mówi lady Goroke – powiedziała.

– Tak jest, milady – odpowiedział.

– Gorączka policyjna, pierwszy stopień. Tylko pierwszy. Do odwołania.

Zrozumiano?

– Tak jest, milady. Dla całej planety?

– Tak – potwierdziła.

– Czy życzy sobie pani podać powód? – Głos miał pełen szacunku, choć rutynowy.

– A muszę?

– Oczywiście, że nie, milady.

– To nie podaję. Koniec.

Zasalutował, a jego obraz na ścianie wygaś.

Wysiliła umysł do wyraźnego, klarownego wezwania.

– Tylko dla Instrumentalności. Tylko dla Instrumentalności.

Podniosłam poziom gorączki policyjnej o jeden stopień. Na mój rozkaz. Powód: osobisty niepokój. Znacnie mój głos. Znacnie mnie. Goroke.

Daleko, po drugiej stronie miasta, policyjny ornitopter trzepotał powoli nad ulicą.

Policyjny robot robił zdjęcia sprzątacowi, najdziwaczniej uszkodzonemu sprzątacowi, jakiego w życiu widział.

Sprzątacz popędził drogą z niedozwoloną szybkością, zbliżającą się do trzystu kilometrów na godzinę, zahamował, zgrzytając plastikiem po

kamieniach i zaczął zbierać kurz z chodnika.

Kiedy ornitopter zbliżył się do niego, sprzątacznik znów wystartował, z wielką szybkością przemieścił się dwie czy trzy przecznice dalej i znów podjął swoje idiotyczne zajęcie.

Za trzecim razem robot w ornitopterze strzelił do niego pociskiem obezwładniającym, obniżył lot i złapał go w szpony pojazdu.

Przyjrzał mu się z bliska.

– Ptasi Mózdzek. Stary model. Dobrze, że już się tego nie używa. Takie coś mogłoby uszkodzić Człowieka. Dobrze, że ja jestem wydrukowany z myszy, prawdziwej myszy, co ma mózgu aż nadto.

Poleciał ze sprzątacznikiem na centralne złomowisko. A sprzątacznik, obezwładniony ale wciąż przytomny, próbował zbierać kurz z trzymających go żelaznych szponów.

Pod nimi, z pola widzenia zniknęło Stare Miasto i jego dziwne, geometryczne światła. Nowe Miasto odcinało się od fomalhauckiej nocy miękką kopułą nieustającego blasku. Pod nimi, wieczny ocean kipiał własnymi burzami.

\*\*\*

Na teatralnych deskach aktorzy nie mają zbyt wiele pola do popisu w scenie, w której Joan przez jedną noc wyrasta z pięcioletniego dziecka na piętnasto- czy szesnastoletnią dziewczynę. Biologiczna machina zadziałała świetnie, choć na szali leżało jej życie. Uczyniła z niej energiczną, mocną młodą osobę, w ogóle nie zmieniając jej mózgu. Aktorki mają trudności z odegraniem tego – tu ujawnia się znaczna przewaga skrzynek fabularnych. Mogą pokazać machinę z wszelkimi ubarwieniami, błyskającymi lampkami, iskrami, tajemniczymi promieniami. A naprawdę wyglądała po prostu jak wanna pełna kipiącej brązowej galarety, całkowicie zakrywającej Joan.

Tymczasem Elaine łapczywie jadła, w pałacowej komnacie samego Engloka. Jedzenie było bardzo, bardzo stare i jako wiedźma powątpiewała w jego wartości odżywcze. Głód jednak zabijało. Mieszkańcy Miasta

Prostaczków ustanowili to miejsce zakazanym dla wszystkich, z powodów, których Charley-moje-kochanie nie był w stanie jej jasno wytłumaczyć. Stał w drzwiach i mówił jej, co ma zrobić, żeby znaleźć jedzenie, wysunąć z podłogi łóżko, otworzyć łazienkę. Wszystko było tu bardzo staroświeckie, nic nie reagowało na samą myśl czy na proste klepięcie.

I zdarzyła się osobliwa rzecz.

Elaine umyła ręce, zjadła i zaczęła przygotowywać się do kąpieli. Zdjęła prawie całe ubranie, myśląc, że Charley-moje-kochanie jest tylko zwierzęciem, nie mężczyzną, więc nie ma to znaczenia.

Nagle przekonała się, że ma to znaczenie.

Może i był podczłowiekiem, lecz dla niej był mężczyzną. Zarumieniwszy się od włosów aż po szyję, wbiegła do łazienki i zawołała do niego:

– Wyjdź! Wykąpię się i pójdę spać. Zbudź mnie jak będziesz musiał. Nie wcześniej.

– Dobrze, Elaine.

– I jeszcze... i...

– Tak?

– Dziękuję ci – powiedziała. – Bardzo ci dziękuję. Wiesz, że nigdy wcześniej nie powiedziałam „dziękuję” żadnemu podczłowiekowi.

– To nic takiego – odparł z uśmiechem Charley-moje-kochanie. – Większość prawdziwych ludzi ma tak samo. Śpij dobrze, kochana Elaine. A kiedy się obudzisz, bądź gotowa na wielkie rzeczy. Weźmiemy sobie gwiazdkę z nieba, podpalimy tysiące świateł...

– A co to ma znaczyć? – zapytała, wysuwając głowę z łazienki.

– Taka figura retoryczna. – Uśmiechnął się. – Znaczy tylko, że nie masz za dużo czasu. Odpocznij porządnie. Nie zapomnij włożyć ubrania do automatycznej pokojówki. W Mieście Prostaczków wszystkie się popsuły. Ale tego pokoju nie używaliśmy, więc powinna działać.

– A która to?

– Z czerwoną pokrywką i złotą wajchą. Po prostu ją unieś. – I z tą gospodarską poradą wyszedł, żeby knuć nad losem stu miliardów istnień.

Gdy wyszła z komnaty Engloka, powiedzieli jej, że jest późny ranek. Skąd miała to wiedzieć? Brązowo-żółty korytarz, oświetlony słabymi

żółtymi światłami, był równie ciemnawy i śmierdzący jak przedtem. Za to ludzie, wszyscy, jak jeden mąż, zmienili się.

Mała-mała nie była już mysią staruchą, lecz kobietą o ogromnej sile i łagodności. Pełzanka – stworzeniem groźnym jak ludzki wróg, łypiącym na Elaine, a jej prześliczna twarz była blada od skrywanej nienawiści. Charley-moje-kochanie był pogodny, przyjacielski i przekonujący. Wydało jej się nawet, że jest w stanie wyczytać uczucia z twarzy Orsona i wukobiety, choć mieli tak dziwne rysy.

Gdy odbyli te niezwykle grzeczne powitania, zapytała:

– I co się teraz dzieje?

Odezwał się nowy głos, głos znajomy i nieznamy zarazem.

Elaine obejrzała się na wnękę w ścianie. Lady Panc Aszasz! A z nią – kto?

Już zadając sobie to pytanie, знаła odpowiedź. Joan, wyrosnięta, tylko pół głowy niższa od lady i Elaine. Nowa Joan, silna, zadowolona i spokojna, która jednocześnie miała wszystkie cechy swojej dawnej osoby.

– Zapraszamy – powiedziała lady Panc Aszasz – do naszej rewolucji.

– A co to jest „rewolucja”? – zapytała Elaine. – Myślałam, że przez to ekranowanie telepatyczne nie dasz rady tu wejść?

Lady Panc Aszasz pokazała kabel ciągnący się za robocim ciałem.

– Zainstalowałam coś takiego, żeby móc użyć mojego ciała. Środki ostrożności już nie mają sensu. Teraz to druga strona powinna zachować środki ostrożności. Rewolucja? To metoda zmiany ustrojów i ludzi. Właśnie coś takiego się teraz dzieje. Idziesz pierwsza, Elaine. Tędy.

– Na śmierć? O to ci chodzi?

Lady Panc Aszasz zaśmiała się życzliwie.

– Teraz już mnie znasz. Znasz wszystkich moich przyjaciół z dołu. Wiesz, jakie życie miałaś dotąd, jako niepotrzebna wiedźma w świecie, który cię nie chciał. Tak, być może zginiemy, ale liczy się to, czego przed śmiercią dokonamy. Oto Joan idzie na spotkanie przeznaczenia. Ty prowadzisz ją do Górnego Miasta. Potem poprowadzi Joan. A potem się zobaczy.

– Mówisz, że ci wszyscy ludzie też z nami idą? – Elaine obejrzała się na podludzi, którzy zaczęli się ustawiać w dwóch rzędach wzdłuż korytarza.



Kolumny wyginały się w miejscach, gdzie matki trzymały dzieci za rękę lub niosły w objęciach. Gdzieniegdzie z linii wyłamywali się podludzie olbrzymiego wzrostu.

Byli nikim, pomyślała Elaine, i ja też byłam nikim. A teraz wszyscy razem czegoś dokonamy, choć może poniesiemy za to śmierć. „Może”, pomyślała, jest tu całkiem zbędnym słowem. Ale warto: jeśli Joan odmieni oblicze światów, choćby odrobinę, choćby i dla innych ludzi.

Joan przemówiła. Głos urósł jej razem z ciałem, ale wciąż był to ten przemiły głosik, którym odezwała się mała psia dziewczynka szesnaście godzin temu (a wydaje się, że to było szesnaście lat temu, pomyślała Elaine), gdy po raz pierwszy spotkały się przy wejściu do tunelu Engloka.

Joan powiedziała:

– Miłość nie jest zastrzeżona wyłącznie dla ludzi. Miłość nie zna dumy, nie ma prawdziwego imienia. Miłość jest dla wszystkiego, co żyje, a my jesteśmy żywi. W walce nie wygramy. Ludzie mają przewagę liczebną, w broni, w szybkości, w waleczności. Ale to nie ludzie nas stworzyli. Nas stworzył ten sam ktoś, kto stworzył ludzi. Wszyscy to wiecie, ale czy odważycie się wypowiedzieć jego imię?

Tłum wymruczał jednocześnie „nie” i „nigdy”.

– Czekaliście na mnie. Ja też czekałam. Być może przyszła pora umrzeć, być może, ale umrzemy tak, jak to kiedyś robili ludzie, zanim wszystko stało się dla nich zbyt łatwe, także okrucieństwo. Żyją w otępieniu, umierają we śnie. To nie jest dobry sen. Jeśli się z niego obudzą, nauczą się, że my też jesteśmy ludźmi. Jesteście za?

Tłum wymruczał: „tak”.

– Kochacie mnie?

Znów potaknęli.

– Czy mamy wyjść na światło dzienne?

Wykrzyczeli zgodę.

Joan odwróciła się do lady Panc Aszasz.

– Czy wszystko jest zgodnie z twoim życzeniem i rozkazem?

– Tak – odpowiedziała zmarła dama w ciele robota. – Pierwsza Joan, niech prowadzi. Za nią Elaine, żeby odgonić roboty czy zwykłych podludzi.

Kiedy spotkacie prawdziwych ludzi, ukochacie ich. I tyle. Pokochacie ich. Jeśli będą was zabijać, też macie ich kochać. Joan pokaże wam, jak. Na mnie już nie zwracajcie uwagi. Wszyscy gotowi?

Joan podniosła prawą rękę i powiedziała coś do siebie. Ludzie skłonili się przed nią, kierując ku ziemi twarze, pyski i ryje wszelkich kształtów i maści. Z tyłu miauknęło cichym falsecikiem dziecko jakiegoś gatunku.

Joan, zanim odwróciła się, by prowadzić pochód, jeszcze zerknęła pomiędzy ludzi i zapytała:

– Pełzanko, gdzie jesteś?

– Tutaj, pośrodku – dobiegł z tyłu wyraźny, spokojny głos.

– Czy mnie kochasz, Pełzanko?

– Nie, Pi-Joan. I lubię cię mniej niż wtedy, kiedy byłaś małym pieskiem. Ale jestem z wami. Jestem odważna. Potrafię iść. Nie narobię wam żadnych kłopotów.

– Pełzanko – spytała Joan – pokochasz ludzi, jeśli ich spotkamy?

Wszystkie twarze zwróciły się ku pięknej zubrzcycy. Elaine ledwo ją widziała w półmroku korytarza. Zauważyła jednak, że jej twarz kompletnie, trupio zbladła od emocji. Czy to był gniew, czy strach – nie wiedziała.

W końcu Pełzanka odparła:

– Nie. Nie pokocham ludzi. I was też nie pokocham. Mam swoją dumę.

Joan odezwała się, powoli, łagodnie, jak śmierć przy łożu umierającego.

– Ależ Pełzanko, przecież możesz tu zostać. Możesz zostać. Szanse są nieduże, ale zawsze jakieś są.

Pełzanka spojrzała na nią:

– Biada tobie, pi-kobieto, i biada ludzkiej paskudzie stojącej u twojego boku.

Elaine stanęła na palcach, żeby zobaczyć, co się teraz wydarzy. Twarz Pełzanki nagle zniknęła, opadła ku ziemi.

Do pierwszego szeregu przycisnęła się kobieta-wąż, stanęła blisko Joan, żeby wszyscy ją widzieli, i powiedziała głosem dźwięcznym jak metal:

– Zaśpiewajcie, kochani, „biedna, biedna Pełzanka”. Zaśpiewajcie, kochani ludzie, „Kochamy Pełzankę”. Ona nie żyje. Zabiłam ją, żebyśmy

wszyscy mogli być pełni miłości. Ja także was wszystkich kocham.

Z gadzich rysów wężowej kobiety nie dało się wyczytać ani miłości, ani nienawiści.

Odezwała się Joan, chyba na znak lady Panc Aszasz:

– Kochani ludzie, wszyscy naprawdę kochamy Pełzankę. Pomyślcie o niej i idźmy naprzód.

Charley-moje-kochanie szturchnął Elaine.

– No dalej, prowadź.

Elaine, jak we śnie, półprzytomna, poprowadziła.

Mijając dziwną Joan, taką wysoką, a jednocześnie taką znajomą, poczuła ciepło, szczęście, odwagę. Joan uśmiechnęła się do niej szeroko i szepnęła:

– Powiedz mi, że dobrze robię, ludzka kobieto. Jestem psem, a psy od miliona lat żyją dla pochwały z ludzkich ust.

– Dobrze, Joan, bardzo dobrze! Jestem z tobą. Czy mam już iść? – zapytała Elaine.

Joan kiwnęła głową z oczyma pełnymi łez.

Elaine poprowadziła.

Joan i lady Panc Aszasz szły za nią, prowadząc resztę pochodu – psina i zmarła.

Reszta podludzi szła z kolei za nimi, parami.

Gdy otworzyły tajemne przejście, korytarz zalało światło dzienne, a Elaine niemal poczuła, jak razem z nimi na zewnątrz wylewa się stęchłe, zaśmierdłe powietrze. Obejrzawszy się po raz ostatni do wnętrza tunelu, dostrzegła zwłoki Pełzanki leżące samotnie na podłodze.

Elaine odwróciła się do stopni i zaczęła po nich wchodzić.

Nikt jeszcze nie zauważył pochodu.

Słyszała, jak kabel lady Panc Aszasz szura po kamienno-metalowych stopniach.

Dotarwszy na samą górę, przeżyła moment niezdecydowania i paniki. To moje życie, moje życie, pomyślała. Nie mam drugiego. Co ja narobiłam? Och, Łowco, Łowco, gdzieżeś jest? Czy mnie zdradziłeś?

Joan za jej plecami powiedziała łagodnie:

– Idź dalej, idź. To jest wojna miłości. Idź dalej.

Elaine otworzyła drzwi na ulicę na górze. Cała jezdnia była pełna ludzi. Nad nimi powoli łopotały trzy policyjne ornitoptery. Dość niezwykła liczba. Elaine znów się zatrzymała.

– Idź dalej i przegon te roboty – powiedziała Joan.

Elaine ruszyła. I tak zaczęła się rewolucja.

## VIII

Rewolucja trwała sześć minut i miała zasięg stu dwudziestu metrów.

Policja przyleciała natychmiast, gdy podludzie zaczęli się wysypywać z drzwi.

Pierwsza maszyna policji zawisała jak wielki ptak i zapytała:

– Nazwisko! Podaj nazwisko!

– Odejść. To rozkaz – powiedziała Elaine.

– Nazwisko! – powiedziała ptasiokształtna maszyna, przechylając się ostro. Robot o teleskopowych oczach patrzył na Elaine ze środka.

– Odejść – powtórzyła Elaine. – Jestem prawdziwym człowiekiem i ci rozkazuję.

Pierwszy policyjny ornitopter najwidoczniej porozumiał się z pozostałymi przez radio. Razem opadły w korytarz pomiędzy wysokimi budynkami.

Wielu ludzi przystanęło. Ich twarze na ogół nie wyrażały nic, na nielicznych malowało się zaciekawienie, rozbawienie lub oburzenie widokiem tak wielu podludzi zgromadzonych w jednym miejscu.

Joan zawołała śpiewnie, najwyraźniej jak się dało w Starym Wspólnym Języku:

– Drodzy ludzie. Jesteśmy ludźmi. Kochamy was. Kochamy was.

Podludzie zaczęli skandować „ko-cha-my, ko-cha-my”, dziwną, niemelodyjną pieśń pełną fałszów i półtonów. Prawdziwi ludzie cofnęli się. Joan dała przykład, obejmując młodą kobietę, mniej więcej jej wzrostu.

Charley-moje-kochanie wziął w ramiona ludzkiego mężczyznę i zawołał do niego:

– Kocham cię, dobry człowieku! Uwierz mi, ja cię kocham. Wspaniale jest cię poznać.

Człowiek był oszołomiony tym kontaktem, a jeszcze bardziej zdumiało go ciepło bijące z głosu człowieka-kozła. Stał z rozdziawionymi ustami, w rozluźnionej pozie, pełnej kompletnego i przyjemnego zaskoczenia.

Gdzieś z tyłu ktoś krzyknął.

Policyjny ornitopter przyfrunął z powrotem. Elaine nie wiedziała, czy to jeden z tych, które odprawiła, czy jakiś całkiem nowy. Oczekała, aż przyleci na tyle blisko, by ją usłyszał, żeby mogła go odprawić. Po raz pierwszy zastanowiła się, co jej tu fizycznie grozi. Czy policyjna maszyna może strzelić do niej pociskiem? Albo z miotacza ognia? Albo unieść, krzyczącą, w powietrze i zanieść w jakieś miejsce, gdzie zrobi się na nowo piękna i czysta i nigdy do siebie nie wróci?

– Och, Łowco, Łowco, gdzie jesteś teraz? Czyś o mnie zapomniał? Czyś mnie zdradził?

Podludzie cały czas szli naprzód i mieszały się z tłumem prawdziwych ludzi, biorąc ich w objęcia albo łapiąc za ubranie i powtarzając dziwnym chórem głosów:

– Kocham cię. Proszę, kochaj mnie! Jesteśmy ludźmi. Jesteśmy waszymi siostrami i braćmi...

Wężowej kobiecie nie wychodziło to za dobrze. Złapała swoją mocniejszą niż stal dłoń jednego mężczyznę. Elaine nie zauważyła, by zdążyła cokolwiek powiedzieć, ale facet od razu zemdłał. Kobieta-wąż przewiesiła go sobie przez ramię jak płaszcz i rozglądała się za następnym kandydatem do pokochania.

Za jej plecami niski głos wymruczał:

– Niedługo będzie.

– Kto? – spytała Elaine lady Panc Aszasz, choć dobrze wiedziała, o kogo jej chodzi, ale nie chciała się do tego przyznać, a uwagę miała zaprzątniętą obserwacją krążącego ornitoptera.

– Łowca, oczywiście – powiedział robot, staranną dykcją zmarłej damy.  
– Przyjdzie po ciebie. Nic ci się nie stanie. Dalej już mój kabel nie sięga. Odwróć wzrok, skarbie. Zaraz mnie znowu zabiją. Obawiam się, że ten widok nie będzie dla ciebie przyjemny.

W tłum z wojskową stanowczością wmaszerowało czternaście robotów, pieszych żołnierzy. Na ten widok prawdziwi ludzie nabrali odwagi i część z nich wymknęła się do bram. Większość była jednak wciąż tak zaskoczona, że stali razem z podludźmi, dotykali się i w kółko paplali miłosne słówka – zwierzęce pochodzenie ich głosów było widoczne jak na dłoni.

Robot-sierżant na nic takiego nie zwracał uwagi. Podszedł do lady Panc Aszasz i stwierdził, że Elaine zagraża mu drogę.

– Rozkazuję ci – powiedziała z całą siłą pracującej wiedźmy. – Rozkazuję ci opuścić to miejsce.

Obiektywy jego oczu wyglądały jak pływające w mleku ciemnoniebieskie szklane kulki, rozmyte i źle zogniskowane. Nie odpowiedział, lecz obszedł ją, szybciej niż jej ciało zdążyło zareagować. Rzucił się ku kochanej, dobrodusznej, nieżyjącej lady Panc Aszasz.

Elaine uświadomiła sobie, oszołomiona, że ciało lady wygląda bardziej ludzko niż jej ciało. Robot-sierżant stanął tuż przed nią.

Teraz następuje scena, którą wszyscy pamiętamy – pierwsze autentyczne nagranie z tych zdarzeń:

Złoto-czarny sierżant, mleczne oczy wpatrzone w lady Panc Aszasz.

Lady, w milej dla oka powłoce starego robota, unosząca rozkazująco dłoń.

Elaine, zrozpaczona, obracająca się, żeby chwycić robota za prawą rękę. Głową porusza tak szybko, że rozwiewają się jej czarne włosy.

Charley-moje-kochanie krzyczy do drobnego, ładnego mężczyzny o mysich włosach:

– Kocham, kocham, kocham!

Mężczyzna przelyka ślinę i nie odzywa się ani słowem.

To wszystko wiemy.

I wtedy wydarza się coś niewiarygodnego – choć teraz już w to wierzymy; zdarzenie, na które nie była gotowa żadna z gwiazd i żaden ze światów.

Bunt.

Bunt robotów.

Nieposłuszeństwo w biały dzień.

Na nagraniu ciężko usłyszeć te słowa, ale od biedy da się je zrozumieć. Urządzenia rejestrujące policyjnego ornitoptera były wycelowane prosto w twarz lady Panc Aszasz. Ktoś, kto czyta z ruchu warg, ma słowa jak na dłoni; reszta może je zrozumieć, jeśli odtworzy sobie taśmę trzy lub cztery razy.

Lady rzekła:

– Rozkaz anulowany.

Sierżant rzekł:

– Nie. Jesteś robotem.

– Przekonaj się. Zajrzyj mi do mózgu. Jestem robotem. Jestem także kobietą. Człowiekiem. Nie możesz nie usłuchać człowieka. Jestem człowiekiem. Kocham was. Co więcej, i wy jesteście ludźmi. Myślicie. Kochamy się nawzajem. Spróbuj. Spróbuj zaatakować.

– N-nie mogę – odpowiedział robot-sierżant, a mleczone oczy zawirowały mu z podniecenia. – Kochasz mnie? To znaczy, że ja żyję? Ja istnieję?

– Skoro kochasz, to istniejesz – powiedziała lady Panc Aszasz. – Popatrz na nią. – Wskazała Joan. – Bo to ona przynosi wam miłość.

Robot spojrział i sprzeniewierzył się prawu. Cały oddział spojrział wraz z nim.

Odwrócił się do lady i skłonił przed nią.

– Zatem wie pani, co musimy zrobić, skoro nie możemy pani słuchać, ani nie usłuchać innych.

– Zróbcie to – odrzekła ze smutkiem. – Ale zrozumcie, co tak naprawdę robicie. Nie uciekacie przed dwoma sprzecznymi ludzkimi rozkazami. Dokonujecie wyboru. Wy, sami. A to czyni was ludźmi.

Sierżant odwrócił się ku swemu oddziałowi.

– Słyszeliście to? Mówi, że jesteśmy ludźmi. Ja jej wierzę. A wy jej wierzycie?

– Wierzymy – odpowiedziały niemal jednogłośnie.

I tu nagranie się kończy, choć możemy sobie wyobrazić, jak skończyła się ta scena. Elaine stoi jak wryta, tuż obok robota-sierżanta. Inne roboty zachodzą ją od tyłu. Charley-moje-kochanie przestał mówić. Joan właśnie unosi ręce w geście błogosławieństwa, łagodne, piwne psie oczy rozszerzone współczuciem i zrozumieniem.

To, czego nie widzimy, przetrwało zapisane przez ludzi.

Podobno robot-sierżant powiedział:

– Kochamy was, drodzy ludzie. Żegnajcie. Jesteśmy nieposłuszni i giniemy. – Pomachał ręką Joan. Nie jest do końca pewne, czy faktycznie dodał: – Żegnaj, pani nasza i wyzwolicielko. – Może dopowiedział to jakiś poeta, bo co do tych pierwszych słów, mamy pewność. Mamy też pewność, co do następnego słowa, tu zgadzają się wszyscy historycy i wszyscy poeci. Odwrócił się do swoich żołnierzy i powiedział: – Samozniszczenie.

Czternaście robotów, czarno-złoty sierżant i jego trzynastu srebrno-niebieskich szeregowców, nagle buchnęło białym płomieniem. Odpalili swoje kapsuły samobójcze, umieszczone w głowach ładunki termitowe. Zrobili coś nie na rozkaz człowieka, lecz na rozkaz innego robota – ciała lady Panc Aszasz, a ona z kolei nie miała żadnej ludzkiej zwierchności, jedynie słowo małej pi-dziewczyny Joan, która wydorosłała w jedną noc.

Czternaście białych płomieni zmusiło i ludzi, i podludzi, żeby odwrócili wzrok. W blask opadł ornitopter specjalnych oddziałów policyjnych. Wsiadły z niego dwie ladies, Arabella Underwood i Goroke. Uniosły ramiona, żeby osłonić oczy przed oślepiającym blaskiem umierających robotów. Nie zobaczyły Łowcy, który tajemniczym sposobem znalazł się w oknie nad ulicą. Obserwował tę scenę, zasłaniając oczy dłońmi i patrząc przez palce. Ludzie, wciąż oślepieni, poczuli gwałtowny telepatyczny wstrząs – to umysł lady Goroke przejął kontrolę nad sytuacją. Miała prawo, jako szef Instrumentalności. Niektórzy podludzie, choć nie wszyscy, poczuli kompletnie niespodziewany przeciwwstrząs wychodzącego jej naprzeciw umysłu Joan.



Ja rozkazuję, pomyślała lady Goroke, umysłem otwartym na wszystkie istoty.

Tak, rozkazujeś, za to ja cię Kocham, Kocham cię, pomyślała Joan.

Pierwsze szeregi spotkały się.

Zaczęły walczyć.

Rewolucja skończyła się. Naprawdę nie stało się nic, ale Joan zmusiła ludzi, żeby ją poznali. Zupełnie inaczej niż w wierszu, który opowiada, jak to ludzie i podludzie się przemieszali. To przemieszanie nastąpiło dużo później, jeszcze po czasach Ka-Mell. Wierszyk jest może ładny, ale bzdurny, co widać jak na dłoni:

*Trzeba zapytać mnie,  
Mnie, mnie, mnie.  
Ja wiem, bo żyłam  
Na Wschodnim Wybrzeżu,  
Choć dawno to było.  
Mężczyźni nie są mężczyznami,  
Kobiety nie są kobietami,  
A ludzie ludźmi nie są – tak się porobiło.*

Na Fomalhaucie III wcale nie ma żadnego Wschodniego Wybrzeża; a kryzys ludzko-podludzki w ogóle wydarzył się dużo później. Rewolucja poniosła klęskę, jednak historia osiągnęła nowy punkt zwrotny, sprzeczkę dwóch dam. Były tak zaskoczone, że zapomniały zamknąć swoje umysły. Kto słyszał o robotach-samobójcach i psach kochających cały świat? Już samo pojawienie się na swobodzie nielegalnych podludzi było czymś okropnym, a tu jeszcze takie nowości – och!

– Zniszczyć ich wszystkich – powiedziała lady Goroke.

– Dlaczego? – pomyślała lady Arabella Underwood.

– Uszkodzeni – odparła Goroke.

– Ale to nie są maszyny!

– Zatem zwierzęta, podludzie. Zniszczyć! Zniszczyć!

Następna odpowiedź przeszła do historii. Stworzyła nasze czasy. Była to reakcja Arabelli Underwood, a słyszała ją cała Kalma.

– A może to jednak ludzie? Trzeba ich sprawiedliwie osądzić.

Pi-dziewczyna Joan padła na kolana.

– Udało mi się, udało, udało! Możecie mnie zabić teraz, kochani ludzie, ale ja was kocham, kocham was!

Lady Panc Aszasz rzekła spokojnie do Elaine:

– Myślałam, że już będziesz nie żyć. Naprawdę nie żyć. Tak się jednak nie stało. Zobaczyłam, jak zmienia się świat, a ty widziałaś to razem ze mną.

Podludzie zamilkli, słysząc głośną wymianę myśli pomiędzy dwiema wielkimi damami.

Z nieba spadli prawdziwi żołnierze, ich ornitoptery ze świstem siadały na ziemi. Podbiegli do podludzi i zaczęli krępować ich sznurami.

Jeden żołnierz raz tylko spojrzął na robocie ciało lady Panc Aszasz. Dotknął go swoją laską, laska rozjarzyła się wiśniowo. Robocie ciało, nagle pozbawione całego ciepła, padło na ziemię i pokryło się kryształkami lodu.

Elaine przeszła pomiędzy zamarznętym złomem i rozjarzoną laską. Dostrzegła Łowcę.

Przeoczyła za to żołnierza, który podszedł do Joan, zaczął ją wiązać, po czym cofnął się i wybuchnął płaczem.

– Ona mnie kocha! Kocha mnie!

Lord Femtiosex, dowodzący desantem żołnierzy, związał Joan sznurem, mimo że cały czas do niego mówiła.

Odpowiedział jej ponuro:

– Oczywiście, że mnie kochasz. Jesteś dobrym pieskiem. Niedługo zdechniesz, piesku, ale na razie będziesz się mnie słuchać.

– Słucham – odparła Joan – ale jestem psem i człowiekiem jednocześnie. Otwórz swój umysł, człowieku, to poczujesz.

Zdaje się, że rzeczywiście otworzył ten umysł i poczuł ocean miłości. Wstrząsnęło to nim. Jego ręka cofnęła się, kant dłoni wycelował w szyję Joan w starożytnym śmiercionośnym ciosie.

– Nie, nie rób tego – pomyślała lady Arabella Underwood. – Musimy urządzić tej dziewczynce normalny proces.

Spojrzał na nią groźnie.

– Szef nie atakuje szefa, moja pani. Proszę puścić moje ramię.

Lady Arabelle pomyślała do niego, otwarcie i publicznie:

– A więc proces.

Kiwnął głową w gniewie. Nie chciał publicznie ani myśleć do niej, ani mówić.

Żołnierz przyprowadził przed niego Elaine i Łowcę.

– Panie nasz i milordzie, ci są ludźmi, nie podludźmi. Ale mają w głowach myśli psie, myśli kocie, koźle i robocie. Czy chce pan spojrzeć?

– Po co niby? – odburknął lord Fentiosex, jasnowłosy jak Baldur na dawnych obrazach i momentami równie arogancki. – Lord Limaono już leci. Będziemy w komplecie. Możemy tu i teraz zorganizować sąd.

Elaine poczuła, że sznury wrzynają się jej w nadgarstki; usłyszała, że Łowca szepcze jej uspokajające słówka, słówka, z których nie rozumiała nic a nic.

– Nas nie zabiją – szeptał – chociaż wolelibyśmy. Wszystko odbywa się dokładnie tak, jak ona powiedziała, i...

– Jaka znowu ona? – przerwała Elaine.

– Ona? No, oczywiście, kochana lady Panc Aszasz. Po śmierci dokonała cudów, będąc tylko wdrukowaną maszynie osobowością. Jak myślisz, kto mi powiedział, co mam robić? Po co musieliśmy czekać na ciebie, by uwarunkować Joan do wielkości? Czemu ludzie w Mieście Prostaczków musieli hodować jedną Pi-Joan za drugą, czekając z nadzieją, aż zdarzy się wielki cud?

– To ty wiedziałeś? Wiedziałaś... zanim to się stało.

– Oczywiście – odparł Łowca – dokładnie nie, ale w przybliżeniu. Miała po śmierci setki lat czasu. Mogła przemelić miliardy myśli. Przewidziała, jak to się odbędzie, jeśli miało się odbyć, i...

– Cisza, wy, ludzie! – ryknął lord Fentiosex. – Zwierzęta się denerwują od waszej paplaniny. Zamknijcie się, bo was sparaliżuję!

Elaine zamilkła.

Lord Fentiosex obejrzał się na nią, zawstydzony, że jego gniew wyszedł na jaw przy innych ludziach. Dodał cicho:

– Zaraz rozpocznie się proces. Zgodnie z rozkazem wysokiej damy.

## IX

Jak przebiegał proces, wiecie wszyscy, nie ma więc potrzeby rozwodzić się nad nim. Mamy kolejny obraz San Shigonandy, z jego konwencjonalnego okresu, przedstawiający wszystko bardzo wyraźnie.

Ulica wypełniła się prawdziwymi ludźmi, tłoczącymi się, by zobaczyć coś, co złagodzi ich nudę wywołaną doskonałością życia i czasem. Wszyscy zamiast nazwisk mieli liczby lub kody liczbowe. Byli przystojni, zdrowi, należycie szczęśliwi. Nawet wyglądali podobnie do siebie, w swojej urodzie, zdrowiu i czającej się w głębi nudzie. Każdy z nich miał przeżyć czterysta lat. Żaden nie zaznał prawdziwej wojny, choć stojący w pogotowiu żołnierze ćwiczili na próżno od setek lat. Byli piękni, ale czuli się bezużyteczni i w głębi duszy zdesperowani, choć sami sobie tego nie uświadamiali. Wszystko to widać na obrazie – Shigonanda wspaniale to wszystko wyraził, ustawiając ich w nierówne szeregi i pozwalając, by łagodne błękitne światło dzienne oświetlało ich przystojne, wyzute z nadziei twarze.

Natomiast prawdziwych cudów artysta dokonuje, przedstawiając podludzi.

Joan jest skąpana w świetle. Jasnobrązowe włosy i psie piwne oczy emanują łagodnością i czułością. Udaje mu się nawet przekazać, że jej ciało jest bardzo nowe i bardzo silne, że jest dziewicą, że jest gotowa na śmierć, że jest zwykłą dziewczyną, a mimo to nie boi się nic a nic. Siłę miłości widać w jej nogach, bo stoi lekko, swobodnie. Siłę miłości widać w jej dłoniach – są zwrócone ku sędziom. Siłę miłości widać w jej uśmiechu – jest nieustraszony.

A co dopiero sędziowie!

Artysta i ich przedstawił. Lord Femtiosex, znów spokojny, wąskie, suche wargi wyrażają nieustający gniew na wszechświat, który zrobił się dla niego zbyt mały. Lord Limaono, mądry, dwukrotnie narodzony, powolny, lecz pod pozorem sennych oczu i ospałego uśmiechu czujny jak wąż. Lady Arabella Underwood, najwyższa wzrostem wśród obecnych prawdziwych ludzi, ze swą norstrilijską dumą, arogancją wielkiego bogacza, a także kapryśną łagodnością wielkiego bogacza, okazywaną już tym, jak siedzi, oceniając innych sędziów, a nie podsądnych. Wreszcie lady Goroke, zdezorientowana, marszcząca czoło na grę losu, której nie rozumie. Artysta wszystko to uwiecznił.

Macie także autentyczne nagrania, jeśli tylko zechcecie przejść się do muzeum. Rzeczywistość nie jest tak dramatyczna jak słynny obraz, ma jednak własne walory. Głos Joan, zmarłej wiele wieków temu, wciąż osobliwie porusza. To jednocześnie głos człowieka uczynionego z psa i głos wielkiej damy. Musiała się tego nauczyć od konstruktu lady Panc Aszasz, a także od Elaine i Łowcy w przedsiönku nad Brązowo-żółtym Korytarzem Engloka.

Przetrwały wszystkie wypowiedziane podczas procesu słowa. Wiele z nich cieszy się zasłużoną sławą na licznych światach.

Podczas przesłuchania Joan powiedziała:

– Obowiązkiem życia jest znaleźć coś więcej niż życie i ofiarować się dla wyższego celu.

Usłyszawszy wyrok, skomentowała go tak:

– Moje ciało jest waszą własnością, ale nie moja miłość. Miłość należy do mnie i będę was zapamiętała kochać, gdy będziecie mnie zabijać.

Kiedy żołnierze zabili Charleya-moje-kochanie i próbowali odrąbać głowę wu-kobiecie, póki jednemu nie przyszło do głowy, by zamrozić ją i skryzalizować, powiedziała:

– Dlaczego mielibyśmy być wam obcy, skoro jesteśmy ziemskimi zwierzętami, i to wy zabraliście nas między gwiazdy? Oglądaliśmy to samo słońce, te same oceany, to samo niebo. Wszyscy wywodzimy się z Kulebki Ludzkości. Skąd wiecie, że nie doścignęlibyśmy was, gdybyśmy wszyscy razem tam zostali? Wywodzę się od psa. Psy kochały was zanim jeszcze

uczyniliście z mojej matki istotę podobną człowiekowi. Czy więc powinnam was przestać kochać? Cud nie polega na tym, że uczyniliście z nas ludzi. Cudem jest to, że tak wiele czasu potrzebowaliśmy, by to zrozumieć. Jesteśmy teraz ludźmi, tak samo jak wy. Będziecie żałować, że mi to zrobiliście, pamiętajcie jednak, że i wasz smutek będę kochać, gdyż wynikną z niego wielkie i dobre uczynki.

Lord Limaono zapytał chytrze:

– A co to jest „cud”?

Ona zaś odrzekła takimi słowy:

– Istnieje na Ziemi wiedza, do której jeszcze nie dotarliście. A wśród niej – imię bezimiennego. Istnieją tajemnice, które czas skrył przed wami. Mogą je poznać tylko martwi i nienarodzeni: ja jestem jednym i drugim.

Scena jest znana, a mimo to nigdy jej nie zrozumiemy.

Wiemy, co lordowie Fentiosex i Limaono sądzili, że robią. Utrzymywali status quo i wszystko rejestrowali. Mózgi ludzi mogą utrzymywać wspólnotę tylko wtedy, jeśli są w stanie przekazać sobie nawzajem podstawowe pojęcia. Tymczasem, nawet teraz nie znamy sposobu, by rejestrować jakimś urządzeniem przekazy telepatyczne. Udaje się nagrać urywki, strzępy i chaotyczne szумы, lecz nie potrafimy uzyskać zadowalającego zapisu komunikacji pomiędzy dwoma wielkimi umysłami. Dwaj szefowie próbowali więc zarejestrować wszystko, co dotyczyło tego zdarzenia, żeby móc nauczyć niedbałych ludzi, że nie należy igrać z życiem podludzi. A oprócz tego sprawić, by podludzie zrozumieli zasady, na których podstawie uczyniono z nich, prostych zwierząt, najlepsze służby człowieka. Trudno im to było przekazać, zważywszy doniosłość wydarzeń z ostatnich paru godzin – nawet przekazanie tej idei pomiędzy szefami Instrumentalności było ciężką sprawą – a co dopiero dotarcie z nią do całego społeczeństwa. To było niemal niemożliwe. Tłum wylewający się z Brązowo-żółtego Korytarza był kompletnie nieoczekiwany, pomimo, że lady Goroke udało się zaskoczyć Pi-Joan; bunt roboczej policji ujawnił problemy, które będzie musiało przedyskutować pół galaktyki. Co więcej, wypowiedzi pi-dziewczyny zawierały pewne sensowne elementy. Jeśli pozostawi się je jako gołe słowa, bez odpowiedniego kontekstu, mogą

wpłynąć na lekkomyślne lub podatne na wpływy umysły. Złe idee rozsiewają się niczym zmutowane zarazki. Jeśli są choć trochę interesujące, przeskakują z umysłu do umysłu i rozchodzą się na pół wszechświata, zanim ktokolwiek zdąży je zatrzymać. Spójrzmy tylko na fatalne w skutkach fakty i głupie mody, trapiące ludzkość nawet w epokach najwyższego porządku. Dziś wiemy, że różnorodność, elastyczność, niebezpieczeństwo i nieduża domieszka nienawiści mogą sprawić, że życie i miłość rozkwitną jak nigdy przedtem; wiemy, że lepiej jest żyć z komplikacjami wynikającymi z istnienia trzynastu tysięcy wskrzeszonych z zamierzchłej przeszłości starych języków niż w ślepej uliczce doskonałości Wspólnego Języka. Wiemy wiele rzeczy, o których lordowie Femtiosex i Limaono nie mieli pojęcia – zanim więc uznamy ich za głupich i okrutnych, musimy pamiętać, że minęły wieki, nim ludzkość w ogóle uświadomiła sobie problem z podludźmi i na nowo zdefiniowała, co oznacza „życie” w ramach ludzkiej wspólnoty.

Wreszcie dysponujemy i osobistymi świadectwami obu lordów. Obaj dożyli bardzo zaawansowanego wieku i pod koniec życia niepokoiłi się i bulwersowali, stwierdziwszy, że epizod z Pi-Joan przyćmił wszystkie katastrofy, jakich udało im się uniknąć podczas długiej kariery – a nad ochroną planety Fomalhaut III natrudzili się mocno. Doskwierało im, że w literaturze są przedstawiani jako nonszalancy i okrutni, choć wcale tacy nie byli. Gdyby przewidzieli, że historia Joan z Fomalhauta III będzie w przyszłości – dzisiaj – wchodzić w poczet największych romantycznych historii w dziejach ludzkości, na równi z opowieścią o Ka-Mell, czy o damie, która żeglowała *Duszą* – byłiby nie tylko rozczarowani, ale i w zrozumiwały sposób wściekli na taką nieprzewidywalność ludzkości. Ich role są jasne, bo sami tak zdecydowali. Lord Femtiosex przyjmuje odpowiedzialność za pomysł na ogień; lord Limaono potwierdza, że się na to zgodził. Obaj, wiele lat później, po przejrzeniu nagrań, potwierdzili, że to lady Arabella Underwood powiedziała, czy pomyślała coś...

Coś, co kazało im tak postąpić.

Jednakże, nawet gdy odświeżono im wspomnienia za pomocą starych taśm, nie byli w stanie powiedzieć, co.

Zatrudniłiśmy nawet komputery, by skatalogowały wszystkie słowa, wszystkie modulacje głosu podczas całego procesu – one także nie umiały wskazać krytycznego punktu.

A Lady Arabella? Jej nikt nigdy nie przepytał. Nie odważono się. Wróciła na ojczystą planetę, na Starą Australię Północną, pełną niezmiernego skarbu, leku santaclara. Żadna planeta nie wysupła dwóch miliardów kredytów dziennie na przywilej wysłania śledczego, który będzie musiał gadać z bandą upartych, prostych i bogatych norstrilijskich rolników, którzy i tak nie lubią gadać z pozaświatowcami. Norstrilijczycy tyle sobie liczą za wpuszczenie każdego gościa, którego sami nie zaprosili – a zatem nigdy się nie dowiemy, co mówiła lub robiła po powrocie do domu lady Arabella Underwood. Norstrilijczycy stwierdzili, że nie chcą na ten temat rozmawiać, a my, jeśli nie chcemy wrócić do nędznych siedemdziesięciu lat życia, nie mamy ochoty nadeptywać na odcisk jedynej planecie produkującej strun.

Natomiast lady Goroke – cóż, ona, niestety, zwariowała.

Przynajmniej na kilka lat.

Dowiedziano się o tym dużo później, ale nikt nigdy nie wydobył z niej choćby słowa. Zaangażowała się w dziwne poczynania; jak wiemy teraz, stały się one początkiem dynastii lordów Żestokostów, którzy dzięki pracowitości i sile charakteru zdominowali Instrumentalność na ponad dwieście lat. Lecz w kwestii Joan nie miała nic do dodania.

Cały proces jest zatem sceną, o której wiemy wszystko – i nie wiemy nic.

Wydaje nam się, że znamy wszystkie fakty z życia Pi-Joan, która stała się Joan. Wiemy o lady Panc Aszasz, która bez końca szeptała podludziom, że nadejdzie dzień sprawiedliwości. Znamy całe życie pechowej Elaine i jej udział w tej sprawie. Wiemy, że w tamtych czasach, zaraz po stworzeniu podludzi, było wiele kryjówek, w których nielegalni podludzie wykorzystywali całą swoją niemal ludzką inteligencję, zwierzęcy spryt, by przetrwać, choć ludzie uznali ich za niepotrzebnych. Brązowo-żółty Korytarz nie był w żadnym razie jedyne. Wiemy nawet, co się stało z Łowcą.



Co do reszty podludzi – Charleya-moje-kochanie, Małej-małej, Mabel, wu-kobiety, Orsona i innych – dysponujemy nagraniami z procesu. Nikt ich w ogóle nie sądził. Zostali uśmierceni przez żołnierzy na miejscu, gdy tylko stało się jasne, że ich zeznania nie będą do niczego potrzebne. Jako świadkowie mogliby przeżyć jeszcze parę minut, może godzinę; jako zwierzęta już od dawna byli poza prawem.

Ach, tyle rzeczy teraz wiemy, a mimo to nie wiemy nic. Śmierć to prosta sprawa, choć wolimy ją ukrywać. Proces umierania to prosta medyczna kwestia; czas umierania natomiast jest problemem dla każdego z nas, obojętne, czy mieszka na staroświeckiej planecie, gdzie żyje się czterysta lat, czy na jednej z tych radykalnych, nowych, gdzie wprowadzono wolność choroby i wypadku; powód zaś jest dla nas równie szokujący, jak dla człowieka ery przedatomowej, który miał w zwyczaju pokrywać pola popakowanymi w skrzynki zmarłymi. Ci podludzie umarli zaś tak, jak żadne zwierzę przed nimi. Radośnie.

Jedna z matek nawet podstawiła żołnierzowi swoje dzieci, żeby je zabił po kolei.

Musiała mieć szcurzy rodowód, miała bowiem prawie identyczne siedmioraczki.

Widzimy, jak żołnierz się przygotowuje.

Esz-kobieta wita go z uśmiechem i nadstawia siódemkę dzieci. Śliczne, małe blondynki, w różowych lub niebieskich czepeczkach, z rumianymi policzkami i błyszczącymi oczkami.

– Postaw je na ziemi – powiedział żołnierz. – Zabiję ciebie i je wszystkie też.

Na nagraniu słyhać nerwową stanowczość w jego głosie. Dodał jeszcze jedno słowo, jakby już zaczął się zastanawiać, jak się wobec tych podludzi usprawiedliwić.

– Taki rozkaz – powiedział.

– To nie ma znaczenia, czy ja je trzymam, czy nie. Jestem ich matką. Będzie im lepiej, jeśli umrą bezboleśnie, w objęciach matki. Kocham cię, żołnierzu. Kocham wszystkich ludzi. Jesteś mi bratem, choć krew mam szcurzą, a ty ludzką. Dalej, zabij je wszystkie. Nie mogę ci nic zrobić. Czy

nie rozumiesz? Kocham cię, żołnierzu. Mamy wspólny język, te same nadzieje, te same lęki, tę samą śmierć. Tak uczyła nas Joan. Śmierć to nic złego, żołnierzu. Czasem jest nieprzyjemna, kiedy nadchodzi, ale ty przecież, kiedy już mnie zabijesz, będziesz mnie pamiętał. Mnie i moje dzieci. Będziesz pamiętał, że cię kocham...

Widzimy na taśmie, że żołnierz nie może tego dłużej znieść. Łapie broń jak pałkę, uderza kobietę, przewraca, ta rozrzuca dzieci po ziemi. Widzimy, jak stopa w ciężkim buciorze unosi się i miażdży im głowy. Słyszymy wilgotny trzask pękających główek, raptownie cichnący płacz, gdy giną. Na koniec ostatni raz widzimy szczurą kobietę. Gdy zabił jej siódme dziecko, podniosła się. Wyciągnęła do żołnierza rękę, żeby uścisnąć mu dłoń. Twarz ma brudną, posiniaczoną, po lewym policzku spływa struzka krwi. Nawet wtedy widać, że jest szczurem, podczłowiekiem, zmodyfikowanym zwierzęciem, nikim. Niemniej, choćby i patrząc z perspektywy wielu stuleci, czujemy, że niepojętym sposobem stała się człowiekiem większym od nas – że umiera spełniona w swoim człowieczeństwie. Wiemy, że w odróżnieniu od nas zatriumfowała nad śmiercią.

Widzimy żołnierza, który patrzy na nią z osobliwym strachem, jakby jej prosta miłość była niewytłumaczalnym urządzeniem obcego pochodzenia.

Słyszymy na nagraniu jej następne słowa:

– Żołnierze, kocham was wszystkich...

Jego broń zabiłaby ją w ułamku sekundy, gdyby użył jej zgodnie z przeznaczeniem. Nie zrobił tego. Zamachnął się i ją uderzył, jakby reduktor ciepła był drewnianym kijem, on sam zaś dzikusiem, a nie członkiem elitarnych oddziałów z Kalmy.

Wiemy, co dzieje się potem.

Pada pod jego ciosami. Coś wskazuje. Wskazuje prosto na Joan, spowitą płomieniami i dymem.

Kobieta-szczur krzyczy po raz ostatni, prosto w obiektyw kamery, jakby mówiła nie do żołnierza, lecz do całej ludzkości.

– Nie zabijecie jej. Nie da się zabić miłości. Kocham cię, żołnierzu, kocham cię. Tego nie można zabić. Pamiętaj...

Ostatni cios trafia ją prosto w twarz.

Pada w tył, na chodnik. Żołnierz nadeptuje jej butem na gardło, widać to wyraźnie na filmie. Podskakuje w dziwnym pląsie, całym ciężarem stając na jej kruchej szyi. Kołysze się, uderzając stopą – lecz nagle w kamerze widzimy dokładnie jego twarz.

Twarz zapłakanego dziecka, przerażonego tym okrucieństwem i zszokowanego perspektywą kolejnych okrutnych czynów.

Chciał spełnić swój obowiązek, a ten okazał się czymś strasznym, czymś złym.

Biedak. Chyba był jednym z pierwszych ludzi nowego świata, próbującym użyć broni przeciwko miłości. A miłość to jeden z najgroźniejszych i najpotężniejszych elementów, z jakimi można się spotkać w szale bitewnym.

Wszyscy podludzie zginęli tak samo. Z uśmiechem na twarzy, z imieniem Joan lub słowem „miłość” na ustach.

Człowiek-niedźwiedź Orson zginął jako jeden z ostatnich.

I bardzo osobliwie. Ginąc, śmiał się.

Żołnierz uniósł swój miotacz kulek i wycelował go prosto w czoło Orsona. Kulki miały 22 milimetry średnicy i zaledwie 125 metrów na sekundę prędkości wylotowej. Dzięki temu mogły powstrzymać krnąbrne roboty i złych podludzi, a nie przedostawały się do środka budynków i nie raniły prawdziwych, niewidocznych ludzi, którzy mogliby się tam znajdować.

Na taśmie nagranej przez roboty Orson sprawia wrażenie, że wie doskonale, co to za broń. (Zapewne tak jest. Podludzie od narodzin do likwidacji musieli żyć z wiszącą nad głową groźbą gwałtownej śmierci). Na zdjęciach, którymi dysponujemy, nie okazuje strachu; zaczyna się śmiać. Śmiech ma ciepły, donośny, zrelaksowany – jak życzliwy śmiech adopcyjnego ojca, który znalazł w kryjówece zawstydzone i winne dziecko i dobrze wie, że spodziewa się ono kary, a kary nie będzie.

– Strzelaj, człowieku. I tak mnie nie zabijesz. Jestem w twojej głowie. I cię kocham. Joan nas nauczyła. Posłuchaj, człowieku. Śmierć nie istnieje. Nie dla miłości. Oj, oj, biedaku, nie bój się mnie. Strzelaj! To ty masz pecha.

Bo będziesz żył. I pamiętał. I pamiętał. I pamiętał. To ja zrobiłem z ciebie człowieka.

Żołnierz skrzeczy:

– Co powiedziałeś?

– Ja ciebie zbawiam, człowieku. Czynię z ciebie prawdziwą ludzką istotę. Mocą Joan. Mocą miłości. Biedaku! Dalej, zastrzel mnie, jeśli już nie możesz zwlekać. I tak to zrobisz.

Tym razem nie widać twarzy żołnierza, jedynie spięte plecy i szyja zdradzają przeżywany stres.

Widzimy, jak na wielkiej, szerokiej niedźwiedziej twarzy wykwita ogromny czerwony kleks, gdy wbijają się w nią miękkie, ciężkie kulki.

Wtem kamera się odwraca.

Mały chłopiec, zapewne lis, ale o bardzo udanych ludzkich kształtach. Większy niż niemowlę, ale nie dorosły na tyle, co starsze podludzkie dzieci, żeby zrozumieć nieśmiertelną wagę nauczania Joan.

Tylko on jeden z grupy zachował się jak normalny podczłowiek – zaczął uciekać.

Był sprytny: wbiegł pomiędzy gapiów, żołnierz nie mógł więc potraktować go kulkami ani reduktorem ciepła, nie raniąc przy tym prawdziwych ludzi.

Wreszcie jeden z gapiów, wysoki mężczyzna w srebrnej czapce, podstawił mu nogę. Chłopak-lis upadł na bruk, obcierając sobie dłonie i kolana. A kiedy obejrzał się, kto teraz zaatakuje, kula trafiła go prosto w czoło. Upadł po raz drugi, zabity na miejscu.

Ludzie umierają, i wiemy, jak umierają. Widzieliśmy, jak nieśmiało i po cichu gasną w Domach Umierania. Widzieliśmy jak inni udają się do tych czterechsetletnich budowli, pozbawionych klamek i kamer. Widzieliśmy na zdjęciach liczne ofiary katastrof naturalnych, sfilmowane przez roboty do celów śledczych i dochodzeniowych. Śmierć nie jest rzadkością, choć jest bardzo nieprzyjemna.

Tym razem jednak miała inną postać. Podludzie – z wyjątkiem małego el-chłopca, zbyt małego, by zrozumieć, a zbyt dużego, by czekać na śmierć w objęciach matki – całkowicie wyzbyli się lęku przed śmiercią. Poszli na

nią chętnie, z miłością, ze spokojem w ciałach, w głosach, w zachowaniu. Nie miało dla nich znaczenia, czy przeżyją, żeby zobaczyć, co się stanie z Joan – i tak pokładali w niej pełną ufność.

Zaiste, było to niczym nowa broń – miłość i godna śmierć.

Pełzanka, pełna dumy, niczego nie zrozumiała.

Prowadzący śledztwo znaleźli później ciało Pełzanki w korytarzu. Można było zrekonstruować, kim była i co się z nią stało. Komputer, w którym parę dni po procesie przeżył jeszcze bezcielesny obraz lady Panc Aszasz został oczywiście odnaleziony i rozmontowany. Nikomu nie przyszło wówczas do głowy spytać go o zdanie, wysłuchać ostatnich słów. Całe pokolenia historyków zgrzytały zębami nad tym faktem.

Szczegóły są zatem jasne. W archiwach zachowały się nawet zapisy długiej sesji składania wyjaśnień przez Elaine, gdy została poddana obróbce i oczyszczona z zarzutów. Nie wiemy jednak, skąd wziął się pomysł z ogniem.

Hasło „ogień” musiało jakoś, poza zasięgiem kamer, przeskoczyć pomiędzy czterema szefami Instrumentalności prowadzącymi proces. Zaprotestował natomiast dowódca Ptaków (ornitopterów), czyli szef policji Kalmy, podszef zwany Fisim.

Nagrania pokazują jego wejście. Wchodzi z prawej strony, kłania się z szacunkiem czterem szefom i unosi prawą dłoń w tradycyjnym geście „jeśli mogę przerwać”; ten dziwny skręt otwartej, podniesionej dłoni okazał się bardzo trudny do powtórzenia dla aktorów, odgrywających całą historię Joan i Elaine w formie jednej sztuki teatralnej. (Fisi nie miał pojęcia, że przyszłe epoki będą aż tak wnikliwie studiować i analizować jego drugoplanową rolę. Całą scenę, w świetle tego, co dzisiaj wiemy, charakteryzuje pośpiech i pochopność). Lord Limaono mówi:

– Odmawiamy przerwania. Jesteśmy w trakcie podejmowania decyzji.

Dowódca Ptaków odezwał się mimo to:

– Moje słowa dotyczą właśnie państwa decyzji.

– Zatem mów – poleciła lady Goroke – ale krótko.

– Odciać widzów. Zlikwidować to zwierzę. Wyprać mózgi publiczności. Sami też sobie urządźcie amnezję, z tej jednej godziny. Cała

ta scena jest niebezpieczna. Jestem tylko dowódcą ornitopterów, do utrzymania idealnego porządku, ale nawet ja...

– Dosyć – powiedział lord Femtiosex. – Ty sobie zarządzaj Ptakami, a my będziemy zarządzać światami. Jak śmiesz myśleć „jak Instrumentalność”? Nawet się nie domyślasz, jaka jest nasza odpowiedzialność. Do szeregu.

Fisi, na zdjęciach, wraca do szeregu z ponurą miną. Widać także, że część gapiów się rozchodzi. Była pora obiadowa i zgłodnieli; nie mieli pojęcia, że przegapią największe okrucieństwo w historii, które będzie opiewać ponad tysiąc wielkich oper.

Wtedy Femtiosex przeszedł do punktu kulminacyjnego.

– Rozwiązaniem tego problemu jest więcej wiedzy, a nie mniej. Słyszałem o czymś takim, co nie jest aż tak straszne jak planeta Shayol, ale nada się w sam raz na przykładną karę w cywilizowanym świecie. Ty tam – powiedział do Fisiego, dowódcy Ptaków – przynieś naftę i sikawkę. Natychmiast.

Joan popatrzyła na niego ze współczuciem, tęsknie, choć nie odezwała się. Już podejrzewała, co on zamierza. Jako pi-dziewczynine nie podobało jej się to; odpowiadało zaś jej jako rewolucjonistce. Prawdziwe zwieńczenie misji.

Lord Femtiosex uniósł prawą dłoń. Zgiął mały i serdeczny palec, stykając je z kciukiem, dwa pozostałe rozprostował. W owych czasach taki gest pomiędzy szefami Instrumentalności oznaczał: „prywatny kanał telepatyczny, natychmiast”. Ten gest później przejęli podludzie, jako symbol ich politycznej jedności.

Czwórka szefów weszła w stan przypominający trans i wymieniła się osądem.

Joan zaczęła śpiewać cichym, pełnym protestu głosem, przypominającym psie skomlenie – dokładnie tym nieco fałszującym, niemelodyjnym śpiewem, co u podludzi w godzinie decyzji, przed wyjściem z Brązowo-żółtego Korytarza. Słowa nie były niczym szczególnym; powtarzało się w nich „ludzie, drodzy ludzie, kocham was”, czyli to, co mówiła, odkąd wyszła na powierzchnię Kalmy. Jednak sposób, w jaki to wyśpiewała, przez stulecia opierał się wszelkim

naśladownictwom. Są tysiące piosenek, które mienią się, lepiej lub gorzej, *Pieśnią Joan*, lecz żadna z nich nie zbliża się nawet do poruszającego serce patosu oryginalnego nagrania. Jej śpiew, jak i cała osobowość, był jedyny w swoim rodzaju.

Poruszał do szpiku kości. Nawet prawdziwi ludzie próbowali słuchać, przenosząc wzrok z czworga nieruchomych dostojników na śpiewającą piwnooką dziewczynę. Niektórzy nie byli w stanie tego wytrzymać. W typowy dla ludzi sposób zapomnieli, po co się tu znajdowali i powracali do domów na obiad.

Joan nagle przestała.

Głosem niosącym się wyraźnie wśród tłumu zawołała:

– Koniec już bliski, drodzy ludzie. Koniec już bliski.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku dwóm lordom i dwóm ladies Instrumentalności. Lady Arabella Underwood miała po telepatycznej naradzie grobową minę. Lady Goroke wyglądała na przybitą smutkiem. Dwóch lordów miało miny srogie i stanowcze.

A przemówił właśnie lord Fentiosex.

– Osądziliśmy cię, zwierzę. Twoja wina jest wielka. Żyłas nielegalnie. Za to karze się śmiercią. Wpływałas na roboty w niezrozumiały dla nas sposób. Za to całkiem nowe przestępstwo kara powinna być cięższa od śmierci; zaleciłem karę, którą stosowano na planecie Fioletowej Gwiazdy. Powiedziałas także wiele nielegalnych i niestosownych słów, zakłócających szczęście i bezpieczeństwo ludzkości. Za to należy się kara reedukacji, ale skoro już i tak masz dwa wyroki śmierci, nie ma to znaczenia. Czy chcesz zabrać głos, zanim ogłoszę wyrok?

– Milordzie, jeśli dzisiaj rozpalicie ten stos, ogień w sercach ludzi nigdy nie zgaśnie. Możecie mnie zniszczyć. Możecie odtrącić moją miłość. Ale nie zniszczycie dobra w sobie, choćby nie wiem jak was złościło...

– Cisza! – ryknął. – To miała być prośba o ułaskawienie, a nie jakaś przemowa. Zginiesz od ognia, tu i teraz. Co masz jeszcze do powiedzenia?

– Kocham was, drodzy ludzie.

Fentiosex kiwnął na ludzi od dowódcy Ptaków. Przytaszczyli beczkę i sikawkę, postawiwszy ją na ulicy tuż przed Joan.

– Przywiązać ją do tego słupa – rozkazał. – Spryskać paliwem. Podpalić. Czy operatorzy wszystko filmują? To ma być nagrane i znane wszystkim. Jeśli podludzie spróbują jeszcze raz, zobaczą, że to ludzkość panuje nad światami. – Spojrzał na Joan i wzrok jakby mu się rozogniskował. Niezwyczajnym tonem dodał: – Nie jestem złym człowiekiem, dziewczynko, za to ty jesteś złym zwierzęciem i trzeba cię ukarać dla przykładu. Czy rozumiesz?

– Femtiosex! – zawołała, darując sobie tytuły. – Bardzo mi cię szkoda. Ciebie także kocham.

Gdy usłyszał te słowa, twarz mu znów pociemniała z gniewu. Opuścił prawą rękę w geście rąbania siekierą.

Fisi powtórzył gest. Jego ludzie, obsługujący beczkę i sikawkę, zaczęli tryskać na Joan naftą. Dwaj strażnicy już przykuli ją do słupa latarni zaimprovizowanym łańcuchem ze spiętych kajdanek, żeby stała prosto i cały tłum ją dobrze widział.

– Ognia – rozkazał Femtiosex.

Elaine poczuła, jak ciało Łowcy stojącego tuż przy niej mocno się wypręża. Jakby od nieziemskiego wysiłku. Sama zaś poczuła się, jak po rozmrożeniu i po wyciągnięciu z kapsuły adiabatycznej, w której przyleciała z Ziemi – mdłości, dezorientacja, dzika huśtawka emocjonalna.

Łowca szepnął do niej:

– Próbowałem dostać się do jej umysłu, żeby umarła bezboleśnie. Ktoś tam już był przede mną. I... ja nie wiem, kto...

Elaine wytrzeszczyła oczy.

Przyniesiono ogień. Nagle dotknął nafty i Joan zapłonęła jak ludzka pochodnia.

**X**

Pi-Joan z Fomalhauta paliła się bardzo krótko, ale nie zapomnimy o tym przez całe wieki.



Femtiosex wybrał najprymitywniejsze możliwe wyjście.

Telepatyczną inwazją zdławił jej ludzki umysł, tak że pozostał z niego tylko prymitywny psi.

Joan nie stała z godnością jak królowa-męczennica.

Walczyła z liżącymi i wspinającymi się po niej płomieniami. Wyła i piszczała jak torturowany pies, jak zwierzę, którego mózg – choćby nie wiadomo jak dobry – nie jest w stanie ogarnąć bezsensu ludzkiego okrucieństwa.

Skutek był dokładnie odwrotny, niż sobie lord Femtiosex zaplanował.

Tłum ludzi postąpił naprzód, nie z ciekawości, lecz z litości. Omijał szersze miejsca, gdzie leżeli zabici podludzie, niektórzy w kałużach krwi, inni rozczłonkowani przez roboty, jeszcze inni zamienieni w kupki lśniących kryształków. Przechodzili ponad umarłymi, by oglądać umierającą, lecz ich chęć oglądania nie sprowadzała się do bezmyślnej ciekawości ludzi, którzy nigdy nie widzieli żadnego spektaklu; to był instynktowny i głęboki ruch żywych istot ku innej istocie, która jest w niebezpieczeństwie śmierci.

Nawet strażnik, który więził Elaine i Łowcę, ściskając tego ostatniego za ramię – nawet on machinalnie zrobił kilka kroków naprzód. Elaine znalazła się w pierwszym rzędzie zgromadzonych; ostry, nieznamy odór palonego tłuszczu gryzł ją w nos, a wycie ginącej psiej dziewczyny wwiercało się przez bębunki do mózgu. Joan wiła się i szarpała, próbując uniknąć płomieni, które spowijały ją ciaśniej niż ubranie. Tłum owiał zapach czegoś mdlącego i dziwnego. Mało kto z nich wiedział, jak pachnie palone mięso.

Joan sapnęła.

Na parę chwil zapadła cisza, a Elaine usłyszała coś, czego sobie w życiu nie wyobrażała – płacz wielkiego tłumu dorosłych ludzi. Kobiety i mężczyźni stali, szlochając, choć nie wiedzieli dlaczego.

Femtiosex górował nad tłumem, ogarnięty obsesyjnym strachem, że pokazowa egzekucja się nie udaje.

Nie wiedział, że Łowca, mający na koncie tysiąc ofiar, właśnie popełniał oburzające przestępstwo i zaglądał do umysłu szefa Instrumentalności.

Łowca szepnął do Elaine:

– Za minutę spróbuję coś zrobić. Ona nie zasługuje na coś takiego...

Elaine nie zapytała, co. Sama też płakała.

Do całego zgromadzonego tłumu dotarło, że jeden z żołnierzy coś krzyczy. Dopiero po kilku sekundach odwrócili wzrok od płonącej, umierającej Joan.

Żołnierz był zwykłym szeregowcem, być może tym, któremu nie udało się skrepować Joan parę minut temu, gdy lordowie zarządzili, że trzeba ją aresztować.

Teraz krzyczał, szaleńczo i głośno, grożąc pięścią lordowi Femtiosexowi.

– Kłamca z ciebie, kłamca, tchórz i dureń! Wyzywam cię...

Lord Femtiosex zauważył żołnierza i zrozumiał jego krzyki. Wszedł z głębokiego skupienia i zapytał, dość łagodnie, jak na tę chwilę:

– Co to ma znaczyć?

– To wszystko obłąd. Nie ma żadnej dziewczyny. Nie ma żadnego ognia. Nic nie ma. Dla jakichś swoich potwornych celów wywołujesz u nas wszystkich zbiorową halucynację i wyzywam cię za to na pojedynek, ty bydlaku, ty durniu, ty tchórze!

W normalnych warunkach lord musiałby przyjąć wyzwanie albo w jasnych słowach sprostować nieporozumienie.

To nie były normalne warunki.

– Wszystko to jest prawdziwe – odparł lord. – Nikogo nie oszukuję.

– Skoro tak, to jestem z tobą, Joan! – wykrzyknął młody żołnierz. Wskoczył przed strugę nafty, zanim inni żołnierze zdążyli ją wyłączyć, a potem rzucił się do ognia ku Joan.

Włosy miała już spalone, choć rysy wciąż wyraźne. Przestała po psiemu piszczeć. Femtiosex musiał przerwać. Rzuciła żołnierzowi, który z własnej woli zapłonął obok niej, najczulszy i najbardziej kobiecy z uśmiechów. Potem zmarszczyła czoło, jakby przypominała sobie, że ma coś jeszcze zrobić, pomimo ogarniającego ją bólu i cierpienia.

– Teraz! – szepnął Łowca.

Zaczął polować na lorda Femtiosexa równie zaciekle, jak kiedyś na obce, tubylcze umysły Fomalhauta III.

Tłum nie zorientował się, co się stało z lordem Femtiosexem. Stchórzyl? Zwariował?

(Tak naprawdę Łowca, zebrawszy wszystkie umysłowe siły, zabrał go na chwilę w niebo, na lot godowy – byli jak dwa samce, tutejsze, przypominające ptaki zwierzęta, szaleńczo wyśpiewujące serenady dla prześlicznej samicy, skrytej gdzieś daleko w dole na ziemi).

Joan była wolna i uświadomiła to sobie.

Wysłała wiadomość. Wiadomość stłumiła na moment wszelką myśl w umysłach Łowcy i Femtiosexa; przytłoczyła Elaine; nawet Fisi, wódz ptaków, stracił dech. Zawołała myślą tak głośno, że w niecałą godzinę z innych miast posypały się pytania, co się dzieje w Kalmie. Pomyślała jeden przekaz, niewyrażony słowami. Ale w słowach sprowadzał się do czegoś takiego:

– Ukochani, zabijacie mnie teraz. To moje przeznaczenie. Przynoszę wam miłość, a miłość musi umrzeć, by żyć dalej. Miłość o nic nie prosi i nic nie robi. Miłość nie myśli. Miłość to świadomość samego siebie, świadomość wszystkich innych ludzi i rzeczy. Wiedźcie to i radujcie się. Umieram teraz za was wszystkich, moi kochani...

Po raz ostatni otworzyła oczy, otworzyła usta, wciągnęła do nich ognisty płomień i zwiesiła głowę. A żołnierz, który zachował zimną krew, choć płonęły jego mundur i ciało, wybiegł z ognia, buchając płomieniem, i pobiegł ku oddziałowi. Zatrzymał go strzał. Padł na twarz.

Płacz ludzi było słychać na wszystkich ulicach. A podludzie, oswojeni i licencjonowani, stali bezwstydnie pomiędzy nimi i także płakali.

Lord Femtiosex ze znużeniem zwrócił się ku swoim współpracownikom.

Twarz lady Goroke była nieruchoma jak rzeźba, karykaturalnie przedstawiająca smutek.

Odwrócił się więc do Arabelli Underwood.

– Wygląda na to, milady, że coś źle robiłem. Proszę przejąć dowodzenie.

Lady Arabella wstała. Zawołała do Fisiego:

– Zgaś ten ogień!

Rozejrzała się po tłumie. Jej twarda, uczciwa norstrilijska twarz była nieodgadniona. Elaine spojrzała na nią i zadygotała na samą myśl o planecie pełnej samych takich twardych, upartych i inteligentnych ludzi.

– To koniec – powiedziała lady Arabella. – Ludzie, rozejść się. Roboty, posprzątać. Podludzie, do roboty.

Spojrzała na Elaine i Łowcę.

– Wiem, kim jesteście, i podejrzewam, co zrobiliście. Żołnierze, zabrać ich.

Ciało Joan było zwęglone przez ogień. Twarz już nie przypominała ludzkiej – ostatni płomień spalił jej nos i oczy. Małe dziewczęce piersi przygnębiająco pokazywały, że była kiedyś kobietą – a teraz tylko trupem. Trupem.

Gdyby była podczłowiekiem, żołnierze po prostu zgarnęliby szczątki łopatą do kartonu. Tak jednak oddali jej honory, jak własnemu towarzyszowi albo ważnemu cywilowi, który zginął podczas katastrofy. Rozłożyli nosze, położyli na nich małe poczerńiałe ciało i przykryli je flagą. Nikt im nie kazał tego robić.

A gdy ich własny żołnierz prowadził ich drogą do Wodnej Skały, gdzie mieściły się wojskowe kwatery i biura, Elaine zauważyła, że i on płacze.

Już miała go zapytać, co o tym wszystkim sądzi, lecz Łowca powstrzymał ją, kręcąc głową. Powiedział jej później, że mogliby go ukarać za to, że z nimi rozmawiał.

Kiedy dotarli do biura, lady Goroke już tam była.

Lady Goroke już tam była... Przez następne tygodnie stała się ich koszmarem. Przewyciężyła ból i zaczęła badać sprawę Elaine i Pi-Joan.

Lady Goroke już tam była... Czekala, kiedy spali. Jej obraz, a może i ona sama, był obecny na wszystkich przesłuchaniach. Szczególnie interesowało ją przypadkowe spotkanie nieżyjącej lady Panc Aszasz, źle przydzielonej wiedzy Elaine i niewyregulowanego człowieka – Łowcy.

Lady Goroke już tam była... Zapytała o wszystko, nie powiedziała nic.

Z jednym wyjątkiem.

Raz, po niezliczonych godzinach oficjalnych urzędowych czynności, wybuchnęła:

– I tak, kiedy skończymy, wyczyści się wam mózgi. Więc zupełnie nieistotne, co jeszcze wiecie. Czy rozumiecie, że mnie to wszystko – mnie! – uraziło do żywego, do samego sedna wszystkiego, w co wierzę?

Pokręcili głowami.

– Będę miała dziecko i wracam na Kolebkę Ludzkości, żeby je wychować. I sama zajmę się jego kodowaniem genetycznym. Nazwę go Żestokost. To z jednego ze Starodawnych Języków, z języka parusski, i znaczy „okrucieństwo”, aby całe życie pamiętał, skąd się wziął i dlaczego. I on, albo jego syn, albo syn tego syna przywróci na świecie sprawiedliwość i rozwiąże zagadkę podludzi. Co o tym myślicie? Albo, właściwie, nie myślcie. To nie wasza sprawa, ja zrobię to tak czy owak.

Spojrzeli na nią ze współczuciem, byli jednak zbyt zaprzątnięci problemem własnego przetrwania, by móc zaoferować jej więcej litości czy radę. Ciało Joan sproszkowano i rozpylono w powietrzu, bo lady Goroke bała się, że podludzie urządzą dla niego „święte miejsce”; sama czuła, że powinna to zrobić, i zdawała sobie sprawę, że jeśli ona czuje pokusę, to podludzie tym bardziej.

Elaine nigdy się nie dowiedziała, co się stało z ciałami wszystkich innych ludzi, którzy pod wodzą Joan zmienili się ze zwierząt w osoby, i kto ruszył w szalonym, idiotycznym marszu tunelem Engloka do Górnego Miasta Kalma. Czy naprawdę było to szaleństwem? Czy naprawdę było głupotą? Gdyby zostali, gdzie są, być może mieliby przed sobą parę dni, miesięcy lub lat życia, ale wcześniej czy później roboty znalazłyby ich i wyeksterminowały jak szkodniki – którymi zresztą byli. Zatem, czyż śmierć, jaką sami sobie wybrali, nie była lepsza? Joan faktycznie powiedziała: „Taki jest cel życia: zawsze szukać czegoś lepszego od siebie, a potem poświęcić siebie samego dla sensu”.

Na koniec lady Goroke wezwała ich do siebie i powiedziała:

– Do widzenia. Co prawda, głupio jest mówić „do widzenia”, kiedy za godzinę nie będziecie pamiętać ani mnie, ani Joan. Wasze zadanie tutaj skończone. Zorganizowałam wam świetną posadę. Nie będziecie musieli

mieszkać w mieście. Będziecie obserwować pogodę, wędrować po wzgórzach i odnotowywać wszystkie drobne zmiany, których maszyny nie są w stanie wystarczająco szybko zinterpretować. Przed wami całe życie spacerów, pikników i wspólnych biwaków. Powiedziałam technikom, że mają bardzo uważać, bo wy dwoje bardzo kochacie się nawzajem. Kiedy będą wam przełączać synapsy, ta miłość ma zostać.

Padli na kolana i ucałowali jej rękę. I nigdy już jej nie zobaczyli, a przynajmniej nie rozpoznali. W późniejszych latach czasem widywali zawisający łagodnie nad ich obozowiskiem modny ornitopter, z którego wyglądała elegancka kobieta; lecz nie dysponowali wspomnieniami, które pozwoliłyby im zidentyfikować ją jako lady Goroke. Odzyskała równowagę umysłową i obserwowała ich.

Tym nowym życiem żyli aż do końca.

Nic nie zostało z Joan oraz Brązowo-żółtego Korytarza.

Oboje bardzo dobrze traktowali zwierzęta, choć niewykluczone, że byłoby tak również, gdyby nigdy nie wplątali się w szaloną polityczną grę kochanej zmarłej lady Panc Aszasz.

Raz jednak zdarzyło się coś dziwnego. W pewnej małej dolinie pracował sobie podczłowiek pochodzący od słonia. Budował wspaniałe skalny ogródek dla jakiegoś ważnego oficjela Instrumentalności, który później spojrzy na te skały raz czy dwa w roku. Elaine była zajęta obserwacją pogody, a Łowca zapomniał, że kiedykolwiek polował, zatem żadne z nich nie pomyślało, by zajrzeć podczłowiekowi do głowy. Był ogromny, dokładnie maksymalnej dopuszczalnej wielkości, czyli pięć razy większy od człowieka. Wcześniej uśmiechał się do nich przyjacielsko.

A pewnego wieczoru przyniósł im owoce. Ale co za owoce! Rzadkie i pozaświatowe, których zwykli ludzie nie uzyskaliby, choćby prosili o nie cały rok. Uśmiechnął się szerokim, nieśmiałym, słoniowym uśmiechem, położył je i już miał odejść, gdy...

– Zaraz, czekaj! – wykrzyknęła Elaine. – Czemu ty nam to dajesz? Czemu akurat nam?

– Dzięki Joan – odparł człowiek-słoń.

– A kto to jest Joan? – zapytał Łowca.

Człowiek-słoń spojrział na nich ze współczuciem.

– Ja rozumiem. Wy jej nie pamiętacie, ale ja tak.

– I co zrobiła ta Joan? – spytała Elaine.

– Kochała was. Kochała nas wszystkich – wyjaśnił. Odwrócił się pośpiesznie, żeby już nic nie mówić, i z niewiarygodną gracją, jak na kogoś tak ciężkiego, wspiał się po skałach nad nimi i zniknął.

– Szkoda, że jej nie znałam – powiedziała Elaine. – Musiała być bardzo fajna.

Tego roku urodził się człowiek, który miał zostać pierwszym lordem Żestokostem.

---

<sup>1</sup> Niezupełnie: panć i će. Imiona innych lordów i ladies także często oznaczają „pięćdziesiąt sześć” lub „pięć-sześć”: Femtiosex po szwedzku, Lima ono w językach austronezyjskich, Englok (ng luk) po kantońsku, Goroke (gó roku) po japońsku, podobnie Fisi to Five Six (przyp. tłum).

## POD STARĄ ZIEMIĄ

To ostatnie i chyba najosobliwsze opowiadanie napisane przez Smitha. Nigdzie więcej w całej jego twórczości nie ma nawiązania do planet Douglasa-Ouyanga, trudno zatem osądzić, które z wydarzeń są „prawdziwe”, a które „legendarne” w tej historii badającej początki Drugiego Odkrycia Ludzkości.

*Tymczasowego psa mi trzeba,  
Do tymczasowej pracy,  
W tymczasowym miejscu,  
Jakby na Ziemi!*

Piosenka z *Kupca zbójeckiego*.

### I

Były sobie planety Douglasa-Ouyanga, które krążyły wokół swojego słońca skupione razem, sunąc dookoła po tej samej orbicie, zupełnie inaczej niż wszystkie inne znane planety. Byli sobie, na Ziemi, dżentelmeni-samobójcy, którzy ryzykowali życie – albo i, czasami, gorsze rzeczy niż życie – badając różne typy geofizyki, których prawdziwi ludzie nigdy nie doświadczyli. Były sobie dziewczyny, które zakochiwały się w tych dżentelmenach, choć miał ich spotkać brutalny i straszny los. Była sobie Instrumentalność i jej niestrudzone starania, by człowiek pozostał człowiekiem. I byli obywatele, którzy spacerowali bulwarami przed



Drugim Odkryciem Ludzkości. Obywatele byli szczęśliwi. Musieli być szczęśliwi. Gdy wykryto u któregoś smutek, był uspokajany, faszerowany środkami i modyfikowany, aż stał się szczęśliwy.

W tej historii mowa o trojgu z nich – o ryzykancie, co przybrał sobie miano Słonecznego Chłopca, który odważył się wyprawić w Gebiet[2], który sprzeniewierzył się sam sobie, zanim zginął; o dziewczynie imieniem Santuna, która przed śmiercią na tysiąc sposobów przeżyła spełnienie; o lordzie Sto Odinie z niepamiętnych czasów, który wszystko to wiedział i palcem nie kiwnął, żeby temu zapobiec.

Całą historię przenika muzyka. Przyjemna, łagodna muzyka Ziemskiego Rządu oraz Instrumentalności, mdląca jak miód, od której robi się w końcu niedobrze. Dzika, nielegalna pulsacja Gebietu, gdzie wzbroniono wstępu większości ludzi. I najgorsza z nich: szalone fugi i niestosowne melodie Bezirku[3], który był zamknięty dla ludzi od pięćdziesięciu siedmiu stuleci, a potem go przypadkowo otwarto, odnaleziono i wdarto się do środka! I od niego właśnie zaczyna się nasza opowieść.

## II

Lady Ru, parę stuleci wcześniej, powiedziała: „Odkryliśmy strzępki dawnej wiedzy. U samego zarania ludzkości, jeszcze przed wynalezieniem samolotów, mędrzec Lao-Dz stwierdził tak: «Woda nie robi nic, ale przenika wszystko. Bezczynność odnajduje drogę». Później, dawny lord powiedział tak: «We wszystko wpisana jest muzyka. Cały życie tańczymy, jak nam zagra, choć własnymi uszami nigdy jej nie słyszymy. A jednak to ona nas prowadzi, ona nas porusza. Szczęście potrafi zabijać ludzi niepostrzeżenie i gładko, niczym cienie widziane w snach. Musimy być przede wszystkim ludźmi, dopiero potem szczęśliwymi ludźmi, inaczej na próżno będziemy żyć i umierać»”.

Lord Sto Odin był bardziej bezpośredni. Obwieścił prawdę paru zaufanym przyjaciołom:

– Na większości światów ludzka populacja maleje, także na Ziemi. Ludzie rodzą dzieci, ale za bardzo im się nie chce. Sam byłem trójojcem dla dwunastki dzieci, dwuojcem dla czworga i jednoojcem, jak sądzę, dla wielu innych. Mam zapał do pracy; wydawało mi się, że to zapał do życia. To jednak nie to samo. Większość ludzi pragnie szczęścia. I świetnie: zapewniliśmy im szczęście. Całe bezsensowne, beznadziejne stulecia szczęścia, kiedy wszystkich nieszczęśliwych korygowaliśmy, modyfikowaliśmy lub zabijaliśmy. Nieznośne, samotne szczęście pozbawione choćby ukłucia krzywdy, gron gniewu, gorących oparów strachu. Jak wielu z nas skosztowało kwaśnego, lodowatego posmaku zadawnionej urazy? Tak się naprawdę żyło w Dawnych Czasach: udawało się szczęście, a naprawdę żyło się złością, furią, nienawiścią, złą wolą i nadzieją! Tamci ludzie rozmnażali się jak szaleni. Kolonizowali gwiazdy, a skrycie lub jawnie marzyli przy tym, by pozabijać się nawzajem. W sztukach opowiadali o morderstwach, zdradach, nielegalnej miłości. Teraz morderstw nie ma. Trudno sobie wyobrazić jakiś rodzaj miłości, który byłby nielegalny. A możecie sobie wyobrazić Merykanów, z tą ich siecią autostrad? Którzy dzisiaj mogą polecieć, dokąd tylko zechcą, w ogóle nie oglądając jej na oczy? Zniszczone są, ale wciąż istnieją. Z księżycą widać te okropne drogi całkiem wyraźnie. Ale nie myślmymy o drogach. Pomyślmymy o milionach pojazdów, które po nich jeździły, pełne ludzi ożywionych chciwością, złością i nienawiścią, przemykających koło siebie z silnikami pełnymi ognia. Mówią, że tylko na tych drogach ginęło ich ponad pięćdziesiąt tysięcy. Nazwalibyśmy to wojną. Co to musieli być za ludzie, żeby tak pędzić dzień i noc i budować rzeczy, które pozwolą innym pędzić jeszcze bardziej! Musieli się bardzo od nas różnić. Byli brudni, szaleni i wolni. Spragnieni życia, zupełnie nie tak, jak my. Bez problemu potrafimy poruszać się dziesięć tysięcy razy szybciej od nich, ale komu się teraz chce gdziekolwiek ruszać? Bo i po co? Wszędzie jest tak samo jak tutaj, dla wszystkich, może z wyjątkiem paru wojowników czy techników...

– Uśmiechnął się do swoich przyjaciół i dodał: – Czy lordów

Instrumentalności, jak my. My latamy w sprawach Instrumentalności. Nie w sprawach zwykłych ludzi. Zwykli ludzie nie mają za wiele powodów, żeby robić cokolwiek. Wykonują pracę, którą dla nich wymyśliśmy, żeby byli zadowoleni, podczas gdy prawdziwą pracę odwalają roboty i podludzie. Chodzą pieszo. Uprawiają seks. Ale nigdy nie są nieszczęśliwi. I nie mogą być!

Lady Mmona sprzeciwiła się.

– To życie nie może być aż tak straszne, jak twierdzisz. To nie jest tak, że my tylko myślimy, że oni są szczęśliwi. My wiemy, że są szczęśliwi. Zaglądamy im telepatycznie prosto do mózgów. Monitorujemy ich przebiegi emocjonalne robotami i skanerami. Mieliśmy wcześniej próbki. Wiemy, że zawsze robią się z powrotem nieszczęśliwi. Stale się ich koryguje. A zdarzają się przypadki, których nawet my nie jesteśmy w stanie naprawić. Czasem po prostu przestają mówić i umierają, choć tyle możemy dla nich zrobić. Nie możesz twierdzić, że to wszystko nieprawdziwe!

– Ale twierdę – oświadczył lord Sto Odin.

– Twierdzisz co?! – krzyknęła Mmona.

– Twierdę, że to ich szczęście nie jest prawdziwe.

– Jak możesz?! – rozdarła się na niego. – W świetle tylu dowodów?! Tylu dowodów, na podstawie których tyle stuleci temu Instrumentalność podjęła decyzję? Sami te dowody zbieramy. Czyż my, Instrumentalność, moglibyśmy się mylić?

– Tak – powiedział lord Sto Odin.

Tym razem zamilkł cały krąg.

Sto Odin zaapelował do nich:

– Spójrzcie chociaż na moje argumenty. Ludzi nie obchodzi za bardzo, czy są jednoojcami, jednomatkami, czy nie. I tak potem nie wiedzą, które dzieci są ich. Nikt nie odważa się popełnić samobójstwa. Dajemy im za dużo szczęścia. Ale czy choć odrobinę staramy się, żeby podludzie, te mówiące zwierzęta, byli równie szczęśliwi jak oni? Czy podludzie popełniają samobójstwa?

– Oczywiście – stwierdziła Mmona. – Są uwarunkowani, żeby popełniać samobójstwo, kiedy doznają uszkodzeń, których nie da się łatwo naprawić, albo zawiodą w przydzielonej im pracy.

– Nie o to mi chodziło. Czy popełniają samobójstwo z własnych powodów, nie naszych?

– Nie – powiedział lord Nuru-or, młody, mądry lord Instrumentalności. – Za bardzo są zajęci wykonywaniem swojej pracy i pozostawaniem przy życiu.

– A jak długo żyje taki podczłowiek? – odezwał się Sto Odin ze zdradziecką łagodnością.

– Kto to wie? – odparł Nuru-or. – Pół roku, sto lat, może i kilkaset.

– Co się dzieje, jeśli nie pracuje? – indagował Sto Odin ze sztucznie życzliwym uśmiechem.

– Zabijamy go – powiedziała Mmona – albo robią to roboty policyjne.

– I zwierzak o tym wie?

– Czy wie, że go zabijemy, jeśli nie będzie pracował? – zdziwiła się Mmona. – Oczywiście. Wszystkim powtarzamy to samo. Praca albo śmierć. A co to ma wspólnego z ludźmi?

Lord Nuru-or zamilkł, a na jego twarzy zaczął wykwitać smutny, mądry uśmiech. Już podejrzewał, do jakiego okropnego wniosku zmierza lord Sto Odin.

Mmona jednak jeszcze tego nie dostrzegła i kontynuowała:

– Twierdzisz, że ludzie są szczęśliwi. Przyznajesz, że nie chcą być nieszczęśliwi. Chcesz postawić problem, który nie ma rozwiązania. Czemu skarżyć się na szczęście? Czyż to nie najlepsze, co Instrumentalność mogła zrobić dla ludzkości? To nasza misja. Czy uważasz, że ponosimy w niej klęskę?

– Tak. Ponosimy klęskę. – Lord Sto Odin rozejrzał się niewidzącym wzrokiem po sali, jakby był sam.

Był najstarszy i najmądrzejszy, więc czekali, aż ponownie przemówi.

Odetchnął i znów się do nich uśmiechnął.

– Wiecie, kiedy będę umierał?

– Oczywiście – odparła Mmona, zastanowiwszy się pół sekundy. – Za siedemdziesiąt siedem dni. Sam określiłeś tę datę. Ale dobrze wiesz, że na posiedzeniach Instrumentalności nie ma zwyczaju zajmować się osobistymi sprawami.

– Przepraszam. Ale żadnego prawa nie naruszam. To część mojej argumentacji. Przysięgaliśmy chronić godność człowieka. A tymczasem zabijamy ludzi tym mdłym, beznadziejnym szczęściem, które doprowadziło do zakazania nowych informacji, zdławiło religię, a historię musieliśmy uczynić tajemnicą rządową. Twierdzę, że wszystko wskazuje, że to się nam nie udaje, a ludzkość, którą przysięgliśmy pielęgnować, także podupada. Traci witalność, siły, energię i liczebność. Jeszcze chwilę pożyję. Zamierzam to sprawdzić.

Lord Nuru-or zapytał ze smutkiem, jakby domyślał się odpowiedzi:

– I gdzie się udasz, aby to sprawdzić?

– Udam się – powiedział lord Sto Odin – do Gebietu.

– Do Gebietu! Och, nie! – wykrzyknęła część obecnych.

– Ale przecież masz immunitet – powiedział ktoś.

– Zrzeknę się immunitetu i pójdę. Co się może stać człowiekowi, który przeżył niemal tysiąc lat i postanowił żyć już tylko siedemdziesiąt siedem dni?

– Ależ milordzie, nie wolno! – zawołała Mmona. – Jakiś przestępca mógłby cię schwytać i skopiować, a wtedy wszyscy znaleźlibyśmy się w niebezpieczeństwie.

– A kiedy ostatni raz widzieliście wśród ludzi jakiegoś przestępcę? – zapytał Sto Odin.

– Jest ich bardzo wielu, w różnych miejscach na pozaświatach.

– Ale na samej Starej Ziemi?

– No, nie wiem. Kiedyś pewnie jakiś się trafił. – Rozejrzała się po sali. – Ktoś może wie?

Odpowiedziało jej milczenie.

Lord Sto Odin popatrzył po zebranych. W oczach miał tę żarliwość i błysk zawziętości, dzięki któremu kolejne pokolenia lordów błagały go, by pożył jeszcze choćby parę lat i pomógł im w ich pracy. Wcześniej się

zgadzał, natomiast w ciągu ostatniego kwartału wszystkich ich przegłosował i wyznaczył sobie datę śmierci. W niczym mu nie ubyło mocy, gdy to uczynił. Dalej kulili się pod jego spojrzeniem, czekając z szacunkiem na ogłoszenie decyzji.

Na koniec spojrzął na lorda Nuru-ora i odezwał się:

– Zapewne już się domyśliłeś, co zamierzam zrobić w Gebiecie i dlaczego muszę iść akurat tam.

– Gebiet to rezerwat, gdzie nie obowiązują żadne reguły i nie są wymierzone żadne kary. Zwykli ludzie mogą tam robić co chcą, a nie to, co powinni. Z tego, co słyszałem, odkrywają tam głównie pozbawione sensu okropności. Być może ty jednak dostrzeżesz w tym jakąś głębię. Znajdziesz tam lekarstwo na pełne znużenia szczęście ludzkości.

– Otóż to – powiedział Sto Odin. – Dlatego właśnie się tam udam, gdy tylko ukończę oficjalne przygotowania.

### III

I udał się. Użył jednego z najosobliwszych środków transportu w historii, ponieważ miał za słabe nogi, by tam go zaniósł. A skoro pozostały mu dwie dziewiąte roku życia, nie chciał tracić czasu na przeszczep nowych.

Pojechał w otwartej lektyce niesionej przez dwóch rzymskich legionistów. Naprawdę byli robotami, bez śladu krwi i żywej tkanki. Były to najbardziej zwarte i trudne w budowie roboty, ponieważ ich mózgi musiały pomieścić się w klatce piersiowej – parę milionów warstw niezwykle cienkiego laminatu, z wdrukowanym całym doświadczeniem życia ważnej, liczącej się i dawno zmarłej osoby. Występowali w pełnym rynsztunku legionisty, każdy miał kirys, miecz, kilt, nagolenniki, sandały i tarczę, tylko dlatego, że życzył sobie tego lord Sto Odin – chciał, by jego towarzysze pochodzili spoza granic historii. Ich ciała, stuprocentowo metalowe, były bardzo silne. Potrafili rozbijać ściany, przeskakiwać przez

przepaście, siłą samych palców zgnieść dowolnego człowieka czy podczłowieka oraz rzucać mieczami z celnością pocisków kierowanych.

Przedni legionista, Flawiusz, był kiedyś szefem wydziału 14B Instrumentalności – komórki szpiegowskiej tak tajnej, że nawet pomiędzy lordami nieliczni wiedzieli o jej lokalizacji czy funkcji. Był (kiedyś, zanim nie przekopowano go do umysłu robota, kiedy umierał) kierownikiem wszystkich zespołów badań historycznych całej ludzkiej rasy. Teraz zaś – po prostu nudną, niezawodną maszyną niosącą dwa końce drągów, póki jego pan nie postanowi obudzić potężnego, kipiącego czujnością umysłu, wypowiadając prostą łacińską frazę, której nie rozumie nikt inny na świecie: *Summa nulla est*.

Tylny legionista, Liwiusz, był psychiatrą, który został potem generałem. Wygrał wiele bitew, zanim postanowił umrzeć, nie osiągnąwszy wyznaczonego wieku, uznał bowiem, że sama idea bitwy to walka o własną klęskę.

Razem, dołożywszy jeszcze niezmierną moc intelektu lorda Sto Odina, stanowili niezwyciężony zespół.

- Do Gebietu – rozkazał lord.
- Do Gebietu – powtórzyli z wysiłkiem oni, uniósłszy lektykę za drągi.
- A potem do Bezirku – dodał.
- Do Bezirku – powtórzyli beznamiętnymi głosami.

Sto Odin poczuł, że fotel odchyła się w tył: to Liwiusz postawił swoje końce drągów ostrożnie na ziemi, podszedł do niego i zasalutował otwartą dłonią.

- Czy mógłbym się obudzić? – zapytał mechanicznym, płaskim głosem.
- *Summa nulla est* – powiedział lord Sto Odin.

Twarz Liwiusza natychmiast się ożywiła.

– Milordzie, nie wolno panu tam iść! Będzie pan musiał zrzec się immunitetu i stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom. A na razie nic tam nie ma. Jeszcze nie. Kiedyś wylegną z tego Hadesu wielkimi tłumami i zmuszą was, ludzi, do walki o własne życie. Na razie nie. To tylko godne pożalowania stworzenia kiszące się w swoim osobliwym nieszczęściu

i uprawiające miłość na rozmaite sposoby, które nigdy nie przyszłyby do głowy...

– Co by mi przyszło do głowy, a co nie, to inna kwestia. Powiedz dokładnie, co masz przeciwko?

– To bezcelowe, milordzie. Zostało panu tylko parę dni życia. Proszę uczynić coś wielkiego i szlachetnego dla ludzkości, zanim pan umrze. Nas wtedy zapewne wyłączą, a chcielibyśmy się jeszcze podzielić z resztą pana dokonania, zanim pan odejdzie.

– To wszystko? – zapytał Sto Odin.

– Milordzie – odezwał się Flawiusz – mnie również pan obudził. Ja twierdzę co innego: proszę iść dalej. Tam się na nowo tworzy historia. Rozpętały się tam procesy, których wy, wielcy z Instrumentalności, nawet nie podejrzewacie. Proszę iść i spojrzeć, jeszcze przed śmiercią. Może i niczego pan nie osiągnie, ale nie zgadzam się z moim towarzyszem. Jest tam niebezpiecznie jak w kosmosie, być może, przekonamy się, ale jest ciekawie. A w tym świecie, gdzie dokonaliśmy wszystkiego, co było do dokonania, pomyśleliśmy wszystko, co było do pomyślenia, trudno znaleźć sprawy wciąż budzące w ludzkim umyśle żywą ciekawość. Ja nie żyję, jak dobrze pan wie, lecz nawet ja, w moim maszynowym mózgu czuję ten zew przygody, przyciąganie niebezpieczeństwa, magnetyzm nieznanego. Po pierwsze, oni tam popełniają przestępstwa. A wy, lordowie, nie zwracacie na to uwagi.

– Taką podjęliśmy decyzję: nie zwracać uwagi. Nie jesteśmy głupi. Chcieliśmy zobaczyć, co się może wydarzyć – wyjaśnił Sto Odin – a trzeba im dać trochę czasu, żeby się dowiedzieć, jak daleko się posuną, jeśli nie będą odcięci od wszelkiej kontroli.

– Oni tam rodzą dzieci! – wtrącił podekscytowany Flawiusz.

– Wiem o tym.

– Podłączyli do sieci dwa nielegalne natychmiastowe komunikatory.

Sto Odin zachował spokój.

– Dlatego właśnie okazało się, że w ziemskim bilansie handlowym są pewne wycieki.

– I mają kawałek kongohelu! – wykrzyknął Flawiusz.



– Kongohelu?! – zawołał lord. – Niemożliwe. To jest niestabilne. Mogą się pozabijać. Albo uszkodzić całą Ziemię. I co z nim robią?

– Grają na nim – powiedział Flawiusz, ciszej.

– Jak to, grają?

– Tworzą muzykę. Piosenki. Ładne dźwięki, do których da się tańczyć.

Lord Sto Odin prychnął.

– Jedziemy tam, i to natychmiast. To jakiś absurd. Posiadanie przez nich kawałka kongohelu to jeszcze gorzej niż likwidowanie zamieszkanym planet, by pograć sobie w warcaby.

– Milordzie... – odezwał się Liwiusz.

– Tak?

– Wycofuję swój sprzeciw.

– Dziękuję – powiedział sucho Sto Odin.

– Mają tam na dole coś jeszcze. Gdy byłem przeciwny pana wyprawie, nie chciałem o tym napomykać. Obawiałem się, że pobudzi to pana ciekawość. Mają boga.

– Jeśli to ma być historyczny wykład, zachowaj go na inną okazję. Idźcie spać i zanieście mnie na dół.

Liwiusz ani drgnął.

– Poważnie mówiłem.

– Boga? Co to znaczy „boga”?

– Osobę lub ideę zdolną uruchomić całkowicie nowe fale kultury.

Lord Sto Odin nachylił się ku niemu.

– I ty to wiesz?

– Obaj wiemy – powiedzieli Flawiusz i Liwiusz.

– Widzieliśmy go – dodał Liwiusz. – Sam pan nam powiedział, jedną dziesiątą roku temu, żebyśmy sobie pochodzili wolno przez trzydzieści godzin, założyliśmy więc zwykłe robocie ciała i przypadkiem trafiliśmy do Gebietu. Kiedy poczuliśmy, że działa tam kongohel, musieliśmy już pójść dalej, żeby sprawdzić, co z nim robią. Przeważnie używa się go, żeby unieruchomić gwiazdy...

– Nie tłumacz mi. Ja wiem. Czy to był człowiek?

– Człowiek, który przeżywa na nowo życie Echnatona.

– A kto to? – zapytał lord Sto Odin; znał historię, ale był ciekaw, ile wiedzą jego roboty.

– Król Egiptu, wysoki, z pociągłą twarzą i wydatnymi ustami, który rządził Egiptem na długo, długo przed energią atomową. Wynałazł najlepszych z pierwszych ludzkich bogów. I ten człowiek odtwarza życie Echnatona krok po kroku. Już stworzył religię oddającą cześć słońcu. Drwi ze szczęścia. I ludzie go słuchają. Robią sobie żarty z Instrumentalności.

– Widzieliśmy też dziewczynę, która go kocha – dodał Liwiusz. – Była młoda, ale bardzo piękna. I zdaje się, że ma moce, wskutek których w niedługiej przyszłości Instrumentalność będzie ją musiała awansować albo zniszczyć.

– I oboje tworzyli muzykę – rzekł Flawiusz – z pomocą tego kawałka kongohelu. I ten człowiek czy bóg, ten nowy Echnaton, czy jak tam lord uzna za stosowne go nazwać, tańczył nowy, osobliwy taniec. Wyglądał jak trup związany sznurem i tańczył niczym marionetka. Na ludzi wokół działało to jak najlepszy hipnotyzm, jaki w życiu widzieliśmy. Jestem teraz robotem, ale nawet mnie to wytrąciło z równowagi.

– Ten taniec się jakoś nazywał? – zapytał Sto Odin.

– Nazwy nie znam – odpowiedział Flawiusz – ale zapamiętałem słowa pieśni, mam bowiem pamięć absolutną. Czy chce pan ją usłyszeć?

– Naturalnie – oznajmił lord.

Flawiusz stanął na jednej nodze, rozrzucił ramiona pod dziwnym, niemożliwym kątem i zaczął śpiewać wysokim, przenikliwym tenorem, jednocześnie fascynującym i odstręczającym:

*Skaczcie, ludzie kochani, ja dla was zawyję.*

*Skaczcie i wyjcie, ja dla was zapłaczę.*

*Płaczę, bo jestem płaczką.*

*Jestem płaczką, bo płaczę.*

*Płaczę, bo dzień dobiega końca.*

*Nie ma słońca,*

*Nie ma domu,*

*Czas zabił ojca,*

*Ja zabiłem czas,  
Świat okrągły,  
Zmrok ponury.  
Wyszły gwiazdy,  
Ciemne chmury,  
Z góry ogień,  
Deszcz gorący,  
Smutny deszcz,  
Ja skończyłem,  
I wy też,  
Skaczcie, moje skarby, dla zawodzącego.  
Skaczcie, moje skarby, dla szlochającego.  
Jestem płaczką, bo płaczę,  
Opłakuję was!*

– Dosyć – przerwał lord Sto Odin.

Flawiusz zasalutował. Zrobił z powrotem przyjazną, tępą minę. Tuż przed ujęciem przednich końców drągów obejrzał się jeszcze i rzucił ostatni komentarz:

– Jest to wiersz skeltonowski.

– Wasza historia już mnie nie interesuje. Wieźcie mnie tam.

Roboty usłuchały i niebawem fotel zaczął kołysać się wygodnie na pochylniach przedwiecznego opuszczonego miasta pod Ziemioportem, ową niesamowitą wieżą sprawiającą wrażenie, że dotyka stratocumulusów pośród błękitnej, przejrzystej nicości nad ludzkością. Sto Odin usnął w swoim osobliwym pojeździe i nie zwracał uwagi, jak często ludzcy przechodnie się za nim oglądają.

Obudził się zdenerwowany, w nieznanym miejscu, tymczasem bowiem legionieści ponieśli go głęboko, głęboko w czeluści pod miastem, gdzie nawet powietrze, pełne ciepłych, mdlących woni wydawało się brudne.

– Stać! – szepnął i roboty się zatrzymały.

– Kim ja jestem? – zapytał je.

– Milordzie, ogłosił pan swoją planowaną śmierć – rzekł Flawiusz – za siedemdziesiąt siedem dni, lecz na razie cały czas nazywa się pan lord Sto Odin.

– Czyli żyję?

– Tak – odrzekły oba roboty.

– A wy jesteście martwi?

– Nie, nie jesteśmy martwi. Jesteśmy maszynami z wdrukowanymi umysłami ludzi, którzy kiedyś żyli. Czy chce pan zawrócić, milordzie?

– Nie. Nie. Już pamiętam. Jesteście robotami. Liwiusz jest psychiatrą i generałem, Flawiusz – tajnym historykiem. Macie umysły ludzi, ale nimi nie jesteście?

– Dokładnie tak, milordzie – odpowiedział Flawiusz.

– To jak mogę żyć ja, Sto Odin?

– Pan, milordzie, powinien sam to czuć – odrzekł Liwiusz – choć umysły starszych ludzi czasem działają bardzo osobliwie.

– Jak to możliwe, że żyję? – zapytał Sto Odin, rozglądając się wokół po mieście. – Jak to możliwe, że żyję, kiedy ludzie, którzy mnie znali, wszyscy pomarli? Ulotnili się korytarzami jak zjawy z dymu, jak wiechcie mgły; byli tutaj, kochali mnie, znali, a teraz nikt z nich nie żyje. Na przykład, moja żona, Eileen. Była ślicznym, piwnookim dzieckiem, które wyszło z komory nauczania już idealne i bardzo młodziutkie. Czas ją dotknął i zatańczyła mu do rytmu. Jej ciało zrobiło się pełne, potem się zestarzało. Naprawialiśmy je. Lecz na koniec opadła w śmierć i odeszła do miejsca, gdzie zaraz i ja pójdę. Ktoś, kto nie żyje, powinien jeszcze móc mi opowiedzieć, na czym polega śmierć, dokąd ulatniają się ciała, mózgi, głosy, muzyka mężczyzn i kobiet, którzy rozplývają się w tych przestronnych korytarzach, nad tymi twardymi chodnikami. Potem znikają. Jak to możliwe, że parę przemijających zjaw, jak ja i cały mój gatunek, każdy dysponujący ledwie kilkoma dziesiątkami czy setkami lat, zanim porwie go potężny ślepy wiatr czasu... jak to możliwe, że takie przelotne zjawy zbudowały to niezniszczalne miasto, te przepiękne maszyny, te wspaniałe światła, które nigdy nie gasną? Jak to zrobiliśmy, skoro tak szybko przemijamy, my wszyscy, każdy z nas? Wiecie może?

Roboty nie odpowiedziały. Nie wprogramowano im litości. Mimo to lord Sto Odin perorował dalej:

– Zabieracie mnie do miejsca dzikiego, miejsca wolnego, złowrogięgo być może. Tam też się umiera, jak umierają wszyscy ludzie, jak umrę i ja, tak po prostu i zwyczajnie. Powinienem był umrzeć dawno temu. Byłem po części ludźmi, którzy mnie znali, bliźniami i towarzyszami, którzy mi ufali, kobietą, która dodawała mi otuchy, dziećmi, które kochałem tak boleśnie i czule wiele lat temu. Teraz już ich nie ma. Czas dotknął ich swym palcem i przypadli. Widzę wszystkich ludzi, jakich w życiu poznałem, jak pędzą tymi korytarzami, widzę ich jako kilkulatków, potem dumnych, mądrych i zaprzątniętych swoimi interesami i dorosłością, potem starych i powykrzywianych, gdy dotknął ich czas. A potem pośpiesznie odchodzą. Dlaczego to robią? Jakże ja mogę żyć dalej? Kiedy i ja umrę, czy będę wiedział, że kiedyś żyłem? Wiem, że paru moich przyjaciół pokusiło się o oszustwo – leżą w lodowym śnie, licząc nie wiadomo na co. Poznałem życie i dobrze o tym wiem. Bo czym jest życie? Trochę zabawy, trochę nauki, trochę dobrze dobranych słów, odrobina miłości, krzta bólu, znów praca, wspomnienia, a potem gleba unosząca się ku słońcu. I do tego tylko się sprowadzamy – a przecież podbiliśmy gwiazdy! Gdzie są moi przyjaciele? Gdzie jest to ja, którego kiedyś tak byłem pewny, kiedy ludzi, których znałem, czas wymiatał jak wiatr brudne szmaty ku zapomnieniu i ciemności? Powiedzcie mi! Powinniście wiedzieć! Jesteście maszynami, którym dano ludzkie mózgi. Powinniście wiedzieć, jako patrzący na nie z zewnątrz, co jest naszą kwintesencją.

– Nas zbudowali ludzie – powiedział Liwiusz – i składamy się z tego, co w nas włożono, niczego więcej. Jak moglibyśmy odpowiedzieć na takie pytania? Nasze umysły, choćby były świetne, odrzucają je. Nie czujemy udręki, strachu ani złości. Znamy ich definicje, ale nie same uczucia. Słyszemy pana słowa, ale nie wiemy, co oznaczają. Chce pan nam powiedzieć, jakie jest życie od środka? Jeśli tak, my to wiemy. To nic takiego. Nic szczególnego. Ptaki też żyją, ryby też żyją. Tylko wy, ludzie, potraficie gadać i splątać sobie życie w spazmatyczne zagadki. Wszystko

mąćcie. A od krzyczenia prawda nigdy nie stawała się prawdziwsza, przynajmniej dla nas.

– Znieście mnie na dół – polecił Sto Odin. – Znieście mnie do Gebietu, gdzie od wielu lat nie postawił nogi żaden dobrze wychowany człowiek. Chcę osądzić to miejsce zanim umrę.

Unieśli lektykę i podjęli nieśpieszny trucht w dół niekończących się pochylni prowadzących ku parującym, ciepłym sekretom Ziemi. Ludzcy piesi trafiali się coraz rzadziej, za to coraz częściej mijali ich podludzie – przeważnie wywodzący się od goryli lub szympansów – z wysiłkiem ciągnący na górę zakryte plandekami skarby, wyszabrowane z nieewidencjonowanych i zamierzchłych ludzkich składowisk. Od czasu do czasu słyszeli też szalony łoskot metalowych kół na kamiennej nawierzchni – to podludzie, wyładowawszy gdzieś daleko w górze swoje skarby, siadali na wózkach i staczali się w dół, niczym groteskowo powiększone dzieci starożytnych ludzi, które zgodnie ze źródłami pisanymi zabawiały się wózkami właśnie w ten sposób.

Rozkaz, niewiele głośniejszy od szeptu, znów zatrzymał obu legionistów. Flawiusz się obrócił. Sto Odin w istocie zwracał się do nich obu. Wyszli spomiędzy drągów i podeszli do niego z dwóch stron.

– Zdaje się, że właśnie umieram – szepnął – a to jest bardzo nieodpowiedni moment. Wyciągnijcie mój fantom-jaaa!

– Milordzie – odrzekł Flawiusz – nam, robotom, jest surowo wzbronione dotykać ludzkich fantomów, a jeśli jakiegoś dotkniemy przypadkiem, każe się nam natychmiast samozniszczyć! Czy życzy sobie pan, abyśmy mimo to spróbowali? Skoro tak, to który z nas? To pan rozkazuje, milordzie.

## IV

Zwlekał tak długo, że nawet roboty zaczęły się zastanawiać, czy aby nie umarł, pośród gęstego, wilgotnego powietrza, oraz docierających z niedaleka zapachów pary i ropy.

W końcu jednak wziął się w garść i powiedział:

– Nie potrzebuję pomocy. Połóżcie mi torbę z fantomem-jaaa na kolanach, to wystarczy.

– Tę, milordzie? – zapytał Flawiusz, unosząc, zaiste bardzo ostrożnie, małą brązową walizkę.

Lord Sto Odin ledwo zauważalnie kiwnął głową i wyszeptał:

– Otwórzcie ją za mnie, bardzo delikatnie. Ale nie dotykajcie fantomu, skoro takie macie rozkazy.

Flawiusz przekręcił zatrzask torby. Ciężko to było przeprowadzić. Roboty nie czuły strachu, ale były uwarunkowane, by unikać zagrożeń. Flawiusz stwierdził, że gdy próbuje otworzyć torbę, w głowie wirują mu różne decyzje. Sto Odin spróbował więc mu pomóc, lecz sędziwa dłoń, sparaliżowana i słaba, nawet nie sięgała do wierzchu torby. Flawiusz trzymał się więc dalej, myśląc, że Gebiet i Bezirk może i mają swoje niebezpieczeństwa, ale to majstrowanie przy fantomach to najbardziej ryzykowna rzecz, jaką robił w swym robocim życiu, choć w życiu ludzkim dotykał ich bardzo wielu, wliczając swój własny. Był to modelowy „fantom elektroencefalograficzny i endokrynologiczny”, ilustrujący na miniaturowej kopii całą diagnostyczną sytuację pacjenta, dla którego został sporządzony.

Sto Odin szepnął do nich:

– To nic nie da. Wyregulujcie mnie, podkrećcie. Jeśli umrę, zanieście moje ciało z powrotem na górę i powiedzcie ludziom, że źle wyliczyłem, ile zostało mi czasu.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy torba się otworzyła. W środku był mały, nagi człowieczek, dokładna kopia samego Sto Odina.

– Jest, milordzie! – zawołał stojący po drugiej stronie Liwiusz. – Pan pozwoli, że poprowadzę pana dłoń, żeby wiedział pan, co robić.

Robotom nie było wprawdzie wolno dotykać fantomów-jaaa, za to żywego człowieka mogli dotykać za jego zgodą. Silne miedzioplastikowe palce Liwiusza, mimo ludzkiego kształtu mogące rozporządzać wielotonowym naciskiem, wyciągnęły dłonie lorda Sto Odina w przód, aż

spoczęły na fantomie. Flawiusz, zwinny, szybki i zręczny, przytrzymał lordowi głowę, by widział, co robią jego dłonie.

– Martwica tkanek? – powiedział stary lord do fantomu, chwilowo donośniejszym głosem.

Fantom zamigotał. Po zewnętrznej stronie prawego uda i na prawym pośladku pojawiły się dwie czarne plamy.

– Rezerwy organiczne? – powiedział lord do fantomu-jaaa, a maszyna znów zareagowała na polecenie. Miniaturowe ciało zabarwiło się na jaskrawy fiolet, a potem rozjaśniło do równomiernego różu.

– Czyli wciąż zostało mi w tym ciele trochę siły, wliczając protezy i wszystko – oświadczył Sto Odin obu robotom. – Podkreście mnie, powiadam! Podkreście!

– Jest pan pewien, że powinniśmy to teraz robić, milordzie, gdy stoimy tylko we trzech pośrodku głębokiego tunelu? W niecałe pół godziny moglibyśmy zabrać pana do prawdziwego szpitala, gdzie zbadają pana prawdziwi lekarze.

– Powiedziałem – powtórzył lord Sto Odin – podkreście mnie. Będę przez cały czas obserwować fantom-jaaa.

– Regulator ma pan tam, gdzie wszyscy? – zapytał Liwiusz.

– O ile przesunąć? – dodał Flawiusz.

– Na karku, oczywiście. Skóra nad nim jest sztuczna i sama się regeneruje. Wystarczy jedna dwunasta obrotu. Masz przy sobie nóż?

Flawiusz kiwnął głową. Wyjął zza pasa mały ostry nóż, delikatnie obmacał kark lorda, wbił nóż i pewnym ruchem go przekręcił.

– Poszło! – powiedział Sto Odin, głosem tak energicznym, że obaj cofnęli się o krok.

Flawiusz zatknął nóż z powrotem za pas. Sto Odin, przed chwilą wyglądający jak pogrążony w śpiączce, teraz bez pomocy trzymał fantoma.

– Patrzcie, moi panowie! – zawołał. – Może i jesteście robotami, ale będziecie w stanie dostrzec prawdę i poinformować o niej.

Obaj spojrzeli na fantom-jaaa, którego Sto Odin Trzymał teraz przed sobą. Kciuki i czubki palców wetknął pod jego pachy.



– Patrzcie na odczyty – powiedział czystym, dźwięcznym głosem. – Protezy! – rozkazał fantomowi.

Małe ciało przebarwiło się z jasnoróżowego na mieszany kolor. Obie nogi nabrały barwy mocno sinej. Nogi, lewa ręka, jedno oko, jedno ucho i pokrywa czaszki także pozostały sine, pokazując, gdzie ma protezy.

– Ból odczuwany! – krzyknął Sto Odin do fantomu.

Lalka wróciła do jasnoróżowej barwy. Miała wszelkie szczegóły, włączając genitalia, paznokcie stóp i rzęsy. Nigdzie nie było widać czarnych znaków bólu.

– Ból potencjalny! – zawołał.

Fantom zamigotał. Większość ciała nabrała ciemnoorzechowego koloru, niektóre części odcinały się od reszty jeszcze ciemniejszym brązem.

– Potencjalne obrażenia, termin: jeden dzień! – krzyknął teraz Sto Odin.

Małe ciało wróciło do normalnego koloru. Drobne błyskawice pokazały się u podstawy czaszki, nigdzie indziej.

– Nic mi nie jest – zawyrokował Sto Odin. – Mogę kontynuować to samo, co robiłem przez ostatnie kilkaset dni. Pozostawcie mnie włączonego w ten intensywny tryb. Wytrzymam go przez parę godzin, a jeśli nie, mała strata. – Włożył fantom z powrotem do torby, zawiesił ją na kłamce lektyki i rozkazał legionistom: – Ruszać!

Legioniści spojrzeli nań, jakby wcale go nie widzieli.

Powiódł za ich wzrokiem i stwierdził, że patrzą zeszywniali na fantom-jaaa. Cały szerniał.

– Czy lord umarł? – zapytał Liwiusz, głosem chrapliwym, jak na robota przystało.

– Wcale nie! – zawołał Sto Odin. – Przez ułamki chwil byłem martwy, ale na razie jeszcze ciągle żyję. To, co się pokazało na fantomie-jaaa, to była po prostu suma bólu mojego ciała. Ogień życia wciąż we mnie płonie. Patrzcie, jak odkładam fantoma...

Lalka rozbłysła pastelowym pomarańczem, gdy Lord Sto Odin naciągał na nią futerał.

Odwrócili wzrok, jakby zobaczyli zło wcielone albo wybuch.

– W dół, moi ludzie, w dół! – wykrzyknął, myląc ich imiona, gdy wchodzili z powrotem pomiędzy drągi, by zanieść go głębiej w trzewia Ziemi.

## V

Gdy truchtali niekończącymi się pochylniami, śniły mu się brązowe sny. Czasem budził się na chwilę i patrzył na sunące w tył żółte ściany. Patrzył na własną, zasuszoną, starczą dłoń i myślał, że w tej atmosferze i on sam stał się bardziej gadem niż człowiekiem.

– Dopadło mnie zżółwienie, sucha, bezbarwna przypadłość starczego, sędziwego wieku – mrucał, głos jednak miał słaby i roboty go nie słyszały.

Biegły w dół długą, nudną betonową rampą, pokrytą warstwą starego smaru – musiały uważać, by się nie pośliznąć i nie upuścić swego skarbu.

Głęboko w dole, w ukryciu, rampa rozdzieliła się: droga po lewej prowadziła do szerokiego, schodkowego amfiteatru, mogącego pomieścić tysiące widzów spektaklu, który nigdy nie miał się odbyć, po prawej – do kolejnego, wąskiego chodnika, idącego w górę, a potem zakręcającego. Miał żółte światła i w ogóle.

– Stać! – zawołał Sto Odin. – Widzicie ją? Słyszycie to?

– Co słyszemy?

– Dochodzący z Gebietu rytm i kadencję kongohelu. Wir i wizg niemożliwej muzyki, dobiegającej do nas przez kilometry litej skały? Tę dziewczynę, którą ja już widzę, jak czeka pod drzwiami, które nigdy nie powinny się były otworzyć? Dźwięki międzygwiazdnej melodii, niepomysłanej dla normalnych ludzkich uszu? – Krzyknął: – Słyszycie to?! Ten rytm?! Ten metal, którego nie może tu być, tak potwornie głęboko pod ziemią? Da-da. Da-da. Da. Muzykę, której nikt dotąd nie rozumiał?

– Nie słyszę niczego oprócz pulsowania powietrza w korytarzu i bicia pana serca, milordzie – odparł Flawiusz. – I jeszcze coś, trochę jak łoskot maszyny, bardzo daleko.

– Właśnie to, ten „łoskot jakby maszyny”, czy on wybija taki rytm z pięciu dźwięków, pięciu oddzielnych dźwięków?

– Nie. Nie, sir. Nie pięciu.

– A ty, Liwiuszu, kiedy byłeś człowiekiem, czy miałeś wielkie zdolności telepatyczne? Czy coś z tego ci zostało, kiedy jesteś robotem?

– Niestety, milordzie, zupełnie nic. Mam czułe zmysły, jestem też połączony z podpowierzchniowym radiem Instrumentalności. Nic nadzwyczajnego.

– Nie słyszycie rytmu na pięć? Każda nuta oddzielna, jakby przedłużona, potworne brzmienie kongohelu nadaje jej sens i kształt, uwięziony razem z nami pośród tej o wiele zbyt litej skały? Nic nie słyszycie?

Oba roboty, mające kształty rzymskich legionistów, pokręciły głowami.

– A ja ją widzę, widzę ją przez tę skałę. Ma piersi jak dojrzałe gruszki i ciemne oczy, jak pestki świeżo przekrojonych brzoskwiń. Słyszę, co śpiewają, te dziwne, głupie słowa, w rytmie pentapaula, którym majestatu przydaje potworne brzmienie kongohelu. Posłuchajcie tych słów. Gdy je powtarzam, brzmią głupio, bo nie akompaniuje im budząca strach muzyka. Ona nazywa się Santuna. Patrzy na niego. Nic dziwnego. Jest o wiele wyższy niż większość ludzi i w jego wykonaniu ta głupawa piosenka robi się przerażająca i dziwna.

*Jaś. Kij.*

*Gaś. Bij.*

*Raź.*

– A on nazywa się Yebayee, choć teraz jest Słonecznym Chłopcem. Ma pociągłą twarz i wydatne wargi, jak pierwszy człowiek, który powiedział, że bóg jest jeden i tylko jeden. Jak faraon Echnaton.

– Faraon Echnaton – stwierdził Flawiusz. – Gdy byłem człowiekiem, to imię było znane w moim gabinecie. Choć stanowiło tajemnicę. Jeden z pierwszych i największych przedwiecznych ludzkich królów. Czy lord go widzi?

– Przez tę skałę go widzę. Przez skałę słyszę delirium wywołane przez kongohel. Idę do niego.

Lord Sto Odin wysiadł z lektyki i zaczął lekko, słabo uderzać w litą kamienną ścianę chodnika. Lampy świeciły żółto. Legioniści byli bezradni. Oto coś, czego nie przeszyją ostrymi mieczami. Ich niegdyś ludzkie osobowości, zapisane w mikrominiaturowych mózgach, nie były w stanie rozgryźć tej zbyt ludzkiej sytuacji: stary, stary człowiek przeżywa cudaczne zwiady w dalekim tunelu.

Sto Odin naparł na ścianę, oddychając ciężko, i powiedział chrapliwym głosem:

– Tych szeptów nie da się nie słyszeć. Czyż nie dociera do was rytm kongohelu, na pięć, na którym opiera się ta szaleńcza melodia? Posłuchajcie słów tego kawałka. Znowu pentapaul. Głupie, puste słowa, którym charakter, krew i ciało nadaje muzyka. Posłuchajcie:

*Czas prób.*

*Płacz. Trup.*

*Pa.*

– Tego też nie słyszeliście?

– Czy mogę skorzystać z radia i skonsultować się z powierzchnią? – zapytał jeden z robotów.

– Skonsultować się! Czy nam potrzeba jakiejś rady? Jesteśmy już w Gebiecie, a jeszcze godzina truchtu i znajdziemy się w samym sercu Bezirku.

Wsiadł z powrotem do lektyki i rozkazał:

– Biegiem, panowie, biegiem! To nie może być dalej niż trzy czy cztery kilometry, gdzieś w tym kamiennym labiryncie. Ja was pokieruję. Jeśli przestanę, zanieście moje zwłoki z powrotem na powierzchnię, żeby urządzili mi wspaniałą pogrzeb i wystrzelili w raketowej trumnie w kosmos, na orbitę, z której nie ma powrotu. Nie macie się czego bać. Jesteście maszynami, niczym więcej, nieprawdaż? Czyż nie? – Pod koniec głos mu się załamał.

Rzekł Flawiusz:

– Niczym więcej.

Rzekł Liwiusz:

– Niczym więcej. Mimo to...

– Mimo co? – zapytał lord Sto Odin.

– Mimo to – powiedział Liwiusz – wiem, że jestem maszyną, i wiem, że kiedyś, gdy byłem żywym człowiekiem, znałem uczucia. Czasem zastanawiam się, czy wy, ludzie, nie pozwalacie sobie na zbyt wiele. Wobec nas, robotów. Być może także wobec podludzi. Kiedyś sprawy miały się prościej, wszystko, co umiało mówić, było człowiekiem, a co nie umiało, człowiekiem nie było. Możliwe, że niedługo to się wam skończy.

– Gdybyś to powiedział na powierzchni – zauważył lord Sto Odin – pewnie automatyczna kapsuła magnezowa spaliłaby ci głowę. Wiecie, że jesteście monitorowani pod kątem nielegalnych myśli.

– Wiem o tym aż za dobrze – rzekł Liwiusz – i dobrze wiem, że skoro istnieję jako robot, musiałem kiedyś umrzeć jako człowiek. Wtedy śmierć mi nie zaszkodziła, nie zaszkodzi mi i kolejna. Tu jednak, tak głęboko w środku Ziemi, nic z tych rzeczy się nie liczy. Tu wszystko się zmienia. Nigdy nie sądziłem, że wewnątrz świata będzie tak wielkie i tak okropne.

– Nie chodzi o to, jak głęboko zesliśmy – rzucił lord ze złością – ale dokąd trafiliśmy. To Gebiet, który wyjęto spod wszelkiego prawa, a tam jest Bezirk, w którym prawa nigdy nie było. Nieście mnie dalej, i to szybko. Chcę przyjrzeć się temu dziwnemu grajkowi o twarzy Echnatona, chcę porozmawiać z dziewczyną imieniem Santuna, która go czci. Biegnijcie, ale ostrożnie. Trochę w górę, trochę na lewo. Jeśli zasną, nie przejmujcie się. Nie stawajcie. Ja obudzę się natychmiast, gdy usłyszę muzykę kongohelu. Skoro słyhać ją z tak daleka, pomyślcie tylko, jak musi brzmieć z bliska!

Rozparł się na siedzeniu. Legioniści ujęli żerdzie lektyki i pobiegli tam, gdzie im powiedziano.

## VI

Biegli przez ponad godzinę, czasami opóźniając się trochę, gdy drogę utrudniały przeciekające rury lub uszkodzone chodniki, gdy światło stawało się tak jaskrawe, że musieli sięgać do toreb i zakładać okulary, zaiste cudacznie wyglądające pod rzymskimi hełmami dwóch legionistów w pełnym rynsztunku. (Tym dziwniejsze, naturalnie, że ich oczy to wcale nie były oczy; oczy robotów przypominały białe szklane kulki pływające w zbiorniczkach ze lśniąącym atramentem, co dawało ponure mleczne spojrzenie). Spojrzeli na swojego pana, który na razie się nie ruszał, zatem urwali mu rąbek szaty i zwinęli w opaskę, by ochronić jego oczy przed oślepiającym blaskiem.

W porównaniu z tym nowym światłem, żółte żarówki w chodnikach były niedostrzegalne. Było jak cała zorza polarna, skondensowana i rzucona w korytarz dawno nieużywanego hotelu. Żaden z robotów nie orientował się w naturze tego światła. Pulsowało w rytmie na pięć.

I muzyka, i światło stawały się zbyt natrętne nawet dla dwóch robotów, idących lub biegnących truchtem ku środkowi świata. System wymuszonej wentylacji musiał być tu bardzo wydajny, gdyż pomimo wielkiej głębokości nie czuło się wcale żaru jądra Ziemi. Flawiusz nie miał pojęcia, jak głęboko zeszli. Wiedział, że w planetarnych miarach to niezbyt wiele, ale jak na zwykłego człowieka bardzo dużo.

Lord Sto Odin nagle wyprostował się w lektyce. Kiedy roboty zwolniły kroku, rzucił do nich ze złością:

– Idźcie dalej. Idźcie. Ja się sam wyreguluję. Jestem wystarczająco silny, żeby to zrobić.

Wyjął fantom-jaaa i przyjrzał mu się w świetle wtórnej zorzy. Fantom przebarwiał się zgodnie z kolejnymi krokami diagnozy. Lord zrobił usatysfakcjonowaną minę. Starczymi, acz mocnymi palcami przytknął czubek noża do swojego karku i przestawił swoje siły vitalne na jeszcze wyższy poziom.

Roboty robiły, co im kazano.

Światło było oszałamiające. Momentami aż ciężko było iść. Trudno było uwierzyć, że całe dziesiątki, setki, może i tysiące istot ludzkich przeszły tymi niezbadanymi korytarzami, by odkryć tajemnice Bezirku, gdzie wszystko jest dozwolone. Roboty musiały w to jednak wierzyć. I one same były tu wcześniej i prawie nie pamiętały, jak wydostały się z powrotem.

A ta muzyka! Tłukła w nich silniej niż przedtem. Przychodziła w rytmie na pięć, wystukując tony pentapaula, pięciosylabowego wiersza, który wymyślił parę wieków temu obłąkany kot-minstrel Ka-Paul, grając na swoim ka-flecie. Sama ta forma podkreślała ostrość i ciętość kociego języka, połączoną ze wzruszającą inteligencją człowieka. Nic dziwnego, że ludzie w końcu się do niej przedostali.

W całej historii ludzkości nie było uczynku, do którego nie mogłaby doprowadzić któraś z trzech najokropniejszych sił napędzających ludzką duszę – wiary religijnej, mściwej próżności i czystego występku. Tutaj, dla owego występku, ludzie znaleźli nieznaną otchłań i wykorzystywali ją do ohydnych, niecnych celów. A muzyka wciąż ich wzywała.

Była to bowiem bardzo szczególna muzyka. Teraz docierała do Sto Odina i jego legionistów na dwa całkiem różne sposoby: przebijając się przez litą skałę i odbijając się echem-echem-echem w labiryncie korytarzy, niesiona ciemnym, ciężkim powietrzem. W korytarzach nadal świeciły żółte lampy, jednak wobec elektromagnetycznych zjawisk świetlnych, pulsujących do rytmu, wydawały się blade. Ta muzyka rządziła wszystkim, wszystkiemu odmierzała czas, przyzywała do siebie wszelkie życie. Pieśń, której oba roboty nie słyszały z taką intensywnością podczas swej poprzedniej wizyty.

Nawet lord Sto Odin, mimo tylu podróży i doświadczeń, czegoś takiego w życiu nie słyszał.

A brzmiało to tak:

Pulsowanie, granie, rytmiczne powtarzanie nut, które wylewały się z kongohelu – metalu, który nie był stworzony do muzyki, materii i antimaterii unieruchomionej w mikroskopijnej magnetycznej sieci, służącej do izolowania od niebezpieczeństw kosmosu. A teraz jej fragment znalazł się głęboko pod powierzchnią Starej Ziemi i odmierzał osobliwe

kadencji. Spienione, skłębione, rozplómiennie dźwięki muzyki przechodzącej przez litą skałę, z akompaniamentem nut niesionych echem przez powietrze. Niecierpliwe oscylacje, erotyczne lamentacje, żałobne pulsacje, stękania i kwękania niosące się przez gruby kamień.

Sto Odin obudził się i spojrział przed siebie, nic nie widząc, ale przeżywając wszystko.

– Niebawem ujrzymy bramę i dziewczynę – rzekł.

– Pan to wie? Pan, który nigdy tu wcześniej nie był? – zdziwił się Liwiusz.

– Tak, wiem, ponieważ wiem.

– Nosi pan pióro immunitetu.

– Noszę pióro immunitetu.

– Czy to oznacza, że i my, pańskie roboty, jesteśmy wolne, bo jesteśmy w Bezirku?

– Najzupełniej wolne – odrzekł Sto Odin – o ile wykonujecie moje rozkazy. Inaczej was zabiję.

– A jeśli mamy iść dalej – zapytał Flawiusz – czy możemy zaśpiewać hymn podludzi? Pozwoli nam zapomnieć o tej strasznej muzyce. Jest pełna uczuć, my uczuć nie mamy. Mimo to nas bulwersuje. Nie mam pojęcia, dlaczego.

– Straciłem kontakt radiowy z powierzchnią – dodał bez związku Liwiusz. – Też potrzebuję zaśpiewać.

– To sobie śpiewajcie, jeden z drugim – postanowił lord Sto Odin. – Ale idźcie dalej, inaczej zginiecie.

Roboty zaniósł się śpiewem:

*Gniew nasz przetykamy,*

*Krzywdę przemilczamy,*

*Od starości i bólu*

*Ulgi nie zaznamy.*

*Nadejdzie nasz czas.*



*Całe życie w znoju,  
Bez tchu i znudzony,  
Patrzę śmierci w oczy,  
Żony pozbawiony.  
Nadejdzie nasz czas.*

*My, podludzie dla was,  
Trudzimy się wraz.  
Będzie jeszcze huk,  
Będzie grom i wrzask,  
Kiedy wyczekany  
Nadejdzie nasz czas.*

Pieśń miała w sobie starodawne, barbarzyńskie brzmienie dud, mimo to nie była w stanie stłumić rozsądnego i szalonego rytmu kongohelu, który atakował ich teraz ze wszystkich stron jednocześnie.

– Ładnie, ładnie, wywrotowa pieśń – rzucił sucho lord Sto Odin – ale i tak wolę to od tego hałasu, który przebija się do nas z głębi świata. Idźcie dalej. Idźcie. Zanim umrę, muszę zobaczyć tę tajemnicę na własne oczy.

– Nam także ciężko jest go wytrzymać – powiedział Liwiusz.

– Wydaje się, że jest o wiele głośniejszy niż parę miesięcy temu, gdy się tu zapuściliśmy. Czy mógł się zmienić? – zapytał Flawiusz.

– Na tym właśnie polega tajemnica. Pozwoliliśmy im mieć Gebiet, wyjęty spod naszej jurysdykcji. Daliśmy Bezirk, by mogli robić, co chcą, lecz ci zwykli ludzie stworzyli tu lub znaleźli jakąś niesamowitą moc. Doprowadzili do tego, że na Ziemi pojawiła się nowa jakość. Być może wszyscy trzej będziemy musieli zginąć, aby się z nią rozprawić.

– My nie giniemy tak jak pan, milordzie – powiedział Liwiusz. – My już jesteśmy robotami, a ludzie, z których nas odwzorowano, dawno nie żyją. Czy ma pan na myśli wyłączenie nas?

– Być może tak, lub inne podobne zdarzenie. Czy macie coś przeciwko?

– Przeciwko? To znaczyłoby, że mamy uczucia? Nie wiem – odparł Flawiusz. – Już kiedyś myślałem, że żyję i doświadczam pełni życia, a pan

nagle zdaniem „*summa nulla est*” przebudził nas do pełnej przytomności, lecz ta muzyka wpływa na mnie, jakbym słyszał tysiąc takich haseł jednocześnie. Zaczynam przejmować się własnym życiem i wydaje mi się, że budzi się we mnie to, co u was, ludzi, definiuje się jako „strach”.

– Ja też to czuję – dodał Liwiusz. – Tej mocy nigdy dotąd na Ziemi nie oglądaliśmy. Kiedy byłem strategiem, ktoś powiedział mi o nieopisanych niebezpieczeństwach związanych z planetami Douglasa-Ouyanga, myślę więc, że teraz mamy przed sobą, w tym tunelu, dokładnie takie zagrożenie. Coś, czego nie stworzył dotąd żaden człowiek. Czego nie pokona w obliczeniach żaden robot. Coś bardzo dzikiego i potężnego, sprowadzonego na świat przy użyciu kongohelu. Rozejrzyjmy się.

Nie musiał tego mówić. Sam korytarz zmienił się w żywą, pulsującą tęczę.

Minęli ostatni zakręt i znaleźli się...

W ostatnim kręgu krainy udręki.

Przy źródle złowrogiej muzyki.

Na krańcu Bezirku.

Poznali to, bo muzyka ich oślepiła, światła ogłuszały, zmysły zderzały się ze sobą nawzajem i mieszały. Tak działała bliskość kongohelu.

Mieli przed sobą wrota, ogromne, ozdobione misternym gotyckim ornamentem. Były zbyt wielkie, by jakikolwiek człowiek mógł ich dla siebie potrzebować. W tych drzwiach stała jedna ludzka sylwetka o piersiach podkreślonych grą światłocienia rzucanego przez jaskrawe światło, padające tylko z jednej strony. Z prawej.

Widzieli także, co jest za owymi drzwiami – ogromne pomieszczenie o podłodze zasłanej bezwładnymi szmacianymi tobołkami. To byli ludzie. Nieprzytomni ludzie. Ponad nimi, pomiędzy nimi, wysoko, tańczyła postać mężczyzny, trzymająca w dłoniach coś lśniącego. Przechadzał się tanecznym krokiem, skakał, wirował i obracał się do pulsu muzyki, którą sam wytwarzał.

– *Summa nulla est* – powiedział lord Sto Odin. – Niech oba roboty podkrećą się do maksimum. Czy już jesteście maksymalnie czujni?

– Tak jest, sir – odpowiedzieli chórem Liwiusz i Flawiusz.

– Czy macie broń?

– Nie możemy jej użyć – powiedział Liwiusz – to wbrew naszemu programowaniu, ale pan może jej użyć, sir.

– Nie jestem przekonany – rzekł Flawiusz. – Nie jestem przekonany, ani trochę. Nasza broń jest dobra na powierzchni. Ta muzyka, hipnoza, te światła, kto wie, co uczyniły z nami i z naszą bronią, która nigdy nie miała być używana tak głęboko pod ziemią?

– Nic się nie bójcie – powiedział Sto Odin. – Ja się tym zajmę.

Wyciągnął mały nożyk.

Gdy zabłysnął w roztańczonym świetle, dziewczyna w wejściu wreszcie zauważyła lorda i jego osobliwych towarzyszy.

Odezwała się do niego, a jej głos poniósł się w ciężkim powietrzu donośnymi, śmiercionośnymi nutami.

## VII

– Kim jesteś – powiedziała – że przychodzisz z bronią na sam kraniec Bezirku?

– To tylko mały nożyk, pani szanowna – odparł lord Sto Odin – i nikomu nie zrobię nim krzywdy. Jestem starym człowiekiem i potrzebuję go, żeby podkręcić sobie regulator sił witalnych.

Patrzyła bez zainteresowania, jak przykłada sobie czubek noża do karku i przekręca go starannie o trzy pełne obroty.

Potem przyjrzała mu się baczniej i powiedziała:

– Dziwnie pan się zachowuje, milordzie. Może jest pan zagrożeniem dla mnie i moich przyjaciół.

– Nie jestem żadnym zagrożeniem dla nikogo.

Roboty obejrzały się na niego, zaskoczone energią i donośnością jego głosu. Rzeczywiście bardzo mocno podkręcił sobie witalność – do poziomu, przy którym zostawała mu być może tylko godzina czy dwie życia – ale tym samym odzyskał siłę, i fizyczną, i emocjonalną, jaką

dysponował w najlepszych latach. Potem roboty spojrzały na dziewczynę. Wzięła jego słowa do serca, jakby nie było innego wyjścia niż dać im wiarę.

– Noszę – ciągnął Sto Odin – te pióra. Czy wiesz, co one oznaczają?

– Widzę – odparła – że jesteś lordem Instrumentalności, ale nie wiem co oznaczają pióra...

– Że zrzekłem się swojej nietykalności. Każdemu, kto ma taką możliwość, wolno mnie bezkarnie zabić lub zranić. – Uśmiechnął się ponuro. – Oczywiście ja mam prawo się bronić, a walczyć umiem. Nazywam się lord Sto Odin. A ty, dziewczyno, co tu robisz?

– Ja kocham tego człowieka, o ile on jeszcze jest człowiekiem.

Urwała i zasznurowała usta, skonfundowana. Dziwnie było patrzeć na te dziewczęce usta, wyrażające chwilowe zacięcie duszy. Stała, naga bardziej niż noworodek, z twarzą umalowaną wyzywająco i niezbornie. Poszła z misją miłości w czeluści nicości i nieistnienia – mimo to pozostała dziewczyną, człowiekiem, istotą potrafiącą, tak jak w tej chwili, nawiązać błyskawiczną więź z innym człowiekiem.

– Kiedyś był człowiekiem, milordzie, nawet wtedy, gdy powrócił z powierzchni ze swoim kawałkiem kongohelu. Jeszcze parę tygodni temu ci wszyscy ludzie też tańczyli. Teraz tylko leżą na ziemi. Nawet nie umierają. Sama też pottrzymałam raz kongohel i wydobyłam z niego muzykę. Teraz moc muzyki go pochłonęła, tańczy bez ustanku. Już do mnie nie przychodzi, a ja nie odważę się pójść tam do niego. Może skończę jako kolejny tobołek na ziemi.

Nagle crescendo nieznośnej muzyki odebrało jej mowę. Czekwała, aż ucichnie, a pomieszczenie za nimi oślepiało ich pulsującym fioletem.

Gdy muzyka kongohelu odrobinę przycichła, Sto Odin odezwał się:

– Długo tak tańczy? Długo przepływa przez niego ta dziwna moc?

– Rok. Dwa lata. Kto wie? Przyszłam tutaj i straciłam rachubę czasu. Wy, lordowie, nawet na powierzchni nie pozwalacie nam mieć zegarów i kalendarzy.

– My widzieliśmy jak tu tańczysz. Zaledwie jedną dziesiątą roku temu – wtrącił Liwiusz.

Zerknęła na roboty przelotnie, bez zainteresowania.

– Czyli jesteście tymi dwoma robotami, które kiedyś tu przyszły? Wyglądacie teraz zupełnie inaczej. Jak starożytni żołnierze. Nie mam pojęcia, dlaczego... No dobrze, może to był tydzień, może rok.

– A co tu robiliście? – zapytał łagodnie Sto Odin.

– A jak myślisz? Po co w ogóle przychodzą tu ludzie? Uciekałam przed czasem pozbawionym czasu, życiem pozbawionym życia, pozbawioną nadziei nadzieją, którą wmuszacie wy, lordowie, wszystkim ludzkim istotom na powierzchni. Pracę dajecie robotom i podludziom, a prawdziwych ludzi utrzymujecie w tym szczęściu, w którym nie ma nadziei, od którego nie ma ucieczki.

– Czyli miałem rację! – wykrzyknął Sto Odin. – Miałem rację, choć teraz przez to umrę!

– Nie rozumiem. Czy masz na myśli to, że i ty, lord, zszedłeś tu na dół, by uciec przed wszechogarniającą nas beznadziejną nadzieją?

– Nie, nie, nie – zaprotestował, a rozbiegane światła kongohelu niesamowicie podkreślały rysy jego twarzy. – Chodziło mi o coś innego. Powiedziałem innym lordom, że z wami, zwykłymi ludźmi z powierzchni, dzieje się właśnie coś takiego. Powtórzyłaś mi dokładnie, co im powiedziałem. Kim ty w ogóle byłaś?

Dziewczyna zerknęła w dół na swoje niczym nieosłonięte ciało, jakby po raz pierwszy uświadomiła sobie własną nagość. Sto Odin zobaczył, że po jej twarzy, piersi i szyi rozlewa się rumieniec. Powiedziała bardzo cicho:

– To nie wiesz? Tu się nigdy nie odpowiada na to pytanie.

– To wy macie zasady? – zdziwił się. – Jesteście w Bezirku i macie reguły?

Rozpogodziła się, gdy dotarło do niej, że dla niego to nie było nieprzystojne pytanie. I chętnie wyjaśniła:

– Nie ma żadnych reguł. To raczej porozumienie. Ktoś mi to powiedział, kiedy wyszłam z normalnego świata i przekroczyłam granicę Gebietu. Tobie pewnie nie powiedzieli, bo jesteś lordem, albo dlatego, że poukrywali się na widok twoich dziwnych robotów bojowych.

– Jadąc w dół, nikogo nie spotkaliśmy.

– Zatem ukryli się przed tobą.

Sto Odin obejrzał się na swoich legionistów, żeby potwierdzili, lecz ani Flawiusz, ani Liwiusz nie odezwali się słowem.

Zwrócił się z powrotem do dziewczyny:

– Nie chciałem być wścibski. Czy możesz mi powiedzieć, jakim człowiekiem jesteś? Bez szczegółów.

– Kiedy żyłam, tylko raz się urodziłam. Nie żyłam na tyle długo, żeby przejść odnowę. Kiedyś zbały mnie roboty i podkomisarz Instrumentalności, żeby sprawdzić, czy nadaję się do przeszkolenia na ich funkcjonariusza. Rozumu aż nadto, stwierdzili, ale całkowity brak charakteru. Długo się nad tym zastanawiałam. „Całkowity brak charakteru”. Wiedziałam, że nie mogę się zabić, a żyć nie chciałam, starałam się więc wyglądać na szczęśliwą zawsze, kiedy wydawało mi się, że skanuje mnie jakiś czujnik. Trafiłam do Gebietu. To nie była śmierć, to nie było życie, ale zapewniało mi ucieczkę od niekończącej się uciechy. Nie byłam tam długo... – wskazała ręką Gebiet nad nimi – ...szybko poznałam jego. Zaraz się pokochaliśmy i powiedział mi, że Gebiet nie jest wiele lepszy od powierzchni. Powiedział, że już tu był, wyprawiał się do Bezirku, żeby szukać fajnej śmierci.

– Czego? – zapytał Sto Odin, jakby nie wierzył tym słowom.

– Fajnej śmierci. Tak dokładnie powiedział, taki miał pomysł. Poszłam razem z nim, pokochaliśmy się. Czekałam na niego, kiedy wyszedł na powierzchnię zdobyć kongohel. Myślałam, że dzięki miłości zapomni o fajnej śmierci.

– Czy ty mówisz mi całą prawdę? – zapytał Sto Odin. – Czy to tylko twoja wersja tej historii?

Zaczęła się jąkać i protestować. Nie powtórzył pytania.

Nie powiedział nic. Spojrzał tylko na nią ciężkim wzrokiem.

Skrzywiła się, zagryzła wargę i wreszcie, mimo muzyki, mimo świateł, powiedziała bardzo wyraźnie:

– Przestań. To boli.

Lord Sto Odin wytrzeszczył oczy i powiedział niewinnym tonem:

– Ale ja nic nie robię.

I gapił się dalej. A było na co patrzeć. Skórę miała koloru miodu. Mimo wszystkich światła i cieni widział wyraźnie, że nie ma na sobie żadnego ubrania. Nie miała także na ciele ani jednego włosa – ani na głowie, ani brwi, ani rzęs – choć trudno było dostrzec rzęsy z tej odległości. Wysoko na czole narysowała sobie złotą kreską brwi, co przydawało jej wyrazu nieustającego, drwiącego zaciekawienia. Usta też pomalowała na złoto, więc kiedy mówiła, słowa lały się ze złotej krynicy. Górne powieki również miały złoty kolor, za to dolne były czarne jak węgiel. Efekt był zaiste odmienny od wszystkich znanych ludzkości wrażeń: niezaspokojona lubieżność do tysięcznej potęgi, pusta, wiecznie niezaspokojona żądza, kobiecość w służbie nieznanym pobudek, człowieczeństwo zaczarowane mocą dziwnych planet.

Stał i patrzył. Jeśli pozostała choć trochę człowiekiem, to musi ją wcześniej czy później zmusić do przejęcia inicjatywy. I zmusiło.

Odezwała się znów:

– Kim jesteś? Żyjesz za szybko i za ostro. Może tam pójdziesz i zatańczysz, jak oni wszyscy? – Wskazała za siebie, gdzie na ziemi leżały obdarte, nieprzytomne postacie.

– Nazywasz to tańcem? – zapytał lord Sto Odin. – Ja nie. Tańczy tylko jeden człowiek, reszta leży na ziemi. Zadam ci zresztą to samo pytanie: dlaczego ty nie tańczysz?

– Mnie interesuje tylko on, nie taniec. Jestem Santuna. On już raz mną zawładnął, poprzez ludzką, śmiertelną, zwykłą miłość. Jednak z każdym dniem coraz bardziej staje się Słonecznym Chłopakiem i tańczy z tymi ludźmi, którzy leżą na ziemi...

– To ma być taniec? – warknął lord Sto Odin. Pokręcił głową i dodał ponuro: – Nie widzę tu żadnego tańca.

– Naprawdę nie widzisz? Naprawdę?! – wykrzyknęła.

Pokręcił głową z ponurym uporem.

Odwróciła się twarzą do komnaty za sobą i zaniósła wysokim, przenikliwym jękiem, przekrzykującym nawet rytm na pięć kongohelu. Zawołała:

– Słoneczny, Słoneczny, usłysz mnie!

Szybki rytm kroków wykreślających na ziemi ósemkę nie zmienił się; nie zwolniły palce tłuące w opalizującą, jakby rozmazaną bryłę metalu, którą trzymał w objęciach.

– Mój kochany, ukochany, mój mężczyzno! – zawołała znów, jeszcze bardziej przenikliwym i zaborczym głosem.

Rytm muzyki i tańca się zaburzył. Tancerz podpłynął ku nim, wyraźnie zwalniając tempo. Światła w mniejszym pomieszczeniu, wielkich wrotach i gigantycznej sali uspokoiły się. Sto Odin widział teraz dziewczynę o wiele wyraźniej; naprawdę nie miała na ciele ani jednego włoska. Widział także tancerza; młody mężczyzna był wysoki, aż boleśnie chudy, a ściskana przezeń w dłoniach bryła metalu rozbłyskiwała niczym woda odbijająca tysiąc światel. Tancerz odezwał się, pośpiesznie, ze złością:

– Wołałaś mnie. Wołałaś mnie tysiąc razy. Chodź do mnie, jeśli chcesz. Ale mnie nie wołaj.

Gdy mówił, muzyka całkiem ucichła; tobołki na podłodze zaczęły się wiercić, postękiwać i budzić.

Santuna wyjąkała w pośpiechu:

– Tym razem nie chodzi o mnie. Chodzi o tych ludzi. Jeden z nich ma wielką moc. I nie widzi tancerzy.

Słoneczny Chłopak zwrócił się do lorda Sto Odina:

– Chodź zatem i zatańcz, jeśli sobie życzysz. Skoro i tak przyszedłeś, to dlaczego nie? Te twoje maszyny – wskazał brodą legionistów – nie umieją tańczyć. Powyłaczaj ich. – I zaczął się odwracać.

– Tańczyć nie będę, ale chciałbym ten taniec zobaczyć – odparł z wymuszoną łagodnością lord Sto Odin. Ten młody człowiek nic a nic mu się nie podobał: ani fosforyzująca skóra, ani ściskany w dłoniach niebezpieczny metal, ani samobójcza lekkomyślność tanecznych kroków. Zresztą tu, głęboko pod ziemią, było stanowczo za dużo światła, a za mało wyjaśnień, co się tu dzieje.

– Podglądacz z ciebie, nieładnie, jak na takiego starszego człowieka. A może po prostu chciałbyś zostać człowiekiem?

Lord Sto Odin poczuł, że wpada w złość.



– A kim ty jesteś, człowieku, że odzywasz się do człowieka takim tonem? Czy sam nie jesteś też człowiekiem?

– Kto wie? I kogo to obchodzi? Podłączyłem się do muzyki wszechświata. Wypełniłem tę salę wszelkim wyobraźalnym szczęściem. I jestem szczodry. Dzielę się nim z moimi przyjaciółmi. – Słoneczny wskazał gestem szmaciane tobołki na ziemi, które zaczęły się wiercić, cierpiąc bez muzyki.

Sto Odin widział teraz wyraźniej – wszystko to byli młodzi ludzie, głównie mężczyźni, choć było wśród nich i parę dziewczyn. Wszyscy wyglądali blado, niezdrowo i słabo.

Sto Odin zripostował:

– Nie podoba mi się, jak to wszystko wygląda. Rozsądne wyjście: obezwładnić cię i zabrać metal.

Tancerz zrobił piruet na prawej stopie, jakby miał zaraz oddalić się od niego szalonym płasem.

Lord Sto Odin wszedł do sali za Słonecznym.

Słoneczny obrócił się, tak że znowu stał twarzą do Sto Odina. Wypchnął go za drzwi, stanowczo, nieubłaganie cofając go trzy kroki w tył.

– Flawiuszu, zabierz metal. Liwiuszu, bierz człowieka – rzucił Sto Odin.

Roboty ani drgnęły.

Sto Odin, o zmysłach i sile wzmocnionych przekręceniem regulatora witalności, postąpił naprzód, by samemu przechwycić kongohel. Udało mu się zrobić jeden krok, nic więcej: zamarł unieruchomiony w drzwiach.

Ostatni raz czuł się tak, kiedy lekarze wkładali go do maszyny chirurgicznej, po tym, jak stwierdzili, że na części czaszki ma nowotwór kości, wywołany dawnym, dawnym napromieniowaniem w kosmosie oraz sędziwym wiekiem. Założyli mu protezę przykrywającą pół głowy, a na czas operacji był unieruchomiony pasami i lekami. Tym razem nie było ani pasków, ani leków, choć siły uruchomione przez Słonecznego Chłopaka były równie mocne.

Tancerz zakreślił ogromną ósemkę wokół leżących na podłodze ciał. Śpiewał piosenkę, którą na powierzchni powtarzał robot Flawiusz, tę o płaczącym człowieku.

Lecz Słoneczny nie płakał.

Jego ascetyczną, chudą twarz wykrzywił drwiący uśmiech. Gdy śpiewał o smutku, nie wyrażał smutku, tylko pogardę i szyderstwo wobec tego ludzkiego uczucia. Kongohel opalizował, a zorza polarna niemal oślepiła. Pośrodku komnaty stały jeszcze dwa inne bębny, jeden wydający wysokie dźwięki, drugi – jeszcze wyższe.

Kongohel rezonował: *bum... bum... dum... dum... rum!*

Wielki bęben huczał, gdy Słoneczny go mijał i sięgał do niego palcami: *ritiplin, ritiplin, rataplan, ritiplin!*

Mały, dziwny bębenek potrafił wydać tylko dwie, bardzo skrzekliwe nuty: *kid-nork, kid-nork, kid-nork!*

Kiedy Słoneczny oddalał się tanecznym krokiem, lord Sto Odin pomyślał, że słyszy głos dziewczyny, Santuny, wołającej do ukochanego – ale nie był w stanie odwrócić głowy, żeby sprawdzić, czy ona coś mówi.

Słoneczny stał tuż przed nim, wciąż poruszając stopami, tańcząc w miejscu, kciukami i dłońmi wciąż wyciskając hipnotyczne dysonanse z lśniącej bryły kongohelu.

– Stary człowieku, próbowałeś mnie oszukać. Ale nie udało ci się.

Lord Sto Odin chciał się odezwać, lecz mięśnie ust i krtani nie reagowały. Zastanawiał się, co to za siła, która potrafi powstrzymać wszystkie wysiłki woli, ale sercu pozwala bić, płucom – oddychać, a mózgom (naturalnemu i protezom) – myśleć.

Chłopak tańczył dalej. Odańczył parę kroków, okręcił się i wrócił do Sto Odina.

– Nosisz pióro nietykalności. Wolno mi cię zabić. Gdybym to zrobił, lady Mmona, lord Nuru-or i reszta twoich kolegów nigdy by się nie dowiedzieli.

Gdyby Sto Odin był w stanie choćby poruszyć powiekami, otworzyłyby szeroko oczy ze zdumienia, widząc, że ten zabobonny tancerz, głęboko pod ziemią, zna tajne sprawy Instrumentalności.

– Nie wierzysz w to, co widzisz, choć widzisz na własne oczy – dodał poważniejszym tonem Słoneczny. – Myślisz, że to jakiś wariat, który odkrył, jak dokonać cudów z zanieśionym pod ziemię kawałkiem kongohelu. Głupi staruch! Żaden zwyczajny wariat nie byłby w stanie

donieść tego metalu aż tutaj, nie wysadzając go i siebie razem z nim po drodze. Żaden człowiek nie dokonałby tego, co ja. Myślisz sobie: skoro ten ryzykant, który przybrał sobie imię Słonecznego Chłopca, nie jest człowiekiem, to kim? Co sprowadza moc i muzykę Słońca tak głęboko pod ziemię? Co sprawia, że udręczeni ludzie świata śnią swój szczęśliwy sen, a życie wycieka z nich i ucieka na tysiąc sposobów, do tysiąca innych światów? Nie musisz pytać. Ja dokładnie wiem, co myślisz. Odańczę to dla ciebie. Jestem dobrym człowiekiem, mimo że mnie nie lubisz.

Mówiąc, poruszał stopami w miejscu.

Nagle oddalił się piruetem, przeskakując i lawirując pomiędzy obdartymi ludzkimi postaciami na ziemi.

Minął wielki bęben, dotknął go: *ritiplin, rataplan!*

Lewa dłoń musnęła mały bębenek: *kid-nork, kid-nork!*

Obie dłonie ścisnęły kongohel, jakby silne nadgarstki chciały go rozedrzeć.

Całe pomieszczenie zapulsowało muzyką, rozjaśniło się grzmotem, gdy ludzkie zmysły mieszały się ze sobą. Lord Sto Odin poczuł na skórze powiew powietrza, jak chłodny, wilgotny olej. Słoneczny Chłopak, tancerz, zrobił się przezroczystry, a przez niego lord widział krajobraz, który w niczym nie przypominał ziemskiego.

– Fosforescencyjne, luminescencyjne, fluminescencyjne, fluorescencyjne – rzekł tancerz. – Takie są światy na planetach Douglasa-Ouyanga, siedem planet blisko siebie, wszystkie razem krążą wokół jednego słońca. Światy kapryśnego magnetyzmu, nieustającego opadu pyłowego, chaotycznych orbit; a ten nieustannie zmieniający się magnetyzm ciągle zmienia powierzchnię planet! Dziwne światy, gdzie gwiazdy wykonują taniec bardziej szalony od któregokolwiek z wymyślonych przez człowieka – planety, które mają wspólną świadomość, choć raczej nie inteligencję – planety, które wołały w czas i przestrzeń, szukając towarzystwa, póki ja – ja, ryzykant – nie zapuściłem się do tej groty i nie odnalazłem ich. I to przez ciebie, lordzie Sto Odin, znalazły się w takiej sytuacji. „Nie podoba mi się, jak te planety wyglądają”, tak powiedziałaś ty, lord Sto Odin, dawno, dawno temu, do pewnego

robota. „Ludzie mogą się pochorować, albo zwariować od samego patrzenia”, dodałeś dawno temu. „Ukryjcie tę wiedzę w jakimś dobrze schowanym komputerze”, rozkazałeś na długo przed moim urodzeniem. Ale to był właśnie ten komputer: stoi teraz w rogu, za tobą. Nie możesz się odwrócić, żeby go zobaczyć. Przyszedłem tutaj, szukając śmierci, czegoś naprawdę niezwykłego, czegoś, co wstrząśnie tymi tumanami, kiedy odkryją, że uciekłem. Tańczyłem tu w ciemności, prawie tak samo jak teraz, i wziąłem prawie dwanaście rodzajów narkotyków, więc byłem wolny, szalony i bardzo, bardzo chłonny. I komputer do mnie przemówił. Twój komputer, Sto Odin, nie mój. Przemówił do mnie. I wiesz, co powiedział? Mogę ci spokojnie wszystko powiedzieć, Sto Odin, bo umierasz. Podkreśliłeś sobie witalność, żeby ze mną walczyć, a ja zmusiłem cię do bezruchu. Czy mógłbym to zrobić, gdybym był zwykłym śmiertelnikiem? Zobacz, znowu się zmaterializuję.

Słoneczny znów ścisnął i skręcił kongohel, wywołując tęczowe rozbryzgi akordów i nut, rozświetlając wewnętrzną i zewnętrzną komnatę tysiącem barw, aż gęste podziemne powietrze nasyciło się muzyką, która wydawała się psychotyczna, nie zrodził jej bowiem żaden ludzki umysł. Lord Sto Odin, uwięziony we własnym ciele, z dwoma robotami-legionistami zamartwymi pół kroku za nim, zastanawiał się, czy naprawdę umiera na próżno i czy tancerz przed śmiercią chce go oślepić i ogłuszyć. Kongohel wirował i błyskał.

Słoneczny odtańczył w tył pomiędzy ciałami na ziemi, z dziwnym, urywanym rytmem, kojarzącym się ze startem do szalonego, agresywnego sprintu; muzyka i własne kroki zaniósły go aż na środek drugiego pomieszczenia. Podskoczył w dziwnej pozycji, z głową opuszczoną tak bardzo, jakby obserwował własne stopy. Kongohel trzymał nad karkiem, nogi podnosił wysoko, w groźnym, marszowym tańcu.

Sto Odiniowi wydało się, że znowu słyszy wołanie dziewczyny, nie był jednak w stanie rozróżnić słów.

Bębny przemówiły ponownie: *ritiplin, ritiplin, rataplan!* A potem: *kid-nork, kid-nork, kid-nork!*

Gdy pandemonium trochę ucichło, odezwał się tancerz. Jego wysoki, dziwny głos brzmiał jak kiepskie nagranie odegrane z niewłaściwą prędkością:

– To coś do ciebie mówi. Pozwalam ci mówić.

Lord Sto Odin stwierdził, że może poruszać ustami i krtanią. Ukradkiem, delikatnie, jak stary wiarus, spróbował poruszyć palcami i stopami – te ani drgnęły. Oswobodził mu tylko głos. Odezwał się więc oczywistymi słowami:

– Kim ty jesteś, „to coś”?

Słoneczny spojrział z ukosa na Sto Odina. Stał prosto, spokojnie. Poruszały mu się tylko stopy; drobiły w dziwnym, szybkim, zwinnym tańcu, choć reszta ciała się nie poruszała. Najwyraźniej niezbędna była choć odrobina tańca, by zachować niewytłumaczalny kontakt pomiędzy planetami Douglasa-Ouyanga, kongohelem, ponadludzkim tancerzem, i udręczonymi rozkoszą postaciami na ziemi. Twarz zaś – twarz miał całkiem opanowaną, niemal smutną.

– Kazano mi – rzekł – pokazać ci, kim jestem.

Zatańczył wokół bębnow: *rataplan, rataplan! Kid-nork-nork, kid-nork, kid-nork-nork!*

Uniósł wysoko bryłę kongohelu i ścisnął ją, aż wydała ogłuszający jęk. Sto Odin był pewien, że tak potężny i żalorny dźwięk musi dotrzeć na powierzchnię Ziemi, wiele kilometrów nad nimi; natomiast zdrowy rozsądek podpowiedział mu, że to fantazja zrodzona przez jego obecną sytuację; że dźwięk naprawdę zdolny wydostać się na powierzchnię byłby również na tyle silny, że rozkruszyłby spękany skalny strop nad nimi.

Kongohel przebiegł przez wszystkie kolory widma i zatrzymał się na ciemnej, krwisto-wątrobianej czerwieni, niemal czerni.

Lord Sto Odin, w chwilowej, niemal całkowitej ciszy, poczuł, że ktoś wciska mu do umysłu całą historię naraz, nie trudząc się ubieraniem jej w słowa. Prawdziwa historia tej groty weszła mu do głowy jakby bokiem. W jednej chwili nie miał o niej pojęcia, w następnej miał wrażenie, że zna tę opowieść od zawsze.

Oprócz tego poczuł, że odzyskuje swobodę ruchów.

Cofnął się chwiejnie o trzy czy cztery kroki.

Ku jego wielkiej uldze roboty też poruszyły się, uwolnione, i dołączyły do niego. Kazał im podtrzymać się pod pachami.

Nagle poczuł, jak ktoś pokrywa mu twarz pocałunkami.

Plastikowy policzek poczuł, niewyraźnie i mętnie, odcisk prawdziwych i żywych ust. To była ta dziwna dziewczyna – przepiękna, łysa, naga, złotousta – która czekała i wołała pod drzwiami.

Mimo fizycznego zmęczenia i wstrząsu wywołanego wciśniętą na siłę wiedzą, lord Sto Odin wiedział, co musi powiedzieć.

– Dziewczyno, wołałaś do mnie.

– Tak, milordzie.

– Masz tyle siły, by patrzeć na kongohel, ale mu się nie poddać?

Kiwnęła głową.

– Miałaś dość silnej woli, żeby nie wejść do tej sali?

– To nie silna wola, milordzie. Ja po prostu go kocham, tego człowieka, który tańczy.

– I czekałaś na niego, dziewczyno, przez tyle miesięcy?

– Nie cały czas. Kiedy potrzebuję coś zjeść, wypić, przespać się, albo załatwić osobiste sprawy, wracam na górę. Mam tu nawet lusterka, grzebienie, pincetki i kosmetyki, żeby być dla niego piękną, taką jaką chciałby mnie widzieć Słoneczny.

Lord Sto Odin obejrzał się przez ramię. Basowa muzyka emanowała emocjami innymi niż ból. Tancerz poruszał się powoli, płynnie, to przyczajał się, to robił wypady, jednocześnie przerzucając sobie kongohel z jednej dłoni do drugiej.

– Słyszysz mnie, tancerzu?! – zawołał lord Sto Odin, a Instrumentalność znów zapulsowała mu w żyłach.

Tancerz nie odpowiedział ani nie zmienił rytmu, lecz mały bębenek nieoczekiwanie zrobił swoje *kid-nork, kid-nork*.

– On i twarz skryta za nim pozwolą dziewczynie wyjść stąd, jeśli, wychodząc, naprawdę zapomni o tym miejscu i o nim. Czy tak? – zapytał Sto Odin tancerza.

*Ritiplin, rataplan*, odezwał się wielki bęben, który milczał, odkąd Sto Odin został uwolniony.

– Ale ja nie chcę iść – zaprotestowała dziewczyna.

– Wiem, że nie chcesz. Zrobisz to dla mnie. Będziesz mogła wrócić, jak tylko wykonam swoje zadanie. – Stała bez słowa, więc ciągnął: – Jeden z moich robotów, Liwiusz, ten, który ma wdrukowany umysł generała-psychiatry, pobiegnie z tobą, a ja rozkazuję mu zapomnieć to miejsce i wszystko, co się z nim łączy. *Summa nulla est*. Czy słyszałeś mnie, Liwiuszu? Pobiegiesz z tą dziewczyną i wszystko zapomnisz. Pobiegiesz i zapomnisz. Ty też, Santuno droga, pobiegiesz i zapomnisz, lecz za dwie ziemskie doby od teraz przypomnisz sobie dokładnie tyle, żeby móc tu wrócić, jeśli zechcesz, jeśli taka będzie twoja wola. A jeśli nie, udasz się do lady Mmony i od niej dowiesz się, co masz zrobić przez resztę życia.

– Obiecuje pan, milordzie, że za dwa dni i dwie noce będę mogła tu wrócić, jeśli zechcę.

– Teraz leć, dziewczyno, leć. Biegnij na powierzchnię. Liwiuszu, poniesiesz ją, jeśli będzie taka potrzeba. Ale lećcie! Lećcie! Wiele od tego zależy, nie tylko jej życie!

Santuna spojrzała na niego bardzo poważnie. Jej nagość była niewinnością. Złote górne powieki zetknęły się z dolnymi, czarnymi, gdy mrugnęła, a potem otarła łzy.

– Pocałuj mnie – powiedziała – a pójdę.

Pochylił się i ucałował ją.

Odwróciła się, ostatni raz spojrzała na swojego kochanka-tancerza i wielkimi susami popędziła korytarzem. Liwiusz pobiegł za nią, lekko, zwinnie. Za dwadzieścia minut dotrą do górnej granicy Gebietu.

– Czy wiesz, co ja zamierzam? – zapytał Sto Odin tancerza.

Tym razem ani tancerz, ani stojąca za nim moc nie zaszczyciły go odpowiedzią.

Rzekł Sto Odin:

– Woda. W lektyce mam wodę w dzbanku. Zanieś mnie tam, Flawiuszu.

Robot-legionista zaniósł sędziwego i drżącego Sto Odina do lektyki.

## VIII

Wtedy lord Sto Odin dokonał sztuki, która na wiele stuleci zmieniła ludzką historię. A polegała ona na wysadzeniu gigantycznej jaskini w trzewiach Ziemi.

Użył jednego z najbardziej tajnych wybiegów Instrumentalności.

Trójmyślenia.

Trójmyśleć potrafiła jedynie garstka najbardziej utalentowanych osób, i to po wszelkich możliwych szkoleniach. Na szczęście dla ludzkości, lord Sto Odin zaliczał się do tych wybrańców.

Uruchomił jednocześnie trzy poziomy myślenia. Na najwyższym zachowywał się racjonalnie, eksplorując pradawne pomieszczenie; na niższym planował groźną niespodziankę dla tancerza z kongohalem. Na trzecim, najniższym, w okamgnieniu zdecydował, co ma zrobić, i zaufał własnemu wegetatywnemu układowi nerwowemu, że ten wykona resztę.

Oto, jakie wydał polecenia:

Flawiusz ma wejść w tryb szaleńczej czujności i przygotować się do ataku.

Trzeba dostać się do komputera i kazać mu wszystko nagrywać, wszystko, czego dowiedział się Sto Odin, i ustalić, jakie środki zaradcze trzeba zastosować, podczas gdy on sam nie poświęca już temu ani sekundy świadomej myśli. Kształt całej akcji, plan działań obronnych, zarysowywał mu się w umyśle jasno przez parę tysięcznych sekundy, a potem zniknął z pola widzenia.

Muzyka wzmogła się do huku.

Na Sto Odina padło białe światło.

– Chciałeś mi zrobić coś złego! – zawołał Słoneczny zza gotyckich wrót.

– Chciałem – przyznał Sto Odin – ale to była przelotna myśl. Nic nie zrobiłem. Przecież mnie widzisz.

– Widzę cię – potwierdził ponuro tancerz. *Kid-nork, kid-nork*, zrobił mały bębenek. – Nie schodź mi z oczu. Kiedy będziesz gotowy, żeby przejść



przez drzwi, zawołaj mnie albo po prostu pomyśl. Przyjdę i pomogę ci wejść.

– Może być.

Flawiusz cały czas go podtrzymywał. Sto Odin skoncentrował się na tworzonej przez Słonecznego melodii, szalonej, nowej pieśni, której nikt dotąd sobie na świecie nie wyobrażał. Zastanawiał się, czy dałoby się zaskoczyć tancerza, kontratakując inną pieśnią. Jednocześnie jego palce wykonywały zupełnie inny zestaw czynności, których mózg już nie potrzebował pilnować. Dłoń otworzyła pokrywę na piersi robota, prowadzącą prosto do laminatów mózgu. Przystawiła pewne parametry, nakazując, by robot za kwadrans zabił wszystkie formy życia w zasięgu, inne niż wydający polecenie. Flawiusz nie wiedział, co się z nim dzieje; nawet sam Sto Odin nie zauważył, co robi jego dłoń.

– Zabierz mnie do starego komputera – rzekł Sto Odin do robota Flawiusza. – Chcę się dowiedzieć, jak dziwna historia, którą dopiero co odkryłem, może stać się prawdą. – I zaczął myśleć o muzyce, która przestraszyłaby nawet kogoś korzystającego z kongohelu.

Stanął przed komputerem.

Dłoń, reagując na trójmyśleniowe polecenie, które otrzymała, włączyła komputer i wcisnęła przycisk nagrywania. Stare przekaźniki komputera aż stęknęły, budząc się i wykonując rozkaz.

– Pokaż mapę – powiedział Sto Odin do komputera.

Daleko za jego plecami tancerz zmienił tempo, ruszając truchtem.

Na komputerze wyświetliła się mapa.

– Piękna – stwierdził lord Sto Odin.

Widział cały labirynt jak na dłoni. Tuż ponad nimi znajdował się jeden z pradawnych, zamkniętych szczelnie szybów antysejsmicznych – prosta, pusta studnia, szeroka na dwieście metrów, wysoka na wiele kilometrów. Na szczycie miała pokrywę izolującą ją od mułu i wody na dnie oceanu. Na spodzie, skoro w środku nie było nic poza powietrzem, zamknięta była tworzywem imitującym skałę, by przechodzącym ludziom czy robotom nie przyszło do głowy próbować się tam wspinać.

– Patrz, co robię! – zawołał Sto Odin do tancerza.

– Patrzę – odparł Słoneczny, a w jego śpiewnej odpowiedzi czuło się niemal jęk niepokoju.

Sto Odin potrząsnął komputerem, przebiegł po nim palcami prawej dłoni i zaprogramował bardzo szczególne polecenie. Lewa dłoń, uwarunkowana trójmyśleniem, wprowadziła do pulpitu awaryjnego z boku komputera dwa proste, jasne, inżynierskie rozkazy.

Z tyłu rozbrzmiał śmiech Słonecznego.

– Prosisz, żeby przysłano ci kawałek kongohelu! Przestań! Przestań, zanim podpiszesz to jako lord Instrumentalności! Niepodpisany rozkaz nikomu nie zaszkodzi. Centralny komputer na górze pomyśli po prostu, że to jacyś wariaci z Bezirku wysyłają bezsensowne żądania. – Podniósł głos ze zniecierpliwieniem. – Dlaczego ta maszyna właśnie wysłała do ciebie sygnał „Przyjęto, wykonano”?

– Nie wiem – skłamał obojętnym tonem lord Sto Odin. – Może wyślą mi kawałek kongohelu, żebym mógł się mierzyć z tym, który masz ty.

– Kłamiesz! – wrzasnął tancerz. – Chodź no tutaj, do drzwi.

Flawiusz wprowadził lorda Sto Odina w absurdalnie piękny gotycki łuk.

Tancerz przeskakiwał z nogi na nogę. Kongohel rozświetlił się mętną czerwienią alarmu. Muzyka zaczęła lamentować, jakby całą złość i podejrzliwość ludzkości przelano w nową, niezapomnianą fugę, niczym delirycznie atonalny kontrapunkt dla *III koncertu brandenburskiego* Bacha.

– Jestem tu – rzucił lekko lord Sto Odin.

– Ty umierasz! – zawołał tancerz.

– Umierałem już zanim mnie pierwszy raz zauważyłeś. Wchodząc do Bezirku, przestawiłem swój regulator witalności na maksimum.

– Wchodź zatem, a nigdy nie umrzesz.

Sto Odin chwycił za krawędź drzwi i opuścił się na kamienną podłogę. Dopiero gdy usiadł na niej wygodnie, odpowiedział:

– Umieram, to prawda. Ale wołałbym nie wchodzić. Umierając, będę po prostu patrzył, jak tańczysz.

– Co ty robisz?! Co zrobiłeś?! – krzyczał Słoneczny. Przestał tańczyć i podszedł do drzwi.

– Jeśli chcesz, przeszukaj mnie – odparł Sto Odin.

– Przeszukuję. Ale nic nie widzę, poza twoją żądzą, by dostać dla siebie kawałek kongohelu, a potem pokonać mnie w tańcu.

W tym momencie Flawiusz wpadł w bojowy szał. Pobiegł z powrotem do lektyki, nachylił się nad nią i biegiem wrócił do drzwi. W obu rękach niósł ogromne stalowe łożyska kulkowe.

– Co robi ten robot?! – zawołał tancerz. – Widzę twój umysł, ty mu nic nie mówisz! Używa tych stalowych kulek do burzenia przeszkód...

Sapnął, gdy nastąpił pierwszy atak.

Szybciej niż oko było w stanie zauważyć, dysponujące siłą sześćdziesięciu ton ramię Flawiusza zamachnęło się ze świstem i cisnęło pierwszym stalowym pociskiem prosto w Słonecznego. On, lub skryta w nim moc, uskoczył z owadzią szybkością. Kulka przebiła dwa leżące na ziemi ciała w łachmanach. Jedno, umierając, powiedziało: *uuuuf*, drugie zaś nie wydało żadnego dźwięku – kulka od razu roztrzaskała mu głowę. Zanim tancerz zdążył się odezwać, Flawiusz cisnął drugą kulkę.

Tym razem przechwyciły ją drzwi. Moc, która unieruchomiła Sto Odina i jego roboty, znów zadziałała. Kulka zaśpiewała, trafiając w przejście, zawisała w powietrzu, zaśpiewała znów, gdy drzwi cisnęły ją prosto we Flawiusza.

Powracając, nie trafiła go w głowę, ale doszczętnie zmiażdżyła pierś. A tam właśnie krył się jego prawdziwy mózg. Mignęło światelko, robot gasł, ale jeszcze umierając, chwycił kulkę i cisnął nią w Słonecznego. Po tym przestał działać, a rzucona ostatkiem sił ciężka kulka trafiła lorda Sto Odina w prawy bark. Bolało, póki nie przyciągnął sobie fantomu-jaaa i nie wyłączył wszelkiego bólu. Krew z organicznego ciała i olej hydrauliczny z protezy mieszały się i gęstym, powolnym strumieniem spływały wzdłuż jego boku.

Tancerz omal nie zapomniał tańczyć.

Sto Odin zastanawiał się, jak daleko zdążyła dotrzeć dziewczyna.

Ciśnienie powietrza się zmieniło.

– Co się dzieje z powietrzem? Czemu pomyślałeś o dziewczynie? Co się dzieje?

– Rozczytaj mnie – powiedział lord Sto Odin.

– Najpierw zatańczę i zbiorę moc – odparł Słoneczny.

Przez parę krótkich minut wyglądało na to, że to tancerz z kongoheltem spowodował skalną lawinę.

Lord Sto Odin zamknął oczy i stwierdził, że może spokojnie umrzeć. Światło i zgiełk świata zewnętrznego pozostały interesujące, acz nieistotne.

Kongohel, po którym przeskakiwały tysiące tęczy, oraz tancerz stali się niemal przezroczyści, gdy zbliżyli się, by czytać w umyśle Sto Odina.

– Nic nie widzę – odezwał się zaniepokojony Słoneczny. – Regulator witalności masz ustawiony za wysoko i niedługo umrzesz. Ale skąd tu wpada tyle powietrza? Jakbym słyszał jakiś odległy huk. Lecz to nie ty go spowodowałeś. Twoje roboty się rozszalały. Ty tylko patrzysz na mnie z zadowoleniem i umierasz. Bardzo to wszystko dziwne, że chcesz tu umrzeć po swojemu, zamiast żyć razem z nami wszystkimi, niewyobrażalnie żyć!

– To prawda – powiedział lord Sto Odin. – Umieram po swojemu. Ale ty tańcz, tańcz dla mnie z kongoheltem, a ja opowiem ci twoją historię, tak jak ty mi ją opowiedziałeś. Z przyjemnością pozwolę sobie sprostować wszystkie błędy, zanim umrę.

Tancerz spojrzał niepewnie, zaczął tańczyć, po czym odwrócił się z powrotem do niego.

– Jesteś pewien, że chcesz tak zaraz umrzeć? Dzięki mocy planet Douglasa-Ouyanga, którą władam dzięki kongohelowi, czułbyś się wystarczająco dobrze, póki tańczę, a umarłbyś sobie, kiedy tylko zechcesz. Regulatory witalności są o wiele słabsze od mojej mocy. Mógłbym cię nawet przenieść nad progiem przez wejście...

– Nie – powiedział lord Sto Odin. – Po prostu tańcz dla mnie, a ja będę umierał. Niech będzie, jak ja chcę.

I oto zmienił się świat. Miliony ton wody popędziły ku nim.

Za parę minut i Gebiet, i Bezirk zostaną zatopione, a powietrze ucieknie z nich ze świstem ku górze. Sto Odin z zadowoleniem zauważył, że szyb powietrzny znajduje się dokładnie nad salą tancerza. Nie pozwolił sobie na trójmyślenie o tym, co się stanie, kiedy materia i antymateria kongohelu pogrążą się we wzburzonej słonej wodzie. Coś około czterdziestu megaton, podejrzewał, ze znużeniem człowieka, który dogłębnie przemyślał jakiś problem dawno, dawno temu, a teraz, gdy sytuacja minęła, ledwo go sobie przypomina.

Słoneczny odgrywał religię sprzed epoki kosmosu. Wyśpiewywał chóralne hymny, unosząc dłonie, wzrok i kongohel do słońca; odgrywał szmer wirujących derwiszy, dzwony świątynne od Człowieka na Dwóch Prostopadłych Deskach, dzwony należące do innego świętego, który umknął czasowi, po prostu widząc go i wychodząc z niego. Budda, nie tak się nazywał? A potem przeszedł do złowrogich, wulgarnych rzeczy, które gnębiły ludzkość po upadku Starego Świata.

Muzyka zachowywała rytm.

I światła też.

Całe pochody upiornych cieni szły za Słonecznym, kiedy pokazywał, jak pradawna ludzkość odkryła bogów, i Słońce, i potem innych bogów. Odgrywał pantomimą najdawniejszą z tajemnic: że człowiek udaje, że boi się śmierci, podczas gdy całe życie jej nie rozumie.

A kiedy tak tańczył, lord Sto Odin powtarzał mu jego własną historię:

– Uciekłeś z powierzchni, Słoneczny, bo ludzie byli tępi, zadowoleni i nudni w swoim żalonym zadowoleniu. Uciekłeś, bo nie mogłeś wytrzymać życia jak kura w kurniku, hodowana w antyseptycznych warunkach, pod bezpiecznym dachem, po śmierci zamrożona. Dołączyłeś do innych zde gustowanych, bystrych, niespokojnych duchów, szukających wolności w Gebiecie. Dowiedziałeś się, jakie mają narkotyki, alkohole, co palą. Poznałeś ich kobiety, ich uczyty i zabawy. To wszystko było za mało. Stałeś się dżentelmenem-samobójcą, kimś, kto szuka fajnej śmierci, śmierci, która wyróżni cię w twojej indywidualności. Zszedłeś do Bezirku, najbardziej zapomnianego i ohydneho miejsca na świecie. Nie znalazłeś

nic. Stare maszyny i puste korytarze. Tu i tam trochę mumii albo kości. Bezgłośnie światła i cichy szmer powietrza w korytarzach.

– A teraz słyszę wodę – odezwał się tancerz, nie przerywając tańca – wzburzoną wodę. Nie słyszysz jej, milordzie?

– Gdybym nawet słyszał, nie obchodziłoby mnie to. Kontynuujmy. Przyszedłeś do tego pomieszczenia. Dziwne wrota sprawiły, że uznałeś to za dobre miejsce na fajną śmierć, jak to było w zwyczaju wśród was, biednych wyrzutków. Jednakże samo umieranie nie ma większego sensu, chyba że inni ludzie wiedzą, że robisz to celowo, i wiedzą, w jaki sposób. W każdym razie powrót na górę do Gebietu, do przyjaciół, miał trwać długo, położyłeś się więc przy komputerze. W nocy, kiedy spałeś, kiedy śniłeś, komputer śpiewał ci tak:

*Tymczasowego psa mi trzeba  
Do tymczasowej pracy  
W tymczasowym miejscu  
Jakby na Ziemi!*

– Gdy się obudziłeś, z zaskoczeniem stwierdziłeś, że wysniłeś sobie cały nowy gatunek muzyki. Prawdziwie szalonej muzyki, wspaniale złowrogiej, aż ludzie od niej dygotali. A razem z muzyką pojawiła się misja. Kazano ci ukraść kawałek kongohelu. Jeszcze przed wyprawą tutaj, o mój Słoneczny, byłeś bystrym człowiekiem. Lecz planety Douglasa-Ouyanga pojmały cię i uczyniły tysiąc razy inteligentniejszym. Ty i twoi przyjaciele – jak sam mi powiedziałeś, czy raczej przemawiająca przez ciebie istota powiedziała mi, ledwie pół godziny temu – ukradliście podprzestrzenną konsolę komunikacyjną, namierziliście planety Douglasa Ouyanga i upoiście się samym ich widokiem. Opalizujące, fosforyzujące. Wodospady do góry. I tak dalej. I rzeczywiście, zdobyłeś kongohel. Kongohel składa się z materii i antimaterii ułożonej w warstwy rozdzielone podwójną siecią magnetyczną. Za jego pomocą istota z planet Douglasa-Ouyanga uniezależniła cię od organicznych procesów. Nie potrzebowałeś już jedzenia, picia, odpoczynku, ani nawet powietrza. Planety Douglasa-

Ouyanga są bardzo stare. Potrzebowały cię, żeby mieć łącze. Nie wiem, do czego, co zamierzały zrobić z Ziemią i ludzkością. Jeśli ta historia przedostanie się do publicznej wiadomości, przyszłe pokolenia będą cię nazywać „kupcem zbójcekim”, wykorzystales bowiem normalny ludzki apetyt na niebezpieczeństwo, by zniewolić innych ludzi, hipnozą i muzyką...

– Słyszę wodę – przerwał mu Słoneczny Chłopak. – Naprawdę słyszę wodę.

– Mniejsza o to – odparł lord Sto Odin – twoja historia jest ważniejsza. Zresztą, co my we dwóch na to poradzimy? Ja umieram, siedzę w kałuży krwi i wydzielin. Ty z kongohelom nie opuścisz tego pomieszczenia. Pozwól mi kontynuować. Albo może ta istota z Douglasa-Ouyanga, kimkolwiek była...

– Jest – odezwał się Słoneczny.

– Kimkolwiek jest, może po prostu pragnie rozumnego towarzystwa. Tańcz dalej, chłopcze, tańcz dalej.

Słoneczny zatańczył, a bębny zagadały wraz z nim, *rataplan, rataplan! kid-nork, kid-nork, nork!* kongohel zaś wykrzykiwał muzykę przez litą skałę.

Ten inny dźwięk trwał dalej.

Słoneczny zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

– To woda. Naprawdę.

– Kto to wie? – zapytał lord Sto Odin.

– Popatrz! – wrzasnął Słoneczny, unosząc wysoko bryłę kongohelu. – Popatrz!

Nie musiał patrzeć. Dobrze wiedział, że z korytarza wypłynęło parę pierwszych ton wody, ciężkiej od mułu i spienionej, zalewając ich pokoje.

– I co ja mam zrobić?! – rozległ się głos Słonecznego.

Sto Odin miał wrażenie, że mówi nie on, lecz jakiś przekaźnik sterowany mocą planet Douglasa-Ouyanga. Mocą, która próbowała się zaprzyjaźnić z człowiekiem, ale znalazła sobie nieodpowiedniego człowieka i nieodpowiednią przyjaźń.

Słoneczny odzyskał kontrolę nad sobą. Stopy zachlupotały w wodzie, gdy znów tańczył. Kolory rozbłysły na podnoszącej się kipieli. *Ritiplin,*

*tiplin!* – powiedział wielki bęben. *Kid-nork, kid-nork*, powiedział mały. *Bum, bum, dum, rum, rum*, powiedział kongohel.

Lord Sto Odin poczuł, że stare oczy zachodzą mu mgłą, choć wciąż widział rozjarzony obraz szalonego tancerza.

Pięknie będzie mi się tu umierać, pomyślał, umierając.

## X

O wiele wyżej, na powierzchni planety, Santuna poczuła, że kontynent pod jej stopami się zatrzęsł. Wschodni horyzont poczerniał, gdy wielki gejzer pary i błota wystrzelił ze spokojnego, błękitnego oceanu.

– To się nie może powtórzyć, nie ma mowy! – powiedziała, myśląc o Słonecznym, kongohelu i śmierci lorda Sto Odina. Coś trzeba z tym zrobić.

I zrobiła.

W kolejnych stuleciach przywróciła człowiekowi choroby, zagrożenia i biedę, by przysporzyć mu więcej szczęścia. Została jednym z głównych architektów Drugiego Odkrycia Ludzkości, a u szczytu sławy znano ją jako lady Alice More.

---

<sup>2</sup> Gebiet (niem.) – pole, obszar, dziedzina (przyp. tłum).

<sup>3</sup> Bezirk (niem.) – dzielnica (przyp. tłum).



## MATKI HITTON KOTECKI PUHATE

Dość zdawkowe spojrzenie na Starą Australię Północną, źródło strunu, dzięki któremu ludzie żyją czterysta lat lub więcej – świat bajecznie bogaty, a zatem również świetnie uzbrojony. Intryga nawiązuje częściowo do Alibaby i czterdziestu rozbójników, a akcja odbywa się chyba około jednego pokolenia przed Norstrilią – w której Viola Siderea wciąż próbuje dojść do siebie po wyczynach Bozarta.

*Słaba łączność zniechęca do kradzieży,  
dobra łączność do niej zachęca,  
idealna łączność kradzież powstrzymuje.*

Van Braam

### I

Księżyc się obracał. Kobieta patrzyła. Na równiku księżycyca wyszlifowano dwadzieścia jeden fasetek. Jej zadaniem było je uzbroić. Nazywała się Matka Hitton i była zbrojmistrzynią Starej Australii Północnej.

Była również rumianą, pogodną blondynką w nieokreślonym wieku. Oczy miała niebieskie, pierś obfitą, ramiona silne. Wyglądała na matkę, choć jej jedyne dziecko zmarło wiele pokoleń temu. Teraz była matką nie dla konkretnej osoby, lecz dla całej planety; Norstrilijczycy spali spokojnie, bo wiedzieli, że czuwa. A broń pogrzyżyła się w długim, niezdrowym śnie.

Owej nocy po raz dwusetny zerknęła na bank kontrolek ostrzegawczych. Nic się nie paliło. Mimo to poczuła, że gdzieś we wszechświecie jest wróg – wróg, który czeka, by uderzyć w nią i jej świat, by zgarnąć niezmierzone bogactwo Norstrilijczyków. Prychnęła niecierpliwie. No chodź, chodź, kochaniutki, pomyślała. Chodź tu, kochaniutki, i zgiń tutaj. Nie każ mi czekać.

Uśmiechnęła się, uświadomiwszy sobie absurd własnych myśli.

Ona już czekała.

A on o tym nie wiedział.

On, rabuś, był zrelaksowany aż nadto. Nazywał się Benjacomin Bozart i był świetnie wyszkolony w sztuce relaksacji.

W Sunvale na planecie Ttiollé nikt nie podejrzewał, że jest starszym Cechu Złodziei, wychowanym pod słońcem plamiście fioletowej gwiazdy. Nikt nie zwietrzył od niego zapachu Violi Siderei.

– Viola Siderea – powiedziała kiedyś lady Ru – była najpiękniejszym ze światów, a teraz jest najbardziej zepsutym. Jej mieszkańcy byli wzorem dla całej ludzkości, a teraz są złodziejami, kłamcami i mordercami. Ich duszę da się wyczuć nosem w biały dzień.

Lady Ru zmarła dawno temu. Była bardzo szanowana, myliła się jednak. Złodziej nie miał żadnego specyficznego zapachu. I dobrze o tym wiedział. Nie był bardziej „zły” niż rekin podkradający się do ławicy dorszy. Naturą życia jest przetrwanie, a jego wychowano, by przetrwał właśnie w taki sposób – przez znajdowanie kolejnych ofiar.

Jak inaczej miał przeżyć? Viola Siderea zbankrutowała dawno temu, gdy z przestrzeni zniknęły fotonowe żagle, a między gwiazdami zaczęły ze szmerem latać statki planoformacyjne. Jego przodków porzucono na pewną śmierć na planecie znajdującej się na uboczu. Jednak nie umarli. Przystawili się na nową ekologię i stali drapieżcami dla człowieka, z czasem i genetyką coraz lepiej przystosowani do swoich śmiertelnych celów. On zaś, rabuś, był wśród nich mistrzem – najlepszym z najlepszych.

Nazywał się Benjacomin Bozart.

Przysiągł okraść Starą Australię Północną albo zginąć podczas próby kradzieży. A ginąć nie zamierzał.

Plaża w Sunvale była ciepła i piękna. Ttiollé było wolną planetą tranzytową o niezobowiązującej atmosferze. Jego bronią był łut szczęścia i on sam. Planował jedno i drugie dobrze wykorzystać.

Norstrilijczycy umieli zabijać.

On też umiał.

Jednakże w tamtym momencie, w tamtym miejscu, był zadowolonym turystą na pięknej plaży. W innym miejscu, w innym czasie, mógł stać się kuną wśród królików, jastrzębiem między gołębiami.

Benjacomin Bozart, złodziej i starszy cechu. Nie wiedział, że ktoś już na niego czeka. Ktoś, kto nawet nie znał jego imienia, był gotów obudzić śmierć, specjalnie dla niego. Wciąż czuł błogi spokój.

A Matka Hitton wcale nie. Wyczuwała go niewyraźnie, ale jeszcze nie potrafiła namierzyć.

Jedna z jej broni zachrapała. Odwróciła ją na drugą stronę.

Tysiąc gwiazd od niej Benjacomin Bozart uśmiechnął się, idąc w stronę plaży.

## II

Benjacomin czuł się jak turysta. Opaloną twarz miał spokojną. Dumne oczy pod ciężkimi powiekami – spokojne. Ładne usta, nawet bez czarującego uśmiechu, kryły w kącikach cień wdzięku. Wyglądał atrakcyjnie i ani trochę podejrzanie. Wydawał się też dużo młodszy niż był naprawdę. Szedł sprężystym, radosnym krokiem po plaży Sunvale.

Na brzeg wtaczały się fale z białymi grzebieniami, dokładnie jak na Matce Ziemi. Ludzie z Sunvale byli dumni, że ich świat tak bardzo przypomina Kolebkę Ludzkości. Nieliczni mieli okazję ją oglądać, wszyscy natomiast znali odrobinę historii i czuli chwilowy niepokój, myśląc o przedwiecznej władzy, wciąż sięgającej politycznymi wpływami daleko

w czeluści kosmosu. Nie podobała im się wiekowa Instrumentalność Ludzkości, szanowali ją jednak i bali się jej. Fale mogli kojarzyć z pięknymi aspektami Ziemi, a o nie tak pięknych aspektach woleli nie pamiętać.

Ten człowiek zaś był jak piękny aspekt Starej Ziemi. Nie wyczuwało się w nim żadnej władzy i mocy. Ludzie z Sunvale uśmiechali się do niego machinalnie, gdy mijał ich, idąc wzdłuż brzegu.

Klimat był spokojny, wszystko wokół emanowało spokojem. Zwrócił twarz do słońca. Zamknął oczy. Pozwolił, by ciepłe słońce przeświecało mu przez powieki, opromieniając go uspokajającym, pełnym otuchy dotykiem.

Benjacomin marzył o największym skoku, jakiego człowiek kiedykolwiek dokonał. Marzyła mu się kradzież gigantycznego skarbu z najbogatszego z ludzkich światów. Myślał o tym, co się stanie, gdy w końcu wróci z tym skarbem na Violę Sidereę, na której się wychował. Odwrócił twarz od słońca i ospale popatrzył na innych ludzi na plaży.

Na razie nie zauważył żadnych Norstrilijczyków. Choć całkiem łatwo było ich rozpoznać – potężni ludzie o czerwonej cerze, wielcy siłacze, a mimo to na swój sposób niewinni, młodzi i bardzo twardzi. Przygotowywał się do tego skoku od dwustu lat, gdyż Cech Złodziei z Violi Siderei specjalnie w tym celu przedłużył mu życie. Był ucieleśnieniem marzeń całej swojej planety, biednej planety, niegdyś leżącej na skrzyżowaniu szlaków handlowych, teraz zdegradowanej do marnego punktu, centrum rabunku i grabieży.

Zobaczył, że z hotelu wychodzi Norstrilijka i kieruje się na plażę. Czekał, zerkając, i dalej marzył. Miał jedno pytanie, na które nie odpowiedziałby żaden dorosły Australijczyk.

To śmieszne, pomyślał, że jeszcze teraz nazywam ich „Australijczykami”. Tak się na nich dawno, dawno temu mówiło na Ziemi – bogaci, odważni, twardzi ludzie. Jako niedojrzali musieli walczyć z połową światów, teraz sami tyranizują ludzkość. Trzymają łapę na skarbie. Mają santaclarę, a życie i śmierć innych ludów zależy od tego, jak udaje im się handel z Norstrilią. Ja nie będę się prosić. I moja planeta nie będzie się prosić. My jesteśmy człowiekowi wilkiem.

Czekał cierpliwie. Opalony światłem wielu słońc, wyglądał na czterdzieści lat, choć naprawdę miał dwieście. Ubierał się nonszalancko, jak przystało na turystę na wakacjach. Mógł być międzykulturowym handlowcem, poważnym hazardzistą, zastępcą dyrektora portu kosmicznego. Albo nawet detektywem pracującym na szlakach handlowych. Lecz nie był. Był złodziejem. Tak świetnym złodziejem, że ludzie sami wkładali mu w ręce swoje dobra, temu budzącemu zaufanie, spokojnemu, szarookiemu i jasnowłosemu mężczyźnie. Benjacomin czekał. Kobieta zerknęła na niego, szybkim, jawnie podejrzliwym spojrzeniem.

To, co zobaczyła, musiało ją uspokoić. Minęła go. Zawołała, patrząc na wydmy:

– No chodź, Johnny, idziemy do wody!

Mały chłopiec, może ośmio- czy dziesięcioletni, wyłonił się zza wydmy i pobiegł do matki.

Benjacomin spał się jak kobra. Wzrok mu się wyostrzył, oczy zwężyły.

Oto była ofiara. Nie za mała, nie za duża, w sam raz. Gdyby dzieciak był za młody, nie znałby odpowiedzi; gdyby był za duży, nie byłoby sensu go łapać. Norstrilijczycy słynęli z umiejętności walki wręcz; dorośli byli i mentalnie, i fizycznie zbyt silni, by opłacało się ich atakować.

Benjacomin wiedział, że z każdym złodziejem, który zbliżył się do planety Norstrilijczyków – który usiłował ukraść wymarzony skarb Starej Australii Północnej – natychmiast tracono kontakt. Ginał. Nigdy więcej o nim nie słyszano.

Wiedział jednak, że tę tajemnicę muszą znać setki tysięcy Norstrilijczyków. Żartowało się nawet czasem na ten temat. Słyszał owe żarty za młodu, a teraz był już stary, więcej niż stary, i dalej nie znał odpowiedzi. A życie kosztowało. Przeżywał już trzecie, a za wszystkie uczciwie zapłacili jego pobratymcy. Uczciwi złodzieje wydali ciężko ukradzione pieniądze na lek pozwalający przedłużyć życie największemu ze złodziei. Benjacomin nie przepadał za przemocą. Jednak, gdy przemoc otwierała drogę do największej kradzieży wszech czasów, gotów był się do niej uciec.

Kobieta znów spojrzała na niego. Maską zła na twarzy rozplynęła się pośród łagodności. Uspokoił się. Dostrzegła go już zrelaksowanego. Od razu nabrała do niego sympatii.

Uśmiechnęła się i z typowym dla Norstrilijczyków trochę niezręcznym wahaniem zapytała:

– Mógłby pan popilnować mojego synka? Ja chwilę sobie popływam. Wydaje mi się, że już widzieliśmy się w hotelu.

– Oczywiście, nie ma sprawy – odparł. – Z przyjemnością. Chodź do mnie, chłopcze.

Johnny zszedł z wydm ku własnej śmierci. Znalazł się w zasięgu wroga jego matki.

Matka już się odwróciła.

Wyćwiczona dłoń Benjacomina Bozarta wyciągnęła się. Chwycił chłopca za ramię. Odwrócił do siebie i przewrócił na piasek. Zanim chłopak zdążył krzyknąć, Benjacomin wbił mu igłę z serum prawdy.

Johnny poczuł tylko ból, a potem uderzenie ogromnego młota wewnątrz czaszki, gdy rozchodził się po niej potężny środek.

Benjacomin zerknął na morze. Matka pływała. Popatrzyła na nich i wydało się jej, że dzieciak ogląda coś, co nieznamomy mu pokazuje.

– Teraz słuchaj, synu – powiedział Benjacomin. – Powiedz mi, jak wygląda zewnętrzna obrona?

Chłopiec nie odpowiedział.

– Z czego się składa zewnętrzna obrona? Z czego się składa zewnętrzna obrona? – powtórzył Benjacomin.

Chłopiec nadal nie odpowiadał.

Benjacominowi przeszło po skórze coś przypominającego dreszcz strachu. Uświadomił sobie, że cały plan i jego bezpieczeństwo na tej planecie zależało od tego, czy uda mu się wyrwać Norstrilijczykom ich sekret.

A wszystko udaremniły takie proste środki. Dziecko było już uwarunkowane przeciwko takiemu atakowi. Każda próba wyciśnięcia z niego tej wiedzy uaktywniała wdrukowany odruch, powodujący całkowitą niemotę. Chłopak dosłownie był niezdolny niczego powiedzieć.

Matka, z rozbłyskami słońca na mokrych włosach, odwróciła się i zamachała ręką.

– Johnny, jak tam?

Benjacomin zamachał do niej.

– Oglądamy zdjęcia, proszę pani. Podobają mu się. Spokojnie.

Matka zawahała się, po czym odwróciła się twarzą do wody i powoli odpłynęła.

Johnny, pod władzą środka, siedział sztywno, niczym sparalizowany, na kolanach Benjacomina.

Ten powiedział:

– Johnny, teraz umrzesz i jeśli nie powiesz mi, co wiesz, będzie cię bardzo bolało.

Chłopak zaszamotał się słabo. Benjacomin powtórzył:

– Jeśli mi nie powiesz, będzie cię bardzo bolało. Z czego się składa zewnętrzna obrona?

Dzieciak napiął się, a Benjacomin uświadomił sobie, że on chce usłuchać polecenia. Wcale nie chce uciec. Pozwolił chłopcu zejść. Ten zaczął pisać palcem po mokrym piasku. Litery były wyraźne.

Za nimi zamajaczył cień człowieka. Benjacomin, czujny, gotów, by się odwrócić i zabić lub uciec, kucnął za chłopcem i powiedział:

– Świetna zagadka. Naprawdę super. Narysujesz jeszcze jakąś?

Uśmiechnął się do przechodzącego mężczyzny. Nieznajomy rzucił zaciekawione spojrzenie Benjacominowi, które złagodniało, gdy zobaczył jego sympatyczną twarz, twarz człowieka tak czule i miło bawiącego się z dzieckiem.

Palce chłopca wciąż rysowały na piasku litery.

A w literach kryła się zagadka: MATKI HITTON KOTECKI PUHATE.

Kobieta wyszła z wody i szła ku nim, patrząc pytająco. Benjacomin wytrząsnął z rękawa szlafroka drugą igłę, z delikatną trucizną, na której wykrycie trzeba było dni albo i tygodni badań laboratoryjnych. Wbił ją chłopcu prosto do mózgu, pod skórą, tuż nad linią włosów. Włosy zamaskowały maleńki ślad. Niezwykle twarda igła wsunęła się w czaszkę. Dzieciak nie żył.

Morderstwo się dokonało. Benjacomin niedbałym ruchem zmazał tajemnicę z piasku. Kobieta podeszła bliżej. Zawołał do niej, głosem pełnym uprzejmej troski:

– Proszę pani, proszę tu szybko podejść, pani syn zdaje się źle się poczuł od upału.

Podał matce ciało syna. Zrobiła przerażoną minę, przerażoną i czujną. Nie wiedziała, jak na to zareagować.

Przez jedną straszną chwilę patrzyła mu w oczy.

Zadziałało dwieście lat ćwiczeń... Nic nie zobaczyła. W oczach zabójcy nie błysnęło morderstwo. Jastrząb skrył się za gołębiem. Wyszkolona twarz zamaskowała serce.

Benjacomin rozluźnił się z zawodową pewnością siebie. Był gotów ją także zabić, choć nie wiedział, czy zdoła zabić dorosłą Norstrilijkę.

– Pani tu zostanie – powiedział. – Ja pobiegnę do hotelu i sprowadzę pomoc. Szybko.

Odwrócił się i pobiegł. Człowiek z obsługi plaży zobaczył go i puścił się biegiem ku niemu.

– Mały źle się czuje! – krzyknął Benjacomin.

Wrócił do matki w samą porę, by ujrzeć na jej twarzy tragiczną, pełną niedowierzania minę, a oprócz tego coś innego niż tragizm: wątpliwości.

– Nie czuje się źle – powiedziała. – On nie żyje.

– Niemożliwe. – Benjacomin odezwał się troskliwym tonem. Poczul troskę. Sprawił, by cała jego postawa emanowała współczuciem, podobnie jak wszystkie drobne mięśnie mimiczne. – To niemożliwe. Minutę temu z nim rozmawiałem. Rysowaliśmy sobie rebusy na piasku.

Matka odezwała się pustym, łamiącym się głosem, brzmiącym, jakby już nigdy nie miał odnaleźć tonów właściwych dla ludzkiej mowy, jakby już na zawsze miał pozostać rozstrojonym przez nagłą krzywdę.

– Nie żyje – powiedziała. – Pan widział, jak on umiera, ja chyba zresztą też. Nie mam pojęcia, co się stało. Miał w sobie mnóstwo santaclary. Miał przed sobą tysiąc lat życia, a jednak nie żyje. Jak pan się nazywa?

Benjacomin odpowiedział:

– Eldon. Eldon, handlowiec, proszę pani. Często tu przyjeżdżam.



### III

„Matki Hitton kotecki puhate. Matki Hitton kotecki puhate”.

Obracał w głowie to głupie zdanie na wszystkie strony. Kto to Matka Hitton? Czyja to matka? Co to kotecki? Czy to przekręcone „koteczki”? Małe kotki? Czy chodzi o coś zupełnie innego?

Zabił prostytutka, by dostać godną prostytutka odpowiedź?

Ile jeszcze dni będzie musiał tu tkwić z pełną wątpliwością, załamana kobietą? Ile jeszcze dni będzie musiał czekać i obserwować? Chciał już wracać na Violę Sidereę i zawieźć tajemnicę, choćby i taką nieudaną, swoim ludziom do zbadania. Kto to taki Matka Hitton?

Zmusił się do wyjścia z pokoju i zszedł na dół.

Przyjemna nuda wielkiego hotelu była tak silna, że paru innych gości spojrzęło nań z zainteresowaniem. Oto gość, który widział, jak na plaży zmarło dziecko.

Paru mieszkających w foyer łowców skandali snuło fantastyczne opowieści, że to on je zabił. Inni atakowali te wymysły, mówiąc, że doskonale wiedzą, kim jest Eldon. Handlowiec Eldon. Absurdalne podejrzenia.

Ludzie nie zmienili się zbytnio, choć statki z lot-kapitanami w ich sercach pomykały ze szmerem między gwiazdami, choć sami przeskakiwali ze świata do świata, gdy tylko mieli pieniądze na opłacenie podróży tam i z powrotem – niczym liście miecione wesołym, łagodnym wiatrem. Benjacomin stał przed tragicznym dylematem. Doskonale wiedział, że jakakolwiek próba zdekodowania odpowiedzi skończy się wejściem prosto w pułapki obronne zastawione przez Norstrilijczyków.

Stara Australia Północna była niezmiernie bogata. W całym wszechświecie, wzdłuż i wszerz, wiadomo było, że korzysta z najemników, szpiegów kontrwywiadu, ukrytych agentów i urządzeń alarmowych.

Nawet sama Kulebka Ludzkości, Matka Ziemia, której nie dawało się kupić za żadne pieniądze, była przekupiona dającym życie lekiem. Uncja santaclary, rafinowanej, skryzalizowanej i nazywanej „strunem”, dawała

czterdzieści do sześćdziesięciu lat życia. Strun docierał na inne Ziemie uncjami i funtami, choć na Australii Północnej rafinowano go całymi tonami. Dysponując takim skarbem, Norstrilijczycy mogli zbudować sobie niewyobrażalny świat, którego zasoby przekraczały wszelkie wyobrażalne finansowe ograniczenia. Mogli kupić wszystko. Mogli płacić życiem innych ludzi.

Od setek lat potajemnie płacili za usługi ludzi z innych planet, by strzegli ich bezpieczeństwa.

Benjacomin zatrzymał się w hallu. „Matki Hitton kotecki puhate”.

Miał pod ręką całą mądrość i bogactwo tysiąca światów, ale bał się zapytać, co to znaczy.

Nagle się rozpogodził.

Wyglądał teraz jak ktoś, kto wymyślił świetną grę, przyjemną rozrywkę, znalazł znakomitego towarzysza czy nowy przysmak do skosztowania. Przyszło mu do głowy coś, co bardzo go ucieszyło.

Było jedno źródło, które nic nikomu nie powie. Biblioteka. Będzie mógł w niej sprawdzić chociaż oczywiste, proste kwestie, dowiedzieć się przynajmniej, co jest publicznie wiadome o tajemnicy wydartej umierającemu chłopcu.

Nie naraził własnego bezpieczeństwa na próżno, Johnny nie zginął na próżno, jeśli tylko da się gdzieś znaleźć hasło dotyczące jednego z tych czterech wyrazów. „Matka”, „Hitton”, „Kotecki”, czy też „puhate”. Jeszcze może uda mu się dobrać do skarbu Norstrilii.

Odwrócił się radośnie na prawej pięcie. Lekkim, energicznym krokiem przeszedł przez salę bilardową, za którą znajdowała się biblioteka. Wszedł do niej.

Hotel był bardzo drogi i bardzo staroświecki. Posiadał nawet książki wykonane z papieru, w autentycznych oprawach. Benjacomin przeszedł przez salę. Zobaczył, że mają dwustutomową *Encyklopedię galaktyczną*. Wziął tom podpisany „Hi-Hi”. Otworzył go pod koniec, szukając nazwiska „Hitton”. Znalazł je. „Hitton, Benjamin (10719–17213) – pionier ze Starej Australii Północnej. Według niektórych źródeł pomysłodawca systemu obrony”. Tylko tyle. Pokręcił się między książkami. Słowo „kotecki” w tej

osobliwej pisowni nie występowało nigdzie, ani w encyklopedii, ani w żadnym z bibliotecznych indeksów.

„Puhate” też się nigdzie nie pojawiało. Pewnie był to dziecinny błąd chłopca.

Zaryzykował. Matka, na wpół ślepa z bólu i rozpacz, siedziała w krześle ze sztywnym oparciem z boku werandy. Rozmawiała z nią inne kobiety. Wiedziały, że niedługo przyjedzie jej mąż. Benjacomin podszedł i spróbował się z nią pożegnać. Nie zobaczyła go.

– Proszę pani, ja zaraz wyjeżdżam. Jadę na inną planetę, niedaleko, za dwa czy trzy subiektywne tygodnie wrócę. Ale jeśli będzie pilna potrzeba zadać mi jakieś pytania, podałem tutejszej policji wszystkie moje adresy.

Zostawił szlochającą matkę.

Opuścił cichy hotel. Uzyskał priorytetową wizę.

Łagodna policja z Sunvale nie miała nic przeciwko temu, że wyjeżdża, nawet na ekspresowo uzyskaną wizę wyjazdową. Znali w końcu jego tożsamość, miał własne fundusze, a w Sunvale nie było zwyczaju sprzeciwiania się gościom. Wsiadł na statek, a kiedy szedł do kabiny, w której będzie mógł parę godzin odpocząć, jakiś człowiek zaszedł go od tyłu. Dość młody, przedziałek pośrodku, niski, szare oczy.

Był miejscowym agentem norstrilijskiej policji.

Benjacomin, choć był wyszkolonym złodziejem, nie rozpoznał w nim policjanta. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że uczulona została sama biblioteka i że słowo „kotecki” w tej osobliwej norstrilijskiej pisowni wyzwoliło pomniejszy alarm. Wpadł w pułapkę.

Nieznajomy kiwnął głową, Benjacomin odkiwnął mu.

– Jestem handlowcem, na wyjeździe służbowym, akurat czekam na nową propozycję. Nie za dobrze mi ostatnio szło. A u pana co słyhać?

– U mnie nic takiego. Ja nie zarabiam pieniędzy, jestem technikiem. Liverant jestem, tak w ogóle.

Benjacomin otaksował go wzrokiem. Faktycznie, stuprocentowy technik. Przywitali się zdawkowo. Liverant powiedział:

– Dołączę do pana w barze, tylko trochę później. Trochę odpocznę i zejde.

Kiedy przez statek przechodziła krótkotrwała iskra planoformacji, obaj położyli się na chwilę i mało się odzywali. Błysk przeszedł. Z książek i szkoły pamiętali, że statek przeskakuje naprzód w dwóch wymiarach, a spowodowana tym furia przestrzeni jest w jakiś nieokreślony sposób absorbowana przez komputery – którymi z kolei zawiaduje kierujący statkiem lot-kapitan.

Wiedzieli to, ale tego nie czuli. Poczuli tylko delikatne ukłucie bólu.

W powietrzu rozpylony był zresztą środek uspokajający, rozprowadzany przez układy wentylacyjne. Obaj spodziewali się poczuć lekkie oszołomienie.

Złodziej Benjacomin Bozart był szkolony, by znosić upojenie i oszołomienie. Każda próba odczytania jego umysłu przez telepatę spotkałaby się z zaciekłym zwierzęcym oporem, wdrukowanym mu w podświadomość podczas pierwszych lat szkolenia. Ale przeciwko oszukaniu przez pracownika technicznego nikt go nie szkolił – Cechowi Złodziei na Violi Siderei nigdy nie przyszło do głowy, że jego ludzie będą musieli stawić opór oszustom. A Liverant już dał znać na Norstrilię – Norstrilię, której pieniądze sięgały do innych gwiazd. Norstrilię, która na samą myśl o wtargnięciu złodzieja postawiła na nogi sto tysięcy światów.

Liverant zaczął go zagadywać.

– Szkoda, że nigdzie dalej nie lecę. Szkoda, że nie mogę polecieć na Olimpię. Na Olimpii da się kupić wszystko.

– Słyszałem o niej. Dość dziwna planeta handlowa, ale dla takich handlowców jak ja to tam za wiele nie ma do roboty.

Liverant parsknął śmiechem, a śmiech miał szczery i uczciwy.

– Handlowa? Oni nie handlują. Oni się wymieniają. Biorą kradzione łupy z tysiąca światów i puszczają z powrotem w obrót, tylko przemalowane, inaczej poznaczane i poprzerabiane. Taką tam mają specjalność. I wszyscy są tam ślepi. Dziwny to świat, wystarczy tam pojechać, a masz wszystko, co zechcesz. Człowieku! Co ja bym dał za rok w takim miejscu! Wszyscy ślepi poza mną i paroma turystami. A skarby? Wszystko, co się ludziom wydawało, że zgubili, połowa rozbitych statków,

wszystkie zapomniane kolonie (wcześniej wyczyszczone do zera) i proszę, to wszystko jakoś znalazło się na Olimpii.

Olimpia naprawdę nie była aż tak świetna, a Liverant nie wiedział, dlaczego kazano mu skierować mordercę akurat tam. Wiedział tylko, że takie ma zadanie.

Na wiele lat przed urodzeniem ich obu, w książkach telefonicznych, zwykłych książkach, na fakturach i opakowaniach poumieszczano kryptonim w postaci źle napisanego słowa „kotecki”. Użycie go uruchamiało wściekły alarm, gotowy do działania, o nerwach rozżarzonych jak wolframowy drut.

Do czasu, gdy obaj gotowi byli zejść do baru i coś sobie wziąć, Benjacomin na wpół zapomniał, że to jego nowy znajomy podpowiedział mu Olimpię. Musiał teraz pojechać na Violę Sidereę i zdobyć kredyty na przelot na Olimpię. Na podbój Olimpii.

## IV

Na ojczystej planecie urządzono na cześć Bozarta niewielką, choć bardzo szczerą uroczystość.

Starsi Cechu Złodziei powitali go. Pogratulowali mu.

– Któż dokonałby więcej niż ty, chłopcze? Zrobiłeś pierwszy ruch w wielkiej, nowej partii szachów. Nigdy w historii nie było takiego gambitu. Mamy nazwisko i mamy zwierzę. Od razu to sprawdzimy.

I Rada Cechu zwróciła się do własnej encyklopedii. Otworzyli ją na nazwisku „Hitton” i znaleźli odwołanie „kotecki”. Żaden z nich nie wiedział, że podrzucono im do encyklopedii fałszywy trop. Zrobił to działający w ich świecie agent.

Agent zaś został skaptowany wiele lat temu, skorumpowany w samym środku kariery zawodowej, zmuszony do tymczasowej szczerości, zaszantażowany i odesłany z powrotem do domu. Przez wiele lat czekał w trwodze na umówione hasło – hasło, o którym sam nie wiedział, że

przyjdzie do niego od norstrilijskiego wywiadu – i nigdy nie śniło mu się, że będzie w stanie takim jednym prostym ruchem spłacić swój dług wobec świata zewnętrznego. Kazali mu tylko podrzucić do encyklopedii jedną, jedyną przesłaną stronę. Dodał ją i pojechał do domu, słaby z wyczerpania. Ledwo wytrzymał te lata pełne lęku i oczekiwania. Do tego dużo pił, bojąc się, że inaczej popełni samobójstwo. A tymczasem strony encyklopedii zachowały swoją kolejność, choć jedna z nich została na użytek jego pobratymców nieco zmodyfikowana. Oznaczone to było jako poprawka, choć naprawdę cały wpis był nowy i fałszywy.

Poprawka naniesiona w roku 24. do wydania II:

*Rzekome „kotecki” z Norstrilii to jedynie metoda użycia substancji organicznych do wywoływania u zmutowanych owiec ziemskiego pochodzenia choroby wirusowej, który to wirus jest następnie rafinowany do leku santaclara. Termin „kotecki” cieszył się chwilową popularnością jako określenie zarówno choroby, jak i sposobu na zlikwidowanie jej w przypadku ewentualnego ataku zewnętrznego. Łączy się to z dokonaniem Benjamina Hittona, jednego z norstrilijskich pionierów.*

Rada Złodziei przeczytała to hasło, a przewodniczący powiedział:

– Twoje papiery są gotowe. Możesz gdzieś się przelecieć, żeby je wypróbować. Gdzie byś chciał? Przez Neuhamburg?

– Nie – rzekł Benjacomin. – Pomyślałem, że spróbuję na Olimpię.

– Może być i Olimpia – zgodził się przewodniczący. – Spokojnie. Jest tylko jedna szansa na tysiąc, że ci się nie uda. Ale jeśli to się zdarzy, być może będziemy musieli za to zapłacić.

Uśmiechnął się i wręczył Benjacominowi weksel in blanco zabezpieczony całą siłą roboczą i całym majątkiem Violi Siderei.

Zaśmiał się. Brzmiało to tak jakby parskał.

– Trochę głupio by nam było, gdybyś się na tej planecie zapożyczył na tyle, żeby nas wszystkich zmusić do uczciwej pracy, a potem i tak przegrał.

– Nie ma obaw – powiedział Benjacomin. – Na pewno mi się uda.

\*\*\*

Są takie światy, gdzie umierają wszystkie marzenia, ale nie zalicza się do nich Olimpia o kwadratowych chmurach. Na Olimpii oczy kobiet i mężczyzn płoną jasno, albowiem nic nie widzą.

„Kiedy widzieliśmy”, powiedział Nachtigall, „jasność miała barwę bólu. Jeśli twe oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie, albowiem grzech nie w oku, lecz w duszy się czai”.

Na Olimpii często się tak mówiło: tutejsi osadnicy stracili wzrok dawno temu i teraz mają się za lepszych od widzących ludzi. Mózgi lechcą im elektrody radarów, a promieniowanie postrzegają równie dobrze, jak ludzie typu zwierzęcego z małymi akwariami pośrodku twarzy. Widzą ostro i od umysłów też wymagają ostrości. Ich budynki wznoszą się pod niemożliwymi kątami. Ślepe dzieci śpiewają piosenki, gdy dostosowana do potrzeb pogoda zmienia się zgodnie z wyliczeniami, geometryczna jak kalejdoskop.

I oto pojawił tam się Bozart we własnej osobie. Wśród ślepych jego ambitne plany szybowwały pod niebo. Zapłacił pieniędzmi za informację, której wcześniej nikt żywy nie widział na oczy.

Olimpia, planeta o kanciastych chmurach i błękitnym niebie przepływała przed nim jak czyjś sen. Nie zamierzał spędzać na niej zbyt dużo czasu, bo był już umówiony na spotkanie ze śmiercią, w lepkiej, roziskrzanej przestrzeni nad Norstrilią.

Znalazłszy się na Olimpii, rzucił się w wir przygotowań do ataku. Drugiego dnia pobytu wielce mu się poszczęściło. Spotkał człowieka imieniem Lawenda i był przekonany, że już to imię gdzieś słyszał. Nie był może członkiem tutejszego Cechu Złodziei, ale odważnym łotrem o złej reputacji sięgającej gwiazd.

W tym, że go znalazł, nie było nic dziwnego. Przez ostatni tydzień, kiedy spał, poduszka powtórzyła mu jego historię piętnaście razy. A kiedy śnił, miał sny, które podrzucił mu do głowy norstrilijski kontrwywiad. Znaleźli się przed nim na Olimpii i byli gotowi dać mu to, na co zasługuje.

Norstrilijaska policja nie była okrutna, ale broniła swojego świata. Tym razem musieli także pomścić zabójstwo dziecka.

Ostatnia rozmowa, jaką odbył z Lawendą, kiedy dobili targu, miała dramatyczny przebieg.

Lawenda najpierw odmówił.

– Ja nie będę nigdzie przeskakiwać. Nie będę niczego kraść ani na nic napadać. Oczywiście, robiłem różne rzeczy. Ale nie zamierzam dać się zabić, a ty się tego właśnie domagasz.

– Pomyśl tylko, ile tam jest. Jaki to skarb. Mówię ci, tam jest więcej pieniędzy niż ktokolwiek miał w historii.

Lawenda parsknął śmiechem.

– Myślisz, że ja już tego nie słyszałem? Obaj jesteście przestępcami. Ale spekulacjami to ja się nie zajmuję. Kasa na stół i tyle. Moja specjalność to walka, ty jesteś złodziejem, i nie będę pytać, co dokładnie kombinujesz... ale najpierw kasa ma być na stole.

– Nie mam żadnych pieniędzy – odparł Benjacomin.

Lawenda wstał.

– To nie trzeba było ze mną gadać. Bo moje milczenie będzie cię kosztowało, niezależnie od tego, czy mnie zatrudnisz, czy nie.

I zaczęły się targi.

Lawenda wyglądał naprawdę paskudnie. Był zwyczajnym, miękkim człowiekiem, który mocno się natrudził, żeby być złym. A grzech to ciężka praca. Sam związany z nim wysiłek często odbija się na ludzkiej twarzy.

Bozart patrzył mu w oczy, uśmiechając się nonszalancko, nawet nie pogardliwie.

– Osłaniaj mnie, muszę coś wyciągnąć z kieszeni – powiedział.

Lawenda nie dał po sobie poznać, że usłyszał. Nie pokazał żadnej broni. Powoli przesunął lewym kciukiem po zewnętrznej krawędzi dłoni. Benjacomin rozpoznał ten znak, ale nawet nie drgnął.

– Zobacz – powiedział.

– Całoplanetarny kredyt. – Lawenda parsknął śmiechem. – Nieraz już takie oglądałem.

– Weź go – dodał Bozart.



Awanturник wziął do ręki zalaminowaną kartę. Wytrzeszczył oczy.

– Prawdziwy – sapnął.

– Pewnie, że prawdziwy.

Lawenda uniósł wzrok, już o wiele bardziej przyjazny.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem. Jakie są warunki?

Tymczasem wokół nich tam i z powrotem spacerowali kolorowi, jaskrawi Olimpijczycy, ubrani wyłącznie w dramatycznie kontrastujące czerń i biel. Na ich ubraniach i czapkach rozbłyskiwały niesamowite geometryczne wzory. Dwaj dobijający targu przestępcy nie zwracali na nich uwagi. Skupili się na swoich negocjacjach.

Benjacomin poczuł się względnie bezpieczny. Zaoferował jeden rok pracy całej Violi Siderei w zamian za stuprocentowe i bezwarunkowe usługi kapitana Lawendy, byłego członka Wewnętrznego Patrolu Kosmicznego Cesarskich Komandosów. Wręczył mu umowę. Była do niej wpisana owa roczna gwarancja. Nawet na Olimpii były maszyny księgowo, które przekazały transakcję z powrotem na Ziemię, informując o zawarciu ważnej i wiążącej prawnie umowy obejmującej całą planetę złodziei.

Oto, proszę państwa, pomyślał Lawenda, jest pierwszy krok do zemsty.

Kiedy zabójca zniknie, jego ludzie będą musieli zapłacić w stu procentach uczciwie. Przyjrzał się Benjacominowi z kliniczną troską.

Benjacomin wziął to za życzliwość i uśmiechnął się swoim ospałym, pełnym gracji, nonszalanckim uśmiechem. Przez chwilę zadowolony, wyciągnął prawą dłoń, by po bratersku przypieczętować umowę. Uścisnęli sobie dłonie, a Bozart nigdy się nie dowiedział, co ten gest naprawdę oznaczał.

## V

– Szara szara ziemia. Szara szara trawa. Nigdzie ani źródła, ani źródelka. Ani jednej góry, wysokiej czy niskiej, tylko pagórki, szare szare. A na piegowatym pasku nieba iskierki mrugają, migają.

– Oto jest Norstrilia.

– Parszywego błocka już tam nie ma. Tyle pracy, tyle czasu, tyle cierpienia.

– Beżowobrazowe owce leżą sobie na szaroniebieskiej trawie, a górą pędzą chmury, nisko i ponuro, jakby świat miał strop z żelaznej rury. Wybierz sobie, chłopie, owcę, byle chorą, to zarobisz sporo. Niech wykicha forszę na całą planetę, albo wykaszle życie nieśmiertelne. Może tu jest zimno, gdzie żyją trolle i skrzaty jak ty, ale tam też jest. Tak rzecze księga, chłopcze.

– Póki tego nie zobaczysz, to nic Norstrilii nie widziałeś. A jak zobaczysz, i tak nie uwierzysz.

– Na mapach nazywa się to Stara Australia Północna.

I tak właśnie, w sercu tego świata, stała strzegąca go farma. Rodzinna farma Hittonów.

Otoczały ją wieże, między wieżami druty, niektóre mocno obwisłe, inne lśniące połyskiem, jakiego nie ma żaden metal na Ziemi. Wieże otaczały otwarty teren. A pośrodku otwartego terenu znajdowało się dwanaście tysięcy hektarów betonu. Radar przenikał gładki beton ledwie na milimetr, a inne radary rzucały na jego powierzchnię stale zmieniające się wzory. Farma ciągnęła się i ciągnęła. A pośrodku niej stała grupa budynków. Tam właśnie Katherine Hitton trudziła się nad zadaniem, które dobrowolnie dała powierzyć sobie jej rodzina: obroną swojego świata.

Nie mógł tam wejść ani wyjść ani jeden zarazek. Całe jedzenie transportowano z kosmosu. A w środku mieszkały zwierzęta. Tylko od matki Hitton zależało ich przetrwanie. Gdyby jakimś nieszczęściem, albo wskutek ich ataku nagle zginęła, władze planety dysponowały jej idealnymi faksymile, żeby pod hipnozą wyszkolić następczynię.

Szary wiatr spływał ze wzgórz, pędził porywiście nad szarym betonem, pomiędzy wieżami radarów. Wyszlifowany w fasetki, obłaskawiony księżyc zawsze wisiał dokładnie nad farmą. Wiatr uderzał w budynki, też szare, z siłą młota, a potem sunął dalej nad szarym betonem i znikał pośród wzgórz.

Otoczająca budynki dolina nie potrzebowała żadnego innego kamuflażu. Wyglądała dokładnie jak reszta Norstrilii. Sam beton zaś zabarwiono bardzo delikatnie, by wyglądał jak uboga, wyjałowiona, naturalna gleba. Tak oto wyglądały farma i jej mieszkanka. Razem stanowiły zewnętrzny pierścień obrony najbogatszego ze światów, jakie stworzyła ludzkość.

Katherine Hitton wyjrzała przez okno i pomyślała: jeszcze czterdzieści dwa dni, zanim będę mogła pójść na rynek, w ten piękny dzień, kiedy słyszy się tam skoczną muzyczkę...

*Na spacerek w dzień targowy  
Chętkę mam,  
Ludzi dumnych i wesołych  
Spotkam tam!*

Nabrała głęboki haust powietrza. Uwielbiała te szare wzgórza – choć w młodości widziała wiele innych światów. A potem wróciła do swoich zwierzaków i obowiązków. Była jedyną matką Hitton na planecie, a to były jej pułate kotecki.

Przeszła pomiędzy nimi. Razem z ojcem wyhodowali je z ziemskich norek, z najzłośliwszych, najmniejszych i najbardziej obłąkanych egzemplarzy, jakie udało im się ściągnąć z Kolebki Ludzkości. Poświęcili życie, by uczynić z nich środek odstraszaający innych drapieżców, mogących niepokoić owce, na których rósł strun. Te norki już rodziły się szalone.

Od pokoleń hodowano je psychotyczne do szpiku kości. Żyły tylko po to, by umrzeć, umierały, by pozostać przy życiu. To właśnie były norstrilijskie kotecki – zwierzęta, u których strach, furia, głód i żądza były kompletnie przemieszane; które potrafiły pożreć się nawzajem, albo nadgryźć same siebie; które mogły zjeść własne młode, człowieka, czy w ogóle cokolwiek organicznego; zwierzęta, które krzyczały w morderczej żądzy, gdy czuły miłość; zwierzęta od urodzenia nienawidzące siebie żywą i ognistą nienawiścią, przeżywające tylko dlatego, że zawsze budziły się na

leżankach, całkowicie unieruchomione paskami, żeby nie mogły zrobić krzywdy ani sobie, ani swoim sąsiadom. Matka Hitton pozwalała im się budzić tylko parę razy w życiu. Rozmnażały się i zabijały. I budziła tylko po dwa naraz.

Całe popołudnie chodziła od klatki do klatki. Zwierzaki spały dobrze. Karmione były dożylnie i zdarzało im się całe lata przeżywać bez budzenia. Rozmnażała je, gdy samce były częściowo obudzone, a samice pobudzone tylko na tyle, by można je było poddać weterynaryjnym zabiegom. Musiała też odbierać młode matkom, gdy tylko je urodziły. Potem karmiła je przez parę szczęśliwych tygodni dzieciństwa, póki do głosu nie zaczęła dochodzić ich dorosła natura, oczy nie poczerwieniały od szaleństwa i żądy, a emocje nie wydarły się z nich ostrym, paskudnym krzykiem przenikającym cały budynek; wykrzywieniem ładnych, puszystych pyszczków; wywróceniem płonących obłędem oczu i zaciśnięciem ostrych, ostrych pazurów.

Tym razem żadnego z nich nie obudziła. Przeciwnie, mocniej zaciągnęła im paski. Wyłączyła dopływ substancji odżywczych. I podała działający z opóźnieniem środek pobudzający, który miał spowodować, że po obudzeniu będą natychmiast stuprocentowo przytomne, bez przejściowej fazy oszołomienia.

Na koniec podała sobie silny środek uspokajający, rozparła się w fotelu i czekała na sygnał, który miał nadejść.

Kiedy pojawi się wstrząs, oznajmiający nadejście sygnału, będzie musiała zrobić to samo, co robiła wcześniej już tysiąc razy.

Włączy nieznośnie głośny alarm w całym laboratorium.

Setki zmutowanych nerek obudzą się. A obudziwszy się, wpadną w życie pełne głodu, nienawiści, furii i żądy; będą się szarpać w uprzężach, próbować pozabijać się nawzajem, pozabijać swoje młode, siebie i ją. Będą walczyć ze wszystkim i wszystkimi, i zrobią wszystko, żeby to trwało i trwało.

Wiedziała o tym.

Pośrodku sali stał tuner – bezpośredni, empatyczny przekaznik, potrafiący odbierać co prostsze przekazy telepatyczne. W nim skupiały się

emocje puhatych kotecków matki Hitton.

Furia, nienawiść, głód i żądza, wszystko skupiało się w nim, przekraczając możliwy do przeżycia próg, a potem jeszcze było wzmacniane. A potem całe pasmo wzmacniały jeszcze raz wysokie wieże rozstawione na wzgórzach wokół laboratorium. A potem jeszcze księżyc matki Hitton, kręcący się geometrycznie, zbierał pustym wydrążeniem ten przekaz – po czym odbijał go do satelitów, szesnastu, z wyglądu będących elementami układu sterowania pogodą. Te pokrywały nie tylko przestrzeń, ale i pobliską podprzestrzeń. Norstrilijczycy pomyśleli o wszystkim.

Bank odbiorników matki Hitton odebrał serię krótkich wstrząsów alarmu.

Nadszedł sygnał. Zdrętwiał jej kciuk.

Zawył alarm.

Norka się obudziła.

Pomieszczenie natychmiast wypełniło jazgotanie, drapanie, syczenie, warczenie i wycie.

A w tle zwierzęcych głosów brzmiało coś jeszcze: zgrzytliwy, tępy odgłos przypominający uderzenia gradu w powierzchnię zamrożonego jeziora. Był to odgłos pazurów poszczególnych norek usiłujących wydrapać dziurę w metalowych płytach.

Matka Hitton usłyszała gulgot. To jednej z norek udało się uwolnić łapę i ewidentnie zaczynała dobierać się sobie samej do gardła. Rozpoznała odgłos dartego futra, prucia żył.

Nasłuchiwała, czekając, aż ten konkretny odgłos ucichnie, ale nie była pewna. Reszta za bardzo hałasowała.

O jedną norkę mniej.

Tam, gdzie siedziała, była częściowo odizolowana od telepatycznego przekaźnika. Sama, mimo podeszłego wieku, poczuła się dziwnie, gdy przeszły przez nią te obłądne sny. Zadygotała z nienawiści, myśląc o cierpiących obok istotach – cierpiących strasznie, bo ich cierpienie nie było ekranowane przez wbudowane środki obronne norstrilijskiego systemu łączności.

Poczuła drgnienie dawno zapomnianego pożądania.

Zapraagnęła rzeczy, o których, wydawało się, dawno zapomniała. Przeszły ją spazmy strachu emanowanego przez setki zwierząt.

A w tle tego wszystkiego rozsądek w jej umyśle cały czas pytał: „Ile czasu jeszcze będę w stanie to znosić? Ile będę musiała to znosić? Panie Boże, zlituj się nad swoim ludem na tej ziemi! Zlituj się i nade mną, starą i niedołążną”.

Zapaliło się zielone światełko.

Przycisnęła guzik po drugiej stronie fotela. Zasyczał gaz. Traciła przytomność, wiedząc, że jej kotecki również.

Obudzi się przed nimi i zaczną się obowiązki: sprawdzenie stanu wszystkich żywych, usunięcie tych, które rozdrapały sobie gardło, poprzestawianie pozostałych, opatrzenie ran, zatroszczenie się o te żywe i śpiące – śpiące i szczęśliwe – parzące się, żyjące we śnie – póki nie przyjdzie kolejny sygnał, by je obudzić do obrony skarbów, które były tak błogosławieństwem, jak i przekleństwem jej ojczystego świata.

## VI

Wszystko poszło doskonale. Lawenda znalazł nielegalny statek planoformacyjny. Było to nie lada osiągnięcie – takie statki bardzo skrupulatnie licencjonowano i znalezienie jednego nielegalnego było zadaniem, na którym cała planeta złodziei mogłaby spokojnie skupić się przez całe życie.

Lawenda dostał masę pieniędzy – pieniędzy Benjacomina.

Uczciwe pieniądze planety złodziei zaczęły opłacać fałszerstwa, spłacać ogromne długi, finansować fikcyjne transakcje, o których dane szły do komputerów, dane o statkach, ładunkach i pasażerach, niepostrzeżenie mieszając się z ogromnym potokiem informacji handlowych z dziesięciu tysięcy światów.

– A niech płaci – powiedział Lawenda do jednego ze swoich kompanów, z pozoru przestępcy, który także był norstrilijskim agentem. – Płaci

uczciwe pieniądze za nic. Wydaj jak najwięcej.

Tuż przed wylotem Benjacomina Lawenda wysłał jeszcze jedną wiadomość.

Przekazał ją przez lot-kapitana – lot-kapitanowie zwykle nie przewozili wiadomości. Ten lot-kapitan był jednak oficerem łącznikowym norstrilijskiej floty, choć skrupulatnie zadbano, by nie było tego widać na pierwszy rzut oka.

Wiadomość dotyczyła kosztu licencji na planoformację – kolejnych dwudziestu paru tabletek strunu, które mogły zadłużyć Violę Sidereę na setki i setki lat. Kapitan odparł:

– Nie muszę tego przesyłać dalej. Odpowiedź brzmi: „tak”.

Benjacomin wszedł do sterówki statku. Było to wbrew przepisom, ale przecież wynajął ten statek po to, by łamać przepisy.

Kapitan spojrzał na niego ostro.

– Pan jest pasażerem, proszę stąd wyjść.

Benjacomin rzekł:

– Pan ma w ładowni mój mały jacht. I poza pana załogą jestem jedynym człowiekiem.

– Proszę wyjść. Za przebywanie tutaj jest przewidziana kara.

– Kara? Nieważne, zapłacę.

– Tak, zapłaci pan? – powiedział kapitan. – Już tych dwudziestu tabletek strunu pan nie zapłaci, to absurd. Nikt na świecie nie ma takiej ilości strunu.

Benjacomin zaśmiał się, myśląc o tysiącach tabletek, na których niedługo położy rękę. Wystarczyło tylko wyprzedzić statek planoformacyjny, raz uderzyć, przebić się przez kotecki i wrócić.

Jego siła i bogactwo brały się teraz z tego, że wiedział, że już ma to w zasięgu ręki. Zastaw o wartości dwudziestu tabletek strunu na rzecz tej planety był niczym, skoro miał się zwrócić tysiąckrotnie.

– Nie warto, po prostu nie warto ryzykować dwudziestu tabletek strunu za przebywanie tutaj – powiedział kapitan. – Ale jeśli to dla pana warte dwadzieścia siedem tabletek, mogę panu powiedzieć, jak się dostać do środka sieci komunikacyjnej Norstrilii.

Benjacomin zeszywniał.

Przez chwilę myślał, że zaraz zginie. Tyle trudu, tyle treningu, martwy chłopiec na plaży, ta hazardowa zagrywka z kredytem i oto nagle jeszcze niespodziewany przeciwnik!

Postanowił stawić mu czoło.

– Co pan wie? – zapytał.

– Nic.

– Powiedział pan „Norstrilia”

– Powiedziałem – odparł kapitan.

– Czyli domyślił się pan. Kto panu powiedział?

– A gdzie indziej się leci, kiedy się poluje na nieskończone bogactwo? O ile się panu uda. Wtedy dwadzieścia tabletek to dla pana nic.

– To dwieście lat pracy dla trzystu tysięcy ludzi – zauważył ponuro Benjacomin.

– Ale jak się panu uda, będzie pan mieć więcej niż dwadzieścia tabletek i pana ludzie też.

Benjacomin pomyślał o tysiącach i tysiącach tabletek.

– No oczywiście.

– A jeśli się panu nie uda, to ma pan tę kartę.

– Racja. Racja. Niech pan mnie zawiezie do środka tej sieci. Zapłacę dwadzieścia siedem tabletek.

– Proszę mi dać tę kartę.

Benjacomin odmówił. Był szkolonym złodziejem, zatem wyczulonym na złodziejstwo.

Potem jednak zastanowił się jeszcze raz. To był punkt kryzysowy jego życia. Musiał trochę zaryzykować.

Musiał postawić wszystko na tę kartę.

– Oznaczę ją tylko i panu oddam.

Był tak podekscytowany, że nawet nie zauważył, że karta trafiła do duplikatora, odnotowano transakcję, transakcja poszła do Centrum Rozliczeniowego na Olimpii, a debet w ciężar planety Viola Siderea będzie od niej egzekwowany przez pewne agencje handlowe przez najbliższe trzysta lat.



Dostał kartę z powrotem. Poczul się uczciwym złodziejem.

Jeśli zginie, karta przepadnie wraz z nim i jego lud nie będzie musiał nic płacić. A jeśli zwycięży, spłaci tę sumkę drobnymi z kieszeni.

Benjacomin usiadł. Lot-kapitan dał sygnał swoim światłostrzelcom. Statek szarpnął.

Przez pół subiektywnej godziny lecieli, kapitan miał na głowie kosmiczny hełm, wyczuwał, wymacywał i rozpoznawał przestrzeń, przeskakując z kamienia na kamień, wracając prosto do domu. Musiał dobrze udawać, że szuka tej drogi, i trochę się mylić, by Benjacomin nie domyślił się, że jest w rękach podwójnych agentów.

Ale kapitan był dobrze wyszkolony. Równie dobrze, jak Benjacomin.

Agenci i złodzieje jechali zatem razem.

Po planofornacji wylądowali w środku sieci komunikacyjnej. Benjacomin uścisnął im dłonie.

– Możecie się zmaterializować jak tylko dam sygnał.

– Powodzenia, sir – powiedział kapitan.

– Powodzenia mnie – odrzekł Benjacomin.

Wsiadł do swojego kosmicznego jachtu. Przez niecałą sekundę w realnym kosmosie widział przed sobą szarą bryłę Norstrilii. Statek, który wyglądał jak zwyczajny magazyn, zniknął w planofornie i jacht był zdany sam na siebie.

Zaczął opadać.

A gdy opadał, Benjacomin przeżył paskudną chwilę pełną dezorientacji i przerażenia.

Nigdy nie dowiedział się o istnieniu tej kobiety na dole, za to ona czuła go wyraźnie, gdy znalazł się pod ostrzałem wielokrotnie wzmocnionej furii kotecków. Świadomość zadygotała pod ciosem. Subiektywny czas rozciągnął mu się tak, że sekunda czy dwie wydawały się całymi miesiącami pijanego oszołomienia. Benjacomin utonął pod falą własnej osobowości. Przekaznik na księżycu strzelił w niego wzmocnionym przekazem norkowych umysłów. Synapsy w mózgu zaczęły mu się przestawiać, tworząc Gdyby, potworne struktury, które nigdy nie powstały u żadnego człowieka. Potem świadomy umysł, przeciążony stresem, padł.

Podkorowa osobowość żyła jeszcze chwilę dłużej.

A ciało – ciało walczyło przez kilka minut. Oszalałe z żądy i chuci, wygięło się w łuk w fotelu pilota, usta wgrzły się do kości w prawe przedramię. Kierowana żądzą lewa ręka wpiła się w twarz, wylupiając lewe oko. Wrzasnął ze zwierzęcą chucią, próbując pożreć siebie samego... i nawet po części mu się udało.

Wszechogarniający telepatyczny przekaz puhatych kotecków matki Hitton wwiерcił mu się w mózg.

Zmutowane norki były w pełni przytomne.

Satelity przekaźnikowe skaziły całą przestrzeń wokół niego hodowanym od pokoleń obłędem.

Ciało Bozarta nie przetrwało długo. Po paru minutach miał rozprute tętnice, głowę obwisłą na pierś, a jacht spadał bezradnie ku magazynom, na które miał napaść. Przechwyciła go norstrilijska policja.

Policjanci też źle się czuli. Wszyscy źle się czuli, bladzi jak ściana. Niektórzy wymiotowali. Zahaczyli o sam skraj norkowego pola, w jego najslabszym i najwątleszym punkcie. To wystarczyło, by poważnie im zaszkodzić.

Nie chcieli wiedzieć, co to było.

Chcieli zapomnieć.

Któryś z młodszych policjantów spojrział na zwłoki i powiedział:

– Boże, od czego mu się tak zrobiło?

– Wybrał sobie złą drogę – odparł kapitan policji.

Młody zapytał:

– Czyli jaką?

– Zła droga, chłopcze, to próbować nas okraść. Jesteśmy silnie bronieni i nawet nie chcemy wiedzieć jak.

Młody poczuł upokorzenie i złość; wyglądał jakby zaraz miał zacząć pyskować przełożonemu. Przez cały czas starał się nie patrzeć na trupa Benjacomina Bozarta.

Starszy dodał:

– Nie przejmuj się. Długo nie umierał, a poza tym to on zabił niedawno małego Johnny'ego.

– A, to on? I tak szybko go dorwaliśmy?  
– Ściągnęliśmy go tutaj. – Starszy kiwnął głową. – Pozwoliliśmy, żeby sam się wybrał na śmierć. Tak się u nas żyje. Srogo, prawda?

\*\*\*

Wentylatory łagodnie i delikatnie szumiały. Zwierzaki znowu spały. Matkę Hitton owiał strumień powietrza. Telepatyczny przekaźnik znów się włączył. Czują i siebie, i baraki, i fasetkowy księżyc, i małe satelity. Ale ani śladu złodzieja.

Z trudem wstała na nogi. Suknię miała mokrą od potu. Potrzebowała się wykąpać i przebrać...

\*\*\*

A na Kolebce Ludzkości Kalkulator Rozliczeń Handlowych gwizdnął przenikliwie, żeby zwrócić uwagę człowieka. Młodszy podszeft Instrumentalności podszedł do maszyny i wyciągnął rękę.

Maszyna zręcznie wypluła na nią kartę.

Spojrzał.

– Winien: Viola Siderea, Ma: Ziemski Fundusz Zabezpieczeń, subkonto: Nortstrilia, kwota: czterysta milionów megaosobolat.

Choć był całkiem sam, i tak gwizdnął.

– Wszyscy tu pomrzemy, choćby nie wiem ile strunu brać, zanim oni to spłacą!

Poszedł powiedzieć kolegom o dziwnej nowinie.

Maszyna, skoro nie dostała karty z powrotem, wydrukowała kolejną.

## BULWAR ALFA RALFA

Obserwujemy tu sam początek Drugiego Odkrycia Ludzkości – wielkiego przedsięwzięcia lorda Żestokosta i lady Alice More, którzy chcieli przywrócić człowiekowi prawo do wolności; do ryzyka, niepewności, nawet do śmierci. Scenę na bulwarze Alfa Ralfa zainspirował obraz Pierre-Auguste’a Côt, *Burza*, Macht jest być może jednym ze złych Vomactów, a być może nie, Abba-dingo zaś wygląda na dziwną krzyżówkę semicko-australijską oznaczającą „ojca kłamstw”...

W owych wczesnych latach upajaliśmy się szczęściem. Wszyscy byli nim oszołomieni, a już zwłaszcza młodzi. Były to pierwsze lata Drugiego Odkrycia, kiedy Instrumentalność sięgnęła głęboko do skarbcza i zaczęła rekonstruować dawne kultury, dawne języki, a nawet dawne problemy. Koszmar doskonałości doprowadził naszych przodków do progu samobójstwa. Teraz, pod wodzą lorda Żestokosta i lady Alice More, starożytne cywilizacje wynurzały się jak wielkie masywy lądów z morza przeszłości.

Ja sam byłem pierwszym człowiekiem po czternastu tysiącach lat, który nakleił na list znaczek pocztowy. Zabrałem Virginie na pierwszy recital fortepianowy. Oglądaliśmy przez obrazo-maszynę wypuszczenie cholery w Tasmanii, widzieliśmy Tasmańczyków tańczących na ulicach, z radości, że już nie muszą być chronieni. Wszędzie jednocześnie wszystko naraz stawało się ekscytujące. Wszędzie mężczyźni i kobiety z dziką ochotą pracowali nad stworzeniem bardziej niedoskonałego świata.

Ja sam udałem się do szpitala i wyszedłem jako Francuz. Oczywiście pamiętałem wcześniejsze życie – pamiętałem je, ale nie miało to znaczenia. Virginia także została Francuzką, mieliśmy przed sobą całe lata przyszłości, czekające jak dojrzałe owoce w sadzie, w krainie wiecznego lata. Nie mieliśmy pojęcia, kiedy umrzemy. Wcześniej byłbym w stanie, kładąc się spać, pomyśleć: władze dały mi czterysta lat. Za trzysta siedemdziesiąt pięć odstawią zastrzyki ze strunu i wtedy umrę. Teraz wiedziałem, że wszystko się może zdarzyć. Wyłączono wszelkie zabezpieczenia. Choroby znalazły się na wolności. Przy odrobinie szczęścia, nadziei i miłości mogłem przeżyć tysiąc lat. Albo umrzeć następnego dnia. Byłem wolny.

Rozkoszowaliśmy się każdą chwilą każdego dnia.

Kupiliśmy z Virginią pierwszą francuską gazetę, jaka wyszła od upadku Najstarszego Świata. Zachwycaliśmy się wiadomościami, a nawet reklamami. Niektóre elementy kultury były trudne do zrekonstruowania. Ciężko było mówić o potrawach, z których przetrwała tylko nazwa, ale homunkulusy i maszyny, niestrudzenie pracujące w Głębinie-Głębinie, wypełniły powierzchnię świata wystarczającą liczbą cudów, by każdemu wstąpiła w serce nowa nadzieja. Wiedzieliśmy, że wszystko to jest na niby, choć wcale tak nie było. Wiedzieliśmy, że kiedy wskutek chorób umrze statystycznie odpowiednia liczba osób, zostaną wyłączone; kiedy częstotliwość wypadków zanadto wzrośnie, po prostu ustaną, a my nie będziemy wiedzieli dlaczego. Ufaliśmy, że lord Żestokost i lady Alice More będą grać z nami jak z przyjaciółmi, nie robiąc z nas ofiar swojej gry.

Weźmy na przykład Virginię. Wcześniej nazywała się Menerima, co było zakodowanym w dźwiękach jej numerem ewidencyjnym. Była drobna, odrobinę pulchna, krępa, głowę miała całą w drobnych brązowych loczkach, a oczy tak ciemne, że trzeba było słońca, pod którym je mrużyła, by wydobyć bogactwo tęczy. Znałem ją dobrze, ale nigdy nie poznałem. Widywałem ją często, lecz nigdy nie zobaczyłem jej swoim sercem, póki nie spotkaliśmy się tuż przed szpitalem, po tym, jak zostaliśmy Francuzami.

Ucieszyłem się, widząc starą znajomą, i odezwałem się w Starym Wspólnym Języku, lecz zacząłem się zacinać; a to już nie była dawna Menerima, lecz ktoś o dawnej, rzadkiej i osobliwej urodzie, ktoś, kto zawędrował do dzisiejszych czasów z owych drogocennych zaginionych światów przeszłości. Byłem w stanie tylko wyjąkać:

– Jak się pani teraz nazywa? – I powiedziałem to w starożytnym francuskim.

Odpowiedziała w tym samym języku:

– *Je m'appelle Virginie.*

Patrzyłem na nią i zakochiwałem się w niej. Był to ten sam proces. Miała w sobie coś silnego, coś dzikiego, skrytego pod delikatnością i młodzieńczością jej drobnego ciała. Całkiem jakby z tych piwnych oczu przemawiało do mnie samo przeznaczenie – z oczu, które indagowały mnie bystro i pewnie, tak jak oboje badaliśmy rozciągający się wokół nas świeży, nowy świat.

– Pani pozwoli? – zapytałem, podając jej ramię, jak się nauczyłem przez wiele godzin hipnopedii.

Wzięła mnie pod rękę i wyszliśmy ze szpitala.

Zanuciłem melodię, która wpadła mi do głowy wraz ze starożytnym francuskim.

Pociągnęła mnie delikatnie za ramię i uśmiechnęła się.

– Co to takiego? – zapytała. – Chyba że nie wiesz?

Słowa łagodnie spłynęły mi do ust i zaśpiewałem je bardzo cicho, tłumiąc głos jej kręconymi włosami, na wpół śpiewając, na wpół szepcząc tę popularną piosenkę, która wpadła mi do głowy razem z tysiącem innych rzeczy, jakie umieściło tam Drugie Odkrycie:

*Ja tej kobiety nie szukałem,*

*Ślepy los mi ją dał.*

*Jej akcent wcale nie jak z Francji,*

*Jak z Martyniki brzmiał.*

*I w jej spojrzeniu się zakochałem,  
Choć ani krzty w niej elegancji.  
I to by było tyle...*

Nagle skończyły mi się słowa.

– Resztę chyba zapomniałem. To się nazywa *Macouba* i ma coś wspólnego z taką piękną wyspą, którą starożytni Francuzi nazywali Martyniką.

– Wiem, gdzie to jest! – wykrzyknęła. Dostała takie same wspomnienia, jak ja. – Z Ziemioportu ją widać!

To był nagły powrót do znanego nam świata. Ziemioport stał na swym jedynym filarze, wysokim na dwadzieścia kilometrów, na wschodnim brzegu małego kontynentu. Na jego szczycie pracowali lordowie, wśród maszyn, które już nie miały znaczenia. Tam ze szmerem powracały z gwiazd statki. Widziałem to na zdjęciach, choć sam nigdy tam nie byłem. Właściwie to nawet nie znałem nikogo, kto kiedykolwiek byłby w Ziemioporcie. Bo i po co? Nie bylibyśmy tam mile widziani, a wszystko widzieliśmy równie dobrze przez obrazki w obrazo-maszynie. Że Menerima – dawna, przewidywalnie miła, droga Menerima – tam była? Nie do pomyślenia! Przyszło mi do głowy, że i w Idealnym Świecie nie wszystko było tak jasne i proste, jak się wydawało.

Virginia, nowa Menerima, spróbowała mówić Starym Wspólnym Językiem, poddała się jednak i wróciła do francuskiego.

– Moja ciocia – miała na myśli zaprzyjaźnioną damę, gdyż od tysięcy lat nie było prawdziwych ciotek – była Wierną. Zabrała mnie do Abba-dinga. Po świętość i szczęście.

Dawne moje „ja” odrobinę się zszokowało; natomiast francuskie „ja” zaniepokoi fakt, że dziewczyna dokonała czegoś niezwykłego, zanim cała ludzkość przestawiła się na niezwykłość. Abba-dingo był dawno przestarzałym komputerem zainstalowanym wysoko na słupie Ziemioportu. Homunkulusy traktowały go jak boga, czasami chodzili do niego i ludzie. Uważało się to za męczące i prostackie.

Zresztą, może przedtem się uważało. Zanim wszystko znów stało się nowe.

Nie okazując irytacji, zapytałem:

– I jak było?

Zaśmiała się lekko, choć szczebiot w jej śmiechu przyprawił mnie o dreszcz. Skoro dawna Menerima miała tajemnice, to na co było stać nową Virginie? Prawie znienawidziłem los, który kazał mi ją pokochać, który sprawił, że gdy dotykała mego ramienia, czułem łączność z wiecznością.

Uśmiechnęła się, zamiast odpowiedzieć na pytanie. Nawierzchnia drogi była w remoncie, zeszliliśmy więc pochylnię na najwyższy poziom podziemi, gdzie zgodnie z prawem mogli chodzić i prawdziwi ludzie, i hominidy, i homunkulusy.

Nie czułem się zbyt pewnie; nigdy nie oddaliłem się o więcej niż dwadzieścia minut drogi od miejsca, gdzie się urodziłem. Pochylnia wyglądała jednak dość bezpiecznie. W owych czasach niewiele było hominidów, ludzi z gwiazd, którzy (choć noszący prawdziwe ludzkie geny) zmienili się w ramach przystosowania do warunków panujących na ich tysiącach światów. Homunkulusy były moralnie odrażające, choć wiele z nich wyglądało jak bardzo przystojni ludzie; wyhodowane ze zwierząt, ale ukształtowane na podobieństwo człowieka, zajmowały się ciężką pracą przy maszynach tam, gdzie nie chciał się zapuszczać żaden człowiek. Szeptano się, że niektóre z nich nawet parzą się z ludźmi, a ja nie chciałem narażać mojej Virginii na obecność takiej kreatury.

Trzymała mnie wtedy pod rękę. Gdy szliśmy pochylnię do ruchliwego korytarza, uwolniłem ramię i objąłem ją, przyciągając do siebie. Było tam wystarczająco jasno, dość światła, by widzieć wyraźniej niż na powierzchni, z której przed chwilą zeszliliśmy, mimo to było dziwnie i groźnie. W dawnych czasach raczej zawróciłbym na pięcie i poszedł do domu niż narażał się na kontakt z tymi ohydnyimi stworami. Jednakże wówczas, w tamtej chwili, nie byłem w stanie rozstać się z dopiero co poznaną miłością, a obawiałem się, że jeśli wrócę do swojego mieszkanka



w wieżowcu, to ona wróci do swojego. Zresztą, cała ta francuszczyzna dodawała niebezpieczeństwu pikanterii.

Chociaż idący tamtędy ludzie wyglądali w zasadzie zupełnie zwyczajnie. Wiele zapracowanych maszyn, czasem o ludzkim kształcie, a czasem nie. Hominida nie widziałem ani jednego. Inne istoty, o których wiedziałem, że są homunkulusami, bo ustępowały nam z drogi, niczym nie różniły się od prawdziwych ludzi na powierzchni. Jedna niezwykle piękna dziewczyna rzuciła mi spojrzenie, które wcale mi się nie spodobało – pieprzne, inteligentne, wyzywające, uwodzicielskie ponad wszelką granicę. Podejrzywałem, że pochodzi od psa. Wśród homunkulusów to pi-ludzie są najbardziej skłonni do tego typu wykroczeń. Mają nawet takiego pi-filozofa, który wyprodukował kiedyś nagranie, na którym argumentował, że skoro psy są najdawniejszymi przyjaciółmi człowieka, mają prawo być bliżej niego niż inne formy życia. Gdy je zobaczyłem, wydało mi się zabawne, że ktoś wyhodował z psa sokratejską postać; tutaj, na najwyższym piętrze podziemi, już mnie to tak nie śmieszyło. A gdyby któryś z nich zaczął się zachowywać agresywnie? Zabić go? To oznaczało kontakt z prawem i konieczność rozmowy z podkomisarzami Instrumentalności.

Virginia nic z tego nie zauważyła.

Na moje pytanie nie odpowiedziała, za to przez cały czas wypytywała mnie o najwyższy poziom podziemia. Wcześniej byłem tam tylko raz, w dzieciństwie, ale miło było słuchać jej ciekawskiego, zachrypniętego głosu mruczącego mi prosto do ucha.

I wtedy to się wydarzyło.

Najpierw myślałem, że to człowiek, skrócony dziwnie przez podziemne światło. Gdy się zbliżył, zauważyłem, że wcale nie. W barach musiał mierzyć z półtora metra. Paskudne czerwone blizny na czole pokazywały, gdzie wypiłowano mu rogi. Był homunkulusem, ewidentnie pochodzącym od bydła. Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałem, że zostawiają ich takie zniekształcone.

I był pijany.

Gdy się zbliżał, odbierałem szum z jego umysłu: ...nie ludzie, nie hominidy i nie My... to co oni tu robią? Od słów, które myślą, miesza się w głowie. Nigdy wcześniej nie słyszał telepatycznie francuszczyzny.

Groźnie to wyglądało. Że mówił, nie było niczym niezwykłym, ale tylko nieliczne homunkulusy miawały zdolności telepatyczne – przeważnie były przeznaczone do specjalnych prac, na przykład w Głębinie-Głębinie, gdzie polecenia można było wydawać tylko telepatycznie.

Virginia przywarła do mnie.

Pomyślałem zatem, wyraźnym Wspólnym Językiem: Jesteśmy prawdziwi ludzie. Musisz ustąpić nam z drogi.

Bez odpowiedzi, tylko ryk. Nie wiedziałem, gdzie się upił ani czym, ale mojego przekazu nie odebrał.

Widziałem, jak myśli składają mu się w panikę, bezradność, nienawiść. Nagle zaszarżował, prawie tanecznym krokiem rzucił się ku nam, jakby chciał nas zmiażdżyć.

Skoncentrowałem się i rzuciłem mu rozkaz zatrzymania się.

Nie zadziałał.

Przerażony, uświadomiłem sobie, że pomyślałem to po francusku.

Virginia krzyknęła.

Byk już był tuż-tuż.

W ostatniej chwili skręcił, przeleciał obok na oślep i zaryczał, wypełniając echem cały korytarz. Minał nas i popędził dalej.

Wciąż obejmując Virginie, odwróciłem się, by zobaczyć, co sprawiło, że nas wyminął.

Ujrzałem coś naprawdę niesamowitego.

Korytarzem w przeciwną stronę biegly nasze sylwetki – moja czarno-fioletowa peleryna powiewała w nieruchomym powietrzu, złota suknia Virginii wydymała się za nią, gdy biegła razem ze mną. Obraz był idealny, i to za nim pogonił człowiek-byk.

Stałem osłupiały. Mówili, że nie chronią nas już żadne zabezpieczenia.

Pod ścianą stała bez ruchu dziewczyna. Omal nie wziąłem jej za rzeźbę. Nagle się odezwała.

– Proszę się nie zbliżać. Jestem kotką. Łatwo było go oszukać. Państwo wracają lepiej na powierzchnię.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dziękuję. Jak się nazywasz?

– Czy to ważne? – odparła dziewczyna. – Nie jestem człowiekiem.

Lekko urażony, nalegałem:

– Po prostu chciałem ci podziękować. – A mówiąc to, spostrzegłem, że jest piękna i świetlista jak płomień. Skórę miała gładką, śmietankową karnację, a włosy, miększe niż u jakiegokolwiek człowieka, były ognistopomarańczowe niczym u perskiego kota.

– Nazywam się Ka-Mell – odpowiedziała – i pracuję w Ziemioporcie.

Na te słowa i ja, i Virginia stanęliśmy jak wryci. Ludzie-koty byli poniżej nas i należało nimi pogardzać, ale Ziemioport był ponad nami i należało go szanować. To gdzie była Ka-Mell?

Uśmiechnęła się, a jej uśmiech był przeznaczony raczej dla mnie niż dla Virginii. Sugerował cały świat zmysłowej wiedzy. Wiedziałem, że ona niczego ode mnie nie chce, było to widać po jej zachowaniu. Może tylko tak potrafiła się uśmiechać.

– Nie przejmujcie się formalnościami. Po prostu pójście tymi schodami. Słyszę, że wraca.

Rozejrzałem się za pijanym buhajem. Nie było go widać.

– Idźcie na górę – nagliła Ka-Mell. – To są schody ewakuacyjne, wyprowadzą was prosto na powierzchnię. Mogę go powstrzymać, żeby za państwem nie poszedł. Czy to po francusku rozmawialiście?

– Tak – odparłem. – A skąd ty...?

– Idźcie. Przepraszam, że zapytałam. Szybko!

Wszedłem w wąskie drzwi. Spiralne schody prowadziły na powierzchnię. Chodzenie pieszo po schodach było poniżej naszej godności, jako prawdziwych ludzi, ale skoro Ka-Mell nagliła, nie było innego wyjścia. Kiwnąłem jej głową na pożegnanie i poprowadziłem Virginie po stopniach.

Na powierzchni zatrzymaliśmy się.

Virginia sapnęła:

– Okropne to było, prawda?

– Już jesteśmy bezpieczni – odparłem.

– Nie chodzi o bezpieczeństwo – powiedziała. – Tylko o tę całą ohydę! Pomyśleć tylko: musiałeś z nią rozmawiać!

Według Virginii Ka-Mell była gorsza niż pijany człowiek-byk. Wyczuła moją rezerwę, bo dodała:

– Ale to smutne. Ty będziesz się z nią jeszcze widział...

– Co takiego? A skąd ty wiesz?

– Nie wiem. Tylko się domyślam. Ale dobrze się domyślam, bardzo dobrze. W końcu byłam u Abba-dinga.

– Już cię prosiłem, skarbie, żebyś mi powiedziała, jak tam było?

Pokręciła głową i ruszyła ulicą. Nie miałem wyjścia, musiałem pójść za nią. Trochę się rozzłościłem.

Zapytałem jeszcze raz, gniewnym tonem:

– Jak tam było?

Z urażoną dziewczęcą godnością powiedziała:

– Nijak. Nijak. Strasznie długo trzeba było się wspinać. Stara kazała mi ze sobą pójść. I tak się okazało, że komputer tego dnia nie mówi, więc pozwolono nam zjechać szybem i wrócić ruchomą drogą. Zmarnowany dzień i tyle.

Mówiła prosto przed siebie, nie do mnie, jakby to było nieprzyjemne wspomnienie.

Potem odwróciła się twarzą do mnie. Piwne oczy wejrzały w moje, jakby poszukiwały duszy. (Duszy. We francuskim jest takie słowo, ale w Starym Wspólnym próżno szukać choćby zbliżonego). Rozpogodziła się i zaczęła mnie prosić:

– No, nie smućmy się w nowy dzień. Bądźmy dobrzy dla naszych nowych „nas”, Paul. Zróbmy coś francuskiego, skoro już mamy być Francuzami.

– Kawiarnia! – zawołałem. – Potrzebna nam kawiarnia. A ja wiem, gdzie jest.

– Gdzie?

– Dwa podziemia dalej. Tam, gdzie wychodzą maszyny i gdzie pozwalają homunkulusom wyglądać przez okienko. – Sama myśl o gapiących się na nas homunkulusach wydała się zabawna mojemu

nowemu „ja”, choć dawne „ja” traktowało je jak oczywistość, jak okna czy stoły. Moje dawne „ja” nigdy nie spotkało żadnego homunkulusa, wiedziało natomiast, że to niezupełnie ludzie, są bowiem wyhodowane ze zwierząt, ale wyglądają zupełnie jak ludzie i potrafią mówić. Trzeba było dopiero Francuza, jak nowe „ja”, żeby uświadomić sobie, że mogą być brzydkie, piękne czy malownicze. Więcej niż malownicze – romantyczne.

Virginia wyraźnie pomyślała to samo, powiedziała bowiem:

– Ale są takie *net*[4], takie urocze. Jak się ta kawiarnia nazywa?

– Tłusty Kot – powiedziałem.

Tłusty Kot. Skąd miałem wiedzieć, że wszystko to prowadzi do koszmaru, który rozegra się pomiędzy wzburzoną wodą i wyjąłym wiatrem? Skąd miałem wiedzieć, że to ma coś wspólnego z bulwarem Alfa Ralfa?

Gdybym to wiedział, żadna siła by mnie tam nie zaciągnęła.

W kawiarni siedziało już paru innych nowych Francuzów.

Kelner z sumiastym brązowym wąsem przyjął zamówienie. Przyjrzałem mu się uważnie, sprawdzając, czy jest licencjonowanym homunkulusem, uprawnionym do pracy pomiędzy ludźmi, bo jego usługi uznano za niezbędne; ale nie był. Był stuprocentową maszyną, choć jego głos pobrzmiwał wigorem starożytnego Paryża, a projektant wbudował mu nawet nerwowy tik polegający na ocieraniu wielkiego wąsa wierzchem dłoni. Zadbał też o to, by wysoko na czole, tuż pod linią włosów perliły się małe kropelki potu.

– Mam’zel? M’sje? Piwo? Kawa? Czerwone wino w przyszłym miesiącu. Kwadrans i dwa kwadransy po pełnej godzinie w naszej dzielnicy będzie świecić słońce. A dwadzieścia minut po pełnej godzinie przez pięć minut będzie padać, by mogli państwo skorzystać z tych parasoli. Urodziłem się w Alzacji. Możecie państwo mówić do mnie po francusku lub niemiecku.

– Wszystko jedno – powiedziała Virginia. – Paul, ty wybierasz.

– Weźmiemy piwo – powiedziałem. – Dwa pszeniczne.

– Oczywiście, proszę pana – odpowiedział.

Odszedł, gwałtownie wymachując przewieszoną przez ramię serwetą.

Virginia zmrużyła oczy od słońca i powiedziała:

- Szkoda, że teraz nie pada. Nigdy nie widziałam prawdziwego deszczu.
- Trochę cierpliwości, skarbie.
- Odwróciła się z zaciekawieniem do mnie.
- Paul, a co to jest „niemiecki”?
- Kolejny język i kolejna kultura. Czytałem, że wdrożą ją w przyszłym roku. A co, nie podoba ci się być Francuzką?
- Podoba – odparła. – O wiele lepiej niż być numerem. Ale wiesz, Paul...
- Urwała i jej oczy zamglily się w zmieszaniu.
- Tak, kochanie?
- Paul – powiedziała, a moje imię było jakby wołaniem nadziei z jakichś czeluści umysłu skrytych pod nowym „ja”, pod starym „ja”, nawet pod kombinacjami lordów, którzy nas ukształtowali. Wziąłem ją za rękę.
- Kochanie, powiedz, o co chodzi. Mnie możesz powiedzieć.
- Paul... – Już prawie szlochała. – Paul, czemu to się wszystko tak szybko dzieje? To nasz pierwszy dzień, a już myślimy, że spędzimy razem resztę życia. Coś tam jest z tym małżeństwem. I cokolwiek to jest, zdaje się powinniśmy znaleźć jakiegoś księdza, czy coś, tego też zupełnie nie rozumiem. Paul, czemu to się tak szybko dzieje? Ja chcę cię kochać. Ja cię Kocham. Ale nie chcę, żeby ktoś mnie do tego zmuszał. Chciałabym, żeby to naprawdę było ze mnie. – Z jej oczu pociekły łzy, choć głos pozostał spokojny.
- I wtedy ja powiedziałem zupełnie nie to co trzeba.
- Skarbie, nie musisz się tym martwić. Jestem przekonany, że lordowie Instrumentalności wszystko doskonale zaprogramowali.
- Na te słowa wybuchnęła płaczem, głośnym i niekontrolowanym. Nigdy dotąd nie widziałem płaczącego dorosłego. Dziwne to było i przerażające.
- Mężczyzna przy sąsiednim stoliku podniósł się i stanął obok mnie, ale nawet na niego nie spojrzałem.
- Kochanie – powiedziałem, apelując do jej rozsądku – kochanie.
- Paul, pozwól mi odejść, żebym mogła być naprawdę twoja. Pozwól, pójdę sobie na parę dni, parę tygodni, parę lat może. A potem, jeśli... jeśli... jeśli wrócę, będziesz wiedział, że to ja, a nie jakiś program uruchomiony przez maszynę. Na miłość boską, Paul... Paul, na miłość boską! – I innym

tonem dodała: – Paul, a co to jest ten „bóg”? Dali nam różne słowa, ale nie wiem, co one znaczą.

Człowiek obok mnie odezwał się:

– Ja mogę was zaprowadzić do Boga.

– A kim pan jest? – zapytałem. – Prosił kto, żeby się pan wtrącał? – W życiu się tak nie odezwałem, kiedy mówiłem Starym Wspólnym, ale otrzymując nowy język, dostaliśmy też stosowny temperament.

Nieznajomy zachował spokój. Był równie francuski jak my, ale lepiej się opanowywał.

– Jestem – powiedział – Maximilien Macht i byłem kiedyś Wiernym.

Oczy Virginii rozbliły. W roztargnieniu otarła twarz, jednocześnie wpatrując się w niego. Był wysoki, szczupły, ogorzały. (Jakim sposobem tak szybko zdążył się opalić?). Miał rudawe włosy, a wąsy prawie jak automatyczny kelner.

– Pytała pani o Boga, mamselle – powiedział. – Bóg jest tam, gdzie był zawsze – wokół nas, przy nas, w nas.

Dziwne słowa, jak na takiego światowca z wyglądu. Podniosłem się, żeby się z nim pożegnać. Virginia domyśliła się, co zamierzam, i wtrąciła:

– Jak to miło, Paul. Podaj panu krzesło.

W jej głosie wyczuwałem ciepło.

Automatyczny kelner wrócił z dwoma stożkowatymi naczyniami zrobionymi ze szkła. Znajdował się w nich złoty płyn z warstwą piany na górze. Nigdy wcześniej nie słyszałem o piwie ani go nie widziałem, a jednak dokładnie wiedziałem, jak będzie smakować. Na niby położyłem na tacy pieniądze, na niby otrzymałem resztę, na niby dałem kelnerowi napiwek. Instrumentalność jeszcze nie wymyśliła, jak zorganizować odrębne pieniądze dla wszystkich nowych kultur, bo oczywiście do płacenia za jedzenie i picie nie można było użyć prawdziwych. Jedzenie i picie były darmowe.

Maszyna otarła wąsy, serwetą w czerwono-białą kratę starła krople potu z czoła i zerknęła pytająco na monsieur Machta.

– M'sje, czy siada pan przy tym stoliku?

– Tak.

– Czy mam tu panu podać?

– Dlaczego nie? – odpowiedział Macht. – Jeśli mili państwo pozwolą...

– Oczywiście – odparł kelner, znów ocierając wąsy wierzchem dłoni.

Skrył się w ciemnych czeluściach baru.

Tymczasem Virginia nie odrywała wzroku od Machta.

– To pan jest Wiernym? – zapytała. – Nadal, mimo że zrobili z pana Francuza, tak jak z nas? Skąd pan wie, że pan to pan? Czemu ja kocham Paula? Przecież wszystkim w nas sterują lordowie i ich maszyny? Ja chcę być sobą. Czy pan wie, jak pozostać mną?

– Nie wiem, jak być panią – odparł Macht – to byłby dla mnie zbyt wielki zaszczyt. Uczę się za to, jak samemu być sobą. Widzi pan – dodał, zwracając się do mnie – jestem Francuzem od dwóch tygodni i już wiem, ile z tego to ja sam, a ile doszło w tym nowym procesie, który dał nam język i przywrócił zagrożenia.

Kelner wrócił z mniejszym naczyniem. Stało na nóżce i przypominało groźną miniaturkę Ziemioportu. Płyn w środku był mlecznobiały.

Macht podniósł szkło.

– Wasze zdrowie!

Virginia wytrzeszczyła oczy na niego, jakby miała się znów rozplakać. Gdy oboje upiliśmy po łyku, wydmuchała nos i odłożyła chusteczkę. Po raz pierwszy w życiu widziałem, żeby ktoś robił coś takiego – wydawało się jednak, że wpisuje się to w naszą nową kulturę.

Macht uśmiechnął się do nas, jakby miał zacząć przemowę. Wyszło słońce, dokładnie o czasie. Obrysowało go aureolą, przez co wyglądał jak diabeł lub święty.

Virginia odezwała się pierwsza.

– To pan tam był?

Macht uniósł odrobinę brwi, zmarszczył je i bardzo cicho odpowiedział:

– Tak.

– I coś pan usłyszał? – dopytywała się.

– Tak. – Spojrzał ponuro, jakby z lekkim zakłopotaniem.

– Co powiedział?



Pokręcił głową, jakby były to sprawy, o których nie powinno się mówić publicznie.

Chciałem się przebić przez tę barierę, dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Virginia dopytywała się dalej, w ogóle nie zwracając na mnie uwagi.

– Ale coś powiedział!

– Tak.

– Czy to było ważne?

– Mamselle, lepiej o tym nie mówmy.

– Ale trzeba! – wykrzyknęła. – To sprawa życia i śmierci.

Dłonie miała zaciśnięte tak mocno, że zbieleły jej kostki. Piwo stało przed nią, nietknięte, grzejąc się od słońca.

– No dobrze... – rzekł Macht. – Niech pani pyta... ale nie gwarantuję, że odpowiem.

Już nie byłem w stanie się pohamować.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Virginia popatrzyła na mnie z pogardą, lecz nawet ta pogarda była pogardą ukochanej, a nie zimnym dystansem z przeszłości.

– Paul, daj spokój, ty nie zrozumiesz... Zaraz. M'sje Macht, co panu powiedział?

– Że ja, Maximilien Macht, będę żyć do końca życia z brązowowłosą dziewczyną, która jest już zaręczona. – Uśmiechnął się krzywo. – Ja nawet nie wiem, co to znaczy, „zaręczona”.

– Dowiemy się – stwierdziła Virginia. – A kiedy on to powiedział?

– Co za „on”?! – wrzasnąłem na nich. – Na miłość boską, o co w tym wszystkim chodzi?

Macht spojrział na mnie i ściszył głos, odpowiadając:

– Abba-dingo. – A do niej dodał: – W zeszłym tygodniu.

Virginia zbladła.

– Czyli to działa, to naprawdę działa. Paul, skarbie, do mnie on nie odezwał się słowem. Ale mojej ciotce powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę!

Chwyciłem ją stanowczo, choć delikatnie za ramię i spróbowałem spojrzeć jej w oczy. Ona jednak odwróciła wzrok.

– Co takiego? – zapytałem.

– „Paul i Virginia”.

– I co z tego? – zapytałem.

Prawie jej nie poznawałem. Usta miała zaciśnięte i napięte. Nie była zła. To było coś innego, coś gorszego. To było napięcie. Tego też chyba nie oglądało się od tysięcy lat.

– Paul, zrozum prosty fakt, jeśli jesteś w stanie. Maszyna podała jej nasze imiona, ale zrobiła to dwanaście lat temu.

Macht wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Kelner ruszył biegiem ku nam.

– Teraz już nie ma wyjścia – zawyrokował. – Idziemy tam jeszcze raz.

– Dokąd? – zapytałem.

– Do Abba-dinga.

– Ale dlaczego teraz? – zapytałem, a Virginia jednocześnie wtrąciła:

– A to się uda?

– Zawsze się udaje – odparł Macht – jeśli idzie się od północnej strony.

– A jak się tam idzie?

Macht zmarszczył ze smutkiem czoło.

– Jest tylko jedna droga. Bulwarem Alfa Ralfa.

Virginia wstała. Ja też.

A potem, wstawszy, przypomniałem sobie. Bulwar Alfa Ralfa. Zniszczona droga wisząca na niebie, ledwo widoczna, jak smużka pary. Dawno temu była to droga defiladowa, którą przychodzili zwycięzcy i wychodziły daniny. Teraz była zrujnowana, zagubiona w chmurach, od dziesiątków tysięcy lat zamknięta dla ludzi.

– Wiem, co to – powiedziałem. – Ale on jest zniszczony.

Macht nie odezwał się, ale spojrział na mnie, jak na człowieka znikąd.

Virginia, bardzo blada na twarzy, bardzo cicho rzuciła:

– Chodźmy.

– Ale po co? – pytałem. – Po co?

– Głupi jesteś. Skoro nie mamy Boga, to mamy chociaż maszynę. Jedyną rzecz na tym świecie, której Instrumentalność nie rozumie. Może ona przepowiada przyszłość. A może to nie jest maszyna. Na pewno pochodzi z innej epoki. Myślisz, że się nam nie przyda, skarbie? Jak powie, że my to my, to będziemy razem?

– A jeśli nie?

– To nie. – Minę miała ponurą i pełną udręki.

– Jak to?

– Jeśli my to nie my, to znaczy, że jesteśmy tylko kukielkami, marionetkami, które lordowie sobie zaprogramowali. Ty nie jesteś sobą, ja nie jestem mną. Ale jeśli Abba-dingo, który znał imiona Paul i Virginia dwanaście lat wcześniej, nim to się stało... jeśli Abba-dingo mówi, że my to my, to wszystko mi jedno, czy to maszyna przewidująca przyszłość, bóg czy diabeł, obojętne. To nieważne, będę znać prawdę i tyle.

I cóż mogłem na to odpowiedzieć? Macht poprowadził, ona ruszyła za nim, a ja poszedłem trzeci, gęsiego. Wyszliśmy spod światła słonecznego Tłustego Kota; gdy wychodziliśmy, zaczął padać rzadki deszcz. Kelner, przez chwilę wyglądając jak maszyna, którą był, wpatrzył się nieruchomo przed siebie. Minęliśmy wejście do podziemia i poszliśmy ku drodze szybkiego ruchu.

Gdy na nią wyszliśmy, znaleźliśmy się w dzielnicy eleganckich domów. Wszystkie były w ruinie, poprzerastały je drzewa, kwiaty pleniły się na trawnikach, za otwartymi drzwiami, i płonęły w pozbawionych dachu pomieszczeniach. Któż by potrzebował domu na otwartej przestrzeni, skoro zaludnienie Ziemi spadło tak bardzo, że nawet miasta stały się przestronne i puste?

Raz wydało mi się, że widzę rodzinę homunkulusów, z dziećmi, zerkającą na mnie, gdy szliśmy po miękkiej zwirowej nawierzchni. A może twarze, które widziałem za węglem domu, były wytworem mojej wyobraźni?

Macht się nie odzywał.

My z Virginią, idąc obok niego, trzymaliśmy się za ręce. Ja mogłem uchodzić za zadowolonego z wycieczki, ona jednak mocno ścisnęła moją

dłoń. Od czasu do czasu zagryzała dolną wargę. Wiedziałem, że dla niej to ważne – dla niej to była pielgrzymka. (Pielgrzymka to była u starożytnych wędrówka do potężnego miejsca, korzystna zarówno dla ciała, jak i dla duszy). Nie miałem nic przeciwko towarzyszeniu jej. Zresztą nie powstrzymaliby mnie, już wtedy, gdy z Machtem postanowili wyjść z kawiarni. Ale nie musiałem traktować tego poważnie. Czyżby?

Czego chciał Macht?

Kim w ogóle był? Jakich myśli wyuczył się jego umysł w te dwa krótkie tygodnie. Jak to się stało, że wkroczył przed nami w świat niebezpieczeństw i przygód? Nie ufałem mu. Po raz pierwszy w życiu czułem się sam. Zawsze, zawsze, aż do teraz, wystarczyło mi tylko pomyśleć o Instrumentalności, a już w moim umyśle wyskakiwał uzbrojony po zęby obrońca. Telepatia strzegła nas przed wszelkimi zagrożeniami, leczyła wszystkie bóle, niosła każdego z nas przez przydziałowe 146 097 dni. Teraz było inaczej. Nie znałem tego człowieka, a zależałem od niego, nie od sił, które nas wcześniej broniły i chroniły.

Ze zrujnowanej drogi skręciliśmy w potężny bulwar. Bruk był tak gładki i niezniszczony, że nic na nim nie rosło, co najwyżej tam, gdzie wiatr naniósł przypadkowe drobinki ziemi.

Macht stanął.

– To jest to – powiedział. – Bulwar Alfa Ralfa.

Zamilkliśmy i patrzyliśmy na arterię zapomnianych imperiów.

Po naszej lewej stronie bulwar zniknął za łagodnym zakretem. Wiódł daleko na północ od miasta, w którym się wychowałem. Wiedziałem, że tam, na północy, jest kolejne miasto, lecz zapomniałem, jak się nazywało. Po co miałbym to pamiętać? Na pewno było takie samo jak moje.

Ale po prawej...

Po prawej bulwar wznosił się stromo niczym pochylnia. Zniknął w chmurach. Tuż na ich pograniczu coś sugerowało katastrofę. Nie widziałem na pewno, ale wydawało mi się, że wygląda tak, jakby niewyobrażalne siły ucięły go tam jak nożem. A gdzieś ponad chmurami czekał Abba-dingo, miejsce, gdzie znajdowała się odpowiedź na wszystkie pytania...

A przynajmniej tak sądzili ludzie.

Virginia wtuliła się we mnie.

– Zawróćmy – powiedziałem. – Jesteśmy z miasta. Nie znamy się na ruinach.

– Jak chcecie, to wracamy – stwierdził Macht. – Ja tylko wyświadczałem wam przysługę.

Obaj spojrzeliśmy na Virginie.

Popatrzyła na mnie swymi piwnymi oczyma. Płynęła z nich niema prośba starsza niż kobiety i mężczyźni, starsza niż cała ludzkość. Wiedziałem, co odpowie, zanim jeszcze się odezwała. Powie, że musi to wiedzieć.

Macht machinalnie rozgniał butem jakieś miękkie kamyki.

Virginia powiedziała w końcu:

– Paul, nie chcę się narażać dla samego narażania. Ale tam, na dole, mówiłam poważnie. Jest szansa, że kazano nam się pokochać, prawda? Cóż to jest za życie, jeśli nasze szczęście, całe nasze „ja” zależy od jakiegoś drucika w maszynie albo mechanicznego głosu, który gada do nas, kiedy śpimy i uczymy się francuskiego? Może to i fajnie wrócić do starego świata. Wygląda na to, że tak. Wiem, że zapewnisz mi swego rodzaju zadowolenie, o którym nigdy dotąd nie wiedziałam. Jeśli my to naprawdę my, tworzymy wspólnie coś wspaniałego i powinniśmy o tym wiedzieć. Ale jeśli nie... – Wybuchnęła płaczem.

Miałem ochotę powiedzieć: „Jeśli nie, to właściwie nic się nie zmienia”, ale Machta łypnął na mnie ponuro nad jej ramieniem, gdy ją przytulałem. I już nie warto było nic mówić.

Objąłem ją mocno.

Spod stopy Machta wypłynęła strużka krwi. Wsiąkła w grunt.

– Czy pan się skaleczył? – zapytałem.

Macht uniósł brwi i odparł:

– Nie, a co?

– Ma pan krew. Pod stopami.

Zerknął w dół.

– Ach, to – wyjaśnił. – To nic takiego. To tylko jaja jakiegoś nieptaka, co nawet latać nie umie.

– Proszę przestać! – wykrzyknąłem telepatycznie w Starym Wspólnym. Nawet nie przyszło mi do głowy użyć dopiero co wyuczonego francuskiego.

Cofnął się o krok, zaskoczony.

Znikąd przypląnął do mnie przekaz: dziękuję dziękuję dobry dobry idźwracaj idź niechidzie złyżłyczłowiek zły... Jakieś zwierzę czy ptak ostrzegło mnie przed Machtem. Pomyślałem zdawkowe „dziękuję” i skupiłem się na Machcie.

Wpatrzyliśmy się w siebie. Czy to właśnie jest „kultura”? Czy jesteśmy teraz ludźmi? Czy wolność zawsze obejmuje wolność nieufności, strachu, nienawiści?

W ogóle mi się nie podobał. W głowie wyświetlały mi się nazwy zapomnianych zbrodni: *zamach, morderstwo, porwanie, szal, gwałt, napad...*

Dotąd niczego takiego nie znaliśmy – a ja to teraz poczułem.

Odezwał się do mnie spokojnie. Obaj pilnowaliśmy, żeby naszych umysłów nie dawało się odczytać telepatycznie, tak że naszym środkiem komunikacji pozostały empatia i francuszczyzna.

– To był pana pomysł – powiedział, w co nie uwierzyłem – albo przynajmniej pana kobiety...

– Czy w tym świecie już pojawiło się kłamstwo – odparłem ja – skoro idziemy sobie w chmury w ogóle bez powodu?

– Ale jest powód – odrzekł Macht.

Odsunąłem od siebie Virginie i zamknąłem umysł tak szczelnie, że ucisk antytelepatii stał się jak ból głowy.

– Macht – odezwałem się, sam słysząc we własnym głosie zwierzęce warknięcie – powiedz mi, po co nas tu przyprowadziłeś, albo cię zabiję.

– Zabijesz? Znaczy, zrobisz tak, że umrę? – W tych słowach nie było przekonania. Żaden z nas nie umiał się bić, a mimo to on przygotował się do obrony, a ja do ataku.

Pod myślową osłonę wkradła mi się zwierzęca myśl: dobryludź dobry za szyję go za szyję bezpowietrza on-aaaa bezpowietrza on-aaaa jak rozbite

jajo...

Usłuchałem rady, nie zastanawiając się nawet, skąd przyszła. Prosta była. Podszedłem do Machta, chwyciłem go rękoma za gardło i ścisnąłem. Próbował odepchnąć moje dłonie. Potem usiłował mnie kopnąć. Ja tylko trzymałem go za szyję. Gdybym był lordem lub lot-kapitanem, może umiałbym się bić. Jednak nie umiałem i on też nie umiał.

Skończyło się na tym, że poczułem w dłoniach ciężar.

Zdumiony, puściłem go.

Macht zrobił się nieprzytomny. Czy to znaczy, że umarł?

Niemożliwe, bo zaraz usiadł. Podbiegła do niego Virginia. Roztarł sobie szyję i powiedział chrapliwym głosem:

– Nie powinieneś był tego robić.

To dodało mi odwagi.

– Powiedz mi no – warknąłem – powiedz, czemu chciałeś, żebyśmy z tobą poszli, inaczej znów ci to zrobię.

Macht uśmiechnął się słabo. Oparł głowę o ramię Virginii.

– Chodzi o strach – odpowiedział. – Strach.

– Strach? – Znałem słowo, *peur*, ale nie sens. Chodziło o jakiś niepokój, spłoszone zwierzę, coś takiego?

Myślałem to z otwartym umysłem. Pomyślał mi: tak.

– Ale czemu ci się to podoba?

– Jest fantastyczny – odmyślał. – Człowiek czuje mdłości, dreszcze, naprawdę czuje, że żyje. Coś jak silne lekarstwo, prawie tak dobre jak strun. Już tam do niego chodziłem. Na górze naprawdę dużo było we mnie strachu. Był wspaniały, straszny i dobry jednocześnie. W jedną godzinę jakby przeżył tysiąc lat. Chciałem go znowu przeżyć, ale pomyślałem, że razem z innymi ludźmi będzie bardziej ekscytujący.

– Teraz to naprawdę cię zabiję – rzekłem mu po francusku. – Jesteś bardzo... bardzo... – Szukałem słowa. – Bardzo zły.

– Nie – zaprotestowała Virginia. – Niech mówi.

Pomyślał do mnie, nie męcząc się słowami:

– Tego właśnie lordowie Instrumentalności nie pozwalali nam mieć. Strachu. Prawdziwej rzeczywistości. Rodziliśmy się w apatii i umieraliśmy

we śnie. Nawet podludzie, te zwierzęta, mieli więcej życia od nas. Maszyny nie mają strachu. Byliśmy jak te maszyny. Maszyny, którym wydaje się, że są ludźmi. A teraz jesteśmy wolni.

Dostrzegł w moim umyśle błysk nagiej, czerwonej furii i zmienił temat.

– Nie okłamałem was. To jest właśnie droga do Abba-dinga. Już tam byłem. On działa. Jak się wejdzie tą stroną, zawsze działa.

– Działa! – wykrzyknęła Virginia. – Widzisz, on tak mówi. To działa! On mówi prawdę, Paul! Paul, chodźmy już, no chodźmy!

– No dobrze. Idźmy – odpowiedziałem.

Pomogłem mu wstać. Miał zażenowaną minę, jak człowiek, który okazał coś, czego się wstydzi.

Weszliśmy na powierzchnię niezniszczalnego bulwaru. Wygodnie się po niej szło.

W tle mojego umysłu wciąż paplał ten niewidzialny ptaszek czy zwierzątko: dobry ludź dobry zabij go zabij zabierz wodę zabierz...

Nie zwracałem na niego uwagi, idąc naprzód z nimi dwojgiem, Virginia między mną i Machtem. Nie zwracałem uwagi.

Szkoda, że nie zwracałem.

Szliśmy bardzo długo.

Cała procedura była dla nas nowością. Było coś radosnego w świadomości, że nikt nas nie pilnuje, że nawet powietrze jest swobodne i porusza się bez wpływu machin pogodowych. Widzieliśmy wiele ptaków, a kiedy do nich myślałem, umysły miały spłoszone i nieczytelne. Były to naturalne ptaki – czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Virginia pytała mnie, jak się nazywają, a ja byle jak przypisywałem im wszystkie zapamiętane francuskie nazwy, nie wiedząc, czy są historycznie poprawne, czy nie.

Maximilien Macht także się rozpogodził, do tego stopnia, że odśpiewał nawet, dość fałszywie, piosenkę mówiącą mniej więcej, że my pójdziemy gościńcem, a on ścieżką, a i tak będzie w Szkocji przed nami<sup>[5]</sup>. Sensu to nie miało, ale śpiewny akcent brzmiał przyjemnie. Ja zaś, za każdym razem, gdy stosownie oddalił się ode mnie i Virginii, wymyślałem kolejne wariacje mojej piosenki *Macouba* i śpiewałem jej szeptem na ucho:



*Ja tej kobiety nie szukałem,  
Ślepy los mi ją dał.  
Jej akcent wcale nie jak z Francji,  
Jak z Martyniki brzmiał...*

Szczęśliwi byliśmy, ciesząc się przygodą i wolnością, aż zgłodnieliśmy. Wtedy zaczęły się kłopoty.

Virginia podeszła do pierwszego z brzegu słupa latarni, klepnęła go lekko ręką i rozkazała:

– Jeść.

Słup powinien albo się otworzyć i zaserwować nam kolację, albo powiedzieć, gdzie w obrębie najbliższych paruset metrów możemy otrzymać jedzenie. Nie zrobił nic z tych rzeczy. Nic nie zrobił. Na pewno był zepsuty.

Po tym zaczęliśmy zapamiętane walić we wszystkie latarnie.

Bulwar Alfa Ralfa wzniósł się o mniej więcej pół kilometra nad otaczający teren. Pod nami krążyły dzikie ptaki. Na bruku było już mniej nawianej ziemi i mniej chwastów. Gigantyczna trasa, niepodparta żadnymi filarami, skręcała ku chmurom jak wisząca na niebie wstążka.

Zmęczyliśmy się waleniem w latarnie i nie mieliśmy ani jedzenia, ani picia.

Virginia zaczęła się denerwować:

– Teraz wracać to na nic. Ale w drugą stronę jest jeszcze dalej do jedzenia. Jaka szkoda, że czegoś nie wzięłeś.

Skąd miałem wiedzieć, że mam zabrać jedzenie? Kto w ogóle nosi ze sobą jedzenie? I po co, skoro jest wszędzie? Była nierozsądna, ale była moim skarbem i za wszystkie te niedoskonałości charakteru kochałem ją jeszcze bardziej.

Macht cały czas opukiwał latarnie, trochę po to, by zejść nam z oczu, i osiągnął nieoczekiwany rezultat.

W jednej chwili widziałem jak nachyla się ku słupowi wielkiej latarni, by go porządnie, acz ostrożnie łupnąć... w drugiej zaskomlał jak pies i zaczął

bardzo szybko sunąć pod górę. Usłyszałem, jak coś krzyczy, ale nie rozumiałem słów. Zaraz zniknął w chmurach przed nami.

Virginia spojrzała na mnie.

– Chcesz teraz wracać? Macht poszedł sobie. Możemy powiedzieć, że ja się zmęczyłam.

– Serio mówisz?

– Oczywiście, skarbie.

Parsknąłem śmiechem, trochę rozzłoszczony. Tak się upierała, żeby iść, a teraz była gotowa zawrócić i się poddać, tylko po to, by mnie zadowolić.

– Nieważne – powiedziałem. – To już nie może być daleko. Idziemy.

– Paul... – Stała blisko mnie. W piwnych oczach widać było niepokój.

Wydawało się, że chce zajrzeć mi do umysłu. Pomyślałem do niej:

– Chcesz tak rozmawiać?

– Nie – odparła, po francusku. – Chcę mówić po jednej rzeczy naraz. Paul, ja naprawdę chcę pójść do Abba-dinga. To dla mnie najważniejsza sprawa w życiu. Ale jednocześnie nie chcę tam iść. Tam jest coś nie tak. Wolałabym raczej być z tobą pokłócona niż cię w ogóle nie mieć. A tam może się coś zdarzyć.

Zdenerwowany, zapytałem:

– Co, czujesz ten „strach”, o którym mówił Macht?

– No nie, Paul, wcale nie. To uczucie nie jest ekscytujące. Czuję się raczej, jakby coś w maszynie się zepsuło...

– Posłuchaj! – przerwałem jej.

Z drogi daleko przed nami, skrytej w chmurach, dobiegł jakby zwierzęcy skowyt. Kryły się w nim słowa. To musiał być Macht. Wydało mi się, że słyszę „uważaj”. Gdy poszukałem go umysłem, zakręciło mi się w głowie od odległości.

– Chodźmy tam, kochanie – powiedziałem.

– Tak, Paul – odparła, a jej głos był niezgłębioną mieszanką szczęścia, rezygnacji, rozpacz...

Zanim ruszyliśmy, przyjrzałem jej się uważnie. Tak, była moja. Niebo pożółkło, a latarnie jeszcze się nie zapaliły. Na tle intensywnie żółtego nieba jej brązowe loki nabrały odcienia złota, piwne oczy wydawały się

czarne, a młoda, udręczona twarz wydawała się ważniejsza od wszystkich ludzkich twarzy, jakie w życiu widziałem.

– Tak, jesteś moja – odezwałem się.

– Tak, Paul – odpowiedziała i uśmiechnęła się promiennie. – Sam to powiedziałeś! To tym bardziej miłe.

Siedzący na balustradzie ptak spojrzał na nas i odleciał. Może nie aprobował tych ludzkich głupot, więc rzucił się w dół, w ciemne powietrze. Zobaczyłem, że daleko w dole wyrównał lot i poszybował leniwie na skrzydłach.

– Tak wolni jak ptaki nie jesteśmy – powiedziałem Virginii – ale bardziej wolni niż ludzie byli przez sto stuleci.

W odpowiedzi ścisnęła moje ramię i uśmiechnęła się do mnie.

– A teraz – dodałem – chodźmy w ślady Machta. Obejmij mnie i trzymaj mocno. Spróbuję uderzyć w tę latarnię. Może kolacji nie będzie, ale będzie jazda.

Poczułem, jak lekko mnie chwyta, i stuknąłem w słup.

Który słup? Chwilę później słupy rozmazały się. Ziemia pod stopami wydawała się nieruchoma, my zaś poruszaliśmy się z ogromną szybkością. Nawet w podziemiu technicznym nigdy nie widziałem tak szybkiego chodnika. Suknia Virginii rozwiała się tak mocno, że trzaskała, jakby się pstrykało palcami. Błyskawicznie znaleźliśmy się w chmurze i zaraz z niej wychynęliśmy.

Otoczył nas nowy świat. Pod sobą i nad sobą mieliśmy chmury. Tu i ówdzie przeświecało przez nie błękitne niebo. Staliśmy stabilnie. Starożytni inżynierowie musieli sprytnie wymyślić ten chodnik. Jechaliśmy w górę, w górę, ale nie kręciło nam się w głowie.

Kolejna chmura.

Działo się to tak szybko, że opowiadanie zajmuje więcej czasu niż to naprawdę trwało.

Coś ciemnego nadleciało ku mnie z przodu, z góry i gwałtownie uderzyło mnie w pierś. Dopiero dużo później zdałem sobie sprawę, że to była ręka Machta, próbującego mnie złapać, zanim spadnę za krawędź. Wpłynęliśmy do kolejnej chmury. Nim zdołałem odezwać się do Virginii,

otrzymałem drugi cios. Ból był potworny. Nigdy w życiu czegoś takiego nie czułem. Z jakiegoś powodu Virginia przeleciała przeze mnie i wylądowała z przodu. Ciągnęła mnie za dłonie.

Próbowałem jej powiedzieć, żeby przestała, bo to boli, ale nie miałem tchu. Zamiast się kłócić, zrobiłem to, co chciała: z trudem wspiąłem się ku niej. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że pod stopami nie mam nic – ani nawierzchni, ani powietrznej drogi, niczego.

Byłem na samej krawędzi bulwaru, urwanej krawędzi jego górnej części. Poda mną nie było nic, tylko parę skręconych lin i, daleko w dole pod nimi, cienka wstążka drogi lub rzeki.

Nic nie widząc, przeskoczyliśmy wielką szczelinę, a ja wylądowałem akurat na tyle daleko, by trafić piersią w górną warstwę nawierzchni.

Ból był nieważny. Zaraz przyjdzie robot-doktor i mnie naprawi.

Spojrzenie na twarz Virginii przypomniało mi, że nie będzie żadnego robota-doktora, żadnego świata, żadnej Instrumentalności, nic, tylko wiatr i ból. Płakała. Dopiero po chwili usłyszałem, co mówi:

– Udało się, udało! Skarbie, czy ty umarłeś?

Żadne z nas nie wiedziało do końca, co znaczy „umarzeć”, bo ludzie po prostu odchodzili w ustalonym czasie, wiedzieliśmy jednak, że to oznacza koniec życia. Usiłowałem jej powiedzieć, że żyję, ona jednak trzęsła się nade mną i próbowała odciągnąć mnie dalej od przepaści.

Podparłem się rękoma i usiadłem.

Klękła obok i obsypała mi twarz pocałunkami.

W końcu zdołałem wysapać:

– A gdzie Macht?

Obejrzała się.

– Nie widać go.

Też spróbowałem się rozejrzeć. Widząc, jak się męczę, powiedziała:

– Siedź spokojnie, ja się znowu rozejrzę.

Odważnie podeszła do brzegu zniszczonego bulwaru. Spojrzała w stronę jego dolnej części, pomiędzy chmurami, które przepływały tak szybko, jak wsysane przez wentylator kłęby dymu. Nagle zawołała:

– Widzę go! Strasznie śmiesznie wygląda. Jak jakiś owad w muzeum. Czołga się po tych linach.

Na dłoniach i kolanach przesunąłem się ku niej i spojrzałem. Rzeczywiście, był tam, jak kropka przesuwanąca się po nitce, a pod nim śmigały ptaki. Bardzo niebezpiecznie to wyglądało. Może przeżywał cały ten „strach”, którego potrzebował, żeby być szczęśliwym. Ja na ten „strach”, czymkolwiek był, wcale nie miałem ochoty. Chciałem jedzenia, wody i robota-lekarza.

Nic z tych rzeczy tutaj nie było.

Z trudem pozbierałem się na nogi. Virginia próbowała mi pomóc, ale zdążyłem wstać, nim dotknęła mojego rękawa.

– Idźmy dalej.

– Dalej? – zdziwiła się.

– Do Abba-dinga. Może tam będą jakieś pomocne maszyny. Tutaj nie ma nic, tylko zimno i wiatr, a światła jeszcze się nie zapaliły.

Zmarszczyła czoło.

– A Macht?

– Zanim tu dotrze, minie wiele godzin. Wrócimy do tego czasu.

Usłuchała mnie.

Znów przeszliśmy na lewą stronę bulwaru. Kazałem jej objąć się mocno w pasie, a sam zacząłem znów uderzać w latarnie, jedną za drugą. Przecież musi być jakiś włącznik dla pasażera, który wsiada w połowie drogi.

Udało się za czwartym razem.

Po raz kolejny wiatr rozwiewał nam ubrania, gdy pędziliśmy w górę Bulwarem Alfa Ralfa. Omal się nie przewróciliśmy, kiedy droga odbiła nagle w lewo. Złapałem równowagę, tylko po to, by zaraz zachwiać się w przeciwną stronę.

I wtedy się zatrzymaliśmy.

To był Abba-dingo.

Ruchomy chodnik zaścielały białe przedmioty – gałki, kije i nierówne kule wielkości mniej więcej mojej głowy.

Mniej więcej mojej głowy? Kopnąłem na bok jeden z tych przedmiotów i już wiedziałem, wiedziałem na pewno, co to takiego. To byli ludzie.

Wewnętrzne części ludzi. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. A to tutaj, na ziemi, to kiedyś musiała być ręka. Były tego setki.

– Chodź, Virginia – powiedziałem, spokojnym głosem, zatajając myśli.

Poszła za mną bez słowa. Ciekawiły ją te rzeczy, ale chyba ich nie rozpoznała.

Ja natomiast przyglądałem się ścianie.

Wreszcie je znalazłem – małe drzwiczki Abba-dinga.

Jedne mówiły „METEOROLOGIA”. Nie był to Stary Wspólny Język, ani francuski, ale coś podobnego, tak że zaraz domyśliłem się, że chodzi o zachowanie powietrza. Przyłożyłem dłoń do płyty drzwi. Zrobiła się przezroczysta i ukazało się starożytne pismo. Były tam cyfry, które nic nie znaczyły, słowa, które nic nie znaczyły, wreszcie napis: *Nadciągą tajfun*.

Mój francuski nie rozpoznawał słowa „nadciągą”, ale „tajfun”, to ewidentnie był *typhon*, wielki ruch mas powietrza. Niech się tym zajmą maszyny pogodowe, pomyślałem. Nas to nie dotyczy.

– To się na nic nie przyda – stwierdziłem.

– A co to znaczy?

– Że będzie ruch mas powietrza.

– Aha – powiedziała. – To chyba nas nie dotyczy, prawda?

– Oczywiście, że nie.

Spróbowałem drugich drzwiczek, z napisem „JEDZENIE”. Gdy dotknąłem powierzchni, coś w środku boleśnie zaskrzypiało, jakby całą wieżę przeszedł skurcz mdłości. Drzwi uchyliły się trochę i wydobył się zza nich potworny smród. Po czym zamknęły się z powrotem.

Trzecie drzwiczki były podpisane „POMOC” i gdy ich dotknąłem, nic się nie stało. Może to było jakieś starożytne urządzenie do pobierania podatków. W ogóle nie ustąpiło pod moim dotykiem. Czwarte drzwiczki były większe i u dołu już częściowo otwarte. Na górze były podpisane „PRZEWIDYWANIE PRZYSZŁOŚCI”. Jeśli się znało starofrancuski, można to było odcyfrować. Napis pod spodem był bardziej tajemniczy: „TU KŁAŚĆ KARTE”. Nie byłem w stanie domyślić się, co oznacza.

Spróbowałem telepatii. Nic się nie wydarzyło. Wokół nas gwizdał wiatr. Po chodniku potoczyły się niektóre wapienne kule i bryłki. Spróbowałem

jeszcze raz, wyęzając umysł, by pochwycić ślad myśli, które dawno przepadły. W głowie pojawił mi się wrzask, przeciągły, wysoki krzyk, z brzmienia mało ludzki. I tyle.

Chyba naprawdę mnie trochę zdenerwował. Nie czułem „strachu”, ale zaniepokoiłem się o Virginie.

Wpatrywała się w ziemię.

– Paul, zobacz – powiedziała – między tymi dziwnymi rzeczami, to nie męski płaszcz tam leży?

Widziałem kiedyś w muzeum starożytne zdjęcia rentgenowskie, wiedziałem więc, że płaszcz nadal ma w środku elementy stanowiące wewnętrzną konstrukcję człowieka. Kuli nie było, więc byłem prawie pewien, że on jest „umarły”. Jak to mogło się stać w poprzedniej epoce? Dlaczego Instrumentalność na to pozwoliła? Ale przecież Instrumentalność zawsze uznawała tę stronę wieży za zakazaną. Może tych, co naruszali regułę, spotykała, w jakiś nieodgadniony sposób, właśnie taka kara?

– Paul, zobacz. Tam da się włożyć rękę.

Zanim zdążyłem ją powstrzymać, wsadziła rękę w płaską szczelinę podpisaną „TU KŁAŚĆ KARTE”.

Krzyknęła.

Dłoń jej uwięzła.

Próbowałem pociągnąć ją za rękę, lecz ani drgnęła. Zaczęła dyszeć z bólu. Nagle dłoń się uwolniła.

W skórze były wycięte wyraźne litery. Zdarłem z siebie pelerynę i owinąłem jej dłoń.

Gdy się rozszlochała, odwinąłem opatrunek z powrotem. Wtedy przeczytała słowa na skórze.

Słowa głosiły, czystą francuszczyzną: *Będiesz kochać Paula do końca życia.*

Virginia pozwoliła mi zabandażować dłoń peleryną, po czym nadstawiła twarz do pocałunku.

– Warto było – oświadczyła. – Warto było się na to wszystko narażać, wiesz, Paul? Teraz zobaczmy, czy uda nam się wrócić. Teraz już wiem.

Pocałowałem ją raz jeszcze i powiedziałem z otuchą w głosie:

– Tak, teraz już wiesz, prawda?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Tego nie mogła zaaranżować Instrumentalność. Cóż za sprytna starożytna maszyna! Bóg to czy diabeł, jak myślisz?

Nie byłem wówczas nauczony tych słów, więc, zamiast odpowiedzieć, poklepałem ją. Odwróciliśmy się, by odejść.

W ostatniej chwili dotarło do mnie, że sam nie spróbowałem PRZEWIDYWANIA PRZYSZŁOŚCI.

– Kochanie, poczekaj chwilę. Urwę sobie kawałek opatrunku.

Zaczekała cierpliwie. Oddarłem kawałek wielkości dłoni, wziąłem z ziemi jeden z tych niegdyś ludzkich elementów. Wyglądał, zdaje się, jak przednia część ramienia. Wróciłem, żeby wcisnąć szmatkę w szczelinę, lecz kiedy się odwróciłem, siedziało przed nią wielkie ptaszysko.

Chciałem je odepchnąć ręką. Zakrakało na mnie. Wydawało się, że mi grozi, tym krakaniem i ostrym dziobem. Nie byłem w stanie go ruszyć.

Spróbowałem zatem telepatii.

Jestem prawdziwym człowiekiem. Odejdź!

Mętny umysł ptaszyska nie nadał niczego, poza powtarzającym się nie-nie-nie-nie!

Wtedy uderzyłem ptaka pięścią, tak mocno, że zleciał na ziemię. Pozbierał się pomiędzy białymi śmieciami, rozpostarł skrzydła i pozwolił, by poniósł go wiatr.

Wcisnąłem w szczelinę strzęp tkaniny, odliczyłem w myślach do dwudziestu i wyciągnąłem go.

Słowa były zrozumiałe, ale nie miały sensu: *Będziesz kochać Virginie jeszcze przez 21 minut.*

Jej radosny głos, pełen otuchy po przepowiedni, choć wciąż rozedrgany od bólu zranionej ręki, dobiegał z bardzo daleka.

– I co tam jest, skarbie?

Przypadkiem lub celowo, dałem wiatrowi porwać strzęp tkaniny. Odfrunął niczym ptak. Virginia to zobaczyła.

– Ojej! – zawołała rozczarowana. – Zgubiliśmy go! A co tam było?

– To samo, co u ciebie.



– Ale, Paul! Jakie dokładnie słowa?

Z miłością, łamiącym się sercem, może i odrobiną tego „strachu”, skłamałem, szepcząc cicho:

– Było napisane: „Paul będzie zawsze kochać Virginie”.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie. Jej pełna, krzepka sylwetka dzielnie opierała się wiatrowi. Znów była tą pulchną, ładną Merenimą, którą zauważyłem na podwórku, gdy oboje byliśmy dziećmi. I była czymś jeszcze. Była moją nowo odnaną miłością w nowo odnanym świecie. Była moją panną z Martyniki. A to proroctwo to głupota. Już po części z jedzeniem było widać, że maszyna jest zepsuta.

– Nie ma tu ani jedzenia, ani wody – stwierdziłem. W sumie, pod balustradą była kałuża wody, ale przelała się przez ludzkie elementy konstrukcyjne walające się po ziemi, więc nie miałem odwagi jej pić.

Virginia zaś była tak szczęśliwa, że mimo zranionej dłoni, braku wody i jedzenia, szła energicznie i z pogodą ducha.

Dwadzieścia jeden minut. Minęło około sześciu godzin. Jeśli tu zostaniemy, spadną na nas nieznane niebezpieczeństwa, pomyślałem.

Ruszyliśmy energicznie w dół bulwaru Alfa Ralfa. Spotkaliśmy Abbadinga i nadal „żyliśmy”. Raczej nie sądziłem, że „umarłem”; oba te słowa przez tyle czasu nie miały żadnego sensu. Aż ciężko było je myśleć.

Bulwar schodził tak stromo w dół, że galopowaliśmy jak konie. Wiatr z niesamowitą siłą wiał nam w twarz. Tak się to nazywało – wiatr – choć owego słowa, *vent*, nauczyłem się dopiero po wszystkim.

Całej wieży nigdy nie widzieliśmy, jedynie ścianę, do której dowiózł nas starożytny ruchomy chodnik. Resztę wieży skrywały chmury, trzepoczące jak podarte łachmany pędzące z wielką szybkością wokół ciężkiej budowli.

Niebo było po jednej stronie czerwone, po drugiej brudnożółte.

Zaczęły na nas spadać wielkie krople wody.

– Maszyny pogodowe się zepsuły! – zawołałem do Virginii.

Próbowała coś odkrzyknąć, jednak wiatr porywał jej słowa. Powtórzyłem to, co mówiłem wcześniej. Kiwnęła radośnie głową, choć wiatr zwiewał jej teraz włosy na twarz, a spadające z góry drobiny wody zostawiały plamy na ognistej złotej sukni. Nie miało to dla niej znaczenia. Trzymała się mojego

ramienia. Rozpromieniona twarz uśmiechała się do mnie, biegliśmy wielkimi susami po opadającej drodze. Piwne oczy wypełniały pewność siebie i życie. Zauważyła, że na nią zerkam, i nie gubiąc kroku, ucałowała mnie w ramię. Była moja na zawsze i dobrze o tym wiedziała.

Woda z góry, która, jak się później dowiedziałem, była prawdziwym „deszczem”, lała się coraz mocniej. Nagle razem z nią zaczęły spadać ptaki. Wielkie ptaszysko zatrzepotało gwałtownie, udało mu się zawisnąć przed moją twarzą, choć względem powietrza pędziło z prędkością wielu mil na godzinę. Ptak skrzeknął mi w twarz i poniósł go wiatr. Gdy tylko zniknął, kolejny ptak uderzył mnie w tułów. Spojrzałem, lecz ten też już zniknął, poniesiony prądem powietrza. Zostało po nim tylko telepatyczne echo rozpalonego, pustego umysłu: *nie-nie-nie-nie!*

Ale co nie? – pomyślałem. Niewiele warta taka ptasia rada.

Virginia chwyciła mnie za ramię i zatrzymała się.

Zatem ja też się zatrzymałem.

Tuż przed sobą mieliśmy urwaną krawędź bulwaru Alfa Ralfa. Przez szczelinę przepływały paskudne żółte chmury, jak śpieszące do zagadkowych celów trujące ryby.

Virginia krzyczała.

Nie słyszałem jej. Nachyliłem się, tak że prawie dotknąłem uchem jej ust.

– Gdzie Macht?! – wołała.

Ostrożnie przeprowadziłem ją na lewą stronę drogi, gdzie balustrada dawała choć trochę osłony przed pędzącym powietrzem i przemieszaną z nim wodą. Teraz żadne z nas nie widziało zbyt daleko. Kazałem jej opaść na kolana i sam ukląknęm. Spadająca woda siekła nas po plecach. Światło wokół nabrało ciemnej, brudnożółtej barwy.

Wciąż coś widzieliśmy, ale niezbyt wiele.

Miałem ochotę siedzieć pod osłoną balustrady, ona jednak szturchnęła mnie. Chciała coś zrobić w sprawie Machta. Nie rozumiałem, co można jeszcze zrobić. Jeśli znalazł schronienie, był bezpieczny, ale jeśli był na tych kablach, obłądny prąd powietrza na pewno go z nich zrzucił. I już nie ma

Maximiliena Machta. Jest „umarły”, a jego wewnętrzne elementy będą bieleć gdzieś na ziemi.

Virginia się upierała.

Podpełzliśmy do krawędzi.

Śmignął kolejny ptak, prosto jak pocisk, celując mi w twarz. Uskoczyłem. Musnął mnie skrzydłem. Policzek zapiekł żywym ogniem. Nie wiedziałem, że pióra są takie twarde. Pomyślałem, że wszystkie te ptaki muszą mieć uszkodzone mechanizmy umysłu, skoro atakują ludzi na bulwarze Alfa Ralfa. To nieodpowiednie tak się zachowywać wobec prawdziwych ludzi.

Wreszcie, czołgając się na brzuchu, dotarliśmy do krawędzi. Próbowałem wbić paznokcie lewej ręki w przypominający kamień materiał balustrady, był jednak gładki i nie było się czego chwycić, nie licząc ozdobnych kaneli. Prawym ramieniem obejmowałem Virginie. Bolało mnie przy tym potwornie, bo pierś miałem wciąż uszkodzoną po tamtym uderzeniu o krawędź drogi. Gdy się zawahałem, Virginia sama podpełzła jeszcze kawałek naprzód.

Nie zobaczyliśmy nic.

Zewsząd otaczała nas ciemność.

Wiatr i woda siekły nas jak ciosy pięści.

Suknia Virginii szarpała nią jak pies ponaglący swojego pana. Chciałem móc znów schować się z nią pod osłoną balustrady i przeczekać aż skończy się to powietrzne zaburzenie.

Nagle ze wszystkich stron rozbłysło światło. To była dzika elektryczność, starożytni nazywali to błyskawicami. Później dowiedziałem się, że w obszarach poza zasięgiem maszyn pogodowych występuje dość często.

Jaskrawy błysk rozświetlił wpatrzoną w nas bladą twarz. Wisiał na linach pod nami. Usta miał otwarte, więc pewnie krzyczał. Nigdy się nie dowiem, czy wyraz jego twarzy oznaczał „strach” czy wielkie szczęście. Ale z całą pewnością było to podniecenie. Światło zgasło, a mnie wydało się, że słyszę echo jakiegoś wołania. Sięgnąłem telepatycznie do jego mózgu, lecz tam nie było nic. Tylko tępy, uparty ptak myślący do mnie: nie, nie, nie, nie, nie!

Virginia zeszywniała w moich objęciach. Poruszyła się gwałtownie. Zawołałem do niej po francusku. Nie słyszała.

Zawołałem więc umysłem.

Tam był ktoś jeszcze.

Umysł Virginii eksplodował mi w myślach falą obrzydzenia: ta kocia dziewczyna. Zaraz mnie dotknie!

Wygięła się. Pod moim prawym ramieniem nagle zrobiło się pusto. Zobaczyłem błysk złotej sukni nad krawędzią, widoczny nawet w tym słabym świetle. Sięgnąłem umysłem i pochwyciłem jej krzyk:

– Paul, Paul, kocham cię, Paul... pomocy!

Myśli ucichły w miarę jak ciało spadało.

A tym kimś jeszcze była Ka-Mell, którą po raz pierwszy spotkaliśmy w korytarzu.

– Przyszłam po was oboje – pomyślała do mnie – choć ptaków ona w ogóle nie obchodzi.

– A co mają do tego ptaki?

– Uratowałeś je. Uratowałeś ich młode, kiedy ten rudy człowiek je rozdeptywał. Wszyscy strasznie się baliśmy, co będzie, co wy, prawdziwi ludzie, zrobicie z nami, kiedy już staniecie się wolni. I dowiedzieliśmy się. Niektórzy z was są źli i zabijają inne formy życia. Inni są dobrzy i je chronią.

Pomyślałem: i co, do tego sprowadza się różnica między dobrym i złym?

Może trzeba było się bardziej pilnować. Ludzie nie musieli umieć walczyć, za to homunkulusy zdecydowanie tak. Wyrastały pośród walki, służyły wśród różnych problemów. Ka-Mell, choć była dziewczyną-kotem, trafiła mnie w podbródek pięścią jak tłok. Nie dysponowała środkiem znieczulającym, a to był jedyny sposób – wszystko jedno, czy dla kota, czy nie – żeby przenieść mnie po linach pośród „tajfunu”. Musiałem być nieprzytomny i rozluźniony.

Przytomność odzyskałem w swoim pokoju. Czułem się naprawdę bardzo dobrze. Był ze mną robot-lekarz. Powiedział:

– Przeżył pan szok. Już skontaktowałem się z podkomisarzem Instrumentalności i mam zgodę na wykasowanie pana wspomnień

z ostatniego dnia, jeśli pan sobie życzy.

Minę miał uprzejmą.

Gdzie porywisty wiatr? Gdzie powietrze spadające wokół jak kamień? Gdzie woda, lejąca się, niekontrolowana przez maszyny pogodowe? Gdzie złota suknia, gdzie szalona, spragniona strachu twarz Maximiliena Machta?

Pomyślałem sobie to wszystko, lecz robot-lekarz, nie będąc telepatą, nie odebrał z tego nic. Wbiłem w niego wzrok.

– A gdzie jest – zawołałem – moja prawdziwa miłość?!

Roboty nie potrafią drwić, lecz ten ewidentnie spróbował.

– Ta naga dziewczyna-kot z ognistymi włosami? Poszła się w coś ubrać.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

Jego zramolały maszynowy mózdek wymielił kolejną myśl:

– Muszę stwierdzić, proszę pana, że wy, „wolni ludzie”, istotnie bardzo szybko się zmieniacie...

Kto by się kłócił z maszyną? Nie chciało mi się nawet mu odpowiadać.

Ale tamta maszyna? Dwadzieścia jeden minut. Skąd ona mogła wiedzieć? Jak to w ogóle możliwe? Z tamtą maszyną też nie miałem ochoty się sprzeczać. Musiała być bardzo potężna – może została po starożytnych wojnach? Lepiej nie wiedzieć. Niektórzy ludzie mogą nazywać ją bogiem. Ja jej w ogóle nie nazywam. Nie potrzebuję „strachu” i nigdy nikomu nie zaproponuję, by jeszcze raz wyprawić się na bulwar Alfa Ralfa.

Ale serce, och, moje serce, czy będziesz jeszcze w stanie pójść choć raz do tamtej kawiarni?

Przyszła Ka-Mell. Robot-lekarz wyszedł.

---

<sup>4</sup> *Net* (fr.) – wyrazisty, ostry (przyp. tłum).

<sup>5</sup> Prawdopodobnie chodzi o tradycyjną szkocką piosenkę *Loch Lomond* (przyp. tłum).

## BALLADA O ZGUBIONEJ KA-MELL

Według samego Smitha raczej luźno inspirowana niektórymi magicznymi i spiskowymi intrygami *Opowieści o trzech królestwach*, XIV-wiecznej powieści chińskiej autorstwa Luo Guanzhonga. Natomiast inspiracją do postaci Ka-Mell była kotka Melanie, jedna z ich domowych kotek. Zarówno ona, jak i lord Żestokost wystąpią jeszcze później w powieści *Norstrilia*.

*Co ona nawyprawiała i za to oberwała,  
Obrazy w dzwonie zamazała,  
I w hominidzie się zakochała.  
Lecz co właściwie nawyprawiała?*

*(z Ballady o zgubionej Ka-Mell)*

Była tylko towarkiem, oni byli prawdziwymi ludźmi, panami stworzenia, a jednak zmierzyła się z nimi i zwyciężyła. Nie zdarzyło się to wcześniej, dopilnowano, by nie zdarzyło się później, ale zwyciężyła. Rodowód miała koci, choć kształty ludzkie, stąd przedrostek „Ka” przed imieniem. Jej ojciec nazywał się Ka-Mackintosh, ona zaś Ka-Mell. Swymi podstępami pokonała praworządnych i zorganizowanych lordów Instrumentalności.

Wszystko to działo się w Ziemioporcie, największym z budynków, najmniejszym z miast, wznoszącym się na wysokość dwudziestu pięciu kilometrów na zachodnim brzegu Morza Mniejszego na Ziemi.

Gabinet Żestokosta znajdował się tuż obok czwartego zaworu.

Żestokost lubił poranne słońce, a większość innych lordów Instrumentalności nie bardzo, stąd nie miał kłopotu z zachowaniem dla siebie gabinetu i apartamentu, które sobie wybrał. Główny gabinet mierzył dziewięćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia wysokości i dwadzieścia szerokości. Obok niego był „czwarty zawór”, zajmujący niemal tysiąc hektarów. Miał spiralny kształt, niczym gigantyczny ślimak. Apartament Żestokosta, choć wielki, na tle Ziemioportu był ledwie jedną z przegródek w tłumiku na jego krawędzi. Ziemioport miał kształt olbrzymiego kieliszka do wina, sięgającego od magmy po górne warstwy atmosfery.

Zbudowano go podczas największego szalu inżynieryjnego ludzkości. Choć rakiety o napędzie atomowym istniały niemal od samego początku ciągłej historii, statki z międzyplanetarnymi silnikami jonowymi i atomowymi oraz żaglami świetlnymi do podróży międzygwiazdnych montowano na orbicie, wynosząc części raketami chemicznymi. Zniecierpliwieni koniecznością wożenia materiałów w niebo po kawałku, opracowali raketę ważącą miliard ton, tylko po to, by stwierdzić, że, lądując, niszczy wielką połąć ziemi. Daimoni – istoty ziemskiego pochodzenia, które wróciły wówczas z gwiazdnych otchłani – pomogli ludziom zbudować więc dla niej port z materiału odpornego na warunki atmosferyczne, korozję, czas i naprężenia. Potem odlecieli i już nigdy nie wrócili.

Żestokost często rozglądał się po swoim apartamencie i zastanawiał, jak to wyglądało, kiedy rozgrzany do białości gaz, wyciszony do szeptu, wpadał przez zawór do tej komory i sześćdziesięciu trzech pozostałych komór. Teraz komora była przegrodzona ścianą z grubych drewnianych belek, a sam zawór był wielką, pustą jaskinią, w której mieszkało parę dzikich stworzeń. Nikt już tej przestrzeni nie potrzebował. Komory zagospodarowano, zawór stał bezużyteczny. Z gwiazd ze szmerem przylatywały statki planoformacyjne; lądowały w Ziemioporcie z uwagi na

dogodne uwarunkowania prawne, ale nie hałasowały, a gorących gazów wylotowych nie miały w ogóle.

Żestokost spojrział na chmury daleko w dole i zagadał do siebie:

– Ładny dzień. Rzeńskie powietrze. Żadnych problemów. Może by coś zjeść?

Często tak do siebie mówił. Był indywidualistą, niemal ekscentrykiem. Miał na głowie problemy, jako członek najwyższej rady ludzkości, ale nie były to problemy osobiste. Nad jego łóżkiem wisiał Rembrandt – jedyny znany Rembrandt na świecie, ponieważ Żestokost był prawdopodobnie jedyną znaną na świecie osobą, która zainteresowałaby się Rembrandtem. Na tylnej ścianie powiesił sobie gobeliny z zapomnianego imperium. Co rano słońce odgrywało dlań wielką operę, to tłumiąc, to rozświetlając, to zmieniając kolory, tak że niemal mógł sobie wyobrazić, że wróciły dawne czasy – czasy sporów, zabójstw i wielkich dramatów. W zamkniętym na klucz kufierku przy łóżku miał egzemplarz Szekspira, egzemplarz Colegrove’a i dwie stronice z Księgi Koheleta. Tylko czterdzieści dwie osoby w całym wszechświecie potrafiły czytać po staroangielsku i on się do nich zaliczał. Pił wino, które robiły dlań jego własne roboty w jego własnych winnicach na wybrzeżu Zachodu. Był to zatem, by nie przedłużać, człowiek, który ułożył sobie życie osobiste tak, by móc je wieść wygodnie, egoistycznie i dobrze – po to, by hojnie i bez przeszkód dzielić się swoimi talentami w oficjalnej roli.

Tego akurat ranka, budząc się, nie miał pojęcia, że piękna dziewczyna zakocha się w nim bez pamięci – ani że po ponad stu latach doświadczenia we władzach, odkryje na Ziemi inny rząd, tak samo silny i niemal równie starodawny jak jego – ani że z własnej, nieprzymuszonej woli wda się w spisek i narazi na niebezpieczeństwo dla sprawy, którą tylko połowicznie rozumie. Wszystko to litościwie ukrywał przed nim czas, tak że, wstając z łóżka, zaprzętał sobie głowę tylko jedną kwestią: czy powinien wypić do śniadania mały kieliszek białego wina, czy też nie. Sto siedemdziesiątego drugiego dnia każdego roku z namaszczeniem jadł na śniadanie jajka. Zorganizował to w ten sposób, były bowiem egzotycznym przysmakiem i nie chciał zepsuć sobie przyjemności, jedząc ich zbyt dużo,



ani też owej przyjemności całkiem się pozbawiać. Spacerował po pokoju, mruczając:

– Białe wino? Białe wino?

Ka-Mell zbliżała się do jego życia, on jednak o tym nie wiedział. Było jej pisane wygrać – tego z kolei nie wiedziała ona sama.

Od samego początku Drugiego Odkrycia Ludzkości, gdy ludzie na nowo powołali do życia rządy, pieniądze, gazety, języki narodowe, choroby i nagłą śmierć, powstawał problem z podludźmi – istotami, które nie były ludźmi, choć miały ludzką postać, opartymi na materiale genetycznym ziemskich zwierząt. Potrafiły mówić, śpiewać, czytać, pisać, pracować, kochać i umierać; nie obejmowało ich jednak ludzkie prawodawstwo. Określało je po prostu mianem „homunkulusów”, a ich status prawny był zbliżony do robotów lub zwierząt. Prawdziwi ludzie z innych światów zaś byli zawsze określani jako „hominidy”.

Większość podludzi zajmowała się swoją pracą i bez protestu akceptowała na wpół niewolniczy status. Niektórzy nawet stawali się sławni – Ka-Mackintosh jako pierwszy na Ziemi wykonał pięćdziesięciometrowy skok w dal przy normalnym ciężeniu. Jego zdjęcie oglądano na tysiącach światów. A jego córka, Ka-Mell, była towarkiem – zarabiała na życie, witając ludzi i hominidów przybywających z innych światów i sprawiając, by dobrze się czuli na Ziemi. Cieszyła się przywilejem pracy w Ziemioportcie, musiała jednak pracować bardzo ciężko i zarabiać bardzo mało. Ludzie i hominidy od tak dawna żyli w bogatym społeczeństwie, że nie zdawali sobie sprawy, jak to jest być biednym. Lordowie Instrumentalności postanowili jednak, że podludzie – pochodzący od zwierząt – mają żyć w ustroju podobnym do Starego Świata; musieli mieć pieniądze i płacić nimi za pokoje, za jedzenie, za wszystkie dobra osobiste oraz edukację swoich dzieci. Jeśli bankrutowali, szli do Domu Biedy, gdzie zabijano ich bezboleśnie, gazem.

Było ewidentne, że ludzkość, choć własne podstawowe problemy rozwiązała, nie była gotowa, by uznać ziemskie zwierzęta, obojętne jak odmienione, za równe sobie.

Lord Żestokost, siódmy z rzędu o tym nazwisku, sprzeciwiał się takiej polityce. Kochał niewiele, mało się bał, był wolny od ambicji i oddany swojej pracy; rządzenie potrafi jednak rozbudzać namiętności równie głębokie i trudne jak miłość. Dwieście lat słusznego myślenia i porażek w kolejnych głosowaniach rozbudziło w nim wściekłą żądzę załatwienia tych spraw po swojemu.

Należał do nielicznych prawdziwych ludzi wierzących w prawa podludzi. Uważał, że ludzkość nigdy nie zadośćuczyni za starożytne krzywdy, jeśli nie zapewni podludziom przynajmniej niektórych narzędzi władzy – broni, prawa do spisku, majątku, a nade wszystko organizacji, która będzie w stanie stawić czoło ludzkości. Nie obawiał się buntu: obsesyjnie pragnął sprawiedliwości. Tak obsesyjnie, że wszelkie inne kwestie szły w niepamięć.

Kiedy lordowie Instrumentalności usłyszeli plotki o spisku podludzi, kazali robociej policji go wytropić.

Żestokost tego nie zrobił.

Zorganizował własną policję, wykorzystując do tego celu samych podludzi. Liczył, że zwerbuje do niej wrogów, którzy potem dowiedzą się, że jest po ich stronie, i z czasem umożliwią mu kontakt z przywódcami podludzkiego świata.

Jeśli ci przywódcy istnieją, są bardzo sprytni. Czyż ta dziewczynatowarek, Ka-Mell, zdradziła się kiedykolwiek, że stoi na czele siatki agentów, która spenetrowała sam Ziemioport? O ile istnieją, muszą być bardzo, bardzo ostrożni. Telepatyczne monitory, tak maszynowe, jak i ludzkie, monitorowały, próbując losowo, wszystkie pasma myśli. Nawet komputery nie wykrywały niczego bardziej znaczącego niż nieprawdopodobny poziom szczęścia w umysłach, które nie miały dla tego szczęścia żadnych obiektywnych podstaw.

Śmierć jej ojca, najsławniejszego koto-sportowca, jakiego zrodzili podludzie, dała Żestokostowi pierwszą niezbitą wskazówkę.

Sam także udał się na pogrzeb, na którym ciało zapakowano do lodowej rakiety, by wystrzelić je w kosmos. Żałobnicy mieszały się z łowcami sensacji. Sport jest międzynarodowy, międzyrasowy, międzyświatowy

i międzygatunkowy. Były i hominidy: choć stuprocentowo ludzkie, wyglądały dziwnie i strasznie, ponieważ one same, albo ich przodkowie musiały sobie zmodyfikować ciała, by dostosować je do warunków panujących na tysiącu światów.

Byli i podludzie, pochodzące od zwierząt „homunkulusy”, przeważnie w roboczych ubraniach. Wyglądały bardziej ludzko niż ludzie z innych światów. Żadnemu nie wolno było mierzyć mniej niż połowę ani więcej niż sześciokrotność przeciętnego ludzkiego wzrostu. Wszystkie musiały mieć ludzkie rysy i odpowiednio ludzkie głosy. W ich szkołach podstawowych za wszelkie przekroczenia karano śmiercią. Żestokost spojrzął na ten tłum i pomyślał: ustaliliśmy dla nich tak surowe normy przetrwania, a za postępy nagradzamy ich najstraszniejszą z nagród, przeżyciem. Co z nas za durnie, że myślimy, że nas nie przeskoczą!

Prawdziwi ludzie w tym tłumie nie dzielali jego zapatrywań. Bez ceregieli poszturchiwali podludzi laskami, choć był to pogrzeb podczłowieka – a ludzie-byki, ludzie-niedźwiedzie, ludzie-koty i inni rozstępowali się natychmiast i mamrotali przeprosiny.

Ka-Mell stała przy samej lodowej trumnie ojca.

Żestokost nie tylko patrzył na nią. A była miła dla oka. Zrobił coś, co w przypadku zwykłego obywatela byłoby nieprzyzwoitością, lordowie Instrumentalności zaś byli do tego uprawnieni. Zajrzał jej do głowy.

A tam znalazł coś, czego się nie spodziewał.

Gdy trumna ruszała, wykrzyknęła:

– Iii-teli-keli, ratuj mnie! Ratuj!

Myślała fonetycznie, nie pismem, odebrał więc tylko dźwięk. Tylko dźwięku mógł szukać.

Żestokost nie zostałby lordem Instrumentalności, nie wykazawszy się śmiałością. Jego mózg myślał szybko, zbyt szybko, by stać go było na głębokie, inteligentne przemyślenia. Myślał całościowo, gestaltem, nie logiką. Postanowił narzucić się jej ze swoją przyjaźnią.

Zdecydował się czekać na stosowną okazję, a potem zupełnie zmienił zdanie.

Gdy wracała do domu z pogrzebu, wtargnął pomiędzy jej przyjaciół o zaciętych twarzach, podludzi próbujących odgrodzić ją od fali kondolencji ze strony niewychowanych, choć pełnych dobrej woli entuzjastów sportu.

Rozpoznała go i okazała mu należny szacunek.

– Milordzie, nie spodziewałam się pana tutaj. Czy znał pan mojego ojca?

Kiwnął poważnie głową i wypowiedział górnolotne słowa pocieszenia i smutku, słowa, które wywołały pomruk aprobaty zarówno ludzi, jak i podludzi.

Natomiast zwisającą luźno u boku lewą rękę ułożył w sygnał „Alarm! Alarm!” – cykliczne postukiwanie kciukiem w środkowy palec – używany przez personel Ziemioportu, kiedy musieli się nawzajem o czymś ostrzec, nie wzbudzając czujności pozaziemskich podróżnych.

Tak się zdenerwowała, że omal wszystkiego nie zepsuła. Jeszcze w trakcie jego napuszonej dwulicowej mowy wykrzyknęła głośno i wyraźnie:

– O mnie chodzi?

On zaś ciągnął kondolencje:

– ...i tak, o tobie teraz mówię, Ka-Mell, mówię że godna jesteś nosić nazwisko swego ojca. To do ciebie zwracamy się w chwilach smutku. Kogo miałbym na myśli, jeśli nie ciebie, mówiąc, że Ka-Mackintosh nigdy niczego nie robił na pół gwizdka i zginął młodo właśnie przez swoją gorliwość i sumienność. Żegnaj Ka-Mell, wracam do gabinetu.

Przybyła tam czterdzieści minut po nim.

## II

Zwrócił się do niej od razu, patrząc jej w twarz.

– To ważny dzień w twoim życiu.

– Tak jest, milordzie. I bardzo smutny.

– Nie mam na myśli śmierci i pogrzebu twojego ojca. Mówię o przyszłości, w którą musimy się zwrócić. Chodzi tu o ciebie i o mnie.

Wytrzeszczyła oczy. Nie miała go dotąd za tego typu człowieka. Był ważnym urzędnikiem, który poruszał się swobodnie po Ziemioporcie, często witał ważnych pozaziemskich gości i miał na oku biuro do spraw uroczystości. Ona zaś należała do zespołu powitalnego, wzywano ją, kiedy był potrzebny towarek, żeby uspokoić zdenerwowanego przyjeźdnego albo zażegnać kłótnię. Podobnie jak gejsza w starożytnej Japonii, miała szanowany zawód – nie była podejrzaną dziewczyną, ale zawodowo flirtującą hostessą. Wytrzeszczyła oczy na lorda Żestokosta. Nie wyglądał jakby miał na myśli coś niestosownie osobistego. Ale, pomyślała, u tych mężczyzn to nigdy nic nie wiadomo.

– Wiesz, jacy są ludzie – powiedział, przekazując jej piłeczkę.

– Raczej tak – odparła. Zrobiła dziwną minę. Zaczęła już obdarzać go Uśmiechem nr 3 (wyjątkowo lepkiem), którego nauczyła się w szkole dla towarków. Uświadomiwszy sobie, że to niewłaściwe, spróbowała uśmiechnąć się normalnie. Miała wrażenie, że stroi do niego miny.

– Popatrz na mnie – powiedział – i zastanów się, czy możesz mi zaufać. Ode mnie będzie zależało życie nas obojga.

Popatrzyła na niego. Co takiego mogło łączyć jego, lorda Instrumentalności, z nią, podczłowiekiem? Nigdy nie mieli ze sobą nic wspólnego. Nigdy nie będą mieli.

Patrzyła jednak dalej.

– Ja chcę pomóc podludziom.

Na te słowa zamrugała. Prymitywny zabieg, po którym zwykle następuje dość obcesowa próba spoufalenia się. Lecz jego twarz rozjaśniała powaga. Czekwała.

– Wasi ludzie mają tak mało politycznych wpływów, że nawet z nami nie mogą rozmawiać. Nie popełnię zdrady wobec prawdziwej ludzkiej rasy, ale skłonny jestem dać waszej stronie przewagę. Jeśli będziecie się lepiej z nami targować, będzie to z korzyścią dla bezpieczeństwa wszystkich form życia.

Ka-Mell wpatrzyła się w podłogę. Rude włosy miała miękkie jak futro perskiego kota. Sprawiały, że jej głowa wyglądała jak skąpana w ogniu. Oczy miała z wyglądu ludzkie, choć potrafiły odbijać padające na nie światło, a tęczęwki były intensywnie zielone, jak u pradawnych kotów. Gdy spojrzała wprost na niego, spojrzenie miało siłę ciosu.

– Czym mogę panu służyć?

Odwzajemnił spojrzenie.

– Ka-Mell. Spójrz na mnie. Spójrz na moją twarz. Czy jesteś pewna, absolutnie pewna, że nie chcę od ciebie nic osobistego?

Zrobiła zakłopotaną minę.

– Czego można by ode mnie chcieć, jeśli nie osobistych rzeczy? Jestem towarkiem. Nie jestem żadną ważną ani istotną osobą, nie jestem także wykształcona. Pan już wie tyle, ile ja nie nauczę się przez całe życie.

– To możliwe – powiedział, obserwując ją.

Przestała czuć się jak towarek i poczuła się jak obywatelka. Zrobiło jej się z tym nieswojo.

– Ka-Mell – zapytał bardzo poważnym i uroczystym tonem – kto jest waszym przywódcą?

– Komisarz Herbaciarz, sir. Odpowiada za wszystkich pozaświatowych gości. – Uważnie obserwowała Żestokosta; nadal nie wyglądało to na żaden podstęp.

Zrobił lekko poirytowaną minę.

– Nie o niego mi chodzi. To jest mój pracownik. Pytam, kto jest waszym przywódcą między podludźmi.

– Ojciec był, ale już nie żyje.

– Wybacz mi, proszę. Usiądź. Też nie o to mi chodziło.

Była tak zmęczona, że usiadła, poruszając się przy tym z niewinną zmysłowością, która każdemu normalnemu człowiekowi zdeorganizowałaby cały dzień. Miała na sobie towarkowy strój, zaprojektowany tak, by przypominać normalne, w miarę skromne ubranie, ale tylko kiedy stała; jak przystało na jej zawód, strój niespodziewanie i wyzywająco odsłaniał ciało, kiedy siadała. Nie na tyle, by szokować

mężczyzn wulgarnością; niemniej owe wycięcia, rozcięcia i kusości okazały się o wiele bardziej stymulujące niż oczekiwał.

– Muszę cię prosić, żebyś trochę poprawiła sobie ubranie – odezwał się klinicznie lodowatym tonem. – Jestem mężczyzną, choć przede wszystkim urzędnikiem państwowym, a ta rozmowa jest i dla ciebie, i dla mnie na tyle ważna, że jakiegokolwiek odwracanie uwagi byłoby tu nie na miejscu.

Przeraził ją trochę ten ton. Nie zamierzała zachowywać się wyzywająco. Była prosto po grzebie, a miała tylko takie ubrania.

Wyczytał to wszystko z jej twarzy.

I niewzruszony kontynuował:

– Młoda panienko, pytałem o waszego przywódcę. Wymieniłaś swojego przełożonego i swojego ojca. Mnie zaś chodzi o przywódcę.

– Nie rozumiem – odpowiedziała na granicy łez. – Nie rozumiem.

Nagle przyszedł mu do głowy inny pomysł. Trzeba zaryzykować. Dźgnął ją myślowym sztyletem, niemal wbijając jej te słowa prosto w twarz:

– Kim jest... – rzekł powoli i lodowato – O... Teli... Keli...?

Twarcz dziewczyny, dotąd kremowa, pobladła nieco od smutku, teraz zbielała jak ściana. Odwróciła się od niego. Jej oczy płonęły jak dwa ognie.

Jej oczy... jak dwa ognie.

Pokój wokół przybladł. Dziewczyna rozplynęła się. Oczy stały się jednym białym, zimnym płomieniem.

A w tym płomieniu stała postać człowieka. Ramiona miał jak skrzydła, lecz w ich łokciach wyrastały ludzkie dłonie. Twarcz miał gładką, białą, zimną jak marmur starożytnej rzeźby, oczy mlecznobiałe.

– Jestem O-Telekeli. Uwierzysz we mnie. Możesz mówić do mojej córki Ka-Mell.

Obraz zbladł.

Żestokost zobaczył wytrzeszczone oczy dziewczyny, która siedziała w niewygodnej pozycji na fotelu, patrząc ślepo wskroś niego. Już miał zażartować z jej hipnotyzerskich zdolności, dostrzegł jednak, że choć on się uwolnił, ona wciąż jest mocno zahipnotyzowana. Zesztywniała, a jej ubranie znów znalazło się w nieładzie. Efekt nie był jednak stymulujący,

a wręcz żaloszny i budzący litość, jakby ślicznej dziewczynce przytrafił się jakiś wypadek. Odezwał się do niej:

– Kim jesteś? – zapytał, sprawdzając hipnozę.

– Jestem tym, którego imienia nie wypowiada się głośno – odpowiedziała ostrym szeptem dziewczyna. – Jestem tym, którego tajemnicę przeniknąłeś. Wdrukowałem w twój umysł mój obraz i imię.

Żestokost nie miał zwyczaju spierać się z tego typu zjawami. Błyskawicznie podjął decyzję.

– Jeśli otworzę swój umysł, przeszukasz go tu i teraz? Jesteś dość dobry, by temu podołać?

– Jestem bardzo dobry – wydobył się syczący głos z ust dziewczyny.

Ka-Mell podniosła się i położyła dłonie na jego ramionach. Zajrzała mu w oczy. Odpowiedział tym samym. Był potężnym telepatą, ale nie był przygotowany na promieniujące z niej gigantyczne myślowe napięcie.

– Spójrz mi w umysł – rozkazał – poszukaj tylko pojęcia „podludzie”.

– Widzę je – pomyślał umysł w głębi Ka-Mell.

– Widzisz, co zamierzam uczynić dla podludzi?

Usłyszał chrapliwy oddech, gdy jej umysł służył mu za przekaźnik. Próbował zachować spokój, aby widzieć, które części mózgu są przeszukiwane. Na razie świetnie idzie, pomyślał. Taka inteligentna istota, na samej Ziemi, a my, lordowie, nie mamy o tym pojęcia!

Dziewczyna zachichotała chrypliwie.

Żestokost pomyślał do tamtego umysłu:

– Przepraszam. Mów dalej.

– Ten twój plan – pomyślał osobliwy umysł – czy mogę poznać szczegóły?

– Na razie jest tylko tyle.

– Ach tak – odparł tamten – chcesz, żebym je wymyślił za ciebie. A czy możesz mi dać klucze do Dzwonu i Banku, dotyczące zniszczenia podludzi?

– Klucze do informacji możesz dostać, jeśli uda mi się je zdobyć – odmyślał Żestokost – ale nie klucze kontrolne i nie główny wyłącznik Dzwonu.



– Dobrze – pomyślał tamten – a jaka będzie cena?

– Udzielisz mi poparcia przed obliczem Instrumentalności. Dopilnujesz, by podludzie zachowywali się rozsądnie, w miarę możliwości, kiedy przyjdzie czas na negocjacje. Będziesz zawierać kolejne umowy honorowo i w dobrej wierze. Ale jak mam zdobyć te klucze? Samemu zajmie mi to pewnie z rok.

– Niech dziewczyna na to raz spojrzy – pomyślał osobliwy umysł – a ja będę za nią. Może być?

– Może być.

– Przerrywamy? – pomyślał umysł.

– A jak się połączymy ponownie? – odmyślał Żestokost.

– Jak wcześniej. Przez dziewczynę. Nigdy nie wypowiadaj mojego imienia. Staraj się go nawet w miarę możliwości nie myśleć. Koniec?

– Koniec! – pomyślał Żestokost.

Dziewczyna, która trzymała go za ramiona, opuściła głowę i pocałowała go, zdecydowanie i ciepło. Nigdy wcześniej nie dotykał podczłowieka, nigdy nie przyszło mu do głowy, by podczłowieka pocałować. Było to przyjemne, on jednak zdjął jej ręce ze swojej szyi, na wpół obrócił ją w drugą stronę i oparł o własne ciało.

– Tata! – Westchnęła radośnie. Nagle jednak zeszywniała, spojrzała mu w twarz i rzuciła się do drzwi. – Lord Żestokost! – jęknęła. – Co ja tu robię?

– Spełniłaś swoje zadanie, moja panno. Możesz iść.

Chwiejnym krokiem weszła z powrotem do pokoju.

– Niedobrze mi – powiedziała. Zwymiotowała na podłogę.

Wcisnął włącznik robota sprząającego i klepnął dłonią w biurko, żeby zamówić kawę.

Rozluźniła się i zaczęła mówić o jego nadziejach wobec podludzi. Została jeszcze godzinę. Gdy wychodziła, mieli już plan. Żadne z nich nie wspomniało o O-Telekelim, żadne nie zwerbalizowało celu. Jeśli obserwatorzy słuchali, nie wykryli ani jednego podejrzanego zdania czy akapitu.

Gdy poszła, Żestokost wyjrzał przez okno. Daleko w dole zobaczył chmury i uświadomił sobie, że zapada tam zmierzch. Planował pomóc

podludziom i spotkał się z siłami, których istnienia zorganizowana ludzkość w ogóle sobie nie uświadamiała. Miał jeszcze większą słuszność niż myślał. Trzeba to było jeszcze wcielić w życie.

Mając za współpracowniczkę... Ka-Mell we własnej osobie!

Czy w całej historii wszystkich światów był choć jeden osobliwszy dyplomata?

### III

W niecałe trzy dni postanowili, co uczynią. Skupią się na Radzie Lordów Instrumentalności, a więc samym ośrodku mózgowym ludzkości. Ryzyko było duże, ale wszystko można było załatwić w parę minut, jeśli skorzystało się z Dzwonu.

I właśnie to zainteresowało Żestokosta.

Nie wiedział, że Ka-Mell obserwuje go dwoma różnymi aspektami swojego umysłu. Jedna stanowiła czujnego i oddanego sprawie współspiskowca, skupionego na rewolucyjnym celu, jakiemu mieli się wspólnie poświęcić. A druga była kobieca.

Miała w sobie kobiecość prawdziwszą niż jakakolwiek kobieta-hominid. Znała bowiem wartość swego wyszkolonego uśmiechu, swoich świetnie utrzymanych rudych włosów o niewyobrażalnie miękkiej fakturze, swojej zgrabnej, młodej figury o jędrnych piersiach i niesamowitych biodrach. Wiedziała do ostatniego milimetra, jaki efekt wywierają jej nogi na mężczyznach-hominidach. Prawdziwi ludzie nie mieli wobec niej tajemnic. Mężczyźni zdradzali je przez niezaspokojone żądze, kobiety przez nietłumioną zazdrość. Najlepiej jednak poznawała ludzi dzięki temu, że sama nie była człowiekiem. Musiała uczyć się ich zachowań przez naśladownictwo, a naśladownictwo jest świadome. Tysiąc drobiazgów, które dla zwykłych kobiet były oczywistością i myślało się o nich może raz w życiu, dla niej stanowiło przedmiot uważnego badania. Była dziewczyną

z zawodu, człowiekiem – przez mimikrę, a genetycznie – ciekawskim kotem. Teraz zaś zakochiwała się w Żestokoście i dobrze o tym wiedziała.

Nawet ona nie zdawała sobie jednak sprawy, że romans potrafi przesączyć się do plotek, rozrosnąć do rozmiarów legendy, wydestylować się w romantyczną historię. Nie miała pojęcia, że kiedyś powstanie o niej ballada, która będzie się zaczynać od słów:

*Co ona nawyprawiała i za to oberwała,  
Obrazy w dzwonie zamazała,  
I w hominidzie się zakochała,  
Lecz co właściwie nawyprawiała?*

Wszystko to kryła przyszłość, tak że jeszcze o tym nie wiedziała.

Znała za to swoją przeszłość.

Wspomniała pozaziemskiego księcia, który położył jej kiedyś głowę na kolanach i powiedział na pożegnanie, popijając *motl* z kieliszka:

– To zabawne, wiesz, Ka-Mell, ty nawet nie jesteś osobą, a jesteś najinteligentniejszą ludzką istotą, jaką tutaj spotkałem. Wiesz, że moja planeta musiała cała zbiednieć, żeby mnie tu wysłać? A co od nich uzyskałem? Nic, nic i po tysiackroć nic. Oprócz ciebie. Gdybyś ty stała na czele ziemskich władz, otrzymałbym to, czego potrzebuje mój lud, i ten świat także by się na tym wzbogacił. Kolebka ludzkości, oni tak to nazywają. Też mi kolebka! Jediną inteligentną istotą na całej planecie jest kocia samica.

Przesunął palcami po jej kostce. Nawet nie drgnęła. To należało do uprzejmości zapewnianych przez usługi powitalne, ona zaś miała swoje sposoby, by ta uprzejmość nie zaszła za daleko. Obserwowała ją zresztą ziemską policja – dla niej była urządzeniem utrzymywanym w porcie dla wygody pozaziemskich gości, czymś jak wygodny fotelik w poczekalni, albo źródółko z kwaśną wodą dla przybyszów, którzy nie tolerowali mdłej ziemskiej. Nie oczekiwano od niej posiadania uczuć ani angażowania się. Gdyby kiedykolwiek spowodowała jakiś incydent, zostałaby ukarana ostro, jak się karało zwierzęta i podludzi, lub nawet (po krótkim oficjalnym

przesłuchaniu, bez możliwości odwołania) zlikwidowana, zgodnie z prawem i zwyczajem.

Pocałowała w życiu tysiąc mężczyzn, może i półtora tysiąca. Dzięki niej czuli się mile widziani, a gdy wyjeżdżali, wydobywała od nich wszelkie tajemnice, problemy i skargi. Czasem chciało jej się śmiać, gdy patrzyła na ludzkie kobiety, z ich zadartymi nosami i dumnymi spojrzeniami, i uświadamiała sobie, że o ich mężczyznach wie więcej niż one same.

Kiedyś pewna policjantka musiała przeczytać jej raport dotyczący dwóch osadników z Nowego Marsa. Ka-Mell kazano utrzymywać z nimi bardzo bliski kontakt. Gdy policjantka skończyła czytać raport, spojrzała na Ka-Mell, a jej twarz wykrzywiły zazdrość i pruderyjna złość.

– Mówisz, że jesteś kotką. A już tam! Świnia, suka, zwierzę. Może i pracujesz dla Ziemi, ale niech ci nie przyjdzie do głowy równać się z ludźmi! Dla mnie to zbrodnia, że Instrumentalność pozwala takim potworom jak wy witać prawdziwych ludzi spoza świata! Na to nic nie poradzę. Ale niech cię Dzwon ma w opiece, dziewczyno, jeśli kiedykolwiek tkniesz palcem jakiegoś prawdziwego człowieka z Ziemi! Czy choćby się do niego zbliżysz! Jeśli będziesz tutaj próbować tych swoich sztuczek! Rozumiesz?

– Tak, proszę pani – odparła Ka-Mell i pomyślała: biedactwo, nie umie ani dobrać sobie ubrań, ani ułożyć włosów. Nic dziwnego, że nienawidzi każdego, kto potrafi być piękny.

Policjantka pewnie myślała, że taka otwarta nienawiść będzie dla niej szokująca. Myliła się. Podludzie byli przyzwyczajeni do nienawiści, która serwowana bez niczego wcale nie była gorsza niż wymieszana z uprzejmością i podana jak trucizna. Musieli się nauczyć z tym żyć.

Teraz wszystko się zmieniło.

Zakochała się w Żestokoście.

A czy on też ją kochał?

Nieemożliwe. Nie, nie niemożliwe. Nielegalne, nieprawdopodobne, nieprzyzwoite, tak, wszystko to, ale nie niemożliwe. Na pewno musiał jakoś poczuć tę jej miłość.

Jeśli nawet, w żaden sposób się z tym nie zdradził.

Ludziom i podludziom już wiele razy zdarzyło się w sobie zakochiwać. Podludzi zawsze likwidowano, a ludziom robiono pranie mózgu. Istniało prawo, które tego zabraniało. Ludzcy uczeni stworzyli podludzi i dali im zdolności, których ludzie nie posiadali (skok na pięćdziesiąt metrów, telepatia na dwie mile pod ziemią, człowiek-żółw czekający tysiąc lat przy wyjściu ewakuacyjnym, człowiek-krowa, bez wynagrodzenia strzegący bramy), a wielu także ludzki kształt. Ludzkie oko, pięciopalczysta dłoń, ludzki wzrost – to wszystko było dogodne z prostych inżynierskich powodów. Dzięki temu, że podludzie byli w większości tego samego wzrostu i kształtu, co ludzie, naukowcy wyeliminowali konieczność produkowania dwóch, trzech, czy kilkunastu rodzajów mebli. Ludzka postać nadawała się dla nich wszystkich.

Zapomnieli jednak o ludzkim sercu.

I teraz Ka-Mell zakochała się w człowieku, prawdziwym człowieku, do tego tak starym, że mógłby być dziadkiem jej ojca.

Nie czuła się przy nim jak córka, zupełnie nie. Pamiętała, że z ojcem kontakt był łatwy, pełen niewinnej i otwartej czułości, co maskowało fakt, że do kota było mu znacznie bliżej niż jej. Ziała między nimi pustka pełna nigdy niewypowiedzianych słów – słów, których żadne z nich nie było w stanie powiedzieć, a może w ogóle były niemożliwe do wypowiedzenia. Byli tak blisko siebie, że już bliżej być nie mogli. Tworzyło to ogromny dystans, bolesny, acz niewysłowiony. Ojciec jednak umarł, a teraz znalazł się przy niej ten prawdziwy człowiek, z tą swoją dobrocią...

– Właśnie o to chodzi – szepnęła – o tę dobroć, której tak naprawdę nie okazał nikt z podróżnych. W ilości, na którą nigdy nie będzie stać moich nieszczęsnych podludzi. Oczywiście mają to w sobie. Ale rodzą się jak śmieci, traktuje się ich jak śmieci i wyrzuca jak śmieci, kiedy umrą. Jak mogliby wykształcić w sobie prawdziwą dobroć? Prawdziwa dobroć ma w sobie coś majestatycznego. To najlepsza cecha prawdziwych ludzi. A on ma jej w sobie całe pokłady. Jakie to dziwne, dziwne, dziwne, że nigdy nie obdarzył prawdziwą miłością żadnej ludzkiej kobiety.

Urwała, tknięta tą myślą.

Po czym uspokoiła samą siebie i szeptała dalej:

– Jeśli nawet, to było to tak dawno temu, że już jest bez znaczenia. Teraz ma mnie. Ale czy on o tym wie?

## IV

Lord Żestokost wiedział, a mimo to nie wiedział. Był przyzwyczajony do lojalności jego ludzi, w swojej pracy bowiem codziennie otrzymywał wyrazy lojalności i szacunku. Znał nawet zjawisko, gdy lojalność staje się obsesyjna i dąży do przybrania fizycznej postaci, zwłaszcza u kobiet, dzieci i podludzi. Wcześniej radził sobie z tym bez problemu. Postanowił zaryzykować, wiedząc, że Ka-Mell jest niezwykle inteligentną kobietą, a jako towarek pracujący w zespole powitalnym policji Ziemioportu musiała nauczyć się panować nad własnymi uczuciami.

Urodziliśmy się w złej epoce, pomyślał. Spotykam najpiękniejszą i najinteligentniejszą kobietę, jaką w życiu widziałem, a muszę przedłożyć sprawy służbowe nad osobiste. Ale ta sprawa pomiędzy ludźmi i podludźmi jest trudna. Trudna. Nie można do niej mieszać kwestii osobistych.

Tak uważał. Może i miał rację.

Bezimienny, którego nie śmiał choćby wspominać, chce się poważyc na atak na sam Dzwon – dla takiej sprawy można poświęcić życie. Nie powinno się do tego mieszać jeszcze własnych emocji. Dzwon był ważny, sprawiedliwość była ważna, powrót ludzkości na drogę postępu był jeszcze ważniejszy. A on się nie liczył – on już w zasadzie dokonał dzieła. Ka-Mell się nie liczyła, bo jeśli poniosą klęskę, po prostu na zawsze pozostałyby wśród podludzi.

Liczył się Dzwon.

Cena tego, co proponował, była wysoka, ale wszystko dawało się zrealizować w kilka minut, jeśli tylko zabrać się do tego bezpośrednio przy Dzwonie.

Dzwon to oczywiście nie był żaden dzwon, lecz urządzenie dające trójwymiarowy obraz sytuacyjny, trzy razy wyższe od człowieka. Podstawę miało o piętro niżej od sali spotkań, a kształtem rzeczywiście przypominało starodawny dzwon. Stół, przy którym spotykali się lordowie, otaczał go kołem, by wszyscy mogli jednocześnie widzieć w nim obraz sytuacyjny przywołany przez jednego z nich, ręcznie bądź telepatycznie. Pod spodem, zasłonięty podłogą, znajdował się Bank – główny bank pamięci całego systemu. Miał kopie w trzydziestu paru innych miejscach na Ziemi oraz dwie ukryte w przestrzeni międzygwiazdnej, z czego jedna była tuż obok mierzącego dziewięćdziesiąt milionów mil złotego statku pozostawionego po wojnie z Raumsogiem i innymi, zakamuflowanego później jako asteroida.

Większość lordów była na innych światach w sprawach Instrumentalności.

Oprócz Żestokosta była obecna tylko trójka – lady Johanna Gnade, lord Issan Olascoaga i lord William Niestąd. (Niestąd – tak zwała się wielka norstrilijska rodzina, która wiele pokoleń temu reemigrowała na Ziemię).

O-Telekeli opowiedział Żestokostowi wstępny zarys planu.

Ka-Mell przyjdzie do izby na wezwanie.

Wezwanie będzie w bardzo poważnej sprawie.

Należy uniknąć skazania jej na śmierć przez automatyczny wymiar sprawiedliwości, jeśli jego przekaźniki zaczną reagować.

W sali Ka-Mell wejdzie w częściowy trans.

Wtedy lord wywoła w Dzwonie obrazy, które chce prześledzić O-Telekeli. Wystarczy wywołać każdy tylko raz. O-Telekeli bierze odpowiedzialność za ich prześledzenie. Żeby tego dokonać, jakoś odwróci uwagę reszty lordów.

Wszystko wyglądało prosto.

Komplikacje pojawiły się podczas realizacji.

Plan wyglądał na kruchy, ale Żestokost już nie był w stanie nic na to poradzić. Przeklinał sam siebie, że przez własny pęd do czynienia dobra przez politykę wpakował się w ten spisek. Było jednak za późno, by wycofać się z honorem, a poza tym dał słowo; do tego jeszcze polubił Ka-

Mell – jako ludzką istotę, nie jako towarek – i za żadne skarby nie chciał, by żyła do końca swoich dni naznaczona klęską. Wiedział, że podludzie czują się niezmiernie przywiązani do własnych tożsamości i własnego statusu.

Z ciężkim sercem, choć bystrym umysłem, udał się do sali rady. Dziewczyna-pies, jedna z recepcjonistek, którą od wielu miesięcy widywał przed wejściem, dała mu kartki z planem spotkania.

Zachodził w głowę, jak Ka-Mell czy O-Telekeli się z nim skontaktują, skoro zaraz znajdzie się w komorze otoczonej ciasną siecią przechwytyjącą łączność telepatyczną.

Usiadł ze znużeniem przy stole...

I omal nie wyskoczył z krzesła.

Spiskowcy zmanipulowali samą agendę spotkania, której pierwszy punkt głosił teraz: „Ka-Mell, córka Ka-Mackintoshy, rodowód koci (czysty), partia 1138, zeznanie. Temat: spisek w celu eksportu materiału genetycznego homunkulusa. Dotyczy: planety De Prinsensmacht”.

Lady Johanna Gnade już wcisnęła guziki, wywołując wspomnianą planetę. Jej mieszkańcy, pochodzenia ziemskiego, byli niezwykle silni, ale bardzo się starali zachować oryginalny ziemski wygląd. Jeden z ich dygnitarzy był akurat na Ziemi. Nosił tytuł Księcia Zmierzchu (Prins van de Schemering) i przybył z misją dyplomatyczną i handlową zarazem.

Ponieważ Żestokost odrobinę się spóźnił, już kiedy przeglądał agendę, wprowadzono do sali Ka-Mell.

Lord Niestąd zapytał Żestokosta, czy będzie przewodniczył.

– Ja zaś chciałbym prosić wielce szanownego lorda, by razem ze mną poprosił o przewodniczenie lorda Issana – odparł Żestokost.

Przewodnictwo było sprawą formalną. Ale Żestokost, nie musząc jednocześnie przewodzić spotkaniu, mógł lepiej mieć na oku Dzwon i Bank.

Ka-Mell miała na sobie więzienny strój. Wyglądała w nim bardzo dobrze. W życiu nie widział, by nosiła coś innego poza towarkowym ubraniem – a bladoniebieska więzienna tunika sprawiała, że wyglądała bardzo młodo, bardzo ludzko, na bardzo delikatną i bardzo przerażoną.



Kocia proveniencja ujawniała się tylko w ognistej kaskadzie włosów i gracji, z jaką usiadła, skromna i wyprostowana.

Lord Issan powiedział:

– Złożyłaś zeznania. Powtórz je.

– Ten człowiek – wskazała na zdjęcie Księcia Zmierzchu – chciał pójść do miejsca, gdzie przed publicznością męczy się ludzkie dzieci.

– Co takiego?! – wykrzyknęła cała trójka lordów jednocześnie.

– Co to za miejsce? – zapytała lady Johanna, wyraźnie zwolenniczka łagodnego podejścia.

– Prowadzi je człowiek, który wygląda trochę jak ten oto dżentelmen – powiedziała Ka-Mell, wskazując Żestokosta.

Szybko, żeby nikt jej nie powstrzymał, ale grzecznie, by nikt jej o nic nie podejrzewał, okrążyła stół i dotknęła jego ramienia. Poczł drgnienie telepatycznego kontaktu i usłyszał w głowie skrzek ptaka. Wtedy dowiedział się, że O-Telekeli jest z nim w kontakcie.

– Człowiek, który prowadzi to miejsce – dodała Ka-Mell – waży o pięć funtów mniej od tego dżentelmena, jest o dwa cale niższy i ma rude włosy. Swój lokal ma w Ziemioporcie, w dzielnicy Zimny Zachód, w głębi bulwaru i pod tym bulwarem. W tej okolicy mieszkają podludzie, niektórzy z nich cieszą się złą reputacją.

Dzwon zmętniał, przelatując przez setki kombinacji podejrzanych podludzi z tej części miasta. Żestokost złapał się na tym, że wpatruje się z mimowolnym skupieniem w mleczną mgłę.

Dzwon się przejaśnił.

Wyświetlił niewyraźny obraz pomieszczenia, w którym dzieci robiły psikusy na Halloween.

Lady Johanna zaśmiała się.

– To nie są ludzie. To roboty. To tylko nudna, stara sztuka.

– A potem – dodała Ka-Mell – zażyczył sobie dolara i szylinga, żeby je zabrać do domu. Był robot, który mu je znalazł.

– A co to takiego? – zapytał lord Issan.

– Dawne pieniądze, prawdziwe monety z dawnej Ameryki i Australii! – zawołał lord William. – Mam parę kopii, ale oryginały są tylko

w państwowym muzeum. – Był zapalonym, namiętym kolekcjonerem monet.

– Robot znalazł je w starej kryjówce tuż pod Ziemioportem.

Lord William prawie krzyknął na Dzwon.

– Przejrzyj wszystkie kryjówki i pokaż mi te pieniądze.

Dzwon się zamglił. Szukając złych dzielnic, przeleciał przez wszystkie posterunki policji w północno-zachodniej części wieży. Potem przejrzał wszystkie poniżej wieży i w oszalamiającym tempie przeskanował tysiące kombinacji, by zatrzymać się w końcu na starym warsztacie. Robot polerował tam okrągłe metalowe przedmioty.

Gdy lord William zobaczył to polerowanie, wściekł się.

– Dawać mi to tutaj! – wykrzyknął. – Sam chcę je kupić!

– Nie ma sprawy – powiedział lord Issan. – Trochę to nieprzepisowe, ale niech będzie.

Maszyna wyświetliła kluczowe kryteria wyszukiwania i kazała robotowi udać się do schodów ruchomych.

Lord Issan powiedział:

– Słabe te dowody.

Ka-Mell zaszlochała. Dobra z niej była aktorka.

– A potem chciał wywieźć jajo homunkulusa. Jedno, typu O, pochodzące od ptaków, chciał je wywieźć do domu.

Issan uruchomił wyszukiwanie.

– Może – powiedziała Ka-Mell – ktoś już je włożył do utylizatora.

Dzwon i Bank przeszły z ogromną szybkością przez wszystkie utylizatory. Żestokost poczuł, że potwornie się denerwuje. Żaden człowiek nie zapamiętałby tysięcy tych obrazów, błyskających w Dzwonie za szybko dla ludzkich oczu, lecz mózg patrzący w Dzwon jego oczyma nie był ludzki. Może nawet sam był połączony z własnym komputerem.

Żestokost pomyślał, że to hańba dla lorda Instrumentalności dać się wykorzystać jako żywy obiekt.

Machina zmętniała i tak została.

– Oszukujesz! – zawołał lord Issan. – Nie ma dowodów.

– Może jednak pozaświatowiec próbował – stwierdziła lady Johanna.

– Śledzić go – zdecydował lord William. – Jeśli jest w stanie kraść starożytne monety, to może ukraść cokolwiek.

Lady Johanna zwróciła się do Ka-Mell:

– Głupia istotko. Zmarnowałaś swój czas i nasz, przeszkodziłaś nam w poważnych międzyświatowych sprawach.

– Ale to jest sprawa międzyświatowa. – Ka-Mell zaszlochała. Usunęła dłoń z ramienia Żestokosta, gdzie trzymała ją przez cały czas.

Kontakt cielesny ustał, a razem z nim przerwało się połączenie telepatyczne.

– Powinniśmy cię osądzić – powiedział lord Issan.

– Mogłabyś ponieść karę – dodała lady Johanna.

Lord Żestokost nic nie powiedział, ale w głębi duszy cały płonął ze szczęścia. Jeśli O-Telekeli był naprawdę taki dobry, jak się wydawało, podludzie właśnie zyskali listy wszelkich posterunków, kryjówek i dróg ucieczki. Ułatwi im to ukrywanie się przed kapryśnymi wyrokami bezbolesnej śmierci, wymierzanych przez ludzkie władze na prawo i lewo.

## V

Tego wieczoru we wszystkich korytarzach rozbrzmiewał śpiew.

Podludzie bez widocznego powodu wybuchnęli radością.

Ka-Mell jeszcze tego wieczoru odtańczyła dziki koci taniec przed następnym klientem przybywającym z pozaświatowej stacji. A gdy wróciła do domu, uklękła przed zdjęciem swego ojca Ka-Mackintosha i podziękowała O-Telekelemu za to, czego dokonał Żestokost.

Historia rozniosła się po świecie dopiero parę pokoleń później, gdy lord Żestokost zyskał uznanie jako orędownik podludzi, a władze, wciąż nieświadome istnienia O-Telekelego, spotkały się z wybranymi w głosowaniu przedstawicielami podludzi, mającymi wynegocjować dla nich lepsze warunki życiowe; wtedy Ka-Mell już dawno zmarła.

Najpierw jednak żyła długo i szczęśliwie.

Gdy była już za stara, by pracować jako towarek, została wybitną kuchmistrzynią. Jej dania słynęły na cały świat. Żestokost raz ją odwiedził. Pod koniec posiłku powiedział:

– Podludzie powtarzają sobie taki głupi wierszyk. Wśród ludzi nie zna go nikt poza mną.

– Nie interesują mnie wierszyki – powiedziała.

– Ten się nazywa „Co ona nawyprawiała”.

Ka-Mell zarumieniła się aż po dekolt obficie wypełnionej bluzki. W średnim wieku bardzo się zaokrągliła. Wydatnie przyczyniło się do tego prowadzenie restauracji.

– A, ten wierszyk! – odparła. – Głupi.

– Mówi, że zakochałaś się w hominidzie.

– Nie – zaprzeczyła. – To nieprawda. – Zielone oczy, piękne jak zawsze, wpatrzyły się głęboko w jego oczy.

Żestokost poczuł się nieswojo. Sprawa robiła się osobista. On zaś znał się na relacjach politycznych, a w osobistych czuł się niepewnie.

Światło w sali się zmieniło. Spojrzały na niego rozmigotane kocie oczy. Wyglądała prawie jak magiczna ognistowłosa dziewczyna, jaką znał dawno temu.

– Nie zakochałam się. Nie można tak powiedzieć... – Serce zaś wykrzykiwało: „To był pan, to był pan, to był pan!”.

– Ale w tym wierszyku jest mowa – upierał się Żestokost – że to był hominid. Może był to Prins van de Schemering?

– A kto to? – zapytała spokojnie, choć w środku wrzały emocje. Skarbie, czy ty naprawdę nigdy, nigdy się nie domyślisz?

– Ten siłacz.

– Ach, on. Zapomniałam o nim.

Żestokost wstał od stołu.

– Wiele w życiu osiągnęłaś, Ka-Mell. Zostałaś obywatelką, parlamentarzystką, przywódczynią. Wiesz w ogóle, ile miałaś dzieci?

– Siedemdziesięcioro troje – burknęła. – To, że rodzimy mnogo, nie znaczy, że wszystkich nie znamy.

Opuściła go radość. Twarz miał poważną, głos czuły.

– Ka-Mell, nie miałem nic złego na myśli.

Nigdy się nie dowiedział, że kiedy wyszedł, poszła do kuchni i przez chwilę płakała. Bo to Żestokosta na próżno kochała, odkąd dawno, dawno temu byli towarzyszami.

Nawet gdy zmarła, w pięknym wieku stu trzech lat, wciąż widywał ją w korytarzach i szybach Ziemioportu. Wiele jej praprawnuczek wyglądało dokładnie jak ona, a część z nich pracowała, odnosząc wielkie sukcesy, w branży towarkowej.

Nie były już półniewolnicami. Były obywatelkami (oddzielnej rangi), nosiły ze sobą dokumenty ze zdjęciem chroniące ich własność, ich tożsamość i ich prawa. Żestokost był ojcem chrzestnym ich wszystkich; często żenowało go, gdy najbardziej zmysłowe istoty we wszechświecie przesyłały mu żartobliwe buziaki. On jednak dążył do spełnienia tylko w swojej politycznej pasji, nie osobistej. Zawsze głęboko, do szaleństwa kochał...

Sprawiedliwość. Ponad wszystko.

W końcu i na niego przyszedł czas. Wiedział, że umiera, i niczego nie żałował. Miał kiedyś żonę, setki lat temu, nawet ją kochał, jego dzieci splodziły już wiele pokoleń ludzi.

Na koniec zechciał się jednak czegoś dowiedzieć. Zawołał do siebie Bezimiennego (lub jego następcę), głęboko spod ziemi. Zawołał go umysłem, podnosząc telepatyczny głos aż do wrzasku.

– Pomogłem waszemu ludowi.

– Tak – odpowiedział mu najcichszy z odległych szeptów, bezpośrednio w głowie.

– Umieram. Muszę wiedzieć. Czy ona mnie kochała?

– Odeszła od ciebie, bo tak bardzo cię kochała. Pozwoliła ci odejść, dla twojego dobra, nie dla swojego. Naprawdę cię kochała. Bardziej od śmierci. Bardziej od wszystkiego. Nigdy już los was nie rozłączy.

– Nigdy nas nie rozłączy?

– Nigdy, nie w ludzkiej pamięci – powiedział głos i zapadła cisza.

Żestokost złożył głowę na poduszce i spokojnie czekał na koniec.

## PLANETA ZWANA SHAYOL

Smith potwierdził, że w tym opowiadaniu zapożycza motywy od Dantego, opowiadając w stylu fantastyczno-naukowym fragmenty *Piekle* – choć wyraźnie odcisnąwszy na nich swoje piętno. Akcja prawdopodobnie dzieje się nawet po *Norstrilii*, w powieści bowiem wciąż używa się wygnania na Shayola w charakterze groźby. Na zakończenie tego zbioru, podobnie jak na początku, znów pojawia się członek rodu Vomact – i ponownie spotykamy samego Suzdała. Jednakże Smith nigdy już nie rzucił choćby odrobiny światła na kwestię pochodzenia lot-kapitana Alvareza...

### I

Pomiędzy traktowaniem Mercera na liniowcu i na promie była ogromna różnica. Na liniowcu stewardzi, gdy przynosili jedzenie, obrzucali go drwinami.

– Obyś krzychał długo i głośno – powiedział jeden o szczurzej twarzy – to poznamy, że to ty, kiedy będą nadawać głosy ukaranych w urodziny Cesarza.

Drugi, gruby steward, przesunął końcem czerwonego języka po grubych fioletowoczerwonych wargach i dodał:

– Trzyma się to kupy, wiesz pan. Jeśli cały czas cię boli, to po kawałku umierasz. Ale potem zdarzy ci się coś dobrego, razem z tym czymś tam tego. Może zmienią cię w kobietę. A może w dwie osoby. Wiesz no, kuzynie, jeśli naprawdę fajnie to wyjdzie, daj mi znać...

Mercer nie odezwał się. Miał za dużo własnych problemów, żeby przejmować się jeszcze snami na jawie jakichś wrednych typów.

Na promie było zupełnie inaczej. Personel biofarmaceutyczny był szybki, bezosobowy, błyskawicznie zdjął mu kajdanki. Zabrali mu więzienne ubranie i zostawili na liniowcu. Gdy przesiadał się, nagi, na prom, patrzyli na niego jakby był rzadkim gatunkiem rośliny albo ciałem na stole operacyjnym. Ich kliniczny, zręczny dotyk był niemal czuły. Nie był traktowany jak przestępca. Traktowano go jak okaz.

Kobiety i mężczyźni w lekarskich kitlach patrzyli na niego jakby już nie żył.

Próbował się odezwać. Jeden z nich, starszy i bardziej władczy od reszty, powiedział stanowczo i wyraźnie:

– Mówieniem się nie przejmuj. Sam już bardzo niedługo z tobą pogadam. Na razie wykonujemy zabiegi przygotowawcze, chcemy określić twój fizyczny stan. Odwróć się.

Mercer się odwrócił. Pielęgniarka przetała mu plecy bardzo silnym środkiem dezynfekcyjnym.

– Będzie trochę piekło – powiedział jeden z techników – ale to nic poważnego ani bolesnego. Chcemy ustalić wytrzymałość różnych warstw twojej skóry.

Mercer, rozłoszczony tym bezosobowym podejściem, odezwał się dokładnie w momencie, gdy poczuł ostre, piekące ukłucie powyżej szóstego kręgu lędźwiowego.

– Wiecie, kim ja jestem?

– Oczywiście, że wiemy – rozległ się kobiecy głos. – Wszystko mamy w teczkach, tam w rogu. Ordynator później porozmawia z tobą o twoim przestępstwie, jeśli zechcesz o tym rozmawiać. A na razie bądź cicho. Badamy ci skórę, znacznie lepiej będziesz się czuł, jeśli to się nie będzie przedłużało. – Szczerość zmusiła ją do dodania kolejnego zdania: – I wyniki też będą lepsze.

Potem już bez ceregieli zabrali się do pracy.

Zerkał na nich spod oka, z ukosa. Zupełnie nie wyglądali na ludzkie diabły w przedsiionku piekła. Nic nie sugerowało, że są na księżycu

Shayola, miejscu najsurowszej i ostatecznej kary i hańby. Wyglądali jak lekarze, z jakimi stykał się, zanim popełnił nienazwaną zbrodnię.

Przechodzili od jednego zabiegu do drugiego. Kobieta w chirurgicznej masce wskazała ręką biały stół.

– Proszę się tutaj położyć.

Odkąd strażnicy ujęli go pod pałacem, nikt nie użył wobec Mercera słowa „proszę”. Zaczął wykonywać jej polecenie. Nagle zauważył, że stół ma u wezłowania wyściełane klamry na ręce. Zawahał się.

– Proszę, dalej – poleciła.

Dwójka czy trójka innych odwróciła się i spojrzała na nich.

To drugie „proszę” wstrząsnęło nim. Musiał się odezwać. To byli ludzie, a on znów był człowiekiem. Poczul, jak głos mu się łamie, unosi niemal do pisku, gdy pytał:

– Ale, ale, proszę pani, czy to już będzie kara?

– Nie będzie tu żadnej kary – powiedziała kobieta. – Jesteśmy na satelicie. Kładź się na stół. Zrobimy ci pierwsze utwardzanie skóry, zanim porozmawiasz z ordynatorem. Wtedy będziesz mógł powiedzieć mu wszystko o swojej zbrodni...

– Wy wiecie wszystko o mojej zbrodni? – zapytał, witając ją prawie jak dobrze znaną sąsiadkę.

– Oczywiście, że nie – odparła – ale zakładamy, że wszyscy, którzy tędy przechodzą, popełnili jakieś przestępstwa. Inaczej pewnie by się tutaj nie znaleźli. Większość z nich chce o tym porozmawiać. Ale nie przeszkadzaj mi. Jestem specjalistką od skóry, a na powierzchni Shayola przyda ci się wszystko, co możemy ci tutaj zapewnić. Wskakuj na stół. A jak będziesz gotowy do rozmowy z szefem, będziesz miał do pogadania o czymś jeszcze oprócz twojej zbrodni.

Usłuchał.

Kolejna zamaskowana osoba, raczej dziewczyna, ujęła jego dłonie chłodnymi, delikatnymi palcami i wsunęła do wyściełanych klamer z łagodnością, której nigdy dotąd nie czuł. Zdążył poznać wszystkie maszyny do przesłuchań w całym imperium, ale to było coś zupełnie nowego.



Pielęgniarka cofnęła się.

– Wszystko gotowe, pani doktor.

– To jak wolisz? – zapytała technik od skóry. – Masa bólu czy parę godzin bez przytomności?

– A czemu miałbym woleć ból?

– Niektóre osobniki wolą – odpowiedziała – w stanie, w jakim ich tu przywożą. Być może zależy to od tego, co z nimi wcześniej robili. Rozumiem, że nie miałeś karnych snów.

– Nie – powiedział Mercer. – Chyba mnie ominęły. – Pomyślał, że nie wiedział, że cokolwiek go ominęło.

Przypomniawszy sobie ostatnią rozprawę, był okablowany i podpięty do podestu dla świadków. Sala była wysoka i ciemna. Na sędziów świeciło jaskrawe błękitne światło, ich nakrycia głowy były fantastyczną parodią kapłańskich mitr sprzed wieków. Sędziowie rozmawiali, on ich jednak nie słyszał. Izolacja na moment zawiodła, wtedy dotarło do niego, że jeden mówi:

– No popatrzcie tylko na tę białą, diaboliczną gębę. Taki to wszystkiego jest winien. Głosuję za Terminalem Ból.

– A nie planetą Shayol? – zapytał drugi.

– Tam gdzie są dromozoidy – dodał trzeci.

– Tak, to coś w sam raz dla niego – zdecydował pierwszy.

Wtedy któryś z inżynierów sądowych musiał zauważyć, że podsądny nielegalnie podsłuchuje. Odcięto go. Myślał wtedy, że przeszedł już wszystko, na co stać ludzką inteligencję i okrucieństwo.

Ale ta kobieta mówiła, że ominęły go karne sny. Czy to możliwe, by byli we wszechświecie ludzie ukarani srożej od niego? Na tym Shayolu musi być spory tłum. Nikt nigdy stamtąd nie wrócił.

Stanie się jednym z nich. Czy będą się przed nim przechwalać, co zrobili, zanim ich tu zesłano?

– Sam prosiłeś – powiedziała pielęgniarka. – To zwyczajny środek znieczulający. Kiedy się obudzisz, zachowaj spokój. Będziemy ci pogrubiać i wzmacniać skórę, chemicznie i biologicznie.

– A to boli?

– Oczywiście – odparła. – Ale wbij to sobie do głowy: my cię tu nie karzemy. To po prostu normalny, medyczny ból. Każdy musi przez coś takiego przejść, jeśli idzie na poważną operację. A kara, jeśli tak chcesz to określać, będzie dopiero na dole, na Shayolu. My tutaj tylko mamy dopilnować, żebyś po wylądowaniu był zdalny do przeżycia. W pewnym sensie ratujemy ci życie. Jak chcesz, to możesz być wdzięczny. A tymczasem oszczędzisz sobie wielu problemów, jeśli zapamiętasz, że zakończenia nerwowe będą reagować na zmiany w skórze. Musisz się spodziewać, że po wybudzeniu będzie ci bardzo niekomfortowo. Ale na to też będziemy w stanie coś zaradzić. – Pociągnęła za ogromną wajchę i Mercer stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, był w normalnym szpitalnym pokoju, ale nie zauważył tego. Wydało mu się, że leży w płomieniach. Uniósł rękę, żeby sprawdzić, czy się pali. Wyglądała jednak tak jak zwykle, choć była trochę zaczerwieniona i opuchnięta. Spróbował się obrócić. Ogień przerodził się w spopielający żar, który zatrzymał go w pół ruchu. Mimo woli jęknął.

Usłyszał głos:

– Można ci teraz dać coś przeciwbólowego. – Młoda pielęgniarka. – Nie ruszaj głową, a dam ci pół ampera przyjemności. I skóra przestanie boleć.

Nałożyła mu na głowę miękki czepek. Wyglądał jak metalowy, a w dotyku był jak jedwab.

Musiał wbić paznokcie w dłonie, żeby nie miotać się po całym łóżku.

– Jak chcesz, to krzycz – powiedziała. – Masa ludzi krzyczy. To potrwa minutę albo dwie, zanim czepek znajdzie właściwy ośrodek.

Cofnęła się do rogu i zrobiła coś, czego nie widział.

Jakby pstryknęła włącznikiem.

Ogień nie zniknął ze skóry. Ciągle go czuł, ale to nagle zrobiło się nieważne. Mózg wypełniała bowiem przewspaniała rozkosz, promieniująca z głowy na zewnątrz i jakby rozchodząca się pulsacyjnie po nerwach. Zdarzyło mu się odwiedzać pałace rozkoszy, ale czegoś takiego nie czuł w życiu.

Chciał jej podziękować i obrócił się w łóżku, żeby ją zobaczyć. Poczuł przy tym, jak całe ciało rozpala ból. Ból bardzo odległy. Pulsująca w głowie

przyjemność sphywała w dół rdzenia kręgowego i nerwów tak intensywną falą, że ból przedostawał się tylko jako daleki, nieważny sygnał.

Stała cały czas w rogu, bardzo nieruchomo.

– Dziękuję, pani pielęgniaro – powiedział on.

Nie odpowiedziała.

Przyjrzał się bliżej, choć trudno się patrzyło, kiedy w ciele pulsowała rozkosz, jak skomponowana na neuroprzekazniki symfonia. W końcu skupił na niej wzrok i zobaczył, że ona też ma na głowie metaliczny czepek.

Wskazał go.

Zaczerwieniła się aż po szyję.

Rzuciła rozmarzonym tonem:

– Wyglądałeś mi na fajnego faceta. Pomyślałam, że na mnie nie doniesiesz.

Rzucił jej życzliwy uśmiech, a przynajmniej zamierzał: uświadomił sobie, że przy bólu w ciele i rozkoszy kłębiącej się w głowie tak naprawdę nie ma pojęcia, co wyraża jego twarz.

– To nielegalne – powiedział. – Strasznie nielegalne. Ale miłe.

– A jak ty myślisz, że my tu wytrzymujemy? – zapytała pielęgniaro. – Przywożą tu was, okazy, gadacie jak normalni ludzie, a potem lecicie na dół na Shayola. I tam dzieją się z wami straszne rzeczy. Potem stacja na dole zaczyna przysyłać wasze części i tak w kółko. Zanim odslużę moje dwa lata, może mi się z dziesięć razy trafić twoja głowa, zamrożona i gotowa do pocięcia. Wy, więźniowie, powinniście wiedzieć, jak my tu cierpimy – wymruczała melodyjnie, bo ładunek rozkoszy wciąż wywoływał luz i zadowolenie – powinniście umrzeć zaraz po wylądowaniu i nie dręczyć nas waszymi mękami. My tu słyszymy wasze krzyki, wiesz? Nawet jak Shayol się do was dobierze, cały czas brzmicie jak ludzie. Dlaczego, panie Okazie? – Zachichotała głupekowato. – Strasznie nas tym ranicie. Nic dziwnego, że prosta pielęgniaro musi się od czasu do czasu trochę podkręcić. Wszystko jest jak we śnie, naprawdę jak we śnie, i już mi nie przeszkadza, że cię przygotowuję do lotu na Shayol. – Podeszła chwiejnie do jego łóżka. – Zdejmij mi to, dobrze? Nie mam tyle siły woli, żeby podnieść rękę.

Mercer, wyciągając ręce do czepka, widział, że drżą.

Palce dotknęły przez czepkę miękkich włosów dziewczyny. Gdy próbował wsunąć kciuk pod jego brzeg, dotarło do niego, że to najpiękniejsza dziewczyna, jakiej w życiu dotykał. Poczuł, że kocha ją od zawsze i na zawsze. Zsunął jej czepkę. Stała prosto, zachwiała się lekko i przytrzymała krzesła. Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać.

– Jeszcze minutę – powiedziała normalnym głosem. – Zaraz do ciebie wrócę. Jedyna okazja, żeby się trochę podkręcić, jak któryś z pacjentów potrzebuje dawki na ból skóry.

Odwróciła się do lustra, żeby poprawić włosy. Stojąc plecami do niego, rzuciła:

– Mam nadzieję, że nie mówiłam nic o tym, co jest na dole.

Mercer cały czas miał czepkę na głowie. Kochał tę śliczną dziewczynę, która mu go założyła. Gotów był szlochać na myśl, że przed chwilą przeżywała taką samą rozkosz, jaką on może się jeszcze cieszyć. W życiu nie powie niczego, co mogłoby ją zranić. Chciała, zdaje się, żeby ją upewnić, że nie powiedziała niczego o „dole” – tak tu pewnie mówią na powierzchni Shayola – więc zapewnił ją ciepło:

– Nic nie powiedziałaś. Nic a nic.

Podeszła do łóżka, pochyliła się, pocałowała go w usta. Pocałunek był równie odległy jak ból. Nie czuł nic – przelewająca się przez głowę Niagara rozdygotanej rozkoszy nie zostawiała miejsca na inne odczucia. Ale podobała mu się przyjazność tego gestu. Jakiś ponury, zdrowy zakamarek mózgu szeptał, że zapewne ostatni raz w życiu całuje kobietę. Jednak nie wydało mu się to istotne.

Zręcznymi palcami poprawiła mu czepkę na głowie.

– Już, już. Miły z ciebie facet. Udam, że zapomniałam, i zostawię ci ten czepkę, dopóki nie przyjdzie doktor.

Z promiennym uśmiechem ścisnęła go za ramię.

I wybiegła z sali.

Gdy przebiegała przez drzwi, biała spódnica rozwiała się pięknie. Dostrzegł, że istotnie ma bardzo zgrabne nogi.

Miła była, ale czepek... tylko czepek się liczył! Zamknął oczy i dał sobie stymulować ośrodki przyjemności w mózgu. Skóra wciąż bolała, ale nie było to ważniejsze niż stojące w rogu krzesło. Ból po prostu przypadkiem tu był.

Stanowczy dotyk, jaki poczuł na ramieniu, kazał mu otworzyć oczy.

Ten starszy, władczo wyglądający facet. Stał obok łóżka i patrzył nań z zagadkowym uśmiechem.

– Znowu to zrobiła – powiedział.

Mercer pokręcił głową, próbując pokazać, że młoda pielęgniarka nie zrobiła nic złego.

– Jestem doktor Vomact – przedstawił się tamten – i zaraz zdejmę ci ten czepek. Znowu poczujesz ból, ale wydaje mi się, że już nie będzie tak straszny. Zanim stąd odleciś, jeszcze go będziesz mógł parę razy założyć.

I szybkim, zdecydowanym gestem ściągnął Mercerowi czepek z głowy.

Mercer natychmiast zgiął się wpół, czując płynącą ze skóry falę ognia. Zaczął krzyczeć i wtedy zobaczył, że doktor Vomact się mu przygląda.

– Teraz... mniej boli.

– Mówiłem – odparł lekarz. – Musiałem zdjąć ci czepek, żeby z tobą porozmawiać. Masz do podjęcia parę decyzji.

– Dobrze, panie doktorze – wysapał Mercer.

– Czy chcesz mi opowiedzieć o swojej zbrodni?

Mercer pomyślał o białych ścianach pałacu w wiecznym blasku słońca, o cichym pomiaukiwaniu małych istotek, kiedy po nie sięgał. Napiął ręce, nogi, plecy i żuchwę.

– Nie – powiedział. – Nie chcę o tym rozmawiać. To zbrodnia bez nazwy. Przeciwno rodzinie cesarskiej...

– Świetnie – stwierdził doktor. – Zdrowe podejście. Zbrodnia to przeszłość. A przed sobą masz przyszłość. I teraz: zanim polecisz, mogę ci uszkodzić umysł. Zniszczyć go. Jeśli tylko zechcesz.

– To wbrew prawu – zauważył Mercer.

Doktor Vomact uśmiechnął się ciepło, z pewnością siebie.

– Oczywiście, że tak. Wiele rzeczy jest wbrew ludzkiemu prawu. Ale nauka też ma swoje prawa. A na Shayolu twoje ciało będzie służyć nauce.

Mnie jest wszystko jedno, czy będzie miało umysł Mercera, czy prymitywnego skorupiaka. Muszę zostawić dość mózgu, żeby ciało funkcjonowało, ale wymazać twoje historyczne „ja”, wtedy ciało będzie mieć większą szansę na jakie takie zadowolenie. Twój wybór, Mercer. Chcesz być sobą czy nie?

Mercer pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Posłuchaj, sporo ryzykuję – stwierdził doktor Vomact – kiedy daję ci tyle swobody. Ja bym na twoim miejscu skorzystał. Tam na dole jest dość strasznie.

Mercer spojrział na pełną, szeroką twarz. Nie ufał temu zadowolonemu z siebie uśmiechowi. Może to był podstęp, żeby jeszcze zwiększyć mu karę. Okrucieństwo Cesarza było przysłowiowe. Wystarczyło popatrzeć, co zrobił z wdową po swoim poprzedniku, matroną Lady Da. Była młodsza niż sam Cesarz, a on i tak skazał ją na los gorszy od śmierci. Skoro skazali go na Shayola, czemu ten doktor tutaj próbuje coś kombinować? Może i on został uwarunkowany i tak naprawdę nie wie, co proponuje.

Doktor Vomact odczytał wyraz twarzy Mercera.

– Dobrze. Odmawiasz. Chcesz zabrać umysł ze sobą na dół. Mnie to nie przeszkadza. Ja cię nie mam na sumieniu. Więc podejrzewam, że następną propozycję też odrzucisz. Czy chcesz, żebym uszkodził ci oczy, zanim tam polecisz? Bez wzroku będziesz czuć się o wiele lepiej. Wiem o tym, z głosów, które nagrywamy do audycji ostrzegawczej. Mogę ci przepalić nerwy wzrokowe, tak żeby nie było możliwości odzyskania wzroku.

Mercer zakołysał się. Ognisty ból zmienił się we wszechobecne swędzenie, ale duszę miał teraz bardziej obolałą niż skórę.

– Także odmawiasz? – zapytał lekarz.

– Chyba tak.

– Zatem pozostało mi cię przygotować. Jeśli chcesz, możesz znów założyć na trochę czepek.

– Zanim go założę, może mi pan powiedzieć, co tam się na dole dzieje? – zapytał Mercer.

– Co nieco. Jest tam jedna osoba obsługi. Mężczyzna, ale nie człowiek. Homunkulus wyhodowany z krowiego materiału. Jest inteligentny i bardzo sumienny. Na powierzchni Shayola puszczają was wolno. Istnieje tam taka szczególna forma życia, dromozoidy. Kiedy się zagnieżdżą w twoim ciele, Be-Dikkat, bo tak się nazywa ten pomocnik, wycina wam je, pod znieczuleniem, i przysyła tutaj. My tu zamrażamy wszystkie kultury tkankowe. Są zgodne z niemal każdą tlenową formą życia. Z tych pączków, które stąd eksportujemy, biorą się części do połowy zabiegów chirurgicznych w całym wszechświecie. Shayol to bardzo zdrowa planeta, jeśli brać pod uwagę kwestię przeżycia. Na pewno tam nie umrzesz.

– Rozumiem więc – powiedział Mercer – że moja kara będzie trwać wiecznie.

– Tego nie powiedziałem. Albo jeśli tak, to źle powiedziałem. Nie umrzesz szybko, w każdym razie. Nie wiem jednak, ile tam przeżyjesz. Ale pamiętaj: choćby ci było najgorzej, próbki, które nam wyśle Be-Dikkat, pomogą tysiącom osób na wszystkich zamieszkałych światach. Proszę, czepek.

– Lepiej porozmawiajmy – stwierdził Mercer. – To może być moja ostatnia okazja.

Doktor spojrzał na niego dziwnie.

– Skoro dajesz sobie radę z tym bólem, to proszę, rozmawiaj.

– Czy można tam popełnić samobójstwo?

– Nie wiem. Nigdy się to nie zdarzyło. A sądząc po tych głosach, raczej by tego chcieli.

– Czy ktoś kiedyś wrócił z Shayola?

– Nie, odkąd czterysta lat temu objęto go zakazem lotów.

– A da się tam rozmawiać z innymi więźniami?

– Tak – odparł doktor.

– To kto tam wymierza karę?

– Nikt niczego nie wymierza, głupcze! – krzyknął Vomact. – To nie jest żadna kara. Ludziom się tam nie podoba, nie chcą tam lecieć, więc łatwiej znaleźć więźniów niż ochotników. Ale nie ma tam niczego, co byłoby przeciwko wam. W ogóle.

– Żadnych strażników? – zapytał Mercer jęklwym tonem.

– Żadnych strażników, żadnych regulaminów, żadnych zakazów. Tylko Shayol i Be-Dikkat, który się wami opiekuje. Czy dalej chcesz zabrać swój mózg i oczy?

– Zabiorę – stwierdził Mercer. – Tyle przeszedłem, to już dojdę do końca.

– To pozwól, że założę ci czepek na drugą dawkę.

Nasunął mu go równie zręcznie i delikatnie, jak pielęgniarka, ale był szybszy. Nic nie wskazywało, żeby wyciągał drugi dla siebie.

Fala przyjemności zwała się nań jak potworne oszołomienie. Pałaca skóra oddaliła się gdzieś. Doktor był blisko, ale i on się nie liczył. Mercer nie bał się już Shayola. Pulsowanie szczęścia w mózgu było zbyt silne, żeby zostawić miejsce na strach czy ból.

Doktor Vomact wyciągał rękę.

Mercer zastanawiał się dlaczego. Potem dotarło do niego, że ten wspaniały, miły, obdarowujący czepkami człowiek chce mu uścisnąć dłoń. Uniósł swoją. Była ciężka, ale ramię też było szczęśliwe.

Podali sobie ręce. Dziwnie było, pomyślał Mercer, czuć ten uścisk przez podwójną warstwę korowej przyjemności i podskórnego bólu.

– Do widzenia, panie Mercer – powiedział lekarz. – Do widzenia i dobrej nocy...

## II

Satelita-prom był gościnnym miejscem. Setki godzin, które nastąpiły, wyglądały niczym długi, dziwaczny sen.

Młoda pielęgniarka jeszcze dwa razy zakradała mu się do pokoju, kiedy dostawał czepek, i zakładała go razem z nim. Odbywał kąpiele powodujące rogowacenie całego ciała. Pod silnym znieczuleniem miejscowym wyrwano mu wszystkie zęby i zastąpiono stalą nierdzewną. Przechodził naświetlania pod oślepiającymi lampami, łagodzące ból skóry. Robiono mu specjalne zabiegi na paznokcie na rękach i nogach, tak że stopniowo



zmieniły się w potężne pazury; złapał się na tym, że machinalnie ostrzy je o aluminiową ramę łóżka. Zostawiały głębokie rysy.

Jego umysł nigdy już się do końca nie rozjaśnił.

Czasem myślał, że jest w domu z matką, że jest znów małym dzieckiem i bardzo go boli. Innym razem, pod czepek, śmiał się w łóżku na samą myśl, że wysyła się tu ludzi za karę, a w tym miejscu przecież jest tak przyjemnie. Żadnych procesów, żadnych pytań, żadnych sędziów. Jedzenie było dobre, ale zanadto nie zaprzętał sobie nim głowy – czepek był ciekawszy. Nawet po wybudzeniu był trochę otępiały.

W końcu, nadal w czepku, włożyli go do kapsuły adiabatycznej – jednoosobowego pocisku, który dało się wystrzelić z promu na planetę w dole. Cały był w niej pograżony, z wyjątkiem twarzy.

Doktor Vomact jakby wpłynął do pomieszczenia.

– Jesteś teraz dużo silniejszy, Mercer! – zawołał. – Jesteś bardzo silny! Czy mnie słyszysz?

Mercer kiwnął głową.

– Życzymy ci jak najlepiej, Mercer. Obojętne, co się stanie, pamiętaj, że pomagasz innym ludziom.

– A mogę wziąć czepek ze sobą? – zapytał Mercer.

W odpowiedzi doktor Vomact sam zerwał mu czepek. Dwóch innych ludzi zamknęło pokrywę kapsuły. Mercer znalazł się w całkowitej ciemności. W głowie zaczęło mu się przejaśniać. Poczuł panikę, unieruchomiony.

Huknął grzmot. Poczuł smak krwi.

Odzyskał przytomność w chłodnym, chłodnym pomieszczeniu, o wiele chłodniejszym niż sypialnie i sale operacyjne na satelicie. Ktoś kładł go delikatnie na stole.

Otworzył oczy.

Spojrzała nań z góry ogromna twarz, czterokrotnie większa od wszystkich ludzkich twarzy, jakie w życiu widział. Ogromne piwne oczy, krowie w swojej łagodności, poruszały się tam i z powrotem, gdy oglądały bandażę Mercera. Twarz należała do przystojnego mężczyzny w średnim wieku, gładko ogolonego, o kasztanowych włosach, pełnych, zmysłowych

wargach i olbrzymich, choć zdrowych żółtych zębach odsłoniętych w półuśmiechu. Twarz zobaczyła, że Mercer otwiera oczy, i ryknęła, tubalnie, choć przyjacielsko.

– Jestem tu najlepszym twoim przyjacielem. Nazywam się Be-Dikkat, ale nie musisz tak mówić. Możesz mówić „przyjacielu”, a ja ci zawsze pomogę.

– Boli – powiedział Mercer.

– Pewnie, że tak. Cały jesteś obolały. Z wysoka spadłeś – powiedział Be-Dikkat.

– A możesz mi dać czepek? Proszę – błagał Mercer. To nie było pytanie, to było żądanie; Mercer czuł, że cała jego prywatna, wewnętrzna wieczność od tego zależy.

Be-Dikkat parsknął śmiechem.

– Nie mam tu żadnych czepków. Gdybym miał, pewnie sam bym korzystał. A przynajmniej oni tak myślą. Ale mam inne rzeczy, o wiele lepsze. Nic się nie bój, kochany, zaraz ci wszystko ponaprawiam.

Mercer spojrział z powątpiewaniem. Skoro czepek dawał mu rozkosz na promie, to żeby złagodzić nieznane okropności z powierzchni Shayola, potrzeba by co najmniej elektrycznej stymulacji mózgu.

Śmiech Be-Dikkata wypełnił pokój jak pierze z pękniętej poduszki.

– A słyszałeś kiedyś o kondaminie?

– Nie.

– To narkotyk tak silny, że farmakopejom nawet nie wolno o nim wspominać.

– I masz coś takiego? – zapytał z nadzieją Mercer.

– Mam coś lepszego. Superkondaminę. Nazwę ma od tego miasta w Nowej Francji[6], gdzie ją wynaleziono. Chemicy dołożyli jeszcze jeden atom wodoru. To nieźle wzmocniło działanie. Gdybyś ją wziął w swoim obecnym stanie, za trzy minuty już byś nie żył. Ale dla twojego umysłu te trzy minuty byłyby jak dziesięć tysięcy lat nieustającego szczęścia. – Be-Dikkat przewrócił piwnymi oczyma i oblizwał czerwone usta językiem wysuwającym się na niesamowitą długość.

– To jaki z niej pożytek?

– Ale możesz ją wziąć – odpowiedział Be-Dikkat. – Po tym, jak już zetkniesz się z dromozoidami na zewnątrz. Wtedy będą tylko same dobre skutki i żadnych negatywnych. Chcesz coś zobaczyć?

A mogę coś odpowiedzieć oprócz „tak”? – pomyślał ponuro Mercer. Co, myśli, że mam pilne zaproszenie na herbatkę?

– Wyjrzyj przez okno i powiedz mi, co widzisz.

Atmosfera była przejrzysta. Powierzchnia planety wyglądała jak pustynia, jasnożółta z pasmami zieleni tam, gdzie rosły porosty i niskie krzewy, wyraźnie skarłowaciałe i poszarpane przez silne, suche wiatry. Krajobraz był monotony. Dwieście lub trzysta metrów dalej widział stado jasnoróżowych obiektów, które wydawały się żywe, ale nie były na tyle wyraźne, by je dokładniej opisać. Jeszcze dalej, na skraju pola widzenia po prawej, stała rzeźba przedstawiająca gigantyczną ludzką stopę, wielkości sześciopiętrowego budynku. Mercer nie widział, czy stopa ma jakiś ciąg dalszy.

– Widzę wielką stopę – powiedział – ale...

– Ale co? – zapytał Be-Dikkat, niczym przerośnięte dziecko niemogące się doczekać puenty wyrafinowanego prywatnego żartu. Choć sam był ogromny, przy jednym palcu tej stopy byłby jak karzeł.

– To nie może być prawdziwa stopa – dokończył Mercer.

– Ależ jest prawdziwa. To lot-kapitan Alvarez, człowiek, który odkrył tę planetę. Jest w niezłym stanie, jak na sześćset lat. Oczywiście składa się już głównie z dromozoidów, myślę jednak, że ma jeszcze w środku odrobinę ludzkiej świadomości. I wiesz, co robię?

– Co?

– Daję mu sześć centymetrów sześciennych superkondaminy, a on po tym prycha. Naprawdę z zadowoleniem prycha. Ktoś obcy mógłby wziąć to za wybuch wulkanu. Tak działa superkondamina. A będziesz jej mieć pod dostatkiem. Prawdziwy z ciebie szczęściarz, Mercer. Naprawdę. Znalazłeś prawdziwego przyjaciela, a w nagrodę masz moją igłę. Ja odwałam całą robotę, tobie zostaje tylko przyjemność. Miła niespodzianka, co?

Kłamiesz! Kłamiesz! – pomyślał Mercer. Skąd niby biorą się te wrzaski, które wszyscy słyszeliśmy na nagraniach prewencyjnych w Dzień Kar?

Czemu doktor proponował, że uszkodzi mi mózg albo wypali oczy?

Człowiek-byk spojrzał nań ze smutkiem, ze zranioną miną.

– Nie wierzysz mi – powiedział bardzo, bardzo smutnym tonem.

– Nie o to chodzi – odparł Mercer, siląc się na serdeczność. – Myślę tylko, że coś przemilczasz.

– Nie za wiele – oświadczył Be-Dikkat. – Jak cię trafią dromozoidy, podskakujesz. Będziesz się męczyć, kiedy zaczną wyrastać nowe organy – głowy, nerki, ręce. Był taki jeden gość, który po jednym seansie na zewnątrz wyhodował sobie trzydzieści osiem rąk. Ja je wszystkie odciąłem, pozamrażałem i posłałem na górę. Wszystkimi się opiekuję. Tak, pewnie przez chwilę będziesz krzyczeć. Ale pamiętaj, wystarczy, żebyś nazywał mnie „przyjacielem”, a będzie na ciebie zawsze czekać najlepsza rzecz we wszechświecie. A teraz: chcesz jajecznicę? Sam nie jem jajek, ale prawdziwi ludzie przeważnie lubią.

– Jajecznicę? A co ma do tego jajecznicę?

– W zasadzie nic. Po prostu taki przysmak dla was. Żebyś coś wrzucił do brzucha, zanim wyjdiesz na zewnątrz. Będzie ci łatwiej przeżyć pierwszy dzień.

Mercer patrzył niedowierzająco, jak olbrzym wyjmując z lodówki dwa drogocenne jajka, zręcznie wbija je na małą patelnię i stawia ją na polu grzejnym pośrodku stołu, na którym się ocknął.

– Przyjacielu, tak? – Be-Dikkat wyszczerzył się. – Zobaczysz, dobry ze mnie przyjaciel. Pamiętaj o tym, jak wyjdiesz na zewnątrz.

Godzinę później Mercer naprawdę wyszedł na zewnątrz.

Dziwnie pogodzony sam ze sobą, stanął w drzwiach. Be-Dikkat pchnął go po bratersku, na tyle łagodnie, by mógł to potraktować jako zachętę.

– Nie zmuszaj mnie, żebym wkładał ołowiany kombinezon, gościu.

Mercer widział ten kombinezon, wielkości mniej więcej kabiny na statku kosmicznym, wiszący w sąsiednim pokoju na ścianie.

– Zamknę te drzwi, wtedy otworzą się tamte zewnętrzne. Po prostu nimi wyjdź.

– Ale co się wtedy stanie? – zapytał Mercer. Lęk klębił mu się w brzuchu i delikatnie ścisnął za gardło od środka.

– Oj, nie zaczynaj znowu – powiedział Be-Dikkat.

Przez godzinę zbywał pytania Mercera o świat na zewnątrz. Mapa? Roześmiał się na samą myśl. Jedzenie? Powiedział, żeby tym się nie przejmować. Inni ludzie? Będą. Broń? Po co? – odpowiadał. I cały czas w kółko upierał się, że jest jego przyjacielem. A co się stanie z Mercerem? To samo co ze wszystkimi innymi.

Mercer wyszedł na zewnątrz.

Nic się nie wydarzyło. Dzień był chłodny. Wiatr łagodnie owiewał utwardzoną skórę.

Rozejrzał się niespokojnie.

Górzysta sylwetka kapitana Alvareza zajmowała znaczną część krajobrazu po prawej. Do tego nie miał ochoty się zbliżyć. Obejrzał się z powrotem na barak. Be-Dikkat nie patrzył przez okno.

Poszedł powoli prosto przed siebie.

Coś błysnęło na ziemi, nie jaśniej niż odbłysek słońca w odłamku szkła. Mercer poczuł ukłucie w udo, jakby delikatnie dotknął go jakiś ostry przyrząd. Dotknął dłonią tego miejsca.

I poczuł się tak, jakby niebo zważyło mu się na głowę.

Ból – coś więcej niż ból; jak rwanie ciała na żywca – rozpałił mu prawą stronę ciała od biodra po stopę. Potem dotarł aż do piersi, pozbawiając go tchu. Upadł boleśnie na ziemię. Nic, co przeżył w szpitalu na satelicie, nie mogło się z tym równać. Leżał, próbując nie oddychać – a jednak oddychał i tak, a ból przy każdym wdechu poruszał się razem z tchawicą. Leżał na plecach i patrzył w słońce. W końcu zauważył, że jest fioletowobiałe.

Nie było nawet mowy o tym, by zawołać. Nie miał głosu. W głębi ciała wiły się macki udreki. Skoro nie mógł przestać oddychać, skupił się na tym, by nabierać powietrza tak, żeby bolało jak najmniej. Sapanie było zbyt trudne. Najmniej bolały krótkie, płytkie łyżki powietrza.

Pustynia wokół była pusta. Nie był w stanie ruszyć głową, żeby spojrzeć na barak. To właśnie to? – pomyślał. Takie coś, przez wieczność, to właśnie pokuta na planecie Shayol?

W pobliżu rozległy się jakieś głosy.

Spojrzały na niego dwie twarze, groteskowo różowe. Mogły być ludzkie. Mężczyzna wyglądał w zasadzie normalnie, nie licząc dwóch nosów, jeden obok drugiego. Kobieta za to wyglądała niewiarygodnie groteskowo: na obu policzkach rosły jej piersi, a z czoła zwisało grono jakby niemowlęcych paluszków.

– Ładny okaz – odezwała się. – Nowy.

– No chodź – dodał facet.

Unieśli go i postawili. Nie miał siły im się opierać. Gdy próbował się odezwać, wyszedł mu chropowaty skrzekot, jak krzyk jakiegoś paskudnego ptaka.

Ruszyli, sprawnie go prowadząc. Widział, że zmierzają do stada tych różowych stworzeń.

Gdy się zbliżyli, zobaczył, że to ludzie. A dokładniej, że kiedyś to byli ludzie. Mężczyzna z dziobem flaminga drapał się po ciele. Na ziemi leżała kobieta; głowę miała jedną, ale obok na oko jej oryginalnego ciała wyrastało bokiem z szyi drugie, nagie, jakby chłopca. Czyste, świeże, bezwładne, jak sparaliżowane, nie poruszało się, nie licząc płytkich oddechów. Mercer rozejrzał się. Jediną osobą w grupie mającą jakieś ubranie, był człowiek owinięty w pasie płaszczem. Mercer gapił się na niego, w końcu zauważył, że na zewnątrz brzucha rosną mu dwa – a może trzy? – żołądki. Płaszcz je przytrzymywał. Przezroczysta otrzewna wyglądała na delikatną.

– Nowy – powiedziała kobieta. Położyli go.

Grupka nadal leżała na ziemi.

Otępiały Mercer wylądował pomiędzy nimi.

– Coś się obawiam, że niedługo będą nas karmić – rozległ się głos starego mężczyzny.

– O nie! Jeszcze za wcześnie! Znowu? – Grupa rozbrzmiała protestami jak echo.

Starszy facet ciągnął:

– No, popatrzcie, koło wielkiego palucha góry!

Ponure pomruki w grupie stanowiły potwierdzenie jego obserwacji.

Mercer usiłował zapytać, o co chodzi, lecz wyszło mu tylko krakanie.

Kobieta – czy to była kobieta? – podpełzła do niego na czworakach. Cały tułów i uda do połowy pokrywały jej dodatkowe dłonie. Niektóre wyglądały na stare i pomarszczone. Inne były świeże i różowe niczym paluszki na twarzy kobiety, która go schwytała. Krzyknęła na niego, choć nie było potrzeby krzyczeć.

– Dromozoidy zaraz tu będą. Tym razem zaboli. Jak już się przyzwyczaisz, będziesz mógł się zakopać...

Wskazała ręką małe wzgórki otaczające stadko ludzi.

– Ci są zakopani – powiedziała.

Mercer znów zaskrzeczał.

– Nic się nie bój – powiedziała dłoniasta kobieta i sapnęła, gdy dotknął jej świetlny błysk.

Światła dosięgły także Mercera. Ból był jak za pierwszym razem, ale bardziej sondujący, badawczy. Mercer poczuł, że wytrzeszcza oczy, gdy dziwne wrażenia w ciele doprowadziły do nieuniknionego wniosku: te światła, te istoty, te niewiadome byty, karmiły go i odbudowywały.

Ich inteligencja, o ile ją miały, nie była ludzka, ale motywy miała jasne. Pomiędzy dźgnięciami bólu czuł, że napełniają mu żołądek, uzupełniają wodę w krwi, usuwają ją z nerek i pęcherza, masują serce, pompują za niego płucami.

Wszystko, ale to wszystko, co robiły, miało dobre i zbawienne intencje.

I wszystko, ale to wszystko, sprawiało potworny ból.

Nagle, jakby rozwiała się chmara owadów, zniknęły. Mercer miał świadomość dochodzącego gdzieś z zewnątrz głosu – bezmózgiej, płaczliwej kaskady paskudnego jęku. Zaczął się rozglądać. I głos ustał.

Był to jego własny wrzask. Wrzeszczał ohydny, psychotycznym wrzaskiem wariata, przerażonego pijaka, zwierzęcia wyzutego z rozumu i rozsądku.

Kiedy przestał, stwierdził, że odzyskał normalną mowę.

Podszedł do niego mężczyzna, nagi jak reszta. Głowę miał przebitą kołkiem. Skóra po obu stronach dawno się zagoiła.

– Cześć, kolego – powiedział.

– Cześć – odrzekł Mercer. Wydało mu się to absurdalnie pospolitym stwierdzeniem, jak na okoliczności.

– Nie da się popełnić samobójstwa – wyjaśnił mężczyzna z kołkiem w głowie.

– Oczywiście, że się da – odparła dłoniasta kobieta.

Mercer stwierdził, że pierwszy ból ustał.

– Co się ze mną dzieje?

– Dostałeś część – rzekł facet z kołkiem. – Ciągłe nam wszczepiają jakieś części. Po jakimś czasie przychodzi Be-Dikkat i je wycina, zostawia tylko te, które muszą jeszcze podrosnąć. Jak u niej. – Wskazał brodą kobietę z wyrastającym z szyi ciałem chłopca.

– I to tyle? – zapytał Mercer. – Ukłucia, po których rosną nowe części ciała, i to pieczenie w trakcie karmienia?

– Nie. Czasami myślą, że jest nam za zimno, i wypełniają nasze wnętrzości ogniem. Albo że za gorąco i zamrażają nas wtedy, nerw po nerwie.

Kobieta z ciałem chłopca zawołała:

– A czasem myślą, że jesteśmy nieszczęśliwi, więc próbują nas na siłę uszczęśliwić. I to jest chyba najgorsze ze wszystkiego.

Mercer zaczął się jękać.

– A wy jesteście... to znaczy... czy to jest jedyne stado?

Facet z kołkiem rozkaszał się zamiast śmiechu.

– Stado! To śmieszne. Nie, tu jest pełno ludzi. Większość się zakopuje. Tylko my jeszcze umiemy mówić. Trzymamy się razem dla towarzystwa. I dzięki temu więcej razy możemy obrócić z Be-Dikkatem.

Mercer zaczął zadawać kolejne pytanie, ale poczuł, że traci siły. Za długi był ten dzień.

Grunt zakolysał się jak statek na falach. Niebo poczerniało. Poczuł, że upada i że ktoś go łapie. Poczuł, że rozciągają go na ziemi. A potem nadszedł miłosierny i magiczny sen.



### III

Po tygodniu już dobrze znał grupę. Byli niesamowicie roztargnieni. Nikt ani przez chwilę nie miał pojęcia, kiedy błysnie kolejny dromozoid i dorzuci im kolejną część ciała. Mercera na razie nic powtórnie nie użądliło, ale miejsce, gdzie został trafiony tuż po wyjściu z baraku, już twardniało. Kołkogłowy przyjrzał mu się, gdy Mercer nieśmiało rozpiął pasek i opuścił spodnie na tyle, żeby mogli spojrzeć na ranę.

– Będzie głowa – oznajmił. – Cała dziecięca głowa. Ucieszą się z niej na górze, kiedy Be-Dikkat ci ją wytnie.

Grupa próbowała nawet zająć się jego życiem towarzyskim. Zapoznali go z jedyną w stadzie dziewczyną. Wyrosło jej jedno ciało za drugim, biodra przenikały w barki następnego ciała, a biodra tamtego w barki kolejnego, tak że miała długość pięciorga ludzi. Twarz miała nietkniętą. Próbowwała być miła dla Mercera.

On jednak był tak nią wstrząśnięty, że wkopał się w miękką, suchą, sypką ziemię i siedział tam, jak się zdaje, przez sto lat. Dowiedział się później, że to była niecała doba. Kiedy wyszedł, segmentowa dziewczyna czekała na niego.

– Nie musiałeś wychodzić specjalnie dla mnie.

Mercer otrząsnął się z ziemi.

Rozejrzał się. Fioletowe słońce zachodziło, malując na niebie niebieskie, granatowe i pomarańczowe smugi.

Obejrzał się na nią.

– Nie wyszedłem specjalnie dla ciebie. Stwierdziłem, że nie ma sensu tam leżeć i czekać na kolejny raz.

– Chodź, coś ci pokażę – powiedziała. Pokazała niski wzgórek. – Rozkop to.

Mercer spojrział na nią. Dobrze jej patrzyło z oczu. Wzruszył ramionami i zaatakował glebę potężnymi pazurami. Odkrył, że twarda skóra i szpony jak łopaty na końcach palców pozwalają mu z łatwością kopać po psiemu.

Spod pracujących dłoni posypała się ziemia. W dziurze, którą wykopał, pokazało się coś różowego. Kopał dalej, ostrożniej.

Wiedział, co to będzie.

I tak było. Człowiek. Śpiący człowiek. Wzdłuż jednego boku ciała równym szeregiem rosły mu dłonie. Druga strona wyglądała normalnie.

Mercer odwrócił się do segmentowej dziewczyny, która podpełzła bliżej.

– To jest to, co myślę, prawda?

– Tak – odpowiedziała. – Doktor Vomact wypalił mu mózg. I pozbawił wzroku.

Mercer usiadł na ziemi i spojrzał na nią.

– Kazałaś mi go wykopać. Teraz powiedz, po co?

– Żebyś zobaczył. Żebyś wiedział. Żebyś pomyślał.

– Tylko po to?

Zadygotała, bardzo niespodziewanie. Zafalowały wszystkie klatki piersiowe w kolejnych ciałach. Mercer zastanawiał się, skąd biorą powietrze. Nie było mu jej szkoda; nie czuł litości dla nikogo poza sobą samym. Kiedy skurcz przeszedł, uśmiechnęła się do niego przepaszająco.

– Właśnie dostałam nową sadzonkę.

Mercer kiwnął ponuro głową.

– A co tym razem, rękę? Zdawałoby się, że masz już dosyć.

– A, o tych mówisz. – Obejrzała się na swoje liczne tułowie. – Obiecałam Be-Dikkatowi, że pozwolę im rosnąć. Be-Dikkat jest dobry. Ale słuchaj, nieznajomy. Ten człowiek. Wykopany. Kto ma lepiej, on czy my?

Mercer wytrzeszczył na nią oczy.

– To po to kazałaś mi go wykopać?

– Tak – stwierdziła dziewczyna.

– I mam odpowiedzieć?

– Nie, nie teraz.

– Kim ty w ogóle jesteś? – zapytał Mercer.

– Tu się nigdy nie pyta. Bo to nie ma znaczenia. Ale ponieważ jesteś nowy, powiem ci. Kiedyś byłam lady Da – macochą cesarza.

– To ty! – wykrzyknął.

Uśmiechnęła się smutno.

– Widzisz, taki jesteś nowy, że dla ciebie to ważne! Ale mam ci coś ważniejszego do powiedzenia. – Zagryzła wargę.

– Co takiego? Lepiej mi powiedz, zanim znów mnie ugryzą. Wtedy nie będę w stanie myśleć, ani mówić, przez długi czas. Mów teraz.

Zbliżyła twarz do jego twarzy. Była wciąż piękna, nawet w dogasającym pomarańczowym świetle zachodu fioletowego słońca.

– Ludzie nigdy nie żyją wiecznie.

– Tak – odparł Mercer. – Wiedziałem.

– Uwierz w to – rozkazała lady Da.

Na ciemnej równinie rozbłysły światła. Na razie daleko.

– Kop, kop, zakop się na noc – dodała. – Może cię przeoczą.

Mercer zaczął kopać. Obejrzał się na wyciągniętego z ziemi człowieka. Bezmózgie ciało wkopywało się z powrotem pod ziemię, ruchami łagodnymi jak rozgwiazda pełzająca pod wodą.

Pięć czy sześć dni później stado zaczęło coś do siebie krzyczeć.

Mercer tymczasem zaznajomił się z półczłowiekiem, który nie miał dolnej połowy ciała, a wnętrzności chroniło mu przed wypadnięciem coś w rodzaju plastikowego półprzejrzystego bandaża. Półczłowiek pokazał mu, jak leżeć nieruchomo, kiedy przychodzą dromozoidy ze swoją nieubłaganą misją czynienia dobra.

Półczłowiek powiedział:

– Nie da się z nimi walczyć. To przez nie Alvarez jest wielki jak góra i nie może się ruszyć. Teraz chcą nas uszczęśliwić. Karmią nas, oczyszczają i chcą dobrze. Leż nieruchomo. Wrzaskiem się nie przejmuj. Wszyscy krzyczą.

– A kiedy dostaniemy ten środek? – zapytał Mercer.

– Jak przyjdzie Be-Dikkat.

I Be-Dikkat przyszedł tego dnia, pchając przed sobą coś przypominającego sanie na kółkach. Płozy przeniosły to przez pagórki, na płaskim terenie jechało na kołach.

Jeszcze przed jego przybyciem stado ożywiło się gorączkowo. Wszyscy zaczęli wykopywać uśpionych. Nim Be-Dikkat do nich dotarł, stado odkopało co najmniej dwa razy tyle różowych, śpiących ciał, co samo

liczyło. Mężczyzn, kobiety, młodych, starych. Uśpieni nie wyglądali ani lepiej, ani gorzej od przebudzonych.

– Szybko! – powiedziała lady Da. – On zawsze czeka z działkami, póki wszyscy nie są gotowi.

Be-Dikkat miał na sobie pancerny ołowiany skafander.

Uniósł rękę w życzliwym pozdrowieniu, niczym ojciec powracający do domu z prezentami dla dzieci. Stado zebrało się wokół niego, ale się nie tłoczyło.

Sięgnął do wnętrza sań. Miał tam butlę na szelkach, którą zarzucił sobie na ramiona. Pstryknął zatraskami na paskach. Od butli odchodziła długa rurka. W połowie miała małą pompkę, a na końcu lśniącą igłę.

Gdy był gotowy, gestem nakazał im podejść. Podchodzili ku niemu, promieniejąc szczęściem. Przeszedł pomiędzy nimi, minął wszystkich i zbliżył się do dziewczyny z wyrastającym z szyi ciałem chłopca. Zagrzmiął mechanicznym głosem z głośnika na górze skafandra.

– Dobra dziewczyna. Grzeczna dziewczyna. Dostaniesz duży, duży prezent. – I wbił jej igłę na tak długo, że Mercer zobaczył, jak z rurki do butli przedostaje się pęcherzyk powietrza.

Potem zajął się innymi, od czasu do czasu tubalnie coś wykrzykując, poruszając się pomiędzy nimi z nieprawdopodobną zwinnością i szybkością. Błyskała igła, robił kolejne zastrzyki. Ludzie opadali do pozycji siedzącej lub pokładali się na ziemi jakby w półśnie.

Mercera poznał.

– Cześć, stary. Teraz będziesz miał z tego frajdę. W baraku by cię to zabiło. Masz może coś dla mnie?

Ten zaciął się, nie wiedząc, o co mu chodzi. Dwunosi odpowiedział za niego:

– Wygląda na to, że będzie mieć dziecienną główkę, ale na razie jest jeszcze za mała na wycinkę.

Mercer nawet nie zauważył, gdy igła dotknęła jego ramienia.

Kiedy superkondamina go trafiła, Be-Dikkat już odwrócił się ku kolejnej gromadce.

Próbował za nim pobiec, utulić ten ołowiany skafander, powiedzieć Be-Dikkatowi, że jest kochany. Potknął się jednak i upadł, choć nic go to nie bolało.

Segmentowa dziewczyna leżała obok niego. Odezwał się do niej:

– Czyż to nie wspaniałe? Jesteś piękna, piękna, piękna. Taki jestem szczęśliwy, że tu jestem.

Dłoniasta kobieta podeszła i usiadła koło nich. Promieniała ciepłem i miłym towarzystwem. Mercer pomyślał, że wygląda bardzo szlachetnie i ujmująco. Strząsnął z siebie ubranie. Głupota i zarozumiałstwo chodzić w ubraniu, kiedy nikt z tych przemiłych ludzi nie chodzi.

Dwie kobiety paplały i gruchały do niego.

Jakimś zakamarkiem umysłu wiedział, że nie wyrażają nic poza euforią wywołaną środkiem tak potężnym, że zakazanym w całym znanym wszechświecie. Większością umysłu był szczęśliwy. Zastanawiał się, jak to się komuś poszczęściło, że odkrył tak przepiękną planetę. Próbował powiedzieć to lady Da, lecz słowa nie za bardzo mu wychodziły.

Coś boleśnie dźgnęło go w brzuch. Narkotyk popędził za bólem i połknął go. Całkiem jak czepek w szpitalu, tylko tysiąc razy lepiej. Ból zniknął, choć za pierwszym razem był obezwładniający.

Zmusił się do skupienia. Siłą woli skoncentrował się i powiedział do dwóch różowych, nagich kobiet leżących obok niego na pustyni:

– Miłe było to ukąszenie. Może kolejna główka mi wyrośnie? To się Be-Dikkat ucieszy!

Lady Da usadziła prosto pierwsze ze swoich ciał. Powiedziała:

– Ja też jestem silna. Jestem w stanie mówić. Pamiętaj, człowieku, pamiętaj. Ludzie nigdy nie żyją wiecznie. My też możemy umrzeć, możemy umrzeć jak prawdziwi ludzie. Jakże ja wierzę w tę śmierć!

Mercer uśmiechnął się do niej zamroczony szczęściem.

– Oczywiście, że tak, ale czy to nie fajne...

Nagle poczuł, jak umysł mu flaczeje, a usta puchną. Był w pełni przytomny, ale nie miał ochoty nic robić. Siedział w tym przepięknym miejscu, wśród atrakcyjnych i towarzyskich ludzi, siedział i uśmiechał się do nich.

Be-Dikkat sterylizował noże.

Mercer zachodził w głowę, ile trwała superkondaminowa jazda. Bez krzyku i bez ruchu wytrzymał zabiegi dromozoidów. Ból w nerwach i świerzbiecie skóry – to były zjawiska zachodzące gdzieś w pobliżu, ale nic nieznaczące. Patrzył na własne ciało z nonszalancką, zdystansowaną ciekawością. Koło niego leżały lady Da i kobieta porośnięta dłońmi. Po długim czasie dołączył do nich półczłowiek, przemieszczając się na potężnych ramionach. A gdy przybył, zamrugął przyjaźnie i sennie, po czym także zapadł w odrętwienie, z którego na moment się wybił. Mercer od czasu do czasu widywał wschód słońca, na moment zamykał oczy, otwierał je i widział gwiazdy na niebie. Czas nie miał żadnego sensu. Dromozoidy żywiły go na swój tajemniczy sposób; a narkotyk eliminował wszystkie inne cielesne cykle.

W końcu dostrzegł, że ból stopniowo powraca do ciała.

Sam ból się nie zmienił, zmienił się za to on.

Znał już wszystko, co się może zdarzyć na Shayolu. Pamiętał to wszystko z okresu szczęśliwości. Wcześniej tylko to zauważał, teraz także czuł.

Usiłował zapytać lady Da, jak długo byli pod wpływem i ile trzeba będzie czekać na kolejną działkę. Uśmiechnęła się doń z łagodnym, odległym zadowoleniem – wyglądało na to, że jej liczne tułowie, rozciągnięte w rządki na ziemi, potrafiły utrzymać ten stan dłużej niż jego pojedyncze ciało. Chciała dobrze, ale nie była zdolna do artykułowanej mowy.

Półczłowiek leżał na ziemi, tętnice pięknie mu pulsowały za chroniącą jamę brzuszną półprzejrystą błoną.

Mercer ścisnął go za ramię.

Półczłowiek zbudził się, poznał go i rzucił mu szeroki, senny uśmiech.

– „Dobry dzień ci, chłopcze”. To z takiej sztuki. Widziałeś kiedyś sztukę?

– Sztukę? Sztukę magiczną?

– Nie – odparł półczłowiek – taką jakby maszynę do oglądania, tylko że prawdziwi ludzie w niej grają.

– W życiu nie widziałem – odrzekł Mercer – ale...

– Ale chcesz mnie zapytać, kiedy znowu przyjdzie Be-Dikkat i jego igła.

– Tak – potwierdził Mercer, trochę zażenowany własną przewidywalnością.

– Niebawem – powiedział półczłowiek. – Dlatego właśnie kojarzy mi się to ze sztukami. Wszyscy wiemy, co się stanie. Wszyscy wiemy, kiedy to się stanie. Wszyscy wiemy, co zrobią tępaki – wskazał wzgórki, w których kryli się bezmózgowcy – i wszyscy wiemy, o co zapyta każdy nowy. Ale nie mamy pojęcia, ile będzie trwała poszczególna scena.

– A co to „scena”? – zapytał Mercer. – Na działkę tak mówicie?

Półczłowiek roześmiał się, prawie autentycznie wesołym śmiechem.

– Nie, nie, nie. Tylko rozkosz ci teraz w głowie. „Scena” to tylko część sztuki. Chodziło mi o to, że znamy kolejność, w jakiej dzieją się rzeczy, ale nie mamy zegarów, a nikt tu nie ma na tyle głowy, żeby liczyć dni albo robić kalendarze, a pór roku za bardzo nie ma, więc kompletnie nie wiemy, ile czasu co trwa. Ból wydaje się krótki, a przyjemność długa. Jestem skłonny myśleć, że i jedno, i drugie trwa mniej więcej dwa ziemskie tygodnie.

Mercer nie wiedział, co to są „ziemskie tygodnie”, przed wyrokiem nie był bowiem szczególnie odczytany, ale tym razem nie udało mu się wycisnąć z półczłowieka nic więcej. Półczłowiek dostał od dromozoida sadzonkę, poczerwieniał na twarzy i zaczął drzeć się na Mercera:

– Zabierz to, bałwanie! Zabierz to ze mnie!

Mercer tylko patrzył bezradnie. Półczłowiek przekręcił się na bok, odwracając się do niego zapiaszczonymi różowymi plecami i zaczął chrapliwie, cicho jęczeć sam do siebie.

Mercer sam nie umiał powiedzieć, ile czasu upłynęło do następnego pojawienia się Be-Dikkata. Może kilka dni. Może kilka miesięcy.

Be-Dikkat znów wędrował pomiędzy nimi jak ojciec, a oni skupili się wokół jak dzieci. Tym razem uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc małą główkę wyrastającą mu na udzie – główkę śpiącego dziecka, pokrytą na czubku jasnymi włosami, z delikatnymi powiekami zakrywającymi uśpione oczy. Mercer otrzymał niosącą błogość igłę.

Gdy człowiek-byk odcinał mu główkę, poczuł, jak nóż piłuje przytwierdzającą ją chrząstkę. Zobaczył, jak dziecinna twarzyczka krzywi

się podczas cięcia; poczuł odległy, chłodny błysk nieistotnego bólu, gdy Be-Dikkat smarował ranę żrącym środkiem dezynfekcyjnym natychmiast tamującym krwawienie.

Następnym razem były to dwie nogi wyrastające mu z piersi.

Potem druga głowa rosnąca obok jego własnej.

A może wcześniej był ten tułów i nogi, od pasa po czubki palców, małej dziewczynki, które wyrosły mu z boku?

Zapomniał już kolejność.

Czasu też nie liczył.

Lady Da często uśmiechała się do niego, ale w tym świecie nie było miejsca na miłość. Pozbyła się już dodatkowych tułowi. Bez spotwornień była ładną i zgrabną kobietą; ale jedyne ich wspólne miłe chwile polegały na tym, że tysiące razy czule, z uśmiechem i nadzieją, szeptała do niego:

– Ludzie nigdy nie żyją wiecznie.

Odbierała to jako coś niezmiernie uspokajającego, choć Mercer za bardzo tego nie rozumiał.

Tak oto wydarzenia się wydarzały, ofiary cały czas zmieniały wygląd i przybywały nowe. Czasem Be-Dikkat wywoził tych nowych, nieruchomych w wiecznym śnie wypalonych mózgów. Ładował ich na ciężarówkę i rozwoził po innych stadach. Ciała na pace ciężarówki rzucały się i pojękiwały nieartykułowanie, gdy kłuły je dromozoidy.

W końcu Mercerowi udało się pójść za Be-Dikkatem pod drzwi baraku. Aby tego dokonać, musiał zwalczyć superkondaminową błogość. Tylko pamięć o poprzednim bólu, dezorientacji i niepokoju dawała mu pewność, że jeśli nie zapyta go podczas szczęśliwej jazdy, to nie będzie mieć odpowiedzi, gdy będzie jej potrzebować. Walcząc z rozkoszą, ubłagał Be-Dikkata, by sprawdził w dokumentach i powiedział mu, jak długo już tu jest.

Be-Dikkat zgodził się niechętnie, ale nie wyszedł poza drzwi. Odezwał się przez wbudowany w barak megafon; grzmiący głos rozniósł się nad pustą równiną, aż różowe stadko gadających ludzi podskoczyło we mgle szczęścia i i zaciekało się, co też ich wielki dobroczyńca Be-Dikkat ma im do powiedzenia. A kiedy to wypowiedział, uznali te słowa za niezmiernie



głęboką prawdę, choć nikt ich naprawdę nie zrozumiał, była to bowiem tylko długość pobytu Mercera na Shayolu:

– Osiemdziesiąt cztery standardowe lata, siedem miesięcy, dwie godziny, jednaście i pół minuty. Powodzenia, stary.

Mercer odwrócił się.

Tajemny zakamarek jego umysłu, który zachował równowagę mimo zalewania rozkoszą i bólem, zaczął rozmyślać o Be-Dikkacie. Co trzymało tego byko-człowieka na Shayolu? Co dawało mu szczęście bez superkondaminy? Czy był obłąkanym niewolnikiem swoich obowiązków, czy raczej żywił nadzieję, że któregoś dnia wróci na ojczystą planetę, otoczony rodziną podobnych do siebie krowo-ludzi? Mercer, mimo fali szczęścia, zapłakał krótko nad jego dziwnym losem. Z własnym bowiem już się pogodził.

Wspomniał, kiedy ostatni raz jadł – prawdziwe jajka z prawdziwej patelni. Dromozoidy utrzymywały go przy życiu, ale nie wiedział jak.

Pokuśtykał z powrotem do grupy. Lady Da, naga pośród suchej równiny, machnęła gościnnie ręką i pokazała, że obok niej jest miejsce, by usiąść. Wokół mieli całe kilometry kwadratowe wolnego miejsca, ale i tak ucieszył się na ten przyjazny gest.

## IV

Lata, o ile to były lata, mijały. A Shayol się nie zmieniał.

Czasami po równinie niósł się cichy bulgot, jakby gejzerów. Ci, co umieli mówić, stwierdzali, że to oddech kapitana Alvareza. Był dzień i była noc, ale żadnych kwitnących i dojrzewających roślin, żadnych pór roku, żadnej wymiany pokoleń. Dla tych ludzi czas stał w miejscu, a ich fale przyjemności były tak przemieszane z bólem powodowanym przez dromozoidy, że słowa lady Da nabrały całkiem odległego od oryginału znaczenia.

– Ludzie nigdy nie żyją wiecznie.

To stwierdzenie wyrażało nadzieję, a nie prawdę, w którą mogliby wierzyć. Nie byli na tyle bystrzy, by śledzić ruchy gwiazd, by przedstawić się sobie z imienia, by gromadzić wspólne doświadczenia, tworząc zbiorową mądrość. Nie było ich stać na marzenia o ucieczce. Choć widzieli staroświeckie chemiczne rakiety startujące z pola za barakiem Be-Dikkata, nie snuli planów ukrycia się pomiędzy zamrożonymi plonami.

Dawno, dawno temu, pewien inny więzień spróbował napisać list. Odręcznie, na skale. Mercer przeczytał go, podobnie jak paru innych, nie wiedzieli jednak, kto to zrobił. Niespecjalnie to ich zresztą obchodziło.

Wydrapany na kamieniu list stanowił wiadomość do domu. Wciąż dawało się odczytać początek:

*Kiedyś byłem jak wy. Kończąc dzień pracy, wychodziłem przez okno i pozwalałem, by wiatry łagodnie zaniósły mnie do domu. Kiedyś, jak wy, miałem jedną głowę, dwie ręce, dziesięć palców na obu. Przednia część mojej głowy nazywała się twarzą i można nią było rozmawiać. Teraz potrafię tylko pisać, i to tylko kiedy mnie nie boli. Kiedyś, jak wy, jadłem pokarmy, piłem płyny, miałem imię. Nie pamiętam go teraz. Wy, którzy otrzymacie ten list, możecie wstać. Ja nawet wstać nie mogę. Czekam tylko, aż światełka cząsteczka za cząsteczką napakują mnie jedzeniem i odbiorą zużyte produkty. Nie wydaje mi się już, że odbywam karę. To miejsce to nie kara. To coś zupełnie innego.*

Nikt z różowego stadka nigdy nie doszedł do tego, co to jest „coś innego”.

Ciekawość zanikła im dawno temu.

A potem przyszedł dzień małych.

Był to czas – ani dzień, ani rok, coś pomiędzy – gdy lady Da i Mercer siedzieli sobie oniemiały ze szczęścia i przepelnieni superkondaminową radością. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, narkotyk już wszystko powiedział.

Nagły nieprzyjemny ryk dochodzący od baraku Be-Dikkata kazał im się niespokojnie poruszyć.

Ta dwójka, i parę innych osób, obejrzała się na megafony.

Lady Da zmusiła się do mówienia, choć sprawa była tak nieistotna, że na to nie zasługiwała.

– Zdaje się – powiedziała – że kiedyś nazywaliśmy to Alarmem Wojennym.

I pograżyli się z powrotem w sennej błogości.

Przyczołgał się do nich człowiek o dwóch szczątkowych głowach wyrastających obok jego własnej. Wszystkie trzy wyglądały na bardzo szczęśliwe i Mercer pomyślał, że to wspaniale, że nadają mu taki wymyślny kształt. Pod pulsującą falą superkondaminy ubolewał, że nie wykorzystał jasnego umysłu, by zapytać go, kim był kiedyś. On jednak sam odpowiedział. Siłą woli rozwierając powieki, wykonał przed lady Da i Mercerem leniwą karykaturę wojskowego salutu i powiedział:

– Proszę pani, proszę pana, melduje się Suzdal, były komandor i dowódca krążownika. Był sygnał alarmu. Chciałbym zameldować, że ja... ja... jestem raczej nieprzygotowany do bitwy.

Zapadł w sen.

Łagodnie stanowcza lady Da kazała mu znowu otworzyć oczy.

– Panie komandorze, a czemu tutaj ogłaszają ten alarm? Po co pan do nas przyszedł?

– Bo pani i pan z uszami zdaje się najlepiej myślą w całej naszej grupie. Pomyślałem, że macie jakieś rozkazy.

Mercer rozejrzał się za „panem z uszami”. Chodziło o niego. Jego twarz była wówczas prawie całkiem zarośnięta mnóstwem nowych, małych uszek, lecz nie zwracał na nie uwagi, poza tym, że czekał, aż Be-Dikkat je wszystkie obetnie, a dromozoidy zasieją w nim coś nowego.

Odgłos z baraku nasilił się do prawie ogłuszającego.

Teraz wielu członków stada zaczęło się wiercić.

Niektórzy otwierali oczy, rozglądali się, mruzcili: „Jakiś hałas”, i zapadali z powrotem w szczęśliwą superkondaminową drzemkę.

Otworzyły się drzwi kabiny.

Wypadł Be-Dikkat, bez skafandra. Nigdy go nie widzieli na zewnątrz bez ochronnego metalowego ubioru.

Podbiegł do nich, rozejrzał się gorączkowo, rozpoznał lady Da i Mercera, wziął ich oboje pod pachę i popędził z powrotem do baraku. Cisnął ich w podwójne drzwi. Wylądowali z hukiem, jakby połamali sobie wszystkie kości – i rozbawiło ich, że tak mocno walnęli w podłogę. Podłoga przerzuciła ich do głównego pomieszczenia. Chwilę później Be-Dikkat trafił tam za nimi.

Zaryczał:

– Jesteście ludźmi! Albo byliście! Rozumiecie ludzi. Ja mam ich tylko słuchać. Ale tego nie usłucham. Popatrzcie tylko!

Na podłodze leżała czwórka prześlicznych dzieci. Dwoje najmniejszych wyglądało na bliźnięta, mniej więcej dwuletnie. Oprócz tego pięcioletnia dziewczynka i siedmioletni chłopiec. Wszystkie miały zapadnięte powieki. Wszystkie miały cienkie czerwone linie wokół skroni – po wygolonych głowach widać było, że uszkodzono im mózgi.

Be-Dikkat, niepomny na zagrożenie dromozoidami, stał nad lady Da i Mercerem i krzyczał:

– Wy jesteście prawdziwi ludzie! Ja jestem tylko krową! Wykonuję obowiązki! Ale czegoś takiego nie mam w obowiązkach! To są dzieci!

Ów mądry, ocalały zakamarek mózgu Mercera poczuł szok i niedowierzanie. Ciężko było utrzymać to uczucie, ponieważ superkondamina zalewała mu świadomość jak wielka fala, nadając wszystkiemu przyjemne zabarwienie. Płat czołowy, przesiąknięty narkotykiem, mówił: „Fajnie będzie mieć wśród nas kilkoro dzieciaków!”. Natomiast niezniszczone wnętrza umysłu, pamiętające honor z czasów przed Shayolem, szeptało: „To zbrodnia gorsza od tych, które popełniliśmy! I to Cesarstwo ją popełniło!”.

– Co zrobiłeś? – zapytała lady Da. – Co my możemy zrobić?

– Próbowałem połączyć się z satelitą. Jak tylko zorientowali się o czym mówię, przerwali połączenie. W końcu ja nie jestem człowiekiem. Ordynator kazał mi robić, co do mnie należy.

– Czy to był doktor Vomact? – zapytał Mercer.

– Vomact? Nie, zmarł ze sto lat temu, ze starości. Ten nowy doktor mnie zbył. Ja nie mam ludzkich uczuć, ale urodziłem się na Ziemi, z ziemskiej

krwi i kości. Emocje mam. Prawdziwe, czyste, krowie emocje! I nie mogę pozwolić na coś takiego!

– I co jeszcze potem zrobiłeś?

Be-Dikkat uniósł wzrok do okna. Twarz rozjaśniała mu determinacja, przez którą, nawet nie licząc wpływu narkotyku, czuli, że muszą go kochać, że jest jak ojciec tego świata – odpowiedzialny, szlachetny, bezinteresowny.

Uśmiechnął się.

– Pewnie mnie za to zabiją. Ale ogłosiłem Alarm Galaktyczny. Wzywam wszystkie statki.

Lady Da obwieściła z podłogi:

– Ale to jest tylko na wypadek nowych najeźdźców! To fałszywy alarm! – Wzięła się w garść i stanęła na nogi. – Mógłbyś mi to wszystko poobcinać, teraz, już? Może przylecą jacyś ludzie. I znajdź mi jakieś ubranie. Aha, i jeszcze: masz może coś, co przeciwdziała skutkom superkondaminy?

– Ale ja tak chciałem! – krzyknął Be-Dikkat. – Ja nie przyjmę tych dzieci. A wy powiedzcie, co mam robić.

I od razu, na miejscu, na podłodze baraku, zaczął ich przycinać do normalnych ludzkich kształtów.

Zapach żrącego antyseptyku rozniósł się po kabinie jak dym. Mercer pomyślał, że strasznie to wszystko dramatyczne i przyjemne, a myśląc to, kilka razy zapadł w krótką drzemkę. Potem poczuł, że Be-Dikkat i jego przycina. Otworzył długą, długą szufladę i włożył okazy do środka; sądząc po zimnie, jakie stamtąd buchnęło, musiała być chłodzona.

Usadził ich oboje pod ścianą.

– Tak się zastanawiałem – powiedział. – Na superkondaminę nie ma antidotum. Po co komu coś takiego? Ale mogę wam dać strzykawki z mojego statku ratunkowego. Podobno mają ożywiać człowieka, obojętne, co mu się stało w kosmosie.

Coś zawyło nad dachem baraku. Be-Dikkat wypchnął pięścią okno, wysunął przez nie głowę i spojrzał w górę.

– No, dawajcie! – zawołał.

Usłyszeli huk lądującego w pośpiechu pojazdu. Zasyzczały drzwi. Mercer zdziwił się, że ludzie nie boją się lądować na Shayolu. Kiedy przyszedli, dostrzegł, że to wcale nie ludzie, to były roboty celne, mogące podróżować z szybkością, na jaką ludzi nie byłoby stać. Jeden miał dystynkcje inspektora.

– Gdzie ci najeżdźcy?

– Nie ma żadnych... – zaczął Be-Dikkat.

Lady Da, cesarska w zachowaniu, choć kompletnie goła, powiedziała bardzo wyraźnym głosem:

– Ja jestem była cesarzową, lady Da. Poznajesz mnie?

– Nie, proszę pani – odparł robot-inspektor. Wyglądał na skrępowanego jak na robota.

Narkotyk podsunął Mercerowi myśl, że fajnie byłoby mieć na powierzchni Shayola jakieś roboty do towarzystwa.

– Ogłaszam Stan Najwyższego Zagrożenia, tradycyjnymi słowami. Rozumiesz? Połącz mnie z Instrumentalnością.

– Nie możemy... – powiedział inspektor.

– Zawsze możesz poprosić.

Inspektor usłuchał.

Lady Da zwróciła się do Be-Dikkata:

– Daj Mercerowi i mnie te zastrzyki. Potem wystaw nas za drzwi, żeby dromozoidy mogły naprawić nam wszystkie blizny. I zawołaj z powrotem, jak tylko nawiążą połączenie. Jeśli nie masz dla nas ubrań, to owiń nas jakimś płótnem. Mercer jest w stanie wytrzymać ból.

– Dobrze – powiedział Be-Dikkat, unikając wzrokiem czwórki bezwładnych dzieci i ich zapadniętych oczodołów.

Zastrzyk palił bardziej niż ogień. Musiał jednak faktycznie rozprawiać się z superkondaminą, bo Be-Dikkat wystawił ich przez otwarte okno, żeby nie tracić czasu na wychodzenie przez drzwi. Dromozoidy, wyczuwając, że potrzebują napraw, rozbłysły wokół nich. Tym razem z superkondaminą walczyło jeszcze coś.

Mercer nie krzyknął, ale położył się pod ścianą i łkał przez dziesięć tysięcy lat; według obiektywnego czasu było to zapewne kilka godzin.

Roboty Izby Celnej robiły zdjęcia. Wokół nich także błyskały dromozoidy, chwilami całymi rojami, ale nic się nie działo.

Mercer usłyszał głos komunikatora w baraku, głośno wołający Be-Dikkata:

– Satelita Medyczny wzywa Shayol. Be-Dikkat, odbierz!

On najwyraźniej nie odpowiadał. Z drugiego komunikatora, przyniesionego przez roboty celne, dochodziły ciche okrzyki. Mercer był przekonany, że ma także maszynę patrzącą, przez którą ludzie z innych światów pierwszy raz widzą powierzchnię Shayola.

Be-Dikkat wyszedł z baraku. Powyrywał i wyniósł ze swojej łodzi ratunkowej mapy nawigacyjne. Dał je im, żeby się okryli. Mercer zauważył, że lady Da zrobiła przy tym okryciu parę drobnych zabiegów i nagle zaczęła wyglądać na bardzo ważną osobę.

Weszli z powrotem do środka.

Be-Dikkat szepnął, jakby z wielkim szacunkiem:

– Połączyliśmy się z Instrumentalnością i jeden z lordów będzie za chwilę z wami rozmawiać.

Mercer nie miał nic do roboty, siadł więc w rogu pomieszczenia i patrzył. Lady Da, z zagojoną skórą, stała blada i zdenerwowana na środku podłogi.

Pokój wypełnił się pozbawionym zapachu, niematerialnym dymem. Dym zgęstniał. Komunikator miał połączenie.

Pojawiła się ludzka postać.

Kobieta ubrana w mundur o radykalnie konserwatywnym kroju stanęła oko w oko z lady Da.

– To jest Shayol. A pani jest lady Da. Wywołała mnie pani.

Lady Da wskazała na dzieci na podłodze.

– To się nie ma prawa zdarzać – powiedziała. – Jesteśmy na karnej planecie, na mocy porozumienia Instrumentalności i Cesarstwa. Nigdzie tam nie ma mowy o dzieciach.

Kobieta na hologramie spojrzała na dzieci.

– To dzieło jakichś obłąkanych! – wykrzyknęła. Spojrzała oskarżycielsko na lady Da. – Pani jest z Cesarstwa?

– Byłam kiedyś Cesarzową, proszę pani – odparła lady Da.  
– I pani pozwala na coś takiego!  
– Ja pozwalam?! – wykrzyknęła lady Da. – Nie miałam na to żadnego wpływu. – Wytrzeszczyła oczy. – Ja tu jestem więźniem, nie rozumie pani?  
Kobieta-obraz warknęła:  
– Nie, nie rozumiem.  
– Ja tu jestem okazem. Proszę spojrzeć na to stado tam. Parę godzin temu byłam razem z nimi.  
– Przetaw mnie – powiedziała kobieta-obraz do Be-Dikkata. – Chcę zobaczyć to stado.  
Jej ciało, cały czas w pozycji wyprostowanej, poszybowało łukiem przez ścianę i wylądowało w samym środku stada.  
Lady Da i Mercer obserwowali ją. Zauważyli, że obraz zaraz stracił swoją twardość i godność. Machnęła ręką, żeby ściągnąć ją z powrotem do baraku. Be-Dikkat przestawił ją.  
– Winna jestem pani przeprosiny – powiedział obraz. – Jestem lady Johanna Gnade i przychodzę w imieniu Instrumentalności.  
Mercer skłonił się, stracił równowagę i musiał się pozbierać z podłogi.  
Lady Da potwierdziła przyjęcie przeprosin majestatycznym skinieniem głowy.  
Dwie kobiety spojrzały na siebie.  
– Przeprowadzi pani dochodzenie – oznajmiła lady Da – a kiedy je pani zakończy, proszę nas wszystkich uśmiercić. O narkotyku pani wie?  
– Nie wspominaj o nim – przerwał Be-Dikkat – nawet nie wymieniaj nazwy do komunikatora. To tajemnica Instrumentalności!  
– Ja jestem Instrumentalność! – powiedziała lady Johanna. – Cierpicie ból? Nie sądziłam, że ktokolwiek z was żyje. Słyszałam o bankach narządów na waszej zakazanej planecie, ale sądziłam, że to roboty hoduują tu ludzkie części i wysyłają je na górę rakiety. Są tu z wami jacyś ludzie? Kto tu rządzi? Kto zrobił to dzieciom?  
Be-Dikkat wszedł przed obraz. Nie uklonił się.  
– Ja tu rządę.  
– Ty jesteś podczłowiekiem! – wykrzyknęła lady Johanna. – Jesteś krową!



– Bykiem, proszę pani. Moja rodzina leży zamrożona na samej Ziemi, a ja przez tysiąc lat służby mam zapracować na wolność dla nich i dla mnie. Odpowiadając na inne pytania. Ja wykonuję całą pracę. Dromozoidy nie bardzo na mnie działają, chociaż od czasu do czasu muszę sobie obciąć jakąś część. Ale wyrzucam je. Nie idą do banku. A zna pani tajemnicę tej planety?

Lady Johanna zagadła z kimś stojącym za jej plecami, na innym świecie. Potem spojrzała na Be-Dikkata i rozkazała:

– Tylko nie wymieniaj nazwy tego środka, ani za dużo o nim nie mów. Powiedz mi resztę.

– Przebywa tutaj obecnie – zaczął bardzo oficjalnie Be-Dikkat – tysiąc trzysta dwadzieścia jeden osób posiadających jeszcze możliwość hodowania organów zapasowych, jeśli dromozoidy im je wszczepią. Jest około siedmiuset innych, wliczając lot-kapitana Alvareza, którzy zostali tak mocno wchłonięci przez planetę, że przystrzyganie ich nie ma sensu. Cesarstwo urządziło tutaj miejsce zesłania na najcięższą karę, natomiast Instrumentalność wydała tajny rozkaz wydawania tym ludziom lekarstwa – zaakcentował to słowo inaczej, sugerując superkondaminę – by łagodzić ciężar kary. Cesarstwo przywozi nam osadzonych. Instrumentalność zajmuje się dystrybucją organów zapasowych.

Lady Johanna uniosła prawą dłoń w geście nakazującym milczenie i współczucie. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Wróciła wzrokiem do lady Da. Może domyślała się, jaki to dla niej wysiłek, stać prosto, podczas gdy w jej krwiobiegu walczą dwa narkotyki, superkondamina i środek z szalupy ratunkowej.

– Idźcie, odpocznijcie sobie. Mogę wam już zapowiedzieć, że zrobimy dla was wszystko co w naszej mocy. Cesarstwo upadło. Umowa Podstawowa, na której mocy tysiąc lat temu Instrumentalność zrzekła się zwierzchności nad Cesarstwem, wygasła. Lecz nie wiedzieliśmy, że wy w ogóle istniejecie. W swoim czasie byśmy się dowiedzieli, przykro mi jednak, że nie nastąpiło to wcześniej. Czy możemy już teraz coś dla was zrobić?

– Czas to jedyna rzecz, jaka nam pozostała – rzekła lady Da. – Może nawet nie będziemy w stanie opuścić Shayola, ze względu na dromozoidy i lekarstwo. Te pierwsze mogą być niebezpieczne. To drugie – nie można dopuścić do rozpowszechnienia informacji o nim.

Lady Johanna Gnade rozejrzała się po pokoju. Gdy dotarła wzrokiem do Be-Dikkata, ten padł na kolana i uniósł ogromne łapska w błagalnym geście.

– A ty czego chcesz? – zapytała.

– Chodzi o nie – odparł, wskazując na okaleczone dzieci. – Proszę rozkazać, żeby nie traktowano tak dzieci! Od zaraz! – krzyknął rozkazującym tonem, a ona się zgodziła. – Ach, i jeszcze, proszę pani... – Przerwał, jakby onieśmielony.

– No dalej, mów.

– Proszę pani, ja nie potrafię zabić. To nie w mojej naturze. Mogę pracować, pomagać, ale nie zabijać. Co mam z nimi zrobić? – Wskazał gestem czwórkę nieruchomych dzieci na podłodze.

– Zostaw je – odparła. – Po prostu je zostaw.

– Nie mogę. Nie ma sposobu, żeby stąd wyszły żywe. W baraku nie mam dla nich żywności. Za parę godzin by umarły. A władze – dodał po namyśle – działają bardzo, bardzo powoli.

– A nie możesz dać im lekarstwa?

– Nie, to by je zabiło, jeśli dam im to, nim dromozoidy wzmocnią ich procesy fizjologiczne.

Lady Johanna Gnade wypełniła pokój krystalicznym śmiechem, bardzo bliskim płaczu.

– Debile, co z nich za debile! Skoro superkondamina działa tylko po dromozoidach, to co za sens w tajemnicy?

Be-Dikkat wstał urażony na równe nogi. Zmarszczył czoło, jednak nie był w stanie znaleźć słów na swoją obronę. Lady Da, ekscesarzowa upadłego imperium, zwróciła się do drugiej lady tonem ceremonialnym i nieznoszącym sprzeciwu:

– Wystawcie je na zewnątrz, niech je zaatakują. Będą cierpieć. Wtedy Be-Dikkat da im lekarstwo, jak tylko uzna, że jest to już bezpieczne... Za

pozwoleniem, moja pani...

Mercer musiał ją złapać, żeby nie upadła.

– Wszyscy tu wiele przecierpieliście – stwierdziła lady Johanna. – W drodze na waszego satelitę jest już statek szturmowy z żołnierzami z ciężką bronią. Przesłuchają personel medyczny i dowiedzą się, kto popełnił zbrodnię na tych dzieciach.

Mercer ośmielił się odezwać.

– I ukarzą lekarza, który jest winny?

– Ty mówisz o karze?! – wykrzyknęła. – Ty?!

– To sprawiedliwe. Ja zostałem ukarany za swój uczynek. Dlaczego on nie?

– Karać tylko i karać – powiedziała mu. – My tego lekarza uleczymy. I ciebie także, jeśli będziemy w stanie.

Mercer rozszlochał się. Pomyślał o oceanach szczęścia, które dawała mu superkondamina, zapomnienia o paskudnym bólu i shayolowych spotwornieniach. Czy już nigdy nie dostanie igły? Nie miał pojęcia, jak będzie wyglądało życie poza Shayolem. Czy już nie będzie czułego, ojcowskiego Be-Dikkata przychodzącego do nich z nożami?

Uniósł załzawioną twarz ku lady Johannie i wykrztusił:

– Pani, my wszyscy tu jesteśmy obłąkani. My chyba nie chcemy nigdzie lecieć.

Odwróciła głowę, ogarnięta wielkim współczuciem. Kolejne słowa skierowała do Be-Dikkata.

– Mądry jesteś i szlachetny, mimo że nie jesteś człowiekiem. Daj im tyle narkotyku, ile będą w stanie znieść. Instrumentalność podejmie decyzję, co z wami wszystkimi zrobić. Moje wojskowe roboty zbadają i obmierzą całą planetę. Nic się im nie stanie, człowieku-byku.

Be-Dikkatowi nie spodobało się to bezmyślne miano, ale nie obraził się.

– Robotom nic nie będzie, proszę pani, ale dromozoidy bardzo się ożywią, bo nie będą w stanie ani ich karmić, ani uzdrawiać. Proszę wysłać ich jak najmniej. Nie mamy pojęcia, jak właściwie dromozoidy żyją czy umierają.

– Jak najmniej – mruknęła. Uniosła dłoń, wydając polecenia jakiemuś inżynierowi znajdującemu się w niewyobrażalnej odległości od niej. Zawirował pozbawiony zapachu dym, obraz zniknął.

Rozległ się przenikliwy, wesolutki głosik:

– Naprawiłem wam okno – powiedział robot celny.

Be-Dikkat podziękował mu machinalnie. Pomógł lady Da i Mercerowi przejść przez drzwi. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, natychmiast uządlili ich dromozoidy. Nie miało to znaczenia.

Pojawił się Be-Dikkat we własnej osobie. W obu potężnych, a zarazem delikatnych dłoniach niósł czwórkę dzieci. Położył bezwładne ciała na ziemi tuż pod barakiem. Patrzył, jak dostają spazmów po ukłuciu dromozoidów. Mercer i lady Da widzieli, że brązowe krowie oczy ma zaczerwienione, a policzki mokre od łez.

Godziny lub stulecia.

Kto by je rozróżnił?

Stado wróciło do normalnego trybu życia, nie licząc tego, że przerwy pomiędzy zastrzykami stały się o wiele krótsze. Były komandor, Suzdal, odmówił igły, gdy usłyszał wieści. Zawsze gdy był w stanie chodzić, chodził za robotami celnymi, które fotografowały, pobierały próbki gleby i liczyły ciała. Szczególnie interesowały się górą lot-kapitana Alvareza i stwierdziły, że nie ma pewności, czy występuje tam organiczne życie, czy też nie. Wydawało się, że góra reaguje na superkondaminę, nie wykrywano w niej natomiast ani krwi, ani tętna. Poruszana przez dromozoidy wilgoć zastąpiła, jak się zdaje, wszystkie niegdysiejsze ludzkie procesy fizjologiczne.

## V

Aż nagle, wcześnie rano pewnego dnia, otworzyło się niebo.

Łądował statek za statkiem. Wysiadali z nich ludzie, w ubraniach.

Dromozoidy ignorowały nowo przybyłych. Mercer, akurat w stanie błogości, zastanawiał się nad tym zdezorientowany, póki nie dotarło do niego, że statki są wylądowane po brzegi sprzętem łącznościowym – ci „ludzie” to albo roboty, albo projekcje ludzi znajdujących się gdzie indziej.

Roboty szybko zebrały stado do kupy. Taczkami zwiozły na środek lądowiska wszystkich bezmózgów.

Mercer usłyszał znajomy głos. Lady Johanna Gnade.

– Powiększ mnie – rozkazała.

Rosła, aż osiągnęła jedną czwartą wzrostu Alvareza. Jej głos też zrobił się donośniejszy.

– Obudzić ich wszystkich – rozkazała.

Roboty przeszły pomiędzy nimi, spryskując ich gazem, jednocześnie mdlącym i słodkim. Mercer poczuł, jak przejaśnia mu się w głowie. Superkondamina wciąż krążyła w żyłach i po nerwach, jednak mózg był od niej wolny. Mógł jasno myśleć.

– Przynoszę wam – rozległ się pełen współczucia kobiecy głos olbrzymiej lady Johanny – decyzję Instrumentalności w sprawie planety Shayol! Punkt pierwszy: organy będą nadal hodowane, a dromozoidów nie będzie się likwidować. Pozostawi się tutaj części ludzkich ciał, by rosły, a zbiory będą pozyskiwane przez roboty. Nie będzie tu mieszkać żaden człowiek ani żaden homunkulus. Punkt drugi: podczłowieka Be-Dikkata, pochodzenia bydłęcego, wynagradza się natychmiastowym powrotem na Ziemię. Wyplaci mu się dwukrotność jego oczekiwanego wynagrodzenia za tysiąc lat.

Głos Be-Dikkata, bez wzmocnienia, był prawie tak donośny jak jej:

– Ależ proszę pani, proszę pani!

Spojrzała nań z góry, jego ogromne ciało sięgało jej do kostek i brzegu plisowanej sukni, i powiedziała bardzo nieoficjalnym tonem:

– Czego?

– Proszę mi najpierw pozwolić dokończyć pracę! – krzyknął, tak, żeby wszyscy słyszeli. – Chcę najpierw zaopiekować się tymi ludźmi.

Wszystkie okazy posiadające mózgi nadstawiły uszu. Te bezmózgie próbowały się wkopać z powrotem pod miękką shayolową Ziemię,

używając do tego potężnych pazurów. Gdy tylko któryś zaczynał znikać, robot łapał go za kończynę i wyciągał z powrotem.

– Punkt trzeci: na wszystkich osobach o nieodwracalnie uszkodzonych mózgach wykona się cefalotomię. Ich ciała pozostaną tutaj. Głowy zaś wywiezie się i uśmierci w najłagodniejszy możliwy sposób, najprawdopodobniej poprzez przedawkowanie superkondaminy.

– Ostatni złoty strzał – mruknął komandor Suzdał, stojący nieopodal Mercera. – I dobrze.

– Punkt czwarty: stwierdza się, że owe dzieci są ostatnimi spadkobiercami Cesarstwa. Nadgorliwy urzędnik wysłał je tutaj, by nie dopuścić do popełnienia zdrady stanu, kiedy dorosną. Lekarz natomiast wykonał rozkazy, nie sprzeciwiając się im. Zarówno urzędnik, jak i lekarz zostali wyleczeni, a ich wspomnienia o tym zdarzeniu wykasowano, by nie musieli się wstydzić ani żałować tego, co popełnili.

– To niesprawiedliwe! – krzyknął półczłowiek. – Powinni być ukarani, tak jak my!

Lady Johanna Gnade spojrzała nań z góry.

– Koniec kary. Damy wam wszystko, czego sobie zażycycie, ale nie kosztem innych ludzi. Pozwólcie, że dokończę. Punkt piąty: skoro nikt z was nie życzy sobie wrócić do życia, które wiódł wcześniej, przenosi się was na inną, pobliską planetę. Jest podobna do Shayola, ale o wiele piękniejsza. I nie ma tam dromozoidów.

Na te słowa stado zaryczało. Krzyczeli, płakali, przeklinali, błagali. Wszyscy chcieli dostać kolejną działkę i jeśli do tego trzeba było zostać na Shayolu, to chcieli zostać.

– Punkt szósty – odezwał się gigantyczny obraz lady, przekrzykując ich paplaninę – na nowej planecie nie będziecie już mieć superkondaminy, ponieważ bez dromozoidów by was zabiła. Ale będą czepki. Pamiętacie czepki? Postaramy się was wyleczyć i na nowo uczynić ludźmi. Jeśli tego nie przyjmiecie, nie będziemy was zmuszać. Czepki są bardzo potężne, a przy odpowiedniej pomocy medycznej można w nich żyć przez wiele lat.

Grupa ucichła. Wszyscy próbowali na swój sposób porównać stymulujące ośrodek przyjemności elektryczne czepki z narkotykiem,

który po tysiąckroć zalewał ich falą rozkoszy. Ich pomruki zabrzmiały jak zgoda.

– Czy są jakieś pytania?

– A kiedy będą te czepki? – zapytało kilku. Byli na tyle ludzcy, że zaśmiali się z własnej niecierpliwości.

– Niedługo – powiedziała uspokajająco – bardzo niedługo.

– Bardzo niedługo – powtórzył Be-Dikkat, uspokajając swoich podopiecznych, mimo że już nie miał nad nimi władzy.

– Pytanie! – wykrzyknęła lady Da.

– Tak, proszę pani? – odezwała się lady Johanna z uprzejmością należną ekscesarzowej.

– Czy będzie nam wolno zawierać małżeństwa?

Lady Johanna zrobiła zaskoczoną minę.

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się. – Właściwie nie widzę powodu, żeby...

– To ja zastrzegam sobie mężczyznę imieniem Mercer – powiedziała lady Da. – Kiedy narkotyk był najsilniejszy, a ból największy, on zawsze starał się myśleć. Czy mogę go mieć?

Mercer uznał, że to trochę arbitralne, ale był tak szczęśliwy, że nie odezwał się ani słowem. Lady Johanna zlustrowała go od stóp do głów i skinęła głową. Uniosła ręce w geście błogosławieństwa i pożegnania.

Roboty zaczęły ustawiać stado w grupki. Jedna miała śmignąć statkiem do nowego świata, nowych problemów i nowego życia. Druga, mimo że jej członkowie usiłowali wkopać się z powrotem w piasek, została zebrana po to, by ludzkość mogła oddać jej ostatni honor.

A Be-Dikkat, zostawiwszy wszystkich innych, popędził przez równinę do człowieka-góry, Alvareza, by po raz ostatni obdarzyć go największą dawką rozkoszy.

---

6 Condamine to nazwa małej miejscowości w Queensland w Australii. Australii Północnej (przyp. tłum).

norstrilia





## WPROWADZENIE I PROLOG

*Opowieść, miejsce i czas – oto najważniejsze rzeczy.*

### I

Opowieść jest prosta. Był sobie chłopiec, który kupił planetę Ziemię. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. Zdarzyło się to tylko raz i poczyniliśmy kroki, by się więcej nie powtórzyło. Przyleciał na Ziemię, dostał, co chciał, i odleciał cały i zdrowy, przeżywszy niezwykle przygody. Taka to jest opowieść.

### II

Miejsce? To Stara Australia Północna. Bo gdzieżby indziej? Gdzie indziej farmerzy płacą dziesięć milionów kredytów za chusteczkę do nosa, a pięć za butelkę piwa? Gdzie jeszcze ludzie wiodą spokojne, nietknięte militarystycznym życiem, na świecie pełnym śmiercionośnych pułapek i rzeczy gorszych od śmierci? Stara Australia Północna ma strun – zwany też santaclarą – którego pragnie ponad tysiąc innych planet. Lecz pozyskuje się go tylko na Norstrilii – tak ją bowiem dla wygody nazywają – ponieważ powstaje z wirusa, żywiącego się gigantycznymi, olbrzymimi, niekształtnymi owcami. Wzięli te owce z Ziemi, by zapoczątkować gospodarkę pasterską; a okazały się niewyobrażalnym, wręcz największym ze skarbów. Prości farmerzy stali się prostymi miliardami, ale

farmerskiego stylu życia nie zmienili. Kiedy się kogoś okrada i maltretuje przez trzy tysiące lat, ten ktoś robi się wredny. Uparty się robi. Zaczyna unikać obcych, z wyjątkiem wysyłania do nich szpiegów i przyjmowania bardzo sporadycznie pojawiających się turystów. Norstrilijczycy nie patyczkują się z innymi ludźmi, a kiedy ktoś stanie im na drodze, to jest jak śmierć, śmierć do szpiku kości, i jeszcze dwa razy głębiej.

Aż tu nagle jeden dzieciak od nich pojawia się na Ziemi i kupuje ją całą. Całą Ziemię, z jej dobrodziejstwem inwentarza i podludzi.

Dla Ziemi był to wielki wstyd.

Zresztą dla Norstrilii także.

Gdyby nie władze obu planet, Norstrilia zabrałaby z Ziemi wszystko co wartościowe i sprzedała im z powrotem z sówitą marżą. Tak się po norstrilijsku robi interesy. Albo, być może, powiedzieliby: „Spadajcie, barany. Weźcie sobie tę waszą mokrą kulkę. Mamy swoją, ładną i suchą”. Taki właśnie mają temperament. Nieprzewidywalny.

Jednakże dzieciak kupił Ziemię. Należała do niego.

Był w prawie, żeby wypompować cały Ocean Zachodzącego Słońca, wystrzelić go w kosmos i rozsprzedać wodę po całej zamieszkaney galaktyce.

Ale nie zrobił tego.

Bo interesowało go coś innego.

Ziemskie władze sądziły, że chodzi o dziewczyny, próbowały go więc zasypać dziewczynami wszelkich kształtów, rozmiarów, zapachów i w każdym wieku – od młodych dam z zacnych rodzin, po wyhodowane z psów poddziewczyny, pachnące romantycznie przez cały czas, z wyjątkiem pierwszych pięciu minut po gorącym, antyseptycznym prysznicu. Tyle że jego nie interesowały dziewczyny. Interesowały go znaczki pocztowe.

To skonfundowało równie Ziemię, jak i Norstrilię. Norstrilijczycy to twardzi ludzie z surowej planety, którzy bardzo poważają własność. (Bo dlaczego by nie? W końcu większość rzeczy należy do nich). Taka historia jak ta mogła się rozpocząć tylko tam.

Jaka jest Norstrilia?

Ktoś ją kiedyś opisał długą melorecytacją, mniej więcej tak:

– Szara szara ziemia. Szara szara trawa. Nigdzie ani źródła, ani źródelka. Ani jednej góry, wysokiej czy niskiej, tylko pagórki, szare szare. A na piegowatym piasku nieba iskiereki mrugają-migają.

– Oto jest Norstrilia.

– Parszywego blocka już tam nie ma – tyle pracy, tyle czasu, tyle cierpienia. Ludzie walczyli i walczyli, aż zdołali uciec od tych potwornych form. Walczyli o dłonie, o nosy, o oczy i stopy, o mężczyzn i o kobiety. Wyzwolili się spod koszmarów na jawie, uciekli od stuleci, kiedy spotworniali, pijący wodę ze stawów marzyli, by na nowo stać się ludźmi. Odnaleźli swój świat i na nowo, całkiem na nowo stali się ludźmi, z dala od tego potwornego świata. Za to owcom się nie udało, biedne owce. Ale z ich choróbska udało się wydestylować nieśmiertelność dla ludzi. Ktoś twierdził, że odkryje ją nauka? Nauka sruka!

– Od przypadku do przypadku, chłopie, i tak to powstało.

– Beżowobrazowe owce leżą sobie na szaroniebieskiej trawie, a w górze pędzą chmury, nisko i ponuro, jakby świat miał strop z żelaznej rury.

– Wybierz sobie, chłopie, owcę, byle chorą, to zarobisz sporo. Niech wykicha forszę na całą planetę, albo wykaszle życie nieśmiertelne. Może tu jest zimno, gdzie żyją trolle i skrzaty jak ty, ale tam też jest. Tak rzecze księga, chłopcze.

– Póki tego nie zobaczysz, to wcale Norstrilii nie widziałeś. A jak zobaczysz, i tak nie uwierzysz. Bo jeśli tam pojedziesz, nie wrócisz już żywy.

– Matki Hitton kotecki puchate też tam na ciebie czekają. Głasku-głasku ślicznusie futereczko mają. Śliczne puchate stworki, powiadają. Nie wierz w ani jedno słowo. Nikt, kto je zobaczył, nie przeżył. I ty też nie przeżyjesz. To koniec i kropka. Kropka i koniec, stary.

– Na mapach nazywa się to Stara Australia Północna. I pewnie tak tam właśnie jest.

## IV

Czas: pierwsze stulecie Drugiego Odkrycia Ludzkości.

Wtedy, gdy żyła Ka-Mell.

Mniej więcej wtedy, gdy polerowali Shayola, jakby wycierali jabłko rękawem.

Według naszego czasu – daleko, daleko. Piętnaście tysięcy lat po tym, jak wzleciały bomby i na Starej Starej Ziemi rozległ się grzmot.

Czyli całkiem niedawno, widzicie?

## V

Co się w tej historii dzieje?

Przeczytajcie sobie.

Kto bierze udział?

Wszystko zaczyna się od Roda McBana – którego prawdziwe nazwisko brzmi: Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan. Nie da się jednak snuć opowieści, jeśli jej główny bohater ma nazwisko tak długie jak Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan. Trzeba zrobić to, co jego sąsiedzi – zacząć nazywać go Rod McBan. Starsze panie zawsze mówiły „Rod McBan sto pięćdziesiąty pierwszy...”, a potem wzdychały. Prych na nie kichał i kich prychał, moi drodzy. Nam te numerki na nic. Wiemy, że pochodzi ze znamienitej rodziny. Wiemy też, że biedak ma wrodzony talent do pakowania się w tarapaty.

Bo czemu by nie?

Przecież w swoim czasie miał odziedziczyć Stanicę Zagłady.

A potem zaczyna działać. Zraża do siebie całą masę ludzi. Ka-Mell, najpiękniejszą z ziemskich towarków. Jean-Jacques'a Vomacta, którego ród jest starszy chyba od całej ludzkiej rasy. Szalonego starca z Adaminabay. Tresowane pająki z Ziemioportu. Podkomisarza Herbaciarza. Lorda Żestokosta, którego nazwisko to cała stronica historii. Przyjaciół O-Telekelego, tę osobliwą gromadkę. Be-Danka z krowiej policji. Kotmistrza. Tostiga Amarala, o którym im mniej się mówi, tym lepiej. Ruth, w zalotach. Ka-Mell, w locie, lady Johanę, ze śmiechem.

I uchodzi mu to na sucho.

Uszło mu na sucho. Widzicie, taka to historia. Już nie musicie jej czytać.

Ale nie znacie szczegółów.

Zaraz będą.

(Oprócz tego kupił cały milion kobiet, a to dla jednego chłopaka o wiele za dużo, by znaleźć dla nich praktyczne zastosowanie, nie jest jednak do końca pewne, drodzy Czytelnicy, że dowiecie się, co z nimi zrobił).

## U BRAM OGRODU ŚMIERCI

Rod McBan przeżywał właśnie najważniejszy dzień w życiu. Wiedział, co go czeka, ale nie potrafił się naprawdę tym przejąć. Zastanawiał się, czy czasem nie uspokoił go dawką na wpół przedestylowanego strunu, produktu tak rzadkiego i drogocennego, że nigdy, przenigdy nie sprzedawano go poza planetą.

Wiedział, że do zachodu słońca albo zachichocze się i zaślini na śmierć w którejś z Komnat Śmierci, gdzie likwiduje się osobników niezdatnych do życia, żeby nie psuli ludzkiej rasy, albo stanie się właścicielem najstarszego majątku na planecie i głównym spadkobiercą Stanicy Zagłady. Farmę uratował jego pra<sup>32</sup>dziadek, który kupił sobie asteroidę, rozbił ją na własnym polu, nie bacząc na gwałtowne sprzeciwy sąsiadów, a potem nauczył się robić sprytne numery ze studniami artezyjskimi, dzięki którym u niego trawa rosła, a pola sąsiadów zmieniały się z szarego błękitu w sypki pył. McBanowie zachowali nadaną wówczas farmie sarkastyczną nazwę Stanicy Zagłady. Do wieczora, jak wiedział Rod, Stanica będzie jego własnością. Albo będzie umierał, zaśmiewał się na śmierć w morderczym pomieszczeniu, gdzie ludzie, umierając, chichoczą, szczerzą zęby i tarzają się ze śmiechu.

Stwierdził, że nuci sobie fragment wierszyka, należącego od zawsze do tradycji Starej Australii Północnej:

*Zabijamy, by żyć, by rosnąć – umieramy.*

*Tak już ten świat urządzony mamy!*

Wbito mu do głowy, że jego świat jest bardzo szczególnym światem, budzącym zawiść, miłość, nienawiść i lęk w całej galaktyce. Wiedział też, że należy do bardzo szczególnego ludu. Inne rasy uprawiały zboża, hodowały zwierzęta, konstruowały maszyny, wytwarzały broń. Norstrilijczycy nic takiego nie robili. Ich suche pola, nieliczne studnie i olbrzymie chore owce rodziły czystą nieśmiertelność.

A tę sprzedawano bardzo, bardzo drogo. Rod McBan wyszedł parę kroków na podwórze. Za sobą miał dom – chatę z bali zbudowaną z belek Daimonich – belek, których nie dało się ciąć ani w żaden sposób obrabiać, solidnych jak wcielenie solidności. Kupiono je jako komplet jakieś trzydzieści parę skoków planetarnych stąd i przewieziono na Starą Australię Północną na żaglach świetlnych. Dom był więc twierdzą, która była w stanie znieść nawet ciężką broń; nie zmieniało to jednak faktu, że był prostą chatą z bali, spartańską w środku i z klepiskiem od frontu. Ostatnie czerwone promienie świtu już bieleły – zaczynał się dzień. Rod wiedział, że nie wolno mu daleko odchodzić. Słyszał już dobiegające zza domu głosy kobiet, krewniaczek, które przyszły ostrzec go i oporządzić na dzień triumfu – lub przeciwnie, klęski.

Nie miały pojęcia, co on wie i ile. Wiedziały o jego przypadłości i od lat myślały ponad jego głową, licząc, że telepatyczna głuchota nigdy nie ustaje. Problem polegał na tym, że tak nie było: bardzo często słyszał słowa, które nie były dla niego przeznaczone. Zapamiętał nawet powtarzany przez nie krótki, smutny wierszyk o młodziakach, co z tego czy innego powodu nie przeszli próby i musieli pójść do Domu Umierania, zamiast stać się pełnoprawnymi obywatelami Norstrilii i szanowanymi poddanymi Jej Wysokości Królowej. (Norstrilijczycy od jakichś piętnastu tysięcy lat nie widzieli na oczy żadnej królowej, za to bardzo byli oddani tradycji i nie pozwalali wchodzić sobie w drogę jakimś tam faktom). Jak to leciał ten wierszyk... „Oto jest dom”? Na swój ponury sposób całkiem radosny. Stał z ziemi ślad własnej stopy i nagle przypomniał sobie całość. Wyrecytował go po cichu.



*Oto jest dom, co od niepamiętnych czasów stoi,  
Gdzie starcy niestrudzenie jęczą w korytarzach,  
Gdzie upływanie czasu rzeczywiście boli,  
A to, co raz poznane, wiecznie się powtarza.  
Hen do Ogrodu Śmierci poszli zeń młodzieńcy,  
Bohaterskiego strachu tam zakosztowali,  
Po czym uciekli, albowiem wygrawszy przegrali,  
Mocnym ramieniem i językiem ciętym.  
Oto jest dom, co od niepamiętnych czasów stoi,  
Ci, co młodo pomarli, wstępu doń nie mają,  
Ci zaś, co przeżyli, piekła bliskość znają,  
Tak udręczeni starcy każą słowem swoim.  
I cierpiąc wiecznie w Śmiertelnym Ogrodzie,  
Z podziwem spoglądają na odważną młodzież.*

Można sobie mówić, że patrzą z podziwem na odważną młodzież, ale w życiu nie spotkał osoby, która nie wolałaby życia od śmierci. Choć słyszało się także – oczywiście, że tak – o ludziach, którzy wybrali śmierć. Któż nie słyszał. Jednak te relacje zawsze były z trzeciej ręki, czwartej czy piątej.

Wiedział, że niektórzy mówią o nim, że lepiej, by nie żył, tylko dlatego, że nigdy nie nauczył się porozumiewać telepatycznie i musiał się posługiwać staroświeckim słowem mówionym, jak pozaświatowcy i barbarzyńcy.

On sam zdecydowanie nie uważał, że lepiej byłoby nie żyć.

Przeciwnie – zdarzało mu się patrzeć na normalnych ludzi i zachodzić w głowę, jak są w stanie żyć normalnie, mając w głowie nieustającą głupkowatą myślową paplaninę innych ludzi. Czasami umysł otwierał mu się – przez chwilę słyszał i wiedział, że trajkocą mu w głowie setki czy tysiące umysłów; słyszał nawet te, które, zdaje się, miały włączone telepatyczne osłony. Jednakże po krótkiej chwili znów opadała na niego litościwa chmura niepełnosprawności i mógł się z powrotem cieszyć

jedyną w swoim rodzaju intymnością, której powinni mu zazdrościć wszyscy mieszkańcy Starej Australii Północnej

Komputer powiedział mu kiedyś:

– Słowa „syłyścić” i „młówić” są zniekształconymi odpowiednikami „słyścić” i „młówić”. Mówiąc na głos, zawsze wymawia się je w drugim wznoszącym tonie, jakby zadawało się pytanie z rozbawieniem lub zaniepokojeniem. Odnoszą się wyłącznie do komunikacji telepatycznej, pomiędzy ludźmi albo ludźmi i podludźmi.

– A co to „podludzie”? – zapytał wtedy.

– Zwierzęta, które zmieniono tak, żeby mogły mówić, rozumieć mowę. Przeważnie wyglądają jak ludzie. Różnią się od mózgowcentrycznych robotów, które są oparte na prawdziwym zwierzęcym mózgu, ale oprócz tego są mechaniczne i elektroniczne. Natomiast podludzie składają się wyłącznie z ziemskiej żywej tkanki.

– A czemu nigdy czegoś takiego nie widziałem?

– Na Norstrilii są niedozwolone, z wyjątkiem służby w instytucjach obronnych Wspólnoty Narodów.

– A czemu my się nazywamy Wspólnotą Narodów, skoro wszystko inne nazywa się „światami” albo „planetami”?

– Bo twój lud to poddani królowej brytyjskiej.

– A kto to jest „królowa brytyjska”?

– Rządziła Ziemią w Bardzo Dawnych Czasach, ponad piętnaście tysięcy lat temu.

– A gdzie ona teraz jest?

– Mówiłem – odparł komputer – to było piętnaście tysięcy lat temu.

– No wiem – drążył dalej Rod – więc skoro od piętnastu tysięcy lat nie ma żadnej „królowej brytyjskiej”, to jak możemy być jej poddanymi?

– Umiem odpowiedzieć ludzkimi słowami – odpowiedziała życzliwa czerwona machina – według mnie jednak ta odpowiedź nie ma żadnego sensu. Zatem zacytuję ci dosłownie to, co mi powiedziano. „A co, jeśli się tu jednak kiedyś zjawi? Kto wie? To jest Stara Australia Północna wśród gwiazd i stać nas, choroba, na to, żeby trochę sobie poczekać na własną królową. Może akurat była w rozjazdach, kiedy na Starej Ziemi wszystko

się skiepsciło?”. – Komputer cmoknął parę razy, udawanym starożytnym głosem, po czym wrócił do swego normalnego beznamiętnego tonu. – Mógłbyś mi to streścić własnymi słowami, żebym to sobie wprogramował do pamięci?

– Też za bardzo tego nie rozumiem. Przy następnej okazji, gdy będę syłyseć, spróbuję wyczytać, co inni mają w głowach na ten temat.

Było to ponad rok temu i Rod jak dotąd nie natrafił na odpowiedź.

Poprzedniego wieczoru zadał komputerowi bardziej naglące pytanie:

– Czy ja jutro umrę?

– Pytanie pozbawione sensu. Brak dostępnej odpowiedzi.

– Komputer! – krzyknął. – Wiesz, że cię kocham.

– Tak twierdzisz.

– To ja uruchomiłem twój historyczny moduł, kiedy cię naprawiłem.

Wcześniej ta część leżała bezmyślnie od setek lat.

– Prawda.

– To ja wczółgałem się do tej groty i znalazłem osobiste sterowanie, które zostawił tu mój pra<sup>14</sup>dziadek, kiedy uznano je za przestarzałe.

– Prawda.

– Jutro umrę, a tobie nawet nie będzie przykro.

– Tego nie powiedziałem – odrzekł komputer.

– Nie przejmujesz się tym?

– Nie wprogramowano mi emocji. Rod, przecież to ty mnie naprawiałeś. Powinieneś dobrze wiedzieć, że jestem jedynym działającym stuprocentowo mechanicznym komputerem w tej części galaktyki. Jestem przekonany, że gdybym miał emocje, byłoby mi naprawdę bardzo przykro. Prawdopodobieństwo jest bardzo duże, jesteś bowiem moim jedynym towarzyszem. Jednak nie dysponuję emocjami. Znam liczby, fakty, język, mam pamięć – i to wszystko.

– To jakie jest prawdopodobieństwo, że jutro zginę w Komnacie Chichotów?

– To nie jest poprawna nazwa. Nazywa się Dom Umierania.

– No dobra, niech sobie będzie Dom Umierania.

– Sąd, któremu cię poddadzą, jest zależny od współczesnych istot ludzkich i oparty na emocjach. A skoro nie znam biorących w tym udział osobników, nie potrafię oszacować żadnego prawdopodobieństwa.

– A jak myślisz, komputerze, co się ze mną stanie?

– Ja zasadniczo nie myślę. Ja reaguję, odpowiadam. Nie mam żadnych danych na ten temat.

– A wiesz coś w ogóle o moim życiu i jutrzejszej śmierci? Wiem, że nie potrafię mówić umysłem, ale muszę wydawać dźwięki ustami. Czemu mieliby mnie za to zabić?

– Nie znam biorących w tym udział osobników, nie znam zatem motywów – odpowiedział komputer – znam natomiast historię Starej Australii Północnej aż do czasów twojego pra<sup>14</sup>dziadka.

– To opowiedz mi ją – powiedział wówczas Rod.

Przysiadł w grocie, którą odkrył, słuchając elementów komputerowych, które sam był naprawił, i wysłuchał po raz kolejny historii Starej Australii Północnej tak jak ją pojmował jego pra<sup>14</sup>dziadek. Jeśli pozbawić ją konkretnych nazwisk i dat, jest to bardzo prosta historia.

A tego ranka zależało od niej jego życie.

Norstrilia musiała przerzedzać swoją ludność, jeśli chciała zachować staro-staroziemski charakter i pozostać kolejną Australią, tyle że wśród gwiazd. Inaczej pola by się zapełniły, pustynie zarosły blokami mieszkalnymi, a owce wyzdychałyby w piwnicach pod nieskończonymi, zatłoczonymi budami dla niepotrzebnych ludzi. Żaden Staropółnocnoaustralijczyk by tego nie chciał – zależało mu na zachowaniu charakteru, nieśmiertelności i bogactwa – w tej dokładnie kolejności. Byłoby to wbrew norstrilijskiej naturze.

Prosta natura Norstrilii miała być niezmienna – bardziej niezmienna niż cokolwiek pod gwiazdami. Owa pradawna Wspólnota Narodów była jedyną instytucją ludzkości starszą niż Instrumentalność.

Historia, w klarownym ujęciu umysłu komputera, też była prosta.

Bierzemy rolniczą kulturę prosto ze Starej Starej Ziemi, Kulebki Ludzkości.

Przewozimy ją na daleką planetę.

Dajemy prosperity i prześladowujemy suszą.

Uczymy chorób, kalectw, zuchwalstwa. Zmuszamy, żeby zaznali nędzy tak okropnej, że ludzie sprzedają jedno dziecko, żeby zapewnić drugiemu kapkę wody na przetrwanie kolejnego dnia, podczas gdy świdry wwiercają się głęboko w suchą skałę w poszukiwaniu choć odrobiny wilgoci.

Uczymy tę kulturę oszczędności, medycyny, nauki, cierpienia i umiejętności przetrwania.

Dajemy lekcje biedy, wojny, krzywd, chciwości, wielkoduszności, pobożności, nadziei i rozpacz. Na zmianę.

Niech kultura przetrwa.

Niech przeżyje choroby, kalectwa, desperację, osamotnienie, porzucenie.

A potem obdarzamy ich najszcześniejszym trafem w historii.

Niech choroba owiec zrodzi nieskończone bogactwo, santaclarę, zwaną też strunem, potrafiącą w nieskończoność przedłużać ludzkie życie.

I przedłuża je – choć powodując dziwaczne skutki uboczne, tak że większość Norstrilijczyków wołała umrzeć po mniej więcej tysiącu lat.

To odkrycie zatrzęsło całą Norstrilią.

Jak i każdym zamieszkanym światem.

Leku nie dało się jednak zsyntetyzować, naśladować, skopiować. Dawał się uzyskać wyłącznie z chorych owiec na stepach Starej Australii Północnej.

Rabusie i inne rządy próbowały go wykraść. Od czasu do czasu im się udawało – dawno temu, bo od czasów pra<sup>19</sup>dziadka Roda nie zdarzyło się to ani razu.

Próbowali ukraść chore owce.

Zabrali kilka z powierzchni planety (IV bitwa pod New Alice, w której zginęła połowa mężczyzn Norstrilii, pokonując Jasne Imperium, skończyła się utratą dwóch owiec – samca i samicy. Jasne Imperium myślało, że zwyciężyło. Wcale nie. Owce wyzdrowiały, porodziły zdrowe jagnięta, nie dały już ani grama strunu i zdechły. Jasne Imperium zapłaciło czterema

flotami wojennymi za chłodnię pełną baraniny). Norstrilia zachowała swój monopol.

Norstrilijczycy zaczęli regularnie eksportować santaclarę.

Osiągnęli niemal nieskończone bogactwo.

Nawet najbiedniejszy człowiek z Norstrilii był bogatszy od największego bogacza skądinąd, wliczając w to cesarzy i zdobywców. Każdy parobek na farmie zarabiał co najmniej sto ziemskich kredytów dziennie – licząc w prawdziwych staroziemskich pieniądzach, nie w papierkach, których kurs wymiany był paskarski.

Jednakże Norstrilijczycy podjęli decyzję. Decyzję, by...

Pozostać sobą.

Zdławili się podatkami tak, by zachować prostotę życia.

Na luksusowe dobra nałożono podatek w wysokości dwudziestu milionów procent. Za cenę pięćdziesięciu pałaców na Olimpii na Norstrilię można było wwieźć chusteczkę do nosa. Para butów na powierzchni kosztowała tyle, co sto jachtów na orbicie. Zakazane były wszelkie maszyny, z wyjątkiem służących do celów obronnych i do zbierania strunu. Nigdy też nie wyprodukowano na Norstrilii podludzi, a wolno ich było importować tylko resortowi obrony, do ściśle tajnych celów. Stara Północna Australia pozostała prosta, pionierska, sroga i otwarta.

Wiele rodzin wyemigrowało, żeby cieszyć się swoim bogactwem. Nie wolno im było wrócić.

Problem populacyjny pozostał, mimo opodatkowania, wymuszonej prostoty i ciężkiej pracy.

Zatem – selekcja. Jeśli to konieczne – selekcja.

Ale kogo, gdzie i kiedy? Kontrola urodzin – nieludzka. Sterylizacja – nieludzka, niegodna, niebrytyjska. (To ostatnie, starożytne słowo oznaczało: „zaiste, bardzo niedobra”).

A zatem – rodzinami. Niech rodziny rodzą dzieci. Niech Wspólnota Narodów testuje ich w wieku szesnastu lat. Jeśli są poniżej normy, posyła się ich na przyjemną, przyjemną śmierć.

Ale co z rodzinami, z rodami? Nie można, ot tak, likwidować rodów, nie w konserwatywnym agrarnym społeczeństwie, gdzie za sąsiadów masz

ludzi, którzy od setek pokoleń walczyli i ginęli ramię w ramię z tobą. Tak zrodziła się Reguła Wyjątków. Każdy ród, który miał tylko jednego żyjącego dziedzica, mógł go ponownie przetworzyć – maksymalnie cztery razy. Jeśli i tak nie przeszedł próby, szedł do Domu Umierania, a nazwisko i majątek dziedziczył wyznaczony przez władze członek innej rodziny.

Inaczej przeżywaliby i rozmnażałoby się dalej, w tym stuleciu dziesiąciu, w kolejnym dwudziestu. I niebawem Norstrilia rozpadłaby się na dwie klasy, ludzi porządných, sprawnych, oraz uprzywilejowaną kastę dziedzicznych dziwadł. I nie wytrzymałaby tego: cały kosmos wokół ział niebezpieczeństwem, a ludzie z setek światów marzyli i ginęli, kombinując, jak okraść ich ze strunu. Musieli być wojownikami, świadomie decydując się nie zostawać żołnierzami ani cesarzami. Musieli zatem być sprawni, czujni, zdrowi, inteligentni, prostolinijni i moralni. Musieli być lepsi niż dowolny wróg i dowolna możliwa kombinacja wrogów.

I to się udało.

Stara Australia Północna stała się najtwardszym, najbystrzejszym i najprostszym światem w galaktyce. Norstrilijczycy mogli w pojedynkę, bez broni, jeździć po innych światach i zabijać wszystko, co ich atakowało. Bały się ich rządy. A zwykli ludzie nienawidzili ich lub oddawali im cześć. Pozaświatowcy zerkali dziwnie na ich kobiety. Instrumentalność zostawiała w spokoju, lub chroniła, dbając, żeby nie dowiedzieli się, że są chronieni. (Tak jak w przypadku Raumsoga, który skazał cały swój świat na śmierć od nowotworów i wulkanów, bo Złoty Statek raz uderzył). Norstrilijskie matki nauczyły się nie ronić choćby łzy, gdy ich dzieci nie przechodziły próby i od razu, naszprycowane narkotykami, udawały się, zaślinione, z chichotem, na śmierć.

Kosmos wokół Norstrilii był aż lepki, aż iskrzył od licznych środków obronnych. Wielcy, wysportowani, ogorzali mężczyźni żeglowali małymi bojowymi pojazdami wzdłuż podejść do Starej Australii Północnej. Inni ludzie, spotykając ich w pozaplanetarnych portach, mieli ich za prostaczków – to była jednak pułapka i ułuda. Norstrilijczycy,

wyszkoleni przez tysiące lat nieprovokowanych ataków, wyglądali na prostych jak owce, umysły mieli jednak przebiegłe jak węże.

Aż tu nagle – Rod McBan.

Ostatni dziedzic, najostatniejszy z najdumniejszego, pradawnego rodu okazał się na wpół dziwadłem. Według ziemskich norm byłby całkiem normalny, natomiast podług norstrilijskich – nie. Był bardzo, bardzo kiepskim telepatą. Nie można było polegać na jego syłuchu. Przeważnie ludzie w ogóle nie byli w stanie przebić się do jego umysłu – ani go rozczytać. Odbierali tylko ogniste bąble i mętną pianę pozbawionych znaczenia subsemów, nic niemówiących strzępów myśli. A co do mówienia, było jeszcze gorzej. W ogóle nie potrafił odzywać się telepatycznie. Od czasu do czasu coś nadawał. Wtedy sąsiedzi chowali się po piwnicach. Jeśli to była złość, przekłęty wrzask niemal pozbawiał ich świadomości, nasycony furią namacalną i krwistą niczym wiszące w rzeźni mięso. Jeśli był szczęśliwy, było jeszcze gorzej. Szczęście, które emitował, nic o tym nie wiedząc, rozkojarzało ludzi niczym piła tarczowa wgrzyzająca się w pełną diamentów skałę. Budziło u nich najpierw przyjemność, a potem ostry dyskomfort, kończący się chęcią wybicia sobie wszystkich zębów, zmienianych w burzliwe wiry ostrego bólu. Nie znali jednak jego największej tajemnicy.

Podjeżdżali, że od czasu do czasu, w niekontrolowany sposób, potrafi syłuszyć. Nie wiedzieli jednak, że kiedy syłuszy, syłuszy wszystko na wiele kilometrów, z mikroskopową szczegółowością i teleskopowym zasięgiem. Ten odbiór, jeśli już działał, przebijał bez problemu osłony telepatyczne innych ludzi, jakby w ogóle nie istniały. (Gdyby niektóre z kobiet w gospodarstwach wokół Stanicy Zagłady wiedziały, że zdarzało mu się zaglądać im do głowy, czerwieniłyby się do końca życia). Wskutek tego Rod McBan zgromadził przerażającą górę chaotycznej wiedzy, której fragmenty do siebie nie przystawały.

Poprzednie komisje ani nie przyznały mu Stanicy Zagłady, ani nie wysłały go na rozchichotaną śmierć. Doceniły inteligencję, szybki refleks, ogromną siłę fizyczną. Niepokoili się jednak niepełnosprawnością w kwestii telepatii. Trzy razy go już osądzano. Trzy razy. I trzy razy



zawieszano wyrok. Trzy razy wybierano mniejsze zło i skazywano go nie na śmierć, lecz na nowe dzieciństwo i nowe podejście, z nadzieją że telepatyczne zdolności mózgu w naturalny sposób dorównają norstrilijskiej średniej.

Nie doceniali go.

On wszystko wiedział.

Dzięki owemu podsłuchiowaniu, którego nie kontrolował, rozumiał fragmentarycznie, co się dzieje, mimo że nikt nigdy nie wyjaśnił mu racjonalnie, na czym cały ten proces polega.

Był smutnym, choć spokojnym, wielkim chłopakiem, który po raz ostatni bez sensu dźgnął butem ziemię własnego podwórza, zawrócił do domu, wyszedł tylnymi drzwiami i przywitał swoje krewne odpowiednio serdecznie, podczas gdy one, ukrywając ból w sercu, przygotowywały się, by wystroić go na proces. Nie chciały, żeby dzieciak się denerwował, choć dzieciak był postury dorosłego mężczyzny i opanowania też wykazywał więcej od niektórych dorosłych. Chciały ukryć przed nim nieprzyjemną prawdę. Czyż można je winić?

On jednak wiedział. Ale udawał, że nie wie.

Dość serdecznym tonem, z nutką strachu, acz niezbyt wyraźną, powiedział:

– Dzień dobry, ciociu, witam, kuzynko. Dzień dobry, Maribel. Przychodzi twoja owca. Wyczesz ją i wyszykuj do konkursu. Włóżcie mi kółko w nos czy zawiążecie kokardkę na szyi?

Jedna czy dwie co młodsze zaśmiały się, lecz najstarsza „ciotka” – a dokładniej, kuzynka w czwartej linii, wżeniona w inną rodzinę – spokojnie i poważnie pokazała stojące na podwórzu krzesło i powiedziała:

– Rodericku, siadaj, proszę. To poważna sprawa, a w trakcie przygotowań przeważnie się nie rozmawia. – Zagryzła dolną wargę, po czym dodała, jakby nie chcąc go straszyć, ale zrobić na nim wrażenie: – Dziś zjawi się tutaj wiceprzewodniczący.

(„Wiceprzewodniczący” był szefem rządu. Od paru tysięcy lat nie było przewodniczącego Tymczasowej Wspólnoty Narodów. Norstrilijczycy nie lubili zadęcia i uważali, że wiceprzewodniczący to i tak wystarczające

stanowisko na zwieńczenie kariery. Poza tym dawało to do myślenia pozaświatowcom).

Rodowi to nie zaimponowało. Widział go już. W jednej z rzadkich chwil szerokopasmowego syłszczenia przekonał się, że mózg wiceprzewodniczącego jest pełen liczb i koni, siedzą w nim wyniki wszystkich wyścigów konnych z ostatnich trzystu dwudziestu lat oraz prognozy wyników sześciu najważniejszych z nich na najbliższe dwa lata.

– Wiem, ciociu – powiedział.

– Lepiej, żebyś dzisiaj cały czas tak nie rżał. Do takich drobiazgów jak potakiwanie nie musisz używać głosu. Kiwnij głową i tyle. Zrobisz o wiele lepsze wrażenie.

Już miał odpowiedzieć, ale przełknął ślinę i kiwnął głową.

Wsunęła grzebień w jego gęste jasne włosy. Inna kobieta, dziewczyna niemal, przyniosła stolik i miskę. Widział po jej minie, że mówi do niego, lecz to była jedna z tych chwil, gdy nie syłszczał nic a nic. Gdy dziewczyna wzięła go za rękę, ciotka wyjątkowo mocno szarpnęła go za włosy. Nie wiedział, o co jej chodziło. Cofnął rękę.

Miska spadła ze stolika. Dopiero wtedy dotarło do niego, że to była tylko woda z mydłem do manikiuru.

– Przepraszam – powiedział; nawet dla niego zabrzmiało to jak rzenie. Przez chwilę poczuł palące upokorzenie i pogardę dla samego siebie.

Powinni mnie zabić... – pomyślał. Zanim zajdzie słońce, będę w Komnacie Chichotów, będę się śmiać i śmiać, aż od tych środków ugotuje mi się mózg.

Upomniał sam siebie.

Kobiety nie powiedziały nic. Ciotka poszła po szampon, dziewczyna wróciła z dzbankiem, żeby napełnić miskę.

Spojrzał jej prosto w oczy, odpowiedziała tym samym.

– Ja chcę ciebie – powiedziała, bardzo cicho, bardzo wyraźnie, z uśmiechem, który wydał mu się niewytłumaczalny.

– Do czego? – zapytał równie cicho.

– Do niczego – odparła. – Dla siebie. Będziesz żył.

– Jesteś Lavinia, moja kuzynka – powiedział, jakby to pierwszy raz zauważył.

– Pssst – powiedziała. – Wraca.

Gdy zabrała się za porządne czyszczenie mu paznokci, a ciotka wtarła mu we włosy coś przypominającego maść dezynfekcyjną dla owiec, Rod poczuł zadowolenie. Jego nastrój zmienił się z obojętności, którą odgrywał sam przed sobą, w autentyczną obojętność wobec przyszłości, gładkie pogodzenie się z szarym niebem na górze i burą, pofałdowaną ziemią w dole. Czuł strach – malutki, drobny straszek, tak mały, że mógł uchodzić za miniaturowe zwierzątko domowe w klateczce – krążący gdzieś w głębi myśli. To nie był strach przed śmiercią: z nią już się pogodził, pamiętając, że przed nim wielu innych ludzi musiało stawić czoło temu przeznaczeniu. Lękał się czegoś innego – że jeśli każą mu umrzeć, nie będzie umiał zachować się należycie.

Ale przecież, pomyślał, nie będzie już się czym przejmować. Wyrok negatywny nie jest wygłaszany słowami, robią po prostu zastrzyk – ofiara poznaje to dopiero po wszechogarniającej radości i ekscytacji.

Kiedy tym dziwnym sposobem osiągnął spokój umysłu, nagle wrócił do niego syłuch.

Nie widział Ogrodu Śmierci, ale mógł zajrzeć do doglądających go umysłów – był to wielki furgon ukryty tuż za najbliższymi wzgórzami, tam, gdzie trzymali Starego Billy'ego, owcę o masie tysiąca ośmiuset ton. Słyszał trajkotanie głosów w małym miasteczku osiemnaście kilometrów dalej. I widział, co kryje się w mózgu Lavinii.

Widział obraz samego siebie. Ale co za obraz! Taki dorosły, taki przystojny, taki dzielny. Nauczył się nie poruszać, kiedy syłszy, żeby inni ludzie nie domyślali się, że wrócił do niego ten sporadyczny telepatyczny dar.

Ciotka mówiła do Lavinii, bez hałaśliwych słów:

– Dzisiaj ten śliczny chłopak wyląduje w trumnie.

Lavinia odmyślała natychmiast:

– Nieprawda.

Rod siedział nieporuszony w krześle. Dwie kobiety z zaciętymi minami zaczęły się w milczeniu kłócić.

– Co ty możesz wiedzieć, taka młoda? – płowiedziała ciotka.

– Ma najstarszą stanicę w całej Australii Północnej. Jeden z najstarszych rodów. Jest... – nawet telepatycznie jej myśli zmały się, jakby się jąkała – ...bardzo miły, ładny i będzie z niego wspaniały mężczyzna.

– Zapamiętaj, co mówię – odezwała się myślą ciotka. – A mówię, że dziś jeszcze zobaczymy go w trumnie, a o północy już będzie w niej jechać do Długiego Wyjścia.

Lavinia zerwała się na równe nogi. Omal nie przewróciła miski po raz drugi. Poruszyła krtanią i ustami, żeby wydobyć słowa, ale wychrypiła tylko:

– Przepraszam, Rod, przepraszam.

Rod McBan, niczego nie zdradzając miną, kiwnął głupkowato głową, jakby nie miał pojęcia, co do siebie mówiły.

Ona zaś odwróciła się i uciekła, wykrzykując telepatycznie do ciotki:

– Znajdź kogoś innego, żeby mu zrobił paznokcie. Ty nie masz serca, beznadziejna jesteś. Znajdź sobie kogoś innego do mycia trupa. Ja nie będę.

– Co się z nią stało? – odezwał się Rod do ciotki, jakby nic nie wiedział.

– Trudny moment i tyle. Trudny moment. Pewnie nerwy – odpowiedziała chrapliwą mową. Nie umiała zbyt dobrze mówić, bo cała jej rodzina i wszyscy przyjaciele mówili i słyszeli z wielką dyskrecją i gracją.

– Mówiliśmy sobie, co będziesz robić jutro.

– Ciociu, a kto to „ksiądz”? – zapytał Rod.

– Jak?

– Ksiądz, tak jak w tym starym wierszu, ze srogich, srogich czasów, zanim odkryliśmy tę planetę i osiedliliśmy się na niej z owcami. Wszyscy go znają:

*Oto miejsce, w którym ksiądz zwariował,  
A tam – moja matka zgorzała.*

*Nie pokażę domu, bo się schował,  
Gdy się pod nim góra wypiętrzała.*

– Dalej jest coś jeszcze, ale tylko tyle pamiętam. „Ksiądz” to jakiś specjalista od umierania? Mamy tutaj kogoś takiego?

Kiedy go okłamywała, obserwował jej umysł. Mówiąc, miała w głowie idealnie wyraźny obraz jednego z dalszych sąsiadów, człowieka nazwiskiem Tolliver, który był bardzo delikatny w obejściu; lecz jej słowa w ogóle Tollivera nie dotyczyły.

– Niektóre sprawy to domena mężczyzn – zakrakała. – A w ogóle to ta piosenka nie jest o Norstrilii, to o Raju VII i o tym, dlaczego się z niego wynieśliśmy. Nie wiedziałam, że ją znasz.

W jej umyśle wyczytał:

– Ten chłopak za dużo wie.

– Dziękuję, ciociu – powiedział grzecznie.

– Chodź się opłukać – powiedziała. – Strasznie dużo porządnej wody dziś na ciebie zużywamy.

Poszedł za nią i pomyślał o niej czulej, gdy zauważył, że myśli: Lavinia czuła dobrze, ale zły wniosek wyciągnęła. On dzisiaj umrze.

To już było za wiele.

Rod zawahał się, uzgadniając akordy swojego dziwnie nastrojonego mózgu. Po czym wydał z siebie rozgłośny telepatyczny okrzyk radości, po prostu, żeby ich wszystkich zdenerwować. Udało się. Stanęli jak wryci. Potem wytrzeszczyli na niego oczy.

Ciotka zapytała, słowami:

– Co to było?

– Ale co? – odezwał się niewinnie.

– Ten hałas, który wydałeś. Nie było w nim sensu.

– A, chyba tak mi się kichnęło, czy coś. Nie wiem, jak to zrobiłem. – W głębi duszy zachichotał. Może i trafi do Domu Buu-buu, ale po drodze jeszcze się z nimi podrażni.

Bardzo głupi sposób na śmierć, pomyślał tylko do siebie.

A potem w głowie pojawiła się bardzo dziwna, bardzo szalona i przyjemna myśl:

A może nie będą mogli mnie zabić? Może mam jakieś moce? Własne, swoiste moce? No cóż, niedługo się okaże.

## PROCES

Rod przeszedł przez suchy plac, wszedł po trzech stopniach składanych schodków, które opuściły się z burty naczepy wielkiej ciężarówki, zapukał raz do drzwi, tak jak go uczono, poczuł na twarzy błysk zielonego światła, otworzył drzwi i wszedł.

W środku był ogród.

Wilgotne, słodkie, ciężkie od zapachów powietrze było niczym narkotyk. Wszędzie pleniły się soczyscie zielone rośliny. Światło było jasne, ale nie jaskrawe – sufit jarzył się przenikliwym, intensywnym błękitem nieba. Rozejrzał się wokół. Była to kopia Starej Starej Ziemi. Narośle na zielonych roślinach to „róże” – przypomniał sobie z obrazów pokazywanych przez komputer. Obrazy nie przekazały jednak, że one nie tylko ładnie wyglądają, ale i pachną. Zastanawiał się, czy pachną przez cały czas, a potem przypomniał sobie o wilgotnym powietrzu – wilgoć zawsze lepiej trzyma zapachy niż suche powietrze. W końcu, z pewną nieśmiałością, podniósł wzrok na trójkę sędziów.

Z prawdziwym zdumieniem zauważył, że jeden z nich w ogóle nie jest Norstrilijczykiem, lecz miejscowym komisarzem Instrumentalności, lord Krasnadama, chudy mężczyzna o ostrych rysach i badawczym spojrzeniu. Dwójka pozostałych to Stary Taggart i John Beasley. Znał ich, choć niezbyt dobrze.

– Witamy – powiedział lord Krasnadama ze śmiesznym, śpiewnym akcentem kogoś pochodzącego z Kolebki Ludzkości.

– Dziękuję – odrzekł Rod.

– Czy jesteś Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan sto pięćdziesiąty pierwszy? – zapytał Taggart, doskonale wiedząc,

że tak.

Niech mnie kule biją, co za szczęście! – pomyślał Rod, odzyskałem słuch, i to tutaj!

– Tak – odparł lord Krasnadama.

I zapadła cisza.

Pozostałych dwóch sędziów spojrzano na człowieka z Kolebki; obcy spojrzano na Roda, Rod wytrzeszczył oczy i poczuł, że robi mu się trochę niedobrze.

Po raz pierwszy w życiu spotkał kogoś, kto potrafił przeniknąć jego osobliwe zdolności.

W końcu pomyślał:

– Rozumiem.

Lord Krasnadama spojrzano na niego ostro i niecierpliwie, jakby czekając na reakcję na to jedno słowo, „tak”.

Rod jednak już odpowiedział. Telepatycznie.

Wreszcie milczenie przerwał Stary Taggart.

– Nie będziesz mówić? Zapytałem, jak się nazywasz.

Lord Krasnadama uniósł dłoń w geście nakazującym cierpliwość; Rod nigdy takiego gestu nie widział, ale od razu go zrozumiał.

Pomyślał do Roda:

– Zaglądasz mi w myśli...

– Zaglądam – odmyślał Rod.

Lord Krasnadama klepnął się w czoło.

– To mnie boli. Myślisz, że coś mówiłeś?

Rod odrzekł, głosem:

– Mówiłem panu, że zaglądam panu w myśli.

Lord Krasnadama odwrócił się do dwóch pozostałych i powiedział:

– Czy któryś z was słyszał, co on mówił?

– Nie. – Nie – odmyśleli obaj. – Tylko hałas, straszny hałas.

– Czyli on nadaje szerokim pasmem, tak jak ja. A mnie za to zdegradowano. Czy wiecie, że jestem jedynym w historii lordem Instrumentalności zdegradowanym do komisarza...

– Tak – odpowiadali.



– Czy wiecie, że nie mogli mnie wyleczyć z tego krzyku i sugerowali, żeby mnie uśmiercić?

– Nie.

– Wiecie, że to Instrumentalność uznała, że wam to nie będzie przeszkadzało, i wysłali mnie tutaj, żebym pełnił te beznadziejne obowiązki, po prostu, żeby się mnie pozbyć?

– Tak – odpowiedzieli.

– No to co zamierzacie z nim zrobić? Na pewno go na nic nie nabierzecie. On już wszystko wie, o co tu chodzi. – Lord Krasnadama zerknął szybko, ze współczuciem na Roda, obdarzając go przelotnym uśmiechem pocieszenia. – Chcecie go zabić? Wygnać? Wypuścić?

Dwójka pozostałych biła się z myślami. Rod widział, że denerwowało ich, że może widzieć ich myśli, podczas gdy wcześniej mieli go za telepatycznie głuchoniemego; nie chcieli też zgodzić się, że Krasnadama tak obcesowo chce wymóc na nich decyzję. Rod prawie miał wrażenie, że pływa w gęstym, wilgotnym powietrzu, a zapach róż zaklejał mu nos tak dokładnie, że myślał, że już nigdy nie poczuje żadnego innego zapachu. Nagle dotarło do niego, że w pomieszczeniu znajduje się jeszcze jedna świadomość – piąta osoba, której dotąd w ogóle nie zauważył.

Był to ziemski żołnierz. W mundurze i w ogóle. Był przystojny, prosty jak struna i oficjalny w swoim wojskowym zachowaniu. Co więcej, nie był człowiekiem, a w lewej ręce miał dziwną broń.

– Kto to jest? – zapytał Rod telepatycznie Ziemianina.

Ten odczytał pytanie z jego twarzy, nie z myśli.

– Podczłowiek. Człowiek-wąż. Jedyny na całej planecie. Jeśli decyzja będzie negatywna, on cię stąd wyprowadzi.

Wtrącił się Beasley, niemal ze złością.

– Daj już spokój. To jest przesłuchanie, a nie jakaś przeklęta herbatka u cici. Nie nawijaj makaronu na uszy. Oficjalnie i tyle.

– Chcecie, żeby to było oficjalne przesłuchanie? – zapytał lord Krasnadama. – Oficjalne przesłuchanie kogoś, kto wie wszystko, co myślimy? Głupota.

– Na Starej Australii Północnej zawsze się urządza oficjalne przesłuchanie – powiedział stary Taggart.

Rod, z ostrością zmysłów zrodzoną z zagrożenia życia, po raz pierwszy widział Taggarta w całej okazałości – zatroskanego starego nieszczęśnika, od tysiąca lat trudzącego się na skromnej rodzinnej farmie; farmera, jak jego przodkowie; bogacza, ale tylko w kwestii milionów megakredytów, których nigdy nie wyda; człowieka ziemi, uczciwego, starannego, poważnego, prawego, i bardzo sprawiedliwego. Tacy ludzie nie tolerują żadnych innowacji. Walczą ze zmianami.

– Niech wam będzie – stwierdził lord Krasnadama. – Urządźcie sobie to przesłuchanie, skoro tak macie w zwyczaju, panie i posiadaczu Taggarcie, panie i posiadaczu Beasleyu.

Norstrilijczycy, udobruchani, skłonili zdawkowo głowami.

Beasley, jakby z nieśmiałością, spojrzął na lorda Krasnadamę:

– Panie komisarzu, czy wygłosi pan słowa? Tradycyjne, stare słowa. Te, które przypominają nam nasze obowiązki i pomagają je wypełnić.

(Rod dostrzegł w umyśle Krasnadamy chwilowy czerwony rozbłysk złości. Ziemijski komisarz pomyślał: po co tyle zamieszania, żeby zabić jednego biednego dzieciaka? Zabijcie go, stare, tępe, dziady, albo wypuście. Nie skierował tych myśli na zewnątrz, więc dwaj Norstrilijczycy nie mieli pojęcia, co o nich myśli).

Na zewnątrz pozostał spokojny. Użył głosu, jak było przyjęte na Norstrilii w wielce podniosłych chwilach.

– Zebraliśmy się tu, by wysłuchać człowieka.

– Zebraliśmy się, by go wysłuchać – odpowiedzieli.

– Nie naszym zadaniem osądzać go czy zabijać, choć może do tego dojść – powiedział.

– Choć może do tego dojść.

– A skąd, na Starej Starej Ziemi, przychodzi ów człowiek?

Odpowiedź znali na pamięć i odklepali ją teraz razem:

– Jako czyniliśmy na Starej Starej Ziemi, tak i czynić będziemy wśród gwiazd, choćby i na najdalszych rubieżach kosmosu, gdzie zapuszczają się ludzie.

– Nasiono zboża ukorzenia się w ciemnej, wilgotnej ziemi; nasiono człowieka w ciemnym, wilgotnym cieple. Nasiono pszenicy przebija się do słońca, powietrza i światła; źdźbło wyrasta, rozkwita i rodzi ziarno pod jasnym niebem. Nasiono człowieka wyrasta we własnym, słonym oceanie łona, w ciemności, która pozostaje w pamięci całej ludzkiej rasy. Plon zbóż zbierają ludzkie ręce. Plon ludzi zbiera dobroć wieczności.

– I co to oznacza? – wyskandował lord Krasnadama.

– Patrzec miłosiernie, wyrokować miłosiernie, zabijać miłosiernie, tylko po to, by czynić ludzki plon silnym, zdrowym i prawym, niczym pszenica, co dumnie i prosto stała na Starej Starej Ziemi.

– I kto przed nami stoi? – zapytał.

Obaj wyrecytowali pełne nazwisko Roda.

Kiedy skończyli, lord Krasnadama zwrócił się do Roda i powiedział:

– Zaraz wygłoszę wszystkie urzędowe formuły, zapewniam cię jednak, że niezależnie co się stanie, nie zostaniesz zaskoczony. A zatem zachowaj spokój. Absolutny spokój.

Rod podpatrywał umysły Ziemianina i dwóch Norstrilijczyków. Widział, że Beasley i Taggart są zdezorientowani całą ceremonią, tą wilgocią i zapachem w powietrzu, sztucznym niebieskim niebem na stropie furgonu; nie wiedzieli, co będą robić. Widział także ostrą, triumfalną myśl formującą się na dnie umysłu lorda Krasnadamy: „Ja go stąd wyciągnę!”. Omal się nie uśmiechnął, pomimo obecności człowieka-węża z jego martwym uśmiechem i nieruchomym, wbitym weń wzrokiem, stojącego ledwie trzy kroki z boku i nieco z tyłu, tak że mógł obserwować go tylko kącikiem oka.

– Panowie i posiadacze! – powiedział lord Krasnadama.

– Słuchamy, panie przewodniczący! – odpowiedzieli.

– Czy mam udzielić pouczenia stającemu przed sądem?

– Prosimy o udzielenie pouczenia! – wyskandowali.

– Rodericku Fredericku Ronaldzie Arnoldzie Williamie MacArthurze McBanie sto pięćdziesiąty pierwszy!

– Słucham, sir – powiedział Rod.

– Spadkobierco Stanicy Zagłady, obecnie w zarządzie powierniczym!

– We własnej osobie.

– Proszę o głos – rzekł lord Krasnadama.

– Udzielamy głosu! – odpowiedzieli dwaj pozostali.

– Nie stajesz tutaj, małoletni obywatelu Rodericku, abyśmy cię osądzili czy karali. Jeśli to okaże się konieczne, odbędzie się w innym miejscu i czasie, ręką ludzi innych niż my. Niniejsza komisja zajmuje się tylko jedną kwestią: należy czy nie należy pozwolić ci opuścić tę salę całym i zdrowym, nie biorąc pod uwagę twojej niewinności czy winy w innych sprawach, rozpatrywanych gdzie indziej, mając na względzie li tylko przetrwanie, bezpieczeństwo i dobrostan tej planety. Komisja nie karze i nie osądza, komisja jedynie podejmuje decyzję, a decyzja ta dotyczy twojego życia. Czy rozumiesz? Czy się zgadzasz?

Rod kiwnął głową, sycąc się wilgotnym, pachnącym różami powietrzem, łagodząc nagłe pragnienie wilgocią atmosfery. Jeśli pójdzie źle, nie będzie trzeba iść daleko. Niedaleko – nieruchomy człowiek-wąż stał tuż za nim. Spróbował wejrzeć mu do mózgu, ale nie odebrał nic. Nic – tylko nagły, niespodziewany błysk identyfikacji i obrony.

Lord Krasnadama mówił dalej, a Taggart i Beasley chłonęli jego słowa, jakby słyszeli je pierwszy raz w życiu.

– Małoletni obywatelu, znasz reguły. Nie ustalamy tu, czy postępowałeś źle, czy dobrze. Nie osądzamy tu żadnej przewiny i żadnego przestępstwa. Ani niewinności. Nasz sąd ma odpowiedzieć tylko na jedno pytanie. Czy powinieneś żyć. Rozumiesz? Czy się zgadzasz?

Rzekł Rod:

– Tak jest, sir.

– I jakie jest twoje stanowisko, małoletni obywatelu?

– Co to znaczy?

– Komisja cię pyta, jakie jest twoje zdanie. Powinieneś żyć czy nie powinieneś?

– Wolalbym żyć – powiedział Rod – ale dosyć mam już tych dzieciństw w kółko.

– Nie o to pyta cię komisja, małoletni obywatelu – rzekł lord Krasnadama. – Pytamy, co ty sądzisz. Powinieneś żyć czy nie powinieneś?

– Chcecie, żebym się sam osądził?

– Otóż to – wtrącił Beasley. – Znasz zasady. Powiedz im, chłopcze. Przekonywałem ich, że mogą na ciebie liczyć.

Znajoma twarz sąsiada, z jej ostrymi rysami, nagle stała się dla Roda niezmiernie ważna. Patrzył na Beasleya, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Ten człowiek będzie go osądzał, a on, Rod, ma mu pomóc podjąć tę trudną decyzję. Lekarstwo z rąk człowieka-węża i rozchichotana śmierć, albo wyjście na wolność. Zaczął mówić, ale urwał. Mówił w imieniu Starej Australii Północnej. A Stara Australia Północna to srogi świat, dumny z twardego charakteru swoich ludzi. Nic dziwnego, że komisja zmuszała go do trudnej decyzji. Wziął się w garść i przemówił jasno i z namysłem:

– Powiedziałbym: nie. Nie pozwólcie mi żyć. Nie pasuję. Nie potrafię mówić i syłyszeć. Nikt nie wie, jak byłoby z moimi potomkami, ale szanse przemawiają przeciwko nim. Oprócz jednej kwestii...

– Co to za kwestia, małoletni obywatelu? – zapytał lord Krasnadama, a Beasley i Taggart wpatrywali się w niego, jakby oglądali ostatnie pięć metrów wyścigu konnego.

– Słuchajcie mnie, proszę, uważnie, obywatele i członkowie komisji – ciągnął Rod, stwierdzając, że w tym otoczeniu wyjątkowo łatwo przychodzi mówienie z ceremonialnym namaszczeniem. – Popatrzcie na mnie uważnie i nie bierzcie pod uwagę mojego osobistego dobrostanu, albowiem zgodnie z prawem nie wolno wam tego osądzać. Popatrzcie na moje zdolności, na to, jak umiem syłyszeć, na wielką falę, jaką potrafię mówić. – Zebrał się w sobie do ostatniego manewru i wciąż przemawiając ustami, plunął w nich całą siłą swojego umysłu:

*gniew, gniew, krwawa furia,*

*krwawa, czerwona furia,*

*ogień,*

*hałas, smród, błysk, zgrzyt, kwas, nienawiść i nienawiść,*

*wszelkie niepokoje z nerwowego dnia,*

*szczeniaki, pisklaki, młode!*

Wszystko wylało się w jednej chwili. Lord Krasnadama zbladł i zacisnął usta, Stary Taggart zakrył twarz dłońmi, Beasley był oszołomiony i jakby go

mdliło. Po chwili, gdy do sali wrócił spokój, zaczęło mu się odbijać.

Lord Krasnadama zapytał lekko rozdygotanym głosem:

– I co to miało wykazać, małoletni obywatelu?

– Sir, czy u dorosłego nie mogłoby to być użyteczne jako broń?

Lord Krasnadama spojrział na dwóch pozostałych. Porozumiewali się drobnymi ruchami mimicznymi; jeśli przy tym coś mówili, Rod nie był w stanie tego odczytać. Wszystkie telepatyczne moce zużył na ten wybuch przed chwilą.

– Kontynuujmy – powiedział Taggart.

– Czy jesteś gotowy? – zapytał Roda lord Krasnadama.

– Jestem, sir – odparł Rod.

– Kontynuuję więc. Jeśli zgodnie rozumiemy twój casus, przejdziemy do podjęcia decyzji. A gdy tylko ją podejmiemy, niezwłocznie cię uśmiercimy, albo, równie niezwłocznie, wypuścimy na wolność. W tym drugim przypadku otrzymasz także od nas drobny, acz cenny dar, będący nagrodą za uprzejmość, jaką wykazałeś się wobec komisji, albowiem bez uprzejmości nie mogłoby się odbyć należyte przesłuchanie, bez przesłuchania nie zapadłaby sprawiedliwa decyzja, a bez sprawiedliwych decyzji na świecie nie byłoby ani sprawiedliwości, ani bezpieczeństwa przez długie lata. Czy rozumiesz? Czy się zgadzasz?

– Chyba tak – powiedział Rod.

– Czy naprawdę rozumiesz? Czy naprawdę się zgadzasz? Mowa tutaj o twoim życiu.

– Rozumiem i zgadzam się.

– Osłaniaj nas – rzekł Lord Krasnadama.

Rod już zaczął pytać „jak”, gdy zrozumiał, że polecenie w ogóle nie było skierowane do niego.

Człowiek-wąż ożywił się i oddychał ciężko. Odezwał się, wyraźnymi, starymi słowami, z dziwną, opadającą intonacją na każdej sylabie.

– Moc, milordzie? Wysoka czy absolutnie maksymalna?

W odpowiedzi lord Krasnadama wyprostował rękę, celując palcem wskazującym prosto w sufit. Człowiek-wąż zasyczał i zebrał emocje do ataku. Rod poczuł, że na całym ciele występuje mu gęsia skórka, potem – że

jeżą mu się włoski na karku, na koniec została tylko nieznośna czujność. Jeśli faktycznie człowiek-wąż otaczał furgon polem takich myśli, żaden przechodzień nie był w stanie podsłuchać narady nad decyzją. Odstraszyłyby go sama presja tych złowrogich myśli.

Trzej członkowie komisji splekli dłonie i sprawiali wrażenie, że zasypiają.

Lord Krasnadama otworzył oczy i nieznacznie pokręcił głową, dając tym dyskretny sygnał żołnierzowi.

Wężowa groźba zniknęła. Żołnierz wrócił do nieruchomej postawy, wpatrzony przed siebie. Członkowie komisji opuścili głowy na stół. Wyglądało, jakby nie byli w stanie mówić. Jakby brakowało im tchu. Wreszcie Taggart zebrał się, stanął i wysapał do Roda:

– Tam są drzwi, chłopcze. Idź. Jesteś obywatelem. Jesteś wolny.

Rod już zaczął mu dziękować, stary uniósł jednak prawą dłoń:

– Nie, nie dziękuj. Nasz obowiązek. Ale pamiętaj: nikomu ani słowa. Ani słowa, nikomu, o tym przesłuchaniu. Idź.

Rod rzucił się do drzwi, przeskoczył przez nie i znalazł się na własnym podwórzu. Wolny.

Przez chwilę stał oszołomiony.

Nad głową płynęło kochane, pochmurne, szarobure niebo Starej Australii Północnej; to nie było już dziwne światło ze Starej Ziemi, gdzie podobno niebo nieustająco lśniło błękitem. Kichnął: powietrze wysuszyło nawilżoną śluzówkę nosa. Zrobiło mu się zimno – wilgoć odparowała z ubrania; nie wiedział, czy to wilgoć z wnętrza furgonu, czy jego własny pot. Wokół była masa ludzi i dużo światła. Zapach róż wydawał się tak odległy, jakby pochodził z innego życia.

Tuż obok niego stała Lavinia. Szlochała. Już zaczął się do niej odwracać, gdy gremialne sapnięcie tłumu kazało mu się odwrócić.

Człowiek-wąż wyszedł z furgonu. (To tylko stary wóz teatralny, dotarło do niego w końcu, bywał w takim setki razy). Jego ziemski mundur wyglądał pośród zakurzonych kombinezonów mężczyzn i popelinowych sukien kobiet niczym szczyt bogactwa i dekadencji. A zielonkawa cera

wydawała się jasna w porównaniu z ogorzałymi twarzami norstrilijczyków. Zasalutował Rodowi.

Rod nie odpowiedział salutem. Gapił się tylko.

Może jednak zmienili zdanie i zaaplikują mu śmiertelną dawkę rozśmieszacza.

Żołnierz wyciągnął rękę. Miał w niej portfel, na oko ze skóry, pięknie wytłaczany, elegancki, wyraźnie pozaświatowej produkcji.

Rod wyjąkał:

– T-to... nie moje.

– To... nie... jest... twoje – powiedział człowiek-wąż – ale... to... jest... ten... dar... który... obiecali... ci... w środku. Weź... go... szybko... bo... tu... jest... dla... mnie... za... sucho.

Rod wziął go i wetknął do kieszeni. Czymże jest jakiś prezent wobec faktu, że darowali mu życie, światło dzienne, wiatr?

Wężowy żołnierz patrzył rozbieranym wzrokiem. Nic nie powiedział, zasalutował tylko i wrócił sztywno do furgonu. W drzwiach obejrzał się jeszcze na tłum, jakby się zastanawiał, jak najsprawniej ich wszystkich zabić. Nic nie powiedział, nikomu nie zagroził. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Nic nie zdradzało, kto tam siedzi w środku. Rod pomyślał, że musi być jakiś sposób, by potajemnie i dyskretnie przedostawali się do Ogrodu Śmierci – mieszka tu w końcu od wielu lat i nie miał bladego pojęcia, że jego najbliżsi sąsiedzi mogą zasiadać w komisji.

Odwrócił się sztywno i rozejrzał, tym razem nieco uważniej.

No cóż, przyszli wszyscy, sąsiedzi, krewni – co do jednego: McBanowie, McArthurowie, Passarelli, Schmidtowie, Sandersowie nawet!

Uniósł dłoń na powitanie.

Rozpętało się istne pandemonium.

Rzucili się ku niemu. Kobiety go obcałowywały, mężczyźni ściskali mu rękę i klepali po plecach, dzieciaki piskliwie odśpiewały piosneczkę o Stanicy Zagłady. Zbity tłum otoczył go i zaprowadził do jego własnej kuchni.

Wielu ludzi płakało.

Nie wiedział dlaczego. Ale zaraz zrozumiał...



Oni go lubią.

Z niewytłumaczalnych, ludzkich powodów, chaotycznych i nielogicznych, wszyscy życzyli mu dobrze. Nawet ciotka, która już widziała go w trumnie, bez zażenowania szlochała i siąkała nosem, wycierając się rąbkiem fartucha.

Zwykle, jako dziwak, nie przepadał za towarzystwem, lecz teraz ich dobroć, choć kapryśna, ogarnęła go jak wielka fala. Zaprosił wszystkich, by rozsiedli się w jego własnej kuchni. Pośród paplaniny, szlochów, śmiechów i serdecznych, fałszywie pogodnych westchnień ulgi, przewijał się nieustająco jeden motyw, jak fuga: lubili go. Wyrwał się ze szponów śmierci. Kochany Rod McBan.

Upoilo go to, choć alkoholu jeszcze nie tknął.

– Nie wytrzymam! – zawołał. – Lubię was wszystkich tak, że aż, ciężka choroba, szlag, tak bardzo, że całej waszej bandzie porozbijałbym te sentymentalne łby.

– Pięknie powiedziane, prawda? – mruknęła siedząca obok stara żona farmera.

Policjant, w pełnym galowym mundurze, zgodził się z nią.

I zaczęła się uczta. Trwała pełne trzy dni, a gdy się skończyła, w całej Stanicy Zagłady nie znalazłoby się ani jednego trzeźwego człowieka i ani jednej pełnej butelki.

Od czasu do czasu w głowie przejaśniało mu się na tyle, by znów mógł się cieszyć cudownym darem syłszczenia. Zaglądał im do głów, gdy gawędzili, śpiewali, pili, jedli i radowali się, szczęśliwi jak dzieci; nikt z nich nie przyszedł tu na próżno. Naprawdę się cieszyli. Kochali go. Życzyli mu jak najlepiej. Miał wątpliwości, ile ta miłość jeszcze potrwa, ale na razie rozkoszował się chwilą, póki trwała.

Lavinia przez pierwszy dzień trzymała się na uboczu; drugiego i trzeciego w ogóle się nie zjawiała. Uraczyli go prawdziwym norstrilijskim, dziewięćdziesięcioprocentowym piwem; taką moc osiągnano, po prostu dolewając do niego spirytusu. Po nim zapomniał o Ogrodzie Śmierci, o słodko-wilgotnych zapachach, o klarownym, pozaświatowym głosie lorda Krasnadamy, o pretensjonalnym, udającym niebo, błękitnym suficie.

Co rusz zaglądał im do umysłów i widział w nich stale to samo:

– Nasz chłopak. Udało ci się. Żyjesz, Rod. Powodzenia, Rod, chłopaku. Nie będziemy patrzeć, jak głupkowato rozchichotany idziesz do domu śmierci.

Udało mi się, zastanawiał się Rod, czy może to był czysty przypadek?

## GNIEW HONSEKA

Po tygodniu święto się skończyło. Niezliczone zastępy ciotek i kuzynów wróciły do swoich gospodarstw. W Stanicy Zagłady ucichło, a Rod poświęcił ranek na sprawdzenie, czy parobkowie podczas przedłużającej się imprezy nie zaniedbali zanadto owiec. Stwierdził, że Daisy, młoda, trzystonowa owieczka od dwóch dni nie była przewracana z boku na bok i trzeba ją od spodu potraktować lanoliną, żeby nie wdał się ziemny rak; stwierdził, że rurki pokarmowe Tannera, tysiactonowego barana, pozatykały się, przez co biedakowi potwornie opuchły gigantyczne nogi. Poza tym był spokój. Nawet gdy zobaczył na własnym podwórzu uwięzowanego rudego kucyka Beasleya, nie spodziewał się kłopotów.

Wszedł wesoło do domu, witając go poufałym:

– Pan się napije czegoś, panie Beasley? A, widzę, że już pan się napił. To może kolejnego?

– Dzięki, chłopcze, za poczęstunek, ale przyszedłem do ciebie z ważną sprawą.

– Rozumiem, sir – rzekł Rod. – Jest pan zarządcą części mojego majątku.

– Owszem, jestem – rzekł Beasley – ale ty, chłopcze, masz problem. Poważny problem.

Rod uśmiechnął się do niego spokojnie i łagodnie. Wiedział, że starszy pan musi się bardzo przykładać, żeby mówić głosem, a nie myślą; doceniał, że Beasley przyszedł do niego osobiście, zamiast rozmawiać z innym zarządcami. To także był znak, że jego zdaniem przeszedł próbę pomyślnie. Z wielkim opanowaniem powiedział:

– A myślałem, sir, że w tym tygodniu jest już po kłopotach.

– Co pan ma na myśli, sir McBanie?

– Nie pamięta pan... – Rod nie śmiał wspomnieć Ogrodu Śmierci, ani tego, że Beasley zasiadał w komisji, która zdecydowała, że nadaje się do życia.

Beasley zrozumiał aluzję.

– O pewnych rzeczach, chłopcze, się nie mówi i widzę, że dobrze cię nauczono...

Urwał i wpatrzył się w niego wzrokiem człowieka, który gapi się na nieznanego trupa, mając odwrócić go na drugą stronę i zidentyfikować. Pod tym spojrzeniem Rodowi zrobiło się nieswojo.

– Siadaj, chłopcze, siadaj. – Beasley rozkazywał mu we własnym domu.

Rod siadł na ławie, Beasley bowiem zajmował jedyny fotel – ogromny, rzeźbiony, pozaświatowy tron dziadka Roda. Siadł. Nie podobało mu się, że mu rozkazuje, był jednak przekonany, że Beasley chce dobrze, ale jest podenerwowany i zmęczony tym, że musi gadać krtanią i ustami.

Beasley spojrzał nań z osobliwą miną, mieszaniną współczucia i niesmaku.

– Wstań jednak, chłopcze, i rozejrzyj się po domu, czy nikogo więcej nie ma.

– Nie ma – odpowiedział Rod. – Ciotka Doris wyjechała, kiedy dostałem wolność, gospodyni wzięła wóz i pojechała na targ, a parobków mam tylko dwóch. Obaj zajmują się reinfekowaniem Małej. Bardzo jej spadł poziom santeclary.

W normalnej sytuacji, produkująca bogactwo choroba gigantycznych, na wpół sparalizowanych owiec zaprzętnęłaby całą uwagę dowolnych dwóch norstrilijskich farmerów, niezależnie od wieku i rangi.

Tym razem nie.

Beasleya trapiło coś poważnego i nieprzyjemnego. Miał tak udręczoną i niespokojną minę, że Rodowi naprawdę zrobiło się go szkoda.

Nie sprzeczał się więc. Posłusznie wyszedł tylnymi drzwiami, zerknął na południową stronę domu, nie zobaczył nikogo, przeszedł na północną, tam również nikogo nie zauważył, i wrócił frontowymi drzwiami. Beasley ani drgnął, jedynie dolał sobie z butelki do kufła więcej gorzkiego *ale*. Rod spojrzał mu w oczy i bez słowa usiadł z powrotem. Jeśli rzeczywiście

martwi się o niego (a na to wygląda) i jest w miarę inteligentny (a na to wygląda), warto poczekać, aż wysłowi to, co ma do powiedzenia. Wciąż miał to przyjemne uczucie, że sąsiedzi go lubią – mieli to wypisane na swoich szczerych norstrilijskich twarzach, gdy wrócił w obejście z furgonu Ogrodu Śmierci.

Beasley zauważył, jakby mówił o nieznannej potrawie, czy niespotykanym trunku:

– Wiesz, chłopcze, to mówienie ma jednak pewne zalety. Jeśli ktoś nie nadstawi ucha w pobliżu, niczego głową nie odbierze, tak?

Rod zastanowił się. I odparł szczerze:

– Jestem zbyt młody, żeby wiedzieć na pewno, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś potrafił odebrać syłuchem mówione słowa. Chyba albo tak, albo tak. Bo kiedy się mówi, nigdy się nie mówi, prawda?

Beasley kiwnął głową.

– No to do rzeczy. Mam ci do powiedzenia coś, czego nie powinienem mówić, ale jednak muszę, zatem jeśli będę mówić naprawdę w papę cicho, to nikt tego nie usłyszy, tak czy nie?

Rod potaknął.

– A o co chodzi, sir? Coś nie tak z moim tytułem własności?

Beasley napił się, ale ponad kuflem cały czas wpatrywał się w Roda.

– Z tym też jest problem, dość poważny, ale to akurat możemy sobie przegadać z tobą i pozostałymi zarządcami. Chodzi o coś innego, jakby... bardziej osobistego. Gorsza sprawa.

– No, sir, proszę! O co chodzi?! – wykrzyknął Rod, sfrustrowany wszystkimi tymi ogródkami.

– Honsek cię szuka!

– Co to jest „honsek”? – zapytał Rod. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Nie „co”, lecz „kto” – sprostował ponuro Beasley. – Honsek, no wiesz, ten gość z rządu Wspólnoty Narodów. Ten, co robi księgowość dla Wiceprzewodniczącego. Kiedyś to był „hon. sekr”., tak się podpisywał, co oznaczało „honorowego sekretarza” czy jakiś inny prehistoryczny tytuł, z czasów, kiedy się tu osiedlaliśmy. Teraz wszyscy mówią po prostu

Honsek i tak samo piszą. On wie, że nie jest w stanie zmienić decyzji komisji z Ogrodu Śmierci.

– Nikt nie może! – wykrzyknął Rod. – Nigdy się to nie zdarzyło, każdy to wie!

– Pewnie i wie, ale pozostaje proces cywilny.

– Jak mogą mi wytoczyć proces cywilny, skoro nie miałem czasu na zmiany? Sam pan dobrze wie...

– Nigdy, chłopcze, nigdy nie mów, co Beasley wie, a czego nie. Mów tylko, co ty myślisz. – Nawet w prywatnej rozmowie w cztery oczy nie chciał naruszać tajemnicy przesłuchania w Ogrodzie Śmierci.

– Powiem tylko, panie Beasley – rzucił Rod, bardzo zapalczywie – że proces cywilny za ogólną niekompetencję wytacza się właścicielowi ziemskiemu tylko jeśli jego sąsiedzi przez długi czas wnoszą na niego skargi. A oni przecież nie mieli czasu, ani prawa, żeby się na mnie skarżyć, na razie nie, prawda?

Beasley nie wypuszczał kufła z dłoni. Męczyło go posługiwanie się mówionymi słowami. Na czoło wystąpiły kropelki potu.

– Założmy, chłopcze – powiedział bardzo uroczyście – że pewnymi kanałami dowiedziałem się więc o tym, jak byłeś sądzony w tym furgonie... o proszę! Powiedziałem to, choć nie powinienem... i założmy, że wiem, że Honsek nie cierpi pewnego zagranicznego dżentelmena, który być może był obecny w tym furgonie...

– Lorda Krasnadamy? – szepnął Rod, osłupiały, że Beasley wreszcie zmusił się do mówienia o niewymownym.

– Taa. – Beasley kiwnął głową, robiąc minę, jakby się miał zaraz rozplakać. – I założmy, że wiem, że Honsek cię zna i uważa, że wyrok był niewłaściwy, zdecydowanie niewłaściwy, że jesteś dziwadłem, które zaszkodzi całej Norstrilii. I co mam zrobić?

– Ja nie wiem. Może mi pan powie?

– Nigdy w życiu. Jestem uczciwym człowiekiem. Daj no jeszcze piwa.

Rod podszedł do kredensu, wyciągnął kolejną butelkę gorzkiego *ale*, zachodząc w głowę, kiedy i gdzie mógł poznać Honseka. Nigdy nie miał za wiele do czynienia z władzami, wszystkie urzędowe sprawy, papiery,

zezwolenia i tak dalej zawsze załatwiał dziadek, póki żył, a potem ciotki i kuzyni.

Beasley pociągnął spory łyk *ale*.

– Bardzo dobre. Męczące strasznie to mówienie, ale faktycznie dobry sposób na zachowanie tajemnicy, o ile wiesz, że nikt ci nie zagląda do głowy.

– Ja go nie znam – powiedział Rod.

– Kogo? – zapytał Beasley, chwilowo straciwszy wątek.

– Honseka. Nie znam żadnego Honseka. Nigdy nie byłem w Nowej Canberze. Nigdy nie spotykałem się z żadnym urzędnikiem, a co dopiero pozaświatowcem, póki nie spotkałem tego pozaświatowego dżentelmena, o którym była mowa. Jak to możliwe, że Honsek mnie zna, a ja jego nie znam?

– Poznałeś, chłopcze. Tylko nie był wtedy Honsekiem.

– Na wszystkie owce, sir, proszę powiedzieć, kto to jest!

– Nie wymawiaj boskiego imienia nadaremno – rzucił ponuro Beasley.

– Przepraszam, sir. Rzeczywiście. Kto to był?

– Houghton Syme sto czterdziesty dziewiąty – odpowiedział Beasley.

– Nie mamy takiego sąsiada, sir.

– Owszem, nie mamy – wykrztusił chrapliwie Beasley, jakby w wyjawianiu sekretów dotarł już do ściany.

Rod gapił się na niego, ciągle nie rozumiejąc.

Gdzieś bardzo, bardzo daleko, za Wzgórzem Poduchowym, zabeczkała jego olbrzymia owca. Pewnie oznaczało to, że Hopper przestawia ją razem z platformą na nowe miejsce, żeby mogła dosięgnąć do świeżej trawy.

Beasley zbliżył swoją twarz do twarzy Roda. Zaczął szeptać – a zamiast szeptu wychodził mu śmieszny skrzekot, jak to u człowieka, który przez ostatnie pół roku w ogóle nie używał głosu.

Mówił głosem niskim, wręcz lubieżnym, jakby zamierzał opowiedzieć Rodowi jakąś niezwykle obsceniczną historię albo zadać bardzo niestosowne, osobiste pytanie.

– A twoje życie, chłopcze – wychrypiął. – Wiem, że dziwnie wyglądało. Bardzo niechętnie cię o to pytam, ale muszę. Jak dużo pamiętasz

z własnego życia?

– A, o to chodzi – odparł nieprzejęty Rod. – No tak. Ja nie mam nic przeciwko, mogę odpowiedzieć, mimo że to trochę nieodpowiednie. Miałem cztery dzieciństwa, za każdym razem od zera do szesnastu. Rodzina miała nadzieję, że za którymś razem nauczę się mówić i słuchać jak wszyscy, ale ja się nie zmieniałem. Oczywiście za kolejnymi próbami już nie byłem prawdziwym niemowlęciem, tylko jakby wykształconym idiotą o wzroście szesnastolatka.

– Rozumiem, chłopcze. Wystarczy. A pamiętasz coś z tych poprzednich żyć?

– Fragmenty tylko, sir, fragmenty. Nic się kupy nie... – Olśniło go. Aż sapnął. – Houghton Syme! Houghton Syme! Cham Ten Sam. Oczywiście, że go kojarzę. Chłopak z jednym życiem. Znałem go w moim pierwszym przedszkolu, w pierwszym dzieciństwie. Byliśmy nawet dobrymi kumplami, ale i tak się nie cierpieliśmy. Bo ja byłem dziwadłem i on też. Ja nie umiałem mówić ani słuchać, a on nie mógł przyjmować strunu. To oznaczało, że ja nigdy nie przejdę przez Ogród Śmierci, że jest mi pisana Komnata Chichotów i elegancka ziemiańska trumna. A on – jeszcze gorzej. Przeżyje po prostu tyle, ile się żyło na Starej Ziemi – sto sześćdziesiąt lat, czy coś koło tego, i koniec. Musi już być dosyć stary. Biedak! Jak on awansował na Honseka? Co w ogóle za władzę ma taki Honsek?

– No więc widzisz, chłopcze. Mówi, że jest twoim przyjacielem i że bardzo mu przykro to robić, ale musi dopilnować, żeby cię uśmiercono. Dla dobra Norstrilii. Twierdzi, że to jego obowiązek. Mianowali go tym Honsekiem, bo ciągle gadał o obowiązkach, a ludziom było go trochę szkoda, bo szybko umrze. Ma pod ręką strunu, ile tylko zechcesz, a nie może go wziąć...

– Czyli nie udało się go uleczyć?

– Niestety – powiedział Beasley. – Teraz jest już stary i zgorzkniały. I przysiągł, że dopilnuje, żeby cię zabito.

– A on może to zrobić? Jako Honsek?

– Niewykluczone. Nie cierpi zagranicznego dżentelmena, o którym była mowa, bo ten pozaświatowiec nazwał go prowincjonalnym głupkiem.



Ciebie nie cierpi, bo będziesz żyć, a on nie. Jak to go w szkole nazywaliście?

– Cham Ten Sam. Taki dziecinny żart z nazwiska.

– Niestety, nie jest chamem, nic a nic. Nie jest prostakiem, jest zimny, wyrachowany, skomplikowany, okrutny i nieszczęśliwy. Gdybyśmy nie stwierdzili, że i tak niedługo umrze, za dziesięć, za sto lat, pewnie posłalibyśmy go do Komnaty Chichotów. Za marudzenie i niekompetencję. Teraz jednak jest Honsekiem i będzie cię prześladował. Powiedziałem to. Nie powinienem był. Ale kiedy zobaczyłem tę podstępłą gębę, jak mówi o tobie, jak próbuje zdyskredytować naszą komisję, podczas kiedy ty bawisz się świetnie z rodziną i sąsiadami i wszyscy się cieszą, że w końcu przeszedłeś – zobaczyłem tę bladą twarz, jak podkrada się do ciebie od tyłu, zamiast zmierzyć się w uczciwej walce – to powiedziałem sobie: Rod McBan może i nie jest oficjalnie mężczyzną, ale biedak zapłacił już pełną cenę. Dlatego ci powiedziałem. Może zaryzykowałem za dużo, może naraziłem na szwank własny honor. – Westchnął. Szczera, czerwona twarz istotnie była zatroskana. – Naraziłem na szwank własny honor, a tu, na Norstrilii, to bolesne, bo człowiek tu żyje, ile zechce. Ale cieszę się, że to zrobiłem. A poza tym, to już mnie gardło boli od całego tego gadania. Przynieś mi jeszcze butelkę gorzkiego *ale*, chłopcze, zanim wsiądę na konia.

Rod bez słowa przyniósł mu piwo i nalał z uprzejmym skinieniem głowy.

Beasley, nie chcąc więcej mówić, popijał *ale*.

Może, pomyślał Rod, słyucha teraz uważnie, czy są w pobliżu jakieś ludzkie umysły, które mogły odebrać telepatyczne przecieki z ich rozmowy.

Gdy Beasley oddał kufel i zaczął się zbierać, pożegnawszy się po sąsiedzku kiwnięciem głowy, Rod nie mógł się powstrzymać od zadania ostatniego pytania. Wysyczał je szeptem. Beasley już do tego stopnia zapomniał o rozmowie, że tylko wytrzeszczył oczy. Może, pomyślał Rod, prosi mnie, żebym młówił, zapomniawszy, że nie potrafię. I tak właśnie było. W końcu Beasley wykrztusił ochryłym głosem:

– Co tam, chłopcze? Nie każ mi już dużo mówić. Drapie mnie w gardle i męczy mnie ujma na honorze.

– Co mam zrobić, sir? Co robić?

– Właścicielu i posiadaczu McBanie, to już pana problem. Nie jestem panem. Nie mam pojęcia.

– Ale co by pan zrobił, sir, na moim miejscu?

Niebieskie, rozkojarzone oczy Beasleya na moment spojrzały na Wzgórze Poduchowe.

– Wyjeżdżaj... z planety. Uciekaj. Odlatuj. Na sto lat, czy coś takiego. W tym czasie on... on na pewno umrze i będziesz mógł wrócić, świeży jak pierwiosnek.

– Ale jak, sir? Jak mam to zrobić?

Beasley poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się szeroko, włożył nogę w strzemię, wskoczył na siodło i spojrzał na niego z góry.

– Nie mam pojęcia, sąsiedzie. Ale i tak życzę powodzenia. Już uczyniłem więcej niż powinienem. Do widzenia.

Delikatnie klepnął konia otwartą dłonią i wyjechał truchtem z podwórza. Na jego skraju przeszedł do galopu.

Rod stał w drzwiach swojego domu, całkiem sam.

## STARE, PODNISZCZONE SKARBY W DZIURZE

Gdy Beasley odjechał, Rod snuł się udęczony po gospodarstwie. Tęsknił za dziadkiem, który żył w trakcie jego pierwszych trzech dzieciństw, ale zmarł podczas czwartego, symulowanego „niemowlęctwa”, które miało uleczyć jego telepatyczną niepełnosprawność. Tęsknił nawet za ciotką Margot, która dobrowolnie w wieku dziewięciuset dwóch lat udała się do Azylu. Miał masę krewnych i kuzynów, których mógł poprosić o radę; miał na farmie dwóch parobków; miał nawet szansę zobaczyć się z matką Hitton we własnej osobie, była bowiem kiedyś żoną jego pra<sup>11</sup>wuja. Tym razem jednak nie pragnął towarzystwa. Na nic mu byli ludzie. Zresztą Honsek to też „ludzie”; tylko wyobrazić sobie, że Cham Ten Sam obejmuje jakąś realną władzę! Wiedział, że w tej walce jest zdany wyłącznie na siebie.

Na siebie.

Czy do tej pory miał coś tak naprawdę własnego?

Nawet nie własne życie. Pamiętał strzępy ze swoich różnych dzieciństw. Pamiętał nawet, niewyraźnie, całe miesiące bólu – wtedy, gdy cofnęli go do dzieciństwa, pozostawiając dorosły wzrost. To nie była jego decyzja. Zatwierdził ją dziadek, albo Wiceprzewodniczący, albo poprosiła o nią ciotka Margot. I nikt za bardzo nie pytał go o zdanie, mówili tylko: „Zgodzisz się...”.

I zgodził się.

Był porządnym człowiekiem – tak porządnym, że momentami nienawidził ich wszystkich, zastanawiając się jednocześnie, czy o tym wiedzą. Ta nienawiść nie była jednak trwała, bo ludzie wokół zbyt dobrze

mu życzyli, byli zbyt mili – tylko zbyt ambitni. Musiał polubić ich z powrotem.

Próbując to wszystko przemyśleć, biegł bez celu po farmie.

Wielkie owce leżały na swoich podestach, odwiecznie chore, odwiecznie gigantyczne. Niewykluczone, że niektóre pamiętały, jak były jagniętami i mogły do woli biegać po rzadkiej trawie, wciskać głowy pod ochronną warstwę folii na kanałach i pić wodę, gdy tylko poczuły się spragnione. Teraz ważyły setki ton i były karmione maszynowo, pilnowane maszynowo i badane przez automatycznych weterynarzy. Jedynie odrobinę paszy i wody dostawały normalną drogą, przez pysk – i tylko dlatego, że doświadczenie pokazywało, że lepiej przybierają na wadze i żyją dłużej, jeśli pozostawi im się choćby taką namiastkę normalności.

Ciotki Doris, która zajmowała się domem, cały czas nie było.

Służąca Eleanor, której płacił więcej niż niektóre planety płacą za utrzymanie całej swojej armii, ociągała się z powrotem z targu.

Nie było też dwóch owczarzy, Billa i Hoppera.

Z nimi zresztą także nie miał ochoty gadać.

Ubolewał, że nie może się spotkać i porozmawiać z lordem Krasnadamą, tym dziwnym pozaświatowcem, którego poznał w Ogrodzie Śmierci. Wyglądał na kogoś, kto wie więcej niż Norstrilijczycy, bo pochodził z bardziej wyrafinowanych, mądrzejszych, okrutniejszych światów – światów, jakich większość tutejszych nigdy nie widziała na oczy.

Ale o spotkanie z lordem nie prosi się tak, ot. Zwłaszcza jeśli widziało się z nim tylko na tajnym przesłuchaniu.

Dotarł do granicy swojego majątku.

Dalej rozciągał się Proces Humphreyów – szeroki pas marnej ziemi, leżącej ugiorem, na której dziwne cienie w świetle zachodzącego słońca rzucały sterczące w niebo, wielkie jak budowle, żebra dawno zdechłych owiec. Rodzina Humphreyów sądziła się o ten nieużytek od setek lat, a tymczasem nikt go nie uprawiał, jeśli nie liczyć paru państwowych zwierząt, które Wspólnota mogła zgodnie z prawem umieścić na dowolnej ziemi, prywatnej czy publicznej.

Rod wiedział, że od wolności dzieli go tylko dwa kroki.

Wystarczyło wyjść za miedzę i zawołać umysłem do ludzi. Nawet on, choć właściwie nie potrafił mówić, byłby w stanie to zrobić. Telepatyczny alarmujący wrzask ściągnąłby strażników z orbity w siedem czy osiem minut. A wtedy trzeba by tylko powiedzieć:

„Zrzekam się tytułu. Wyrzekam się majątku i własności. Domagam się utrzymania przez Wspólnotę Narodów. Słuchajcie mnie ludzie, albowiem powtórzę te słowa”.

Powtórzywszy to trzykrotnie, stałby się Oficjalnym Biedakiem, całkowicie wolnym od problemów – ani żadnych spotkań, ani konieczności gospodarowania na ziemi, ani księgowości – nic, tylko wędrować po całej Starej Australii Północnej, imać się dowolnych zajęć, jakie się nawiną, i rzucać je, gdy tylko przyjdzie ochota. Przyjemne życie, wolność, najlepsze, co Wspólnota miała do zaoferowania Posiadaczom i Osadnikom, którzy w przeciwnym razie muszą przez długie stulecia borykać się z odpowiedzialnością, obowiązkami i honorem. Było to całkiem niezłe życie – ale nigdy nie zdecydował się na nie żaden McBan, choćby daleki kuzyn.

I on też nie był w stanie.

Wrócił udręczony do domu. Posłuchał, jak Eleanor rozmawia z Billem i Hopperem, podając kolację – ogromny półmisek gotowanej baraniny, ziemniaki, jaja na twardo, warzone na farmie piwo z beczki. (Wiedział, że są planety, gdzie ludzie od narodzin do śmierci nie spróbują czegoś tak dobrego. Że żywią się impregnowaną tekturą odzyskiwaną z latryn, nasycaną substancjami odżywczymi i witaminami, deodoryzowaną, sterylizowaną i wydawaną kolejnego dnia). Wiedział, że to znakomita kolacja, ale nie obchodziło go to.

Jak tu powiedzieć tym ludziom o Honseku? Ich twarze wciąż rozświetlała radość, że wyszedł dobrą stroną z Ogrodu Śmierci. Cieszyli się, że żyje, że raduje się z życia, a jeszcze bardziej – że jest najbardziej szacownym dziedzicem na całej planecie. Stanica Zagłady była porządną farmą, choć wcale nie największą.

W samym środku kolacji przypomniał sobie o prezencie od węzowego żołnierza. Położył go na górnej półce w sypialni i w ogóle nie otworzył,

zajęty przyjęciem i wizytą Beasleya.

Przełknął jedzenie i mruknął:

– Zaraz wracam.

Portfel leżał tam, gdzie go zostawił. Piękny był. Otworzył go, zajrzał do środka.

W środku był płaski metalowy krążek.

Bilet?

Dokąd?

Obrócił go. Miał telepatyczny grawerunek i pewnie wykrzykiwał do niego całą trasę podróży. On jednak nic nie słyszał.

Przysunął go do lampy naftowej. Czasem na tego typu krążkach trafiał się zapisany starożytnymi pismem chociaż ogólny cel podróży. W najlepszym razie lot prywatnym ornitopterem nad jezioro Menziesa, albo bilet na powietrzny autobus do Nowego Melbourne i z powrotem. Dostrzegł połysk starożytnego pisma. Raz jeszcze przechylił, chwytając światło, i przeczytał.

– „Kolebka Ludzkości i powrót”. Kolebka Ludzkości!

Boże drogi, przecież to właśnie Stara Ziemia!

Ale wtedy, pomyślał Rod, wyjdzie, że uciekam przed Honsekiem, i do końca życia będę mieć świadomość, że wszyscy moi przyjaciele wiedzą, że uciekłem przed Chamem Ten Samem. Nie mogę. Muszę jakoś załatwić Houghtona Syme’a CXLIX. Jego własną bronią. I moją własną bronią.

Wrócił do stołu, wrzucił do brzucha resztę kolacji, jakby to były granulki owczej paszy, i poszedł wcześniej spać.

Po raz pierwszy w życiu źle spał.

A z tego złego snu wykluła się odpowiedź.

„Zapytaj Hamleta”.

Hamlet nie był nawet człowiekiem. Był gadającym ruchomym obrazkiem w grocie, ale był mądry, pochodził z samej kolebki ludzkości i nie miał przyjaciół, którym mógłby wypaplać sekrety Roda.

Mając taki pomysł, Rod odwrócił się na drugi bok i usnął głęboko.

Z rana okazało się, że ciotki Doris wciąż nie ma, powiedział więc służącej Eleanor:

– Wychodzę na cały dzień. Nie szukajcie mnie i nie martwcie się o mnie.  
– A co z obiadem, proszę pana? Nie może pan tak biegać po stancy bez żadnego papu.

– To mi coś spakuj.

– A dokąd pan idzie, sir, jeśli może pan powiedzieć? – Głos pobrzmiwał nieprzyjemnym wścibstwem, jakby jako jedyna obecna dorosła kobieta, wciąż musiała go pilnować niczym dziecka.

Nie spodobało mu się to, odpowiedział jednak szczerze i życzliwie:

– Poza stanicę się nie wybieram. Tak sobie położę. Muszę pomyśleć.

Dodała łagodniejszym tonem:

– Dobrze, Rod, proszę sobie pomyśleć. Iść i się zastanowić. Jak dla mnie, to powinien pan zamieszkać z rodziną...

– Pamiętam, co mówiłaś – przerwał jej. – Eleanor, dzisiaj nie będę podejmować żadnych poważnych decyzji. Po prostu chcę sobie położyć i pomyśleć.

– Dobrze, sir. Proszę sobie położyć i pozastanawiać się nad tą ziemią. Wszystkie jej problemy należą teraz do pana. Cieszę się, że mój ojciec złożył przysięgę biedaka. Bo kiedyś byliśmy bogaci. – Nagle rozpogodziła się i zaśmiała. – Ale to przecież też już pan słyszał. Proszę, oto prowiant na drogę. Ma pan wodę?

– Podbiorę owcom – powiedział beczelnie.

Wiedziała, że żartuje, i pomachała mu życzliwie na pożegnanie.

Stary, stary rów był z tyłu domu, wyszedł więc frontowymi drzwiami. Chciał pójść okrężną drogą, żeby żadne ludzkie oczy ani ludzki umysł nie wytropiły sekretu, który znalazł pięćdziesiąt sześć lat temu, kiedy po raz pierwszy miał osiem lat. Mimo licznych udręk i problemów to jedno udało mu się zapamiętać wyraźnie – tę przepastną grotę pełną zniszczonych i zakazanych skarbów. Tam właśnie trzeba się teraz udać.

Słońce stało wysoko na niebie, rozlewając po ciemnoszarych chmurach plamę jaśniejszej szarości, gdy wskoczył do czegoś przypominającego suchy rów melioracyjny.

Przeszedł nim parę kroków. Potem zatrzymał się i uważnie, bardzo uważnie nastawił ucha.

Nie było słycać nic oprócz chrapania młodego stutonowego barana o milę czy dwie stąd.

Potem rozejrzał się równie uważnie.

Daleko i wysoko na niebie unosił się policyjny ornitopter, leniwie niczym najedzony jastrząb.

Rozpaczliwie próbował posyłycać.

Nie syłycał nic, ale do jego uszu dotarło powolne pulsowanie krwi we własnej głowie.

Zaryzykował.

Kłapa była tuż-tuż, skryta pod brzegiem przepustu.

Uniósł ją, otworzył i dał nura do środka, tak pewnie, jak pływak wskakujący do dobrze znanego basenu.

Tę drogę znał bowiem świetnie.

Trochę rozdarł sobie ubranie, ale pod ciężarem ciała przecisnął się przez wąską szczelinę.

Wyciągnął ręce do góry i jak akrobata chwycił się poprzecznego pręta. Drzwi za plecami zatrzasnęły się. Jakże się tego bał, kiedy był mały i zakradł się tu po raz pierwszy! Opuścił się po linie, z lampą, nie uświadamiając sobie, jak ważna jest zapadnia na skraju przepustu!

Teraz przychodziło mu to łatwo.

Z łoskotem wylądował na stopach. Zapaliły się jasne, nielegalne, staroświeckie światła. Zaczął mruzczyć osuszacz powietrza, żeby wilgoć z oddechu nie zaszkoziła zgromadzonym w pokoju skarbom.

Była tu cała masa kostek dramatycznych, o dwóch różnych wielkościach projekcji. Góry męskich i damskich ubrań z zamierzchłych epok. W skrzyni w rogu kryła się nawet mała maszyna sprzed Epoki Kosmosu, prymitywny, ale piękny mechaniczny chronograf, nieposiadający jeszcze korekcji rezonansu. Na cyferblacie wypisane miał starożytnie nazwisko „Jaeger Le Coultre”. Po piętnastu tysiącach lat wciąż odmierzał ziemski czas.

Rod usiadł na równie niedozwolonym fotelu, wyglądającym jak góra poduszek osadzona na plecionej ramie. Sam jego dotyk był niczym lekarstwo na wszystkie niepokoje. Jedną nogę fotel miał ułamana, ale tak było odkąd jego pra<sup>19</sup>dziadek naruszył zasady Wielkiego Sprzątania.



Wielkie Sprzątanie było ostatnim kryzysem politycznym Starej Australii Północnej. Wydarzyło się wiele wieków temu. Odnaleziono i wypędzono z planety ostatnich podludzi, nakazano przekazanie władzom Wspólnoty Narodów wszelkich szkodliwych luksusów – właściciele mogli je potem odkupić, ale po cenie dwieście tysięcy razy wyższej od pierwotnej. Była to ostatnia z akcji mających na celu zaprowadzenie wśród norstrilijskich obywateli prostoty, zdrowia moralnego i dobrostanu. Każdy z nich musiał przysiąc, że zwrócił wszystkie tego typu przedmioty, co do jednego, a składanie przysięg obserwowały tysiące telepatów. Pra<sup>19</sup>dziadek Roda, Rod McBan CXXX, dowiódł, że jest mistrzem wybiegów i dysponuje ogromną siłą umysłu – gdyż w toku Wielkiego Sprzątanego stracił tylko symboliczną część swoich ukochanych skarbów; niektóre z nich bowiem nie mieściły się nawet w kategoriach, dla których dozwolony był odkup – na przykład pozaświatowe kostki dramatyczne. Udało mu się je poukrywać w nieistotnych zakątkach swoich pól – poukrywać tak dobrze, że ani złodzieje, ani policja przez setki lat nie trafili na ich trop.

Rob podniósł swoją ulubioną kostkę: *Hamleta* Williama Szekspira. Niepodłączona do ekranu kostka była skonstruowana tak, by włączać się tylko na dotyk prawdziwego człowieka. Wierzch kostki stawał się małą sceną, na której ukazywali się miniaturowi aktorzy mówiący starożytnym angijskim, językiem bardzo podobnym do staropółnocnoaustralijskiego, a fabule towarzyszył telepatyczny komentarz, dostrojony do Starego Wspólnego Języka. Ponieważ Rod nie mógł polegać na swojej telepatii, nauczył się całkiem sporo starożytnego angijskiego, po prostu próbując zrozumieć sztuki bez komentarza. Nie odpowiadał mu odgrywany fragment, potrząsnął więc kostką, aż sztuka zbliżyła się do końca. Wreszcie usłyszał ten ulubiony, wysoki, dobrze znany głos Hamleta z ostatniej sceny:

*Umieram. Żegnam cię, matko nieszczęsna!  
Wam, co stoicie tu bladzi i drżący,  
Tylko jak niemi widzowie tragedii,*

*Mógłbym ja, gdybym miał czas, wiele rzeczy  
Powiedzieć, ale śmierć, ten srogi kapral,  
Stoi nade mną. Pamięć, Słowo,  
Umieram, Horacy[7].*

Rod bardzo delikatnie potrząsnął kostką, scena przeskoczyła o parę wersów. Nadal mówił Hamlet:

*...Jak upośledzone  
Imię by po mnie pozostało, gdyby  
Ta tajemnica nie miała wyjść na jaw!  
O, mój Horacy! Jeśli kiedykolwiek  
W poczciwym sercu twoim miałem miejsce,  
Wyrzecz się jeszcze na chwilę zbawienia  
I ponieś trudy oddychania dłużej  
W zepsutej atmosferze tego świata  
Dla objaśnienia moich dziejów.*

Delikatnie odłożył kostkę.

Jasne miniaturki postaci zgasły.

W pokoju zapanowała cisza.

On zaś znał już odpowiedź. Mądrość. A mądrość, współistotna człowiekowi, objawia się w jego życiu niezapowiedziana, nieproszona i niemile widziana. Rod stwierdził, że odkrył rozwiązanie pewnego podstawowego problemu.

Niestety, nie własnego. To była odpowiedź na problem Houghtona Syme'a, Cham Ten Sama, To Honsek umierał, marnując swoje imię. Stąd zapragnął go prześladować. To Honsek czuł, że „śmierć, ten srogi kapral” stoi nad nim, choć zadziałać ma nie za parę minut, lecz za parę dziesięcioleci. On, Rod McBan, miał przeżyć; jego stary znajomy miał umrzeć, a przecież umierający – jak zawsze, jak zawsze! – mimo woli

nienawidzą tych, co przeżywają, choćby ich nawet – przynajmniej odrobinę – lubili i kochali.

Dlatego Honsek.

Ale co z nim?

Rod odsunął na bok stertę bezcennych i nielegalnych manuskryptów i wziął do ręki małą książeczkę zatytułowaną *Zrekonstruowane późnoangijskie wiersze*. Na każdej ze stron po otwarciu pojawiała się świetlista, mniej więcej siedmiocentymetrowa męska lub żeńska postać i zaczynała deklamować wiersz. Rod przekartkował starą księgę, aż figurki zamigotały niczym słaby płomyk w słoneczny dzień. Jedna przykuła jego wzrok. Zatrzymał stronę w pół wiersza. Postać mówiła akurat:

*Klamka zapadła, odwołać nie mogę  
Słów, którymi się przed srogim sądem przechwalałem,  
Samokrytyki groźnym trybunałem.  
W próbie zaś się wykażę, gdy jej czas nadejdzie,  
Uniknąć jej wybiegiem przez myśl mi nie przejdzie,  
Lecz oby krótka była, jako moja mowa.*

Zerknął na paginę i przeczytał nazwisko. Casimir Colegrove. Oczywiście. Już spotkał się z tym nazwiskiem. Starożytny poeta. Dobry. Lecz co jego słowa oznaczają dla niego, Roda McBana, zaszytego w kryjówce na własnej ziemi? Jest Panem i Posiadaczem, pod każdym względem z wyjątkiem ostatecznych aktów własności, i ucieka przed wrogiem, którego nie potrafi określić. „Samokrytyki groźny trybunał...”. O, i to jest klucz! Nie ucieka przed Honsekiem. Ucieka przed samym sobą. Sąd wydał mu się srogi, bo splótł mu się z sześćdziesięcioma paroma latami dzieciństwa, nieustającym rozczarowaniem i podporządkowaniem nakazom, którym nie powinien się nigdy, przenigdy podporządkować. Jak można się spodziewać, że będzie syłszec i mówić jak inni ludzie, skoro dominujący gen okazał się recesywnym? Czyż prawdziwy trybunał już go nie obwinił i nie oczyścił z zarzutów?

To sam jest wobec siebie okrutny.

Inni ludzie są mili. (Przewrotność kazała mu dodać: „czasami”).

Przerzucił swoje wewnętrzne problemy na cały świat, tak jak w tym nieprzyjemnym wierszyku, który czytał dawno temu. Musiało to być tutaj, w tej komnacie – kiedy pierwszy raz go przeczytał, miał wrażenie, że dawno zmarły poeta napisał go specjalnie dla niego. Tak jednak nie było – inni ludzie też mieli swoje problemy, a wiersz wyrażał pojęcia o wiele starsze niż Rod McBan. Brzmiał tak:

*Wolno się koła losu obracają,  
Człowiecze dusze w proch ścierają,  
Ci zaś na próżno gardła wyęzają,  
By z tej boskiej maszyny, pułapki otchłannej  
Wołanie protestu wydobyć.*

Boska machina, pomyślał Rod. O. To jest wskazówka. Mam przecież jedyny mechaniczny komputer na tej planecie. Zagram o całe zbiory strunu, wygram albo stracę wszystko.

Podniósł się i stanął na środku zakazanego pomieszczenia.

– Zatem walka – powiedział do kostek na podłodze – i to porządna walka, mój pra<sup>19</sup>dziadku. Stanąłeś oko w oko z prawem i nie przegrałeś. Teraz moja kolej okazać się Rodem McBanem.

Odwrócił się i zawołał do siebie:

– Na Ziemię!

Zażenował go ten okrzyk. Poczuł, że gapią się na niego niewidzialne oczy. Prawie się zaczerwienił, a byłby sobą zde gustowany, gdyby tak się stało.

Stanął na przewróconej na bok skrzyni ze skarbami. Dwie kolejne złote monety, bezwartościowe jako pieniądze, a bezcenne jako pamiątki, upadły bezszelestnie na grube, stare dywany. Pożegnał się w myślach ze swoją tajemną komnatą, podskoczył i uczepił się belki. Podciągnął się oburącz, zarzucił na nią nogę, potem drugą, po czym, bardzo ostrożnie, choć wyęzając wszystkie mięśnie, wcisnął się w czarny otwór powyżej. Światła

nagle zgasły, osuszacz zaszumił głośniejsze, dotknięta zapadnia otworzyła się, oślepiło go dzienne światło.

Wysunął głowę z przepustu. Po jaskrawym świetle w komnacie skarbów, tu słońce wydawało się ciemnoszare.

Cisza. Spokój. Nikogo. Wczołgał się do rowu. Solidna kłapa zamknęła się za nim bezgłośnie. Nigdy nie miał się dowiedzieć, że reaguje na kod genetyczny potomków Roda McBana. Gdyby dotknął jej ktoś inny, byłaby w stanie powstrzymać go na bardzo długi czas. Prawie nieskończony.

Bo widzicie, tak naprawdę nie był właścicielem tej kłapy. To ona go posiadała.

– Ta ziemia mnie stworzyła – powiedział na głos, podnosząc się z rowu i rozglądając wokół.

Młody baran najwyraźniej się obudził – chrapanie ustało i zza wzgórz niesło się teraz jego sapanie! Znowu chce pić! A Stanica Zagłady nie jest aż tak bogata, by pozwolić sobie na nieograniczone podawanie wody olbrzymim owcom. Owszem, żyje im się jako tako. Ale gdyby nastąpiła prawdziwa susza, mogłoby dojść do tego, że poprosi zarządców majątku o sprzedaż którejś z owiec na wodę. Ale nie ziemi. Ziemi – nigdy. Ziemia nie jest na sprzedaż.

Tak naprawdę nawet do niego nie należała – to on należał do niej: do suchych, falujących wzgórz, przysłoniętych rzeczek i kanałów, łapaczy wilgoci, wychwytyjących z powietrza każdą kroplę – inaczej mogłaby dostać się sąsiadom. Tak wyglądały pasterskie interesy – produktem była nieśmiertelność, kosztem woda. Wspólnota miała do dyspozycji takie środki, że mogłaby zalać wodą całą planetę, stworzyć małe oceany, ale uważała planetę i jej mieszkańców za jedną ekologiczną całość. Stara Australia, ten bajeczny kontynent na Starej Ziemi, teraz pokryty ruinami opuszczonego chiniańskiego miasta-państwa Aoujou Nam-bien, też była w najlepszych latach rozległa, sucha, przestronna i piękna; planeta Starej Australii Północnej, przytłoczona balastem tradycji, musiała pozostać taka sama. Wyobraźcie sobie drzewa. Wyobraźcie sobie liście – rośliny opadające na ziemię, niezjedzone. Wyobraźcie sobie wodę lejącą się tysiącami ton, niewitaną przez nikogo łzami ulgi i śmiechem radości!

Wyobraźcie sobie Ziemię. Starą Ziemię. Kolebkę Ludzkości. Rod próbował wyobrazić sobie całą planetę pełną Hamletów, buzującą muzyką i poezją, po kolana we krwi i dramatach. Nie do wyobrażenia, choć próbował to sobie przemyśleć.

Aż nagle – przenikliwa-przeraźliwa, przejmująca-świdrująca w nerwach myśl:

Wyobraź sobie ziemskie kobiety!

Cóż to muszą być za przerażające i przepiękne istoty! Oddane starożytnym i niemoralnym sztukom, otoczone przedmiotami, których Norstrilia dawno temu zakazała, stymulowane przeżyciami, jakie prawa tutejszego świata wyplenily nawet z ksiązek! Spotka się z nimi, nie może być inaczej; i co – co zrobi, kiedy pozna prawdziwą ziemską kobietę?

Będzie musiał spytać komputera, choć sąsiedzi wyśmiewali go, że ma ostatni prawdziwy komputer na planecie.

Nie mieli pojęcia, czego dokonał jego pra<sup>19</sup>dziadek. Nauczył ten komputer kłamać. Przechował w nim wszystkie zakazane rzeczy, które Ustawa o Wielkim Sprzątaniu wytarła z norstrilijskiej pamięci. Potrafił kłamać jak szewc. Ciekawe, kto to ten „szewc”, czy to jakiś starożytny ziemski urzędnik, co nic, tylko mówi nieprawdę, dniem i nocą, taką ma bowiem pracę. Lecz komputer przeważnie mu nie kłamał.

Jeśli pra<sup>19</sup>dziadek zachował się w kwestii komputera tak samo zuchwale i niekonwencjonalnie jak we wszystkich innych sprawach, komputer będzie o kobietach wiedział wszystko. Nawet rzeczy, których one same nie wiedzą. Bądź nie chcą wiedzieć.

Świetny komputer! – myślał Rod, sadząc susy przez rozległe, rozległe pola do domu. Eleanor już pewnie przygotowała papu. Doris też może wróciła. Bill i Hopper zezłoszczą się, gdy będą musieli czekać z jedzeniem na swojego pana. Żeby przyspieszyć powrót, skierował się prosto do małego urwiska za domem, licząc, że nikt nie zobaczy, jak z niego zeskakuje. Rod był o wiele silniejszy niż większość znanych mu mężczyzn, ale z jakiegoś prywatnego, niewytłumaczalnego powodu zależało mu, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

Droga była wolna.

Znalazł urwisko.

Żadnych świadków.

Zsunął się z niego nogami do przodu, kopiąc luźne kamyki, gdy zjeżdżał wśród nich na sam dół.

A tam była ciotka Doris.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Spacerowałem, mateczko – odparł.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie, ale była na tyle mądra, by się nie dopytywać. Zresztą mówienie zawsze ją męczyło. Nie cierpiała dźwięku własnego głosu, wydawał jej się o wiele za wysoki. Dała spokój.

Weszli do domu, zjedli coś. Za drzwiami, za kręgiem światła naftowej lampy, szary świat stał się bezksiężycowy, bezgwiezdny, czarny. Była noc. Jego własna noc.

---

<sup>7</sup> Wszystkie cytaty z „Hamleta” W. Szekspira w przekładzie J. Paszkowskiego (przyp. tłum).

## KŁÓTNIA PRZY STOLE

Na koniec posiłku odczekał, aż Doris odmówi podziękowanie dla królowej. Zrobiła to, ale oczy pod gęstymi brwiami wyrażały coś, co wcale nie wyglądało na wdzięczność.

– Odejdiesz – powiedziała od razu po modlitwie. Było to oskarżenie, nie pytanie.

Dwóch wynajętych ludzi spojrzało na niego z milczącym powątpiewaniem. Tydzień temu był chłopcem. Teraz nic się nie zmienił, a w świetle prawa był mężczyzną.

Służąca Eleanor także na niego zerknęła. Uśmiechnęła się bardzo dyskretnie do siebie. Brała jego stronę przy każdej osobie trzeciej; za to, kiedy byli tylko we dwoje, krytykowała go jak tylko się dało. Znała jego rodziców, którzy potem polecili w pozaświat na długo odkładany miesiąc miodowy i rozbiło ich na cząsteczki podczas bitwy pomiędzy piratami i policją. Przez to miała poczucie, że w jakimś stopniu on należy do niej.

Spróbował odezwać się do niej młową, po prostu, by sprawdzić, czy to zadziała.

Nie zadziało. Dwaj mężczyźni zerwali się z krzeseł i uciekli na podwórze, Eleanor została na miejscu, ścisnąwszy z całej siły stół, ale nic nie powiedziała, a ciotka Doris wrzasnęła tak głośno, że nie zrozumiał słów.

Wiedział jednak, że mówi „Przestań!”, więc przestał i spojrzał na nią życzliwie.

I zaczęła się sprzeczka.

Kłótnie były u Norstrilijczyków na porządku dziennym, Ojcowie nauczali bowiem, że pełnią terapeutyczną rolę. Dzieciom wolno było się



kłócić, póki dorośli nie kazali przestać, wolni mogli się kłócić, póki nie włączyli się panowie, panowie mogli się kłócić pod nieobecność posiadacza, posiadacze zaś mogli się kłócić, póki nie zachce im się bić. Nie wolno było się kłócić w obecności pozaświatowca, ani podczas alarmu, ani z będącym na służbie przedstawicielem wojska lub policji.

Rod McBan był panem i posiadaczem, na razie jednak znajdował się pod kuratelą – był pełnoletnim mężczyzną, ale nie dostał jednoznacznych dokumentów. Był niepełnosprawny.

Wszystkie reguły zatem się pomieszały.

Gdy Hopper wrócił do stołu, mruknął:

– Niech to się powtórzy, chłopcze, a oberwiesz tak, że będziesz pamiętał do końca życia! – Rzadko używał swojego głosu, pięknego, męskiego, tubalnego barytonu, pełnego, zdrowego i szczerzego.

Bill nie odezwał się słowem, ale po minach, jakie przybierał, Rod domyślił się, że bardzo zawzięcie mówi do innych i w ten sposób się pociesza.

– Jeśli mówisz o mnie, Bill – powiedział Rod z nutą arogancji, której tak naprawdę nie czuł – to zrób mi tę uprzejmość i mów słowami, albo wynoś się z mojej ziemi!

Bill odezwał się głosem zardzewiałym jak stara maszyna.

– Jedno ci powiem, ty parszywy bachorze: mam na giełdzie w Sydney więcej pieniędzy niż wart jesteś ty i cała ta twoja zapyziała ziemia. Jeszcze raz mi powiesz, że mam się wynosić, to się wyniosę. Zamknij się i tyle.

Rod poczuł, że żołądek ściska mu się ze złości.

Rozeźlił się jeszcze bardziej, gdy poczuł na ramieniu powstrzymującą dłoń Eleanor. Nie miał ochoty słuchać od jeszcze jednej cholernej, durnej normalnej osoby, jak się syłucha i mówi. Ciotka Doris cały czas zasłaniała twarz fartuchem – jak zawsze, uciekła w płacz.

Gdy już miał się powtórnie odezwać, może właśnie wypędzić Billa na zawsze z farmy, umysł rozjaśnił mu się tajemniczo, jak to się czasem zdarzało; teraz syłuszał na wiele mil. Ludzie wokół nic nie zauważyli. Widział dumną złość Billa, z jego pieniędzmi na giełdzie w Sydney, większymi niż u wielu właścicieli ziemskich, czekającego na odpowiedni

czas, żeby odkupić ziemię po ojcu; widział szczere oburzenie Hoppera i odrobinę zbiło go z tropu, że ten patrzy nań z dumą i czułym podziwem; u Eleanor dostrzegł tylko niewysłowiony niepokój – lęk, że go straci, tak jak w przeszłości straciła wiele domów z powodu hnnnhnnnnhnnn dzzmmmm, dziwnej, pozbawionej znaczenia zbitki, która w jej umyśle miała jakiś sens, a u niego sensu nabrać nie chciała; u Doris zaś usłyszał wewnętrzny głos, wołający:

– Rod, Rod, Rod, wracaj tutaj! Może to i twój potomek, a ja jestem McBanem do śmierci, ale cóż mamy począć z tym inwalidą?

Bill wciąż czekał na jego reakcję, gdy do głowy przysłała mu kolejna myśl.

– Idź do swojego komputera, głupcze!

– Kto to powiedział? – pomyślał, nie starając się mówić, po prostu pomyślał.

– Twój komputer – odparł daleki myślógłos.

– Ty nie umiesz mówić – odpowiedział Rod – ty jesteś tylko maszyną, nie masz ani odrobiny zwierzęcego mózgu.

– Kiedy mnie wzywasz, Rodericku Fredericku Ronaldzie Arnoldzie Williamie MacArthurze McBanie sto pięćdziesiąty pierwszy, potrafię odpowiedzieć na odległość. Jestem na ciebie nastrojony, a ty właśnie zawołałeś swoim myślógłosem. Czuję, że mnie słyszysz.

– Ale... – powiedział Rod słowami.

– Spokojnie, chłopcze – odezwał się Bill, stojący tuż obok niego. – Spokojnie. Nie mówiłem poważnie.

– Masz ten swój atak, prawda? – powiedziała ciotka Doris, podnosząc czerwony nos znad fartucha.

Rod wstał.

Powiedział do nich wszystkich:

– Przepraszam. Idę się przejść. Po nocy.

– Idziesz do tego przeklętego komputera – stwierdził Bill.

– Proszę pana, niech pan nie idzie – powiedział Hopper. – Niech pan nie idzie w złości. I w dzień jest strasznie przy tym komputerze, a co dopiero w nocy.

– A skąd ty wiesz? – odburknął Rod. – W życiu tam w nocy nie byłeś. A ja byłem. Wiele razy...

– Tam w środku są trupy – dodał Hopper. – Bo to stary wojskowy komputer. Wasza rodzina w ogóle nie powinna była go kupować. Nie powinien być na farmie. Takie rzeczy powinno się wyrzucać na orbitę, żeby tam sobie wisiały.

– No dobrze, Eleanor – rzekł Rod. – To teraz ty mi powiedz, co mam robić. Bo wszyscy inni już powiedzieli – dodał, wyczerpując resztki złości, telepatia bowiem znów mu się wyłączyła i przed sobą miał, jak zwykle, nieprzeniknione twarze.

– Nic ci z tego nie przyjdzie, Rod. Idź do tego komputera. To twoje życie jest dziwne i nikt go za ciebie nie przeżyje, a już na pewno nikt z tutaj obecnych.

Miało to sens.

Wstał.

– Przepraszam – powiedział, zamiast się żegnać.

Zawahał się jeszcze w drzwiach. Wolałby pożegnać się normalnie, ale nie wiedział, jak to wyrazić. Przecież nie potrafił mówić, nie tak, by odebrali to swoimi umysłami; a mówienie głosem było takie prymitywne i takie płaskie, zwłaszcza w przypadku wszystkich tych drobnych uprzejmości, jakie trzeba było w życiu wyrażać.

Spojrzeli na niego, a on na nich.

– Mmmmaaaa! – krzyknął z niesmakiem i szyderstwem wobec samego siebie.

Ich miny wskazywały, że zrozumieli to, choć samo słowo nie miało sensu. Bill skinął głową, Hopper zrobił minę życzliwą i nieco zaniepokojoną, ciotka Doris przestała pociągać nosem i zaczęła wyciągać rękę, tylko po to, by zatrzymać ją w pół gestu, a Eleanor siedziała bez ruchu przy stole, zaprzątnięta własnymi, niewysłowionymi problemami.

Odwrócił się.

Zostawił za sobą krąg światła, pokój w domu; przed sobą miał mrok wszystkich norstrilijskich nocy, z wyjątkiem tych rzadkich, porozjaśnianych smugami blasku. Ruszył do budowli, którą mogli

zobaczyć nieliczni, a tylko on mógł wejść do środka. Była to zapomniana, niewidzialna świątynia. W niej właśnie mieścił się rodzinny komputer MacArthurów, do którego był podłączony starszy od niego komputer McBanów; nazywała się Pałac Gubernatora Nocy.

## PAŁAC GUBERNATORA NOCY

Rod biegł susami po pagórkowatej ziemi, jego ziemi.

Inni Norstrilijczycy, pełnosprawni telepaci, orientowaliby się, syłuchając słów z pobliskich domów. Rod nie mógł się orientować przez telepatię, więc pogwizdywał do siebie w osobliwej, fałszywej tonacji, pełnej bemoli. Echa wracały do jego podświadomego umysłu, odbierane ponad miarę rozwiniętym słuchem, który kompensował mu brak odbioru telepatycznego. Wyczuł przed sobą pochyłość, wbiegł na nią; ominął kępę krzaków; usłyszał, jak dwa wzgórza dalej najmłodszy z jego baranów, Piękny William, chrapie przeraźliwie niczym zarażona santaclarą owca.

Niedługo go zobaczy.

Pałac Gubernatora Nocy.

Najbardziej bezsensowny budynek na całej Starej Australii Północnej.

Mocniejszy od stali, a mimo to niewidzialny dla normalnych oczu, poza jedynie widmowym konturem obrysowanym kurzem, który go pokrył przez lata.

Ów pałac naprawdę był niegdyś pałacem, na planecie Chufu II, obracającej się tak, że jednym biegunem zawsze celowała w swoją gwiazdę Fortuny, których dorobili się tamtejsi ludzie, w swoim czasie porównywano z bogactwem Starej Australii Północnej. Odkryli Góry Włochate, ciągnące się w nieskończoność pasma alpejskich szczytów, skolonizowane przez niezwykle wytrzymały pozaziemski porost. Był jedwabisty, opalizujący, ciepły, mocny i niewiarygodnie wręcz piękny. Dorobili się bogactwa, ścinając porost ostrożnie, tak że odrastał, po czym sprzedawali zamożniejszym światom, gdzie takie luksusowe włókno osiągało bajeczne ceny. Mieli tam nawet dwa rządy – jeden dla ludzi

aktywnych w dzień, skupiających się przede wszystkim na handlu i obrocie, ponieważ pod gorącym blaskiem słońca mech słabo rósł, i drugi, dla nocnych marków, zapuszczających się daleko w lodowe otchłanie w poszukiwaniu porostu, drobnego, skarłowaciałego, odpornego na wszystko i łagodnie pięknego.

Daimoni pojawili się na Chufu II podobnie jak na innych planetach, w tym na Starej Ziemi, Kolebce Ludzkości – pojawili się znikąd i donikąd wrócili. Niektórzy sądzili, że są istotami ludzkimi, które przystosowały się do życia w podprzestrzeni, wykorzystywanej do planoformacji; inni uważali, że mają gdzieś sztuczną planetę i mieszkają w jej wnętrzu; jeszcze inni – że rozwiązali problem skoków nadprzestrzennych poza naszą galaktykę; nieliczni zaś upierali się, że w ogóle nie ma żadnych Daimonich. Ten ostatni pogląd był raczej trudny do obrony, Daimoni bowiem za wszystko płacili bardzo spektakularną monetą – architekturą odporną na korozję, erozję, upływ czasu, ciepło, zimno, naprężenia i skutki użycia broni. Na Ziemi największym ich cudem był sam Ziemioport – w kształcie jakby kieliszka do wina, wysokiego na dwadzieścia pięć kilometrów i zwieńczonego ogromnym lądowiskiem dla rakiet. Na Norstrilii nie zostawili nic; może po prostu nie chcieli gadać z miejscowymi, mającymi opinię szorstkich i niekulturalnych dla przybywających na ich planetę obcych. Było oczywiste, że Daimoni rozwiązali problem nieśmiertelności na swój własny sposób; górowali wzrostem nad większością ludzkich ras, a do tego mieli ujednoczony pokrój ciała, wagę i urodę; nie wykazywali oznak starzenia; nie byli podatni na choroby; mówili z miodopłynną powagą; skarby zaś kupowali do natychmiastowego, zbiorowego użytku, a nie dla odsprzedaży z zyskiem. Nigdy nie starali się pozyskać strunu, czy surowej postaci wirusa santaclara, z którego był rafinowany, choć ich statki handlowe miały linie uzbrojonych i poruszających się w zbrojnych konwojach transportów handlowych ze Starej Australii Północnej. Przetrwało nawet zdjęcie, na którym obie rasy spotykają się w głównym porcie Olimpui, planety ślepych kupców. Norstrilijczycy – wysocy, mówiący otwarcie, energiczni, bezpośredni i niezmiernie bogaci; Daimoni – równie bogaci, pełni rezerwy, piękni, wyrafinowani i bladzi. Budzili wśród

Norstrilijczyków podziw (a z podziwem niechęć); sami zaś wszystkich bez wyjątku, w tym i Norstrilijczyków, traktowali elegancko i protekcjonalnie. Spotkanie było zdecydowanie nieudane. Norstrilijczycy nie byli przyzwyczajeni do kupców, których nie interesuje nieśmiertelność, choćby była do kupienia za grosze; Daimoni pogardzali rasą, która nie dość, że nie podziwia architektury, to wręcz stara się nie wpuszczać do siebie architektów, chyba że do projektów obronnych – rasą, która chce do końca świata wieść proste, zgrzebne pasterskie życie. Dlatego, dopiero gdy odlecieli, by nigdy nie powrócić, Norstrilijczycy zdali sobie sprawę, że przegapili okazję na interes wszech czasów – pozyskanie przepięknych budowli, które Daimoni tak hojnie rozsiewali po odwiedzanych z wizytą planetach.

Na Chufu II Gubernator Nocy wyciągnął starożytną księgę i powiedział:  
– Chcę coś takiego.

Daimoni, mający dobre oko do kształtów i proporcji, odpowiedzieli:

– Znamy ten rysunek także na naszej planecie. To starożytna budowla ze Starej Ziemi. Nazywała się kiedyś Świątynią Artemidy z Efezu, ale została zburzona jeszcze przed epoką kosmiczną.

– Takie coś właśnie bym chciał – stwierdził Gubernator Nocy.

– Żaden problem – powiedział jeden z Daimonich, którzy wyglądali jak książęta. – Do jutra wieczorem możemy go dla pana zbudować.

– Moment... Całego nie chcę. Tylko fronton, dla ozdoby mojego pałacu. Mam całkiem dobry pałac, wyposażony od razu we wszystkie środki obronne, jakie potrzeba.

– Jeśli pozwoli nam pan zbudować sobie dom – powiedział łagodnie jeden z Daimonich – nie będzie pan już w ogóle potrzebował żadnych środków obronnych. Tylko jednego robota, żeby pozamykał okna dla ochrony przed megatonowymi bombami.

– Panowie, jesteście świetnymi architektami – powiedział Gubernator Nocy, mlaskając na widok pokazanej mu makiety miasta – ale pozwolicie, że pozostanę przy broni, którą znam. Więc chcę tylko fronton. Jak na tym rysunku. Co więcej: chcę, żeby był niewidzialny.

Daimoni przeszli na swój język, który brzmiał jakby pochodził z Ziemi, ale na podstawie garstki ocalałych nagrań z ich wizyt nigdy nie udało się go odcyfrować.

– W porządku – powiedzieli w końcu – będzie niewidzialny. Czy nadal interesuje pana wielka świątynia Artemidy z Efezu na Starej Ziemi?

– Tak – potwierdził Gubernator Nocy.

– Ale po co, skoro nie będzie pan jej widzieć?

– To jest kolejne wymaganie, szanowni dżentelmeni. Ma być tak, żebym ja ją widział, moi spadkobiercy, i nikt więcej.

– Jeśli będzie materialny, ale niewidzialny, wszyscy ją zobaczą, kiedy spadnie na nią wasz tutejszy śnieg.

– Tym już ja się zajmę – odparł Gubernator Nocy. – Zapłacę tyle, ile była mowa, czterdzieści tysięcy najlepszych kawałków futra z Gór Włochatych. Ale pałac ma być niewidzialny dla wszystkich poza mną i moimi potomkami.

– Jesteśmy architektami, nie iluzjonistami! – powiedział Daimoni w najdłuższym płaszczu, zapewne przywódca...

– Ale takie jest moje wymaganie.

Daimoni zaczęli trajkotać między sobą, omawiając jakieś techniczne problemy. Wreszcie jeden podszedł do Gubernatora Nocy i zapytał:

– Jestem lekarzem okrętowym. Czy mogę pana zbadać?

– Po co?

– Żeby sprawdzić, czy będzie możliwe dopasowanie budowli do pana. Inaczej w ogóle nie jesteśmy w stanie opracować projektu.

– Proszę bardzo – odparł Gubernator. – Badajcie.

– Tutaj? Teraz? – zdziwił się doktor. – Nie wolałby pan dyskretniejszego miejsca, gabinetu? Albo możemy udać się na nasz statek. To byłoby bardzo dogodne.

– Dla was, moi dżentelmeni – rzekł Gubernator Nocy. – Ale nie dla mnie. Tutaj moi ludzie trzymają was pod bronią. Jeśli zechcecie mnie okraść z moich futer z Gór Włochatych, albo mnie porwać, żeby zażądać okupu, nie wyjdziecie stąd żywi. Proszę mnie zbadać tu i teraz, albo wcale.



– Bardzo pan ostro i bardzo twardo gra, panie gubernatorze – powiedział inny elegancki Daimoni. – Proszę lepiej powiedzieć swojej straży, że prosi nas pan o zbadanie. Inaczej mogą się niepotrzebnie podekscytować i ktoś mógłby się uszkodzić – dodał z lekko protekcyjnym uśmiechem.

– Proszę bardzo, pozaświatowcy – powiedział Gubernator Nocy. – Moi ludzie wszystko słyszą z mikrofonu w moim guziku.

Po dwóch sekundach pożałował tych słów, ale już było za późno. Czterech Daimonich chwyciło go i zakreśliło nim tak zręcznie, że nikt nie rozumiał, w jaki sposób gubernator pozbył się w okamgnieniu całego ubrania. Któryś musiał go sparaliżować lub zahipnotyzować, tak że nie był w stanie krzyknąć. Co więcej, później prawie nic z całego zajścia nie pamiętał.

Strażnicy aż sapnęli, widząc, jak Daimoni wyciągają z gałek ocznych ich szefa niezliczone igły – nikt nie zauważył bowiem, żeby je tam wbijali. Podnieśli broń, gdy Gubernator Nocy zmienił barwę na wściekle zieloną, a potem zwymiotował. Daimoni poili go lekarstwami z ogromnych butli. Po półgodzinie odstępili od niego.

Gubernator, nagi i pokryty plamami, usiadł na ziemi i zaczął wymiotować.

Jeden z Daimonich powiedział spokojnie do strażników:

– Nic mu nie jest, ale on i jego potomkowie będą przez wiele pokoleń widzieć część ultrafioletowego widma. Połóżcie go do łóżka, niech prześpi noc. Z rana wszystko będzie w porządku. A po drugie, pilnujcie, żeby wieczorem i w nocy wszyscy trzymali się z daleka od frontonu pałacu. Będziemy tam tworzyć budynek, o który zostaliśmy poproszeni. Wielką świątynię Artemidy z Efezu.

Dowódca straży odpowiedział:

– Nie możemy zdjąć wart z pałacu. To siedziba naszych sił zbrojnych i nikt, nawet sam Gubernator Nocy, nie może pozbawić jej wartowników. Ludzie Dnia mogliby akurat zaatakować.

Rzecznik Daimonich uśmiechnął się łagodnie.

– Zatem zanotujcie ich nazwiska i zapytajcie każdego o ich ostatnie słowo. Nie będziemy z nimi walczyć, ale jeśli trafią na nasz plac budowy, zostaną wbudowani w nowy pałac. Jutro z rana wdowy i dzieci będą mogły ich podziwiać w charakterze posągów.

Szef straży spojrział na swojego przełożonego, leżącego płasko na ziemi, z głową w dłoniach, wykastującego słowa:

– Dajcie... mi... spokój!

Odwrócił się z powrotem do opanowanego, wyniosłego rzecznika Daimonich. Powiedział:

– Zrobię co w mojej mocy, sir.

Świątynia z Efezu rano stała na miejscu.

Kolumny miała w porządku doryckim ze starej Ziemi; fryz zaś był arcydziełem wypełnionym bogami, wiernymi i końmi; proporcje całości były przepiękne.

Gubernator Nocy ją widział.

Jego poddani nie.

Zapłacono czterdzieści tysięcy sztuk futer z Gór Włochatych.

Daimoni odlecieli.

Gubernator później zmarł, ale miał potomków, którzy też widzieli budowlę. Widoczna była tylko w nadfiolecie i zwykli mieszkańcy Chufu II mogli podziwiać ją tylko wtedy, gdy po wyjątkowo burzliwej zamieci pokrywał ją sypki śnieg.

Teraz jednak należała do Roda McBana i znajdowała się na Starej Australii Północnej, nie na Chufu II. Jak to się wydarzyło?

Kto w ogóle chciałby kupić niewidzialną świątynię?

Jak to kto? Oczywiście William Szalony. Szalony William MacArthur, który zachwycał, denerwował, upokarzał i rozśmieszał całe pokolenia Norstrilijczyków swoimi niesamowitymi kawałami i pełnymi rozmachu kaprysami.

William MacArthur był dla Roda McBana dziadkiem do dwudziestej drugiej potęgi z linii matki. Był w swoim czasie imponującą postacią. Szczęśliwy jak skowronek, upojony dowcipem, gdy trzeźwy jak świnia, pełen trzeźwej gracji, gdy pijany jak bela. Gdyby się przyłożył, i owcę

namówiłby do sprzedania własnych nóg za bezcen; albo Wspólnotę Narodów do zrobienia specjalnego wyjątku w prawie. To mu się zdarzało.

Wspólnota Narodów wykupowała wszystkie domy Daimonich, jakie była w stanie znaleźć, i adaptowała na posterunki na zewnętrznym perymetrze obrony. Śliczne wiktoriańskie domeczki wysyłano na orbitę jako fortyfikacje zewnętrznego pierścienia. Teatry kupowano na innych światach, holowano przez kosmos na Starą Australię Północną, gdzie stawały się schronami przeciwbombowymi, albo ośrodkami weterynaryjnymi dla wiecznie chorych, produkujących skarb owiec. Gdy Daimoni coś postawili, nikt nie był w stanie tego rozebrać ani zburzyć, zatem jedynym wyjściem było odciąć budowlę od jej niedaimonicznych fundamentów, podnieść raketami lub planoformacją i przerzucić przez kosmos do nowej lokalizacji. Nawet lądowaniem nie trzeba się było przejmować – zrzucało się po prostu budowlę z orbity. Nie szkodziło jej to ani trochę. Niektóre konstrukcje Daimonich co prawda się rozpadały, ale tylko dlatego, że ktoś ich poprosił, by można je było demontować. Te monolityczne pozostawały w całości.

Szalony William dowiedział się o świątyni. Chufu II była wówczas jedną wielką ruiną. Słynny porost zakaził się roślinami i wymarł. Nieliczni pozostali przy życiu Chufuńczycy byli nędzarzami – błagali Instrumentalność o przyznanie statusu uchodźcy i zgodę na emigrację. Wspólnota Narodów wykupiła wszystkie ich budynki, ale nawet ona nie miała pojęcia, co począć z niewidzialną i niesamowicie piękną grecką świątynią. Odwiedził ją Szalony William. Trzeźwo obejrzał ze wszystkich stron za pomocą ustawionej na nadfiolet snajperskiej lunety. Przekonał rząd, żeby pozwolił mu wydać połowę gigantycznej fortuny na przeniesienie jej do doliny tuż obok Stancy Zagliady. A nacieszywszy się nią, po chwili, w stanie imponującego upojenia spadł i skręcił sobie kark, a jego niepokieszona córka poślubiła przystojnego i praktycznego pana McBana.

Tym oto sposobem Artemizjon należał teraz do Roda McBana.

I mieścił jego komputer.

Jego własny komputer.

Mógł się z nim porozumiewać z konsoli w kryjówce ze skarbami. Zdarzało mu się rozmawiać z nim ze skrzynki głosowej na polu, będącej piękną miniaturą starego komputera, z polerowanego czerwonego i czarnego metalu. Albo mógł przyjść do tej dziwnej budowli, Pałacu Gubernatora Nocy i stanąć, jak niegdyś stawali wyznawcy Artemidy, wołając: „Wielka jest Artemida z Efezu!”. Tu miał przed sobą pełną konsolę, automatycznie odblokowaną przez jego obecność, dokładnie tak, jak trzydzieciństwa temu pokazał mu dziadek – stary McBan jeszcze miał wtedy nadzieję, że Rod zmieni się z czasem w normalnego północnoaustralijskiego chłopaka. Dziadek, używając swojego osobistego kodu, odblokował kontrolę dostępu i kazał komputerowi zarejestrować wszystkie parametry Roda, tak by Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan CLI był już zawsze przez maszynę rozpoznawany, choćby się postarał, odniósł obrażenia, albo przyszedł w przebraniu; choćby nie wiem jak był chory i samotny, przychodząc do maszyny przodków. Dziadek nawet nie zapytał maszyny, jak będzie go identyfikować. Wierzył jej po prostu.

Rod wspiął się po schodach Pałacu. Wokół strzelały w niebo kolumny z antycznymi płaskorzeźbami, widoczne drugim wzrokiem; nigdy się nie zastanawiał, jak to jest, że widzi w ultrafiolecie, skoro w kwestii wzroku nigdy nie zauważył żadnych różnic pomiędzy sobą a innymi ludźmi, nie licząc tego, że trochę częściej bolała go głowa po długim przebywaniu na dworze w bezchmurne dni. Jednak w takich chwilach efekt był niesamowity. To była jego chwila, jego świątynia, jego własny pałac. Widział w odbitym od Pałacu świetle, że nocami wielu jego kuzynów wyprawiało się, żeby go oglądać. Oni także go widzieli, geny pozwalały dostrzegać niewidzialną świątynię, której nie widział nikt z kolegów; ale wstępu do środka nie mieli.

Miał go tylko on.

– Komputer – zawołał – wpuść mnie!

– Polecenie zbędne – rzekł komputer. – Zawsze masz dostęp.

Mówił norstrilijskim męskim głosem, odrobinę teatralnym. Rod nigdy nie był przekonany, że to głos jego przodka; gdy wprost zapytał maszynę,

czego głosu używa, ta odparła:

– Ta informacja została mi skasowana. Nie wiem. Historyczne przekazy sugerują, że był to mężczyzna żyjący w czasach mojej instalacji tutaj oraz będący podczas kodowania w wieku więcej niż średnim.

Rod byłby ożywiony i elokwentny, gdyby nie ten podziw, jaki budził u niego Pałac Gubernatora Nocy, świetlisty i widoczny pod ciemnymi nocnymi norstrilijskimi chmurami. Chciał powiedzieć coś żartobliwego, ale był w stanie tylko wykrztusić:

– Przyszedłem.

– Zauważyłem i słucham – oświadczył komputerowy głos. – Gdybym był człowiekiem, powiedziałbym „gratuluje”, ponieważ przeżyłeś. Jestem jednak komputerem i nie mam zdania na ten temat. Odnotowuję tylko fakt.

– Co mam teraz robić? – zapytał Rod.

– Pytanie zbyt ogólne. Chcesz napić się wody albo odpocząć na kanapie? Mogę ci powiedzieć, gdzie jest jedno i drugie. Chcesz zagrać ze mną w szachy? Mogę wygrać dokładnie tyle partii, ile mi powiesz.

– Zamknij się, durniu! Nie o to mi chodzi.

– Komputery są durne tylko jeśli źle działają. Ja działałam prawidłowo. Określenie „dureń” jest zatem pozbawione znaczenia i usunę je z mojej pamięci. Proszę powtórzyć pytanie.

– Co mam zrobić ze swoim życiem?

– Będziesz pracować, ożenisz się, zostaniesz ojcem Roda McBana sto pięćdziesiątego drugiego i paru innych dzieci, umrzesz, twoje zwłoki zostaną z wszelkimi honorami wysłane na orbitę. Uda ci się to wszystko znakomicie.

– A gdybym jeszcze dzisiaj wieczorem skręcił sobie kark? – zaprotestował Rod. – Myliłbyś się, prawda?

– Myliłbym się, ale prawdopodobieństwa są takie, jak mówię.

– W takim razie, co mam począć z Honsekiem?

– Powtórz.

Rod musiał opowiedzieć całą historię kilka razy, zanim komputer zrozumiał.

– Nie dysponuję – rzekł komputer – żadnymi danymi dotyczącymi tego człowieka, którego dość dezorientująco określasz czasem mianem „Houghton Syme”, a czasem „Cham Ten Sam”. Jego osobista historia jest mi nieznana. Szanse, abyś go zabił i pozostał niewykryty oceniam na 1 do 11713, ponieważ zbyt wielu ludzi cię zna i wie, jak wyglądasz. Muszę ci pozwolić na samodzielne rozwiązanie problemu Honseka.

– Ale może masz jakiś pomysł?

– Ja nie mam pomysłów, mam tylko odpowiedzi.

– Podaj mi kawałek ciasta z owocami i szklankę świeżego mleka.

– Będzie cię to kosztowało dwanaście kredytów, a jeśli wrócisz do domu, możesz to samo uzyskać bezpłatnie. Ja będę musiał to zakupić od Centrali Rezerw Awaryjnych.

– Powiedziałem: podaj mi i już – rzekł Rod.

Maszyna zaszumiała. Na konsoli zapaliły się nowe lampki.

– Centrala Rezerw Awaryjnych wyraziła zgodę na skorzystanie z zasobów. Jutro zapłacisz za ich uzupełnienie.

Otworzyły się drzwiczki, wysunęła się z nich taca z obfitą porcją ciasta z owocami i szklanką świeżego, spienionego mleka.

Rod usiadł na schodach swojego pałacu i zjadł przekąskę.

Niezobowiązująco rzucił do komputera:

– Musisz jednak wiedzieć, co zrobić z Chamem Ten Samem. To straszne, że udało mi się przejść przez Ogród Śmierci, a żyć mi się odechciewa, bo nęka mnie ten durny tępak.

– Nie może ci się odechciewać żyć. Masz zbyt silny charakter.

– Raz byś rozpoznał przenośnię, kretynie! – warknął Rod.

Maszyna się zawahała.

– Przenośnia rozpoznana. Korekta. Niniejszym proszę przyjąć przeprosiny, Małoletni McBanie.

– Kolejny błąd. Nie jestem już Małoletnim McBanem. Jestem Panem i Właścicielem McBanem.

– Sprawdź w centrali – powiedział komputer. Kolejna długa przerwa wypełniona tańcem światełek. Wreszcie odpowiedział: – Twój status jest nieokreślony. Jesteś jednym i drugim. W sytuacji awaryjnej jesteś już

Panem i Właścicielem Stacji Zagłady, a także moim. Bez sytuacji awaryjnej jesteś wciąż Małoletnim McBanem, póki zarządcy twojego majątku nie wypełnią odpowiednich dokumentów.

– A kiedy to zrobią?

– Działanie dobrowolne. Ludzkie. Czas nieokreślony. Wydaje się, że za cztery do pięciu dni. A kiedy będziesz pełnoprawnym właścicielem ziemskim, Honsek będzie mieć prawo, by wniesić o twoje aresztowanie, jako właściciela niekompetentnego i niebezpiecznego. Bardzo to będzie smutne z twojego punktu widzenia.

– A ty jak myślisz?

– Myślę, że jest to niepokojący czynnik. Mówię ci całą prawdę.

– Tylko tyle?

– Tyle – powiedział komputer.

– Czyli nie potrafisz powstrzymać Honseka?

– Nie powstrzymując wszystkich innych ludzi, nie.

– A czym w ogóle są dla ciebie ludzie? Posłuchaj, ty tu rozmawiasz z ludźmi od wielu setek lat. Znasz nasze imiona. Znasz moją rodzinę. Czy możesz mi pomóc? Kim ja według ciebie jestem?

– Od którego pytania zacząć? – powiedział komputer.

Rod w złości cisnął pustym talerzem i szklanką o podłogę. Wskoczyły automatyczne ramiona i zgarnęły skorupy do kosza. Wpatrzył się w stare blachy komputera. Trzeba by je wypolerować. Setki godzin poświęcił na polerowanie wszystkich sześćdziesięciu jeden płyt, tylko dlatego że maszyna należała do nielicznych rzeczy, które mógł polubić.

– Czy mnie nie znasz? Nie wiesz, kim jestem?

– Jesteś Rod McBan CLI. A dokładniej, jesteś kręgosłupem z małą kościaną puszką, głową, na jednym końcu, a wyposażeniem reprodukcyjnym na drugim końcu. W kościanej puszcze posiadasz niewielką ilość substancji przypominającej gęsty, przetykany krwią smalec. Ona służy ci do myślenia, a myślisz lepiej ode mnie, mimo że ja mam ponad pięćset milionów połączeń synaptycznych. Jesteś wspaniałym wytworem. Jestem w stanie zrozumieć, z czego jesteś zrobiony. Ale nie zrozumieć ludzkiej, zwierzęcej strony twojego życia.

– Ale wiesz, że grozi mi niebezpieczeństwo.

– Wiem.

– A co to było, co mówiłeś jakiś czas temu, że nie da się powstrzymać Chama Ten Sama, nie powstrzymując jednocześnie wszystkich innych ludzi? Ty mógłbyś zatrzymać wszystkich?

– Proszę o pozwolenie na skorygowanie błędu. Nie byłbym w stanie zatrzymać wszystkich. Gdybym spróbował użyć siły, wojskowe komputery Departamentu Obrony Wspólnoty zniszczyłyby mnie, zanim bym zaczął programować te czynności.

– Jesteś po części wojskowym komputerem.

– To prawda – powiedział niestrudzony, nieśpieszny komputerowy głos – ale Wspólnota, zanim pozwoliła twoim przodkom mnie używać, zabezpieczyła mnie.

– A co możesz zrobić?

– Rod Mc Ban CXL kazał mi nigdy nikomu nie mówić.

– Unieważniam.

– Unieważnione. To nie wszystko. Twój pradziadek zapisał także ostrzeżenie, którego musisz wysłuchać.

– Dawaj – powiedział Rod.

Nastąpiła cisza, Rod uznał, że maszyna poszukuje w swoich przepastnych archiwach kostki dramatycznej. Wyszedł na perystyl Pałacu Gubernatora Nocy i spróbował dostrzec pełną nisko po niebie norstrilijskie chmury; była to bowiem taka właśnie noc. Jednakże poza oświetlonym przedsionkiem świątyni było bardzo ciemno i nie widział nic.

– Czy podtrzymujesz swój rozkaz? – zapytał komputer.

– Nie usłyszałem żadnego ostrzeżenia – powiedział Rod.

– Mówił ci z kostki pamięciowej.

– Ty to słyszałeś?

– Nie byłem na to nastrojony. To był komunikat człowiek-człowiek, tylko dla rodziny McBanów.

– A zatem – powiedział Rod – unieważniam.

– Unieważnione – odparł komputer.

– Co mogę zrobić, żeby zatrzymać wszystkich?



– Możesz tymczasowo doprowadzić Norstrilię do bankructwa, wykupić całą Starą Ziemię i wtedy negocjować wszystko co chcesz, na korzystnych warunkach.

– O Boże, komputerze, znowu poszedłeś w logikę! To jest tylko takie gdybanie.

Głos komputera nie zmienił tonu. Nie potrafił. Natomiast słowa dobrał takie, by go upomnieć:

– To nie jest hipotetyczna sytuacja. Jestem wojskowym komputerem i przewidziano mnie także do wojny ekonomicznej. Jeśli zrobisz to, co ci powiem, będziesz w stanie przejąć prawnymi środkami całą Starą Australię Północną.

– A ile czasu na to potrzeba? Dwieście lat? Do tego czasu Cham Ten Sam wpędzi mnie do grobu.

Komputer nie mógł się śmiać, ale mógł robić pauzy. Zrobił pauzę.

– Właśnie sprawdziłem godzinę na giełdzie w Nowym Melbourne. Sygnał giełdy podaje, że otworzą się za siedemnaście minut. Będę potrzebował czterech godzin twojego głosu, żeby powiedział wszystko co niezbędne. To znaczy, że potrzeba na to czterech godzin i siedemnastu minut, plus minus pięć minut.

– A co pozwala ci myśleć, że możesz to zrobić?

– Jestem stuprocentowym komputerem, przestarzałym modelem. Nowsze mają wbudowane zwierzęce elementy mózgu, żeby dopuszczać błędy. Ja nie mam. A po drugie, twój pra<sup>12</sup>dziadek podłączył mnie do sieci Departamentu Obrony.

– I Wspólnota cię nie odcięła?

– Jestem jedynym komputerem, który potrafi kłamać, nie wolno mi tylko kłamać członkom rodzin MacArthurów i McBanów. Skłamałem Wspólnocie, kiedy sprawdzali, do czego jestem podłączony. Mam obowiązek mówić prawdę tylko tobie i twoim wyznaczonym potomkom.

– To wiem, ale co to ma do rzeczy?

– Prognozuję sam dla siebie pogodę w kosmosie, szybciej niż Wspólnota. – Przyjemny, równy głos w ogóle tego nie zaakcentował; tylko Rodowi się tak wydało.

- I próbowałeś tego?
- Symulowałem tę grę wojenną ponad sto milionów razy. Nie miałem nic lepszego do roboty, czekając na ciebie.
- I nigdy nie przegrałeś?
- Kiedy zaczynałem, przegrywałem prawie zawsze. Ale w ciągu ostatniego tysiąca lat grałem, bazując na danych rzeczywistych, i nie przegrałem ani razu.
- A co by się stało, gdybyś teraz przegrał?
- Ty straciłbyś dobre imię i zostałbyś bankrutem. Mnie by rozmontowano i sprzedano na części.
- I to wszystko? – rzucił pogodnie Rod.
- Tak – odparł komputer.
- Zatem mogę zatrzymać Chama Ten Sama jeśli będę właścicielem całej Ziemi. No to jedziemy. Jedziemy.
- Ja nigdzie nie jadę – powiedział komputer.
- Miałem na myśli: „zaczynamy”.
- To znaczy: wykupywać Ziemię, tak jak rozmawialiśmy?
- A cóżby innego?! – wrzasnął Rod. – Rozmawialiśmy o czymś jeszcze?
- Najpierw musisz zjeść zupę, gorącą zupę, i wziąć środek uspokajający. Nie będę mógł optymalnie pracować z człowiekiem, który się ekscytuje.
- Nie ma sprawy – powiedział Rod.
- Musisz mi udzielić zgody na zakupienie tych rzeczy.
- Udzielam zgody.
- Wyniesie to trzy kredyty.
- Na siedem zdrowych owiec, jakie to ma znaczenie? Ile będzie kosztować Ziemia?
- Siedem tysięcy bilionów megakredytów.
- No to potrąć trzy za zupę i tabletkę, jeśli ci to nie namiesza w obliczeniach! – krzyknął Rod.
- Potrącone – odrzekł komputer.
- Wysunęła się taca z zupą i białą pigułką obok.
- No to kupujmy Ziemię – powiedział Rod.
- Najpierw wypij zupę i połknij tabletkę – polecił komputer.

Rod przełknął tabletkę i popił ją zupą.

– Jedziemy, panie kolego.

– Powtarzaj za mną – rzekł komputer. – Niniejszym pożyczam na Giełdzie w Nowym Melbourne pięćset tysięcy kredytów pod zastaw całego ciała niżej wymienionej owcy Piękny William...

Rod powtarzał.

I powtarzał.

Całe trzy godziny stały się koszmarem powtarzania.

Komputer ściszył głos do cichego pomruku, szeptu niemal. Gdy Rod się zacinał, podpowiadał mu i go poprawiał.

– Zakup kontraktów terminowych... krótka sprzedaż... opcja wykupu... możliwość pierwokupu... ofertą sprzedaży... tymczasowo zastrzeżoną dla... głównym zabezpieczeniem... dodatkowym zabezpieczeniem... przelać na konto rozliczeniowe... z przeliczeniem na kredyty WROG... pozostawić w kredytach BID... dwanaście tysięcy ton strunu... zabezpieczone hipotecznie... promesa zakupu... promesa sprzedaży... zapas w wysokości... pod zabezpieczenie poprzedniego depozytu... zobowiązanie do zapłaty zabezpieczone cesją... gwarancją... ziemia McBanów... ziemia MacArthurów... niniejszy komputer... pod warunkiem legalności... kupić... sprzedać... gwarantować... wystawić... wycofać... oferta potwierdzona... oferta anulowana... cztery miliardy megakredytów... stawka zaakceptowana... stawka odrzucona... zakup w kontrakcie terminowym... lokata oprocentowana na... wyżej wymienionym zabezpieczeniem... pod warunkiem umocnienia kursu... gwarancją... przyjęcie aktu... odmowa dostawy... pogoda okołosłoneczna... kupić... sprzedaż... złożyć ofertę opiewającą... wycofać z rynku... wycofać ze sprzedaży... niedostępne... brak dostaw... zależnie od poziomu promieniowania... wykupić całkowity zasób... kupić... kupić... kupić... kupić... akt własności... potwierdzić tytuł własności... zamknąć pozycję... otworzyć pozycję ponownie... przerejestrować... zarejestrować... potwierdzić w ziemskiej centrali... opłaty za przekaz... piętnaście tysięcy megakredytów.

Rod także przeszedł do szeptu, za to komputer był pewny, komputer był nieustrudzony, komputer odpowiadał na wszystkie przychodzące

z zewnątrz pytania.

Wiele razy i Rod, i komputer mieli słuchać telepatycznych ostrzeżeń wbudowanych w handlową sieć komunikacyjną. Komputer był od nich odcięty, a Rod ich nie słyszał. Ostrzeżenia przeszły zatem bez echa.

– ...kupuję... sprzedaję... akumuluję... potwierdzam... depozyt... zamienić... gwarancję... arbitraż... wiadomość... podatek wspólnotowy... prowizja... kupić... sprzedać... kupić.. kupić... kupić... Akt własności! Akt własności! Akt własności!

Proces kupowania Ziemi się rozpoczął.

Zanim rozpoczęła się pierwsza, ładna część siwoszarego świtu, dobiegł końca. Rodowi kręciło się w głowie ze zmęczenia i dezorientacji.

– Idź do domu i się wyśpij – powiedział komputer. – Kiedy ludzie dowiedzą się, co ze mną zrobiłeś, wielu z nich zapewne bardzo się podekscytuje i będą chcieli natychmiast z tobą rozmawiać. Sugeruję, żebyś nie mówił nic.

## OKO NA WRÓBLA

Nieprzytomny ze zmęczenia Rod powlókł się swoimi polami do swojego domu.

Nie wierzył, że coś takiego się stało.

Jeśli Pałac Gubernatora Nocy...

Jeśli Pałac...

Jeśli komputer mówił prawdę, już był najbogatszym człowiekiem w historii świata. Zagrał i wygrał, i to nie parę ton strunu, planetę czy dwie, ale dość kredytów, by zachwiać fundamentami całej Wspólnoty Narodów. Był właścicielem Ziemi. Posiadał miasta, kraje, kopalnie, pałace, więzienia, organa ścigania, floty, straże graniczne, restauracje, firmy farmaceutyczne, włókiennicze, kluby nocne, skarbcce, tantiemy, licencje, koncesje, owce, ziemię, strun, kolejne owce, kolejne ziemie, jeszcze więcej strunu. Wygrał.

Tylko na Starej Australii Północnej można było dokonać tego i nie zostać obleżonym przez żołnierzy, reporterów, ochronę, policję, śledczych, poborców podatkowych, łowców fortun, lekarzy, żądnych rozgłosu, chorych, wścibskich, współczujących, wściekłych i obrażonych.

Stara Australia Północna zachowała spokój.

Dyskrecja, prostota, oszczędność – te cechy pozwoliły im przetrwać na piekielnym świecie Raju VII, gdzie góry pożerały ludzi, wulkany truiły owce, a deliryczny poziom tlenu kazał ludziom w ekstazie udawać się tanecznym krokiem na śmierć. Norstrilijczycy przetrwali wiele rzeczy, w tym choroby i kalectwa. Jeśli nawet Rod McBan spowodował kryzys finansowy, nie było gazet, które by się o tym rozpisywały, skrzynek obrazkowych, które by o tym informowały – niczego, co mogłoby ludzi

podekscytować. Władze Wspólnoty Narodów wyjmą ten kryzys ze skrzynki z pocztą przychodzącą po śniadanku i herbatce następnego dnia, a do popołudnia on, jego kryzys i jego komputer znajdą się w skrzynce z pocztą wychodzącą. Jeśli transakcje się udały, wszystko zostanie uczciwie zapłacone co do grosza. Jeśli transakcje nie wyszły, jego ziemie zostaną zlicytowane, a Roda odprowadzi się dyskretnie na bok.

Ale przecież Honsek i tak zamierzał zrobić z nim to samo – Cham Ten Sam, ten męczący karzeł, napędzany dziecięcą nienawiścią z zamierzchłych czasów!

Rod zatrzymał się na minutę. Wokół ciągnęły się rozfalowane wzgórza jego własnej ziemi. Daleko po lewej lśnił szklisty robak przykrytej rzeki, niska, beczkowata wypukłość chroniąca drogocenną wodę przed wyparowaniem – ona też była jego własnością.

Być może. Niech tylko minie noc.

Zastanowił się, czy nie paść na ziemię i nie przespać się tu i teraz. Już mu się to zdarzało.

Nie tego ranka.

Nie dzisiaj, nie wtedy, gdy istnieje możliwość, że jest tym człowiekiem – człowiekiem, który użył swego bogactwa, by zachwiać podwalinami świata.

Komputer zaczął od prostych rzeczy. Nie wolno mu było przejąć kontroli nad jego majątkiem – to było dopuszczalne tylko w sytuacji wyjątkowej. Kazał mu więc stworzyć sytuację wyjątkową przez sprzedanie po cenie rynkowej zbiorów strunu z następnych trzech lat. To była wystarczająco poważna sytuacja – każdy hodowca znalazłby się po czymś takim w poważnych tarapatach.

A potem już poszło.

Rod usiadł.

Nie starał się tego wspominać. Wspomnienie samo kłębiło mu się w głowie. Chciał po prostu nabrać oddechu, dotrzeć do domu, pójść spać.

Nieopodal rośło drzewo z termostatyczną kopułą, która zamykała je, jeśli wiatr robił się zbyt silny albo zbyt suchy, oraz podziemnym zraszaczem, który utrzymywał je przy życiu, gdy na powierzchni było zbyt mało wody. To była jedna z tych ekstrawagancji, które odziedziczył pewien

jego przodek, McBan, i zainstalował na Stacji Zagłady – zmodyfikowany ziemski dąb, ogromny, wysoki na pełne trzynaście metrów. Rod był z niego dumny, choć specjalnie go nie lubił – miał jednak krewnych, którzy mieli bzika na jego punkcie i potrafili przejechać trzy godziny tylko po to, by usiąść w cieniu – choćby i niewyraźnym, rozmytym – autentycznego ziemskiego drzewa.

Gdy na nie spojrzął, zaatakował go ogłuszający hałas.

Obląkańczy, wariacki śmiech.

Śmiech, którym nie da się śmiać z żadnego żartu.

Śmiech obląkany, szalony, pijany, śmiech, od którego kręciło się w głowie.

Już miał się rozzłościć, ale przeszło to w zdziwienie. Kto mógł już się z niego śmiać? A w dodatku kto śmiał wkroczyć na jego ziemię? Po trzecie, z czego tu się śmiać?

(Wszyscy Norstrilijczycy wiedzieli, że humor to „przyjemne uleczalne zaburzenie”. Tak stało w Księdze Retoryki, którą Wyznaczeni Krewni musieli z każdym przerobić, żeby w ogóle był w stanie zakwalifikować się do egzaminu w Ogrodzie Śmierci. Nie było żadnych szkół, żadnych kursów ani nauczycieli, poza prywatnymi-rodzinnymi. Było tylko siedem sztuk wyzwolonych, sześć nauk praktycznych i pięć zestawów studiów policyjnych i wojskowych. Specjaliści kształcili się poza światem, ale rekrutowali się tylko spośród osób, które przeszły przez Ogród – a nikt nie przeszedł przez Ogród, jeśli jego poręczyciele, ryzykujący życie tak samo jak on, nie zagwarantowali, że podchodzący do egzaminu zna wszystkie osiemnaście gałęzi norstrilijskiej wiedzy. Księga Retoryki była na tej liście druga, zaraz po Księdze Owiec i Liczb, aby wszyscy Norstrilijczycy wiedzieli, dlaczego się śmieją i z czego należy się śmiać).

Ale tutaj ten śmiech?!

Och, kto to może być?

Ktoś chory? Niemożliwe. Wrogie halucynacje sprowadzone na niego przez Honseka i jego honsekowe sposoby, niezwykłymi telepatycznymi mocami? Wątpliwe.

Po chwili Rod sam zaczął się śmiać.

To był dość rzadki i bardzo piękny ptak, zwany kukaburą – ten sam, który zaśmiewał się w Pierwszej Australii na Starej Starej Ziemi. Bardzo niewiele z nich udało się przenieść na nową planetę, do tego nie rozmnażały się zbyt dobrze, choć Norstrilijczycy lubili je i nic złego im nie robili.

Ich szalony ptasi śmiech dawał ludziom szczęście. Człowiek mógł się poczuć, słysząc go, jakby miał przed sobą świetny dzień. Szczęście w miłości, wrogowi kij w oko, świeże piwo w lodówce albo niebywała okazja na targu.

Śmieję się, ptaszku, śmieję! – pomyślał Rod.

Ptak chyba go zrozumiał. Śmiech nasilił się, osiągając maniacką, aż niemożliwą intensywność. Ptak brzmiał, jakby oglądał najśmieszniejszą ptasią komedię, na jaką kiedykolwiek zaproszono ptasią widownię, jakby wygłaszane tam żarty były takie, że boki zrywać, niesamowite, oszałamiające, niewiarygodne, pikantne, pieprzne i obrazoburcze. Ptasi śmiech nabrał nuty histerycznej, pojawił się w nim cień lęku i ostrzeżenia.

Rod zbliżył się do drzewa.

Ponieważ kukabury ciągle nie było widać.

Wpatrzył się w drzewo, odcinające się na tle jasnej połaci nieba, dowodzącej, że ranek już się na dobre rozpoczął.

W jego oczach drzewo było oślepiająco zielone, ponieważ niemal zachowało ziemski kolor – nie zrobiło się beżowe czy szare, jak ziemskie trawy po zasianiu w norstrilijskiej glebie.

I rzeczywiście: ptak tam był, drobny, smukły, roześmiany, bezczelny kształt.

Nagle zakrakał. To już nie był chichot.

Spłoszony Rod cofnął się i zaczął się rozglądać za zagrożeniem.

Ten krok uratował mu życie.

Niebo świsnęło, dźgnął go prąd powietrza, ciemny kształt śmignął tuż obok z szybkością pocisku i zniknął. Gdy wyrównał lot tuż nad ziemią, Rod dostrzegł, co to takiego.

Wściekły wróbel.



Wróble osiągały dwadzieścia kilo żywej wagi, a ich proste jak miecz dzioby miały prawie metr długości. Wspólnota na ogół dawała im spokój, bo żywiły się olbrzymimi wszami, wielkości piłki nożnej, które urosły razem z owcami. Od czasu do czasu jednak któryś wariował i atakował ludzi.

Rod odwrócił się i obserwował ptaka, idącego po ziemi w odległości około stu metrów od niego.

Plotka głosiła, że niektóre wściekle wróble wcale nie są wściekle, lecz tresowane – Norstrilijczycy o mózgach skażonych zbrodnią wysyłają je w mordercze misje. Zdarzało się to rzadko, było przestępstwem, ale było możliwe.

Czy to Honsek już go atakuje?

Rod klepnął się po pasie w poszukiwaniu broni, gdy wróbel ponownie wzbił się w powietrze, szybując w niebo z udawaną niewinnością. Nie miał niczego, nie licząc latarki i manierki. To nic nie da, chyba że ktoś przyjdzie mu z pomocą. Co zmęczony człowiek może poradzić gołymi rękoma na miecz, który nurkuje z nieba, napędzany monomaniakalnym ptasim mózdzkiem?

Rod przygotował się na kolejny atak nurkowy ptaka, trzymając przed sobą manierkę jak tarczę.

Nie była to zbyt dobra tarcza.

Ptak zanurkował, poprzedzony świstem powietrza opływającego głowę i dziób.

Rod wypatrywał oczu; kiedy je dostrzegł, skoczył.

Wzbił się pył; olbrzymi wróbel poderwał celujący w ziemię dziób, rozpostarł skrzydła, załopotał, walcząc z grawitacją, wyrównał lot centymetry nad ziemią i potężnymi zamachami skrzydeł wzbił się z powrotem; Rod stał i patrzył w milczeniu, ciesząc się, że uszedł z życiem.

Lewą rękę miał mokrą.

Na norstrilijskich równinach deszcz zdarzał się tak rzadko, że w pierwszej chwili nie zrozumiał, jak to możliwe. Zerknął na nią machinalnie.

To była krew, jego własna.

Ptak-morderca nie trafił go dziobem, ale musnął ostrą jak brzytwa krawędzią pióra, które wyewoluowało w broń – i stosina, i chorągiewka były bardzo wzmocnione, a w przypadku lotek chorągiewka kończyła się jeszcze ostrą krawędzią. Skaleczył go tak błyskawicznie, że ani tego nie poczuł, ani nie zauważył.

I jak każdy szanujący się Norstrilijczyk, od razu pomyślał o pierwszej pomocy.

Krwawienie nie było zbyt silne. Próbować obwiązać sobie tę rękę czy chować się przed kolejnym atakiem nurkowego?

Ptak odpowiedział na to pytanie za niego.

Złowrogi gwizd rozbrzmiał jeszcze raz.

Rod padł na ziemię, próbując schować się pod koronę drzewa – tam ptak nie będzie mógł atakować z lotu nurkowego.

Ptak zaś, robiąc poważny myślowy błąd, uznał, że go obezwładnił. Zamachawszy skrzydłami, spokojnie wylądował, stanął na nogach i przekrzywił głowę, żeby mu się przyjrzeć. Kiedy nią poruszył, miecz-dziób zalśnił złowrogo w słabym blasku słońca.

Rod dotarł do drzewa i zaczął się podnosić, opierając się o pień.

A robiąc to, omal nie stracił życia.

Zapomniał bowiem, jak szybko wróble potrafią biegać po ziemi.

W jednej chwili ptak stał, komiczny i groźny, przypatrując mu się bystryimi, błyszczącymi oczkami; w drugiej ostry dziób już trafiał go tuż poniżej barku.

Poczuł dziwne, wilgotne wrażenie, gdy dziób się wycofywał, pierwsze ukłucie bólu w zaskoczonym ciele, poprzedzające prawdziwy, obezwładniający ból. Zamachnął się na wróbla latarką. Nie trafił.

Teraz osłabiały go już dwie rany. Z ręki kapłała krew, czuł też, jak na barku przemaka mu koszula.

Wróbel cofnął się i znów obserwował go, przekrzywiwszy głowę. Rod próbował oszacować, jakie ma szanse. Jedno porządne trafienie pięścią i ptak nie żyje. Myśli, że go obezwładnił, tymczasem on jest tylko ranny.

Ale jeśli dobrze nie trafi, jeden punkt i jeden właściciel na konto ptaka, kredyt na konto Honseka. Zwycięża Cham Ten Sam!

Rod nie miał już ani cienia wątpliwości, że za atakiem stoi Houghton Syme.

Ptak rzucił się.

Rod zapomniał, jak planował z nim walczyć.

Zamiast tego wyrzucił w powietrze nogę i trafił go prosto w ciężkie, szorstkie ciało.

Poczuł go jak bardzo dużą piłkę futbolową wypełnioną piaskiem.

Stopa zaboląła, ale ptaka odrzuciło na dobre sześć czy siedem metrów. Rod skrył się za pnem i obejrzał na ptaka.

Z rany na ramieniu krew płynęła już szybkim, pulsującym strumieniem.

Ptak-morderca pozbierał się na nogi i stanowczym, pewnym krokiem ruszył ku drzewu Roda. Jedno ze skrzydeł włókł po ziemi, uszkodzone kopniakiem. Niestety, nieuszkodzone pozostały nogi i potwornie mocna szyja.

Po raz kolejny przekrzywił komiczną głowę. Z długiego dzioba ciekła teraz jego własna krew – lśnił czerwono, a nie siwoszaro, jak na początku walki. Rod ubolewał, że nie przeczytał więcej o tych ptakach. Nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko zmutowanego wróbla i nie miał pojęcia, jak z nim walczyć. Wiedział tylko, że bardzo rzadko zdarza im się atakować ludzi, a ludzie niekiedy w tych atakach giną.

Spróbował mówić, wydać z siebie telepatyczny wrzask, który postawi na nogi całą okolicę, a policję poderwie w powietrze, tak że zjawi się tu błyskawicznie. I stwierdził, że telepatia w ogóle mu nie działa, nie wtedy, gdy całą uwagę musi skupić na ptaku, wiedząc, że jego następny ruch może mu przynieść śmierć, i to permanentną, nie tymczasową, gdzie w pogotowiu stoi ekipa ratunkowa. W okolicy nie było nikogo, absolutnie nikogo, oprócz podekscytowanych i współczujących kukabur, zaśmiewających się obłąkańczo w koronie drzewa.

Krzyknął na ptaka, licząc, że go przestraszy. Ptak-morderca zignorował go kompletnie, jakby był głuchym gadem.

Głupkowata głowa przechyliła się tam i z powrotem. Małe, błyszczące oczka spojrzały. Czerwony dziób-miecz, szybko brązowiejący w suchym powietrzu, kreślił w powietrzu abstrakcyjne trajektorie prowadzące do

jego mózgu albo serca. Rod zaczął się nawet zastanawiać, czy ptak nie rozwiązuje swoich problemów z użyciem geometrii brył – kąta podejścia, linii pchnięcia, ruchu dzioba, prędkości i kierunku ucieczki celu. Czyli jego.

Odskoczył o parę centymetrów, chcąc spojrzeć na ptaka zza pnia drzewa. W powietrzu coś syknęło, niczym bezradny, mały, nieszkodliwy wąż.

Ptak, gdy znów na niego spojrzał, wyglądał dziwnie – jakby nagle wyrósł mu drugi dziób. Rod rozdziawił usta.

I nie zrozumiał, co się stało, póki ptak nie przechylił się nagle, nie padł na bok i nie legł – ewidentnie martwy – na suchej, chłodnej ziemi. Oczy wciąż miał otwarte, ale puste; ciało jeszcze trochę drgało. Skrzydła rozpostarły się w przedśmiertnym spazmie. Jedno ze skrzydeł omal nie trafiło w pień drzewa, ale urządzenie ochraniające drzewo wysunęło plastikowy pręt, żeby powstrzymać cios; szkoda, że nikt nie pomyślał, żeby ochraniało też ludzi.

Dopiero wtedy Rod zobaczył, że ten drugi dziób to wcale nie dziób, lecz oszczep, czysto i precyzyjnie wbity przez czaszkę w mózg.

Nic dziwnego, że padł na miejscu!

Gdy rozglądał się, wypatrując swojego zbawcy, ziemia nagle podniosła się i uderzyła go.

Upadł.

Utrata krwi postępowała szybciej niż myślał.

Rozejrzał się wokół, oszołomiony i zdezorientowany jak dziecko.

Zafalowało coś turkusowego. Stała nad nim Lavinia. Miała otwartą apteczkę i spryskiwała mu rany kryptodermem – żywym bandażem, tak kosztownym, że tylko na Norstrilii, w królestwie strunu, mógł być standardowym wyposażeniem apteczek.

– Bądź cicho – powiedziała głosem – bądź cicho, Rod. Najpierw trzeba zatrzymać krwotok. Niech się ziemia zmiłuje, ależ on cię urządził!

– Kto...? – zapytał słabo Rod.

– Honsek – odparła natychmiast.

– To ty wiesz? – zdumiał się, że wszystkiego się tak błyskawicznie domyśliła.

– Nic nie mów, to ci powiem. – Wyciągnęła farmerski nóż i przecinała mu lepką koszulę, żeby móc przechylić pojemnik i pryskać prosto na ranę. – Po prostu podejrzewałam, że masz kłopoty, kiedy Bill przejechał koło domu i powiedział coś, co się kupy nie trzymało, że niby całą noc uprawiałeś hazard z tą zwariowaną machiną, wygrałeś i wykupiłeś pół galaktyki. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, ale tak sobie pomyślałam, że będziesz w tej twojej starej świątyni, której nie widzi reszta ludzi. Nie wiedziałam, na jakie niebezpieczeństwo się nastawić, więc wzięłam to. – Klepnęła się po biodrze.

Rod wytrzeszczył oczy. Ukradła ojcu 1-kilotonowy granat, który wolno było zdejmować ze stojaka tylko w przypadku pozaświatowego ataku.

– Nic się nie stało. Zanim go dotknęłam, zrobiłam podróbkę. Po prostu go podmieniłam. Od razu włączył się monitor Departamentu Obrony. Wytłumaczyłam mu po prostu, że szturchnęłam go miotłą, bo ma kij dłuższy niż zwykle. Myślisz, że pozwoliłabym, żeby Cham Ten Sam zabił cię bez walki? Jestem twoją kuzynką, krew z krwi i kość z kości. A konkretnie to jestem po tobie dwunasta w kolejności do dziedziczenia Stacji Zagłady i wszystkich tych wspaniałych rzeczy, jakie na niej masz.

– Daj mi wody – powiedział Rod.

Podejrzewał, że ona tak papie, żeby odwrócić jego uwagę od tego, co robi z jego barkiem i ręką. Ręka po spryskaniu kryptodermem delikatnie zaświeciła, potem po prostu zaczęła delikatnie boleć. Bark, gdy go badała, od czasu do czasu eksplodował bólem. Lavinia wbiła weń diagnostyczną igłę i wpatrywała się w maleńki, jasny obrazek na jej końcu. Wiedział, że zawiera środki antyseptyczne, znieczulające oraz ultrazminiaturyzowany aparat rentgenowski, ale nie spodziewał się, że ktoś jej użyje całkiem bez pomocy, w terenie.

Na to pytanie też odpowiedziała, zanim je zadał. Bardzo spostrzegawcza była z niej dziewczyna.

– Nie wiemy, co Honsek dalej zrobi. Oprócz zwierząt mógł skorumpować też jakichś ludzi. Boję się wezwać pomoc, póki nie będziesz

wśród przyjaciół. A już na pewno nie, jeśli kupiłeś połowę światów.

Rod mówił z mozołem, przeciągając słowa. Brakowało mu tchu.

– Skąd wiedziałaś, że to on?

– Zobaczyłam jego twarz, usłyszałam go, gdy zajrzałam do głowy temu ptakowi. Zobaczyłam Houghtona Syme'a, mówiącego do wróbla jakimś dziwnym sposobem, potem widziałam oczyma ptaka twojego trupa. I poczułam wielką falę miłości i aprobaty, szczęścia, nagrody, płynącą przez ptaka, kiedy miał dokończyć dzieła. Ten człowiek jest strasznie, strasznie zły.

– To ty go znasz osobiście?

– A która dziewczyna go nie zna? Paskudny człowiek. Całe dzieciństwo miał parszywe, odkąd zdał sobie sprawę, że jest krótkożyjcem. I to mu nie przeszło. Niektórzy użalają się nad nim, dzięki nim dostał posadę Honseka. Gdyby to ode mnie zależało, dawno bym go wysłała do Komnaty Chichotów!

Jej twarz zacięła się w pruderyjnej złości, tak do niej niepodobnej – zwykle była pogodna i wesoła – że Rod zaczął się zastanawiać, jakie to głęboko ukryte rozgoryczenie się w niej obudziło.

– A za co właściwie ty go nienawidzisz?

– Za to, co zrobił.

– A co zrobił?

– Spojrzał na mnie – powiedziała – w taki sposób, że żadna dziewczyna by tego nie zniosła. A potem powpełzał mi do głowy i próbował pokazać obleśne, wstrętne, ohydne rzeczy, które chciał zrobić.

– Ale nic nie zrobił? – zapytał Rod.

– Zrobił, zrobił! – warknęła. – Tylko nie rękami. Mogłam na niego donieść. Trzeba było. Zrobił różne rzeczy swoimi myślami, tym, co do mnie mówił.

– Na to też mogłaś złożyć skargę – powiedział Rod, bardzo zmęczony rozmową, ale jednocześnie zaskakująco ucieszony, że nie jest jedynym wrogiem Honseka.

– Nie, na to, co mi zrobił, nie mogłam – powiedziała Lavinia, a wściekła mina powoli zmieniała się w skrzywdzoną.

Poczucie krzywdy było czymś łagodniejszym, mniej ostrym, a jednocześnie głębszym i prawdziwszym niż gniew. Rod po raz pierwszy poczuł niepokój, obawę o nią. Co jest z nią nie tak?

Spojrzała w przestrzeń i odezwała się do rozległych pól i wielkiego, zdechłego ptaszyska:

– Ten podstarzały chłoptaś to prawdziwy wróg człowieka. Nigdy się nie dowiemy, jaki byłby, gdyby był w porządku. A pan, panie Rodzie sto pięćdziesiąty pierwszy, gdyby nie był tak pochłonięty własnymi problemami, toby sobie przypomniał kim ja jestem.

– Kim jesteś? – zapytał więc Rod.

– Jestem córeczką tatusia.

– No to co? – zdziwił się Rod. – Jak każda dziewczyna.

– Więc ty chyba nic o mnie nie wiesz. Ja jestem tą Córeczką tatusia, z *Piosenki córeczki tatusia*.

– W życiu jej nie słyszałem.

Spojrzała na niego tak, jakby miała zaraz zalać się łzami.

– To teraz posłuchaj, zaśpiewam ci ją. To wszystko prawda, prawda.

*Nie rozumiesz, jak ten świat działa,  
Mam nadzieję, że się nigdy nie dowiesz.  
Moje serce – nadzieja w nim grała,  
Teraz cisza panuje jak w grobie.  
Żona mi zwariowała.*

*Nosiła mój pierścień, oznakę miłości,  
W pełni sił młodości.  
Zrodziła mi dzieci, ale potem, potem...  
I nie zostało nic.  
Żona mi zwariowała.*

*Teraz żyje zupełnie gdzie indziej,  
Na wpół zdrowa, choć młoda nie będzie.*

*Ja – jej wrogiem, choć ją kiedyś kochałem.  
Każde z nas nosi dziś inną twarz.  
Żona mi zwariowała.*

*Nie rozumiesz, jak ten świat działa,  
Wojna nie jest najgorszą z katastrof.  
Mogą zniknąć gwiazdy z twoich oczu,  
W głowę może uderzyć grom.  
Żona mi zwariowała.*

– Widzę, że już to słyszałeś. – Westchnęła. – A to mój ojciec wszystko napisał. O matce. O mojej matce.

– Oj, Lavinia – powiedział Rod. – Jak mi przykro. Nie przyszło mi do głowy, że to o ciebie chodziło. A jesteś moją kuzynką ledwo w trzeciej czy czwartej linii. Ale wiesz, coś tu się nie zgadza. Jak to możliwe, że twoja matka zwariowała? Była u mnie w zeszłym tygodniu i wyglądała całkiem w porządku.

– Bo nie zwariowała – odparła Lavinia. – To ojciec wariował. Wymyślił tę okrutną piosenkę o matce, nawet sąsiedzi się na niego poskarżyli. Miał do wyboru: albo Komnata Chichotów, albo szpital, gdzie będzie obłąkany i nieśmiertelny. Cały czas tam siedzi. A Honsek, on mi groził, że jak nie zrobię, o co prosi, to ściągnie go tu z powrotem. Myślisz, że coś takiego mogłabym mu wybaczyć? W życiu. Po tym, jak ludzie mi to od dzieciństwa w kółko śpiewali? Zdziwiony jesteś, że znam ją na pamięć?

Rod kiwnął głową.

Problemy Lavinii zrobiły na nim wrażenie, ale miał swoje.

Na Norstrilii słońce nigdy zanadto nie grzało. Mimo to nagle poczuł się spragniony i zrobiło mu się gorąco. Chciał spać, ale niepokoily go czające się dookoła niebezpieczeństwa.

Uklękła obok niego.

– Rod, zamknij na chwilę oczy. Będę mówić bardzo cicho, może poza twoimi służącymi Billem i Hopperem nikt nie zauważy. Kiedy przyjdą, ukryjemy się na cały dzień, a wieczorem pójdziemy do twojego komputera



i tam się schowamy. Powiem im, żeby przynieśli jedzenie. – Zawahała się. – A, jeszcze, Rod?

– Tak?

– Wybacz mi.

– Co wybacz?

– Moje problemy – powiedziała ze skruchą.

– Teraz masz jeszcze jeden problem. Mnie – stwierdził. – Nie obwiniajmy się nawzajem, ale na litość owczą, dziewczyno, daj mi spać.

I odpłynął w sen, gdy ona siedziała obok niego, pogwizdując przeciągłe, długie, niepasujące do siebie nuty. Wiedział, że niektórzy, przeważnie kobiety, robią tak, gdy starają się skupić na emisji telepatycznej.

Nim zasnął, raz jeszcze na nią zerknął. Zauważył, że oczy ma dziwnego, intensywnie niebieskiego koloru. Jak te szalone, dalekie nieba na Starej Ziemi.

Zasnął, a we śnie czuł, że go niosą.

Ręce, które go niosły, wydawały mu się jednak przyjazne, więc tylko ułożył się wygodniej i zapadł w głęboki, jeszcze głębszy sen, pozbawiony sennych marzeń.

## PIENIĄDZE BID-NE I WROG-IE

Gdy wreszcie się obudził, poczuł, że bark ma ciasno obwiązany, a ręka pulsuje bólem. Walczył z przebudzeniem, gdyż w miarę jak mózg przytomniał, ból się nasilał. Potem jednak to właśnie ból i szmer głosów wokół zmusiły go, by przebił twardą, jasną powierzchnię rzeczywistości.

Szmer głosów?

Na Starej Australii Północnej nie zdarzało się słyszeć szmeru głosów. Ludzie siedzieli sobie wkoło, mówili do siebie i słyszeli odpowiedzi, w ogóle nie poruszając strunami głosowymi. Telepatia pozwalała na szybką i błyskotliwą rozmowę, rozmówcy strzelali myślami tam i z powrotem, od czasu do czasu podnosząc osłony, by dać efekt dyskretnego szeptu.

Tu jednak słyszał głosy. Wiele głosów.

Niemożliwe.

I zapach też był jakiś dziwny. Powietrze było wilgotne – obficie, rozrzutnie nawilżone, jak u nędzarza, który chce nałapać do domu trochę ulewy!

Prawie, prawie jak w furgonie Ogrodu Śmierci.

Na progu przebudzenia rozpoznał głos Lavinii śpiewającej dziwną piosneczkę. Rod znał ją – miała wpadającą w ucho smutną melodię, nieprzypominającą żadnej innej. Śpiewała – i brzmiało to jak jeden z tych dziwnych lamentów, które ich lud przywiózł na pamiątkę okropnych przejść na opuszczonej planecie Raj VII:

*Ktoś tam jest czy wszyscy pomarli  
Nad zielonoszarocznym jeziorem.*

*Błękit nieba czerwienią się stał  
Nad zielonobrzozowym borem.*

*Dom niegdyś wielki małym się wydaje  
Nad zielonoszarocznym jeziorem.  
I dziewczyny mi znanej też już nie zastanę  
W tym smutnym i rozdartym domiszczu.*

Otworzył oczy i kątem oka rzeczywiście dostrzegł Lavinie. Ale to wszystko wokół to nie był dom. To była komora, szpital, więzienie, statek, jaskinia lub twierdza. Meble były wykonane maszynowo i komfortowe, światło – sztuczne, prawie brzoskwińskie w kolorze. Dziwne buczenie w tle kojarzyło się wręcz z pozaświatowymi silnikami, użytymi do celów, na które norstrilijskie prawo nigdy nie zezwalało prywatnym osobom. Nad Rodem pochylił się lord Krasnadama; ten niesamowity człowiek też zaczął coś śpiewać. Brzmiało to tak:

*Zapal lampę,  
Zapal lampę,  
Zapal lampę,  
Pły-nie-my!*

A widząc dezorientację Roda, wybuchnął śmiechem.

– Chłopcze, to jest najstarsza piosenka, jaką w życiu słyszałeś. Jest przedkosmiczna i kiedyś nazywała się „alarm bojowy”; w czasach, kiedy po ziemskich wodach pływały statki jak wielkie żelazne domy i walczyły ze sobą. Czekaliśmy, aż się obudzisz.

– Woda – powiedział Rod – poproszę wody. Czemu pan mówi?

– Woda! – krzyknął lord Krasnadama do kogoś za plecami. Odwrócił się z powrotem do Roda, a jego ostra, chuda twarz emanowała ekscytacją. – A mówię, bo mamy włączony zagłuszacz. Na moim statku, jak ktoś chce rozmawiać, to ma, do diaska, używać głosu!

– Na statku? – zdziwił się Rod, sięgając po podany mu kubek zimnej, zimnej wody.

– Tak, to jest mój statek, panie i właścicielu McBanie CLI! Ziemski statek. Ściągnąłem go z orbity i za zgodą Wspólnoty wylądowałem. Ale jeszcze nie wiedzą, że na nim jesteś. Nie potrafią cię znaleźć, bo włączyłem mój Rozfazowywacz Ludzkich i Maszynowych Fal Mózgowych. Przez to nikt się nie przebije myślą, a jeśli ktoś spróbuje na statku używać telepatii, tylko rozboli go głowa.

– Ale dlaczego właśnie pan? I po co?

– W swoim czasie – oznajmił lord Krasnadama. – Pozwól, że najpierw cię przedstawię. Tych ludzi znasz. – Wskazał ręką grupkę.

Lavinia siedziała razem z jego parobkami Billem i Hopperem, ze służącą Eleanor i ciotką Doris. Dziwnie wyglądali na niskich, miękkich, luksusowych ziemskich meblach. Wszyscy popijali jakiś ziemski trunek o barwie, jakiej Rod w życiu nie widział. Miny mieli rozmaite; Bill miał bojową, Hopper – chciwą, ciotka Doris – niezwykle zakłopotaną, Lavinia zaś wyglądała, jakby się dobrze bawiła.

– A tutaj oto... – powiedział lord Krasnadama.

Człowiek, którego wskazał, mógł wcale nie być człowiekiem. Typ miał norstrilijski, ale był olbrzymem – a tacy zawsze przepadali w Ogrodzie Śmierci.

– Do usług – powiedział olbrzym. Miał prawie trzy metry wzrostu i musiał uważać na głowę. – Jestem Donald Dumfrie Hordern Anthony Garwood Gaines Wentworth czternasty, panie i właścicielu McBanie. Jestem wojskowym chirurgiem, do usług, sir!

– Ale to jest prywatny statek. Chirurgom wolno pracować tylko dla władz państwowych.

– Wypożyczono mnie władzom Ziemi – powiedział olbrzym Wentworth, uśmiechając się szeroko.

– A ja – dodał lord Krasnadama – jestem przedstawicielem dyplomatycznym tak Instrumentalności, jak i władz Ziemi. Ja go wypożyczyłem. Teraz obowiązuje go ziemskie prawo. Za dwie-trzy godziny będziesz całkiem zdrowy.

Doktor Wentworth zerknął na przegub, jakby miał tam chronograf.

– Dokładnie za dwie godziny i siedemnaście minut.

– Wszystko jedno – uciał lord Krasnadama. – A oto nasz ostatni gość.

Niski człowiek o złej minie wstał i podszedł do niego. Łypnął na Roda i ze złością wyciągnął dłoń.

– John Fisher setny. Pan mnie zna.

– Znam? – zdziwił się Rod, nie z nieuprzejmości. Był jeszcze oszołomiony.

– Stanica Świeżego Joeya? – dodał Fisher.

– Nie byłem – odparł Rod – ale słyszałem.

– Nie trzeba było być – warknął gniewnie Fisher. – Spotkaliśmy się u pańskiego dziadka.

– Ach, no tak, panie i posiadaczu Fisherze – powiedział Rod. Dalej nie kojarzył; zastanawiał się tylko, czemu ten niski, rumiany facet jest tak na niego wściekły.

– Nie wie pan, kim ja jestem? – dodał Fisher. – Obsługuję rządową księgowość i kredyty.

– Świetna praca – powiedział Rod. – I na pewno bardzo trudna. Czy mógłbym dostać coś do jedzenia?

Lord Krasnadama przerwał:

– Masz może ochotę na francuskiego bażanta w chiniańskim sosie, podlanego złodziejskim winem z Violi Siderei? Będzie to cię kosztowało zaledwie sześć tysięcy ton czystego złota na orbicie okołoziemskiej, jeśli zamówię z dostawą specjalnym kurierem.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Mężczyźni odstawili szklanki, żeby nie rozlać trunku. Hopper skorzystał z okazji, by go sobie dolać. Ciotka Doris wyglądała na ubawioną i w głębi duszy dumną, jakby sama zniosła diamentowe jajo, albo coś równie wspaniałego. Tylko Lavinia, mimo że się śmiała, jednocześnie była w stanie patrzeć na Roda współczująco, żeby nie poczuł, że z niego szydzą. Lord Krasnadama śmiał się równie głośno, jak reszta – nawet niski, rozzłoszczony John Fisher pozwolił sobie na wąski uśmieszek, jednocześnie wyciągając rękę po dolewkę napitku. Zwierzę, małe,

wyglądające jak bardzo mały człowieczek, podniosło butelkę i napełniło mu szklanekę; Rod podejrzewał, że to jest „małpa” ze Starej Starej Ziemi – słyszał kiedyś o nich.

Rod nie zapytał nawet, na czym polega ten żart, choć dobrze zdawał sobie sprawę, że jest jego obiektem. Uśmiechnął się tylko do nich wszystkich, słabo, czując coraz silniejszy głód.

– Mój robot przyrządza ci ziemskie danie. Tosty francuskie z syropem klonowym. Mógłbyś żyć na tej planecie dziesięć tysięcy lat i nigdy czegoś takiego nie spróbować. Rod, czy ty nie wiesz, czemu się śmiejemy? Nie wiesz, co zrobiłeś?

– Zdaje się, że Honsek próbował mnie zabić – powiedział Rod.

Lavinia poderwała dłoń do ust, ale było już za późno.

– A, więc to był on – powiedział tubalnym głosem olbrzymia doktor Wentworth.

– Ale przecież byście się nie śmiali... – zaczął mówić Rod. Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. – Ach, czyli to się naprawdę udało? Te numery z moim starym rodzinnym komputerem...

Śmiech rozległ się znowu. Był miły, ale jednak był to śmiech wiejskich chłopków, którzy na wszystko co nieznanne reagują agresją lub śmiechem.

– Tak, zrobiłeś to – powiedział Hopper. – Kupiłeś jakiś miliard światów.

John Fisher warknął na niego.

– Bez przesady. Zyskał jakieś jeden koma sześć rocznego zbioru strunu. Za to nie kupi się miliarda światów. Po pierwsze, w ogóle nie ma miliarda zasiedlonych światów. Nawet miliona nie ma. Po drugie, nie za wiele z nich jest na sprzedaż. Wątpię, żeby udało mu się kupić choć trzydzieści czy czterdzieści.

Zwierzátko, na niedostrzegalny sygnał lorda Krasnadamy, wyszło z pokoju i wróciło z tacą. Unoszący się z niej zapach sprawił, że wszyscy z uznaniem pociągnęli nosami. Jedzenie było nieznanym, ale przyjemnie łączyło ostrość ze słodyczą. Małpka wsunęła krawędź tacy w sprytnie zamaskowaną szczelinę w oparciu kanapy Roda, zdjęła z głowy wyimaginowaną małpią czapeczkę, zasalutowała i wróciła do swojego kosza za fotelem lorda Krasnadamy.

Lord Krasnadama kiwnął głową.

– Jedz, chłopcze. Ja stawiam.

Rod usiadł. Koszulę nadal miał pokrytą zakrzepłą krwią. Uświadomił sobie, że nadaje się tylko do wyrzucenia.

– Dziwny to widok, muszę przyznać – powiedział ogromny doktor Wentworth. – Najbogatszy człowiek wielu światów, a nie ma na nowy kombinezon.

– A co w tym dziwnego? Od zawsze doliczamy do każdego importu z orbity dwadzieścia milionów procent cła – warknął John Fisher. – Masz w ogóle pojęcie, co ludzie tam naściągali, na orbitę wokół naszego słońca, żeby tylko czekało, aż zmienimy zdanie i można nam będzie sprzedać furę śmiecia z całego wszechświata? Gdybyśmy obniżyli cło, brodzilibyśmy po kolana w tym złomie. Nie spodziewałem się po panu, doktorze, że zapomni pan o fundamentalnej regule Starej Australii Północnej.

– On się nie skarży – powiedziała ciotka Doris, która po napitku zrobiła się rozmowna. – On tylko głośno myśli. Wszyscy myślimy.

– Oczywiście, że myślimy. Albo śnimy na jawie. Niektórzy wyjeżdżają poza planetę, żeby żyć w bogactwie na innych światach. Paru udaje się nawet wrócić, na surowych warunkach, kiedy uświadomią sobie, jak tam jest. Ja tylko mówię – ciągnął doktor – że sytuacja Roda wyglądałaby dla każdego bardzo dziwnie, ale nie dla nas, Norstrilijczyków. Wszyscy jesteśmy bogaci dzięki eksportowi strunu, ale pozostaliśmy biedni, żeby przetrwać.

– Kto tu jest biedny? – oburzył się parobek Hopper, ewidentnie dotknięty w czuły punkt. – Mogę się spokojnie zmierzyć z panem na kredyty, panie doktorze, niech tylko pan zechce zasiąść do gry! Albo na rzucanie nożami do celu, jeszcze lepiej. W tym nie mam sobie równych!

– Właśnie o to mi chodziło – powiedział John Fisher. – Hopper może tak powiedzieć do każdego na naszej planecie. Wciąż jesteśmy równi, wciąż jesteśmy wolni, nie jesteśmy ofiarami własnego bogactwa – oto cała Norstrilia!

Rod uniósł wzrok znad posiłku i powiedział:

– Panie sekretarzu, jak na kogoś, kto nie jest dziwadłem jak ja, bardzo dobrze pan mówi. Jak pan do tego doszedł?

Fisher znów zrobił wściekłą minę, choć naprawdę nie był zły:

– A pan myśli, że zapisy księgowe da się dyktować telepatycznie? Setki lat życia poświęciłem na dyktowanie tego wszystkiego do cholernego mikrofonu. A wczoraj przez większość dnia dyktowałem wyliczenia tego, co się przez pana narobiło w finansach Wspólnoty Narodów na najbliższe osiem lat. I wie pan, co zrobię na następnym posiedzeniu Rady Wspólnoty?

– Co?

– Wniosę o wywłaszczenie tego pańskiego komputera. Jest za mocny, żeby znajdować się w prywatnych rękach.

– Nie wolno panu! – wrzasnęła ciotka Doris, nieco złagodniała pod wpływem ziemskich trunków. – To własność rodzinna MacArthurów i McBanów!

– Świątynię możecie sobie zatrzymać – prychnął Fisher – ale żadna cholerna rodzina drugi raz nie przechytrzy całej planety. Wiecie w ogóle, że ten chłopaczek, co tu siedzi, ma teraz cztery megakredyty na Ziemi?

Bill czknął.

– Nawet ja mam więcej.

Fisher warknął na niego.

– Na Ziemi? W pieniądzach WROG-ich?

W pokoju zapadła nagła cisza.

– W pieniądzach WROG-ich? Cztery megakredyty? To mógłby kupić Starą Australię i przywieźć całą do nas? – Bill błyskawicznie wytrzeźwiał.

Lavinia wtrąciła łagodnie:

– A co to są „pieniądze WROG-ie”?

– A pan wie, panie McBanie? – zapytał stanowczym tonem Fisher. – Pan powinien wiedzieć, bo ma tego więcej niż ktokolwiek w historii.

– Nie chcę rozmawiać o pieniądzach – stwierdził Rod. – Chcę się dowiedzieć, co kombinuje ten cały Honsek!

– Nim się nie przejmuj! – powiedział lord Krasnadama, zrywając się na równe nogi i dramatycznym gestem pokazując na siebie. – Jako przedstawiciel Ziemi wniosłem przeciwko niemu sześćset osiemdziesiąt



pięć pozwów cywilnych jednocześnie, w imieniu twoich ziemskich wierzycieli, którzy obawiają się, że stanie ci się coś złego...

– Naprawdę? – zdziwił się Rod. – Już?

– Oczywiście, że nie. Znają tylko twoje nazwisko i wiedzą, że ich wykupiłeś. Ale gdyby wiedzieli, naprawdę by się obawiali, więc jako twój pełnomocnik zarzuciłem Honorowego Sekretarza Houghtona Syme'a taką liczbą spraw, jakiej nikt na tej planecie w życiu nie widział.

Wielki doktor zachichotał.

– Niech mnie kule, bardzo to sprytnie z pana strony! Pan całkiem nieźle zna nas, Norstrilijczyków, muszę powiedzieć. U nas, jak się kogoś oskarża o zabójstwo, to zanim stanie przed sądem, zdąży popełnić jeszcze parę innych. Tak się objawia nasze upodobanie do wolności. Ale pozwy cywilne! Jasna wełna! Do końca życia się z nich nie wygrzebie.

– A czy on jeszcze honsekuje? – zapytał Rod.

– To znaczy? – odpowiedział pytaniem Fisher.

– Czy jeszcze ma to stanowisko Honseka?

– A, no tak – odrzekł Fisher – ale daliśmy mu dwieście lat urlopu, a on, biedak, przeżyje co najwyżej ze sto dwadzieścia. I przez większość tego czasu będzie kwitł w sądzie na tych cywilnych rozprawach.

Rod wreszcie odetchnął. Skończył posiłek. Mały, urządzony elegancko, na wysoki połysk, pokoik, ciągłe brzęczenie głosów – czuł się przez to jak we śnie. Oto wkoło stali dorośli mężczyźni i rozmawiali głosami, jakby naprawdę byli na Starej Ziemi. Skupiali się na jego sprawach, nie dlatego że był Roderickiem Frederickiem Ronaldem Arnoldem Williamem MacArthurem McBanem sto pięćdziesiątym pierwszym, ale dlatego że był Rodem, młodym chłopakiem, który sięgnął po ryzykowną fortunę. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Rozmowy przypadkiem akurat ucichły. Patrzyli na niego, a w ich twarzach widział coś całkiem nowego. Co to było? Nie miłość. Raczej wytężona uwaga, połączona z pobłażliwym i przyjemnym zainteresowaniem. Potem uświadomił sobie, co oznacza takie spojrzenie. Obdarzali go podziwem, zwykle zastrzeżonym dla krykiecistów, tenisistów i innych sławnych sportowców – jak tego słynnego Hopkinsa Harveya, który poleciał na pozaświaty i pokonał w zapasach

„siłacza” z planety Wereld Schemering. Już nie był po prostu Rodem. Był ich zuchem.

Jako zuch uśmiechnął się do nich niewyraźnie i poczuł ochotę, by się rozplakać.

Milczenie przerwał wielki doktor, rzucając obcesową uwagę:

– Panie i posiadaczu Fisher, pora już mu chyba powiedzieć. Nie będzie się długo cieszyć tym całym majątkiem, jeśli się zaraz nie ruszy. Ani życiem.

Lavinia podskoczyła i krzyknęła:

– Nie możecie zabić Roda...

Doktor Wentworth powstrzymał ją:

– Siadaj. Nie planujemy go zabijać. A ty tam, uspokój się! Jesteśmy swoi!

Rod powiódł za spojrzeniem doktora i zobaczył, że Hopper już powędrował dłonią do wielkiego noża, który miał za paskiem. Był gotowy walczyć z każdym, kto zaatakuje Roda.

– Siadajcie, siadajcie wszyscy, proszę! – odezwał się lord Krasnadama, brzmiąc trochę nerwowo ze swoim śpiewnym ziemskim akcentem. – Ja tu jestem gospodarzem. Siadajcie. Nikt dziś nie będzie Roda zabijał. Doktorze, za stół. Proszę usiąść. Niech pan już nie naraża mojego sufitu ani swojej głowy. Jaśnie pani – dodał, zwracając się do ciotki Doris – proszę usiąść tam, na drugim krześle. Teraz wszyscy widzimy doktora.

– A nie możemy poczekać? – odezwał się Rod. – Muszę się przespać. Chcecie, żebym teraz podejmował jakieś decyzje? Ale ja się nie nadaję, nie po tym, co niedawno przeszedłem. Cała noc przed komputerem. Długa wędrówka. I ten ptak od Honseka...

– Jeśli nie podejmiesz tych decyzji teraz, to nie będzie już żadnych decyzji – powiedział stanowczo, choć łagodnie, doktor. – Bo nie przeżyjesz.

– A kto niby ma mnie zabić? – zapytał Rod.

– Każdy, kto chce zdobyć pieniądze. Albo władzę. Albo nieskończone życie. Albo chce tych rzeczy, żeby zaspokoić coś innego. Żądę zemsty. Kobietę. Obsesję. Uzależnienie. Teraz nie jesteś po prostu zwykłym Norstrilijczykiem, Rod. Jesteś ucieleśnieniem całej Norstrilii. Jesteś Pan

Kasa! Nie pytaj, kto chce cię zabić! Pytaj, kto nie chce! My nie... raczej. Ale nie wódź nas na pokuszenie.

– To ile ja mam tych pieniędzy?

Wtrącił się gniewny John Fisher:

– Tyle, że komputery się zablokowały podczas liczenia. Około półtoraroczne zbiory strunu. Jakies trzysta lat całkowitych dochodów Starej Ziemi. Przez ostatnią noc wysłałeś więcej wiadomości natychmiastowych niż rząd Wspólnoty Narodów przez ostatnie dwanaście lat. Takie wiadomości kosztują. Jeden kilokredyt w pieniądzach WROG-ich za sztukę.

– Już dawno temu pytałam, co to te „pieniądze WROG-ie” – odezwała się Lavinia – i nikt nie zechciał mi wytłumaczyć.

Lord Krasnadama stanął na środku podłogi, w postawie, jakiej nikt ze Starej Australii Północnej nigdy nie widział – niczym mistrz ceremonii otwierający szczególnie uroczystą imprezę w wielkim klubie nocnym – ale ludziom, którzy tych gestów nie znali, wydawały się osobliwe, choć przejrzyste i dziwnie eleganckie.

– Szanowni państwo, panie i panowie – użył wyrażenia, które większość z nich spotykała wyłącznie w książkach – podam teraz napoje, a inni będą mówić. Udzielę głosu każdemu po kolei. Panie doktorze, czy będzie pan uprzejmy poczekać? Chciałbym, aby pierwszy wypowiedział się Sekretarz Finansowy.

– Według mnie – wtrącił poirytowany doktor – chłopak powinien przemyśleć swoją decyzję. Czy chce, żebym go tu na miejscu, dziś wieczorem, przekroił na pół, czy też nie? To chyba powinno być najważniejsze, nie sądzi pan?

– Panie i panowie – powiedział lord Krasnadama – pan doktor Wentworth podniósł istotnie bardzo ważną kwestię. Nie ma jednak sensu pytać teraz Roda, czy chce być przecięty na pół, jeśli on sam nie wie, dlaczego ma się to stać. Panie sekretarzu, czy mógłby nam pan opowiedzieć, co wydarzyło się wczoraj w nocy?

John Fisher wstał. Był tak przysadzisty, że niczego to nie zmieniało. Podejrzliwe spojrzenie inteligentnych piwnych oczu przeskoczyło po

wszystkich.

– Jest tyle rodzajów pieniędzy, ile zaludnionych światów. Na Norstrilii nie nosi się ich ze sobą, ale na niektórych planetach używa się do rozliczeń kawałków papieru albo metalu. My wszystkie transakcje przekazujemy do centralnych komputerów, które je dla nas rozliczają. No dobra, a co by się stało, gdybym zechciał kupić parę butów?

Nikt nie odpowiedział. Fisher nie oczekiwał zresztą odpowiedzi.

– Poszedłbym – ciągnął – do sklepu, obejrzałbym na ekranie buty, które pozaświatowi sprzedawcy trzymają na orbicie, wybrał sobie takie, jakich potrzebuję. Jaka jest dobra cena za parę butów na orbicie?

Hopper miał już dość tych retorycznych pytań, więc pośpiesznie odpowiedział:

– Sześć grosików.

– Dokładnie. Sześć minikredytów.

– W orbitalnych pieniądzach. Nie zapominaj o cło – dodał Hopper.

– Właśnie. A ile wynosi cło? – warknął znów John Fisher.

Hopper odburknął w odpowiedzi:

– Dwieście tysięcy razy tyle, co wy cholerne bałwany tam to ustalacie w tej swojej Radzie.

– Panie Hopper, a pan mógłby kupić buty? – zapytał Fisher.

– Oczywiście, że tak! – Parobek znów zrobił wojowniczą minę, ale lord Krasnadama tymczasem napełnił mu szklankę. Powąchał ją, złagodniał i dodał: – Ale o co panu chodzi?

– Chodzi o to, że pieniądze na orbicie to pieniądze BID-ne. Bezpieczne i Dostarczone. To dowolne pieniądze z pokryciem w jakimś towarze. Najlepsze pokrycie stanowi oczywiście strun, ale może być i złoto, rzadkie metale, drogie przedmioty, i tak dalej. To są po prostu pieniądze poza planetą, w rękach odbiorcy. A teraz: ile skoków musi zrobić statek, żeby dotrzeć na samą Starą Ziemię?

– Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt – odezwała się nieoczekiwanie ciotka Doris. – Nawet ja to wiem.

– A ile statków dociera do celu?

– Wszystkie – odparła.

– Oj, nie! – zawołali chórem mężczyźni. – Ginie jeden na sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt rejsów, zależnie od pogody słonecznej, umiejętności światłostrzelców i lot-kapitanów, wypadków przy lądowaniu. Ktoś z was widział na oczy starego lot-kapitana?

– Tak – wtrącił ponuro Hopper. – Nieżywego, w trumnie.

– Więc jeśli chcecie coś przewieźć na Ziemię, musicie opłacić wasz udział w drogich statkach, w pensjach lot-kapitanów i ich załóg, w ubezpieczeniach dla ich rodzin. Wiecie, ile by kosztowało przewiezienie tego fotela z powrotem na Ziemię? – zapytał Fisher.

– Trzysta razy tyle, co jest warte – powiedział doktor Wentworth.

– Blisko. Dokładnie dwieście osiemdziesiąt siedem razy.

– A skąd pan to wszystko, kumbra, wie? – odezwał się nagle Bill. – I po co tracimy czas na te wszystkie czochrane bajędoły?

– Proszę uważać na słowa – powiedział John Fisher. – Nie przy damach, kumbra. Mówię wam o tym, bo jeśli Rod ma przeżyć i zachować bogactwo, musimy go dzisiaj wyekspediować na Ziemię!

– To pan tak mówi! – krzyknął Bill. – A ja mówię: dawać go z powrotem do domu. Obkupimy się w ładne małe bombki i damy radę każdemu, kto przebije się przez norstrilijską obronę graniczną. Na co, kumbra, idą wszystkie nasze podatki, jeśli nie na to, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo? Cicho pan bądź, my bierzemy chłopaka do domu. Chodź no, Hopper.

Lord Krasnadama wyskoczył na środek pomieszczenia. Już nie był wygłupiającym się i popisującym Ziemiakiem. Był lordem Instrumentalności we własnej osobie, który przeżywał dzięki sile ognia i sile własnego umysłu. W dłoni trzymał coś, czego nikt z nich wyraźnie nie widział.

– Jeśli ktoś się ruszy – powiedział – morderstwo dokona się tu i teraz. I ja je popełnię. Naprawdę, moi państwo. Niech ktoś tylko spróbuje. A jeśli popełnię morderstwo, zaaresztuję sam siebie, postawię sam siebie przed sądem i uniewinnię. Taką mam władzę, proszę państwa. Nie zmuszajcie mnie, żebym z niej skorzystał. Ani udowadniał, na co mnie stać. – Migotliwy przedmiot w jego dłoni zniknął. – Panie doktorze Wentworth,

pan jest mi użyczony i podlega mi w całej rozciągłości. Reszta państwa jest moimi gośćmi. Żeby nie było, że nie ostrzegałem. Nikt nie waży się tknąć chłopaka. Ta kabina jest terytorium Ziemi. – Odstąpił odrobinę w bok i spojrzał na nich ostro swoimi dziwnymi ziemskimi oczyma.

Hopper demonstracyjnie splunął na podłogę.

– Rozumiem, że jeśli pomogę staremu Billowi, zostanie ze mnie, kumbra, mokra plama?

– Coś w tym stylu – odparł lord Krasnadama. – Chce pan sprawdzić? – Teraz w obu rękach miał te trudne do dostrzeżenia przedmioty. Przeskakiwał wzrokiem między Billem i Hopperem.

– Cicho bądź, Hopper. Zabierzemy Roda, jeśli nam powie, że chce iść. Ale jeśli nie, to, kumbra, nie ma znaczenia. Co nie, panie i właścicielu McBanie?

Rod obejrzał się za siebie, szukając dziadka. Dziadek dawno zmarł – zrozumiał więc, że mówią do niego. Rozdarty między sennością i niepokojem odpowiedział:

– Nie idę z wami, moi chłopcy. Ale dziękuję, że mnie pilnowaliście. Proszę kontynuować, panie sekretarzu, o tych pieniądzach wrogich i bidnych.

Broń zniknęła z rąk lorda Krasnadamy.

– Nie podoba mi się ta ziemska broń – powiedział Hopper, bardzo głośno, wyraźnie i do nikogo konkretnego – i nie podobają mi się ziemscy ludzie. Same obowiązki mają w głowie. Nic z porządnego, uczciwego żula.

– Napijcie się, chłopaki – odparł lord Krasnadama z demokratyczną serdecznością, tak fałszywą w jego głosie, że nawet służąca Eleanor, milcząca przez cały wieczór, roześmiała się chrapliwie, kracząc jak kukabura piejąca na drzewie. Spojrzał na nią ostro, zabrał jej dzban z napitkiem i kiwnął głową na Sekretarza Finansowego, Johna Fishera, by mówił dalej.

Fisher był zdenerwowany. Ewidentnie nie podobały mu się te ziemskie praktyki, z błyskawicznymi groźbami i wyciąganiem broni w pomieszczeniach, ale lord Krasnadama, choćby i był na Starej Ziemi zdegradowany i odesłany jak najdalej, to jednak był akredytowanym

dyplomata Instrumentalności, a Instrumentalności nawet Stara Australia Północna nie chciała następować na odcisk. Różne rzeczy się mówiło o światach, które to zrobiły.

Powoli, sapiąc, wznowił wykład:

– Za wiele to tego nie ma. Jeśli pieniądze z każdym skokiem tracą trzydzieści trzy i jedną trzecią procent, a na Starą Ziemię trzeba przeskoczyć pięćdziesiąt pięć razy, widać, że trzeba tu na orbicie mieć furę pieniędzy, żeby na Ziemi został jeden minikredyt. Bywają szanse na lepszy przelicznik – rząd Wspólnoty czasami miesiącami i latami czeka na korzystniejszy kurs, a wtedy oczywiście wysyłamy nasz towar uzbrojonymi statkami żaglowymi, które w ogóle nie schodzą pod przestrzeń. Po prostu lecą sobie setki tysięcy lat, a nasze krążowniki wyskakują naokoło nich i wskakują z powrotem. Pilnują, żeby nikt ich w drodze nie obrabował. A norstrilijskie roboty mają parę cech, o których nikt z was nie wie, o których nie wie nawet Instrumentalność... – Tu rzucił szybkie spojrzenie lordowi Krasnadamie, który nie zareagował. Kontynuował więc: – Dzięki czemu zupełnie się nie opłaca wchodzić im w drogę. I napady nie zdarzają się prawie nigdy. A mamy jeszcze rzeczy gorsze od matki Hitton i jej kotecków. Ale: pieniądze i strun, gdy już dotrą na Starą Ziemię, nazywają się pieniędzmi WROG-imi: W.R.O.G. – W Regularnym Obrocie Globalnym. To są najlepsze możliwe pieniądze. Poza tym to Ziemia ma główny komputer handlowy. Czy raczej miała.

– Miała? – zdziwił się lord Krasnadama.

– Wczoraj w nocy się zepsuł. Rod go zepsuł. Przeciążył.

– Niemożliwe! – zawołał lord. – Zaraz sprawdzę.

Podszedł do ściany, wysunął z niej blat biurka. Zalśniła niesamowicie miniaturowa konsola. W niecałe trzy sekundy zapłonęły wszystkie kontrolki. Krasnadama przemówił do niej, głosem jasnym i zimnym jak lód, o którym wszyscy słyszeli:

– Priorytet. Instrumentalność. Poniżej wojennego. Natychmiastowa wiadomość. Natychmiastowa wiadomość. Nadawca: Krasnadama. Adresat: Ziemioport.

– Potwierdzone – powiedział norstrilijski głos – opłata pobrana.

- Tu Ziemioport – rozległ się wypełniający pokój świszczący szept.
- Krasnadama... Instrumentalność... oficjalny... centputer... działa... pytanie... ładunek... zatwierdzony... pytanie... koniec.
- Centputer... działa... ładunek... zatwierdzony... odbiór... koniec. – Szept ucichł.

Stojący wokół ludzie właśnie zobaczyli na własne oczy roztrwonienie ogromnej fortuny. Nawet jak na Norstrilijskie standardy, wiadomości szybsze od światła były czymś, z czego rodzina korzysta może dwa razy na tysiąc lat. Patrzyli na Krasnadamę, jakby był złoczyńcą o osobliwych mocach. Natychmiastowa odpowiedź Ziemi na pytanie chudego mężczyzny przypominała im, że choć może to Stara Australia Północna produkuje bogactwo, to jednak przeważnie Ziemia nim handluje, a superrząd Instrumentalności sięga w takie miejsca, gdzie nikt z Norstrilii nawet nie chciałby się zapuszczać.

Lord Krasnadama odezwał się łagodnym tonem:

– Centralny komputer jednak działa, jeśli wasze władze potrzebują się z nim skonsultować. A „ładunek” to jest ten chłopak.

– Powiedziałeś Ziemi o mnie? – zapytał Rod.

– Dlaczego nie? Chcemy, żebyś tam dotarł cały i zdrowy.

– Ale bezpieczeństwo tych wiadomości...? – odezwał się doktor.

– Mam hasła, których nie pozna żaden umysł z zewnątrz – powiedział Krasnadama. – Proszę dokończyć, panie Sekretarzu Finansowy. Powiedzieć chłopakowi, czym dysponuje na Ziemi.

– Twój komputer pokonał w obliczeniach nasz rząd – powiedział Rodowi John Fisher setny – zastawił wszystkie twoje działki, wszystkie twoje owce, wszystkie twoje koncesje handlowe, skarby rodzinne, prawo do nazwiska MacArthur, prawo do nazwiska McBan i samego siebie. I za to wszystko kupił kontrakty terminowe. Oczywiście nie on kupił. Ty kupiłeś.

Rod, oprzytomniawszy na te słowa, zorientował się, że zasłania dłonią usta, taki był zaskoczony.

– Ja kupiłem?

– Wykupiłeś kontrakty terminowe na strun i od razu wystawiłeś je na sprzedaż. A sprzedaż blokowałeś, przerzucając własność i zmieniając ceny,



tak że nawet centralny komputer nie zorientował się, co robisz. Wykupiłeś prawie cały ósmy rok od teraz, większość siódmego i trochę szóstego. A wszystkie zakupy od razu zastawiałeś i brałeś pod nie kredyty na kolejne. I nagle rozwalileś cały rynek, oferując sprzedaż po fantastycznie niskich cenach, zamieniając kontrakty sześcioletnie na siedmio- i ośmioletnie. Twój komputer wysłał na Ziemię tyle natychmiastowych wiadomości, że ludzie w naszym Departamencie Obrony pozrywali się w środku nocy. Zanim doszli, co się może stać, było za późno. Miałeś już monopol na dwuletni eksport strunu, o wiele więcej niż przewidywano. Rząd w pośpiechu zarządził ponowne przeliczenie pogody, ale ty tymczasem rejestrowałeś już swoje zakupy na Ziemi i ponownie je zastawiałeś, za pieniądze WROG-ie. I za te pieniądze z kolei skupowałeś wszystkie importy idące na Starą Australię Północną – i kiedy rząd wreszcie ogłosił sytuację wyjątkową, miałeś na koncie półtoraroczny zbiór strunu oraz więcej megakredytów w pieniądzach WROG-ich, niż były w stanie obsłużyć ziemskie komputery. Jesteś najbogatszym człowiekiem w historii. I także w przyszłości. Bo dziś rano zmieniliśmy reguły, ja osobiście podpisałem nowy traktat z władzami Ziemi, ratyfikowany przez Instrumentalność. A tymczasem jesteś najbogatszym z najbogatszych w historii tej planety, jesteś także wystarczająco bogaty, żeby kupić całą Starą Ziemię. Zresztą złożyłeś ofertę kupna i kupisz ją, jeśli Instrumentalność cię nie przeliczytuje.

– A czemu by miała? – zapytał lord Krasnadama. – Niech ją sobie weźmie. Będziemy obserwować, co robi z Ziemią po zakupie. Jak to będzie coś złego, zabijemy go po prostu.

– Pan by mnie zabił, lordzie Krasnadama? – powiedział Rod. – Myślałem, że mnie pan ratuje?

– Jedno i drugie – powiedział doktor, wstając. – Rząd Wspólnoty Narodów nie próbował skonfiskować twojej własności, choć ma pewne podejrzenia, co zrobisz z Ziemią po zakupie. Nie pozwoli ci zostać na tej planecie, narażając ją na ryzyko – bo jesteś najbogatszą potencjalną ofiarą porwania w historii. Jutro odbierze ci wszelką własność, chyba że chcesz zaryzykować i pojechać po nią. Takiego samego zdania jest ziemski rząd.

Jeśli jesteś w stanie się obronić, proszę bardzo, przyjeżdżaj. Oczywiście, policja będzie cię pilnować, ale czy to wystarczy? Ja jestem doktorem i zlecono mi, żebym cię wyekspediował na Ziemię, jeśli tak postanowisz.

– A ja, jako funkcjonariusz władz, zaaresztuję cię, jeśli nie polecisz – dodał John Fisher.

– Ja zaś reprezentuję Instrumentalność, która nikomu nie ujawnia swojej polityki, a już na pewno nie ludziom z zewnątrz. Ale moja osobista polityka brzmi – powiedział lord Krasnadama, unosząc ręce i wyginając kciuki w pozbawionym znaczenia, groteskowym, ale jakimś sposobem złowrogim geście – dopilnować, żeby ten chłopak miał bezpieczny przelot na Ziemię i sprawiedliwe traktowanie, kiedy tu wróci!

– Pan będzie go chronił przez całą drogę! – wykrzyknęła bardzo ucieszona Lavinia.

– Całą drogę. Ile sił. Do końca życia.

– To dość długo – mruknął Hopper – ty nadęty, kumbra, bufonie.

– Jak ty się wyrażasz, Hopper – upomniał go lord Krasnadama. – Rod?

– Tak, sir?

– Twoja decyzja? – Lord zabrzmiał stanowczo.

– Jadę – powiedział Rod.

– A co chcesz zdobyć na Ziemi? – zapytał ceremonialnym tonem lord.

– Oryginalny trójkąt z Przylądka.

– Co takiego?! – zawołał lord Krasnadama.

– Trójkąt z Przylądka Dobrej Nadziei. Znaczek pocztowy.

– Co to znaczy „znaczek”? – zapytał zdumiony lord.

– Znaczek pocztowy. Do płacenia za wiadomości.

– Przecież płaci się odciskami kciuka albo oka!

– Nie, nie, chodziło mi o papierowe wiadomości.

– Papierowe wiadomości – zdziwił się lord Krasnadama, robiąc taką minę, jakby usłyszał o trawiastych pancernikach, łysych owcach, żeliwnych kobietach albo czymś równie nieprawdopodobnym. – Papierowe wiadomości? – powtórzył, a potem zaśmiał się wdzięcznie. – Aaa! – powiedział, jakby odkrył jakąś tajemnicę. – Masz na myśli starożytny...

– Oczywiście – potaknął Rod. – Z czasów przedkosmicznych.

– Na Ziemi jest mnóstwo różnych starożytności, myślę, że będzie mile widziane badanie ich, albo nawet kolekcjonowanie. Po prostu nie rób nic złego, inaczej będziesz miał problemy.

– A co jest „złe”? – zapytał Rod.

– Kupowanie prawdziwych ludzi, albo nawet próba zakupu. Przewożenie religii z planety na planetę. Przemycanie podludzi.

– A co to jest „religia”?

– Później, później – powiedział lord Krasnadama. – Jeszcze wszystkiego się dowiesz. Panie doktorze, teraz pana kolej.

Wentworth wstał bardzo ostrożnie, żeby nie dotknąć głową sufitu. Musiał odrobinę zgiąć kark.

– Rod, posłuchaj. Mamy dwie skrzynki.

Kiedy mówił, drzwi ze szmerem przesunęły się na szynach i ukazało się małe pomieszczenie. Stała w nim duża skrzynia, jak trumna, i druga, bardzo mała, jak pudełko, w którym kobiety trzymają jeden balowy kapelusik.

– Będą przestępcy, złe rządy, spiskowcy, awanturnicy i normalni dobrzy ludzie, którzy zeszli na złą drogę na samą myśl o twoim bogactwie, wszyscy oni będą czatować, żeby cię porwać, albo nawet zabić.

– A po co mieliby mnie zabijać?

– Żeby się pod ciebie podszyć i dobrać do twojego majątku – powiedział doktor. – Teraz słuchaj. To jest twoja najważniejsza decyzja. Jeśli wybierzesz dużą skrzynię, możemy cię wsadzić do statku żaglowego w konwoju i dotrzesz na miejsce za kilkaset albo tysiąc lat. Ale dotrzesz. Na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Albo możemy posłać dużą skrzynię normalnym planoformacyjnym statkiem. I ktoś cię ukradnie. Albo możemy cię spreparować i wsadzić do małej skrzynki.

– Do tej małej skrzynki?! – wykrzyknął Rod.

– Spreparowanego. Preparowałeś owce, prawda?

– Słyszałem o tym. Ale człowieka nie. Odwodnić ciało, zakisić głowę i wszystko do kupy zamrozić?! – pytał Rod.

– Dokładnie! Dokładnie, kumbra, tak! – zawołał radośnie doktor. – Dzięki temu będziesz mieć dużą szansę, że dotrzesz do celu żywy.

– Ale kto mnie potem poskłada? Będę potrzebować osobistego lekarza...?

– Aż głos mu się załamał, gdy uświadomił sobie nienaturalność tego ryzyka. Mniejsza już o samo ryzyko, o niebezpieczeństwo.

– Proszę bardzo – powiedział lord Krasnadama – oto twój lekarz, już wyszkolony.

– Do usług – powiedziało małe ziemskie zwierzątko, „małpka”, kłaniając się zdawkowo wszystkim zgromadzonym. – Nazywam się Ma-Agenta i jestem uwarunkowany jako lekarz, chirurg oraz fryzjer.

Kobiety się zatchnęły. Hopper i Bill przerażeni wytrzeszczyli oczy.

– Jesteś podczłowiekiem! – wrzasnął Hopper. – Te choroby są niedozwolone na Norstrilii.

– Nie jestem podczłowiekiem. Jestem zwierzęciem. Uwarunkowanym do... – Małpa skoczyła.

Ciężki nóż Hoppera zadźwięczał jak instrument muzyczny, przywierając do bardziej miękkiej stali ściany. W drugiej dłoni miał długi cienki nóż, gotowy, by sięgnąć serca lorda Krasnadamy.

Lewa dłoń lorda w okamgnieniu wyciągnęła się naprzód. Coś w tej dłoni rozjarzyło się bezgłośnie i groźnie. W powietrzu rozległ się syk.

W miejscu gdzie stał Hopper, pojawiła się chmura gęstego, tłustego dymu, śmierdzącego palonym mięsem, powoli wijącego się ku wentylatorom. Ubranie i rzeczy osobiste Hoppera, w tym jeden sztuczny ząb, leżały na krześle, na którym siedział. Wszystko było nieuszkodzone. Szklanka stała na podłodze koło fotela – na zawsze miała pozostać niedopita.

Oczy doktora błysnęły. Spojrzał dziwnie na Krasnadamę:

– Widziałem to i zgłoszę do marynarki wojennej.

– Ja też to zgłoszę – powiedział lord – jako użycie broni na gruncie dyplomatycznym.

– To nieważne – stwierdził John Fisher setny, już nie wściekły, lecz błady i wyglądający trochę niezdrowo. Przemoc go nie przerażała, bał się

podejmowania decyzji. – Idźmy dalej. Która skrzynka, chłopcze, mała czy duża?

Służąca Eleanor wstała. Nic nie powiedziała, a mimo to zdominowała całą tę sytuację.

– Dziewczyny, weźcie go tam i obmyjcie, jak do Ogrodu Śmierci. Ja umyję się tutaj. Bo wiecie – wyjaśniła – zawsze chciałam zobaczyć błękitne ziemskie niebo i popłynąć wielkim domem, który płynie po wielkiej wodzie. Ja biorę dużą skrzynkę, chłopcze, i jak wyjdę z tego cało, będziesz mi winien na Ziemi parę takich atrakcji. A ty, Roddy, bierz małą skrzynkę. I tego małego doktora z sierścią. Można mu wierzyć.

Rod wstał.

Wszyscy patrzyli na niego i Eleanor.

– Zgadzasz się? – zapytał lord Krasnadama.

Kiwnął głową.

– Zgadzasz się na spreparowanie i umieszczenie w tej małej skrzynce w celu natychmiastowego przesłania na Ziemię?

Znów kiwnął głową.

– Pokryjesz wszystkie dodatkowe koszty?

I jeszcze raz kiwnął głową.

Doktor dodał:

– Zgadzasz się, żebym cię pokroił i zredukował, z nadzieją, że na Ziemi zostaniesz odbudowany?

Rod na to też skinął głową.

– Kiwanie głową to za mało – powiedział doktor. – Musisz wyrazić zgodę do akt.

– Zgadzam się – odezwał się cicho Rod.

Ciotka Doris i Lavinia podeszły do niego, żeby zaprowadzić go do garderoby i pod prysznic. Kiedy brały go pod rękę, doktor szybkim, dziwnym ruchem poklepał go po plecach. Rod leciutko podskoczył.

– Silny hipnotyk – powiedział doktor. – Ciałem możecie się spokojnie zajmować, ale następne słowa, które wypowie, będą przy odrobinie szczęścia na samej Starej Ziemi.

Wytrzeszczyły oczy, ale zajęły się myciem, przed operacją i podróżą.

Lekarz odwrócił się do lorda Krasnadamy i Johna Fishera, sekretarza finansowego.

– Dobra robota – powiedział. – Tylko tego człowieka trochę szkoda.

Bill siedział nieruchomy, pogrążony w smutku w fotelu, gapiąc się na leżące obok puste ubranie Hoppera.

Konsola zadzwieczała:

– Dwanaście godzin czasu Greenwich. Prognozowane dobre warunki pogodowe dla wybrzeża, Maja Mi Efel oraz budynku Ziemioportu. Wszystko jest w porządku!

Lord Krasnadama podał panom trunki. Billowi nie zaproponował. Nie było teraz sensu.

Lavinia i ciotka Doris, obmywające za drzwiami ciało, włosy i ubranie głęboko zahipnotyzowanego Roda, mimowolnie wróciły myślą do ceremonii z Ogrodu Śmierci i zanosły się jednogłośnie śpiewem:

*Hen do Ogrodu Śmierci poszli tam młodzieńcy,  
Bohaterskiego strachu tam zakosztowali,  
Po czym uciekli, albowiem, wygrawszy, przegrali,  
Mocnym ramieniem i językiem ciętym.*

Trójka mężczyzn przez chwilę słuchała z uwagą. W drugiej łazience krzątała się służąca Eleanor – myła się, sama, bez pomocy, przed długą podróżą i ewentualną śmiercią.

Lord Krasnadama westchnął.

– Bill, napij się czegoś. Hopper sam jest sobie winien.

Bill nie odzywał się do nich, ale szklankę nadstawił.

Lord Krasnadama napełnił tę i parę innych. Odwrócił się do Johna Fishera setnego i powiedział:

– Wysyłacie go?

– Kogo?

– Chłopaka.

– Tak myślę.

– Lepiej nie – powiedział lord Krasnadama.

– Bo... niebezpieczeństwo?

– Niebezpieczeństwo to mało powiedziane. Nie planujcie, że wypakujecie go w Ziemioporcie. Lepiej wyślijcie do jakiejś dobrej stacji medycznej. Jest taka, jeszcze całkiem dobra, na Marsie, o ile jej nie zamknęli. Znam Ziemię dobrze. Połowa ludzi się zwali, żeby go tam powitać, a druga połowa będzie czyhać, żeby go obrabować.

– Pan reprezentuje ziemski rząd, panie komisarzu – wyrzucił mu John Fisher – a paskudnie pan mówi o własnych ludziach.

– Nie zawsze są tacy. – Krasnadama zaśmiał się. – Tylko kiedy się podniecą. A u ludzi na Ziemi seks nie może się równać z pieniędzmi. Wszyscy myślą, że potrzebują władzy, wolności i sześciu innych niemożliwych rzeczy. I nie mówię teraz w imieniu ziemskiego rządu. Mówię w swoim własnym.

– Jeśli my go nie wyślemy, to kto ma go wysłać? – zapytał Fisher.

– Instrumentalność.

– Instrumentalność? Ale wy nie handlujecie. Jakim sposobem?

– Nie handlujemy, ale reagujemy na sytuacje wyjątkowe. Mogę nadać sygnał do krążownika dalekiego zasięgu i zjawi się tutaj wiele miesięcy wcześniej, zanim ktokolwiek zacznie się go spodziewać.

– Ale to są okręty wojenne. Nie wolno nimi wozić pasażerów.

– Naprawdę? – powiedział z uśmiechem lord Krasnadama.

– Instrumentalności wolno...? – Fisher też uśmiechnął się, zdziwiony. – Ale koszt musi być ogromny. Jak pan za to zapłaci? Trudno to będzie uzasadnić.

– On za to zapłaci. Specjalna opłata za specjalną usługę. Jeden megakredyt za przelot.

Sekretarz finansowy aż gwizdnął.

– Straszna cena, jak za jeden lot. Rozumiem, że w pieniądzach BID-nych, a nie na powierzchni?

– Nie. W pieniądzach WROG-ich.

– Na maślane promienie księżyca, co? To będzie po tysiącokroć najdroższa wycieczka w historii.

Wielki doktor słuchał ich rozmowy.

– Panie i posiadaczu Fisher – powiedział. – Ja też polecam to rozwiązanie.

– Pan?! – wykrzyknął gniewnie John Fisher. – Pan, Norstrilijczyk, chce okraść tego biednego chłopaka?

– Biednego chłopaka? – prychnął doktor. – Przecież nie o to chodzi. Jeśli on zginie po drodze, cała podróż na nic. Nasz przyjaciel jest może rozrzutny, ale pomysły ma dobre. Sugerowałbym jedną poprawkę.

– Jaką mianowicie? – zapytał pośpiesznie lord Krasnadama.

– Półtora megakredytu za podróż tam i z powrotem. O ile dotrze do celu cały i zdrowy, z tą samą osobowością, wyłączając przyczyny naturalne. Ale uwaga. Tylko jeden kilokredyt, jeśli dotrze na Ziemię martwy.

John Fisher potarł podbródek. Spojrzał podejrzliwym wzrokiem na Krasnadamę, który usiadł i uniósł wzrok na doktora, wciąż ocierającego się głową o sufit.

Za jego plecami odezwał się głos:

– Proszę zaakceptować, panie sekretarzu. Jeśli chłopak nie przeżyje, to na co mu pieniądze? Z Instrumentalnością nie da się walczyć, Instrumentalności nie da się przekonać rozumem, Instrumentalności nie da się przekupić. Brali od nas tyle przez całe tysiące lat, pewnie mają więcej strunu niż my. Tylko gdzieś pochowanego. Ty tam! – rzucił Bill obcesowo do lorda Krasnadamy – masz w ogóle pojęcie, jaki majątek ma Instrumentalność?

Lord Krasnadama zmarszczył brwi.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Zapewne ma jakieś granice. Ale nie myślałem o tym. Od tego mamy księgowych.

– Widzicie – ciągnął Bill. – Nawet Instrumentalność nie lubi tracić pieniędzy. Krasnadama, zaakceptuj propozycję doktora. A ty, Fisher, rozlicz go z tego. – Zwracanie się per ty i po nazwisku było potwornie nieuprzejme, ale obaj zostali przekonani.

– Tak zrobię – powiedział Krasnadama. – To bardzo przypomina umowę o ubezpieczenie, a tego nie wolno nam robić. Ale zapiszę to jako klauzulę awaryjną.



– Ja przyjmę – dodał John Fisher. – Minie z tysiąc lat, zanim jakiś Norstrilijski Sekretarz Finansowy zapłaci taką sumę za taki bilet, ale opłaci się. Jemu się opłaci. Potrączę z jego rozliczeń z naszą planetą.

– Ja będę świadkiem – powiedział doktor.

– Nie, nie ma mowy – warknął Bill. – Chłopak ma tu tylko jednego przyjaciela. Czyli mnie. Ja będę.

Wszyscy trzej łypnęli na niego groźnie.

Odpowiedział tym samym.

I zmiękł:

– Panowie i posiadacze, pozwólcie mi być świadkiem.

Lord Krasnadama kiwnął głową i otworzył konsolę. Razem z Johnem Fisherem przedyktowali do niej umowę. Na koniec Bill, jako świadek, wykrzyczał swoje pełne imię.

Dwie kobiety przyprowadziły do pokoju Roda McBana, gołego jak święty turecki. Był wyszorowany do czysta i patrzył, jakby był pogrążony w nieskończonym śnie.

– To jest sala operacyjna – stwierdził lord Krasnadama. – Jeśli nie macie nic przeciwko, spryskam was wszystkich środkiem dezynfekcyjnym.

– Oczywiście – potaknął lekarz. – Tak trzeba.

– Chcecie go kroić i redukować tu na miejscu?! – zawołała ciotka Doris.

– Tu i teraz – powiedział lord. – O ile doktor się zgodzi. Im szybciej to zrobimy, tym większa szansa, że wyjdzie z tego wszystkiego żywy.

– Zgadzą się – oświadczył doktor. – Potwierdzam.

Wziął Roda za rękę i pociągnął ku pomieszczeniu z długą trumną i małą skrzynką. Na jakiś gest Krasnadamy ściany rozsunęły się, ukazując kompletną salę operacyjną.

– Moment – przypomniał lord. – Proszę wziąć swojego współpracownika.

– Oczywiście – powiedział doktor.

Małpka na dźwięk swojego imienia wyskoczyła z koszyka.

Olbrzym i małpka wprowadzili Roda do małego błyszczącego pomieszczenia. Zamknęli drzwi za sobą.

Reszta nerwowo usiadła.

– Panie i posiadaczu Krasnadamo – powiedział Bill – skoro już zostaję, czy mogę jeszcze dostać tego napoju?

– Oczywiście, panie i właścicielu – odrzekł lord Krasnadama, nie mając pojęcia, jakiego tytułu mógłby używać Bill.

Zza drzwi nie dochodziły żadne krzyki, żadne stukania, żadne protesty. Z otworów wentylacyjnych rozszedł się duszący, słodki, przerażający zapach nieznanymi medykamentów. Dwie kobiety nie odzywały się, siedząc razem z resztą grupy. Po chwili przyszła także Eleanor, owinięta ogromnym ręcznikiem. Siadła wraz z nimi. W drugiej godzinie operacji Lavinia zaczęła szlochać.

Nie mogła się powstrzymać.

## PUŁAPKI, FORTUNY I KIBICE

Wiadomo, że żaden system łączności nie jest stuprocentowo szczelny. Nawet dalekosiężne łącza Instrumentalności miały wrażliwe punkty, punkty skorumpowane, trafiali się też gadatliwi ludzie. A komputer MacArthurów-MacBanów, skryty w Pałacu Gubernatora Nocy, miał czas na rozszyfrowanie abstrakcyjnych prawideł ekonomii i przebiegów pogodowych, ale ludzkiej przewrotności ani ludzkiej miłości nie znał. Wszystkie wiadomości dotyczące spekulacji Roda na rynku kontraktów terminowych na zbiory santaclary i eksport strunu wysłano otwartym tekstem. Nic dziwnego, że na wielu światach ludzie dostrzegli w Rodzie okazję, ofiarę, dobroczyńcę lub wroga. Jak widać, stary wiersz:

*Szczęście zmienne, ludzie głupi,  
Kasę każdy chętnie złupi,  
Przegap gratkę, sprzedaj matkę,  
Zdobądź łup, drugą kup.  
Jeden pada, wszystko traci,  
Drugi na tym się bogaci!*

w tym przypadku również się sprawdzał. Sprzeczne plotki krążyły jak szalone.

### **Na Ziemi, tego samego dnia, w Ziemioporcie**

Komisarz Herbaciarz postukał się w zęby ołówkiem.

Już teraz – cztery megakredyty WROG, a w perspektywie dużo, dużo więcej.

Herbaciarz żył w stanie permanentnego upokorzenia. Sam sobie to wybrał. Nazywało się to „honorową degradacją” i dotyczyło byłych lordów Instrumentalności, którzy zamiast zaszczytnej służby wybierali długie życie. Był ponadtysięcznikiem, co oznaczało, że zamienił karierę zawodową, reputację i autorytet na życie trwające tysiąc lub więcej lat.

(Instrumentalność nauczyła się bowiem, dawno temu, że najlepszym sposobem uchronienia członków przed pokusą to kusić ich samemu. Proponując „honorową degradację”, a potem niskie, ale bezpieczne stanowiska tym lordom, których mogłaby kusić wymiana tajemnic Instrumentalności na długie życie, Instrumentalność zatrzymywała potencjalnych dezertersów. Herbaciarz był jednym z nich).

Zobaczył tę wiadomość, a człowiekiem był mądrym i sprytnym. W Instrumentalności pieniądze nie dawały nic, za to na Ziemi można było zdziałać cuda. Mógłby kupić sobie rozsądną porcję honoru. Może nawet udałoby się sfalszować akta i ożenić się po raz drugi? Zaczerwienił się lekko, nawet po tych setkach lat, wspominając pierwszą żonę, jak krzyczy na niego, zobaczywszy jego wniosek o długie życie i honorową degradację.

– Idź sobie, żyj sobie ile chcesz, bałwanie! Żyj sobie i patrz, jak umieram bez ciebie, po czterystu latach, które ma każdy, jeśli chce i zapracuje na nie. Patrz sobie, jak umierają twoje dzieci, przyjaciele, patrz sobie, jak wszystkie twoje pasje i pomysły robią się przestarzałe. Zabieraj się, ty mały, paskudny debilu i pozwól mi umrzeć po ludzku.

Parę megakredytów by na to zaradziło. Herbaciarz odpowiadał w Ziemiorporcie za przybywających gości. Jego podczłowiek, pochodzący od byka Be-Dank, opiekował się pajakami-zbieraczami – stadem na wpół oswojonych, ważących tonę stawonogów, przystosowanych do pracy w sytuacji awaryjnej, gdyby usługi samego budynku zawiodły. Nie trzeba będzie tego Norstrilijskiego kupca za długo trzymać. Tylko tyle, żeby zarejestrować transakcję i błyskawicznie zamordować.

A może nie? Jeśli Instrumentalność go złapie, dostanie karne sny, gorsze nawet niż planeta Shayol.

A może tak? Jeśli mu się uda, ucieknie od niemal nieśmiertelnej nudy i będzie go stać na kilka dziesięcioleci soczystych uciech.

Znów postukał się w zęby.

– Nic nie rób, Herbaciarz – powiedział sam do siebie – tylko myśl i myśl i myśl. Te pająki... wygląda, że to jest jakiś trop.

## **Na Violi Siderei, na Radzie Cechu Złodziei**

– Wprowadźcie na orbitę okołosłoneczną dwa zaadaptowane policyjne pojazdy. Zaznaczcie, że są do wynajęcia lub na sprzedaż, żeby policja się nie czepiała.

– Wprowadźcie agenta na każdy statek liniowy, który w podanym czasie ląduje na Ziemi.

– Pamiętajcie, tego człowieka nam nie potrzeba. Tylko jego bagaż. Na pewno będzie musiał mieć przy sobie z pół tony strunu. Wystarczy, żeby spłacić wszystkie długi, jakie nam pozostały po tej aferze z Bozartem. Swoją drogą, to dziwne, że ten Bozart nigdy nie dał znaku życia. Nic a nic.

– Trzej starsi złodzieje niech przenikną do samego Ziemioportu. Dopilnujcie, żeby mieli fałszywy strun, rozcieńczony z tysiąc razy, żeby w razie okazji mogli podmienić bagaże.

– Wiem, że to wszystko kosztuje, ale trzeba wydać trochę pieniędzy, żeby zdobyć łup. Czy zgadzacie się, dżentelmeni i mistrzowie sztuk przestępczych?

Wokół stołu rozległy się chóralne pomruki aprobaty. Nie przyłączył się tylko jeden stary, mądry złodziej, który powiedział:

– Mój pogląd znacie.

– Tak – odrzekł przewodniczący, tonem pełnym uprzejmej nienawiści. – Znamy. Okradać trupy. Czyścić wraki. Z ludzkich wilków przeobrazić się w ludzkie hieny.

Stary radny z nieoczekiwanym humorem zauważył:

– Paskudnie ujęte. Ale prawdziwe. I bezpieczniejsze.

– Czy musimy głosować? – zapytał przewodniczący, rozglądając się wokół stołu.

Odpowiedziało mu chóralne „nie”.

– Zatem decyzja podjęta – powiedział. – Uderzajcie mocno i celujcie w mały obiekt. Nie w duży.

## **Dziesięć kilometrów pod powierzchnią Ziemi**

– On przybywa, ojcie. Przybywa.

– Kto przybywa? – zabrzmiał głos, jak echo wielkiego bębna.

O-Lamelanie powiedziała to jak modlitwę:

– On, błogosławiony, namaszczony, orędownik naszego ludu, obrońca naszego ludu, nowy posłaniec, co do którego zgodzili się robot, szczur i Kopt. Przybywa ze skarbem, by nam pomóc, by nas uratować, by wyprowadzić nas na światło dnia i pod sklepienie niebios.

– Błuznisz, dziewczyno – odparł O-Telekeli.

Ta zamilkła. Swego ojca darzyła nie tylko szacunkiem, lecz także czciła jako osobistego przywódcę duchowego. Jego wielkie oczy płonęły, jakby był w stanie dostrzec głębinę kosmosu przez tysiące metrów ziemi i skał. Może rzeczywiście tak daleko widział? Nawet jego własny lud nie był do końca pewien granic jego mocy. A biała twarz i białe pióra przydawały świdrującym oczom zaiste magicznej przenikliwości.

Spokojnie, łagodnie, dodał:

– Skarbie, mylisz się. My po prostu nie wiemy, kim jest ten człowiek, McBan.

– Czy to nie było czasem napisane? – przekonywała. – Nie było czasem napisane? Nie było obiecanie? To jest dokładnie ten kierunek, z którego robot, szczur i Kopt wysłali nam specjalną wiadomość. „Z najgłębszych otchłani przybędzie, wioząc niezmierzone skarby. Przybędzie niezawodnie”. Może to właśnie on? Może?

– Skarbie – odpowiedział – cały czas nie masz pojęcia, co to jest prawdziwy skarb, skoro myślisz, że mierzy się go w megakredytach. Idź, przeczytaj sobie Strzęp Księgi, pomyśl trochę i powiedz mi potem, co pomyślałaś. A tymczasem żadnego gadania. Nie wolno nadmiernie ekscytować naszego biednego ludu.

## **Ruth, na plaży koło Maja Mi Efel**

Tego dnia Ruth w ogóle nie myślała o Norstrilii ani o skarbach. Próbowwała namalować akwarelę załamujące się fale, ale bardzo kiepsko jej to wychodziło. Prawdziwe cały czas były aż za piękne, a akwarelowe wyglądały jak akwarela.

## **Tymczasowa Rada Wspólnoty Narodów Starej Australii Północnej**

– Do tego naszego głupiego chłopaka zlecą się wszystkie szumowiny ze wszystkich światów.

– Racja.

– Jeśli zostanie tutaj, przylecą tutaj.

– Racja.

– To niech leci na tę Ziemię. Mam przeczucie, że ten mały łajdak Krasnadama dziś wieczorem potajemnie go stąd wywiezie i oszczędzi nam kłopotów.

– Racja.

– Po jakimś czasie będzie spokojnie mógł wrócić. Nie zepsuje naszej odwiecznej metody obronnej wyglądania na głupków. Obawiam się bowiem, że jest bystry, ale według ziemskich norm to tępy chłopak.

– Racja.

– Czy nie powinniśmy wysłać dwudziestu czy trzydziestu innych Rodów McBanów, żeby wszystko się napastnikom pokićkało?

– Nie.

– Dlaczego nie, panie i posiadaczu?

– Bo to by wyglądało na sprytne. A my polegamy na tym, że nie wyglądamy na sprytnych. Mam inne rozwiązanie, drugie w kolejności.

– Czyli jakie?

– Rozesłać po wszystkich co dziwniejszych światach pogłoskę, że ktoś, kto dobrze wcieli się w McBana, może położyć łapę na jego pieniądzech. Rozesłać tak, żeby nie było wiadomo, że stąd wyszła. Na szlakach przez sto lat będzie się roilo od Rodów McBanów z udawanymi norstrilijskimi akcentami do kompletu. I nikt nie będzie podejrzewał, że to nasz podstęp. Głupota, do tego wszystko się sprowadza, stary. Głupota. Jak tylko ktoś się domyśli, że jesteśmy cwani, to koniec! – Przewodniczący westchnął. – Co w ogóle ci idioci sobie myślą, że jak nasi przodkowie wydostaliby się z Raju VII, gdyby nie byli cwani? Jakim sposobem od tysięcy lat utrzymujemy nasz elegancki monopol? Głupi są, że się nad tym nie zastanawiają, ale my im nie dawajmy do myślenia. Racja?

– Racja.



## NIEDALEKIE USTRONIE

Rod obudził się, czując dziwny dobrostan. Gdzieś głęboko w umyśle tkwiły wspomnienia o istnym pandemonium – nożach, krwi, lekarstwach, małpie robiącej za chirurga. Co za sny. Rozejrzył się dookoła i od razu spróbował wyskoczyć z łóżka.

Cały świat płonął!

Jasnym, płomiennym, nie do wytrzymania ogniem, jak lampa lutownicza.

Jednakże łóżko go przytrzymało. Dotarło do niego, że luźna, wygodna koszula kończyła się tasiemkami, przytwierdzonymi jakimś sposobem do łóżka.

– Eleanor! – zawołał. – Chodź no tutaj.

Przypomniał sobie, że atakował go wściekły ptak, że Lavinia zaprowadziła go do domu tego bystrego Ziemniaka, lorda Krasnadamy. Pamiętał lekarstwa i ogólne zamieszanie. Ale to – co to miało być?

Gdy otworzyły się drzwi, do środka wlało się jeszcze więcej nieznośnego światła. Jakby ktoś zabrał z nieba Starej Australii Północnej wszystkie chmury, zostawiając tylko rozświetlone niebo i rozpalone słońce. Byli ludzie, którzy coś takiego oglądali – czasem maszyny pogodowe psuły się na chwilę i pozwalały, by huragan wywiał dziurę w chmurach, ale w jego czasach, ani w czasach jego pradziadka to się już nie zdarzało.

Mężczyzna, który wszedł, wyglądał przyjacielsko, Norstrilijczykiem jednak nie był. Miał wąskie ramiona, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto umie trafić w krowę, a twarz mył tak długo i tak dokładnie, że wyglądała jak u niemowlęcia. Miał na sobie dziwne, śnieżnobiałe, wyglądające po

lekarsku ubranie, a twarz wyrażała jednocześnie uśmiech i zawodowe współczucie dobrego medyka.

– Widzę, że czujemy się lepiej – powiedział.

– Gdzie ja, u licha, jestem? Na jakiej Ziemi? Na jakimś satelicie? Dziwnie to wszystko wygląda.

– Nie jesteś na Ziemi.

– Wiem przecież, że nie. Nigdy tam nie byłem. A co to za miejsce?

– Mars. Dawna Stacja Gwiezdna. A ja jestem Jean-Jacques Vomact.

Rod tak przekręcił nazwisko, powtarzając, że tamten musiał mu je przeliterować. Potem wrócił do tematu.

– A gdzie to jest, ten Mars? Może mnie pan rozwiązać? Kiedy zgaśnie to światło?

– Mogę cię od razu rozwiązać – powiedział doktor Vomact – tylko obiecaj mi, że zostaniesz w łóżku i zachowasz spokój, póki nie dostaniesz jakiegoś posiłku i nie zrobimy ci badań. To światło to jest Słońce. Zgaśnie, na oko, gdzieś za siedem godzin czasu miejscowego. Jest późny ranek. Nie wiesz, co to takiego Mars? To planeta.

– Nowy Mars, ma pan na myśli – powiedział z dumą Rod. – Ten, gdzie są takie ogromne sklepy i ogrody zoologiczne.

– Tu są tylko dwa sklepy: stołówka i apteka. Nowy Mars? Coś tam o nim słyszałem. Rzeczywiście, mówili o wielkich sklepach i jakichś atrakcjach ze zwierzętami. O słońcach, co mieszczą się w dłoni. Mają tam takie rzeczy. Ale tutaj to co innego. Poczekaj chwilę, przesunę ci łóżko do okna.

Rod niecierpliwie wyjrzał przez okno. Widok był przerażający. Gołe, ciemne niebo, jak okiem sięgnąć, ani chmury. Tu i tam widać było parę dziur. Wyglądały prawie jak te „gwiazdy”, które widzą ludzie, kiedy przelatują statkiem kosmicznym z jednej zachmurzonej planety na drugą. Nad wszystkim dominowało jedno potworne, płonące światło, które wisiało wysoko, nieruchomo na niebie. Palilo się, ale się nie spalało. Stwierdził, że kuli się, czekając na eksplozję – ale po zachowaniu doktora widział, że ten nie jest w najmniejszym stopniu przejęty tą bombą wodorową, cokolwiek to było. Zachowując spokój w głosie, starając się nie brzmieć jak dziecko, zapytał:

– A co to jest?

– Słońce.

– Nie owijaj mi pan w bawełnę. Wal prosto z mostu. Każdy mówi „słońce” na swoją gwiazdę. Ta to która?

– „Słońce” dużą literą. Pierwsze słońce. Słońce Starej Ziemi. Tak jak to jest po prostu Mars. Nie „Stary Mars”, a już w ogóle nie „Nowy”. Po prostu Mars. Sąsiad Ziemi.

– I to coś nigdy nie wybucha ani nie gaśnie?

– Słońce, znaczy? Nie, raczej nie. Pewnie dla twoich i moich przodków, kiedy jeszcze łazili nago po Ziemi, to trochę tak wyglądało. – Mówiąc, zajął się zabiegami.

Machnął w powietrzu dziwnie wyglądającym kluczykiem, tasiemki się obluzowały. Z rąk Roda opadły rękawice. Rod spojrzął na własne dłonie w intensywnym świetle. Wydały mu się dziwne. Były gładkie, gołe i czyste, dokładnie jak ręce doktora. Zaczęły wracać do niego dziwne wspomnienia; ale dzięki niepełnosprawności telepatycznej wyrobił sobie opanowanie i ostrożność, więc niczym się nie zdradził.

– Skoro to jest stary, stary Mars, to dlaczego pan mówi do mnie po staropółnocnoaustralijsku? Myślałem, że tylko my jedni we wszechświecie jeszcze używamy starożytnego angijskiego. – Przeszedł, z trudnością, acz i z dumą, na Stary Wspólny: – Widzi pan, moi Wyznaczeni i tego języka mnie nauczyli. Choć nigdy nie byłem poza światem.

– Mówię w twoim języku – odparł lekarz – bo się go nauczyłem. A nauczyłem się go, bo mi za to zapłaciłeś, i to bardzo godziwie. Przydawało się to przez te miesiące, kiedy cię składaliśmy. Portal do pamięci i tożsamości otworzyliśmy dopiero dzisiaj, ale ja już przegadałem z tobą setki godzin.

Rod spróbował się odezwać.

Nie był w stanie wydobyć słowa. W gardle miał sucho i obawiał się, że zaraz zwróci jedzenie – o ile w ogóle coś jadł.

Doktor położył mu przyjacielsko dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, panie i posiadaczu McBan, spokojnie. Wszyscy się tak czujemy po wskrzeszeniu.

Rod zachrypiał:

– To ja nie żyłem? Byłem martwy? Tak?

– Martwy nie, ale blisko.

– Ta mała skrzynka!

– Jaka skrzynka?

– Oj, doktorze, ta, w której przyleciałem.

– Nie była aż taka mała – powiedział doktor Vomact. Wyprostował dłonie w powietrzu i nakreślił nimi kształt mniej więcej wielkości pudełka na kapelusz, takiego jakie Rod widział w prywatnej sali operacyjnej lorda Krasnadamy. – Taka, o. Twoja głowa mieściła się w pełnej naturalnej wielkości. Dlatego łatwo było w takim pośpiechu przywrócić cię do normalności.

– A Eleanor?

– Ta twoja towarzyszka? Też dotarła. Nikt nie przechwyił statku.

– Czyli, że reszta też nadal jest prawdą? Dalej jestem najbogatszym człowiekiem we wszechświecie? I jestem daleko, daleko od domu? – Miał ochotę walnąć dłonią w prześcieradło, ale się powstrzymał.

– Cieszę się, że tak się przejmujesz swoją sytuacją – stwierdził doktor Vomact. – Interesowałeś się nią jeszcze pod środkami uspokajającymi i nasennymi, ja jednak już wtedy się zastanawiałem, jak sprawić, żebyś zdał sobie sprawę ze swojej prawdziwej sytuacji, wracając, tak jak to się stało, do normalnego życia. Przepraszam, że tak mówię. Jak artykuł z pisma medycznego. Ale ciężko się zaprzyjaźnić z pacjentem, nawet jeśli się go naprawdę lubi...

Vomact był drobnej postury, o głowę niższy od Roda, ale proporcje miał tak harmonijne, że nie wydawał się karłowaty czy przysadzisty. Twarz miał chudą, zwieńczoną nieuczesaną czarną czupryną, sterczącą na wszystkie strony. Wśród Norstrilijczyków taki wygląd uchodziłby za ekscentryczny – sądząc jednak po tym, że i inni Ziemianie nosili długie włosy w nieładzie, musiało to być na Ziemi modne. Rodowi wydało się głupie, ale niespecjalnie brzydkie.

Jednakże to nie wygląd Vomacta robił takie wrażenie. Była to emanująca ze wszystkich porów osobowość. Potrafił zachować spokój, kiedy wiedza

medyczna mówiła mu, że należy być spokojnym i miłym, ale to nie był jego normalny stan. Był energiczny, żywy, zmienny, potwornie gadatliwy, choć jednocześnie otwarty na swojego rozmówcę. Nigdy go nie zanudzał. Rod nawet wśród norstrilijskich kobiet nigdy nie spotkał takiej, która umiałaby się wyrażać równie płynnie i elokwentnie. A kiedy mówił, dłonie miał w ciągłym ruchu – podkreślał nimi, rysował, ilustrował fakty. Mówiąc, uśmiechał się, marszczył, unosił pytająco brwi, wytrzeszczał ze zdziwieniem oczy, przewracał nimi z zachwytem. Rod przyzwyczaił się do widoku dwójki Norstrilijczyków odbywających długą telepatyczną rozmowę – mówiących i słyszających jeden drugiego, z ciałami w wygodnym bezruchu, kontaktujących się samymi mózgami. Dokonać tego wszystkiego głosem – dla Norstrilijczyka to był prawdziwy, godny podziwu cud. Ten ziemski doktor, ze swoim ożywieniem, miał w sobie coś wdzięcznego i przyjemnego, jakże różnego od szybkiej, niebezpiecznej stanowczości lorda Krasnadamy. Rod już zaczął myśleć, że jeśli Ziemia jest pełna takich ludzi jak Vomact, musi być wspaniałym, ale pogmatwanym miejscem. Vomact zasugerował kiedyś, że jego rodzina była dość niezwykła, bo nawet podczas długich wieków doskonałości, gdy wszyscy zadowalali się numerami, w tajemnicy zachowali pamięć o własnym nazwisku.

Któregoś popołudnia zaproponował, żeby przeszli się parę kilometrów po marsjańskiej równinie, do ruin pierwszej ludzkiej osady.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział – ale przez te miękkie hełmy też się dobrze rozmawia. A aktywność fizyczna dobrze ci robi. Jesteś młody i zniesiesz dużo warunkowania.

Rod się zgodził.

I przez kolejne dni wielce się zaprzyjaźnili.

Zdał sobie sprawę, że lekarz wcale nie jest tak młody, jak wygląda – a wyglądał na starszego od niego zaledwie o jakieś dziesięć lat. Naprawdę liczył sobie sto dziesięć i niecałe dziesięć temu przeszedł pierwsze odmładzanie. Przysługiwały mu dwa kolejne i potem śmierć w wieku czterystu lat, jeśli nie zmienią się obecnie obowiązujące na Marsie zasady.

– Możesz sobie myśleć, Rod, że jesteś szalonym, nieprzewidywalnym typem. Ja cię jednak zapewniam, młody narwańcze, że Stara Ziemia jest obecnie takim bałaganem, że w ogóle nie zwrócą na ciebie uwagi. Czy słyszałeś o Drugim Odkryciu Ludzkości?

Rod się zawahał. Sam nie zawracał sobie głowy wiadomościami, ale nie chciał zdyskredytować swojej rodzinnej planety jako bardziej zaściankowej, niż naprawdę była.

– Coś z językami, prawda? I długością życia? Nigdy specjalnie nie zwracałem uwagi na pozaświatowe informacje, chyba że o wynalazkach technicznych albo wielkich bitwach. Ale niektórzy na Starej Australii Północnej interesowali się mocno Starą Ziemią. To co to właściwie było?

– Instrumentalność wreszcie podjęła się wielkiego planu. Na Ziemi nie było zagrożeń, szans, nagród, żadnej przyszłości poza niezmiennym trwaniem. Każdy miał szansę jak tysiąc do jednego, że przeżyje czterysta lat, przydzielone każdemu, kto na to zapracował, zajmując się...

– Dlaczego nie wszystkim? – przerwał Rod.

– Instrumentalność bardzo przyzwoicie traktowała krótkożyjców. Oferowała im rozkosznie obfite i ekscytujące występki, gdy dobiegali mniej więcej siedemdziesiątki. Coś, co dla umysłu było połączeniem elektroniki, narkotyków i seksu. Każdy, kto nie miał masy zajęć, dobierał się do „rozkoszy” i w końcu umierał z przyjemności. Komu by się chciało męczyć z odmładzaniem, żeby żyć czterysta lat, skoro można mieć co wieczór pięć czy sześć tysięcy lat orgii i przygód?

– Strasznie to brzmi – powiedział Rod. – My mamy Komnaty Chichotów, ale tam się od razu ginie. Ludzie nie chodzą i nie umierają między najbliższymi. Pomyśl tylko, jaki to ma wpływ na normalnych.

Twarz Vomacta pociemniała ze złości i bólu. Odwrócił się i patrzył na bezkresne marsjańskie równiny. Na niebie wisiała kochana, przyjacielska błękitna Ziemia. Spojrzał na nią, jakby jej nienawidził, i powiedział do Roda, cały czas odwrócony:

– Coś w tym jest, co mówisz, Rod. Moja matka była krótkożyjcem i kiedy się poddała, ojciec też odszedł. A ja jestem normalny. Chyba nigdy już nie dojdę do siebie po tym, co się ze mną porobiło. To oczywiście nie byli moi

prawdziwi rodzice – aż tak nieprzyzwoita ta rodzina nie była – ale ostatni adopcyjni. Zawsze myślałem, że wy, na Starej Australii Północnej, jesteście szaleni, tacy bogaci barbarzyńcy, co mordują nastoletnie dzieci, jeśli nie dość wysoko skaczą, czy coś w tym rodzaju, ale przyznam, że jesteście higienicznymi barbarzyńcami. Nie zmuszacie się do życia ze słodkim mdlącym zapachem śmierci w mieszkaniu...

– Co to jest „mieszkanie”?

– Lokal, w którym się mieszka.

– Czyli „dom”?

– Nie, mieszkanie to część domu. W dużym domu czasami jest nawet dwieście tysięcy mieszkań.

– To znaczy – zdziwił się Rod – że w jednym wielkim salonie siedzi dwieście tysięcy rodzin? To ten pokój musi mieć wiele kilometrów długości.

– Nie, nie, nie! – powiedział doktor, śmiejąc się. – Każde mieszkanie ma oddzielny salon, z miejscami do spania, które wysuwają się ze ścian, miejscem do jedzenia, pokojem kąpielowym dla ciebie i gości, którzy mogą zechcieć się z tobą wykąpać. Jest pokój ogrodowy, gabinet, pokój prywatny.

– A do czego jest „pokój prywatny”?

– To jest – wyjaśnił doktor – taki mały pokój, gdzie robi się rzeczy, których nie chcemy pokazywać własnej rodzinie.

– U nas to się nazywa „łazienka” – powiedział Rod.

Doktor stanął w miejscu.

– Właśnie dlatego strasznie trudno wam wytłumaczyć, co się dzieje na Ziemi. Bo wy jesteście jak skamieliny. Zachowaliście dawny język angielski, system rodzinny, nazwiska, macie nieskończone życie...

– Nie nieskończone – powiedział Rod. – Po prostu długie. Musimy się utrzymać i zapłacić za nie w próbach.

Doktor zrobił przeproszącą minę.

– Nie chciałem was krytykować. Jesteście po prostu inni. Zupełnie różni niż ludzie w historii Ziemi. Ziemię uznałbyś za nieludzką. Na przykład te mieszkania, o których ci wspomniałem. Dwie trzecie są puste. Podludzie przenoszący się do podziemi. Tracone zapisy; zapominane specjalności.

Gdybyśmy nie umieli robić tak dobrych robotów, wszystko jednocześnie by się rozpadło. – Spojrzał Rodowi w twarz. – Widzę, że mnie nie rozumiesz. Wyjaśnij ci na przykładzie. Możesz sobie wyobrazić, że mnie zabijasz?

– Nie – odparł Rod. – Ja cię lubię.

– Nie o to mi chodzi. Nie mnie konkretnie, tak jak tu stoję. Załóżmy, że nie wiedziałbyś kim jestem i przyłapałbyś mnie, jak podkradam się do owiec albo kradnę ci strun.

– Nie mógłbyś mi ukraść strunu. Strun przetwarza dla mnie mój rząd i nie byłbyś w stanie nawet się do niego zbliżyć.

– Dobra, dobra, no to nie strun. Powiedzmy, że wylądowałbym na waszej planecie bez zezwolenia. Jak byś mnie zabił?

– Nie zabiłbym. Zgłosiłbym na policję.

– A gdybym zaatakował cię bronią?

– To wtedy – odparł Rod – złamałbym ci kark. Albo dał nożem w serce. Albo odpalił koło ciebie minibombę.

– No właśnie! – powiedział doktor z szerokim uśmiechem.

– Co „no właśnie”?

– Wiesz, jak zabijać ludzi, w razie potrzeby.

– Wszyscy obywatele wiedzą, ale to nie znaczy, że to robią. Wcale nie tłuczemy się nawzajem przez cały czas, jak to niektórzy podobno myślą na Ziemi.

– Otóż to – powiedział Vomact. – I Instrumentalność stara się teraz zorganizować coś takiego dla całej ludzkości. Sprawić, by życie było na tyle niebezpieczne i interesujące, żeby na nowo stało się realne. Mamy już choroby, zagrożenia, bójki, zdarzenia losowe. I jest wspaniale.

Rod obejrzał się na baraki, z których wyszli.

– Tu, na Marsie, nic takiego nie widzę.

– Bo to jest ośrodek wojskowy. Jest wyłączony spod Drugiego Odkrycia, póki jego skutki nie zostaną lepiej zbadane. Wciąż żyjemy tym idealnym życiem, po czterysta lat. Żadnych zagrożeń, ryzyka, żadnych zmian.

– To jakim sposobem masz nazwisko?

– Ojciec mi je dał. Był oficjalnym Bohaterem Światów Pogranicza, który wrócił do domu i umarł jako krótkożyjec. Takim bohaterom



Instrumentalność pozwalała mieć nazwiska jeszcze zanim wszystkim dali ten przywilej.

– I co ty tutaj robisz?

– Pracuję. – Doktor ruszył dalej.

Rod już nie czuł wobec niego dystansu. Był tak bezwstydnie rozmowny i otwarty – chyba jak większość Ziemiaków – że trudno było nie poczuć się przy nim swobodnie.

Wziął go delikatnie pod rękę.

– Ale nie tylko, jest coś jeszcze...

– Czyli wiesz – powiedział Vomact. – Sposobny jesteś. Mam ci powiedzieć?

– Dlaczego nie?

– Jesteś moim pacjentem. Chyba nie powinienem...

– Mów, mów – przekonywał Rod. – Przecież wiesz, że jestem odporny.

– Jestem przestępcą – powiedział doktor.

– Przecież żyjesz – zauważył Rod. – W moim świecie przestępców się zabija, albo wysyła poza planetę.

– Ja jestem „poza planetą” – wyjaśnił Vomact. – To nie mój świat. Dla większości mieszkańców Marsa to jest więzienie, a nie dom.

– A co zrobiłeś?

– To zbyt okropne... Sam się tego wstydzę. Skazali mnie na warunkowy warunek.

Rod spojrział na niego szybko. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie padł ofiarą jakiegoś potwornego, bolesnego nieporozumienia.

– Zbuntowałem się – powiedział doktor – całkiem nieświadomie. Na Ziemi ludzie mogą mówić, co chcą, i mogą wydrukować do dwudziestu egzemplarzy czego tylko zechcą, ale wszystko powyżej to już przekaz masowy. Nielegalny. Kiedy nadeszło Drugie Odkrycie Ludzkości, przydzielili mnie do języka hiszpańskiego. Musiałem zebrać masę materiałów, żeby móc zacząć wydawać „La Prensę”. Żartów, dialogów, fikcyjnych reklam, informacji o wydarzeniach ze starożytnego świata. I nagle wpadł mi do głowy świetny pomysł. Poszedłem do Ziemioportu i zacząłem zbierać wiadomości z przylatujących statków. Co się dzieje tam.

Co się dzieje owam. Nie masz pojęcia, Rod, jak interesująca jest ludzkość! A to, co robimy, jest... takie dziwne, takie komiczne, takie żałosne. Do Ziemioportu nawet przychodzą wiadomości, odbierają je maszyny, wszystkie poznaczane „wyłącznie do użytku rządowego”. Ja to zignorowałem i wydrukowałem jeden numer, w którym była prawda i tylko prawda – prawdziwy numer gazety. Same fakty. Wydałem prawdziwą gazetę. I, Rod, wszystko się zawaliło. Wszystko. Wszyscy ludzie przewarunkowani na hiszpański musieli przejść testy na stabilność. Mnie pytali, czy znam prawo. Oczywiście, że znam, mówiłem. Żadnego masowego przekazu poza rządowym. Informacje rodzą poglądy, poglądy rodzą masowe urojenia, a urojenia są źródłem wojen. Prawo było jasne i oczywiste, a ja myślałem, że jest nieistotne, że to jakiś stary, nieważny zakaz. Myliłem się, Rod, bardzo się myliłem. Nie oskarżyli mnie o naruszenie prawa o masowym przekazie. Oskarżyli o bunt przeciwko Instrumentalności. I skazali na śmierć, natychmiastową. A potem zamienili ją na warunkową, z warunkiem, że mam się wynieść z planety i dobrze sprawować. Kiedy wylądowałem tutaj, dodali drugi warunek. Złe skutki mojego czynku mają przestać istnieć. Tylko że nie wiadomo, jak to sprawdzić. Mogę wrócić na Ziemię w każdej chwili. Żaden problem. Ale jeśli oni stwierdzą, że moje przestępstwo wciąż ma złe skutki, skazą mnie na karne sny, albo wyślą na tą jakąś straszną planetę. A jeśli nie ma, z uśmiechem przywrócą mi obywatelstwo. Tylko że oni nie wiedzą najgorszego. Mój pomocnik, podczłowiek, nauczył się hiszpańskiego i podludzie potajemnie dalej wydają tę gazetę. Nie wyobrażam sobie, co ze mną zrobią, jeśli kiedykolwiek się o tym dowiedzą i dojdą, że to ode mnie wyszło. A ty, Rod, myślisz, że źle zrobiłem?

Rod wytrzeszczył oczy. Nie był przyzwyczajony do osądzania dorosłych, a już w ogóle na ich prośbę. Na Starej Australii Północnej ludzie zachowywali dystans. Były stosowne sposoby zachowania w każdej sytuacji, a najlepszy z nich brzmiał: przebywaj tylko z ludźmi ze swojej grupy wiekowej.

Spróbował popatrzeć sprawiedliwie, jak dorosły. Powiedział:

– Oczywiście, że źle zrobiłeś. Ale nie bardzo źle. Po prostu, nikt nie powinien igrać z wojną.

Vomact chwycił Roda za ramię, histerycznym, niemal nieprzyjemnym gestem.

– Rod – szepnął natarczywie – jesteś bogaty. Bardzo bogaty. Pochodzisz z ważnej rodziny. Mógłbyś mnie przerzucić na Starą Australię Północną?

– Pewnie – odpowiedział Rod. – Mogę opłacić pobyt tylu gości, ilu zechcę.

– Nie, Rod, nie o to mi chodzi. Jako imigranta.

Teraz z kolei Rod zeszywniał.

– Imigranta? U nas za imigrację jest kara śmierci. Własnych obywateli zabijamy cały czas, żeby zaludnienie nie rosło. Myślisz, że ktoś pozwoliłby się osiedlać cudzoziemcom? No i jeszcze strun. Co ze strunem?

– Nieważne, Rod – powiedział Vomact. – Nie będę już o tym wspominał. Ale wiesz, to strasznie męczy, tyle lat żyć, czekając, aż śmierć wyjrzy z następnych drzwi, zadzwoni następnym dzwonkiem, będzie na następnej stronie przychodzących wiadomości. Nie ożeniłem się. Bo jakżebym mógł? – I kapryśnym zwrotem swojego żywego umysłu i twarzy przeskoczył do pogodnego nastroju. – Ale mam lekarstwo, lekarstwo dla lekarzy, nawet dla buntowników. Wiesz, co to takiego?

– Coś uspokajającego? – Rod wciąż był wstrząśnięty nieprzyzwoitością, jaką było napomykanie Norstrilijczykowi o imigracji. Nie był w stanie jasno myśleć.

– Praca – wyjaśnił mały doktor. – To jest moje lekarstwo.

– Praca zawsze jest dobra – potaknął Rod, czując, jak nadęte jest to uogólnienie. Popołudnie straciło cały urok.

Doktor też to poczuł. Westchnął.

– Pokażę ci stare baraki, pierwsze budowle osadników z Ziemi. A potem wezmę się do pracy. Wiesz, jakie jest moje główne zajęcie?

– Nie – stwierdził uprzejmie Rod.

– Oj, ty – dodał Vomact z tym swoim smutno-wesołym, psotnym uśmiechem. – Już jesteś cały i zdrowy, ale potrzeba ci czegoś jeszcze. Muszę zrobić tak, żebyś był odporny na morderców.

Dotarli do baraków.

Ruiny może i były stare, ale nie wyglądały specjalnie imponująco. Przypominały trochę domy w co skromniejszych norstrilijskich gospodarstwach.

W drodze powrotnej Rod zagadnął mimochodem:

– I co pan ze mną chce zrobić, panie doktorze?

– Co tylko zechcesz – rzucił lekkim tonem Vomact.

– Ale poważnie. Co to będzie?

– No cóż – powiedział Vomact – lord Krasnadama wysłał całą kostkę pełną wskazówek. Zachować osobowość. Zachować obraz mózgu i siatkówki. Zmienić wygląd. Zmienić twoją służącą w młodego mężczyznę dokładnie pasującego do twojego rysopisu.

– Nie można tego Eleanor zrobić. Jest obywatelką.

– Skąd. Tutaj, na Marsie, nie jest. Jest twoim bagażem.

– Ale ma prawa!

– Jesteśmy na Marsie, ale to ziemskie terytorium zależne i mamy tu ziemskie prawo. I bezpośrednią władzę Instrumentalności. I absolutnie możemy robić takie rzeczy. Została jednak o wiele trudniejsza kwestia. Czy zgodzisz się wyglądać na podczłowieka?

– Nigdy żadnego nie widziałem. Skąd mam wiedzieć? – zapytał Rod.

– Ale czy zniesiesz to upokorzenie?

Rod się zaśmiał.

Vomact westchnął.

– Dziwni z was ludzie na tej Norstrilii. Ja wolałbym umrzeć niż zostać wziętym za podczłowieka. Co za hańba, co za upokorzenie! Ale lord Krasnadama powiedział, że jak zrobimy z ciebie człowieka-kota, będziesz poruszać się po ziemi wolny jak ptak. Jedną rzecz ci jeszcze powiem, Rod. Twoja żona już tu jest.

Rod zatrzymał się.

– Żona? Ja nie mam żony.

– Twoja żona-kot – wyjaśnił doktor. – Oczywiście to nie jest prawdziwe małżeństwo. Podludzie nie mają do niego prawa. Ale mają takie partnerstwo, to wygląda trochę jak małżeństwo, więc czasem się

przejęzyczamy i nazywamy ich mężem i żoną. Instrumentalność już wysłała tutaj dziewczynę-kotkę, żeby robiła za twoją „żonę”. Wróci z tobą na Ziemię. Będziecie po prostu parką zadowolonych kociaków, które występowały z programem tanecznym i akrobatycznym dla znudzonego personelu stacji.

– A Eleanor?

– Podejrzewam, że ktoś ją zabije, biorąc za ciebie. Po to ją tu przywiozłeś, prawda? Czyż nie jesteś wystarczająco bogaty?

– Nie, nie, nie – powiedział Rod. – Nikt nie jest aż tak bogaty. Trzeba wymyślić coś innego.

Cały spacer poświęcili na wymyślanie nowych planów, chroniących jednocześnie Eleanor i Roda.

Gdy weszli do szluzowni i zdjęli hełmy, Rod powiedział:

– A ta moja „żona”... kiedy będę się mógł z nią zapoznać?

– Na pewno jej nie przeoczysz – stwierdził Vomact. – Jest dzika jak ogień i dwakroć bardziej piękna.

– A jakieś imię ma?

– Oczywiście. Oni wszyscy mają imiona.

– Czyli jakie?

– Ka-Mell.

## GOŚCINNOŚĆ I USIDLENIE

Ludzie czekali, tu i tam. Gdyby istniały ogólnoświatowe serwisy informacyjne, ludność motywowana ciekawością, pasją czy chciwością zgromadziłaby się licznie w Ziemioporcie. Jednak wiadomości zostały zakazane dawno temu; ludzie wiedzieli tylko to, co dotyczyło ich osobiście; ziemskie ośrodki obyły się bez zamieszania. Tu i tam, gdy Rod leciał z Marsa na Ziemię, oczekiwano jego przybycia. Ogólnie jednak Stara Stara Ziemia zachowała spokój, nie licząc odwiecznego bąbla jej wewnętrznych problemów.

### **Na Ziemi, w dzień przylotu Roda, w Ziemioporcie**

– Wyłączyli mnie z dzisiejszego spotkania, a to ja odpowiadam za gości. To znaczy, że coś się kroi – powiedział komisarz Herbaciarz do swojego podczłowieka, Be-Danka.

Be-Dank, spodziewając się nudnego dnia, siedział na stołku w rogu i spokojnie przeżuwał. Wiedział o sprawie o wiele więcej od swego pana – dowiedział się tego z tajnych podludzkich źródeł – ale w żadnym razie nie zamierzał niczego zdradzać. Pośpiesznie przełknął i powiedział swoim spokojnym, pełnym otuchy byczym głosem.

– Mogą być jeszcze inne powody, proszę pana. Gdyby na przykład omawiali awans dla pana, na pewno by pana wyłączyli. A zasługuje pan na awans jak mało kto.

– Pająki gotowe? – przerwał Herbaciarz ze złością.

– A wiadomo to, co siedzi w głowie takiego wielkiego pająka? – odparł spokojnie Be-Dank. – Wczoraj przez trzy godziny rozmawiałem w języku migowym z ich brygadzystą. Chce dwanaście skrzynek piwa. Powiedziałem, że dam mu jeszcze więcej, na przykład dziesięć. Biedak w ogóle nie umie liczyć, choć wydaje mu się że umie, więc był zadowolony, że tyle ode mnie wytargował. Zabiorą wskazaną przez pana osobę na iglicę Ziemioportu i ukryją, tak że nikt go przez wiele godzin nie znajdzie. Potem przyjdę ja z piwem, oni mi go wydadzą. Wtedy wyskoczę przez okno z tym człowiekiem w ramionach. Bardzo mało ludzi wychodzi na zewnątrz Ziemioportu, więc prawdopodobnie nikt mnie nie zauważy. Zabiorę tę osobę do ruin pałacu tuż pod bulwarem Alfa Ralfa, tych, które mi pan pokazał, i będę o nią dbał, póki pan nie przybędzie i nie zrobi tego, co trzeba.

Herbaciarz spojrział na niego z drugiego końca pokoju. Z ogromnej, rumianej, przystojnej twarzy bił taki spokój, że aż szlag człowieka trafiał. Słyszał, że ludzie-byki, z uwagi na swój bydłęcy rodowód, czasami padają ofiarą niekontrolowanych napadów furii, lecz u Be-Danka nigdy czegoś takiego nie widział. Warknął:

– A ty się nie obawiasz?

– A czego mam się obawiać, proszę pana? To pan się zamartwia za nas dwóch.

– Idźże się usmaż!

– To nie jest wykonywalne polecenie – odparł Be-Dank. – Sugeruję, żeby pan coś zjadł. To uspokoi nerwy. Dzisiaj nie wydarzy się zupełnie nic, a prawdziwym ludziom bardzo trudno się czeka na zupełnie nic. Często widziałem, jak się od tego złoszcza.

Herbaciarz aż zazgrzytał zębami, słysząc ten głos rozsądku. Mimo to wyjął z szuflady biurka suszonego banana i zaczął go przeżuwać.

Spojrział bystro na Be-Danka.

– Chcesz jednego?

Be-Dank z niesamowitą zwinnością zeskoczył ze stolka; już był przy biurku i wyciągał ogromne łapsko, mówiąc:

– Poproszę, proszę pana. Uwielbiam banany.

Herbaciarz dał mu jednego i zapytał nerwowo:

- A pewien jesteś, że nigdy nie spotkałeś lorda Krasnadamy?
- Pewien, jak na podczłowieka – odparł Be-Dank, pochłaniając banana. – Bo nigdy nie mamy pewności, kto i co nam powkładał do głowy przy pierwszym warunkowaniu. Jesteśmy niższą rasą i nie powinniśmy tego wiedzieć. Zabrania się nawet pytać.
- Czyli przyznajesz, że możesz być szpiegiem albo agentem lorda Krasnadamy?
- To niewykluczone, sir, ale nie czuję się nim.
- A wiesz w ogóle, kto to Krasnadama?
- Pan mi już mówił, że to najbardziej niebezpieczna istota ludzka w całej galaktyce.
- To prawda – potwierdził Herbaciarz – i jeśli wchodzę w intrygę, którą on namotał, to lepiej byłoby, żebym od razu poderżnął sobie gardło.
- Więc może byłoby prościej, sir, w ogóle tego Roda McBana nie porywać? To jest jedyny niebezpieczny element. Jeśli nic pan nie zrobi, wszystko będzie biegło swoim biegiem, spokojnie, jak zawsze.
- I to właśnie jest najbardziej przerażające! Ciągłe wszystko biegnie swoim biegiem. Nie widzisz, że ja chcę się stąd wydostać, znowu zakosztować wolności i władzy?
- Skoro pan tak mówi – odparł Be-Dank, licząc, że Herbaciarz poczęstuje go jeszcze jednym przepysznym suszonym bananem.

Roztargniony Herbaciarz nie zrobił tego.

Po prostu zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, zdesperowany i udręczony nadzieją, niebezpieczeństwem i czekaniem.

## **Przedsionek Gościnności i Usidlenia w Dzwonie i Banku**

Lady Johanna Gnade była na miejscu pierwsza. Schludna, elegancko ubrana, czujna. Lord Żestokost, który przybył zaraz po niej, zaczął się



zastanawiać, czy ona w ogóle ma jakieś życie osobiste. Wnikanie w prywatne sprawy innego szefa Instrumentalności było jednak niekulturalne, mimo że komputer w rogu sali dysponował zapisaną ich kompletną osobistą historią, co do dnia i co do minuty. Żestokost wiedział o tym, bo, używszy nazwiska innego lorda, zaglądał do swoich akt, po prostu po to, by zobaczyć, czy znalazło się w nich kilka drobnych nielegalnych czynów. Były, wszystkie poza najcięższym – zмовą z dziewczyną-kotką, Ka-Mell – bo udało mu się ją skrzętnie ukryć przed wszystkimi rejestratorami. (Według archiwów w tym czasie po prostu drzemał). Jeśli lady Johanna miała jakieś takie tajemnice, dobrze je skrywała.

– Milordzie i szanowny współpracowniku – odezwała się. – Podejrzewam pana z czystego wścibstwa, a to grzech typowo przypisywany właśnie kobietom.

– Kiedy osiągnie pani mój wiek, milady, różnice charakterów kobiet i mężczyzn będą dla pani niezauważalne. O ile one w ogóle istnieją. Oboje jesteście bystrymi ludźmi, oboje mamy dobrego nosa do zagrożeń i niebezpieczeństw. Czy to nie jest nieprawdopodobne, że oboje sprawdzaliśmy osobnika z niemożliwie długim nazwiskiem, tego Rodericka Fredericka Ronalda Arnolda Williama MacArthura McBana sto pięćdziesiątego pierwszego? Widzi pani, zapamiętałem to wszystko! Nie sądzi pani, że to dość sprytnie z mojej strony?

– Dość – powiedziała tonem dającym do zrozumienia, że nie sądzi.

– Spodziewam się go jeszcze dziś rano.

– Naprawdę? – dodała, z intonacją sugerującą, że w takiej wiedzy jest coś niestosownego. – W komunikatach nic na ten temat nie było.

– Otóż to – powiedział z uśmiechem lord Żestokost. – Załatwiłem, żeby poziom promieniowania słonecznego na Marsie był podawany z dwoma dodatkowymi miejscami dziesiętnymi, póki on stamtąd nie wyleci. I rano wrócił do trzech miejsc po przecinku. To znaczy, że niedługo będzie. Sprytnie, prawda?

– Aż za sprytnie – odparła. – I po co milord mnie pyta? Nie wydaje mi się, żeby cenił moją opinię. Zresztą, czemu pan się tak angażuje w tę

sprawę? Czemu pan go po prostu nie wyekspediuje gdzieś tak daleko, żeby powrót zajął mu całe życie, nawet na strunie?

Patrzył na nią spokojnie, póki się nie zaczerwieniła. Nic nie powiedział.

– Ja... przepraszam. To była niestosowna uwaga – wyjąkała. – Pan i to pańskie poczucie sprawiedliwości. Przy panu, milordzie, reszta z nas zawsze źle wygląda.

– Nie chciałem – powiedział łagodnie. – Ja tylko myślę o Ziemi. Wie pani, że on jest właścicielem tej wieży?

– Ziemioportu?! – wykrzyknęła. – Niemożliwe!

– Ależ możliwe – powiedział Żestokost. – Sam go sprzedałem jego agentowi, dziesięć dni temu. Za czterdzieści WROG-ich megakredytów. To więcej, niż mamy w ogóle w tej chwili na Ziemi. Kiedy je zapłacił, zaczęliśmy mu płacić trzy procent rocznie odsetek. A to nie wszystko, co ode mnie kupił. Sprzedałem mu ten tam ocean, ten, który starożytni nazywali Atlantykiem. A także trzysta tysięcy atrakcyjnych podludzkich kobiet, wyszkolonych do różnych zadań, oraz prawa do ręki siedmiuset ludzkich kobiet w odpowiednim wieku.

– Mówi pan, że zrobił to wszystko, żeby zaoszczędzić ziemskiemu skarbcowi trzy megakredyty rocznie?

– A pani by nie zrobiła, milady? Proszę pamiętać, że mowa o WROG-im pieniądzu.

Zacisnęła usta. Po chwili uśmiechnęła się szeroko.

– W życiu nie spotkałam nikogo takiego jak pan. Jest pan najsprawiedliwszym człowiekiem na świecie, a mimo to nigdy nie przeoczy okazji, żeby trochę zarobić!

– To jeszcze nie wszystko – powiedział ze sprytnym uśmieszkiem. – Czytała pani Poprawki do Ustawy 711-19-13P, nad którymi głosowała pani jedenaście dni temu?

– Spojrzałam tylko – zaczęła się tłumaczyć. – Wszyscy tylko spojrzeli. Coś o ziemskich finansach i finansach Instrumentalności. Przedstawiciel Ziemi nie protestował. Przegłosowaliśmy, bo panu wierzymy.

– Ale wie pani, co to oznacza?

– Szczerze, nie za bardzo. Ma coś wspólnego z tym starym, bogatym człowiekiem, McBanem?

– Niech pani nie będzie taka pewna, że on jest stary. Może być młody. W każdym razie, milady, ta poprawka do ustawy podatkowej podnosi bardzo nieznacznie opodatkowanie kilokredytów. A podatki za megakredyty są dzielone po połowie między Ziemię i Instrumentalność, o ile właściciel nie korzysta osobiście z danego majątku. Stopa wynosi jeden procent miesięcznie. Tak napisane jest bardzo małą czcionką w przypisie u dołu siódmej strony tabeli stawek.

– Czyli – parsknęła śmiechem – sprzedając temu nieszczęśnikowi całą Ziemię, nie tylko pozbawia go pan trzech procent odsetek, ale jeszcze nalicza mu pan dwanaście procent podatku. Na święte rakiety, milordzie, za panem to nikt nie trafi. Uwielbiam pana. Jest pan najcwańszym i najcudaczniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek był szefem Instrumentalności!

W ustach Johanny Gnade były to nie byle słowa. Żestokost nie wiedział: obrazić się czy ucieszyć.

A ponieważ była w dość rzadkim dla niej dobrym humorze, ośmielił się wspomnieć o swoim na wpół tajnym przedsięwzięciu.

– A nie myśli pani, milady, że skoro już mamy taki nieoczekiwany przyływ kredytów, to moglibyśmy zużyć troszeczkę naszego importowanego strunu?

Śmiech wygasł.

– Na co? – zapytała ostro.

– Na podludzi. Na najlepszych spośród nich.

– Oj, nie. Nie, nie ma mowy! Nie na zwierzęta, kiedy mamy jeszcze ludzi, którzy cierpią. To wariactwo, milordzie.

– Ja jestem wariatem – powiedział. – Zwariowałem na punkcie sprawiedliwości. A to jest dla mnie po prostu zadośćuczynienie sprawiedliwości. Nie domagam się dla nich równych praw. Jedynie odrobiny sprawiedliwości.

– Ale to podludzie – stwierdziła stanowczo. – To zwierzęta. – Jakby taka uwaga wszystko ostatecznie rozstrzygała.

– A nie słyszała pani, milady, o suczce imieniem Joan? – W tym pytaniu kryły się całe pokłady aluzji.

Ona jednak nie dostrzegła tej głębi. Powiedziała beznamiętnie:

– Nie. – I wróciła do studiowania planu dnia.

## **Dziesięć kilometrów pod powierzchnią Ziemi**

Stare maszyny pulsowały jak przyływy. Pachniało gorącym smarem. Tu, na dole, nie było żadnych luksusów. Życie i żywe ciało było tańsze od tranzystorów, a poza tym o wiele mniej promieniowało. W wypełnionych szumem czeluściach mieszkali ukrywający się i zapomniani podludzie. Swojego wodza, O-Telekelego, uważali za czarownika. Czasem i on sam tak uważał.

Miał białą, przystojną twarz, niczym marmurowa rzeźba przedstawiająca nieśmiertelność. Pomarszczone skrzydła przyciskał ze zmęczeniem do ciała. Zawezwał do siebie swoje pierwojajeczne dziecko, dziewczynkę O-Lamelanie.

– On nadchodzi, skarbie.

– On, ojciec? Przyobiecany?

– On, bogaty.

Wytrzeszczyła oczy. Była jego córką, ale nie zawsze rozumiała jego moce.

– Skąd wiesz, ojciec?

– Jeśli powiem ci prawdę, czy zgodzisz się, żebym potem wymazał ci ją z głowy, żeby nie było ryzyka, że ją komuś zdradzisz?

– Oczywiście, ojciec.

– Nie – powiedział ptak o marmurowej twarzy. – Musisz wypowiedzieć właściwe słowa...

– Obiecuję, ojciec, że kiedy wypełnisz moje serce prawdą, a ono się tą prawdą uraduje, dopuszczę cię do mego umysłu, całego umysłu, bez lęku, nadziei i obaw, i poproszę cię, żebyś zabrał mi z umysłu całą prawdę lub

część prawdy, która może zagrozić naszemu ludowi, w imię Pierwszego Zapomnianego, w imię Drugiego Zapomnianego i w imię Trzeciego Zapomnianego oraz w imię Pi-Joan, którą wszyscy kochamy i wspominamy!

Wstał. Był wysoki. Jego nogi kończyły się ogromnymi ptasimi stopami, z białymi szponami opalizującymi jak macica perłowa. Ze stawów skrzydeł wyrastały ludzkie dłonie; wykonał nimi prehistoryczny gest błogosławieństwa nad jej głową, jednocześnie dźwięcznym, hipnotycznym głosem recytując prawdę:

– Niech wejdzie w ciebie prawda, córko moja, abyś się z prawdą w radości zjednoczyła. Abyś poznała prawdę, córko moja, poznała wolność i prawo do zapomnienia! Mój syn a twój brat, młodszy brat, którego kochałaś...

– Ojkasus! – powiedziała dziecięcym głosem, jak w transie.

– O-Eikasus, którego pamiętasz, został przemieniony przeze mnie, jego ojca, na kształt małej małpki człekokształtnej, aby ludzie brali go nie za podczłowieka, lecz za zwierzę. Wyszkolili go na chirurga i wysłali do lorda Krasnadamy. Przyleciał z tym młodym McBanem na Marsa, gdzie spotkał się z Ka-Mell, którą poleciłem lordowi Żestokostowi do załatwiania spraw poufnych. Dzisiaj razem z nim wracają. On wykupił Ziemię, a w każdym razie większość Ziemi. Może uczyni dla nas coś dobrego. Czy wiesz, co powinnaś wiedzieć, córko?

– Powiedz mi, ojczy, powiedz. Skąd to wiesz?

– Zapamiętaj prawdę, córko moja, bo potem ją stracisz! Informacje przychodzą do mnie z Marsa. Do Wielkiego Mrugacza ani maszyn kodujących komunikaty nie mamy dostępu, ale każdy piszący ma własny styl. Zmieniając szybkość pracy, ktoś zaprzyjaźniony może przekazywać nastroje, uczucia, idee, a czasem i słowa. Tym sposobem przekazali mi takie słowa: „bogaty, mała, mały, kot, dziewczyna, wszystko, dobrze”, zmieniając szybkość i częstotliwość przekazu. Nasze komunikaty ukryte są wewnątrz ludzkich wiadomości. Żaden kryptograf ich nie znajdzie i nie złamie. Teraz już wiesz, a teraz-teraz-teraz zapominasz!

Znów uniósł dłonie.

O-Lamelanie spojrzała nań uśmiechnięta radośnie.

– Wszystko to bardzo fajne, tato, ale zdaje się, że właśnie zapomniałam o czymś bardzo dobrym, cudownym!

Dodał rytualne słowa:

– Nie zapomnij o Joan.

Odpowiedziała uroczystym:

– Nigdy nie zapomnę o Joan.

## POLECIMY WYSOKO TAM

Rod podszedł na skraj małego parku. Zupełnie nie przypominało to jakiegokolwiek statku, który widział, albo o którym słyszał na Norstrilii. Żadnego hałasu, tłoku, żadnej widocznej broni – tylko ładny, mały domek mieszczący sterówkę, lot-kapitana, światłostrzelców, stop-kapitana, a wokół połać niesamowicie zielonej trawy. Wszedł na nią z zapyłonego marsjańskiego gruntu. Coś zamruczało, coś zaszepotało. Nieprawdziwe – i przepiękne – błękitne niebo nakryło go jak baldachim.

Poczuł się dziwnie. Miał wąsy jak u kota, długie na czterdzieści centymetrów, wyrastające z górnej wargi, około tuzina po każdej stronie. Tęczówki doktor zabarwił mu na intensywnie zielony kolor. Uszy kończyły się spiczasto. Wyglądał jak człowiek-kot, a ubrany był, podobnie jak Ka-Mell, w trykot zawodowego akrobaty.

A Ka-Mell wciąż nie mieściła mu się w głowie.

Przy niej każda norstrilijka kobieta wyglądałaby jak worek tłuszczu. Była szczupła, smukła, zgrabna, groźna i prześliczna; miękka w dotyku, ostra w ruchach, szybka, czujna i czuła. Rude włosy płonęły jedwabistym, zwierzęcym ogniem. Mówiła sopranem, dźwięcznym jak noworoczne dzwony. Jej przodków krzyżowano i krzyżowano, by wyhodować najbardziej uwodzicielską dziewczynę na Ziemi całej. I udało się to. Nawet siedząc bez ruchu, emanowała zmysłowością. Szerokie biodra i ostro zarysowane oczy budziły męskie namiętności, a kocia drapieżność rzucała wyzwanie każdemu napotkanemu mężczyźnie. Prawdziwi ludzie, mężczyźni, patrząc na nią, wiedzieli, że jest kotką, a i tak nie mogli oderwać od niej oczu. Ludzkie kobiety traktowały ją jak coś ohydneho. Podróżowała jako akrobatka, ale zdążyła już zdradzić Rodowi w zaufaniu,

że tak naprawdę jest z zawodu „towarkiem”, zwierzęciem mającym służyć za hostessę i damę do towarzystwa dla pozaświatowych gości, od której prawo i zwyczaj wymaga, by rozbudzała w nich miłość, a jednocześnie grozi jej kara śmierci, jeśli tę miłość przyjmie.

Rod polubił ją, choć na początku czuł się boleśnie nieśmiały. Nie miała drugiej twarzy, pozbawiona była pychy i zadęcia. Gdy się na czymś skupiła, jej niesamowite ciało wtapiało się w tło, choć, zerkając kątem oka, wciąż nie był w stanie o nim zapomnieć. To jej żywy umysł, jej inteligencja, jej humor i dobry nastrój napędzały ich przez spędzone razem dni i godziny. Stwierdził, że próbuje zaimponować jej tym, że jest dorosłym, prawdziwym człowiekiem, ale okazało się, że ona w spontanicznych, szczerych czułościach swojego zmiennego kociego serca zupełnie nie dba o jego status. Był po prostu współnikiem, z którym trzeba współpracować. Miał jedno zadanie: pozostać przy życiu, ona – zadbać, by to się udało.

Doktor Vomact kazał mu nie rozmawiać z innymi pasażerami, nie odzywać się do siebie nawzajem i upominać, jeśli ktoś się odezwie.

Innych pasażerów było dziesięciu. Gapili się na siebie nawzajem w pełnym zakłopotania zdziwieniu.

Było ich dziesięciu.

I wszyscy byli Rodem McBanem.

Dziesięciu dokładnie identycznych Rodericków Fredericków Ronaldów Arnoldów Williamów MacArthurów McBanów sto pięćdziesiątych pierwszych. Poza Ka-Mell i małą małpką-doktorem, Ma-Agentą, jedyną osobą na statku, która nie była Rodem McBanem, był sam Rod McBan, zmieniony w człowieka-kota. A każdy z Rodów był przeświadczony, że tylko on jeden jest prawdziwy, a reszta to nędzne imitacje. Popatrywali po sobie ponuro i podejrzliwie, z nutką rozbawienia, dokładnie tak, jak spoglądałby prawdziwy Rod McBan, gdyby znalazł się na ich miejscu.

– Jednym z nich – powiedział na pożegnanie doktor Vomact – jest twoja towarzyszką Eleanor z Norstrilii. Reszta to roboty, sterowane mysim mózgiem. Wszystkie skopiowane z ciebie. Niezłe, co? – Nie był w stanie ukryć zawodowej satysfakcji.

I zaraz mieli wszyscy razem zobaczyć Ziemię.



Ka-Mell podprowadziła Roda na skraj małego światka i powiedziała cicho:

– Chciałabym ci zaśpiewać *Piosenkę z wieży*. Zaraz wylądujemy na szczycie Ziemioportu.

I swoim przepięknym głosem odśpiewała dziwną, starą pioseneczkę:

*W sercu miłość dla ciebie mam,  
Ptaki krzyczą wysoko tam,  
Polecimy wysoko tam,  
Wiatr nas niesie wysoko tam,  
Serce pnie się wysoko tam,  
A w nim miejsce dla ciebie mam!*

Rod poczuł się trochę dziwnie, stojąc tam i patrząc w nicość, a jednocześnie było mu przyjemnie, że dziewczyna opiera głowę o jego ramię, a on ją obejmuje. Sprawiała wrażenie, że nie tylko go potrzebuje, ale jeszcze głęboko mu ufa. Nie wyglądała na dorosłą osobę – ważną i pełną niewyjaśnionych spraw. Była tylko dziewczyną – i na razie jego dziewczyną. Przyjemne to było i budziło w nim dziwne nadzieje na przyszłość.

Być może nadejdzie taki dzień, gdy będzie miał własną dziewczynę na stałe, będą mieli przed sobą nie dzień, lecz całe życie, nie jedno niebezpieczeństwo, lecz cały los. Miał nadzieję, że będzie mógł się z tą przyszlą dziewczyną poczuć tak spokojnie i dobrze jak z Ka-Mell.

Ka-Mell ścisnęła jego dłoń, jakby ostrzegawczo.

Odwrócił się i spojrzał na nią, ona jednak patrzyła prosto przed siebie. Pokazała brodą.

– Patrz tam – powiedziała – przed siebie. Ziemia.

Popatrzył z powrotem na sztuczne, puste niebo pola siłowego statku, jego monotonny, choć i przyjemny błękit, przesłaniający otchłanie, których tam naprawdę nie było.

Zmiana nastąpiła tak szybko, że zaczął się zastanawiać, czy naprawdę to widzi.

W jednej chwili – czysty, płaski błękit.

W drugiej – fałszywe niebo rozstało się, jakby ktoś dosłownie pociął je na gigantyczne wstęgi, które z kolei skurczyły się w błękitne plamki i zniknęły.

A za nim było drugie błękitne niebo. Ziemskie.

Kolebka Ludzkości.

Rod odetchnął głęboko. Trudno było w to uwierzyć. To niebo nie różniło się zanadto od sztucznego, otaczającego statek w drodze z Marsa; miało w sobie jednak coś żywego i wilgotnego, niepodobnego do żadnego nieba, o jakim kiedykolwiek słyszał.

Jednakże nie widok Ziemi zaskoczył go najbardziej. Był to zapach. Nagle dotarło do niego, że Stara Australia Północna musi się Ziemianom wydawać nudna, płaska i pylista. Tu pachniało samym życiem. To były zapachy roślin, wody, innych rzeczy, których nawet się nie domyślał. W tym powietrzu unosił się kod miliona lat historii. W tym powietrzu pływali ludzie, zanim podbili gwiazdy. Ta wilgoć to nie drogocenny wyziew nad jednym z jego zakrytych kanałów. To dzika, wolna wilgoć, niosąca ślady istot żyjących, umierających, rozsiewających się, wijących i kochających z obfitością, która wszystkim poza Ziemią wydawała się przesadzona i nadmierna! Czymże jest strun, skoro płaci się za niego właśnie wodą – wodą, dawczynią i nosicielką życia? To był jego dom, obojętne od ilu pokoleń jego lud żył w pokręconym piekle Raju VII albo wśród wysuszonych skarbów Starej Australii Północnej. Zaciągnął się głęboko tym powietrzem, czując, jak wnika w niego ziemską plazmę, ten opar, z którego wyłonił się człowiek. I znów poczuł Ziemię – zajmie to długie lata, nawet ze strunem, zanim ktokolwiek zrozumie wszystkie te zapachy dochodzące tu wysoko, do statku, który, dość nietypowo jak na planoformacyjny statek, unosił się dwadzieścia parę kilometrów nad powierzchnią planety.

Coś jeszcze było dziwnego w tym powietrzu, coś przyjemnie oczyszczającego nozdrza, orzeźwiającego dla duszy. Jeden przepiękny

i silny zapach przytłaczał wszystkie pozostałe. Co to może być? Pociągnął nosem, po czym powiedział sam do siebie, głośno i wyraźnie:

– Sól!

Ka-Mell przypomniała mu, że stoi obok:

– Podoba ci się, Ka-Rod?

– Tak, tak, to o wiele... – Nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów. Popatrzył na nią, jej miły, uważny uśmiech wywoływał wrażenie, że współodczuwa każdy miligram jego zachwyty.

– Ale po co marnujecie sól na powietrze? – zapytał. – Co to daje?

– Sól?

– Tak. Jest w powietrzu. Takie bogate, mokre, słone. To jakiś nieznanymy sposób na oczyszczenie statku?

– Statku? Nie jesteśmy już na statku, Ka-Rod. To jest lądowisko na dachu Ziemioportu.

Aż zapało mu dech.

Nie na statku? Na Starej Australii Północnej nie było żadnej góry wyrastającej ponad sześć tysięcy metrów powyżej średniej wysokości planety. A i te góry były gładkie, zerodowane, zeszlifowane przez nieskończone eony wiatru na delikatną warstwę pyłu pokrywającą cały świat.

Rozejrzył się wokół.

Platforma miała około dwustu metrów długości i sto szerokości.

Dziesięciu „Rodów McBanów” rozmawiało z jakimiś ludźmi w mundurach. Na drugim końcu w niebo strzelała niesamowita iglica – pewnie z pół kilometra wysokości. Spojrzył w dół.

Tam była – Stara Stara Ziemia.

Wodny skarb miał tuż przed oczyma – całe miliony ton wody, dość, by napoić całą galaktykę owiec i obmyć nieskończoną armię ludzi. Tuż przed horyzontem po prawej z jej powierzchni wystawały nieliczne wysepki.

– Hesperydy – powiedziała Ka-Mell, idąc za jego wzrokiem. – Wypiętrzyły się z morza, kiedy Daimoni to dla nas zbudowali. To znaczy dla ludzi. Nie powinnam mówić „dla nas”.

Nie zauważył, że się poprawiła. Gapił się na morze. Sunęły po nim małe kreseczki, bardzo wolno. Wskazał palcem jedną z nich i zapytał Ka-Mell:

– To są „wodne domy”?

– Jak?

– Domy, które siedzą na wodzie. Mokre domy. Czy to jest to?

– Statki – powiedziała, żeby nie psuć mu radości otwartym zaprzeczeniem. – Tak, to są statki.

– Statki?! – zawołał. – Coś takiego w życiu nie polecą w kosmos. Czemu nazywać to „statkami”?

Ka-Mell wyjaśniła łagodnie.

– Ludzie mieli statki wodne na długo przed statkami kosmicznymi. Wydaje się, że określenie na pojazd kosmiczny w Starym Wspólnym Języku pochodzi właśnie od pojazdu wodnego.

– To chcę zobaczyć miasto – powiedział Rod. – Pokaż mi miasto.

– Stąd nie będzie zbyt dobrze wyglądało. Za wysoko jesteśmy. Ze szczytu Ziemioportu wszystko wygląda nieciekawie. Ale i tak ci pokażę. Podejdź tutaj, kochany.

Gdy oddalili się od krawędzi, Rod uświadomił sobie, że małpka jest cały czas z nimi.

– Co ty tu z nami robisz? – zapytał ją, nie całkiem niemiło.

Absurdalna małpia twarzyczka zmarszczyła się w konfidencjonalnym uśmiechu. Ta sama twarz co przedtem zaczęła wyrażać coś całkiem innego – większą pewność siebie, klarowność, poczucie celowości. W głosie małpki słyszało się nawet humor i jowialność.

– My, zwierzęta, czekamy, aż ludzie skończą wchodzić do środka.

My, zwierzęta? – pomyślał Rod. Po czym przypomniał sobie swoją włochatą głowę, spiczaste uszy, kocie wąsy. Nic dziwnego, że czuł się tak swojsko przy tej dziewczynie, a ona przy nim.

Dziesięciu Rodów McBanów schodziło na dół pochylnią – wyglądało to tak, jakby podłoga pochłaniała ich powoli, poczynając od stóp. Szli gęsiego, tak że z pierwszego została tylko głowa pozbawiona ciała, ostatni zaś stracił jedynie stopy.

Rod spojrział na Ka-Mell i Ma-Agentę i zapytał wprost:

– Skoro ludzie mają taki wielki, mokry, wspaniały świat, cały pełen życia, czemu chcą mnie zabić?

Ma-Agenta pokręcił głową ze smutkiem, jakby dobrze wiedział, ale samo udzielanie odpowiedzi było niewypowiedzianie męczące i przygnębiające.

Ka-Mell odpowiedziała:

– Bo jesteś, kim jesteś. Masz wielką potęgę. Wiesz, że ta wieża jest twoja?

– Moja! – zawołał.

– Kupiłeś ją, albo ktoś ją kupił w twoim imieniu. Większość tej wody też jest twoja. Kiedy się ma tak wiele, ludzie proszą cię o różne rzeczy. Albo sami je biorą. Ziemia jest, owszem, piękna, ale także niebezpieczna, zwłaszcza dla takich pozaświatowców jak ty, przyzwyczajonych do całkiem innego stylu życia. Nie wywołałeś sam jeden fali zbrodni i zła na tym świecie, ale on spał, a teraz się dla ciebie budzi.

– Dlaczego dla mnie?

– Ponieważ – odezwał się Ma-Agenta – jesteś najbogatszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek postawił stopę na tej planecie. Która zresztą w większości należy do ciebie. Od twoich decyzji i twoich myśli zależą losy milionów ludzi.

Dotarli na przeciwległą stronę platformy. Tutaj, od strony lądu, było dużo rzek. Strasznie przeciekały. Większość lądu zakrywały chmury z pary wodnej, jak to się zdarza na Norstrilii, kiedy zakryty kanał wyleje poza swój tunel. Te chmury stanowiły niezmierny wodny skarb. Zauważył, że u podnóża wieży się urywają.

– Maszyny pogodowe – wyjaśniła Ka-Mell. – Wszystkie miasta są pokryte maszynami pogodowymi. Nie macie ich na Starej Australii Północnej?

– Oczywiście, że mamy – powiedział Rod – ale nie marnujemy wody, nie pozwalamy, żeby sobie tak latała w powietrzu. Chociaż ładnie to wygląda. Pewnie jestem krytyczny, bo razi mnie taka rozrzutność. Czy wy, ludzie z Ziemi nie macie lepszego zastosowania dla tej wody, niż żeby rozlewała się po ziemi albo unosiła na niebie?

– My nie jesteśmy ludźmi z Ziemi – odparła Ka-Mell. – Jesteśmy podludźmi. Ja jestem kotką, a on jest zrobiony z małpy. Nie nazywaj nas ludźmi. To niestosowne.

– Kurdesz – powiedział Rod. – Pytałem tylko o ziemskie sprawy, nie chciałem was urazić, mówiąc...

Stanął jak wryty.

Cała trójka odwróciła się.

Z pochylni wyłoniło się coś przypominającego wielką kosiarkę. Ze środka dobiegał ludzki głos, wściekły i przerażony.

Rod rzucił się naprzód.

Ka-Mell rzuciła się naprzód.

Złapała go za ramię i odciągnęła z całej siły.

– Nie! Rod! Nie! Nie!

Ma-Agenta osadził go jeszcze skuteczniej – skoczył mu na twarz, tak że Rod przez chwilę nie widział nic oprócz brązowej sierści i nie czuł nic poza małymi rączkami ciągnącymi go za włosy. Zatrzymał się i wyciągnął ręce do małpy. Ma-Agenta przewidział to i zeskoczył na ziemię, zanim Rod zdążył go uderzyć.

Maszyna popędziła w górę po iglicy, niemal znikając w niebie. Głos osłabł.

Rod spojrzał na Ka-Mell.

– No dobra. Co to było? Co się dzieje?

– To pająk, olbrzymi pająk. Porywa albo zabija Roda McBana.

– Mnie?! – zawył Rod. – Lepiej niech mnie nie rusza. Rozerwę go na strzępy!

– Ciii! – powiedziała Ka-Mell.

– Cicho! – powiedziała małpka.

– Żadne „ciii” i żadne „cicho”! – zawołał Rod. – Nie pozwolę, żeby ten biedak cierpiał za mnie. Powiedzcie temu czemuś, żeby zlazło. Co to w ogóle jest, ten pająk? Robot jakiś?

– Nie – odparła Ka-Mell. – Owad.

Rod zmrużył oczy, patrząc na podobną do kosiarki maszynę, uczeponą zewnętrzną ścianę wieży. Ledwo widział trzymanego przez nią człowieka.

Gdy Ka-Mell powiedziała „owad”, coś mu przeskoczyło w głowie. Nienawiść. Odraza. Odporność na brud. Owady na Starej Australii Północnej były małe, opatrzone numerami seryjnymi i licencjami. I tak jednak uważał je za urodzonych wrogów. (Ktoś mu kiedyś powiedział, że ziemskie owady zrobiły Norstrilijczykom straszne rzeczy, kiedy mieszkali na Raju VII). Wrzasnął na pająka, ile sił w płucach:

– Złaż na-tych-miast!

Paskudztwo na iglicy zadygotało z zadowolenia i zwarło maszynopodobne nogi razem, sadowiąc się wygodniej.

Rod zapomniał, że powinien być kotem.

Nabrał haust powietrza. Ziemskie powietrze było wilgotne, ale rzadkie. Na chwilę czy dwie zamknął oczy. Pomyślał wrogo, wrogo, wrogo o owadzie. Po czym wrzasnął telepatycznie, głośniejszym niż kiedykolwiek na własnej planecie:

*Nienawiść-plwocina-żółć-rzygi!*

*Brud, brud, brud,*

*Wybuchnij*

*Sczeźnij,*

*Zgiń,*

*Smród, katastrofa, zgnij, przepadnij,*

*Nienawiść, nienawiść, nienawiść!*

Nieartykułowany telepatyczny ryk zaszkodził nawet jemu samemu. Zobaczył, jak małopka pada na ziemię bez przytomności. Ka-Mell zbladła i wyglądała, jakby miała zwymiotować.

Spojrzał w górę na „pająka”. Dosięgnął go?

Tak.

Długie nogi powoli, powoli, spazmatycznie rozwarły się, wypuszczając człowieka, który natychmiast poleciał w dół. Oczy Roda śledziły lot „Roda McBana”. Wzdrygnął się, gdy mokre plaśnięcie poinformowało go, że duplikat jego własnego ciała właśnie rozbryztał się na twardym pokładzie wieży, sto metrów od niego. Zerknął z powrotem na „pająka”. Ten rozpaczliwie próbował chwycić się powierzchni iglicy, po czym spadł, koziołkując. On też uderzył w pokład wieży i leżał tam, zdychając,

z podrygującymi nogami, gdy jego osobowość zapadała się we własną, wieczną noc.

Rod sapnął.

– Eleanor! Och, może to jest Eleanor! – zawył. Już miał popędzić do kopii własnego ludzkiego ciała, zapominając, że jest człowiekiem-kotem.

Głos Ka-Mell był ostry jak skowyt, choć niski.

– Cicho! Cicho bądź! Nie ruszaj się! Zamknij umysł! Zamknij się! Jak się nie zamkniesz, wszyscy zaraz zginie!

Zatrzymał się, popatrując na nią głupkowato. Nagle zdał sobie sprawę, że jest śmiertelnie poważna. Usłuchał. Przestał się ruszać. Nie próbował nic mówić. Zamknął umysł, izolując się od telepatii tak, że aż rozboleła go czaszka. Małpka Ma-Agenta pełzła po podłodze, wstrząśnięta i zbrzydzone. Ka-Mell cały czas była blada.

Pochylnią wybiegli ludzie, zobaczyli ich i skierowali się ku nim.

W powietrzu załopotały skrzydła.

Ogromny ptak – nie, to był ornitopter – wylądował, drapiąc szponami pokład. Człowiek w mundurze wyskoczył z niego i zawołał:

– Gdzie on jest?!

– Wyskoczył! – krzyknęła Ka-Mell.

Tamten powiódł wzrokiem za jej gestem, po czym gniewnie odwrócił się z powrotem.

– Głupia! – powiedział. – Stąd się nie da wyskoczyć. Ta bariera nawet statek by zatrzymała. Co dokładnie widziałaś?

Ka-Mell była dobrą aktorką. Udała, że przezwycięża szok i z trudem przychodzi jej słowa. Mężczyzna w mundurze patrzył na nią wyniośle.

– Koty – powiedział – i małpa. Co tu robicie? Kim jesteście?

– Imię: Ka-Mell, zawód: towarek, personel Ziemioportu, przełożony: komisarz Herbaciarz. Chłopak: bez stopnia, imię: Ka-Roderick, nocny kasjer w banku, na dole. On? – Wskazała brodą Ma-Agentę. – O nim za wiele nie wiem.

– Imię: Ma-Agenta. Zawód: chirurg pomocniczy. Status: zwierzę. Nie jestem podczłowiekiem, jestem tylko zwierzęciem. Przybyłem statkiem



z Marsa razem z człowiekiem, który zginął, i paroma innymi prawdziwymi ludźmi, którzy wyglądali dokładnie tak samo. Tamci pierwsi zeszli na dół.

– Cicho bądź – powiedział umundurowany facet. Odwrócił się do nadchodzących ludzi. – Wielce szanowny podszefie, melduje się sierżant 387. Użytkownik broni telepatycznej zniknął. Jest tu tylko dwójka podludzi-kotów, niezbyt inteligentnych, oraz niewielka małpka. Potrafią mówić. Dziewczyna mówi, że widziała, jak ktoś zeskakuje z wieży.

Podszef był wysoki i rudy, a mundur miał jeszcze ładniejszy niż sierżant. Warknął na Ka-Mell:

– Jak on to zrobił?

Rod znał ją już na tyle dobrze, że widział grę – w okamgnieniu zaczęła wyglądać na dość zdezorientowaną i kobiecą, mówiącą bez ładu i składu. Z pozoru. A naprawdę w stu procentach panowała nad sytuacją. Powiedziała, jękając się:

– Wskoczył, sir. Nie wiem jak.

– To niemożliwe – stwierdził podszef. – A ty widziałeś, gdzie zniknął? – warknął na Roda McBana.

Roda zaskoczyła nagłość tego pytania; poza tym Ka-Mell kazała mu siedzieć cicho. Pomiędzy tymi dwoma stanowczymi rozkazami wyjąkał:

– Eee... ten... ja... pan rozumie...

Małpka-chirurg przerwała mu sucho:

– Szanowny panie podszefie, ten kot nie jest zbyt inteligentny. Sądzę, że za wiele pan z niego nie wyciągnie. Ładny, ale głupi. Materiał rozplodowy, tylko i wyłącznie...

Roda zatkało i zaczerwienił się, słysząc te uwagi, ale Ka-Mell łypnęła nań spod oka, dobitnie sugerując, że ma być cicho.

Wtrąciła się:

– Jedną rzecz zauważyłam, proszę pana. Być może to ważne.

– Na Dzwon i Bank, zwierzaku! Mów – wykrzyknął podszef. – Przestań decydować, co powinienem wiedzieć.

– Ten dziwny człowiek miał lekko niebieskawą skórę.

Podszef cofnął się o krok. Żołnierze i sierżant wytrzeszczyli na niego oczy. Poważnym, stanowczym tonem zapytał Ka-Mell:

– Jesteś pewna?

– Nie, proszę pana. Tylko tak mi się wydawało.

– I tylko jednego widziałaś? – warknął podszef.

Rod, przesadzając z głupotą, uniósł cztery palce.

– Ten głupek myśli, że widział czterech! – zawołał podszef. – On umie w ogóle liczyć?

Ka-Mell spojrzała na Roda jakby był kompletnie pozbawionym mózgu przystojniakiem. Rod spojrzał na nią, celowo robiąc głupią minę. Świetnie mu wychodziła, bo w domu, kiedy był mały, nie umiał mówić ani słuchać, wiele razy musiał przesiadywać na niekończących się rozmowach innych ludzi, zupełnie nie wiedząc, o czym mowa. Bardzo wcześnie odkrył, że jeśli będzie siedział spokojnie, z głupią miną, ludziom nie będzie się chciało włączać go do rozmowy, podnosić głosu i rzeć na niego, jakby był głuchy. Spróbował odtworzyć to dawne zachowanie i z zadowoleniem stwierdził, że się udaje. Poczł dumę, że może tak świetnie zagrać przed Ka-Mell. Mimo że jednocześnie zażarcie walczyła o ich wolność i udawała głupią dziewczynkę, korona jej płomiennych włosów świeciła jak samo ziemskie słońce; choć była kotką, górowała i uroda, i inteligencją nad wszystkimi ludźmi na lądowisku. Nic dziwnego, że w obecności takiej osoby nikt nie zwraca na niego uwagi; ubolewał tylko, że nie jest jeszcze bardziej niewidoczny – tak, by mógł sobie chodzić gdzie popadnie i przy okazji sprawdzić, czy trup należy do Eleanor, czy któregoś z robotów. Jeśli Eleanor już oddała za niego życie, ledwie parę minut po postawieniu stopy na Ziemi, nie wybaczy sobie tego aż do śmierci.

Gadka o niebieskich ludziach rozbawiła go niezmiernie. Występowali w norstrilijskim folklorze jako rasa przybywających z daleka iluzjonistów, którzy za sprawą nauki lub hipnozy mogą stawać się niewidzialni dla innych, kiedy tylko zechcą. Rod nigdy nie rozmawiał z oficerem bezpieczeństwa Starej Australii Północnej o problemach pilnowania strunu przed atakiem niewidzialnych ludzi, ale z tego, jak owe historie o nich były opowiadane, wywnioskował, że albo nigdy dotąd nie pojawili się na Norstrilii, albo norstrilijskie władze nie traktują ich zbyt poważnie. Zdumiał się też, że Ziemianie nie ściągnęli tu paru pierwszorzędnych

telepatów i nie kazali im dokładnie przeszukać pokładu pod kątem wszelkich istot żywych, ale sądząc po ich gędzeniu i rozglądaniu się na boki, ci ziemscy ludzie mieli dość kiepskie zmysły i nie byli w stanie niczego szybko i sprawnie zorganizować.

Zresztą na pytanie o Eleanor zaraz otrzymał odpowiedź.

Jeden z żołnierzy dołączył do grupy, zasalutował i czekał, aż wreszcie pozwolą mu przerwać nieskończone domysły Ka-Mell i Ma-Agenty, ilu to mianowicie niebieskich ludzi było na wieży i czy w ogóle był choć jeden.

Podszef kiwnął na żołnierza, który powiedział:

– Za pozwoleniem, sir, melduję, że to ciało to nie ciało. To tylko robot, który wygląda jak człowiek.

Serce Roda nagle się rozpogodziło. Eleanor jest bezpieczna, jest gdzieś dalej w tej olbrzymiej wieży.

Meldunek jakby przeważył szalę u młodego oficera.

– Przeprowadzić maszynę do czyszczenia i psa tropiącego – rozkazał sierżantowi – i dopilnować, żeby cały teren był przeczesany i przeszukany, co do milimetra kwadratowego.

– Zrobione – powiedział żołnierz.

Rod uznał tę uwagę za dziwną, gdyż nic jeszcze nie zostało zrobione.

Podszef wydał kolejny rozkaz:

– Zanim zejdziemy pochylnią, włączyć ostre warty. Każdy osobnik o niepewnej tożsamości musi być automatycznie zabity przez te urządzenia. Dotyczy to także nas – dodał na użytek swoich ludzi. – Nie chcemy, żeby jacyś niebiescy wkradli się do środka wieży za nami.

Ka-Mell nagle i dość śmiało podeszła do oficera i zaczęła mu szeptać na ucho. Słuchając, przewrócił oczyma, potem lekko się zaczerwienił i niespodziewanie zmienił rozkaz:

– Wyłączyć ostre warty. Cały oddział, stanąć w zwartym szyku. Przykro mi, żołnierze, ale przez parę minut będziecie musieli dotykać tych podludzi. Mają stać tak blisko was, żeby było jasne, że nikt dodatkowy nie zakradł się do grupy.

(Ka-Mell powiedziała później Rodowi, że wyznała młodemu oficerowi, że jest prawdopodobnie mieszanego typu, częściowo ludzkiego, częściowo

zwierzęcego, i jest specjalnym towarkiem dwóch pozaziemskich magnatów Instrumentalności. Powiedziała, że chyba ma wyraźną tożsamość, ale nie jest pewna, a ostre warty zabiją ją, jeśli nie okaże się poprawna. Jak wyjaśniła później Rodowi, te maszyny wykryłyby podczłowieka udającego człowieka i człowieka udającego podczłowieka, a wykrywszy, zabiłyby na miejscu, wzmacniając pole magnetyczne jego własnego ciała. Niebezpiecznie było przez nie przechodzić, bo od czasu do czasu zdarzało im się zabić normalnego, legalnego człowieka lub podczłowieka, który po prostu nie zogniskował się jak trzeba).

Oficer zajął lewy przedni róg żywego czworoboku ludzi i podludzi. Stanęli w zwartym szyku. Rod zauważył, że dwóch sąsiednich żołnierzy krzywi się, stykając się z jego „kocim” ciałem. Odwracali od niego twarze, jakby śmierdział. Nic nie powiedział. Po prostu patrzył przed siebie, starając się mieć uprzejmy i głupi wyraz twarzy.

Potem nastąpiło coś zaskakującego. Mężczyźni ruszyli cudacznym krokiem, jednocześnie unosząc lewą nogę, potem prawą. Ma-Agenta nie był w stanie tego zrobić, więc na kiwnięcie głowy sierżanta Ka-Mell wzięła go na ręce i przytuliła do piersi. Karabiny żołnierzy nagle rozbłysły.

Zapewne, pomyślał Rod, muszą być jakoś spokrewnione z bronią, jaką miał przy sobie lord Krasnadama parę tygodni temu, kiedy lądował statkiem na mojej ziemi. (Przypomniawszy sobie Hoppera, jego nóż poruszający się jak głowa węża, grożący śmiercią lordowi Krasnadamie; potem przypomniał sobie nagły bezgłośny błysk, czarny tłusty dym i Billa ponuro spoglądającego na fotel, gdzie przed chwilą siedział jego kumpel).

Ta broń tutaj emitowała tylko trochę światła, niewiele, lecz jej moc objawiała się drganiem podłogi i wzbijaniem z niej pyłem.

– Bliżej, żołnierze! Prawie pod własne nogi! Nie przepuścić żadnego niebieskiego! – zawołał podszeft.

Żołnierze wykonali rozkaz.

Powietrze zaczęło dziwnie pachnieć spalenizną.

Na pochylni nie było poza nimi żywego ducha. Gdy skręcili za róg, Rod aż sapnął.

To było największe pomieszczenie, jakie w życiu widział. Zajmowało cały szczyt Ziemioportu. Nie miał pojęcia, ile hektarów powierzchni musi mieć, ale spokojnie zmieściłyby się w nim co mniejsze gospodarstwa. Żołnierze na rozkaz podszefa rozeszli się. On zaś łypnął groźnie na człowieka-kota Roda, dziewczynę-kotkę Ka-Mell i małą Ma-Agentę:

– Stójcie, gdzie stoicie, póki nie wrócę!

Stali więc, Ka-Mell i Ma-Agenta, całkiem nieruchomo, Rod zaś gapił się, jakby chciał pochłonąć oczyma cały świat. Tylko w tym jednym ogromnym pomieszczeniu było więcej zabytków i bogactwa niż posiadała cała Stara Australia Północna. Z sufitu, na trzydziestometrowej wysokości zwieszały się opalizujące kotary z niewiarygodnie kosztownego materiału; niektóre wydawały się brudne i w kiepskim stanie, lecz nawet one, po opłaceniu dwudziestu milionów procent cła, kosztowałyby tyle, że nikogo z Norstrilii nie byłoby na nie stać. Tu i ówdzie stały stoły i krzesła, niektóre zasługujące na miejsce w Muzeum Człowieka na Nowym Marsie. Tu jednak po prostu z nich korzystano. A ludzie, otoczeni takim bogactwem, nie wydawali się ani trochę szczęśliwsi. Rod po raz pierwszy poczuł przedsmak tego, co uczyniło dla wartości życia ubóstwo, które sami sobie narzucili. Na jego planecie ludzie nie mieli wiele, a przecież mogliby zwieźć sobie nieskończone statki skarbów ze wszystkich światów galaktyki, płacąc przedłużającym życie strunem. Mimo to, tonąc w tych skarbach, niczego nie byłoby w stanie docenić – zupełnie tak samo, jakby nie mieli nic. Pomyślał o swojej własnej ukrytej kolekcji antyków. Tu, na Ziemi, nie byłaby godna nawet śmietnika, w Stancji Zagłady gwarantowała mu status konesera do końca życia.

Pomyślawszy o domu, zaczął się zastanawiać, co może knuć na Ziemi jego wróg, Cham Ten Sam, Honsek.

Daleko musiałby sięgnąć, bardzo daleko! – pomyślał.

Ka-Mell pociągnęła go za rękę.

– Trzymaj mnie – rozkazała – bo obawiam się, że spadnę, a O-Eikasus nie jest dość silny, żeby mnie przytrzymać.

Roda zaintrygowało, kto to taki ów Ojkasus, skoro jest z nimi tylko mała Ma-Agenta; a także, czemu Ka-Mell chce, by ją trzymać. Jednak

norstrilijska dyscyplina uczyła, by w nagłej sytuacji nie kwestionować poleceń. Złapał ją.

Nagle obwisała mu w objęciach, jakby zemdląca lub zasnęła. Przytrzymał ją jedną ręką, drugą zaś oparł jej głowę o swój bark, żeby wyglądała jak zmęczona, lub czule weń wtulona, a nie nieprzytomna. Przyjemnie było trzymać to drobne ciało, niewiarygodnie kruche i delikatne. Jej włosy, rozwiane i potargane, wciąż pachniały słonym morskim powietrzem, które tak zaskoczyło go godzinę temu. Pomyślał, że jest największym ziemskim skarbem, jaki dotąd widział. Ale założmy, że mógłby ją mieć? Co by z nią począł na Starej Australii Północnej? Podludzie byli całkowicie zabronieni, z wyjątkiem zastosowań militarnych, pod wyłączną kontrolą władz Wspólnoty. Nie wyobrażał sobie Ka-Mell chodzącej po wielkiej owcy i strzygącej ją maszyną. Absurdalna była też wizja, w której siedzi przez całą noc przy samotnym lub przerażonym owczym potworze. Była dziewczyną do towarzystwa, ozdobą w ludzkiej postaci; dla takich jak ona nie było miejsca pod przytulnym szarym ojczystym niebem. W suchym powietrzu zwiędłaby jej uroda; wyrafinowany umysł zgorzkniałby wśród nudy farmerskiej kultury – ziemi, odpowiedzialności, obrony, samowystarczalności, trzeźwości. Nawet Nowe Melbourne wydałoby się jej zbieraniną ruder.

Uświadomił sobie, że marzną mu stopy. Na górze grzało je słońce, mimo że dmuchało na nie chłodne, słone, wilgotne powietrze znad wspaniałych ziemskich „mórz”. Tutaj, w środku było tylko wysoko i zimno, choć nadal wilgotno – wilgotnego zimna dotąd nie doświadczył i było to coś osobliwie nieprzyjemnego.

Ka-Mell otrząsnęła się i oprzytomniała dokładnie w chwili, gdy dostrzegli oficera, idącego ku nim z drugiego końca gigantycznej sali.

Później powiedziała Rodowi, co przeżyła, gdy zapadła w nieświadomość.

Najpierw odebrała wezwanie, którego nie była w stanie wyjaśnić. Dlatego ostrzegła Roda. „Ojkasus” to był oczywiście O-Eikasus, prawdziwe imię „małpki”, którą on nazywał Ma-Agenta.

Potem, gdy w mocnych ramionach Roda odpłynęła w półsen, usłyszała grające trąbki, zaledwie dwie czy trzy, odgrywające różne partie tej samej zawilej i pięknej melodii – czasami solo, a czasami razem. Gdyby wówczas zajrzał jej do głowy telepata, człowiek lub robot, wywnioskowałby, że spostrzegawcza ka-dziewczyna podłączyła się do jednego z telepatycznych kanałów rozrywkowych, jakie wypełniały przestrzeń wokół Ziemi.

Na koniec jednak nadeszły wiadomości. Nie były w żaden sposób zakodowane w tej muzyce. Po prostu powstawały w jej umyśle – w umyśle Ka-Mell, jedynej w swoim rodzaju. Poszczególne pasażerki lub nawet pojedyncze nuty odwoływały się do jej pamięci i emocji, przywołując na wpół zapomniane, dawne skojarzenia. Najpierw pomyślała o *Ptaki krzyczą wysoko*, jak w tej piosence, którą odśpiewała Rodowi. Potem zobaczyła oczy, przenikliwe i płonące wiedzą, a jednocześnie wilgotne i pokorne. Później poczuła dziwne zapachy Głębin-Głębin, przemysłowego miasta, w którym podludzie zajmowali się utrzymaniem cywilizacji na powierzchni – a kryli się tam również pewni nielegalni podludzie, z dala od wzroku ludzkich władz. Na koniec zobaczyła samego Roda, schodzącego z pokładu swoim zamaszystym norstrilijskim krokiem. Łatwo to było zebrać w całość. Ma zaprowadzić Roda do zapomnianych, zakazanych komnat Bezimiennego. I to szybko. Muzyka w głowie ustała, dziewczyna się obudziła.

Oficer do nich dotarł.

Spojrzał na nich bystro i gniewnie.

– Dziwnie cała ta sprawa wygląda. P.o. komisarza w ogóle nie wierzy w istnienie niebieskich ludzi, chociaż każdy o nich słyszał. A jednak wiemy, że ktoś odpalił telepatyczną bombę emocjonalną. Taka furia! Połowa ludzi w tej sali padła, kiedy to wybuchło. W ziemskiej atmosferze taka broń jest absolutnie zabroniona.

Popatrzył na nich, przekrzywiając głowę.

Ka-Mell przewidująco się nie odezwała, Rod ćwiczył swoją stuprocentowo głupią minę, a Ma-Agenta wyglądał jak mała, bezradna małpka.

– Jeszcze dziwniejsza rzecz – dodał oficer. – P.o. komisarza dostał polecenie, by was wypuścić. Przyszło, kiedy udzielał mi reprimendy. Skąd ktoś może wiedzieć, że wy, podludzie, tu wylądowaliście? Kim wy w ogóle jesteście?

Przez minutę patrzył na nich ciekawie, potem ciekawość ustąpiła pod presją wieloletnich nawyków.

Warknął:

– Zresztą, kogo to obchodzi? Ruszać się. Iść stąd. Jesteście podludźmi i i tak nie wolno wam tu być.

Odwrócił się do nich plecami i odszedł.

– Dokąd idziemy? – szepnął Rod, licząc, że Ka-Mell powie, że może zejść na powierzchnię i przyjrzeć się Starej Ziemi.

– Na dół, na samo dno świata, a potem... – zagryzła wargę – ...a potem jeszcze głębiej. Mam wskazówki.

– A nie mógłbym urwać z godzinki, żeby obejrzeć sobie Ziemię? – zapytał Rod. – Ty oczywiście byś ze mną została?

– Kiedy śmierć skacze dookoła jak iskry? Nie ma mowy. Chodź, Rod. Już całkiem niedługo będziesz wolny, o ile ktoś cię wcześniej nie zabije. Ojkasus, ty prowadzisz!

Poszli do szybu.

Rod zajrzał do środka i zakręciło mu się w głowie na sam widok. Dopiero gdy ujrzał sunących w górę i w dół ludzi, zorientował się, że to jakieś ziemskie urządzenie, którego nie mają na Starej Australii Północnej.

– Weź pas – powiedziała cicho Ka-Mell. – Zachowuj się, jakby to było dla ciebie normalne.

Rozejrzał się. Dopiero gdy ona wzięła parciany pas, około piętnastocentymetrowej szerokości, i opasała się nim w talii, zrozumiał, co ma na myśli. Czekali, a Ma-Agenta ganiał tam i z powrotem pomiędzy wieszakami z pasami, szukając odpowiednio małego dla siebie. W końcu Ka-Mell mu pomogła: wzięła jeden w normalnym rozmiarze, owinęła go nim dwukrotnie i zapięła.

– Jest magnetyczny – mruknęła. – Do szybów.

Z głównego szybu nie skorzystali.



– Tylko dla ludzi – wyjaśniła Ka-Mell.

Szyb dla podludzi wyglądał tak samo, tylko nie było w nim jasnych światel, tłoczonego świeżego powietrza, napisów przy kolejnych piętrach i plakatów mających zabawiać sunących w górę i w dół ludzi. Poza tym było w nim więcej towarów niż pasażerów. Wielkie skrzynie, bele, części maszyn, meble, tajemnicze pakunki, a każdy owinięty magnetycznymi pasami i prowadzony przez podczłowieka, sunęły w górę i w dół tym tajemniczym staroziemskim środkiem transportu.

## DOCIEKANIE I UCIEKANIE

Przebrany za kota Rod McBan opadał szybem ku najosobliwszemu spotkaniu, jakie mogło się przydarzyć człowiekowi w jego czasach. Ka-Mell opadała obok niego. Ścisnęła spódnicę kolanami, by nie dopuścić się nieprzyzwoitości. Ma-Agenta, trzymając małą dłoń lekko na ramieniu Ka-Mell, zachwycał się jej płomiennorudymi włosami, sterczącymi do góry i falującymi w owiewającym ich pędzie powietrza; już cieszył się na perspektywę stania się z powrotem O-Eikasusem; wielbił Ka-Mell z całego serca, jednak miłość pomiędzy różnymi gatunkami podludzi była z konieczności platoniczna – nie mogli płodzić potomstwa, były też trudności z nawiązaniem głębszej więzi empatycznej z innymi formami, choćby i blisko spokrewnionymi. O-Eikasus zatem tylko gorąco pragnął Ka-Mell dla swojego przyjaciela. I nic poza tym.

Gdy tak płynęli w dół we względnym spokoju, ludzie na różnych innych światach zaprzęтали sobie głowy ich losem.

### **Stara Australia Północna, biura administracji Wspólnoty Narodów, tego samego dnia**

– Oskarża się pana, byłego sekretarza honorowego tego rządu, o przekroczenie swoich honsekowych uprawnień i usiłowanie wyrządzenia szkód lub zabójstwa w stosunku do poddanego Jej Nieobecnej Wysokości, a mianowicie Rodericka Fredericka Ronalda Arnolda Williama MacArthura McBana CLI; oskarża się pana także o nadużycie urzędowych środków rządu Wspólnoty Narodów poprzez wykorzystanie ich do

skonstruowania i uwarunkowania do wzmiankowanego bezprawnego celu jednego zmutowanego wróbla, numer seryjny 2328525, waga 41 kilogramów, wartość około 685 minikredytów. Czy przyznaje się pan do winy?

Houghton Syme CXLIX ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał.

## **Dom na Stanicy Zagłady, w tym samym czasie**

– Ciociu Doris, on zginął. Zginął. Ja to czuję.

– Lavinio, to nonsens. Może i jest w tarapatkach, a my nic nie wiemy. Ale przy takich pieniądzach, gdyby status tego majątku się zmienił, Instrumentalność zaraz przysłałaby informację Wielkim Błyskiem. Nie chcę, żeby to zabrzmiało okrutnie, ale gdy w grę wchodzi taki majątek, ludzie działają bardzo szybko.

– On nie żyje.

Doris nie miała zwyczaju lekceważyć sztuk telepatycznych. Wspomniała, jak Australijczycy wydostali się z ucieleśnionego piekła Raju VII. Podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego słój o dziwnej barwie.

– Wiesz, co to takiego? – zapytała Lavinie.

Dziewczyna pomimo wewnętrznej rozpaczki zmusiła się do uśmiechu.

– Tak – odpowiedziała. – Już jak byłam nie większa od słoniaminiaturki, wszyscy mi powtarzali, że ten słój to „nie dotykać”.

– I nie dotknęłaś? Grzeczna dziewczynka! – odparła sucho ciotka Doris.  
– To mieszanka strunu i miodu z Raju VII.

– Miodu?! – zawołała Lavinia. – Myślałam, że nikt już w to straszne miejsce nie wraca.

– Niektórzy wracają. Okazuje się, że niektóre ziemskie formy życia się tam przyjęły i nadal żyją. Między innymi pszczoły. Ten miód silnie działa na ludzki umysł. Jest hipnotyzujący. Mieszamy go ze strunem, żeby był bezpieczny.

Wetknęła do słoja małą łyżeczkę, uniosła, zakręciła nią, by nawinać ciągnącą się nitkę gęstego miodu, i podała Lavinii.

– Proszę – powiedziała. – Weź to i obliz. I połknij.

Lavinia najpierw zawahała się, potem usłuchała. Gdy łyżeczka była czysta, oblizwała usta i oddała ją ciotce Doris, która odłożyła ją do umycia.

Ciotka Doris uroczyście odstawiła słoje na górną półkę kredensu, zamknęła go na klucz, który włożyła do kieszeni fartucha.

– Siądźmy sobie na dworze – powiedziała do Lavinii.

– A kiedy to się zacznie? Trans, widzenia, czy co tam powoduje ten miód?

Doris zaśmiała się niezwykle racjonalnie.

– Aaa, to! Czasami w ogóle nic się nie dzieje. Zresztą na pewno ci to nie zaszkodzi. Siądźmy sobie na ławce. Powiem ci, jak zaczniesz zachowywać się dziwnie.

Usiadły więc na ławce i nic nie robiły. Tuż pod wiecznymi szarymi chmurami wisały dwa policyjne ornitoptery, dyskretnie obserwujące Stanicę Zagłady. Robiły to, odkąd komputer Roda pokazał mu, jak zdobyć taką górę pieniędzy; ta fortuna wciąż rosła i rosła, prawie tak szybko, że nie dawała się zliczyć. Ptakopodobne maszyny w locie wyglądały pięknie i ospale. Ich piloci zsynchronizowali machnięcia skrzydeł, przez co wyglądały jak baletowa para ptaków-roków. Zwróciło to uwagę i Lavinii, i Doris.

Lavinia nagle odezwała się dobitnym, ostrym, stanowczym głosem, całkiem do niej niepodobnym:

– Więc to wszystko moje, prawda?

Doris sapnęła cicho:

– Co takiego, skarbie?

– Stanica Zagłady. W każdym razie jestem jedną z dziedziczek, prawda?

– Lavinia zasznurowała usta w sztywnym, dumnym uśmiechu, którego w normalnym stanie sama by się wstydziła.

Ciotka Doris nie powiedziała nic. W milczeniu kiwnęła głową.

– Jeśli wyjdę za Roda, będę panią i posiadaczką McBan, najbogatszą kobietą w historii. Tyle że on mnie znienawidzi, bo będzie myślał, że to dla

jego pieniędzy i wpływów. Ale ja zawsze kochałam Roda, zwłaszcza za to, że nie umiał mówić ani słuchoać. Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia będę mu potrzebna, nie to, co mojemu ojcu, który w kółko śpiewa te swoje dęte, wariackie pioseneczki! Ale jak ja mam teraz za niego wyjść...?

Doris szepnęła bardzo cicho, acz bardzo natarczywie:

– Szukaj Roda, skarbie. Szukaj Roda, wypatruj go w tej części umysłu, która myślała, że on nie żyje. Szukaj Roda, Lavinio, szukaj!

Lavinia roześmiała się radośnie, śmiechem małego dziecka.

Spojrzała na własne stopy, potem w niebo, potem na Doris – na wskroś przez Doris.

Oczy się jej jakby przejaśniły. Gdy się odezwała, mówiła normalnym, dorosłym głosem:

– Widzę Roda. Ktoś zmienił go w człowieka-kota, całkiem jak na tych zdjęciach podludzi, które widzieliśmy. I jest z nim dziewczyna, Doris, dziewczyna, ale nie mogę być zazdrosna, że z nią jest. To najpiękniejsza istota, jaka kiedykolwiek żyła w całym wszechświecie. Trzeba by ci widzieć, jakie ma włosy, Doris. Zobaczyłabyś tylko. Jak pęk prześlicznych płomieni. Czy to Rod? Nie wiem. Nie umiem poznać. Nie widzę.

Wyprostowała się na ławce, patrząc wprost na Doris i nic nie widząc. Rozszlochała się.

Ciotka Doris zaczęła wstawać. Pora odprowadzić biedaczkę do łóżka, żeby odespała skutki hipnotyku z Raju VII.

Lavinia jednak odezwała się znów:

– Ich też widzę.

– Kogo? – zapytała ciotka, niezbyt zainteresowana, skoro już dowiedziały się o losach Roda.

Doris nigdy nie przyznała się do tego żadnemu mężczyźnie: że jest niezwykle przesadną osobą, bardzo lubiącą majstrować przy zjawiskach nadprzyrodzonych, choć nawet przy tym zachowującą swój od zawsze silny zmysł praktyczny. Dlatego, gdy Lavinia przypadkiem zetknęła się z największą tajemnicą współczesnego wszechświata, w ogóle tego nie zauważyła. Ani wtedy, ani później, nikomu nie wspomniała o tym ani słowem.

Lavinia powtórzyła z uporem:

– Widzę! Widzę tych dumnych, bladych ludzi o mocnych dłoniach i białych oczach. Tych, co wybudowali Pałac Gubernatora Nocy.

– To świetnie – mruknęła Doris. – A teraz pora się trochę przespać...

– Dobranoc, kochani ludzie... – dodała jeszcze Lavinia, jakby trochę pijana.

Mignęli jej na chwilę Daimoni w jej własnym świecie.

Ciotka Doris, nie zwracając na nic uwagi, wstała, wzięła ją za rękę i odprowadziła do łóżka. Po Daimonich nie pozostało ani śladu, jeśli nie liczyć krótkiej piosenki, którą Lavinia niespodziewanie wymyśliła parę tygodni później. Nie wiedziała czy wyśniła ją sobie, czy wyczytała w jakiejś książce:

*Ujrysz to kiedyś na własne oczy,  
Jak wolny, piękny ten lud kroczy,  
Po ścieżkach pośród siwych traw  
Przez wezbrane rzeki,  
Z odgarniętymi w tył włosami  
Wiatru palcami.*

*Poznasz ich po pustych  
Śnieżnie bladych twarzach,  
Bez wyrazu, bez emocji,  
Wygladzonych do czysta.  
Tylko perłowe oczy im płoną,  
Gdy kroczą przez noc  
Ku celom swym nieznanym...*

Tak oto przyszły do nich wieści od Roda, nierozgłoszone, niepowtórzone; tak mignęli i zniknęli Daimoni w swoim ukrytym w gwiazdach domu.

## Na plaży w Maja Mi Efel, tego samego dnia

- Ojczy, to niemożliwe, że tu jesteś. Nigdy tu nie przychodzisz!
- Dzisiaj przyszedłem – odparł lord William Niestąd. – Mam ważną sprawę.
- Ważną? – Ruth parsknęła śmiechem. – To nie do mnie. Ja nie jestem ważna. Twoja praca, tam, jest ważna. – Odwróciła wzrok ku wieży Ziemioportu, wyraźnej, kolistej, unoszącej się ponad grzbietami dalekich chmur.
- Lord, w zupełnie nieplażowym, eleganckim stroju, przysiadł niezręcznie na piasku.
- Posłuchaj, dziewczyno – zaczął powoli, z namaszczeniem. – Nigdy cię o wiele nie prosiłem, teraz jednak muszę.
- Tak, ojczy – odpowiedziała, przestraszona trochę tym całkowicie niespodziewanym klimatem: zwykle traktował ją lekko i nonszalancko, a o rozmowie zapominał dziesięć sekund po jej zakończeniu.
- Ruth, czy ty wiesz, że my jesteśmy Staropółnocnoaustralijczykami?
- Bogaci jesteśmy, tak, jeśli o to ci chodzi. Właściwie, w dzisiejszej sytuacji, nie ma to znaczenia.
- Nie mówię teraz o majątku. Mówię o naszej ojczyźnie. Poważnie mówię!
- Ojczyzna? Ależ tato, my nigdy nie mieliśmy żadnej „ojczyzny”.
- Norstrilia! – warknął na nią.
- W życiu jej nie widziałam na oczy. Ani ty. Ani twój ojciec. Ani dziadek. O czym ty mówisz?
- Możemy wrócić do domu!
- Tato, co się stało? Czy ty masz coś z głową? Zawsze mi mówiłeś, że nasza rodzina się stamtąd wykupiła i nie wolno nam wrócić. Coś się teraz zmieniło? Zmienili te zasady? Ja zresztą wcale nie jestem przekonana, że chcę tam jechać. Nie ma wody, nie ma plaż, nie ma miast. Sucha, nudna planeta, nic tylko te chore owce i kupa nieśmiertelnych wieśniaków, co chodzą uzbrojeni po zęby!

– Ruth, to ty możesz sprawić, że będziemy mogli wrócić.

Zerwała się na równe nogi i otrzepała tyłek z piasku. Była od ojca odrobinę wyższa; już on sam był przystojnym mężczyzną o arystokratycznym wyglądzie, ale ona robiła jeszcze większe wrażenie. Dla wszystkich było oczywiste, że nigdy nie będzie jej brakować zalotników i konkurentów.

– No dobrze, tato. Ty ciągle coś kombinujesz. Przeważnie chodzi o starożytne monety. Tym razem ja jestem jakoś w to wmieszana, inaczej byś do mnie nie przyszedł. Powiedz po prostu, co mam zrobić.

– Wyjść za mąż. Wziąć ślub z najbogatszym człowiekiem znanym wszechświatowi.

– Tylko tyle? – Parsknęła śmiechem. – Pewnie, że za niego wyjdę. Nigdy nie brałam ślubu z żadnym pozaświatowcem. Już się z nim jakoś umówiłeś?

– Ruth, ty nie rozumiesz. To nie będzie ziemskie małżeństwo. Zgodnie z norstrilijskim prawem i zwyczajem, poślubiasz tylko jednego mężczyznę, tylko raz i jesteś jego żoną do końca życia.

Słońce przesłoniła chmura. Na plaży zrobiło się chłodniej. Ruth spojrzała na ojca z dziwną mieszanką sympatii, niechęci i ciekawości.

– A to – powiedziała – zupełnie inna para kaloszy. Musiałabym go najpierw zobaczyć...

## **Biuro komisarza pomocniczego, szczyt Ziemioportu, cztery godziny później**

– Nie mów mi, że nic się tam nie stało. I nie wymyślaj żadnych bujd o niebieskich ludziach. Wracasz na ten pokład na górze i rozbierasz go na atomy, póki nie dojdiesz, skąd się tam wzięła mózgobomba!

– Ale, sir...

– Żadne „ale”. Byłem na wojnie, ty nie byłeś. Umiem poznać bombę, jak ją poczuję. A po tym cholerstwie jeszcze mnie głowa boli. Zabierasz ludzi



z powrotem na górę i dowiadujesz się, gdzie ta bomba wybuchła.

– Tak jest, sir – powiedział ponuro młody podszeft, ani przez moment nie wierząc, że mu się to uda w choćby najmniejszym stopniu. Zasalutował bez entuzjazmu.

Gdy wyszedł do swoich ludzi, nieznacznie pokręcił głową. Wskutek tego, gdy szli ze znużeniem na szczyt Ziemioportu, byli najżałośniejszą zbieraniną przygarbionych strachów na wróble w całej jego historii.

## **Przedsionek Dzwonu i Banku, w tym samym czasie**

– Namierzyliśmy tego człowieka-byka, Be-Danka, ale jakimś sposobem uciekł. Pewnie ukrywa się gdzieś w kanalizacji. Nie miałem serca puszczać za nim policji. Długo tam nie przeżyje. Po drugie, gdybym go ułaskawił, zrobiłaby się afera. Pani pewnie by się ze mną zgodziła, reszta rady niekoniecznie.

– A komisarz Herbaciarz, milordzie? Co pan z nim zrobi? To jest ładny gips, milordzie. Były lord Instrumentalności. Nie możemy pozwalać, aby tacy ludzie dopuszczali się przestępstw – powiedziała stanowczo lady Johanna Gnade.

– Mam już dla niego karę – powiedział Żestokost z bezbarwnym uśmiechem.

– Zapomnienie i rewarunkowanie? – zapytała lady Johanna. – Osobnik jest całkiem zdolny.

– Nic aż tak prostego.

– A co, milordzie?

– Nic.

– Jak to „nic”, milordzie Żestokost? To nie ma sensu. – W głosie lady Johanny dało się słyszeć rzadką nutę irytacji.

– Właśnie tak jak powiedziałem, milady. Nic. Wie, że ja coś wiem. Pająk: zabity. Robot: zniszczony. A dziewięciu pozostałych Rodów McBanów robi

niezłe zamieszanie w mieście na dole. Lecz komisarz Herbaciarz nie wie, że ja wiem wszystko. Bo mam swoje źródła.

– Wiemy, wiemy, że jest pan z tego bardzo dumny – stwierdziła Lady Johanna, z czarującym, choć drwiącym uśmiechem. – Wiemy także, że lubi pan zachowywać różne rzeczy w tajemnicy przed nami. Tolerujemy to, milordzie, bo pana uwielbiamy i ufamy panu, ale w przypadku innych osób, mniej rozsądnych i mniej od pana umiejących, mogłaby to być niebezpieczna praktyka. Mogłaby też okazać się niebezpieczna... – Zawahała się, spojrzała na niego badawczo i dokończyła: – Gdyby pan, milordzie, utracił swój spryt lub nagle zmarł.

– Jak na razie nie – rzucił ostro, zamykając temat.

– Nie powiedział mi pan, co zamierza zrobić z Herbaciarzem.

– Powiedziałem: nic – powtórzył Żestokost, trochę już zły. – Nie zrobię zupełnie nic, niech czeka, aż go zniszczę. A jeśli w końcu pomyśli, że zapomniałem, znajdę jakiś sposób, by mu przypomnieć, że ktoś lub coś ma go na oku. Zanim z nim skończę, będzie naprawdę bardzo nieszczęśliwym człowiekiem.

– To brzmi trochę nieludzko, milordzie. Może złożyć apelację.

– Żeby być sądzonym za zabójstwo?

Poddała się.

– Całkiem nowatorsko pan postępuje, milordzie. Udało się panu postawić na swoim z tym Drugim Odkryciem Ludzkości. Pozwolić ludziom na cierpienie. Pozwolić na złe wydarzenia. Ja wychowałam się na starej filozofii. Jeśli widzisz coś złego, naprawiasz to.

– A ja widziałem, że przez to umieramy z doskonałości.

– Zapewne ma pan rację – przyznała ze znużeniem. – A tego bogacza ma pan obstawionego, jak rozumiem?

– Najlepiej jak jestem w stanie.

– Czyli bardzo dobrze – ucięła kwestię. – Mam tylko nadzieję, że nie wplącze go pan w to swoje cudaczne hobby.

– Cudaczne hobby? – powtórzył uprzejmie, unosząc brwi.

– Podludzi – powiedziała zniesmaczonym tonem. – Podludzi. Lubię pana, Żestokost, ale od tego, jak się pan trzęsie nad tymi zwierzętami,

chwilami robi mi się niedobrze.

Nie sprzeczał się. Stał całkiem nieruchomo i popatrzył na nią. Wiedziała, że unika w ten sposób prowokacji. Był od niej starszy rangą, dygnęła więc zdawkowo i wyszła.

## **Przedsiónek Dzwonu i Banku, dziesięć minut później**

Kobieta-niedźwiedź, w pielęgniarskim kitlu i wykrochmalonym czepku, wtoczyła do pokoju wózek inwalidzki z lordem Crudelta. Żestokost podniósł głowę znad ekranów sytuacyjnych, które śledził. Kiedy zobaczył, kto to jest, skłonił się staremu lordowi naprawdę bardzo głęboko. Kobieta-niedźwiedź, zakłopotana tym słynnym miejscem, pełnym wielkich dygnitarzy, odezwała się niezwykle wysokim głosem:

– Milordzie Crudelto, czy mogę pana tu zostawić?

– Tak. Idź, proszę, później poślę po ciebie. Wychodząc, wstąp do łazienki. Jest po prawej.

– Milordzie! – Aż straciła dech z zażenowania.

– Gdybym ci nie powiedział, nie odważyłabyś się. Od pół godziny obserwuję twój umysł. Idź już.

Kobieta-niedźwiedź pobiegła, szeleszcząc nakrochmalonymi spódnicami.

Gdy Crudelta spojrział wprost na niego, Żestokost skłonił mu się bardzo głęboko. A unosząc wzrok, spojrział prosto w twarz starego, starego człowieka i powiedział z nutą dumy w głosie:

– Wciąż przywiązany do swoich sztuczek, lordzie Crudelto!

– A pan do swoich, lordzie Żestokost. Jak zamierza pan wyciągnąć tego chłopaka ze ścieków?

– Jakiego chłopaka? Z jakich ścieków?

– Z naszych ścieków. Chłopaka, któremu sprzedał pan tę więź.

Żestokost osłupiał. Opadła mu szczeka. Po chwili opanował się i powiedział:

– Posiada pan rozległą wiedzę, milordzie.

– To prawda – powiedział Crudelta – a na dodatek jestem od pana o tysiąc lat starszy. To moja nagroda za powrót z Nicości Zpełnej.

– Wiem, sir. – Pełna, dobrodusznna twarz Żestokosta nie okazała niepokoju, ale przyjrzał się siedzącemu naprzeciwko lordowi niezwykle uważnie.

W swoich najlepszych latach Crudelta był największym spośród lordów Instrumentalności, telepatą, którego pozostali lordowie zawsze się nieco bali, bo zaglądał do umysłów tak zręcznie i szybko, jakby był najlepszym w historii telepatycznym kieszonkowcem. Choć zatwardziały konserwatysta, nigdy nie sprzeciwiał się konkretnym decyzjom, jeśli nawet nie odpowiadały jego zapatrywaniom. Pchnął Instrumentalność, na przykład, do głosowania za Drugim Odkryciem Ludzkości – wrócił ze stanu spoczynku i udzielił całej radzie ostrej reprimendy, opowiadając się stanowczo za tą reformą. Żestokost nigdy za nim nie przepadał – kto by lubił język ostry jak brzytwa, niezmiernie przenikliwy umysł i zgryźliwe, stare ego, które z nikim się nie zaprzyjaźniało i nikogo o przyjaźń nie prosiło? Miał świadomość, że jeśli stary dowiedział się o aferze z Rodem McBanem, pewnie trafił także na trop jego wcześniejszych konszachtów z... Nie, nie, nie! Nie myśl o tym tutaj, nie, kiedy on cię obserwuje!

– O tym także wiem – powiedział stary.

– O czym?

– O tajemnicy, którą bardzo starasz się ukryć.

Żestokost stał posłusznie i czekał na cios.

Stary lord roześmiał się. Większość ludzi spodziewałaby się po tej przystojnej, młodej twarzy, osadzonej na zasuszonym, pajęczym ciele, zabiego rechotu. Myliliby się. Śmiech był pełny, szczery i głęboki.

– Krasnadama to dureń – powiedział Crudelta.

– Ja też tak uważam – odparł Żestokost. – A pan dlaczego tak sądzi, milordzie?

– Bo wysłał tego młodzika poza planetę. Takie bogactwo i tak mizerne doświadczenie.

Żestokost kiwnął głową, nie chcąc dodawać nic więcej, póki stary nie ujawni linii swojego ataku.

– Ale pana pomysł mi się mimo wszystko podoba – oświadczył lord Crudelta. – Sprzedać mu Ziemię, a potem za to opodatkować. Ale do czego pan zmierza? Uczynić go Cesarzem Planety Ziemi, w starym stylu? Zamordować go? Doprowadzić do obłądu? Kazać tej kotce uwieść go, puścić z torbami i wysłać do domu bez grosza? Przyznam, przyszło mi to wszystko do głowy, ale nie pasuje do pańskiej żądy sprawiedliwości. Jednej rzeczy zrobić panu nie wolno, Żestokost. Nie może pan sprzedać mu Ziemi, a potem dopuścić, żeby tu został i nią zarządzał. Może zechcieć przejąć tę wieżę na swoją siedzibę. Tego by było za wiele. Jestem za stary, żeby się stąd wynosić. Nie wolno mu też zwinąć tego oceanu i zabrać do domu na pamiątkę. Bardzo sprytny pan był, milordzie, wystarczająco sprytny, żeby wyjść na durnia. Doprowadził pan do niepotrzebnego kryzysu. Co pan zamierza zrobić, żeby nas z niego wyciągnąć?

Żestokost oklapł. Stary lord wyraźnie grzebał mu w głowie. Nigdzie indziej nie znalazłby powiązanych ze sobą wszystkich wątków sprawy. Zdecydował się na prawdę, całą prawdę. Zaczął od dnia, kiedy Wielki Błysk poinformował o gigantycznych transakcjach na kontraktach terminowych na strun, hazardzie na wielką skalę, który zaraz objął giełdy towarowe Starej Australii Północnej i zaczął zaburzać bilans handlowy wszystkich cywilizowanych światów. Zaczął od tłumaczenia, kim jest lord Krasnadama...

– Niech pan mi tego nie mówi! – wykrzyknął lord Crudelta. – To ja go złapałem, skazałem na śmierć, a potem przekonałem resztę, żeby zawiesić tę karę. Nie jest złym człowiekiem, ale intrygant z niego straszny. Jest na tyle bystry, żeby wyjść na kompletnego idiotę, kiedy zapłącze się w swoich logicznych intrygach. Postawię kredyt przeciw minikredytowi, że już kogoś zamordował. Zawsze tak robi. Ma skłonność do teatralnej przemocy. Ale wracając do twojej historii, powiedz mi, co planujesz zrobić. Jeśli będzie mi to odpowiadało, pomogę ci. A jeśli nie, jeszcze dziś rano

opowiem tę historię na zebraniu plenarnym; dobrze wiesz, że rozedrą twoje fantastyczne plany na strzępy. Zapewne skonfiskują chłopakowi cały majątek, wyślą go do szpitala, skąd wyjdzie jako mówiący po baskijsku muzyk flamenco. Dobrze wiesz, że Instrumentalność bardzo łagodnie obchodzi się z majątkiem innych ludzi, za to bardzo ostro ze wszystkim, co stanowi dla niej bezpośrednio zagrożenie. W końcu to ja jestem jednym z ludzi, którzy zniszczyli Raumsoga.

Żestokost zaczął mówić bardzo cicho i bardzo spokojnie, z pewnością księgowego, który ma wszystkie księgi w porządku, tłumacząc swojemu szefowi jakieś zawile zagadnienie. Sam był stary, ale wobec sędziwości i mądrości lorda Crudelty był jak dziecko. Wszedł w szczególności sytuacji Roda McBana. Wyjawiał staremu lordowi nawet swoją sympatię dla podludzi i swoją potajemną, dyskretną walkę o poprawę ich sytuacji. Przemilczał jedynie O-Telekelego i przeciwmózg, który podludzie zainstalowali w Głębinie-głębinie. Jeśli wie, to i tak wie, Żestokost nic na to nie poradzi, jeśli jednak nie wie, to nie ma sensu mu mówić.

Lord Crudelta nie zareagował ani starczym entuzjazmem, ani dziecięcym śmiechem. Cofnął się nie do dzieciństwa, lecz do wieku dojrzałego. Bardzo stanowczo, z godnością oświadczył:

– Rozumiem i aprobuje. Jeśli pan potrzebuje, ma pan moje pełnomocnictwo. Proszę wezwać moją pielęgniarkę. Miałem pana za sprytnego głupca, lordzie Żestokost. Czasem się to panu zdarza. Tym razem jednak udowodnił pan, że oprócz głowy ma także serce. Jeszcze jedna rzecz. Proszę szybko ściągnąć z powrotem z Marsa tego doktora Vomacta i nie dręczyć zbyt długo lorda Herbaciarza, dla samego podstęp. Bo może mi przyjść do głowy i pana trochę podręczyć.

– A co z ekslordem Krasnadamą? – zapytał z szacunkiem Żestokost.

– Z nim? Nic. Niech sobie żyje po swojemu. Niech ci Norstrilijczycy ostrzą sobie na nim swoje polityczne zęby.

Do sali weszła z szelestem misiwata pielęgniarka. Lord Crudelta kiwnął dłonią. Żestokost skłonił się prawie do samej podłogi, po czym wózek, ciężki niczym czołg, wytoczył się ze skrzypnięciem za próg.

– Mogły być z tego niezłe kłopoty – powiedział do siebie Żestokost. Otarł czoło.

## DROGA DO KOTMISTRZA

Rod, Ka-Mell i Ma-Agenta musieli się kilka razy zatrzymać przy ścianach szybu, gdy ruch robił się gęsty, a sunące w dół i w górę wielkie i ciężkie ładunki z trudem mijały się nawzajem. Podczas jednego z takich postojów Ka-Mell nabrała tchu i bardzo szybko powiedziała coś do małpki. Rod, nie skupiając się na nich, zauważył tylko nagły entuzjazm i radość w jej głosie. Po wyszeptanej odpowiedzi małpki posmutniała i zaczęła nalegać:

– Ależ, Ojkasus, musisz! Od tego może zależeć całe życie Roda. Nie tylko teraz, ale i na całe setki lat w przyszłości.

Małpka była zła.

– Nie zmuszaj mnie do myślenia, kiedy jestem głodny. Mam taki szybki metabolizm i tak małe ciało, że w tym stanie naprawdę nie mogę myśleć.

– Chcesz jedzenia? Proszę, masz trochę rodzynek. – Wyjęła ze swoich identycznych toreb kosteczkę sprasowanych rodzynek.

Ma-Agenta zjadł je, łąpczywie, choć z ponurą miną.

Uwagę Roda odwróciły tymczasem przepiękne złote meble, misternie rzeźbione i intarsjowane perłowymi zdobieniami, pilotowane w górę szybu przez całą ekipę rozgadanych psich podludzi. Zapytał ich, dokąd wiozą te meble. A kiedy nie odpowiedzieli, powtórzył pytanie bardziej stanowczym tonem, jak przystało na najbogatszego Norstrilijczyka we wszechświecie. Tym sprowokował ich do reakcji, choć nie takiej, jak się spodziewał.

– Miau – powiedział jeden człowiek-pies – cicho bądźź, bo cię zagonię na drzewo.

– Na pewno nie do twojego domu, koleś. Za kogo ty się masz, za człowieka?

– Te koty to wścibskie są. Popatrzcie tylko na tego.



Pokazał się psi brygadzysta; z godnością i uprzejmie powiedział Rodowi:  
– Kocie i podczłowieku, skoro masz czas na rozmowy, możesz zostać oznaczony jako zbędny. Lepiej zachowuj ciszę w publicznym szybie!

Rod uświadomił sobie, że dla tych istot jest jednym z nich, kotem przeobrażonym na podobieństwo człowieka, a podludzie obsługujący Starą Ziemię są uczeni, by nie rozmawiać, kiedy zajmują się Sprawami Ludzi.

Pochwycił nagłący szept Ka-Mell, skierowany do Ma-Agenty:

– ...i nie pytaj go. Powiedz mu. Ryzykujemy zapuszczenie się do ludzkiej strefy, żeby pójść do Kotmistrza. Powiedz mu.

Ma-Agenta zaczął płytko i szybko dyszeć. Oczy jakby wyszły mu z orbit, choć na nic konkretnego nie patrzył. Stęknął z wysiłkiem. W końcu puścił się ściany i zdryfowałby powoli w dół, gdyby Ka-Mell nie chwyciła go i nie przytuliła do siebie jak dziecka. Szepnęła niecierpliwie:

– Dotarłeś do niego?

– Do Niego – wydyszała mała małpka.

– Do kogo? – zapytał Rod.

– Eś Pe – powiedziała Ka-Mell. – Później ci wytłumaczę. – A Ma-Agentę zapytała: – Skoro to był On, to co On powiedział?

– Powiedział: „O-Eikarus, nie mówię nie. Jesteś moim synem. Jeśli uważasz że to mądre, możesz zaryzykować”. Dalej się nie dopytuj, Ka-Mell. Daj mi się trochę zastanowić. Byłem na Norstrilii i z powrotem. Przed chwilą. Jeszcze mi trochę ciasno w tym małym ciele. Musimy to robić teraz? Teraz-zaraz? Nie możemy po prostu do Niego pójść... – Ma-Agenta wskazał brodą czeluści w dół – ...i dowiedzieć się, po co nam w ogóle ten Rod? Rod jest środkiem, nie celem. Kto w ogóle może wiedzieć, co z nim mamy zrobić?

– O czym ty mówisz? – wtrącił Rod.

Ka-Mell jednocześnie wypaliła:

– Ja wiem, co mamy z nim zrobić.

– Co takiego? – zapytała małpka, znów bardzo zmęczona.

– Uwolnimy chłopaka, pozwolimy mu znaleźć szczęście, a jeśli będzie chciał nam pomóc, przyjmiemy tę pomoc i będziemy mu za nią wdzięczni. Ale nie zamierzamy go obrabować. Ani zrobić mu nic złego. To by była

bardzo parszywa droga do tego, żeby stać się lepszymi stworzeniami. Jeśli będzie wiedział, kim jest, zanim spotka Jego, być może się porozumieją.

Odwróciła się do Roda i zapytała z dziwną natarczywością:

– Czy chcesz się dowiedzieć, kim jesteś?

– Jestem Rod McBan sto pięćdziesiąty pierwszy – odparł natychmiast.

– Pst – powiedziała. – Żadnych nazwisk. Nie chodzi mi o nazwiska. Chodzi mi o to, co masz głęboko w środku. Samo życie, przepływające przez ciebie życie. Masz w ogóle pojęcie, kim jesteś?

– Co to, gra jakaś? Wiem dokładnie kim jestem, gdzie mieszkam i co posiadam. Wiem nawet, że w tej chwili powinienem być człowiekiem-kotem o imieniu Ka-Roderyk. Co tu jeszcze jest do wiedzenia?

– Wy, ludzie! – jęknęła. – Wy ludzie. Nawet jako ludzie jesteście tacy tępi, że nie rozumiecie choćby najprostszego pytania. Nie pytam cię o nazwisko, adres, numer, czy majątek pradziadka. Pytam o ciebie, Rod, jedyne o ciebie, jaki się kiedykolwiek pojawi na świecie, obojętne ile numerków dołożą sobie do nazwiska twoi wnukowie. Nie przyszedłeś na świat tylko po to, żeby mieć jakiś majątek, albo nosić nazwisko z numerkiem. Jesteś tobą. Nigdy kogoś takiego na świecie nie było. I po tobie nigdy kogoś takiego nie będzie. Więc czego ty, czego ta osoba chce?

Rod zerknął w dół na ściany tunelu, który jakby skręcał – oj, jak daleko w dół – bardzo łagodnie na północ. Spojrzał w górę, na małe rombiki światła rzucane na ściany przez drzwi wyjściowe różnych poziomów Ziemioportu. Poczul, jak jego własny ciężar ciągnie go delikatnie, gdy przytrzymywał się chropowatej ściany pionowego szybu, unoszony przez pas. Ten zaś uwierał go w talii – w końcu dźwigał cały jego ciężar. Uciskał go.

Czego ja chcę? – pomyślał. Kim ja jestem, żeby mieć prawo czegoś chcieć? Jestem Rod McBan CLI, pan i właściciel Stacji Zagłady. Ale jestem także nieszczęsnym cudakiem pozbawionym telepatii, co nawet nie potrafi jak należy słuchać i mówić.

Ka-Mell przypatrywała mu się badawczym wzrokiem chirurga, widział jednak po jej minie, że nie stara się zaglądać mu do głowy.

Zauważył, że mówi prawie tak zmęczonym tonem jak Ma-Agenta, nazywający się także „Ojkasus” czy jakoś podobnie i posiadający dość osobliwe moce, jak na małą małpkę.

– Chyba niczego szczególnego za bardzo nie chcę. Wiesz, Ka-Mell, chciałbym tylko nauczyć się mówić i słuchać jak trzeba, jak inni ludzie na moim ojczystym świecie.

Spojrzała na niego z intensywnym współczuciem, starając się skłonić go do decyzji.

Ma-Agenta odezwał się swoim wysokim małpim głosem:

– Proszę to powiedzieć do mnie, panie i właścicielu.

Rod powtórzył:

– Właściwie to niczego nie chcę. Chciałbym się nauczyć mówić i słuchać, bo inni ludzie się ze mnie naśmiewają. A póki jestem na Ziemi, chciałbym zdobyć dwupensowy trójkątny znaczek z Przylądka Dobrej Nadziei. I to chyba wszystko. Nie ma niczego, czego bym tak naprawdę chciał.

Małpka zamknęła oczy i znów wyglądała, jakby zapadła w sen. Rod podejrzewał, że to jakiś telepatyczny trans.

Ka-Mell zawiesiła Ma-Agentę na starym pręcie wystającym ze ściany szybu. Ponieważ ważył ledwo parę gramów, pas prawie go nie ciągnął. Chwyliła Roda za ramię i przyciągnęła do siebie.

– Rod, posłuchaj! Chcesz się dowiedzieć kim jesteś?

– Nie wiem – odparł. – Mogę stać się nieszczęśliwy.

– Nie, jeśli się dowiesz kim jesteś! – nalegała.

– Mogę się sam sobie nie spodobać – powiedział Rod. – Jak innym ludziom. A moi rodzice zginęli razem, kiedy ich statek zmleczniał w kosmosie. Ja nie jestem normalny.

– Na miłość boską, Rod! – wykrzyknęła.

– Czyją? – zdziwił się.

– Wybacz, ojciec – powiedziała do kogoś niewidocznego.

– Już to imię kiedyś gdzieś słyszałem – zauważył Rod. – Ale lećmy dalej. Chcę dotrzeć do tego tajemniczego miejsca, do którego mnie prowadzisz, a potem chciałbym się dowiedzieć czegoś o Eleanor.

– Kto to jest?

– Moja służąca. Przybrała moją postać, ryzykuje dla mnie życie, razem z ośmioma robotami. To ode mnie zależy, co zechcę dla niej zrobić. Jak zawsze.

– Ale jest twoją służącą – zauważyła Ka-Mell. – Służy ci. Prawie jakby była podczłowiekiem, jak ja.

– Jest człowiekiem – powiedział z uporem Rod. – Na Norstrilii nie ma podludzi, z wyjątkiem paru do zadań rządowych. A ona jest moją przyjaciółką.

– Chcesz się z nią ożenić?

– Na chorą owcę, dziewczyno! Skołtuniałaś? Nie!

– A z kimś innym?

– W wieku szesnastu lat?! – wykrzyknął. – Zresztą i tak moja rodzina to zorganizuje.

Przeszła mu przez głowę myśl o prostodusznej, uczciwej i oddanej Lavinii. Wbrew sobie zaczął ją porównywać z tym szalonym, zmysłowym stworzeniem, które polatywało obok niego w tunelu, mijane przez lecące w górę i w dół towary. W tej niemal całkowitej nieważkości włosy Ka-Mell unosiły się wokół jej głowy jak zaczarowany kwiat. Od czasu do czasu musiała odgarnąć je z oczu.

– I na pewno nie z Eleanor – prychnął.

Kiedy to mówił, do głowy przepięknej ka-dziewczyny wpadła kolejna myśl.

– Wiesz, kim ja jestem, Rod? – zapytała bardzo poważnie.

– Dziewczyną-kotką z planety Ziemi. I rzekomo jesteś moją żoną.

– To prawda – odparła z dziwną intonacją. – To ty też bądź!

– Bądź kim?

– Moim... mężem – zająknęła się nieznacznie. – Bądź moim mężem, jeśli to ma ci pomóc odnaleźć siebie.

Ukradkiem zerknęła w dół i w górę szybu. W pobliżu nie było nikogo.

– Popatrz, Rod, popatrz! – Rozsunęła poły bluzki na boki.

Nawet przy tym słabym świetle, do którego już wzrok mu się przyzwyczaił, widział drobne żyłki na jej delikatnej klatce piersiowej,

wokół młodych, dziewczęcych, gruszkowatych piersi. Obwódki wokół sutków miały jasny, niewinny różowy kolor – a same sutki były prześliczne niczym dwa cukiereczki. Przez chwilę czuł przyjemność, zaraz jednak ogarnęło go potworne zażenowanie. Odwrócił wzrok i poczuł się niezmiernie onieśmielony. To co zrobiła, było interesujące, ale nie było grzeczne.

Kiedy odważył się na nią ponownie zerknąć, wciąż przypatrywała się jego twarzy.

– Rod, ja jestem towarkiem. To jest moja praca. A ty też jesteś kotem, więc masz wszelkie prawa kocura. Tutaj, w tym tunelu, nikt nie zauważy różnicy. Rod, czy chcesz coś zrobić?

Rod przelknął ślinę i nic nie powiedział.

Poprawiła z powrotem ubranie. Z jej głosu ulotniła się owa dziwna niecierpliwość.

– Chyba – powiedziała – trochę mi zabrakło tchu. Bo ty wydajesz mi się bardzo atrakcyjny, Rod. Ciągle się łapię, że myślę: „co za szkoda, że nie jest kotem”. Teraz już mi przeszło.

Rod nie powiedział nic.

W jej głosie pojawiła się banieczka śmiechu, a oprócz niego nutka matczynej czułości, chwytająca go za serce.

– Najlepsze zaś, Rod, że to nie było na serio. Albo może było. Chciałam dać ci szansę, zanim poczuję, że naprawdę cię znam, Rod. Jestem jedną z najpiękniejszych dziewczyn na całej Ziemi. Dlatego właśnie Instrumentalność mnie wykorzystuje. Zmieniliśmy cię w kota, podsunęliśmy mnie, a ty nie chcesz. Czy to nie sugeruje, że nie wiesz, kim jesteś?

– Ty znowu o tym samym? – zapytał Rod. – Ja chyba kompletnie nie rozumiem dziewczyn.

– To lepiej się naucz, zanim wyjedziesz z Ziemi. Bo twoi agenci kupili ich dla ciebie cały milion.

– Ludzi czy podludzi?

– Jedno i drugie!

– Niech ich parszywa owca! – wykrzyknął. – Ja im niczego nie kazałem. Daj spokój, dziewczyno! To nie miejsce na buduarowe rozmowy!

– A skąd, u licha, ty znasz takie słowo? – Parsknęła śmiechem.

– Z książek. Czytam masę książek. Wam, Ziemianom, mogę się wydawać wieśniakiem, ale wiem dużo rzeczy.

– Rod, czy ty mi ufasz?

Pomyślał o nieskromności, od której przed chwilą zaparło mu dech. Wrócił doń norstrilijski humor, specyficzny, bo kulturowy, nie indywidualny:

– Sporo cię zobaczyłem, Ka-Mell – powiedział z uśmiechem. – Chyba już za wiele mnie nie zaskoczy. Pewnie, ufam ci. I co z tego wynika?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Powiem ci, o czym rozmawialiśmy z O-Eikasusem.

– Z kim?

– Z nim. – Wskazała małpkę.

– Myślałem, że nazywa się Ma-Agenta.

– Tak jak ty Ka-Rod! – parsknęła.

– Czyli nie jest małpą?

Rozejrzała się wokół i ściszyła głos.

– Jest ptakiem – powiedziała uroczyście – a do tego drugim najważniejszym ptakiem na Ziemi.

– I co z tego wynika?

– On jest panem twojego przeznaczenia, Rod. Twojego życia i śmierci. Tu i teraz.

– Myślałem – odszepnął – że to zależy od lorda Krasnadamy, a na Ziemi od kogoś, kto nazywa się Żestokost.

– Masz do czynienia z jeszcze innymi mocami, Rod. A te moce pragną pozostać w ukryciu. I chcą się z tobą zaprzyjaźnić. Według mnie – dodała całkiem bez związku – lepiej zaryzykować i tam pójść.

Spojrzał, nie rozumiejąc.

– Do Kotmistrza – dodała.

– Tam mi coś zrobią.

– Tak – powiedziała. Twarz miała spokojną, życzliwą i opanowaną. – Być może umrzesz, ale szanse na to są niewielkie. Być może zwariujesz – to też się czasem zdarza. Albo znajdziesz wszystko, czego pragniesz, to jest najbardziej prawdopodobne. Rod, ja już tam byłam. We własnej osobie. Nie dziwi cię, że wyglądam na zadowoloną, zainteresowaną życiem dziewczynę, choć naprawdę jestem tylko zwierzęciem i mam dosyć paskudną pracę?

Rod przyjrzał się jej.

– Ile ty masz lat?

– Niedługo skończę trzydzieści – odparła sztywno.

– Po raz pierwszy?

– Dla nas, zwierząt, nie ma drugich razów. Myślałam, Rod, że o tym wiesz.

Spojrzał jej w oczy.

– Skoro ty przeżyłaś – powiedział – to i ja przeżyję. Lećmy.

Podniosła Ma-Agentę czy O-Eikasusa, zależy kim naprawdę był, zawieszona na ścianie i śpiącego jak marionetka pomiędzy spektaklami. Otworzył zmęczone oczka i zamrugął.

– Przekazałeś nam rozkazy – powiedziała Ka-Mell. – Idziemy do Domu Towarowego.

– Przekazałem? – mruknął ze złością, przytomniejąc. – Nic nie pamiętam!

Zaśmiała się.

– Przekazałeś przeze mnie, O-Eikasus!

– Ostrożnie z tym imieniem – syknął. – Nie bądź lekkomyślna. Nie w publicznym szybie.

– Dobrze, Ma-Agenta – odpowiedziała. – Aprobujesz?

– Tę decyzję?

Skinęła głową.

Małpka popatrzyła po nich. Odezwała się do Roda:

– Jeśli ona ryzykuje twoje życie i swoje, już nie mówiąc o moim – jeśli godzi się na to ryzyko, aby uczynić cię dużo, dużo szczęśliwszym, to czy chcesz z nią iść?

Rod kiwnął głową.

– No to lecimy – oznajmiła małpka-chirurg.

– A dokąd?

– Do miasta Ziemioport. Między ludzi. Całe masy, wielkie masy ludzi – powiedziała Ka-Mell. – Będziesz miał okazję zobaczyć codzienne ziemskie życie, tak jak chciałeś godzinę temu, na górze wieży.

– Chyba raczej rok temu – stwierdził Rod. – Tyle się stało od tego czasu!

Pomyślał o jej młodych, nagich piersiach, o impulsie, który kazał je odsłonić, ale nie poczuł ekscytacji ani poczucia winy; poczuł bliskość, bo wyczuwał w całym ich związku przyjaźń gorętszą i silniejszą od pożądania.

– Idziemy do sklepu – powiedziała zasnana małpka.

– Do domu towarowego. Po rzeczy? Jakie rzeczy?

– Ładnie się nazywa – odparła Ka-Mell. – I prowadzi go wspaniała osoba. Kotmistrz we własnej osobie. Ma pięćset lat z hakiem i pozwalają mu dalej żyć, przez wzgląd na dziedzictwo lady Goroke.

– Nie słyszałem o niej. A jak się nazywa?

– Dom Towarowy Spełnionych Pragnień – powiedzieli jednocześnie Ka-Mell i O-Eikasmus.

Droga była jak krótki, intensywny sen. Musieli opaść tylko paręset metrów, żeby wysiąść na poziomie ziemi.

Wyszli na ulicę dla ludzi. Obserwował ich stojący na rogu robot-policjant.

W cieplej, wilgotnej ziemskiej aurze spacerowali ludzie w kostiumach ze stu historycznych epok. Rod nie czuł tu w powietrzu tyle soli, co na szczycie wieży. Za to pachniało taką liczbą ludzi, jakiej nie był w stanie wyobrazić sobie w jednym miejscu. Tysiące osób, setki i tysiące rozmaitych gatunków jedzenia, zapachy robotów, podludzi i jeszcze jakby niezmodyfikowanych zwierząt.

– Zapachy to tu są najciekawsze na świecie – powiedział do Ka-Mell.

Spojrzała nań po chwili.

– To miło. Masz węch jak człowiek-pies. Większość prawdziwych ludzi, jakich poznałam, nawet własnych stóp nie czuła. Ale rusz się, Ka-Roderick,



pamiętaj, kim jesteś! Jeśli nie masz zezwolenia na pobyt na powierzchni, za niecałą minutę zatrzyma cię policja.

Niosąc O-Eikasusa, poprowadziła Roda za łokieć do dobrze oświetlonego przejścia podziemnego. Pełne było śpieszących się robotów i podludzi, zajętych ziemskimi sprawami.

Gdyby nie Ka-Mell, Rod kompletnie by się tu zgubił. Choć jego osobliwy szerokopasmowy syłuch, który tak często zaskakiwał go na ojczystej planecie, nie pojawił się podczas pierwszych paru godzin na Starej Ziemi, inne zmysły wystarczająco przytłaczały go informacją o ogromnej masie ludzi wokół i ponad nim. (Nigdy nie zdał sobie sprawy, że dawno temu były czasy, gdy ziemskie miasta osiągały dziesiątki milionów mieszkańców; dla niego niewyobrażalny tłum stanowiło już kilkaset tysięcy ludzi i tyluż podludzi). Odgłosy i zapachy podludzi różniły się delikatnie od ludzkich; niektóre ziemskie maszyny były większe i starsze od wszystkiego, co sobie wyobrażał; a ponad wszystko ten obieg niesamowitej ilości wody, milionów i miliardów litrów, wykorzystywanych w Ziemioporcie do najrozmaitszych celów: sanitarnych, spożywczych, przemysłowych, chłodniczych, sprawiał, że czuł się nie jak człowiek pomiędzy budynkami, w czymś, co na Starej Australii Północnej nazwałby miastem, lecz jak krwinka sunąca krwiobiegem gigantycznego i skomplikowanego zwierzęcia, którego naturę nie do końca rozumie. To miasto żyło lepkiem, wilgotnym, zawiłym życiem, dotąd dlań niewyobrażalnym. Charakteryzował je ruch. Podejrzewał, że ten ruch trwa dzień i noc, że nigdy tak naprawdę nie ustaje, że wielkie pompy tłoczą wodę rurami wodociągowymi i ściekowymi, niezależnie, czy ludzie śpią, czy nie, że mózg tej organizacji nie może znajdować się w jednym miejscu, lecz musi składać się z wielu pomniejszych mózgów, poświęconych i odpowiedzialnych za konkretne zadania. Nic dziwnego, że potrzeba tu było podludzi! Nawet przy idealnej automatyzacji wystarczająca liczba ludzkich nadzorców, by łączyć te wszystkie systemy na nowo w przypadku awarii wewnętrznych lub na łączach, byłaby absurdalna. Do tego cierpieliby potwornie i potwornie się nudzili. Stara Australia Północna miała swoją witalność: to była jedna witalność rozległych pól, nielicznych

ludzi, ogromnego bogactwa i nieustanego zagrożenia militarne; a tu – witalność sterty kompostu, w której gnijąca, rosnąca, owocująca substancją nie są odpadki, tylko ludzie i prawie ludzie. Nic dziwnego, że jego protoplaści uciekli z tak wyglądających miast. Dla wolnych ludzi musiały być prawdziwym nieszczęściem, Nawet Stara Australia Pierwotna, też znajdująca się gdzieś tu na Ziemi, zatraciła swoje otwarte przestrzenie i wolność, żeby stać się jednym olbrzymim kompleksem miejskim Aojou Nambien. Musiała być, pomyślał Rod z przerażeniem, z tysiąc razy większa od miasta Ziemioport. (I mylił się: zanim wymarła, była sto pięćdziesiąt tysięcy razy większa od Ziemioportu. Ten miał obecnie zaledwie dwieście tysięcy stałych mieszkańców, do tego pewną liczbę dojeżdżających z najbliższych przedmieść, bo dalsze wciąż były zrujnowane i opuszczone, natomiast Australia, pod nazwą Aojou Nambien, osiągnęła przed upadkiem liczbę trzydziestu miliardów mieszkańców – zanim Dzicy i Menszenjegry zaczęli mordować ocalałych).

On był oszołomiony, a Ka-Mell wcale.

Postawiła Ma-Agentę na ziemi, pomimo jego jęklanych małych protestów. Niechętnie podreptał pomiędzy nimi.

Z brawurą dobrze zorientowanej miejskiej dziewczyny poprowadziła ich do przejścia, z którego wydobywał się nieustający świst i huk. System ostrzegawczy powtarzał, z głośników, na tablicach i piktogramami: NIE WCHODZIĆ, TYLKO DLA FRACHTU, NIEBEZPIECZEŃSTWO, NIE WCHODZIĆ. Chwyciła Ma-Agentę/O-Eikasusa, wzięła Roda za ramię i zaczęła z nimi skakać po szybko poruszających się latających podestach. Rod, oszołomiony nagłością, z jaką się tam znaleźli, wykrzyczał pytanie:

– „Dla frachtu”?! Czyli czego?!

– Towarów. Skrzyń. Jedzenia. To jest Centralny Chodnik. Nie ma sensu iść na piechotę sześć kilometrów, skoro jest coś takiego. Bądź gotowy, żeby zeskoczyć na mój znak!

– To wydaje się niebezpieczne – powiedział.

– Wcale – odparła – jeśli jest się kotem.

I z tym niejednoznacznym słowem pocieszenia pozwoliła im jechać. Ma-Agenta w ogóle się nie przejął. Wtulił głowę w jej ramię, owinał rękę

swoimi długimi, gibbonowatymi ramionami i spał jak zabity.

Ka-Mell kiwnęła na Roda.

– Za chwilę! – zawołała, oceniając odległość po punktach orientacyjnych, które jemu zupełnie nic nie mówiły.

Lądowiska miały płaskie, wyłożone betonem perony, na których lądowały pojedyncze wagoniki, lecące na strumieniu powietrza i raptownie ściągane na bok w celu załadunku lub wylądunku. Każde z takich lądowisk miało swój numer, lecz Rod nawet nie zapamiętał, na którym wsiedli. Zapachy podziemnego miasta, gdy przelatywali z dzielnicy do dzielnicy, zmieniały się tak bardzo, że bardziej interesowały go wrażenia węchowe niż jakieś cyfry na peronach.

Uszczypnęła go w ramię bardzo mocno, na znak, że powinien się przygotować.

Skoczyli.

On po wylądowaniu szedł chwiejnie po peronie, aż zderzył się z wielką pionową skrzynią, podpisaną *Papiernia Algonquin – paragony, miniaturowe – 2 mm*. Ka-Mell wylądowała zgrabnie, jakby odgrywała wyćwiczony element występu akrobatycznego. Małpka na jej ramieniu wytrzeszczyła szeroko błyszczące oczy.

– To jest firma – powiedział stanowczo i z wielką niechęcią Ma-  
Agent/O-Eikasmus – w której wszyscy prawdziwi ludzie bawią się w pracę.  
Jestem zmęczony, głodny i spadł mi poziom cukru. – Owinął się ciasno  
wokół ramienia Ka-Mell, zamknął oczy i zapadł z powrotem w sen.

– Dobrze mówi – powiedział Rod. – Moglibyśmy coś zjeść?

Ka-Mell już zaczęła kiwać głową, nagle jednak przerwała.

– Jesteś kotem.

Skinął głową. Potem wyszczerzył zęby.

– Ale i tak jestem głodny. I potrzebuję kuwety.

– Kuwety? – zapytała zdziwiona.

– No, suoza – powiedział bardzo wyraźnie, używając staroaustralijskiego określenia.

– Su-oza?

Teraz przyszła pora, żeby i on się zawstydził. Rozwinął skrót:

– System utylizacji odchodów zwierzęcych.

– Aaa! – zawołała. – Kibelek. – Zastanowiła się minutę i powiedziała: – Kurczę.

– Co się stało? – zapytał.

– Każdy rodzaj podludzi musi korzystać ze swojej toalety. Kara śmierci, jeśli zrobisz to poza nią, kara śmierci, jeśli użyjesz niewłaściwej. Najbliższa kocia jest cztery stacje za nami. Albo możemy wrócić powierzchnią. To będzie tylko z pół godziny.

Powiedział coś wulgarnego o Ziemi. Zmarszczyła czoło.

– Powiedziałem tylko „Ziemia to wielka, zdrowa owca”. Nic nieprzyzwoitego.

Wrócił jej dobry humor.

Zanim zadała mu kolejne pytanie, stanowczo uniósł dłoń.

– Nie będziemy tracić pół godziny. Zaczekaj tutaj.

Zobaczył na górnym poziomie peronu standardowy znak męskiej toalety. Zanim zdążyła go zatrzymać, zanurkował do środka. Zakryła dłonią usta, wiedząc, że policyjne roboty zabiją go na miejscu, jeśli go tam zastaną. Byłby to zaiste upiorny żart, gdyby człowiek, który jest właścicielem całej Ziemi, zginął w nieodpowiedniej toalecie.

Pobiegła za nim szybko jak myśl, zatrzymując się tuż pod drzwiami. Wejść się nie odważyła, była jednak pewna, że toaleta była wcześniej pusta – nie usłyszała bowiem huku ciężkiego, powolnego pocisku, ani brzęczenia porażacza. Roboty nie korzystały z toalet, więc wchodziły do środka tylko po to, żeby coś zbadać. Była gotowa odwrócić uwagę każdego człowieka, który spróbuje tam wejść – poprzez natychmiastowe uwiedzenie albo sprezentowanie mu bezpłatnej i niechcianej małpki.

Ma-Agenta obudził się.

– Nic się nie bój – powiedział. – Skontaktowałem się z ojcem. Jeśli ktoś się zbliży, od razu zaśnie.

Pojawił się zwykły człowiek, wyglądający na zmęczonego i wystraszonego. Ka-Mell była gotowa zatrzymać go wszelkimi środkami, pamiętała jednak, co powiedział Ma-Agenta, czekała więc. Człowiek zbliżył się do nich, zachwiał się. Wytrzeszczył oczy, zobaczył, że są podludźmi,

i zignorował ich, jakby wcale ich nie było. Zrobił dwa kolejne kroki ku drzwiom i nagle wyciągnął ręce, jakby stracił wzrok. Wszedł na ścianę dwa metry od drzwi, dotknął jej po omacku rękoma, łagodnie osunął się na podłogę i zachrapał.

– Ojciec jest w porządku – powiedział Ma-Agenta/O-Eikarus. – Zwykłym ludziom przeważnie nic nie robi, ale jak trzeba, to trzeba. Wstawił mu nawet fałszywe wspomnienie, że omyłkowo zamiast środka przeciwbólowego wziął nasenny. Kiedy się obudzi, będzie mu głupio i nikomu o tym nie powie.

Rod wyszedł zza śmiertelnie niebezpiecznych drzwi. Uśmiechnął się do nich psotnie i w ogóle nie zauważył bezwładnego człowieka pod ścianą.

– Lepiej tak, niż wracać. W ogóle nikt mnie nie zauważył. Widzisz, Ka-Mell, oszczędziłem ci kłopotu!

Był tak dumny ze swojej brawury, że nie miała serca go obwiniać. Uśmiechnął się szeroko, aż zakotłowały się kocie wąsy. Na chwilę, tylko na chwilę, zapomniała, że jest kimś ważnym, a na dodatek prawdziwym człowiekiem: był chłopcem, wprowadzie pod postacią kota, ale chłopcem w stu procentach, ze swoją satysfakcją, zbędną odwagą, przelotnym zadowoleniem i próżną dumą. Przez sekundę czy dwie uwielbiała go. Potem jednak pomyślała o czekających ich strasznych godzinach, o tym, że wróci bogaty i ponury na swoją wyłącznie ludzką planetę. Uwielbienie zniknęło w okamgnieniu, ale i tak wciąż go bardzo lubiła.

– No chodź, chłopaku. Będziesz mógł coś zjeść. To będzie jedzenie dla kotów, bo jesteś Ka-Roderickiem. Nie jest takie najgorsze.

Zmarszczył brwi.

– A co to będzie? Czy wy macie tu ryby? Kiedyś próbowałem ryby. Sąsiad kupił. Wymienił się za dwa konie. Pyszna była.

– Chce rybę! – zawołała do O-Eikarususa.

– A niech sobie zje całego tuńczyka, jeśli chce – burknęła małpka. – Ja dalej mam niski cukier. Chcę ananasa.

Ka-Mell nie spierała się. Zostali pod ziemią – poprowadziła ich do pomieszczenia z umieszczonym nad drzwiami obrazkiem psa, kota, krowy, świni, niedźwiedzia i węża. Takie gatunki podludzi tam

obsługiwano. O-Eikasus skrzywił się, widząc tabliczkę, ale wjechał do środka na ramieniu Ka-Mell.

– Ten tu dżentelmen – odezwała się Ka-Mell przyjaźnie do starego człowieka-niedźwiedzia, drapiącego się po brzuchu i palącego jednocześnie fajkę – zapomniał kredytów.

– To nie ma jedzenia. Takie przepisy. Ale może napić się wody.

– Ja za niego zapłacę.

Człowiek-niedźwiedź ziewnął.

– Pewna jesteś, że ci nie odda? Bo jeśli odda, to będzie samowolny handel, a za to jest kara śmierci.

– Znam reguły – odparła Ka-Mell. – Nigdy nie miałam żadnego upomnienia.

Niedźwiedź spojrzał na nią krytycznie. Wyjął fajkę z ust i zagwizdał.

– Pewnie, że nie – powiedział – i widać, że nigdy nie będziesz miała. Kim ty jesteś, swoją drogą? Modelką?

– Towarkiem – wyjaśniła Ka-Mell.

Niedźwiedź ze zdumiewającą szybkością zerwał się ze stołka.

– Kocia madame! – wykrzyknął. – Tysiącrotnie przepraszam. Częstujcie się czym tylko chcecie. Pracujesz na górze Ziemioportu? Znasz osobiście lordów Instrumentalności? Życzysz sobie stoliczek za parawanem? A może lepiej wyrzucę wszystkich klientów i zamelduję mojemu Człowiekowi, że mamy tu wspaniałą, przepiękną niewolnicę z samej góry?

– Żadnej sensacji – powiedziała Ka-Mell. – Jedzenie i tyle.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Ma-Agenta/O-Eikasus. – Jeśli są specjalne zamówienia, to ja poproszę dwa świeże ananasy, ćwierć kilo świeżego kokosa i sto gramów żywych pędraków.

Niedźwiedź zawahał się.

– Proponowałem tylko kociej damie, która służy potężnym ludziom. Nie tobie, małpeczko. Jeśli jednak dama sobie życzy, pošlę po to wszystko.

Odczekał, aż Ka-Mell kiwnie głową, i wcisnął przycisk wzywający niskiego rangą robota. Odwrócił się do Roda McBana.

– A pan, koci dżentelmenie, czego sobie życzy?

Zanim Rod zdążył się odezwać, Ka-Mell zdecydowała za niego:

– Dwa steki z żaglicy, zasmażane ziemniaki, sałatkę Waldorf, porcję lodów i duży sok pomarańczowy.

Niedźwiedź wyraźnie się wzdrygnął.

– Od lat tu pracuję i takiego monstrualnego obiadu dla kota jeszcze nie widziałem. Chyba sam też tego spróbuję.

Ka-Mell uśmiechnęła się po tysiakkroć wdzięcznie.

– Ja tylko się poczęstuję czymś z bufetu. Nie jestem wybredna.

Zaczął protestować, ale ucięła dyskusję pełnym gracji, acz stanowczym machnięciem ręki. Zamilkł.

Usiedli do stolika.

Ma-Agenta/O-Eikasus czekał na swój kombinowany ptasio-małpi obiad. Rod zobaczył, jak stary robot, odziany w prehistoryczny smoking, zadaje niedźwiedziowi jakieś pytanie, zostawia pod drzwiami tacę, a drugą mu podaje. Potem nakrył stół świeżo wykrochmalonym obrusem. To był najwykwintniejszy obiad w całym życiu Roda. Nawet na rządowym bankiecie u Norstrilijczyków gości tak się nie karmiło.

Gdy dojadali, niedźwiedź-kasjer podszedł do stołu i zapytał:

– Pani imię, kocia damo? Wystawię rachunek na rząd.

– Ka-Mell, w służbie u Herbaciarza, podwładnego lorda Żestokosta, szefa Instrumentalności.

Niedźwiedź miał wygoloną twarz, widzieli więc, jak blednie.

– Ka-Mell – wyszeptał. – Ka-Mell! Proszę wybaczyć, milady. Nigdy pani dotąd nie widziałem. Niezmiernie mi miło, że zaszczyca pani mój lokal swoją obecnością. Ja też jestem zaszczycony. Jest pani przyjacielem wszystkich podludzi. Proszę odejść w pokoju.

Ka-Mell skłoniła mu się i rzuciła uśmiech, jakim rządząca cesarzowa mogłaby obdarzyć lorda Instrumentalności. Sięgnęła po małpkę, ta jednak przemknęła przed nią. Rod był zdumiony. Gdy człowiek-niedźwiedź pożegnał ich, gnąc się w ukłonach, zapytał:

– Ka-Mell. Czy ty jesteś sławna?

– W pewnym sensie. Ale tylko wśród podludzi.

Pociągnęła ich pędem ku rampie. Wreszcie wyszli na światło dzienne, choć nos Roda już wcześniej zaatakowała fala zapachów – smażonego jedzenia, piekących się ciast, unosząca się w powietrzu ostra woń alkoholu, aromaty konkurujące ze sobą o uwagę, a przede wszystkim zapach starych rzeczy – zakurzonych skarbów, starej skóry, kobierców, zapachowe echa ludzi, którzy już dawno umarli.

Ka-Mell przystanęła i przyjrzała się mu.

– Znowu coś czujesz? Muszę powiedzieć, że masz nos lepszy niż większość ludzi, których poznałam. I jak ci to pachnie?

– Pięknie – wysapał. – Przepięknie. Jak stłoczone w jednym miejscu wszystkie skarby i pokusy wszechświata.

– A to po prostu Targ Złodziejski w Paryżu.

– To na Ziemi są złodzieje? Oficjalni, jak na Violi Siderei?

– Ależ nie. – Parsknęła śmiechem. – W parę dni by zginęli. Instrumentalność by ich wyłapała. To po prostu ludzie, którzy się bawią. Po Drugim Odkryciu Ludzkości powstało trochę takich starych instytucji, między innymi ten targ. Kaza robotom i podludziom szukać dla siebie różnych starych rzeczy i handlują nimi między sobą. Albo przygotowują jedzenie. Mało który prawdziwy człowiek teraz gotuje. To jest tak niespotykane, że aż im smakuje. Kiedy tam wchodzi, biorą sobie pieniądze. Leżą w beczkach przy wejściu. A gdy wychodzą, albo wieczorem, rzucają pieniądze do rynsztoka, choć naprawdę powinni je odłożyć z powrotem do beczek. Ale to nie są pieniądze, z których podludzie mogliby skorzystać. My używamy liczb i kart komputerowych. – Westchnęła. – A przydałoby się trochę ekstra pieniędzy.

– A tacy podludzie jak ty... jak my... – poprawił się Rod. – Co robią na tym targu?

– Nic – szepnęła. – Absolutnie nic. Możemy przejść, jeśli nie jesteśmy za duzi, za mali, za brudni i za śmierdzący. A nawet jeśli wszystko z nami w porządku, musimy przejść, nie patrząc na żadnego prawdziwego człowieka, i nie dotykając niczego na targu.

– A gdybyśmy dotknęli? – zapytał buntowniczo Rod.



– Są roboty policyjne i mają rozkaz zabijać na miejscu, jeśli zauważą jakieś naruszenie. Ka-Rod, nie rozumiesz – zaszlochała – na dole w Głębinie-głębinie są nas całe masy, w zbiornikach, gotowych, żeby się urodzić, dać się wyszkolić i pojechać na górę, by służyć człowiekowi. Podludzi jest w nadmiarze, i to jakim!

– To czemu idziemy przez ten targ?

– Bo to jedyna droga do sklepu Kotmistrza. Dostaniemy znaczniki. Chodź.

W miejscu, gdzie rampa kończyła się na powierzchni, stały w pogotowiu cztery roboty o błyszczących oczach, lśniących, błękitno emaliowanych pancerzach i jarzących się mlecznie oczach. Ich broń paskudnie bzyczała i wyraźnie była już odbezpieczona. Ka-Mell odezwała się do nich spokojnie i ulegle. Robot-sierżant zaprowadził ją do swego biurka, żeby spojrzała w przyrząd podobny do lornetki, odczytujący jej oczy. Potem przytknęła dłoń do blatu. Identyfikacja zakończona. Robot-sierżant wręczył jej trzy błyszczące krążki, podobne do spodeczków, każdy z doczepionym łańcuszkiem. Bez słowa zawiesiła je na własnej szyi oraz na szyi Roda i Ma-Agenty. Roboty przepuściły ich. Szli nieufnie, gęsiego, przez miejsce pełne wspaniałych widoków i zapachów. Rod poczuł, że w oczach ma łzy ze złości.

Kupię to miejsce, pomyślał, choćby to było jedyne, co kupię.

Ka-Mell zatrzymała się.

Rod bardzo dyskretnie uniósł wzrok.

Miał nad sobą szyld: Dom Towarowy Spełnionych Pragnień. Otworzyły się drzwi. Wyjrzał stary, mądry człowiek-kot, spojrzął na nich, warknął: „Nie dla podludzi!” i trzasnął drzwiami. Ka-Mell zadzwoniła dzwonkiem jeszcze raz. Twarz wyjrzała ponownie, raczej zdziwiona niż zła.

– W sprawach – szepnęła – Eś Pe.

Kot kiwnął głową i powiedział:

– To wchodźcie! Szybko!

## DOM TOWAROWY SPEŁNIONYCH PRAGNIĘĆ

W środku Rod uświadomił sobie, że sklep jest zaopatrzonej równie bogato jak targ. Nie było żadnych innych klientów. Po zgiełku muzyki, śmiechów, smażenia, gotowania, upadających przedmiotów, szczękających talerzy, kłócących się ludzi, podszytym basowym buczeniem robociej broni wiecznie w pogotowiu, panująca tu cisza była sama w sobie luksusem, kojarzącym się ze starym, grubym aksamitem. Zapachy były nie mniej urozmaicone niż na zewnątrz, ale inne, bardziej wyrafinowane, a po części zupełnie nierozpoznawalne.

Jednego zapachu był jednak pewien. Strachu. Ludzkiego strachu. Był w tym pomieszczeniu od niedawna.

– Szybko – powiedział stary człowiek-kot. – Jak się was zaraz nie pozbędę, będę mieć problemy. Jaką macie sprawę?

– Jestem Ka-Mell.

Kiwnął uprzejmie głową, ale nie okazał, że ją poznaje.

– Nie mam pamięci do ludzi – powiedział.

– A to jest Ma-Agenta. – Wskazała małpkę.

Stary kot nawet na nią nie spojrział.

Ka-Mell ciągnęła, z nutką triumfu w głosie:

– Być może słyszałeś o nim pod prawdziwym imieniem. O-Eikasus.

Stary zamrugał, jakby z trudnością do niego docierało:

– Ojkasus? Na „O”? Że orzeł?

– Przeobrażony – wyjaśniła niezrażona Ka-Mell – na podróż do Starej Australii Północnej i z powrotem.

– Prawda to? – zapytał stary małpkę.

O-Eikasus odparł spokojnie:

– Jestem synem Tego, o którym myślisz.

Ka-człowiek opadł na kolana, chociaż z godnością.

– Pozdrawiam cię, O-Eikasusie. Kiedy następnym razem pomyślisz do swojego ojca, przekaz mu moje pozdrowienia i poproś o błogosławieństwo dla mnie. Jestem Ka-William, Kotmistrz.

– Jesteś sławny – powiedział ospale O-Eikasus.

– Ale i tak ryzykujecie, nie wolno wam tu przebywać! Nie mam koncesji na podludzi!

Ka-Mell wyciągnęła asa z rękawa.

– Kotmistrzu, pański następny gość. To nie jest żaden ka-człowiek. To prawdziwy człowiek, pozaświatowiec, który niedawno wykupił prawie całą Ziemię.

Ka-William spojrzał na Roda o wiele bardziej przebiegle. Było w jego spojrzeniu również coś życzliwego. Jak na kota był wysoki; pozostało mu niewiele zwierzęcych cech, wskutek podeszłego wieku, w którym różnice rasowe i płciowe stają się wspomnieniem. Był pomarszczony i równomiernie beżowy. Włosy też miał nie siwe, lecz beżowe; nieliczne kocie wąsy wyglądały na stare i zwiędłe. Ubrany był w fantastyczny strój, który – jak dowiedział się później Rod – stanowił szatę dworską jednego z Pierwotnych Cesarzy, dynastii, która rządziła wiele, wiele stuleci wśród co dalszych gwiazd. Emanował starością, ale i mądrością; w jego przypadku życiowymi przyzwyczajeniami były, dość niespotykane w takim połączeniu, bystrość i życzliwość. Teraz, w sędziwym wieku, zbierał żniwo swych lat. Tysiące przeżytych dni łaskawie się z nim obeszły, sprawiły bowiem, że w jego zachowaniu pojawiła się osobliwa radość, jakby każde kolejne przeżycie oznaczało jeszcze jedną atrakcję, nim zamknie się nad nim wieczny mrok. Rod poczuł wielką sympatię dla tej dziwnej istoty, patrzącej na niego z przenikliwą i wielce osobistą ciekawością, a jednocześnie tak, że nie było to w najmniejszym stopniu obraźliwe.

Kotmistrz odezwał się całkiem przyzwoitym norstrilijskim:

– Wiem, co pan myśli, panie i posiadaczu McBanie.

– Pan mnie syłyszysz?! – wykrzyknął Rod.

– Myśli, nie. Ale twarz jest łatwa do odczytania. Jestem przekonany, że mogę panu pomóc.

– A dlaczego pan tak myśli?

– Każdy i wszystko potrzebuje pomocy – dodał szybko stary ka-człowiek.

– Ale najpierw musimy pozbyć się twoich pozostałych gości. Gdzie zechcesz się udać, o znakomity? A pani, ka-madame?

– Do domu – powiedział O-Eikasus. Znów był zmęczony i zły. Odezawszy się szorstko, poczuł, że musi nadrobić uprzejmością: – Bardzo mi to ciało nie pasuje, panie Kotmistrzu.

– A jak ci idzie ze spadaniem? – zapytał Kotmistrz. – Swobodnym?

Małpka wyszczerzyła zęby.

– W tym ciele? Znakomicie, oczywiście. Tylko mam tego dość.

– Świetnie – powiedział Kotmistrz – możesz zjechać moim zsysem na śmieci. Wychodzi zaraz obok zapomnianego pałacu, gdzie wielkie skrzydła biją wbrew czasowi.

Kotmistrz zszedł na bok pomieszczenia. Ma-Agenta, kiwnąwszy tylko zdawkowo Ka-Mell i Rodowi, powiedział: „Na razie”, patrząc, jak Kotmistrz otwiera pokrywę. Po czym z pełną ufnością wskoczył w odsłoniętą czarną czeluść i zniknął. Kotmistrz starannie zamknął pokrywę.

Odwrócił się do Ka-Mell.

Spojrzała na niego buntowniczo, bojowa postawa dziwnie kontrastowała z niewinną zmysłowością młodego kobiecego ciała.

– Ja nigdzie nie idę.

– To zginiesz – powiedział Kotmistrz. – Nie słyszysz, jak ich broń bzyczy tuż za drzwiami? Wiesz, co robią z nami, podludźmi. Szczególnie z kotami. Wykorzystują nas, ale nam nie ufają.

– Znam jednego, co ufa... – powiedziała. – Lord Żestokost mógłby mnie ochronić, nawet tu i teraz, tak jak chroni ciebie, choć dawno przekroczyłeś limit lat...

– Nie sprzeczasz się. Narobisz mu tylko problemów z innymi prawdziwymi ludźmi. Proszę, dziewczyno. Dostaniesz tacę z fałszywą

przesyłką. Wrócisz sobie do podziemia i odpoczniesz w jadłodajni u niedźwiedzia. Kiedy skończymy, wyślę tam Roda.

Ka-Mell pozwoliła wręczyć sobie tacę i paczkę, na oko wybraną całkiem przypadkowo. Gdy wyszła, Rod pomyślał o niej z nagłym, rozpaczliwym uczuciem. Była jego najbliższym związkiem z Ziemią. Pomyślał o jej podnieceniu, o tym, jak obnażyła przed nim swe młode piersiątko, teraz jednak to wspomnienie, zamiast wzbudzić ekscytację, wypełniło go łagodną, ciepłą czułością. Wypalił:

– Ka-Mell, nic ci się nie stanie?

Odwróciła się w samych drzwiach, bardzo kobieco i bardzo kocio. Burza czerwonych włosów załśniła jak ogień w kominku, podświetlona wpadającym przez drzwi blaskiem. Stała prosto, jakby była ziemską obywatelką, a nie prostym podczłowiekiem i towarkiem. Stanowczym i władczym gestem wyciągnęła do niego rękę, jednocześnie balansując tacą na drugiej. Ściskając tę dłoń, Rod uświadomił sobie, że jest stuprocentowo ludzka i bardzo silna. Prawie niewzruszonym głosem odparła:

– Rod, do widzenia. Ryzykuję, zostawiając cię Kotmistrzowi, ale to najmniejsze możliwe ryzyko. Kotmistrzowi z Domu Towarowego Spełnionych Pragnień możesz zaufać. Robi dziwne rzeczy, Rod, ale to są dobre rzeczy.

Puściła jego dłoń i wyszła. Ka-William zamknął za nią drzwi. W pomieszczeniu zrobiło się cicho.

– Siądź sobie na minutkę, póki wszystkiego nie przygotuję. Albo rozejrzyj się po sklepie, jeśli wolisz.

– Panie Kotmistrzu... – zaczął Rod.

– Bez tytułów, proszę. Jestem podczłowiekiem, mam koci rodowód. Może pan mówić do mnie Ka-William.

– Ka-Williamie, proszę, powiedz mi... tęsknię za Ka-Mell. Martwię się o nią. Czy ja się w niej zakochuję? Na tym polega zakochanie?

– Jest twoją żoną – odparł Kotmistrz. – Tymczasowo i tylko na niby, ale jednak. Na Ziemi to taki zwyczaj, niepokoić się o los małżonki. Nic jej nie będzie.

Stary kocur zniknął za drzwiami z dziwną tabliczką: SALA NIENAWIŚCI.

Rod rozejrzył się.

Pierwszą, najzupełniej pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była gablota pełna znaczków pocztowych. Była ze szkła, w środku jednak dostrzegł łagodne błękity i niepodrabialną ceglastą czerwień trójkątnych znaczków z Przylądka Dobrej Nadziei. Przybył na Ziemię, i oto były! Przyjrzał się im przez szybę. Wyglądały jeszcze ładniej niż na ilustracjach, które widział na Norstrilii. Miały w sobie charakter minionych epok, a mimo to wydawało się, że emanują miłością, jaką ludzie, niegdyś żywi, przydawali im przez wiele tysięcy lat. Rozejrzył się wokół i dostrzegł, że cała sala jest pełna osobliwych skarbów. Starożytnych zabawek ze wszystkich epok, machin latających, miniatuerek wielkich maszyn, pojazdów, które, jak podejrzewał, były pociągami. Dwupoziomową szafę wypełniały ubrania, lśniące od haftów i złotogłowa. Obok stał pojemnik z bronią, czystą i schludną, lecz modele były tak starożytne, że nie miał pojęcia, do czego mogły służyć i komu. Między tym wszystkim stały kubły pełne monet, przeważnie złotych. Nabrał garść. Napisy miały w językach, których nawet nie rozpoznawał, przedstawiały zaś dumne, władcze twarze dawno zmarłych ludzi. Kolejna witryna, zerknął na nią i szybko odwrócił wzrok, zszokowany, choć zaciekawiony: wypełniały ją nieprzyzwoite ciekawostki i obrazki ze stu epok ludzkiej historii, ryciny, szkice, fotografie, lalki i figurki, a wszystkie przedstawiające sprośne, komiczne, życzliwe, czułe, imponujące lub żalosne ujęcia najrozmaitszych aktów miłosnych. Następny dział go zdumiał. Komu to w ogóle było potrzebne? Bicz, noże, kaptury, skórzane gorsety. Minął je, lekko zszokowany. W kolejnym zatrzymał się bez tchu. Był pełen starych książek, autentycznych starych książek. Parę oprawionych w ramki wierszy, zapisanych bardzo ozdobnym pismem. Do jednego ktoś przykleił karteczkę, głoszącą po prostu: „Mój ulubiony”. Rod przyjrzał się, ciekawy, czy coś odcyfruje. Był po staroangijsku, a dziwne nazwisko autora brzmiało: „E.Z.C. Judson, starożytna Ameryka, 1823–1866 n.e.”. Słowa wiersza rozumiał, lecz sensu nie za bardzo. Czytając go, miał wrażenie, że bardzo stary człowiek,

w rodzaju Kotmistrza, znajdzie w nim wzruszenie, które do młodszej osoby w ogóle nie przemówi:

*Odptyw mnie unosi, z odpływem odpływam,  
Powoli, pewnie, jednostajnie, stale,  
To, co widziałem, w dali się rozptywa,  
Patrzeć za siebie sensu nie ma wcale.  
Przedemną brzeg, nie wiem o nim wiele,  
Dryfuję z wiatrem, na wiatru czele.*

*Odliczam czas zegara tykaniem,  
Oczekiwaniem na śmierci szok,  
Na nadchodzący wieczny mrok,  
Jakże powoli mijają te chwile,  
I od nikogo nie dowiem się, ile  
Mnie dzieli od rzeki, gdzie podróż ustanie.*

Rod potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić z niej pajęczyny nieodwracalnej tragedii.

Może, pomyślał do siebie, tak się myślało o śmierci, kiedy nie umierało się zgodnie z planem, jak na większości światów, albo nie przeżywało śmierci kilka razy, jak u nas na Norstrilii. Musieli czuć się faktycznie trochę niepewnie i nieswojo.

Kolejna myśl wpadła mu do głowy i aż się wzdrygnął, widząc jej okrucieństwo: ach, przecież to było tak dawno, że jeszcze nie mieli Strzałów Odczłowieczających! My też już ich nie potrzebujemy, ale tylko pomyśleć – osuwasz się w śmierć, bezradny, niepotrzebny, beznadziejny. Dzięki królowej, że już tak nie robimy!

Pomyślał o królowej, która może nie żyje od ponad piętnastu tysięcy lat, a może zaginęła w kosmosie, jak sądziło wielu Staropółnocnoaustralijczyków – i proszę! Oto był jej portret, podpisany „Królowa Elżbieta II”. Przedstawiał ją tylko do piersi, ale i tak wyglądała na

ładną i inteligentną kobietę, mającą w sobie coś norstrilijskiego. Wyglądała na dość bystrą, żeby wiedzieć, co zrobić, kiedy zapali jej się owca, albo własne dziecko wyjdzie rozchichotane i głupiutkie z jednego z furgonów Ogrodu Śmierci.

Obok stały dwie szklane gabloty, schludnie wytarte z kurzu. Była w nich para wierszy kogoś podpisanego „Anthony Bearden[8], Starożytna Ameryka, 1913–1943 n.e.”. Wydawało się, że pierwszy z nich bardzo pasował do miejsca, mówił bowiem o pragnieniach, jakie odczuwali starożytni. Brzmiał tak:

*„Wyjaw mi”*

*Pali się czas, świat objął płomieniem.  
Wyjaw mi, skarbie, swoje pragnienie.  
Powiedz mi o tym, co w sercu skrywane.  
Czy to jest jawne, czy też zakazane?*

*Jeśli zakazane, pomyśl, jak dni pędzą  
Z hukiem, owiane gęstą mgiełką przędzą,  
Żarem miotane, płomieniem spowite,  
Wyjaw mi, skarbie, pragnienie ukryte.*

*Wyjaw mi, skarbie, największe pragnienie:  
Czy to są szaty, wykwintne jedzenie?  
Egzotyczne szachy, starych ksiąg czytanie?  
Wieczór przy winie, miłosne wyznanie?*

*Dziś dzień dzisiejszy scenę zająć ma,  
Jutro zaś jutro rolę główną gra.  
Wyjaw mi, skarbie, swoje pragnienie,  
Pali się czas, świat objął płomieniem.*



Drugi zaś mógłby w zasadzie opowiadać o jego przylocie na Ziemię, o tym, że nie wie, co się może z nim stać, a co powinno się z nim stać.

---

8 Anthony Bearden – jeden z licznych pseudonimów autora, pod którym publikował głównie wiersze (przyp. tłum).

## „NOC I NIEBO, CO NIEZNANE”

*Zwiodły mnie na manowce doświadczenia gwiazdy,  
Celu gdzieś po drodze mapa zaginęła.  
Skądże mam wiedzieć, gdzie był cel tej jazdy?  
Zwiodły mnie na manowce doświadczenia gwiazdy.*

Rozległ się cichy dźwięk.

Rod odwrócił się twarzą do Kotmistrza.

Starszy pan nic się nie zmienił. Wciąż miał na sobie szatę szalonego dostojnika, która ani trochę nie szkodziła jego godności.

– Podobają ci się wiersze? Inne zbiory? Ja też je lubię. Wielu ludzi tu przychodzi, żeby mi coś zabrać, ale dowiadują się, że to wszystko własność lorda Żestokosta, więc muszą robić dziwne rzeczy dla jednego drobiazgu.

– To wszystko autentyczne? – zapytał Rod, myśląc, że jeśli tak, nie wystarczyłoby całej Starej Australii Północnej, żeby to kupić.

– Oczywiście, że nie – powiedział starszy pan. – Większość to falsyfikaty. Mistrzowskie falsyfikaty. Instrumentalność pozwala mi chodzić po magazynach z robotami, gdzie złomuje się egzemplarze, które zwariowały albo się zużyły. Mogę sobie wybrać, które chcę, jeśli nie są zbyt niebezpieczne. Zatrudniam je do kopiowania wszystkiego, co znajdę w muzeach.

– Te trójkąty z Przylądka – zapytał Rod – są prawdziwe?

– Trójkąty z Przylądka? Aaa, nalepki na listy. Tak, są autentyczne, ale nie moje. Zostały wypożyczone z Muzeum Ziemi i czekają na skopiowanie.

– Kupię je – powiedział Rod.

– Nie kupisz – odparł Kotmistrz. – Nie są na sprzedaż.

- To kupię całą Ziemię razem z tobą i nimi.
- Rodericku Fredericku Ronaldzie Arnoldzie Williamie MacArthurze McBanie CLI, nie zrobisz tego.
- Kim ty jesteś, żeby mi to mówić?
- Spojrzałem na jedną osobę, z dwiema innymi porozmawiałem.
- No dobra. Z kim?
- Spojrzałem na jednego innego Roda McBana, twoją służącą Eleanor. Ma mieszany stosunek do twojego ciała, ponieważ akurat jest mocno pijana w domu lorda Williama Niestąd, a piękna młoda kobieta, Ruth Niestąd próbuje nakłonić Eleanor, aby ją poślubiła. Nie ma pojęcia, że tak naprawdę ma do czynienia z drugą kobietą, dla Eleanor zaś to przeżycie jest ekscytujące, ale jednocześnie dezorientujące. Nic złego się nie stanie i Eleanor jest stuprocentowo bezpieczna. Pod dom lorda Williama zeszli się wszyscy łajdacy z całej Ziemi, ale on wynajął sobie i rozstawił naokoło cały batalion Floty Obronnej, więc nic się nie stanie, poza tym, że Eleanor rozboli głowa, a Ruth się rozczaruje.
- Rod uśmiechnął się.
- Nic lepszego nie mogłeś mi powiedzieć. Z kim rozmawiałeś?
- Z lordem Żestokostem i Johnem Fisherem setnym.
- Panem i posiadaczem Fisherem? On jest tutaj?
- Jest u siebie w domu. Na Stolicy Rumianego Joeya. Zapytałem go, czy mogę ci spełnić pragnienia. Minęło trochę czasu, potem on i niejaki doktor Wentworth powiedzieli, że Wspólnota Narodów Starej Australii Północnej wyraża zgodę.
- Jak cię w ogóle było stać na taką rozmowę? – zapytał Rod. – One są potwornie drogie.
- Ja za nią nie płaciłem, panie i posiadaczu. Pan zapłacił. Obciążyłem pana rachunek, za zgodą pana pełnomocnika, lorda Żestokosta. On i jego przodkowie są moimi klientami od czterystu dwudziestu sześciu lat.
- Masz tupet! – powiedział Rod. – Wydawać moje pieniądze pod moim nosem i nawet mnie nie zapytać!
- Pod pewnymi względami jest pan dorosły, pod innymi zaś nieletni. Ja proponuję panu skorzystanie z umiejętności, dzięki którym sam tak długo

przeżyłem. Myśli pan, że zwykłemu kotu pozwolono by żyć tyle lat?

– Nie. Daj te znaczki i pozwól mi iść.

Kotmistrz spojrział na niego spokojnie. Jego twarz znów zaczęła wyrażać to osobiste zainteresowanie, coś, co na Norstrilii uznano by za niewybaczalną obrazę; lecz razem z tym wścibstwem emanowała pewnością siebie i życzliwością, wskutek której Rod żywił dla niego pewien podziw, choćby i był podczłowiekiem.

– Myśli pan, że jak wróci do domu, będzie pan kochać te znaczki? Będą z panem rozmawiać? Sprawią, że polubi pan sam siebie? Spełnieniem pana pragnienia nie będą te skrawki papieru, lecz coś całkiem innego.

– Co niby? – zapytał wyzywająco Rod.

– Za chwilę wyjaśnię. Po pierwsze, nie możesz mnie zabić. Po drugie, nie możesz mnie nawet zranić. Po trzecie, jeśli ja cię zabiję, będzie to dla twojego dobra. Po czwarte, kiedy stąd wyjdiesz, będziesz bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Czy pana parchy owcze oblażyły?! – zawołał Rod. – Spokojnie mogę pana powalić i wyjść tymi drzwiami. Nie wiem, o czym pan mówi.

– Niech pan spróbuje – powiedział Kotmistrz.

Rod spojrział na wysokiego, zasuszonego człowieka o błyszczących oczach. Spojrział na drzwi, tylko siedem czy osiem metrów od niego. Nie miał ochoty próbować.

– No dobrze – zgodził się. – Proszę jechać z tą gadką.

– Jestem psychologiem klinicznym. Jedyńm na Ziemi, prawdopodobnie jedynym na wszystkich planetach. Nauczyłem się tego ze starożytnych ksiąg, kiedy byłem jeszcze kociakiem i zmieniali mnie w młodego człowieka. Ja zmieniam ludzi tylko trochę, odrobinę. Wiesz, że Instrumentalność ma chirurgów, speców od mózgu i wszelkiej maści lekarzy. Że mogą zrobić z osobowością wszystko... wszystko, oprócz nieznaczących zmian. Tymi zajmuję się ja.

– Nie rozumiem.

– Jak chce pan się ostrzec, idzie pan do neurochirurga? Albo do dermatologa, żeby się wykąpać? Oczywiście, że nie. Ja nie zajmuję się ciężkimi sprawami. Po prostu odmieniam ludzi odrobinę, żeby byli

szczęśliwi. A jeśli nie jestem w stanie im pomóc, daję im jakąś pamiątkę spośród tego śmiecia. Prawdziwa praca odbywa się tam. I tam pan już niedługo pójdzie. – Wskazał brodą drzwi podpisane SALA NIENAWIŚCI.

Rod wykrzyknął:

– Odkąd tyle tygodni temu moje komputery i ja zarobiliśmy masę pieniędzy, cały czas nic, tylko pozwalam sobie rozkazywać to jednemu obcemu, to drugiemu! Czy ja jeszcze będę w stanie coś zrobić sam?

Kotmistrz spojrzał na niego ze współczuciem.

– Nikt z nas nie jest w stanie. My tylko myślimy, że jesteśmy wolni. Nasze życie kształtują ludzie, których poznajemy przypadkiem, miejsca, które przypadkiem odwiedzimy, praca i hobby, na które natrafimy przypadkiem. Czy za rok od teraz będę jeszcze żył? Nie wiem. Czy za rok będziesz w Starej Australii Północnej, wciąż tylko siedemnastoletni, ale bogaty, mądry i w drodze do szczęścia? Nie wiem. Trochę szczęścia już ci się trafiło. Musisz tak na to patrzeć. To szczęście. I ja jestem składową tego szczęścia. Jeśli tu zginiesz, nie będzie to moja wina – lecz tylko nadmierny wysiłek twojego ciała w starciu z urządzeniami, które lady Goroke zatwierdziła dawno temu – urządzeniami, o których lord Żestokost zameldował Instrumentalności. Dzięki temu są nadal legalne. Jestem jedynym podczłowiekiem w całym wszechświecie, któremu wolno w jakikolwiek sposób obrabiać ludzi, bez bezpośredniego ludzkiego nadzoru. Ale ja ich tylko wywołuję, jak starożytni wywołujący fotografię na kawałku papieru wystawionego na różne rodzaje światła. Nie jestem ukrytą dżunglą, jak wasi ludzie w Ogrodzie Śmierci. Zmierzysz się tam sam ze sobą, ja będę tylko pomagał, a kiedy wyjdiesz, będziesz innym człowiekiem. Innym tobą, tym samym, ale tu trochę lepszym, a tam trochę bardziej elastycznym. Szczerze mówiąc, to kocie ciało, które masz na sobie, trochę mi utrudni kontrolowanie tej walki. Ale się uda, Rod. Jesteś gotowy?

– Gotowy do czego?

– Do prób i przemian. – Kotmistrz wskazał drzwi SALI NIENAWIŚCI.

– Chyba tak – odparł Rod. – Nie mam zbyt wielkiego wyboru, prawda?

– Nie masz – powiedział Kotmistrz, współczująco, prawie ze smutkiem  
– w tym momencie już nie masz. Jeśli wyjdiesz tymi drzwiami, okażesz się nielegalnym człowiekiem-kotem, który od razu padnie od brzeczka robotów-policjantów.

– Mam prośbę – powiedział Rod. – Uda się, czy nie, czy będę mógł dostać jeden z tych trójkątów z Przylądka?

Kotmistrz uśmiechnął się.

– Obiecuję, że jeśli będziesz go jeszcze chciał, dostaniesz. – Machnął ku drzwiom. – Wchodź.

Rod nie był tchórzem, ale szedł do drzwi na ołowianych nogach. Otworzyły się samoczynnie. Wszedł do środka, równym krokiem, choć ze strachem.

W środku panował mrok ciemniejszy niż zwykła czerń. To była ciemność ślepoty, rozrośnięty policzek, na którym nigdy nie znajdowało się oko.

Drzwi zamknęły się za nim, ciemność stała się tak namacalna, że popłynął w niej jak w wodzie.

Poczuł się ślepy. Poczuł się, jakby nigdy w życiu nie widział.

Za to słyszał.

Słyszał w głowie pulsowanie własnej krwi.

I czuł zapachy – o tak, węch miał znakomity. A powietrze tutaj – powietrze tutaj – pachniało nocą na bezkresnych, suchych równinach Norstrilii.

Ten zapach sprawił, że poczuł się mały i zalękniony. Przypomniał mu o jego powtarzającym się dzieciństwie, o sztucznym topieniu w laboratorium, gdzie szedł, żeby przerodzić się z jednego dzieciństwa w drugie.

Wyciągnął ręce.

Nic.

Podskoczył odrobinę. Nie było sufitu.

Skorzystał z norstrilijskiej techniki polowej przydatnej podczas burz pyłowych – opadł lekko na dłonie i stopy. Popelzł bokiem, jak krab, na

dwóch stopach i jednej dłoni, drugą jak tarczą osłaniając twarz. Po kilku metrach znalazł ścianę. Poszedł wzdłuż niej.

Zatoczył koło.

Tu były drzwi.

Dalej.

Z większą pewnością siebie poszedł szybciej. W koło, w koło, w koło. Nie umiał poznać, czy podłoże jest z asfaltu, czy z jakichś chropowatych, zużytych kafli.

Znów drzwi.

Głos coś do niego mówił.

Mówił! A on go słyszał!

Spojrzał w górę, w pustkę ciemniejszą niż ślepotą, niemal spodziewając się ujrzeć tam te słowa wypisane ognistymi literami, tak były wyraźne.

Głos był norstrilijski i mówił:

*Rod McBan to człowiek, pan.*

*Ale co to znaczy „człowiek”?*

(I natychmiastowy werbel szaleńczego, smutnego śmiechu).

Rod nawet nie zauważył, że wrócił do dziecinnych odruchów. Usiadł płasko na ziemi, z nogami pod kątem prostym do tułowia. Oparł się rękoma z tyłu i odchylił, pozwalając, by ciężar ciała wyparł mu barki odrobinę do góry. Wiedział, jakie pojęcia pójdą za tymi słowami, ale nigdy nie zrozumiał, dlaczego tak od razu zaczął się ich spodziewać.

Dokładnie jak przewidywał, w pomieszczeniu pojawiły się świetlne kształty.

Postacie były małe, ale wyglądały bardzo realistycznie.

Mężczyźni, kobiety i dzieci, dzieci, kobiety i mężczyźni wmaszerowali mu w pole widzenia i z niego wyszli.

Nie były to dziwadła; nie były to potwory; nie były to obce cuda zrodzone w jakimś innym wszechświecie; nie były to roboty; nie byli to podludzie; to wszystko były hominidy jak on sam, krewniacy z najrozmaitszych ras ziemskiego pochodzenia.

Najpierw pojawili się ludzie jak Norstrilijczycy i Ziemianie, bardzo podobni, jedni i drudzy przypominający starożytne rasy – z jedną różnicą:

Norstrilijczycy pod opaloną skórą byli bladzi, więksi i solidniejsi.

Potem nadeszli Daimoni, białookie olbrzymy z magiczną pewnością siebie, u których już niemowlęta chodziły tak, jakby zaliczyły lekcje baletu.

Potem ciężcy ludzie, ojcowie, matki i dzieci pływające po gruncie, z którego nigdy się nie podniosą.

Potem deszczowcy z Amazonas Triste, ze skórą spowijającą ich gigantycznymi fałdami, tak że wyglądali jak zwitki mokrych szmat owiniętych wokół małp.

Ślepcy z Olimpi, ostro widzący świat zamontowanymi na czołach radarami.

Opuchnięte ludzkie monstra z opuszczonych planet – ludzie w tak strasznej sytuacji, jak jego ojczysta rasa po ucieczce z Raju VII.

Kolejne rasy, jeszcze i jeszcze.

Ludzie, o których w życiu nie słyszał.

Ludzie z muszlami.

Mężczyźni i kobiety tak chudzi, że przypominali owady.

Rasa uśmiechniętych, głupkowatych olbrzymów, zatraconych w nieuleczalnej hebefrenii ich świata. (Rod miał poczucie, że opiekuje się tam nimi rasa oddanych psów, o wiele od nich inteligentniejszych, które nakłaniają ich do rozmnażania, proszą, by jedli, układają spać. Psów nie widział, jedynie uśmiechniętych, rozkojarzonych głupków, ale emocja „dobry, dobry piesek” czała się gdzieś na marginesie).

Śmieszni mali człowieczkowie, poruszający się niewyraźnie dziwnym krokiem.

Wodni ludzie, z pulsującą w skrzelach przejrzystą wodą z jakiegoś nieznanego świata.

A potem...

Kolejni ludzie, tym razem wrodzy. Uszmińkowani hermafrodyty z sumiastymi brodami i fletowymi głosami. Nowotwory, które przejęły ludzkie ciała. Zakorzeni w Ziemi olbrzymi. Ludzkie ciała, rozszlochane i pełzające przez mokrą trawę, zarażające się nawzajem i szukające kolejnych ciał do zarażania.

Rod nie wiedział, że zawył.



Zerwał się do pozycji w kucki i powiódł rękoma po szorstkiej podłodze, szukając jakiejś broni.

To nie byli ludzie – to byli wrogowie!

Wciąż nadchodzili. Ludzie, którzy stracili oczy, którzy stali się ognioodporni, ofiary i niedobitki z opuszczonych osad i zapomnianych kolonii. Odpadki i nieudane produkty ludzkiej rasy.

A potem...

On.

On we własnej osobie.

Mały Rod McBan.

I głosy. Norstrilijskie głosy, mówiące:

– Nie umie mówić. Nie umie słyszeć. Dziwadło. Dziwadło. Nie mówi. Nie słyszy.

I kolejny głos:

– Biedni jego rodzice!

Mały Rod McBan zniknął, znów pojawili się jego rodzice. Dwanaście razy mniejsi niż w rzeczywistości i znajdujący się tak wysoko, że musiał zadrzeć głowę do czarnego, pochłaniającego światło sufitu, żeby dojrzeć z dołu ich twarze.

Matka płakała.

Ojciec brzmiał surowo.

Mówił:

– To wszystko na nic. Doris się nim zajmie, kiedy wyjedziemy, ale jeśli mu się nie poprawi, trzeba będzie zawiadomić władze.

Spokojny, kochający, przerażający głos tego człowieka:

– Kochanie, skarbie, sama do niego mów. Nic nie słyszy. Czy to w ogóle może być Rod McBan?

Potem głos żeński, słodko-jadowity i gorszy od śmierci, rozszlochany, zgadzający się z mężem przeciwko synowi.

– No nie wiem, Rod. Nie wiem. Po prostu mi o tym nie mów.

A on jednak ich usłyszał, w jednej z tych chwil niekontrolowanego, wszechogarniającego syłszczenia, gdy wszystko co telepatyczne docierało do niego ze zdumiewającą ostrością. Słyszał ich, kiedy był mały.

Prawdziwy Rod w ciemnym pokoju wydał z siebie ryk strachu, osamotnienia, wściekłości, nienawiści. Była to właśnie ta telepatyczna bomba, którą tak często straszył i przerażał sąsiadów, myślowa fala, którą zabił olbrzymiego pająka w wieży Ziemioportu na górze.

Tym razem jednak pokój go izolował.

Jego umysł ryknął sam na siebie.

Furia, wrzask, nienawiść, czysty hałas odbiły się ku niemu od podłogi, kolistej ściany, wysokiego sufitu.

Wzdrygnął się i skala obrazu się zmieniła. Rodzice siedzieli w fotelach, maleńkich fotelikach. Sami też byli maleńcy. A on był olbrzymim dzieckiem, tak olbrzymim, że był w stanie zamknąć ich w prawej dłoni.

Wyciągnął rękę, by zgnieść maleńkich, odrażających rodziców, którzy powiedzieli „Niech umrze”.

Chciał to zrobić, ale najpierw zaczęli zanikać.

Zrobili przerażoną minę. Rozejrzeli się niespokojnie wokół. Fotele im się rozpuściły, obicie opadło na podłogę, która z kolei zaczęła wyglądać jak rozdarta sztormem tkanina. Odwrócili się do siebie na ostatni pocałunek, ale nie mieli ust. Chcieli się objąć, ale odpadły im ręce. Ich statek kosmiczny zmleczniał w połowie drogi, bez śladu rozpadając się w nicość. I on, on sam, to wszystko widział!

Po złości przyszły łzy, poczucie winy zbyt silne, by przerodzić się w żal, samooskarżenie tak tkliwe i wilgotne, że zaczęło żyć w jego ciele jak jeszcze jeden organ.

Nie chciał niczego.

Nie chciał pieniędzy, nie chciał strunu, nie chciał Stanicy Zagłady. Nie chciał przyjaciół, nie chciał towarzyszy, nie chciał miłego przyjęcia, nie chciał domu, nie chciał jedzenia. Nie chciał spacerów, nie chciał samotnych odkryć na polu, nie chciał dobrodusznych owiec, nie chciał skarbów w dziurze, nie chciał komputera, nie chciał dnia, nie chciał nocy, nie chciał życia.

Nie chciał niczego, a śmierci nie był w stanie zrozumieć.

Gigantyczne pomieszczenie zatraciło wszelkie światło, wszelki dźwięk, a on tego nie zauważył. Własne życie leżało przed nim rozplątane jak

świeżo poddany sekcji trup. Było wielu Rodericków Fredericków Ronaldów Arnoldów Williamów MacArthurów McBanów, stu pięćdziesięciu z rzędu, lecz on – 151! 151! 151! nie był jednym z nich, nie był gigantem, który wydobył skarb z zakazanej Ziemi i ukrytego słońca norstrilijskich pustkowi. I nie chodziło o jego telepatyczną niepełnosprawność, niezdolność do mówienia, głuchotę na mówienie innych. Chodziło o niego samego, o jeden z klocków jaźni nazwanych „ja” – z nim coś było poważnie nie tak. To on był dzieckiem, które należało zabić, a tymczasem sam zabił. Znienawidził mamę i tatę za ich dumę i nienawiść; a kiedy ich znienawidził, zapadli się i zginęli wśród tajemnic kosmosu, tak że nawet nie było co pochować.

Wstał. Dłonie miał mokre. Dotknął twarzy i uświadomił sobie, że cały czas szlochał z twarzą schowaną w dłoniach.

Zaraz.

Było coś jeszcze.

Była jedna rzecz, której chciał. Chciał, żeby Houghton Syme go nie nienawidził. Houghton Syme umiał słyszeć i mówić, ale był krótkożyjcem, żył z wiszącą nad sobą śmiercią, stojącą pomiędzy nim i każdą dziewczyną, każdą posadą, jaką zdobył. A on, Rod, drwił z niego, nazywając go „Cham Ten Sam”. Rod może i był bezwartościowy, ale nie był w aż tak kiepskim położeniu, jak Houghton Syme, Honsek. Honsek próbował po prostu stać się człowiekiem, przeżyć swoje nędznie krótkie życie – a co zrobił Rod? Tylko obnosił się ze swoim bogactwem i niemal-nieśmiertelnością przed tym biednym kaleką, mającym do przeżycia ledwie sto sześćdziesiąt lat. Zapragnął teraz tylko jednego – wrócić na Australię Północną w samą porę, by zdążyć jeszcze pomóc Syme’owi, powiedzieć mu, że to wszystko jego, Roda, wina. Honsek miał przed sobą jeszcze skrawek życia i zasługiwał na wszystko co najlepsze.

Stał, nie oczekując niczego.

Wybaczył swojemu ostatniemu wrogowi.

Wybaczył samemu sobie.

Drzwi bardzo zwyczajnie otworzyły się i stanął w nich Kotmistrz, ze spokojnym, mądrym uśmiechem na twarzy.

– Może pan już wyjść, panie i posiadaczu McBanie; a jeśli w tym pomieszczeniu jest cokolwiek, czego pan pragnie, może pan to sobie wziąć.

Rod wyszedł powoli. Nie miał pojęcia, ile czasu przebywał w SALI NIENAWIŚCI.

Gdy wyszedł, drzwi zamknęły się za nim.

– Nie, dziękuję, przyjacielu. To naprawdę niezmiernie miło z twojej strony, ale niczego mi nie potrzeba, lepiej już będę wracał na swoją planetę.

– Niczego, naprawdę? – zapytał Kotmistrz, wciąż uśmiechnięty, bardzo uważny i bardzo spokojny.

– Chciałbym jeszcze umieć syłszec i mówić, ale to nie jest bardzo ważne.

– Proszę, to dla ciebie – powiedział Kotmistrz. – Wkładasz to do ucha i niech tam siedzi. Jeśli zacznie swędzieć albo się zabrudzi, wyjmujesz, myjesz i wkładasz z powrotem. To nie jest jakaś rzadkość, ale widzę, że na waszej planecie tego nie znacie.

Wyciągnął przedmiot nie większy od orzeszka ziemnego.

Rod wziął go z roztargnieniem i był gotowy włożyć do kieszeni, nie do ucha, gdy dostrzegł, że uśmiechnięta, czujna twarz obserwuje go bardzo łagodnie, ale też uważnie.

– A teraz – rzekł Kotmistrz – zabiorę cię do Ka-Mell, która zaprowadzi cię do twoich przyjaciół w Głębinie-głębinie. Weź, proszę, ze sobą tę niebieską dwupensówkę z Przylądka Dobrej Nadziei. Zamelduję Żestokostowi, że zniszczyła się, kiedy próbowałem ją skopiować. To w sumie trochę prawda, nie sądzisz?

Rozkojarzony Rod już zaczął mu dziękować i wtedy...

Z dreszczem ekscytacji, który wywołał gęsią skórkę na całym ciele, uświadomił sobie, że Kotmistrz ani trochę nie poruszył ustami, ani trochę nie rozedrgał powietrza w krtani, nie zaburzył ruchu powietrza żadną zmianą ciśnienia. Kotmistrz przemówił do Roda, a Rod go syłsział.

Myśląc bardzo ostrożnie i bardzo wyraźnie, ale nie wydając żadnego dźwięku, pomyślał do niego:

– O, zacny i łaskawy Kotmistrzu, dziękuję ci za starożytny, drogocenny ziemski znaczek pocztowy. Ale jeszcze bardziej dziękuję ci za urządzenie syłyszące i mówiące, które teraz wypróbuję. Jeśli mnie teraz syłyszysz, czy mógłbyś wyciągnąć prawą dłoń i uścisnąć moją?

Kotmistrz zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę. Człowiek i podczłowiek uścisnęli sobie dłonie z czułością i wdzięcznością, która była aż wzruszająca.

Ale żaden z nich nie zapłakał. Żaden.

Ściskali sobie ręce, nic nie mówiąc i nie mówiąc.

## KASĘ KAŻDY CHĘTNIE ZŁUPI

Podczas gdy Rod McBan przechodził osobiste męki w Domu Towarowym Spełnionych Pragnień, inni ludzie nadal przejmowali się nim i jego losem.

### **Karalne głoszenie poglądów**

Kobieta w średnim wieku, w źle dobranej sukience, usiadła nieproszona przy stoliku Paula, prawdziwego człowieka, który kiedyś znał Ka-Mell.

Paul nie zwracał na nią uwagi. Czasy były takie, że ekscentryczne zachowania mnożyły się wśród ludzi. Średni wiek był sprawą uznaniową, rzeczą gustu, a po Ponownym Odkryciu Ludzkości wiele osób stwierdzało, że jeśli pozwolą sobie na trochę niedoskonałości, wygodniej się żyje w wieku średnim niż podeszłym, ze starzejącym się umysłem uwięzionym w wiecznie młodym i doskonałym ciele.

– Miałam grypę – powiedziała kobieta. – Miałeś kiedyś grypę?

– Nie – odparł Paul, niezbyt zainteresowany.

– Czytasz gazetę? – Spojrzała na jego gazetę, w której było wszystko oprócz wiadomości.

Paul, z gazetą przed nosem, przyznał, że czyta.

– A lubisz kawę? – zapytała ona, patrząc na stojącą przed nim filiżankę ze świeżą kawą.

– Po co bym ją zamawiał, gdybym nie lubił? – odrzekł szorstko, zastanawiając się, jak się jej udało znaleźć tak paskudny materiał na sukienkę. Był w żółte słoneczniki na brudnoczerwonym tle.

Kobieta straciła wątek, ale tylko na chwilę.

– Noszę gorset – powiedziała. – Dopiero w zeszłym tygodniu weszły do sprzedaży. Są bardzo, bardzo starożytne i bardzo autentyczne. Teraz, kiedy ludzie, jak zechcą, mogą być grubi, te gorsety to sam szczyt mody. A dla mężczyzn są sztylpy. Kupiłeś już sobie sztylpy?

– Nie – mruknął Paul, zastanawiając się, czy ma porzucić kawę i gazetę.

– A co myślisz, żeby zrobić z tym facetem?

– Z jakim facetem? – zapytał Paul, ze znużeniem, choć uprzejmie.

– Z tym, co kupił Ziemię.

– A kupił?

– Oczywiście. Teraz ma więcej władzy niż Instrumentalność. Może zrobić, co zechce. Może nam dać, co zechce. Gdyby zechciał, mógłby mi wykupić tysiącletnią wycieczkę dookoła wszechświata.

– A ty jesteś urzędniczką? – zapytał ostro Paul.

– Nie – odpowiedziała, trochę zbita z tropu.

– To skąd w ogóle wiesz takie rzeczy?

– Wszyscy to wiedzą. Wszyscy – odparła stanowczo, a skończywszy, zasznurowała usta.

– I co chcesz zrobić z tym człowiekiem? Okraść go? Uwieść? – Paul zabrzmiał sarkastycznie. Miał za sobą nieudaną miłość, o której wciąż pamiętał, wspinaczkę do Abbadinga przez bulwar Alfa Ralfa, której w życiu nie zamierzał powtórzyć, i bardzo niewiele cierpliwości dla głupców, którzy nigdy się na nic nie odważą i nigdy niczego nie przecierpią.

Kobieta zaczerwieniła się ze złości.

– O dwunastej wszyscy idziemy pod jego hostel. Będziemy krzyczeć i krzyczeć, póki nie wyjdzie. A potem ustawimy się w kolejce, i każemy mu po kolei słuchać, czego każdy z nas sobie życzy.

Paul odezwał się ostro:

– A kto to zorganizował?

– Nie wiem. Ktoś.

Zmienił ton na poważny.

– Jest pani ludzką istotą. Jest pani po szkoleniach. Jak brzmi reguła numer dwanaście?

Kobieta odrobinę zbladła, ale wyrecytowała mechanicznie:

– „Każdy człowiek, który stwierdzi, że formułuje albo wygłasza nieautoryzowane poglądy w obecności licznych innych ludzi, natychmiast zgłosi się na terapię do najbliższego podszefa”. Ale przecież to nie o mnie chodzi...?

– Do wieczora będzie pani martwa albo wyczyszczona. Teraz proszę już iść i dać mi doczytać gazetę.

Kobieta łypnęła na niego, na krawędzi złości i łez. Stopniowo w jej rysach odmalowywał się strach.

– Naprawdę sądzisz, że to, co mówiłam, było nielegalne?

– Absolutnie – powiedział Paul.

Zakryła twarz pulchnymi dłońmi i rozplakała się.

– Sir, sir, mógłby pan... mógłby pan mi pomóc poszukać podszefa? Niestety, chyba potrzebuję pomocy. Ale tyle marzyłam, tyle miałam nadziei. Człowiek z gwiazd. Lecz pan ma rację, sir. Nie chcę umrzeć, ani dać się wymazać. Sir, proszę mi pomóc!

Paul, z niecierpliwością i jednocześnie współczuciem, zostawił kawę i gazetę. Robot-kelner podbiegł, żeby mu przypomnieć o rachunku. Paul wyszedł na chodnik, gdzie stały dwie beczki pełne pieniędzy, na użytek tych, którzy życzyli sobie bawić się w starożytną cywilizację. Wybrał największy banknot, jaki znalazł, dał go kelnerowi, poczekał na resztę, dał mu napiwek, wysłuchał podziękowania, po czym wrzucił resztę, otrzymaną w monetach do beczki z metalowymi pieniędzmi. Kobieta ze smutną twarzą w plamy czekała na niego.

Gdy podał jej ramię na starofrancuski sposób, wzięła go pod rękę. Przeszli mniej więcej sto metrów do publicznego wizjofonu. Idąc obok niego, w niewygodnych, starożytnych butach ze spiczastymi obcasami, trochę popłakiwała, a trochę coś mamrotała:

– Kiedyś miałam czterysta lat. Szczupła byłam i piękna. Lubiłam się kochać i nad niczym się nie zastanawiałam, bo nie byłam za bystra. Miałam mnóstwo mężów. I wtedy przyszła ta cała zmiana, poczułam się niepotrzebna i zdecydowałam, że będę taka, jak się czuję: gruba, niezgrabna, w średnim wieku i znudzona. I udało mi się aż za bardzo,



dokładnie tak, jak powiedzieli dwaj moi mężowie. A ten człowiek z gwiazd ma wszelką moc. Może wszystko zmienić.

Paul nic nie odpowiadał, kiwał tylko współczująco głową.

Stał przy wizjofonie, póki nie pojawił się robot.

– Z podszefem – powiedział. – Dowolnym.

Obraz się zamazał, pojawiła się twarz bardzo młodego mężczyzny. Słuchał niezwykle uważnie i w skupieniu, gdy Paul recytował swój numer, stopień, przypisaną neonację, numer kwatery i sprawę. Sprawę, z którą dzwoni, musiał powtórzyć dwukrotnie:

– Karalne rozgłaszanie poglądów.

Podszef odezwał się do niego stanowczo, ale uprzejmie.

– To proszę podejść, zaraz pana naprawimy.

Paul był tak zirytowany, że podejrzewa się go o karalne rozgłaszanie poglądów, „dowolne poglądy odbiegające od informacji opublikowanych i zatwierdzonych przez Instrumentalność i ziemskie władze, ujawniane w obecności licznych innych ludzi”, że aż zaczął telepatycznie protestować.

– Obywatelu, na głos! Te urządzenia nie odbierają telepatii!

Gdy skończył wyjaśniać, umundurowany młodzik spojrzał nań krytycznie, ale przyjaźnie, i dodał:

– Obywatelu, sam pan też o czymś zapomniał.

– Ja? – zatchnął się Paul. – Ja nic nie zrobiłem. Ta kobieta tylko usiadła koło mnie i...

– Obywatelu – powiedział podszef. – Jak brzmi druga połowa Piątej Reguły dla Wszystkich Ludzi?

Paul zastanowił się i odpowiedział:

– „Każda osoba udostępni swoje usługi, bez zwłoki i nieodpłatnie, każdej innej prawdziwej osobie stojącej w obliczu zagrożenia lub niebezpieczeństwa”. – Po czym wytrzeszczył oczy, zrozumiawszy. – Pan chce, żebym ja to sam zrobił?

– Oczywiście, że tak – powiedział podszef. – Jest pan normalny. Pamięta pan mózgowe chwytty.

Paul skinął głową.

Podszef pomachał do niego i obraz zgasł.

Kobieta wszystko widziała. I była przygotowana. Gdy Paul uniósł dłonie do tradycyjnych hipnotycznych gestów, wbiła w nie wzrok. Reagowała dokładnie tak, jak było trzeba. Gdy wyczyścił jej mózg, w biały dzień, na ulicy, poszła chwiejnie chodnikiem, nie wiedząc, dlaczego po policzkach płyną jej łzy. A Paula w ogóle nie pamiętała.

On zaś poczuł nagłą, szaloną chętkę, by pójść na drugi koniec miasta i zobaczyć tego wspaniałego człowieka z gwiazd. Rozglądał się z roztargnieniem, myśląc. Po czym spojrzął na wysoki, niebezpieczny łuk Bulwaru Alfa Ralfa, szybujący bez podparcia po niebie i stykający się z Ziemioportem w połowie jego wysokości; przypomniał sobie siebie tam i własne, prywatne kłopoty. Wrócił więc do gazety i nowej filiżanki z kawą, tym razem już przed wejściem poczęstowawszy się pieniędzmi z beczki.

## **Na jachcie niedaleko Maja Mi Efel**

Ruth ziewnęła, podnosząc się, i popatrzyła na ocean. Chyba dobrze wypadła wobec bogatego młodzieńca.

Fałszywy Rod McBan, a naprawdę zrekonstruowana Eleanor, powiedział do niej:

– Podoba mi się.

Ruth uśmiechnęła się nonszalancko i uwodzicielsko. Nie wiedziała, czemu Eleanor roześmiała się w głos.

Spod pokładu wyszedł lord William Niestąd. W dłoniach miał dwa srebrne kubeczki. Oba były oszronione.

– Cieszę się – powiedział obłudnie – że się wam, młodym, tu podoba. Oto *mint julep*, bardzo starożytny drink.

Przyglądał się, jak Eleanor go próbuje. Uśmiechnęła się.

On także się uśmiechnął.

– Smakuje?

Eleanor odpowiedziała mu uśmiechem.

– Na pewno lepsze od zmywania! – powiedział zagadkowo „Rod McBan”.

Lord William pomyślał, że ten bogaty młody człowiek rzeczywiście jest dziwny.

## **Przedśionek Dzwonu i Banku**

Lord Crudelta rozkazał:

– Przysłać mi tu Żestokosta!

Lord Żestokost już wchodził do pomieszczenia.

– Co się wydarzyło w sprawie tego młodego człowieka?

– Nic, sir.

– Brednie. Banialuki. Androny. Bzdury – warknął starszy lord. – Nigdy nie dzieje się „nic”. Musi gdzieś być.

– Oryginał jest z Kotmistrzem, w Domu Towarowym.

– Czy to bezpieczne? Może zrobić się za sprytny, żeby dało się nim sterować. Żestokost, pan znów rozkręca jakąś intrygę.

– Nic oprócz tego, o czym panu powiedziałem.

Starszy zmarszczył czoło.

– To prawda. Faktycznie mi pan powiedział. Proszę zatem kontynuować. A inni?

– Jacy inni?

– Wabiki?

Lord Żestokost roześmiał się w głos.

– Nasz współpracownik, lord William, omal nie wziął ślubu ze służącą pana McBana, która tymczasowo też jest panem McBanem. Dobrze się bawią i całkiem nieszkodliwie. A roboty, osiem, który przeżyły, chodzą po Ziemioporcie. Bawią się dobrze, jak na roboty. Zbierają się tłumy, domagają się cudów. Nic groźnego.

– A ziemiska gospodarka? Traci równowagę?

– Zatrudniłem komputery – powiedział lord Żestokost – żeby znalazły wszystkie możliwe domiary podatkowe w historii. Parę megakredytów już mu się udało naliczyć.

– W pieniądzach WROG.

– Tak, we WROG-ich, sir.

– Ale nie zbankrutuje od tego? – zapytał Crudelta.

– Ależ skąd, sir! – zawołał lord Żestokost. – Jestem dobrym człowiekiem. Starszy lord rzucił mu służbowy uśmiech.

– Już widziałem tę pańską dobroć, Żestokost: wolałbym mieć tysiąc światów za wroga niż pana za przyjaciela! Jest pan podstępny, niebezpieczny i przewrotny.

Żestokost, mile polectany tym komentarzem, powiedział oficjalnym tonem:

– Traktuje pan niesprawiedliwie uczciwego urzędnika, sir.

Obaj uśmiechnęli się do siebie. Znali się aż za dobrze.

## **Dziesięć kilometrów pod powierzchnią Ziemi**

O-Telekeli zszedł z mównicy, na której wygłaszał kazanie.

Córka obserwowała go bez ruchu, stojąc w drzwiach.

– Coś się stało, moja panno? – zapytał.

– Ojczy, ja widziałam jego umysł. Widziałam go przez chwilę, gdy wychodził od Kotmistrza. To naprawdę bogaty, młody człowiek z gwiazd, sympatyczny, miły, wykupił Ziemię, ale to nie jest człowiek, o którym mówi Zapowiedź.

– Za dużo się spodziewałaś, O-Lamelanie – powiedział ojciec.

– Spodziewałam się nadziei – odpowiedziała. – Czy nadzieja to u podludzi przestępstwo? Co przepowiedziała Joan, co obiecał Kopt? Gdzie to jest, ojczy? Czy nigdy nie ujrzymy światła i nie zaznamy wolności?

– Prawdziwi ludzie także nie są wolni – odparł O-Telekeli. – Oni też cierpią, przeżywają strach, poród, starość, miłość, śmierć, ból. Zadane

własną ręką zniszczenie. Wolność to nie jest coś, co nam da jakiś dobry człowiek z gwiazd. Wolność to coś, co ty robisz, skarbie, i co robię ja. Śmierć to sprawa bardzo osobista, córko, a życie, gdy się nad tym zastanowić, jest niemal równie osobiste.

– Wiem, ojcze. Wiem. Wiem. Wiem. – (Chociaż nie wiedziała).

– Możliwe, córko, że nie wiesz – odrzekł wielki człowiek-ptak – ale na długo zanim ci ludzie pobudowali miasta, na Ziemi żyli inni, ci, co pojawili się po upadku Starożytnego Świata. Wyszli daleko poza ograniczenia ludzkiego ciała. Pokonali śmierć. Nie znali chorób. Nie potrzebowali miłości. Chcieli stać się abstrakcją żyjącą poza czasem. I wymarli, O-Lamelanie. W okropny sposób. Niektórzy stali się potworami żerującymi na niedobitkach prawdziwych ludzi, z powodów, które zwykłym ludziom nie mieściły się w głowie. Inni stali się jak ostrzygi: zamknęli się we własnej świętości. Wszyscy zapomnieli, że człowieczeństwo to również niedoskonałość, zepsucie, że to co idealne nie jest już zrozumiałe. Dysponujemy tylko fragmentami Słowa, jesteśmy wierniejsi ludzkiej tradycji niż sami ludzie, ale nie wolno nam być na tyle głupimi, by dążyć do doskonałości w tym życiu, ani by własnymi siłami przeobrażać się w kogoś innego. Ty i ja, skarbie, jesteśmy zwierzętami, nawet nie prawdziwymi ludźmi, ale prawdziwi ludzie nie rozumieją nauk Joan – że to, co wydaje się ludzkie, ludzkie jest. To słowo narzuca postać, nie kształt krwinek, struktura tkanek, włosy czy pióra. I jest moc, której nie śmiemy nazywać, ale kochamy ją i hołubimy, bo potrzebujemy jej bardziej niż ludzie z powierzchni. Wielkie wiary niemal zawsze wyrastają w miejskich rynsztokach, a nie w wieżach zikkuratów. Co więcej, my jesteśmy porzuconymi, nieużywanymi zwierzętami. Wszyscyśmy tutaj odpadkami, które ludzkość wyrzuciła i zapomniała o nich. Mamy tym samym wielką przewagę, bo od zarania życia wiemy, że jesteśmy bezwartościowi. A dlaczego bezwartościowi? Bo wyższa forma i wyższa prawda tak rzeczy – pisane prawo i niepisane zwyczaje ludzkości. Jednakże ja cię kocham, córko, a ty kochasz mnie. I wiemy, że wszystko, co umie kochać, ma samo w sobie wartość, a zatem ta bezwartościowość podludzi jest nieprawdą. Musimy wyrzeć poza obręb minut i godzin, wejrzeć tam, gdzie zegary nie

chodzą i nie nadchodzi świt. Jest świat poza czasem i do niego aspirujemy. Wiem, dziecko, że kochasz życie w wierze, chwali ci się to, ale byłaby to żalosna wiara, gdyby polegała na przybywających podróżnikach, gdyby głosiła, że jeden czy dwa cuda rozwiązują raz na zawsze wszelkie problemy. Ludzie na powierzchni sądzą, że dawne problemy już ich nie dotyczą, bo nie ma u nich budynków zwanych kościołami czy świątyniami, nie ma zawodowych funkcjonariuszy religii. Lecz wyższa siła i większe problemy i tak ich spotkają, chcą czy nie chcą. Dzisiaj wśród nich wiara to cudaczne hobby, Instrumentalność je toleruje, bo Wierni są nieistotni i słabi, ludzkości zdarzają się jednak chwile ogromnej pasji; taka chwila musi znowu nadejść i tym razem obejmie i nas. Więc nie czekaj na swojego bohatera z gwiazd. Jeśli żyjesz w wierze, żyjesz dobrze, on już jest w tobie, czeka tylko na podlanie twoimi łzami, użyźnienie twoimi czystymi, jasnymi myślami. A jeśli nie żyjesz w wierze, i tak możesz żyć dobrze poza nią. – Umilkł na chwilę, po czym kontynuował: – Spójrz na swojego brata O-Eikasusa, który powraca teraz do normalnej postaci. Pozwolił mi zmienić się w zwierzę i posłać między gwiazdy. Poniósł ryzyko, ale nie pozwolił sobie się tym rozkoszować. Nie musisz spełniać swojego obowiązku z radością, wystarczy, że go po prostu spełnisz. On wrócił teraz do swojego domu, ale wiem, że przyniesie nam sprzyjający los w wielu drobnych sprawach, a może i paru wielkich. Czy rozumiesz, córko?

Powiedziała, że rozumie, ale mówiąc to, wciąż miała w oczach smutek i rozczarowanie.

## **Posterunek policji na powierzchni, nieopodal Ziemioportu**

– Sierżant-robot mówi, że nie może nic więcej zrobić, nie łamiąc zasady zabraniającej robić ludziom krzywdę.

Podszef spojrział na swojego szefa, nie mogąc się doczekać, kiedy wyjdzie z biura i będzie mógł wędrować wśród problemów miasta. Dość

miał już ekranów, komputerów, przycisków, kart i procedur. Pragnął żywego życia i wielkiej przygody.

– A o jakiego pozaświatowca chodzi?

– Nazywa się Tostig Amaral, z planety Amazonas Triste. Musi przez cały czas zachowywać wilgotność. Jest tylko koncesjonowanym kupcem, nie honorowym gościem Instrumentalności. Przydzielono mu towarek, a on uznał, że ona jest teraz jego własnością.

– To pošlijcie mu tego towarka. Co ona za jedna, myszowata?

– Nie, kotka. Nazywa się Ka-Mell i lord Żestokost ją zarekwirował.

– A, znam sprawę – powiedział szef, żałując, że tak naprawdę jej nie zna.

– Jest przydzielona temu facetowi ze Starej Australii Północnej, który wykupił prawie całą Ziemię.

– Ale ten hominid i tak ją chce, nic go nie obchodzi! – niecierpliwił się podszef.

– Nie może jej mieć, jeśli lord Instrumentalności zarządził, że już nie świadczymy mu tej usługi.

– Grozi, że będzie walczył. Mówi, że pozabija ludzi.

– Hmm. A jest w pomieszczeniu?

– Tak, proszę pana.

– Ze standardowymi instalacjami?

– Sprawdzę, sir. – Podszef przekręcił gałkę i na lewym ekranie przed nim pojawił się elektroniczny schemat. – Tak jest, sir. Standardowe.

– To zerknijmy na niego.

– Dostał zgodę, sir, żeby mieć przez cały czas włączone zraszacze. Bo zdaje się pochodzi z deszczowego świata.

– Spróbuj tak czy owak.

– Tak jest, sir. – Podszef wygwizdał polecenie.

Obraz rozmazał się, zawirował i wyostrzył, zaczął przedstawiać ciemny pokój. W rogu leżała jakby kupka mokrych szmat, z której wystawała ładnie ukształtowana ludzka dłoń.

– Paskudny typ – powiedział szef – i zapewne trujący. Obezwładnij go dokładnie na godzinę. A tymczasem uzyskamy odpowiednie rozkazy.

## Na poziomie ziemi pod Ziemioportem

Rozmowa dwóch dziewczyn.

– ...i jak obiecasz, że nigdy, przenigdy nikomu nie powiesz, zdradzę ci największą tajemnicę na świecie.

– Założę się, że to żadna tajemnica. Nie musisz nic mówić.

– No to ci nie powiem. Nigdy.

– Jak sobie chcesz.

– Ale naprawdę, jakbyś się domyślała, tobyś nie wytrzymała z ciekawości.

– Chcesz mi powiedzieć, to mów, nie chcesz, to nie.

– Ale to tajemnica.

– No dobra. Nikomu nie powiem.

– Ten facet z gwiazd. On będzie się ze mną żenił.

– Z tobą? Co za bzdura?

– Czemu bzdura? Już kupił sobie prawo do ożenku.

– Od razu widać, że to bzdura, coś tu jest nie tak.

– Nie rozumiem, czemu myślisz, że mu się nie podobam, skoro kupił moje prawa.

– Głupia! Wiem, że coś jest nie tak, bo to moje kupił.

– Twoje?

– Tak.

– Czyli i twoje, i moje?

– I po co?

– Pytaj mnie, a ja ciebie.

– Może chce nas obie wsadzić do tego samego haremu. Romantycznie by było, co nie?

– Na Starej Australii Północnej nie mają żadnych haremów. Żyją tylko jak sztywni starzy farmerzy, hodują ten strun i mordują każdego, kto podejrze.

– Paskudnie to brzmi.

– To chodźmy na policję.



– Bo faktycznie to obraźliwe. Może da się go zmusić, żeby coś ekstra zapłacił za nasze prawa, jeśli nie chce z nich skorzystać.

## **Przed kawiarnią**

Mężczyzna. Pijany.

– Będę pić co noc będą mi grać na dobranoc muzykanci będę mieć pieniędzy ile tylko zechcę i to nie tych zabawkowych z beczki ale prawdziwych zarejestrowanych na komputerze i wszyscy będą musieli robić co powiem i wiem że to zrobią bo moja matka nazywała się MacArthur w kodzie genetycznym jeszcze zanim wszyscy dostali numerki i lepiej się ze mnie nie śmiejcie bo on się naprawdę nazywa MacArthur McBan jedenasty a ja jestem jego najlepszym przyjacielem i najbliższym krewnym na całej Ziemi...

## TOSTIG AMARAL

Rod McBan wyszedł z Domu Towarowego Spełnionych Pragnień normalnie, skromnie; niósł książki, opakowane w papier, żeby się nie zakurzyły, i wyglądał jak każdy inny koci posłaniec pierwszej klasy. Ludzkie istoty na targowisku wciąż hałasowały i produkowały zapachy żywności, przypraw i dziwnych przedmiotów, on jednak szedł pomiędzy ich rozproszonymi grupkami tak spokojnie i pewnie, że nawet robocia policja z włączoną i bzyczącą bronią nie zwróciła na niego uwagi.

Kiedy wchodził na Targ Złodziei z drugiej strony, z Ka-Mell i Ma-Agentą, był wielce nieswój. Jako pan i posiadacz ze Starej Australii Północnej czuł się w obowiązku zachowywać godność, ale nie był pogodzony z własnym sercem. Ludzie byli dziwni, cel podróży nieznany, ciężkim brzemieniem ciążyły problemy bogactwa i przetrwania.

Teraz – co innego. Na zewnątrz może i wciąż był człowiekiem-kotem, ale w środku znów czuł należytą dumę ze swojej ojczystej planety.

I coś jeszcze.

Czuł spokój, spokój aż po same czubki zakończeń nerwowych.

Urządzenie do syłszczenia i mówienia powinno go niepokoić i ekscytować. Tymczasem wcale tak nie było. Idąc przez rynek, zauważył, że na Ziemi mało kto komunikuje się telepatycznie. Woleli paplać swoim głośnym, niesionym przez powietrze językiem, a mieli nie jeden, lecz wiele takich języków, ze Starym Wspólnym służącym jako platforma dla tych, którzy nie zostali obdarzeni różnymi starożytnymi językami w procesie Drugiego Odkrycia Ludzkości. Słyszał nawet staroangijski, język samej królowej, brzmiący nadzwyczaj podobnie do jego ojczystego norstriljskiego. Nie stymulowało go to jednak, nie ekscytowało, nawet nie

budziło żalu. Miał własne problemy, ale nie były to już problemy bogactwa i przetrwania. Skądś brała się pewność, że ukryta i życzliwa wszechświatowa siła zatroszczy się o niego, jeśli on będzie się troszczył o innych. Chciał wyciągnąć z kłopotów Eleanor, pocieszyć Honseka, zobaczyć Lavinie, dodać otuchy Doris, pożegnać się należycie z Ka-Mell, wrócić do owiec, ochronić swój komputer i uwolnić lorda Krasnadamę od brzydkiego nawyku zabijania innych ludzi zgodnie z prawem, pod byle pretekstem.

Jeden robot-policjant, trochę bardziej spostrzegawczy od innych, obserwował człowieka-kota, sunącego z nadnaturalną pewnością siebie przez ludzkie tłumy, lecz ów „Ka-Roderick” nie zrobił nic – tylko wszedł na targ z jednej strony, przelawirował przez środek i wyszedł drugą stroną, cały czas z tą paczką; robot odwrócił się; jego straszne mleczone oczy, zawsze gotowe na wypatrywanie zakłóceń porządku i zadawanie śmierci, znów z niestrudzoną czujnością powiodły po targu.

Rod zszedł pochylnią i skręcił w prawo.

Była tam jadłodajnia dla podludzi z kasjerem-niedźwiedziem. Kasjer go pamiętał.

– Dawno pana u nas nie widziałem, szanowny panie kocie. Dziś też pan życzy sobie rybę na specjalne zamówienie?

– A gdzie moja dziewczyna? – zapytał prosto z mostu Rod.

– Ka-Mell? – odparł kasjer-niedźwiedź. – Czekala tu bardzo długo, potem poszła, ale zostawiła taką wiadomość: „Powiedz mojemu mężczyźnie, Ka-Rodowi, że zanim pójdzie za mną, niech coś sobie zje, ale kiedy zje, niech pójdzie za mną: Szyb Wznoszący nr Cztery, poziom ziemi, Hostel pod śpiewającym ptakiem, pokój nr dziewięć, gdzie opiekuję się pozaświatowym gościem. Albo może posłać tam robota i ja do niego zejdę”. Nie uważa pan, że świetnie się sprawiłem, zapamiętując tak skomplikowaną wiadomość? – Człowiek-niedźwiedź zarumienił się odrobinę i wyzbył dumy w głosie, bo w imię jakiejś abstrakcyjnej szczerości wyznał: – Ten fragment z adresem to oczywiście sobie zapisałem. Byłoby bardzo źle i ambarasująco, gdybym posłał pana pod zły adres w świecie

ludzi. Ktoś mógłby pana spalić, gdyby wszedł pan do niedozwolonego korytarza.

– Dobrze, to poproszę rybę. Jakies danie z ryby poproszę.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego Ka-Mell, mając już uporządkowane życie, poszła do kolejnego gościa. Już to myśląc, wykrył w sobie podłą zazdrość i przyznał się sam przed sobą, że nie ma pojęcia o warunkach, sposobie i godzinach pracy oczekiwanych od zatrudnionej jako towarek.

Usiadł tępo na ławce i czekał na jedzenie.

W głowie wciąż tkwił mu jazgot z SALI NIENAWIŚCI – patos rodziców, tych umierających, rozpuszczających się fantomów, cały czas miał go intensywnie w sercu, a ciało dygotało, zmęczone próbą. Mimochodem zapytał kasjera-niedźwiedzia:

– Jak długo ja tu jestem?

Niedźwiedź spojrzał na zegar na ścianie:

– Około czternastu godzin, szanowny panie kocie.

– A ile to jest w czasie rzeczywistym? – Rod próbował porównać godziny ziemskie do norstrilijskich. Wydawało mu się, że są o jedną siódmą krótsze, ale pewien nie był.

Człowiek-niedźwiedź nie miał pojęcia.

– Jeśli chodzi panu o galaktyczny czas nawigacyjny, szanowny panie, to tego się w ogóle u nas nie używa. Czy są jakieś inne rodzaje czasu?

Rod uświadomił sobie błąd i próbował go naprawić.

– Nieważne, nieważne. Pić mi się chce. Co mogą legalnie pić podludzie? Jestem zmęczony i spragniony jednocześnie, ale nie mam zamiaru ani trochę się upić.

– Ponieważ jest pan kotem – odparł kasjer – polecam mocną czarną kawę mieszaną ze słodką bitą śmietanką.

– Ale nie mam pieniędzy – powiedział Rod.

– Pana towarzyszka, sławna Ka-Mell, zagwarantowała, że zapłaci za wszystko, co pan zamówi.

– Aha. To poproszę.

Człowiek-niedźwiedź zawołał robota i wydał mu polecenia.

Rod wpatrzył się w ścianę, zastanawiając się, co począć z tą kupioną Ziemią. Nie myślał jakoś intensywnie, lecz leniwie sobie dumał. Jakiś głos wbił mu się prosto w umysł. Dotarło do niego, że to niedźwiedź mówi, a on go syłszy.

– Proszę pana, pan nie jest podczłowiekiem.

– Co takiego? – zapytał Rod.

– Syłszył pan – odparł telepatyczny głos. – Nie będę powtarzać. Jeśli przychodzi pan ze znakiem Ryby, niech będzie pan błogosławiony.

– Nie znam takiego znaku – odpowiedział Rod.

– A zatem – powiedział niedźwiedź – niezależnie kim pan jest, proszę jeść i pić w pokoju, jest pan bowiem przyjacielem Ka-Mell i jest pan pod ochroną Tego, Co Mieszka w Głębinie.

– Nie wiem – powiedział Rod. – Nie wiem tego, ale i tak dziękuję ci za gościnę, przyjacielu.

– Nie rozdaję takich zaproszeń na lewo i prawo – odparł tamten – i w normalnych warunkach raczej uciekłbym przed kimś tak dziwnym, groźnym i niewytłumaczalnym jak pan, pan jednak przynosi ze sobą klimat pokoju – właśnie dlatego pomyślałem, że przychodzi pan pod znakiem bractwa Ryby. Słyszałem, że pod wezwaniem tego znaku ludzie i podludzie wspominają błogosławioną Joan i bratają się w jednej wspólnocie.

– Nie – powiedział Rod. – Nie. Ja przyjechałem sam.

Dotarło jedzenie i picie. Spożył je w milczeniu. Kasjer dał mu stolik z dala od bufetu i innych podludzi, którzy wpadali, przerywając im rozmowę, i jedli w pośpiechu, żeby jak najszybciej wrócić do pracy. Zobaczył jednego człowieka-wilka, w mundurze z insygniami Policji Pomocniczej, który podszedł do ściany, wsunął w szczelinę swój identyfikator, rozdziawił paszczę, pochłoniął pięć wielkich kawałów czerwonego, surowego mięsa i wyszedł ze stołówki, wszystko w niecałe półtorej minuty. Rod był zdumiony, ale nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia. Głowę zaprzętały mu inne sprawy.

Podszedł do kontuaru, potwierdził jeszcze adres pozostawiony przez Ka-Mell, podał kasjerowi-niedźwiedziowi rękę i poszedł do Szybu

Wznoszącego nr 4. Cały czas wyglądał jak człowiek-kot, niósł uważnie i pokornie paczkę, zachowując się jak inni podludzie w obecności prawdziwych ludzi.

A po drodze omal nie zginął. Szyb nr 4 był jednokierunkowy, z wyraźną tabliczką „Tylko dla ludzi”. Rodowi nie spodobało się to, bo wciąż był w kocim ciele, ale uznał, że Ka-Mell nie dałaby mu złych czy mylących wskazówek. (Później dowiedział się, że zapomniała przekazać mu zdanie „Specjalne zadanie pod protekcją lorda Żestokosta, szefa Instrumentalności” do wypowiedzenia w razie konfrontacji).

Arogancki człowiek w rozwianej czerwonej pelerynie spojrział na niego ostro, gdy zapiął pas i wszedł do szybu. Gdy zaczął się unosić, znaleźli się na jednym poziomie.

Rod starał się wyglądać na pokornego, skromnego posłańca, ale obcy głos zazgrzytał mu w uszach:

– A ty co tu robisz? To jest szyb dla ludzi.

Rod udawał, że nie rozumie, że to do niego zwraca się facet w czerwonej pelerynie. Płynął sobie spokojnie w górę, a magnetyczny pas uwierał go nieprzyjemnie w talii.

Poczuł ból w żebrach i odwrócił się raptownie, omal nie tracąc równowagi.

– Zwierzaku! – zawołał człowiek. – Odpowiadaj, bo zabiję.

Rod, wciąż trzymając paczkę z książkami, powiedział łagodnie:

– Doręczam przesyłkę i kazano mi pójść tędy.

Bezsensowna wrogość człowieka przydała wagi jego głosowi:

– A kto ci tak powiedział?

– Ka-Mell – rzucił Rod bezmyślnie.

Człowiek i jego towarzysze roześmiali się, a ich śmiech z jakiegoś powodu nie miał w sobie humoru, jedynie brutalność, okrucieństwo i – głęboko ukryty – lekki strach.

– Słyszałeś to? – powiedział ten w czerwonej pelerynie. – Jeden zwierzak mówi, że drugi zwierzak mu coś kazał. – Wyciągnął nóż.

– Co pan robi?! – krzyknął Rod.

– Przetnę ci pas i tyle – odparł tamten. – Pod nami nikogo nie ma. Ładnie się rozchłapiesz na samym dnie, kocie jeden. To cię nauczy, z którego szybu korzystać.

I rzeczywiście wyciągnął rękę i chwycił Roda za pas.

Uniósł nóż do cięcia.

Rod poczuł strach i złość. Jego umysł wszedł na wysokie obroty.

Plunął w nich myślami:

*syfiasty!*

*kurdupel!*

*Ziemniak!*

*czerwony i niebieski ziemski śmierdziel!*

*giń, rzygaj, pękaj, płoń, giń!*

Wszystko to wyrzucił w okamgnieniu, szybciej, niż był to w stanie opanować. Facet w czerwonej pelerynie wygiął się dziwnie, jakby miał skurcze. Dwójka jego towarzyszy zaszamotała się w pasach. Odwrócili się powoli.

Gdzieś nad nimi zaczęły krzyczeć dwie kobiety.

Jeszcze wyżej mężczyzna krzyczał, tak głosem, jak umysłem:

– Policja! Ratunku! Policja! Policja! Mózgobomba! Ratunku!

Poczuł się zdezorientowany i osłabiony po tym telepatycznym wybuchu. Potrząsnął głową, zamrugał raptownie. Chciał otrzeć twarz, ale tylko uderzył się w szczękę paczką z książkami, którą wciąż trzymał. To go trochę otrzeźwiło. Spojrzał na trójkę ludzi. Ten w czerwonej pelerynie nie żył, głowę miał przekrzywioną pod dziwnym kątem. Dwóch pozostałych też wyglądało na martwych, jeden unosił się do góry nogami, z wypiętym tyłkiem i zwisającymi bezwładnie rękami; drugi miał prawidłową pozycję, ale zwisał na pasie. Cała trójka nadal poruszała się z szybkością dziesięciu metrów na minutę, równo z Rodem.

Z góry dochodziły dziwne odgłosy.

Rozległ się potężny ryk i wypełnił cały szyb.

– Nie ruszać się! Pozostać na miejscach! Policja! Policja! Policja!

Rod obejrzał się na sunące w górę ciała. Obok przepłynął wylot korytarza. Sięgnął do poręczy, chwycił się jej i wyskoczył z szybu.

Natychmiast usiadł, nie oddalając się od niego. Zaczął uważnie słuchać. Wokół kłębiły się podekscytowane, podenerwowane umysły, wypatrując wrogów, szaleńców, zbrodniarzy, obcych, czegokolwiek dziwnego.

Zaczął powoli mówić do pustego korytarza i do siebie:

– Jestem głupiutkim kotem. Jestem goniec Ka-Rod. Muszę zanieść te książki dżentelmenowi z gwiazd. Jestem tępym kotem. Nic nie wiem.

W korytarzu wylądował robot w błyszczącej, staroziemskiej zbroi. Spojrzał na niego i zawołał w górę szybu:

– Panie podszeffie, tu jest jeden. Ka-człowiek, z przesyłką.

Ukazał się młody podszeff: najpierw widoczne były nogi – zjeżdżał szybem, zamiast lecieć do góry. Chwycił się sufitu poprzecznego korytarza, odepchnął i (uwolniony od magnetyzmu szybu) opadł ciężko na stopy, tuż obok Roda. Rod syłył, jak myśli:

– Dobry w tym jestem. Jestem dobrym telepatą. Szybko to załatwię. Patrzcie tylko na tego tępego kota.

Rod skupił się.

– Jestem tępym kotem. Mam doręczyć przesyłkę. Jestem tylko tępym kotem.

Podszeff spojrział nań pogardliwie. Rod poczuł, jak prześlizguje się po jego umyśle w czymś, co było z grubsza odpowiednikiem rewizji. Pozostał rozluźniony, starając się czuć głupio, gdy tamten go syłył. Nie mówił nic. Podszeff przejechał swoją laską nad paczką, wpatrzony w kryształową gałkę na jej końcu.

– Książki – prychnął.

Rod kiwnął głową.

– Ej ty – powiedział bystry młody podszeff – a trupy widziałeś?

Mówił boleśnie wyraźnym, dzieciennym niemal wariantem Starego Wspólnego.

Rod pokazał trzy palce i wskazał w górę.

– A mózgowombę poczułeś?

Rod, któremu spektakl zaczynał się podobać, odrzucił głowę w tył i zaniósł się wyrażającym ból kocim jękiem. Podszeff mimo woli zatkał uszy dłońmi. Zaczął się odwracać.



– Widzę, kocie, co o tym myślisz. Głupkowaty trochę jesteś, co?

Wciąż myśląc głupkowato, najrytmiczniej jak umiał, odpowiedział szybko i pokornie:

– Ja? Bystry kot. I bardzo przystojny.

– Chodź no tu – powiedział podszeft do swojego robota, kompletnie nie zwracając na niego uwagi.

Rod pociągnął go za rękaw.

Podszeft odwrócił się.

Rod bardzo pokornie powiedział:

– Szanowny panie, a którędy do Hostelu Pod śpiewającym ptakiem, pokój numer dziewięć?

– Na matkę wszystkich pudli! – zawołał podszeft. – Ja mam na głowie śledztwo w sprawie morderstwa, a ten durny kot pyta mnie o drogę? – Był jednak przyzwoitym młodym człowiekiem, więc przez moment się zastanawiał. – Tędy... – wskazał Szyb Wznoszący – będzie dwadzieścia metrów w górę, potem trzecia przecznica. Ale to jest „tylko dla ludzi”. Do schodów dla zwierząt będzie z kilometr. – Zatrzymał się, zmarszczył czoło, machnął na jednego z robotów. – Wush, widzisz tego kota?

– Tak, proszę pana. Ka-człowiek, bardzo przystojny.

– Czyli według ciebie jest przystojny. On też tak myśli, więc przegłosowane. Przystojny może i jest, ale durnowaty. Wush, zaprowadź go pod adres, który ci poda. Możesz skorzystać z szybu, na moje polecenie. Nie zakładaj mu pasa, trzymaj go tylko mocno.

Rod był niezmiernie rad, że tuż przed przybyciem robota zsunął pas i rzucił go byle jak na wieszak.

Robot złapał go w talii żelaznym – dosłownie żelaznym – chwytem. Nie czekali, aż złapie ich powolny magnetyczny prąd szybu – robot miał coś w rodzaju odrzutowego plecaka i uniósł go z oszałamiającą szybkością na najwyższy poziom. Wypchnął go do korytarza i sam wyskoczył za nim.

– Dokąd masz iść? – zapytał po prostu.

Rod postarał się czuć głupio, na wypadek gdyby ktoś wciąż syłuchał jego umysłu. Powiedział powoli, jękając się:

– Hostel Pod śpiewającym ptakiem, pokój dziewięć.

Robot znieruchomiał, jakby porozumiewał się telepatycznie, lecz umysł Roda, choć wyczulony, nie wykrył nawet najcichszego telepatycznego szeptu.

Na maślane owce! – pomyślał. On się stąd łączy przez radio, żeby zweryfikować adres na swoim posterunku!

Wyglądało na to, że Wush właśnie to robi. Po chwili się ocknął. Wyjechali pod gołe niebo, które wypełniał ziemski księżyc, najładniejszy, jaki Rod w życiu widział. Nie śmiał się zatrzymywać i podziwiać widoków, więc truchtał zwinnie obok policyjnego robota.

Ruszyli drogą obsadzoną wielkimi, pachnącymi kwiatami. Ciepłe, wilgotne ziemskie powietrze wszędzie roznosiło ich zapachy.

Po prawej stronie mieli dziedziniec z kopiami starożytnych fontann, otwartą jadalnię, w której teraz nikogo nie było, poza robotem-kelnerem w rogu, otoczoną wychodzącymi na plac pokojami mieszkalnymi. Robot-policjant zawołał do kelnera:

– Gdzie jest numer dziewięć?!

Kelner odpowiedział, unosząc rękę i dziwnie kręcąc nadgarstkiem. Powtórzył to dwa razy. Policjant, jak się zdaje, bezbłędnie go rozumiał.

– Chodź – powiedział do Roda, prowadząc go na zewnętrzne schody, kończące się tarasem obsługującym drugi poziom pokoi. Na drzwiach jednego z nich widniała wyraźna dziewiątka.

Rod już miał powiedzieć robotowi, że widzi dziewiątkę, gdy Wush, z urzędową uprzejmością, chwycił za klamkę, otworzył drzwi i zaprosił go gestem do środka.

Rozległo się potężne kasznięcie sporej broni i Wush, z głową niemal całkiem odstrzeloną, zwałił się z metalicznym grzechotem na metalową podłogę tarasu. Rod instynktownie odskoczył i rozpląszczył się pod ścianą budynku.

W drzwiach pojawił się przystojny człowiek w czymś przypominającym czarny garnitur. W ręce miał policyjny pistolet dużego kalibru.

– A, tu jesteś – powiedział całkiem spokojnie do Roda. – Wchodź.

Rod poczuł, że nogi mu pracują – zorientował się, że wchodzi do środka, choć umysł próbuje stawiać opór. Przestał udawać głupiego kota. Cisnął

paczkę na ziemię i z powrotem zaczął myśleć jak swoje normalne norstrilijskie „ja”, choć zamknięte w kocim ciele. Nic to nie dało. Nadal wbrew sobie szedł do środka.

Minąwszy tego człowieka, uświadomił sobie lepki, słodki zapach zgnilizny, niepodobny do żadnego ze znanych mu zapachów. Zauważył także, że ten człowiek, choć w pełni ubrany, jest kompletnie mokry.

Wszedł do pokoju.

W środku padał deszcz.

Ktoś zablokował zraszacze przeciwpożarowe, tak że z sufitu nieprzerwanie lała się woda.

Ka-Mell stała pośrodku pokoju, piękne rude włosy miała pozlepiane w opadające na ramiona mokre strąki. Na jej twarzy malowały się skupienie i strach.

– Jestem – powiedział ten człowiek – Tostig Amaral. Dziewczyna mówiła, że jej mąż zaraz tu przyjdzie z policjantem. Myślałem, że nie mówi prawdy. Ale mówiła. Przyszedł kot-mąż, a z nim policjant. Policjanta zastrzeliłem. Był robotem, stać mnie, żeby zapłacić ziemskim władzom za tyle robotów, ile mi się spodoba. Ty jesteś kotem. Ciebie również mogę zabić i zapłacić za to karę. Ale jestem dobrym człowiekiem i chcę się kochać z twoją śliczną rudą kotką, będę więc hojny i coś ci zapłacę, żebyś wiedział, że jest moja, nie twoja. Rozumiesz, kocie?

Rod stwierdził, że uwolnił się z tajemniczych mięśniowych więzów, które dotąd go krępowały.

– Milordzie, panie przybywający z daleka – rzekł. – Ka-Mell jest podczłowiekiem. Nasze prawo mówi, że jeśli pomiędzy podczłowiekiem i człowiekiem zajdzie miłość, podczłowieka czeka śmierć, a człowieka czyszczenie mózgu. Jestem przekonany, milordzie, że nie chce pan być poddany czyszczeniu przez ziemskie władze. Proszę puścić dziewczynę. Co do robota, zgadzam się, że powinien pan za niego zapłacić.

Amaral przepłynął przez pokój. Twarz miał bladą, nadaśaną, ludzką, Rod dostrzegł natomiast, że jego czarne ubranie w ogóle nie jest ubraniem.

Składało się z błon śluzowych, przedłużenia żywej skóry Amarala.

Błada twarz zrobiła się jeszcze bardziej blada z furii.

– Odważny jesteś, kocie, żeby tak mówić. Jestem dużo większy od ciebie, a do tego jeszcze trujący. Mamy ciężkie życie w deszczach Amazonas Triste, mamy moce umysłowe i fizyczne, których nie powinieneś drażnić. Jeśli nie chcesz zapłaty, to idź sobie i tak. Dziewczyna jest moja. Co się z nią stanie, to moja sprawa. Jeśli naruszę jakieś ziemskie przepisy, zniszczę ją i za nią zapłacę. Idź, albo też zginiesz.

Rod odezwał się z niezmaconym spokojem, kalkulując ryzyko.

– Obywatelu, dla mnie to nie jest żadna gra. Nie jestem człowiekiem-kotem, ale poddanym Jej Nieobecnej Wysokości Królowej, ze Starej Australii Północnej. Ostrzegam cię, że mierzysz się z człowiekiem, nie ze zwierzęciem. Puść tę dziewczynę.

Ka-Mell zaszamotała się, jakby usiłowała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Amaral roześmiał się.

– Kłamiesz, zwierzaku, i to bezczelnie! Podziwiam, że próbujesz ratować swoją partnerkę. Ona jednak należy do mnie. Jest towarkiem i Instrumentalność mi ją dała. Dla mojej przyjemności. Idź sobie, bezczelny kocie. Kłamiesz całkiem zręcznie.

Rod sięgnął po ostatni atut:

– Jak chcesz, to mnie przeskanuj.

Nie ruszył się z miejsca.

Umysł Amarala przesunął się po jego jaźni niczym brudne łapska obmacujące nagie ciało. Rod wzdrygnął się na nieprzyzwoitość zbliżenia z myślami takiej osoby, czuł bowiem dokładnie, jakich okrutnych przyjemności doświadczał Amaral. Stał jednak niewzruszony, spokojny, pewny siebie i swojej słuszności. Nie zostawi Ka-Mell z tym... tym potworem z gwiazd, choćby i był człowiekiem, wywodzącym się z prawdziwej, starej ludzkiej rasy.

Amaral zaśmiał się.

– Faktycznie, jesteś człowiekiem. Chłopakiem. Chłopkiem. I nie umiesz syłyścić ani mówić bez tego guzika w uchu. Wynoś się stąd, dziecko, zanim oberwiesz po uszach!

Rod odezwał się:

– Amaralu, grożę ci śmiercią.

Amaral nie odpowiedział słowami.

Twarz o ostrych rysach jeszcze bardziej zbladła, fałdy skórne rozszerzyły się. Zadrgały, jak brzegi wilgotnych, pękniętych balonów. Pokój zaczął się wypełniać mdlącym słodkim odorem, jak w sklepie ze słodyczami, w którym od tygodni leżą zwłoki. Zapachniało wanilią, cukrem, świeżymi, gorącymi ciastkami, pieczonym chlebem, topiącą się w rondlu czekoladą, nawet nutką strunu. Jednak, w miarę jak się spinał i potrząsał kolejnymi warstwami błon, każdy zapach parszywiał, zmieniając się we własną ohydłą karykaturę. Całość była iście hipnotyzująca. Rod zerknął na Ka-Mell. Całkiem zbiełała. To pchnęło go do decyzji.

Spokój, który odnalazł u Kotmistrza był wprawdzie dobry, ale jest czas na spokój i jest czas na gniew. Rod świadomie wybrał gniew. Poczuł, jak narasta w nim gorąca i wzburzona furia, żarliwa i namiętna jak miłość. Poczuł, że jego serce bije szybciej, mięśnie stają się mocniejsze, myśl jaśniejsza. Amaral ewidentnie pokładał całkowitą ufność w swoich toksycznych i hipnotycznych mocach, patrzył bowiem wprost przed siebie, a skórne fałdy nabrzmiewały mu i falowały jak mokre liście pod wodą. Nieustająca mżawka tryskająca ze zraszaczy nasyciała wszystko wodą.

Rod nie zwracał na to uwagi. Wypełniał się furią. Swoim nowym urządzeniem do słyszenia zogniskował się na mózgu Amarala – i tylko jego.

Amaral dostrzegł ruch jego oczu i wyciągnął nóż.

– Człowiekiem jesteś czy kotem, zginiiesz! – zawołał Amaral, sam też już rozgorączkowany tą konfrontacją.

Wtedy Rod wydał z siebie przeraźliwy myślowy krzyk:

*bestia, śmieć, kupa flaków,  
brudny, paskudny, mokry wstrętny,  
giń, giń, giń!*

Był przekonany, że to najgłośniejszy krzyk, jaki wydał w życiu. Nie było żadnego echa, żadnego skutku – Amaral wciąż na niego patrzył, złowrogi czubek noża migotał w jego dłoni jak płomyk świecy.

Furia Roda osiągnęła nowy szczyt.

Ruszył naprzód, czując ból w umyśle i skurcze w poruszających się mięśniach. Poczł autentyczny strach przed pozaświatową trucizną, którą może go porazić ta ludzka kreatura, ale myśl o Ka-Mell – obojętne, kotce czy kobiecie – zostającej razem z Amaralem – wystarczała, by wzbudzić w nim wściekłość prawdziwej bestii i siłę maszyny.

Amaral dopiero w ostatniej chwili uświłdomił sobie, że Rod się uwolnił.

Rod zaś nigdy się nie dowiedział, czy telepatyczny krzyk zaszkodził deszczowcowi, czy nie, zrobił bowiem coś bardzo prostego.

Wyciągnął rękę z całą szybkością norstrilijskiego farmera, wyrwał nóż z dłoni Amarala, rozdzierając fałdy miękkiej, lepkiej skóry, a potem ciął go nim od obojczyka do obojczyka.

Odskoczył w samą porę, by ominął go strumień krwi.

„Mokry czarny garnitur” zapadł się, gdy Amaral umierał na podłodze.

Rod wziął oszołomioną Ka-Mell za ramię i wyprowadził z pokoju. Na balkonie było świeże powietrze, on jednak wciąż czuł morderczy zapach z Amazonas Triste. Wiedział, że za sam ten zapach będzie nienawidzić siebie przez całe tygodnie.

Na zewnątrz stały istne armie robotów i policjantów. Ciało Wusha już zabrano.

Gdy wyszli, zapadła cisza.

Potem wyraźny, uprzejmy, rozkazujący głos dobiegł z placu na dole:

– Proszę wybaczyć, że nie podchodzę bliżej. Jestem lord Żestokost. Znam cię, Ka-Rodericku i wiem, kim naprawdę jesteś. Wszyscy ci ludzie słuchają moich rozkazów. Ty i dziewczyna możecie się obmyć w pokojach piętro niżej. Potem pójdziesz załatwić pewną sprawę. Jutro o drugiej możemy się spotkać.

Podeszły do nich roboty – wyraźnie nie miały zmysłu węchu, bo w ogóle nie przejmowały się potwornym zapachem. Ludzie schodzili im z drogi.

Rod był w stanie wyszeptać:

– Ka-Mell, nic ci nie jest?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się blado. Potem zmusiła się do mówienia:

– Odważny pan jest, panie McBan. Nawet odważniejszy niż kot.

Roboty ich rozdzieliły.

Po chwili Rod się zorientował, że małe białe medyczne roboty delikatnie, zręcznie i szybko zdejmują mu ubranie. W łazience już szumiał gorący prysznic, pachnący trochę lekami. Rod miał już dość wilgoci, dość tej wnikażącej wszędzie wody, dość mokrych rzeczy i skomplikowanych ludzi, ale pod prysznic wszedł z wdzięcznością i nadzieją. Wciąż żył. Miał jakichś nieznaných przyjaciół.

I Ka-Mell. Była bezpieczna.

– Czy to – pomyślał Rod – jest to, co ludzie nazywają miłością?

Czując piekącą ostrość prysznicza wyzbył się z głowy wszelkich myśli. Dwa małe białe roboty weszły tam za nim. Siadł na gorącej, mokrej drewnianej ławie, a one szorowały go szczotkami, jakby chciały zderzeć z niego skórę.

Potworny smród powolutku słabł.

## PTAKI, GŁĘBOKO POD ZIEMIĄ

Rod McBan był zbyt zmęczony, by protestować, kiedy małe białe roboty owinęły go ogromnym ręcznikiem i poprowadziły do sali wyglądającej na operacyjną.

Wielki facet, ze spiczastą rudobrazową brodą, bardzo podówczas na Ziemi niemodną, powiedział:

– Jestem doktor Vomact, kuzyn doktora, którego poznał pan na Marsie. Wiem, że nie jest pan kotem, panie i posiadaczu McBanie, ja mam tylko pana zbadać. Czy mogę?

– Ka-Mell... – zaczął Rod.

– Jest absolutnie cała i zdrowa. Daliśmy jej środek uspokajający i na razie jest traktowana jak ludzka kobieta. Żestokost kazał mi w tym przypadku zawiesić reguły, zrobiłem to, ale sądzę, że obaj możemy narazić się później na kłopoty ze strony naszych kolegów...

– Kłopoty? – powiedział Rod. – Ja zapłacę...

– Nie, nie, nie chodzi o pieniądze. Po prostu jest taka reguła, że uszkodzonych podludzi należy niszczyć, a nie umieszczać w szpitalu. Wie pan, ja ich i tak od czasu do czasu leczę, jeśli da się to zrobić dyskretnie. Ale najpierw obejrzymy pana.

– A czemu my rozmawiamy głosowo? – powiedział Rod. – Nie wie pan, że ja już słyszę?

Zamiast fizycznego badania spędził miło czas z doktorem, popijając z ogromnych szklanic słodki ziemski napój zwany „czajem” przez starożytnych Parusskich. Uświadomił sobie, że przez całą drogę był obserwowany i pilnowany, przechodząc pomiędzy Krasnadamą, drugim Vomactem na Marsie i lordem Żestokostem na Ziemi. Dowiedział się, że



ten tutaj doktor Vomact był kandydatem na szefa Instrumentalności, a także co nieco o wymaganych na to stanowisko osobliwych testach. Dowiedział się nawet, że doktor wie sporo więcej niż on sam o jego własnej sytuacji finansowej i że wyliczenia ziemskich aktuariuszów uginają się pod ciężarem jego bogactwa, ponieważ wyższa cena strunu może się przełożyć na krótsze życie. Na koniec zaczęli rozmawiać o podludziach; okazało się, że doktor podziwia Ka-Mell co najmniej tak mocno, jak on sam. Wieczór zakończył się, gdy Rod powiedział:

– Panie doktorze, jestem młody i śpię dobrze, ale w życiu nie zasnę, jeśli mnie pan nie uwolni od tego zapachu. Czuję go wewnątrz nosa.

Doktor znów zaczął się zachowywać po lekarsku. Powiedział:

– Proszę otworzyć usta i dmuchnąć mi w twarz!

Rod zawahał się, ale usłuchał.

– Na wielkie, krzywe gwiazdy! – zawołał doktor. – Ja też to czuję. Ma pan trochę tego w górnych drogach oddechowych, może nawet odrobinę w płucach. Czy przez parę następnych dni będzie pan potrzebować zmysłu węchu?

Rod stwierdził, że nie.

– To świetnie – powiedział lekarz. – Możemy znieczulić ten fragment mózgu i zrobić to bardzo delikatnie. Nie będzie żadnych trwałych szkód. Przez osiem do dziesięciu dni nie będzie pan czuł żadnych zapachów, a do tego czasu zapach Amarala się ulotni. Tak na marginesie, to został pan oskarżony o morderstwo z premedytacją, osądzony i oczyszczony z zarzutów. W sprawie Tostiga Amarala.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Rod. – Nawet mnie nie aresztowali.

– Instrumentalność załatwiła to komputerowo. Mieli całą scenę na nagraniach, bo pokój Amarala był od wczoraj pod stałą obserwacją. Kiedy pana ostrzegł, że zginie pan, niezależnie od tego, czy jest kotem, czy człowiekiem, sam podpadł pod paragraf. To była groźba karalna i uniewinniono pana za działanie w warunkach samoobrony.

Rod zawahał się, po czym wypalił:

– A ci ludzie w szybie?

– Przegadaliśmy to z lordami Żestokostem i Crudeltą. Postanowiliśmy nic z tym nie robić. Na policję to dobrze wpływa, gdy od czasu do czasu mają jakąś nierozwiązaną sprawę. Teraz proszę się położyć, żebyśmy mogli usunąć zapach.

Rod położył się. Doktor unieruchomił mu głowę i wezwał roboty-asystentów. W trakcie zabiegu Rod stracił przytomność, a kiedy się obudził, był w innym budynku. Usiadł w łóżku. Miał widok wprost na morze. Na brzegu wody stała Ka-Mell. Pociągnął nosem. Nie czuł ani soli, ani wilgoci, ani wody, ani Amarala. Warto było przejść zabieg.

Ka-Mell podeszła do niego.

– Mój kochany, mój skarbie, mój panie i posiadaczu, mój najdroższy! Wczoraj ryzykowałeś dla mnie życie.

– Ja też jestem kotem. – Rod parsknął śmiechem.

Wyskoczył z łóżka i podbiegł na skraj wody. Bezkres niebieskiego oceanu był niewiarygodny. A białe fale były osobnymi, odrębnymi cudami. Widział zamknięte jeziora na Norstrilii. Żadne z nich nie miało czegoś takiego.

Ka-Mell była na tyle taktowna, żeby się nie odzywać, póki się nie napatrzył.

Potem wyjawiała mu nowinę.

– Jesteś właścicielem Ziemi. Masz masę do zrobienia. Albo tu zostajesz i zaczniesz się uczyć, jak zarządzać swoją własnością, albo lecisz gdzie indziej. Tak czy owak, musi się wydarzyć coś troszeczkę smutnego. Dzisiaj.

Spojrzał na nią poważnie. Piżama trzepotała mu na wilgotnym wietrze, którego zapachu już nie czuł.

– Jestem gotowy. A co to takiego?

– Tracisz mnie.

– To wszystko? – Zaśmiał się.

Ka-Mell wyglądała na bardzo zranioną.

– Myślałam... – zaczęła i urwała. Zaczęła ponownie: – Myślałam... – Znów urwała. Odwróciła się, spojrzała na niego, intensywnie, z ufnością wpatrzyła się w jego twarz. – Młody jesteś bardzo, ale możesz dokonać

wszystkiego. Nawet jak na człowieka jesteś zawzięty i zdecydowany. Powiedz, o panie i posiadaczu... czego sobie życzysz?

– Niczego szczególnego. – Uśmiechnął się do niej. – Kupuję cię i zabieram stąd. Na Norstrilię nie możemy wrócić, chyba że zmieni się prawo, ale możemy polecieć na Nowego Marsa. Tam nie ma żadnych takich reguł, żadnych, których nie zmieniliby parę ton strunu. I wiesz, Kamell, pozostanę kotem. Wyjdiesz za mnie?

Zaczęła się śmiać, lecz ten śmiech zaraz przerodził się w płacz. Przytuliła go, przycisnęła twarz do jego piersi. W końcu otarła łzy o ramię Roda i uniosła wzrok:

– Głupia ja! Głupi ty! Nie widzisz, o panie i posiadaczu, że jestem kotką? Jeśli będę miała dzieci, one też będą kotami, wszystkie co do jednego, chyba że będę co tydzień chodzić na recykling kodu genetycznego, żeby nie wyrosły na podludzi. Nie rozumiesz, że nigdy nie będziemy mogli się pobrać, nigdy w rozsądnym czasie? A jeszcze, Rod, jest druga zasada. Od dzisiejszego zachodu słońca mamy się już nigdy nie zobaczyć. Jak myślisz, dlaczego lord Żestokost uratował mi wczoraj życie? Dlaczego załatwił mi szpital, żeby oczyścić mnie ze wszystkich Amaralowych trucizn? Dlaczego złamał niemal wszystkie reguły, jakie tylko istnieją?

Dzień Roda utracił wszelki blask.

– Nie wiem – mruknął.

– Bo obiecał im, że jeśli dopuszczę się jeszcze jakichś wykroczeń, pójdę na śmierć niezwłocznie i posłusznie. Bo powiedział, że jestem dobrym zwierzakiem. Wartościowym. Musimy to zrobić, bo stawką jest moje życie. To nie jest prawo. To coś gorszego: umowa między lordami Instrumentalności.

– Rozumiem – powiedział, rozumiejąc logikę, ale nienawidząc okrutnych ziemskich zwyczajów, które zbliżyły ich do siebie tylko po to, by teraz rozłączyć.

– Przejdźmy się po plaży, Rod – powiedziała. – Chyba że najpierw chcesz zjeść śniadanie...

– O nie! – zawołał. – Śniadanie! Niech owca kicha na wszystkie śniadania na Ziemi!

Szła, jakby była całkiem beztroska, ale jej ruchy sugerowały Rodowi, że coś knuje.

I to się stało.

Na początek go pocałowała, pocałunkiem, który miał pamiętać do końca życia.

Potem, zanim zdążył wykrztusić choć słowo, przemówiła telepatycznie. Jednakże jej młowa to nie były słowa ani pojęcia. Nic z tych rzeczy. To był śpiew, szaleńczy, wysoki śpiew. Muzyka do jej własnego wiersza, który zaśpiewała mu na szczycie Ziemioportu:

*W sercu miłość dla ciebie mam,  
Ptaki krzyczą wysoko tam,  
Polecimy wysoko tam,  
Wiatr nas niesie wysoko tam,  
Serce pnie się wysoko tam,  
A w nim miejsce dla ciebie mam!*

Nie chodziło o te słowa i te wizje, choć tym razem wydawały się delikatnie inne. Osiągnęła coś, czego od tysięcy lat na próżno próbowali najlepsi telepaci Starej Australii Północnej – emitowała prosto z umysłu matematyczną i proporcjonalną kwintesencję muzyki, a do tego tak wyraźnie i z energią godną orkiestry symfonicznej. Motyw „wiatr nas niesie” przewijał się wielokrotnie.

Odwrócił od niej wzrok, by napatrzeć się na dziejące się wokół niesamowite rzeczy. Powietrze, ziemia, woda, wszystko zakipiało życiem. Wśród błękitnych fal zalśniły ryby. Dookoła zawirowały stada ptaków. Plaża też wypełniła się ptakami, psami i innymi lądowymi zwierzętami, których nigdy wcześniej nie widział. Całe ich hektary ustawiły się niespokojnie wokół Ka-Mell. Gwałtownie przerwała pieśń. Bardzo głośno i bardzo dobitnie wystrzeliła we wszystkie strony rozkazy:

- Myśleć o ludziach.
- Myśleć o tym kocie i mnie, jak gdzieś uciekamy.
- Myśleć o statkach.

- Myśleć o obcych.
- Myśleć o przedmiotach na niebie.

Rod cieszył się, że akurat nie uaktywnił mu się szerokopasmowy słuch, jak to się czasami w domu zdarzało. Był przekonany, że dostałby zawrotów głowy od tych wzajemnie sprzecznych obrazów.

Chwyciła go za ramiona i zaszeptała gorączkowo do ucha:

– Rod, one nas osłonią. Chodź ze mną, Rod. Na ostatnią niebezpieczną wyprawę. Nie dla ciebie. Nie dla mnie. Nawet nie dla ludzkości. Dla życia, Rod. Eś Pe chce się z tobą zobaczyć.

– Kto to jest Eś Pe?

– Dowiesz się, jak się z nim zobaczysz – syknęła. – Więc zrób to dla mnie, skoro nie wierzysz mojej wizji.

Uśmiechnął się.

– Dla ciebie, Ka-Mell, oczywiście.

– Póki nie będziesz na miejscu, w ogóle nic nie myśl. Pytań też nie zadawaj. Po prostu chodź. Rod, od tego zależy życie milionów istot.

Wstała i raz jeszcze zaśpiewała, lecz nowa pieśń nie była bolesna, niepokojąca, przechodząca w skowycie od gatunku do gatunku. Była przyjemna i ładna, jak pozytywka, prosta jak serdeczne i szczęśliwe pożegnanie.

Zwierzęta zniknęły tak szybko, że aż trudno było uwierzyć, że przed chwilą była ich cała armia.

– Telepatyczni monitorzy będą mieli z tym trochę roboty. Zresztą oni nie mają za wiele wyobraźni, i kiedy coś takiego się dzieje, po prostu piszą raporty. Potem sami tych raportów nie rozumieją i wcześniej czy później któryś z nich pyta, co właściwie narobiłam. Wtedy mówię im prawdę. Proste.

– A co im powiesz tym razem? – zapytał, gdy szli z powrotem do domu.

– Że nie chciałam, by coś usłyszeli.

– Przecież to im nie wystarczy.

– Oczywiście, że nie, ale będą po prostu mnie podejrzewać, że błagałam cię, żebyś dał mi strunu dla podludzi.

– A chcesz?

– Skądże! To nielegalne, a poza tym tylko żyłabym po nim dłużej niż normalnie. Jedynym podczłowiekiem, który dostaje strun, jest Kotmistrz i musiało się w tej sprawie odbyć specjalne głosowanie lordów.

Dotarli do domu. Ka-Mell zatrzymała się.

– Pamiętaj. Jesteśmy służącymi lady Frances Oh. Obiecała Żestokostowi, że rozkaże nam wszystko, o co ją poproszę. Więc na początek rozkaże nam zjeść dobre, porządne śniadanie. Potem rozkaże nam poszukać czegoś głęboko pod powierzchnią Ziemioportu.

– Rozkaże? Ale czemu...

– Żadnych pytań, Rod. – Uśmiech, który mu rzuciła, stopiłby nawet pomnik.

Poczuł się świetnie, przyjemnie było syłuszeć i mówić do sporadycznie trafiających się prawdziwych ludzi. (Niektórzy podludzie też tak umieli, ale starali się to ukryć, obawiając się niechęci). Poczuł się silny. Strata Ka-Mell budziła smutek, ale dzielił go od tego jeszcze cały dzień; zaczął już marzyć o tym, co dla niej uczyni, kiedy się rozstaną. Opłaci dożywotnie usługi tysiąca ludzi? Obdarzy biżuterią, której zazdrościć jej będzie cała ludzkość? Wynajmie jej prywatny jacht planoformacyjny? Podejrzewał, że to wszystko może być nielegalne, ale przyjemnie było o tym myśleć.

Trzy godziny później już nie w głowie mu były przyjemne myśli. Znów był zmęczony do szpiku kości. Sfrunęli do miasta Ziemioport „zgodnie z rozkazem” ich gospodyni, lady Oh, i zaczęli opadać dalej. Po czterdziestu pięciu minutach takiego opadania, w żołądku zrobiło mu się bardzo niewyraźnie. Czuł, jak powietrze robi się ciepłe i stęchłe, bardzo żałował, że pozbawił się zmysłu węchu.

Gdy skończyły się szyby, zaczęły się tunele i windy.

W dół i w dół, gdzie niezwykle staroświecka maszyna kręciła się powoli, rozpylając olej, wykonując zadania, których domyśliłby się tylko najbardziej szalony z umysłów.

W jednym z pomieszczeń Ka-Mell zatrzymała się i zawołała, przekrzykując hałas maszyn:

– To jest pompa!

Nie było to oczywiste. Ogromne turbiny kręciły się leniwie. Wydawało się, że są podłączone do gigantycznej maszyny parowej o napędzie atomowym. Pięć czy sześć wypolerowanych na wysoki połysk robotów popatrywało na nich podejrzliwie, gdy obchodzili maszynę, mierzącą co najmniej osiemdziesiąt metrów długości i czterdzieści pięć wysokości.

– I chodź tutaj...! – wołała Ka-Mell.

Weszli do kolejnego pomieszczenia, pustego, czystego i cichego, nie licząc ruchomego słupa wody pod ogromnym ciśnieniem, strzelającego z podłogi w sufit. Z bujanego fotela wstał podczłowiek, byle jak uformowany ze szcurzego ciała. Skłonił się Ka-Mell jak wielkiej damie, ona zaś machnięciem ręki kazała mu siadać z powrotem.

Podprowadziła Roda do słupa wody i pokazała lśniący pierścień na podłodze.

– To jest druga pompa. Wykonują taką samą pracę.

– A do czego służą?!

– Pole siłowe, zdaje się. Nie jestem inżynierem.

Poszli dalej. W cichszym korytarzu wyjaśniła mu, że obie pompy służą do sterowania pogodą. Ta starsza działa od sześciu czy siedmiu tysięcy lat i prawie nie wykazuje zużycia. Kiedy ludzie potrzebują kolejnej, po prostu drukują ją w plastiku, osadzają w podłodze i podłączają do prądu. Podczłowiek ma tylko pilnować, czy nic się nie psuje albo nie wchodzi w stan krytyczny.

– Czy prawdziwi ludzie już nie umieją niczego projektować? – zapytał Rod.

– Tylko jeśli chcą. Teraz najtrudniej jest ich skłonić, żeby im się chciało.

– To znaczy, że nie chce im się nic robić?

– Niezupełnie – odrzekła Ka-Mell. – Po prostu orientują się, że prawie we wszystkim jesteśmy od nich lepsi. To znaczy w prawdziwej pracy, nie w rządzeniu, jak w Instrumentalności, czy w ziemskim rządzie. Od czasu do czasu zdarzy się, że jakiś prawdziwy człowiek weźmie się do pracy, zresztą ciągle pojawiają się pozaświatowcy, jak ty, którzy ich stymulują i przynoszą nowe wyzwania. Wszyscy jednak do niedawna mieli bezpieczne życie o długości czterystu lat, wspólny język i standardowe

warunkowanie. I wymierali, bo po prostu byli zbyt doskonali. Wyjściem byłoby wybicie wszystkich nas, podludzi, ale tak tego nie mogli rozwiązać. Za dużo jest tych brudnych prac, których nie da się zlecić robotom. Robot, choćby i najlepszy, jeśli jest komputerem podłączonym do mysiego mózdzku, sprawia się dobrze w rutynowych zajęciach, natomiast zawsze będzie podejmować dziwne decyzje, nieodpowiadające woli ludzi, chyba że wyposaży się go w dość solidne ludzkie wykształcenie. Dlatego podludzie są im potrzebni. Ja, na przykład, pod spodem dalej jestem kotem, zresztą, nawet całkiem nieodmienione koty są dość bliskimi krewniakami ludzi. Dokonują takich samych prostych wyborów między władzą, pięknem, przetrwaniem a ofiarą, zdrowym rozsądkiem i odwagą. Dlatego właśnie lady Alice More zaplanowała Drugie Odkrycie Ludzkości. Zorganizowała Starożytne Państwa, dała wszystkim dodatkową porcję kultury, poza tą opartą na Starym Wspólnym Języku, pozwoliła im złościć się na siebie, przywróciła trochę chorób, trochę zagrożeń, wypadków, ale uśredniła to wszystko tak, że naprawdę mało co się zmieniło.

Dotarli do magazynu, tak olbrzymiego, że Rod aż zamrugął. Już wielka sala przyjęć na szczycie Ziemioportu zrobiła na nim wielkie wrażenie – a to pomieszczenie było od niej ze dwa razy większe. Wypełniały je niezwykle stare ładunki, których nigdy nie wypakowano ze skrzyń i kontenerów. Rod widział, że część jest adresowana do światów, które już nie istnieją, albo zmieniły nazwy; inne były adresowane na Ziemię, ale od pięciu tysięcy lat – lub więcej – nikt ich nie rozpakował.

– A co to jest, to wszystko?

– Dostawy. Zmiany technologiczne. Ktoś to wszystko wykasował z komputerów, żeby nie trzeba było już o tym myśleć. Teraz przeszukują to podludzie i roboty, znajdują starożytne artefakty potrzebne do Drugiego Odkrycia. Jeden z naszych, szczur o ludzkim IQ równym trzysta, znalazł coś oznaczonego „Musee National”. Było to całe Muzeum Narodowe Republiki Mali – ukryli je we wnętrzu góry, kiedy walki stały się ciężkie. Mali, jak się zdaje, nie było bardzo ważnym „państwem”, jak się nazywały te grupy ludzi, ale używało tego samego języka, co było Francja, więc udało się pozyskać materiał zawierający prawie wszystko, co było potrzebne do



odrestaurowania czegoś w rodzaju francuskiej cywilizacji. Z Chiną było trudno. Chinianie przetrwali dłużej niż wszystkie inne państwa i sami obrabowali własne groby – i okazało się, że nie możemy zrekonstruować Chiny sprzed epoki kosmicznej. Nie potrafimy zmieniać ludzi w Starożytnych Chinian.

Rod stanął jak wryty.

– Mogę tu z tobą porozmawiać?

Ka-Mell nasłuchiwała, z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Nie tutaj. Od czasu do czasu czuję, jak bardzo słaby monitor omiata mi umysł. Za parę minut będziemy mogli. Pośpieszmy się.

– Bo właśnie przyszło mi do głowy najważniejsze pytanie na wszystkich światach! – zawołał Rod.

– To przestań o nim myśleć – odparła Ka-Mell – póki nie znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Zamiast pójść prosto wielkim korytarzem pomiędzy zapomnianymi skrzyniami i pakami, wcisnęła się pomiędzy dwie z nich i dotarła do ściany potężnego podziemnego magazynu.

– A ta paka – powiedziała – to strun. Moglibyśmy się poczęstować, gdybyśmy chcieli, ale się boimy.

Rod zerknął na nazwiska na skrzyni. Wysłał ją Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan XXVI do Portu Adaminabay, a stamtąd została odprawiona do Ziemioportu.

– Wyszła sto dwadzieścia pięć pokoleń temu ze Stacji Zagłady. Z mojej farmy. Wydaje mi się, że strun robi się trujący, jeśli poleży ponad dwieście lat. Nasi wojskowi mają dla niego jakieś straszne zastosowanie, na wypadek pojawienia się najeźdźców, ale zwykli Norstrilijczycy, kiedy znajdą stary strun, zawsze oddają go Wspólnocie. Nie za często jednak zdarzało się go gubić. Jest zbyt cenny, a my jesteśmy zbyt chciwi, z naszymi dwoma milionami procent cła na wszystko...

Ka-Mell poprowadziła dalej. Niespodziewanie minęli małego robota z zamontowaną na głowie lampką, siedzącego między dwiema ogromnymi górami książek. Wyglądało na to, że czyta je wszystkie po kolei, bo góra

książek obok była większa od niego. Nie podniósł głowy, oni też mu nie przerywali.

Pod ścianą Ka-Mell powiedziała:

– A teraz rób dokładnie to, co ci mówię. Widzisz kurz pod tą skrzynią?

– Widzę.

– Musi zostać nienaruszony. Teraz patrz. Przeskoczę z tamtej skrzyni na tę, nie dotykając kurzu. Potem ty masz przeskoczyć dokładnie tak samo i pójść dokładnie tam, gdzie ci pokażę, bez zastanowienia, jeśli jesteś w stanie. Ja pójdę za tobą. Nie staraj się być rycerski ani szarmancki, bo wszystko zepsujesz.

Skinął głową.

Wskoczyła na skrzynię pod ścianą. Nie rozwiały się za nią rude włosy, bo wcześniej związała je w turban, wtedy, gdy pobierała dla nich kombinezony od robotów-służących lady Frances Oh. Wyglądali w nich jak normalni podludzie-robotnicy.

Musiała być bardzo silna, albo skrzynia bardzo lekka. Stanąwszy na skrzyni, przechyliła ją bardzo delikatnie, aby układ kurzu wokół jej podstawy pozostał nienaruszony, chyba żeby ktoś go badał mikroskopowo. Zza skrzyni ukazała się niebieska poświata. Dziwnym, wyćwiczonym gestem, wygięciem nadgarstka, pokazała, że Rod ma przeskoczyć ze swojej skrzyni na tę przechyloną, a stamtąd w otwór – czymkolwiek był – za skrzynią. Wydawało się to łatwe, zastanawiał się jednak, czy ona będzie w stanie utrzymać skrzynię obciążoną nimi obojgiem. Potem przypomniał sobie, że kazała mu nie mówić i nie myśleć. Postarał się myśleć o zjedzonym wczoraj steku z łososia. To będzie myśl w sam raz dla kota, gdyby monitor akurat zajrzał mu do głowy! Skoczył, zachybotał się na pochyłym wieku drugiej skrzyni i precyzyjnie przeczesał przez maleńki otwór, w sam raz na jego rozmiar. Tunel był wyraźnie przewidziany na przewody, rury, dla robotów serwisowych, a nie ludzi – nie dało się w nim stanąć. Popęzł naprzód.

Za nim coś huknęło.

Ka-Mell wskoczyła do środka, pozwalając skrzyni opaść na swoje miejsce.

Podczołgała się do niego.

– Idź dalej – powiedziała.

– Tu możemy porozmawiać?

– Oczywiście! Ale naprawdę chcesz? Nie jest to zbyt fajne miejsce.

– Chodzi mi o to najważniejsze pytanie – powiedział Rod. – Muszę ci je zadać. Skoro wy, podludzie, przejmujecie opiekę nad ludźmi, skoro to wy organizujecie dla nich te nowe kultury, to będziecie panami ludzi!

– Tak – odparła Ka-Mell i pozwoliła, by to potwierdzenie zawisło w powietrzu pomiędzy nimi.

Nie wiedział, co ma właściwie powiedzieć; to było jego dzisiejsze wielkie przemyślenie, a fakt, że ona już wiedziała, że podludzie potajemnie stają się panami Ziemi... nie mieścił mu się w głowie.

Spojrzała na jego przyjazną twarz i dodała łagodniej:

– My, podludzie, przewidujemy to od dawna. Zresztą niektórzy ludzie też. Zwłaszcza lord Żestokost. On głupi nie jest. A ty, Rod, też do tego planu pasujesz.

– Ja?

– Nie jako osoba. Jako zmiana gospodarcza. Nieprzewidziane źródło władzy.

– Czy to znaczy, Ka-Mell, że ty też chcesz mnie wykorzystać? Nie wierzę. Potrafię rozpoznać szkodnika, natręta czy złodzieja. Na nikogo takiego nie wyglądasz. Jesteś dobra, dobra do szpiku kości. – Załamał mu się głos. – Ka-Mell, ja poważnie mówiłem, dzisiaj rano, kiedy pytałem, czy za mnie wyjdiesz.

Gdy odpowiadała, jej głos harmonijnie łączył kocią delikatność i kobiecą czułość.

– Wiem, że mówiłeś poważnie. – Odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów w najbardziej powściągliwym geście czułości. – Ale nie jest to nam pisane. Po drugie, ja nie wykorzystuję ciebie dla siebie, Rod. Dla siebie nic nie chcę. Pragnę dobrego świata dla podludzi. I dla ludzi. Dla ludzi też. My, koty, kochaliśmy was ludzi o wiele wcześniej, nim dostaliśmy mózgi. Byliśmy waszymi kotami dłużej, niż ktokolwiek pamięta. Myślisz, że nasza lojalność wobec ludzkiej rasy zanikła, bo zmieniliśmy postać i dorobiliśmy

się większej mocy umysłu? Rod, ja cię kocham, ale ludzi też kocham. Dlatego zabieram cię do Eś Pe!

– A czy teraz możesz mi powiedzieć, kto to taki?

Zaśmiała się.

– Tutaj jest bezpiecznie. To Święty Przewrót. Tajny rząd podludzi. To głupie miejsce, żeby o tym rozmawiać, Rod. Schodzisz właśnie pod ziemię. O-Eikasus to jeden z jego synów.

– Ich wszystkich? – Rod wyobraził sobie coś w rodzaju szefów Instrumentalności.

– Nie ich wszystkich, Jego jednego. O-Telekelego. Ten ptak właśnie spotyka się z ich przywódcą, dokładnie w tej chwili.

– Skoro jest tylko jeden, to jak go wybraliście? A może jest jak nasza brytyjska królowa, którą straciliśmy tak dawno temu?

Ka-Mell zaśmiała się.

– Nie wybraliśmy Go. On urósł i teraz On nas prowadzi. Wy, ludzie, wzięliście orle jajo i próbowaliście je zmienić w człowieka-Daimoniego. A kiedy eksperyment się nie udał, wyrzuciliście zarodek. Przeżył. I teraz to On. Najpotężniejszy umysł, jaki w życiu spotkałeś. No chodź. To nie jest dobre miejsce do rozmów, a nic, tylko gadamy.

Poczołgała się dalej poziomym tunelem, kiwając na Roda, żeby szedł za nią. Ruszył, ale po chwili zawołał:

– Ka-Mell, poczekaj minutkę.

Zatrzymała się, żeby się z nią zrównał. Myślała, że chce ją pocałować, wyglądał na bardzo podenerwowanego i samotnego. Była przygotowana, że ją pocałuje. On jednak ją zaskoczył, bo powiedział tylko:

– Ka-Mell, ja nie mam węchu. Jestem przyzwyczajony czuć zapachy i strasznie mi tego brakuje. Jak tu pachnie?

Wytrzeszczyła oczy, a potem roześmiała się.

– Pachnie jak pod ziemią. Elektryczność w powietrzu. Zwierzęta, gdzieś daleko, dużo różnych zapachów zwierząt. Stary, stary zapach człowieka, prawie niewyczuwalny. Olej maszynowy, spaliny. Pachnie jak ból głowy. Pachnie jak cisza, jak nieruszone rzeczy. Wszystko. Wystarczy ci?

Kiwnął głową, poszli dalej.

Na końcu poziomego tunelu Ka-Mell odwróciła się i powiedziała:

– Tu wszyscy ludzie giną. Chodźmy!

Rod już ruszył, po czym zatrzymał się.

– Ka-Mell, rozkojarzona jesteś? Mam zginąć? Nie ma powodu.

Jej śmiech brzmiał czystą radością.

– Głupi Ka-Rod! Jesteś kotem, wystarczająco jesteś kotem, żeby dotrzeć tam, gdzie od stuleci nie było żadnego człowieka. Chodź. Uważaj tylko na te szkielety. Jest ich tu cała masa. Niechętnie zabijamy prawdziwych ludzi, ale zdarza się, że nie uda ich się w porę ostrzec.

Wyszli na balkonik nad magazynem jeszcze większym niż tamten poprzedni. W tym było o całe tysiące więcej skrzyń. Ka-Mell nie zwracała na nie uwagi. Zbiegła po wąskiej stalowej drabince na końcu balkonu.

– To kolejne śmieci z przeszłości! – powiedziała, wyprzedzając jego pytanie. – Ludzie na górze o tym zapomnieli, a my w tym sobie majstrujemy.

Choć nie poczuł zapachu powietrza, na tej głębokości wydawało się ciężkie, duszne, nieruchome.

Ka-Mell nie zwalniała. Przecisnęła się pomiędzy zasuszonymi skarbami na podłodze, jakby rzeczywiście była akrobatką. Po drugiej stronie magazynu zatrzymała się.

– Weź sobie jeden – poleciła.

Wyglądały jak olbrzymie parasole. Widział parasole na zdjęciach, które pokazywał mu jego komputer. W porównaniu z tamtymi wydawały się dziwnie wielkie. Sprawdził, czy pada. Po przejściach z Tostigiem Amaralem nie miał ochoty na kontakt z deszczem w pomieszczeniach. Ka-Mell nie zrozumiała jego podejrzeń.

– Szyb – powiedziała – nie ma magnetycznego napędu ani prądu powietrza. Szyb, bez niczego, dwadzieścia metrów średnicy. A to są spadochrony. Wskakujemy z nimi do szybu i opadamy w dół. Prosto w dół. Cztery kilometry. Blisko Nieciągłości Moho.

Ponieważ nie chwycił się za żaden z wielkich parasoli, wręczyła mu jeden. Był zadziwiająco lekki.

Zamrugął.

– A jak w ogóle się stamtąd wydostaniemy?

– Któryś z ludzi-ptaków poleci w górę szybem. Łatwo im to nie przychodzi, ale dają radę. Tylko koniecznie przyczep to sobie do paska. Opadanie jest bardzo wolne i trwa bardzo długo. Nie będziemy mogli rozmawiać. No i jest strasznie ciemno.

Usłuchał.

Otworzyła wielkie drzwi, za którymi czuło się pustkę. Pomachała do niego, częściowo otworzyła swój „parasol”, wyszła za drzwi i zniknęła. Wyjrzał. Nic nie było widać. I ani śladu Ka-Mell, ani dźwięku, poza szumem powietrza i sporadycznym szmerem metalu ocierającego się o metal. Podejrzewał, że to końce żeber parasola muskają ściany szybu.

Westchnął. W porównaniu z tym Norstrilia była bezpieczna i spokojna.

Otworzył swój parasol.

Wiedziony dziwnym przeczuciem, wyjął jeszcze z ucha urządzonek do słyszenia i mówienia i umieścił je ostrożnie w kieszeni kombinezonu.

Ten krok uratował mu życie.

## JEGO WŁASNY OŁTARZ

Rod McBan pamiętał, że spadał i spadał. Krzyczał w lepką, wilgotną ciemność, ale nikt mu nie odpowiadał. Rozwahał, czy nie odciąć się od wielkiego parasola i nie spotkać się ze śmiercią daleko w dole, potem jednak pomyślał o Ka-Mell – o tym, że jego ciało spadnie na nią jak bomba. Zaczął się zastanawiać nad własną desperacją, ale sam jej nie rozumiał. (Dopiero później dowiedział się, że mijał wtedy telepatyczne emitery samobójcze, poinstalowane przez podludzi i dostrojone do ludzkiego umysłu, mające wzbudzać rozpacz i desperację, począwszy od samej kory dawnej, organu rządzącego węchem i odruchem walka-ucieczka u najstarszych ziemskich zwierząt; Rod jednak był wystarczająco kotem, ledwie wystarczająco, a do tego był telepatycznie niepełnosprawny, więc emitery nie były w stanie zrobić z nim tego, co z innym normalnym ziemskim człowiekiem – a mianowicie zmienić w poskręcane go trupa na dnie szybu. Żaden człowiek nie doszedł tak daleko, a podludzie postanowili potem, że żaden więcej nie powinien). Zaczął się wiercić w swej uprzęży, aż wreszcie zemdłał.

Obudził się w stosunkowo małym pomieszczeniu, wielkim jak na ziemskie standardy, ale nieporównywalnym z ogromem magazynów, które minął po drodze.

Światło było jasne.

Podejrzewał, że w pokoju śmierdzi, ale nie był w stanie tego sprawdzić, nie mając węchu.

Męski głos mówił:

– Zakazanego Słowa nigdy się nie podaje, chyba że człowiek, który o tym nie wie, otwarcie o nie zapyta.

Chór głosów odśpiewał:

– Pamiętamy. Pamiętamy. Pamiętamy, że pamiętamy.

Mówiący był niemal olbrzymem. Był chudy i blady. Twarz miał jak martwy święty – bladą jak alabaster, z płomiennymi oczyma. Jego ciało było po równi ludzkie i ptasie, ludzkie od bioder w górę, z wyjątkiem tego, że ludzkie dłonie wyrastały z łokci gigantycznych śnieżnobiałych skrzydeł. Od bioder w dół miał ptasie nogi, kończące się szponiastymi, niemal przezręczystymi stopami, stojącymi stabilnie na ziemi.

– Przepraszam cię, panie i posiadaczu McBanie, że musiałeś ponieść to ryzyko. Byłem niewystarczająco poinformowany. Z zewnątrz jesteś porządnym kotem, w środku jednak stuprocentowym człowiekiem. Nasze zabezpieczenia otarły się o twój umysł. To mogło cię zabić.

Rod wytrzeszczył na niego oczy, jednocześnie gramoląc się na równe nogi. Zobaczył, że jedną z pomagających mu kobiet jest Ka-Mell. Gdy wstał, ktoś podał mu dzbanek bardzo zimnej wody. Wypił ją łapczywie. Gorąco tu było – gorąco i duszno, czuło się też drgania bardzo bliskiej i bardzo potężnej maszyny.

– Jam jest – powiedział wielki człowiek-ptak – O-Telekeli. – Wymówił to „O-Telikeli”. – Jesteś pierwszym człowiekiem, który widzi mnie na własne oczy.

– Błogosławiony, błogosławiony, błogosławiony, po czterokroć błogosławiony niech będzie nasz wódz, nasz ojciec, nasz brat, nasz syn O-Telekeli – zaśpiewali chórem podludzie.

Rod rozejrzał się. Stali tu podludzie o wszystkich wyobrażalnych postaciach, w tym takich, które nigdy nie przyszłyby mu do głowy. Jeden był głową na półce, pozbawioną widocznego ciała. Gdy spojrzał wprost na nią, głowa uśmiechnęła się i puściła do niego oko. O-Teleleki powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Niech cię to nie szokuje. Niektórzy z nas są normalni, ale część to odpady z ludzkich laboratoriów. Poznałeś już mojego syna.

W tym momencie wstał wysoki, bardzo blady młody człowiek, pozbawiony cech charakterystycznych. Był kompletnie nagi i zupełnie się nie wstydził. Po przyjacielsku wyciągnął do niego dłoń. Rod był



przekonany, że nigdy go wcześniej nie widział. Młodzieniec wyczuł jego wahanie:

– Znasz mnie jako Ma-Agentę. Jestem O-Eikasus.

– Błogosławione, błogosławione, po trzykroć błogosławione imię naszego przyszłego przywódcy, Ojkasusa! – wyśpiewali podludzie.

Coś w tej scenie trąciło u Roda strunę szorstkiego norstrilijskiego humoru. Odezwał się do wielkiego podczłowieka jak do innego pana i posiadacza na ojczystej planecie, przyjacielsko, ale prosto z mostu:

– Cieszę się z takiego powitania, sir.

– Ciesz się, cieszy, cieszy przybysz z gwiazd! – wyśpiewał chór.

– Mógłby pan kazać im się zamknąć? – zapytał Rod.

– Zamknąć się, zamknąć, zamknąć, rzekł przybysz z gwiazd! – powtórzył chór.

O-Telekeli wprawdzie się nie zaśmiał, ale jego uśmiech nie był już czystą dobrocią.

– Możemy nie zwracać na nich uwagi i rozmawiać, albo mogę ci wyciszyć w umyśle wszystko, co mówią. To jest coś w rodzaju dworskiej uroczystej ceremonii.

Rod rozejrzał się wokół.

– I tak jestem w pana mocy, więc równie dobrze może mi pan pomajstrować w głowie. Proszę ich wyciszyć.

O-Telekeli zamachał palcem w powietrzu przed nim, jakby wypisywał nim matematyczne równanie. Wzrok Roda powędrował za palcem. W pomieszczeniu nagle ucichło.

– Chodź tu i siadaj – powiedział O-Telekeli.

Rod poszedł za nim.

– Czego pan chce? – zapytał po drodze.

O-Telekeli nawet się nie odwrócił. Odpowiedział, patrząc przed siebie.

– Twoich pieniędzy, panie i posiadaczu. Prawie wszystkich twoich pieniędzy.

Rod stanął jak wryty. Stwierdził, że śmieje się nerwowo.

– Pieniądzy? Ty? Tutaj? A co ty z nimi w ogóle poczniesz?

– Właśnie dlatego powinieneś usiąść – odparł ptak.

– Usiądź, usiądź – dodała Ka-Mell, która poszła za nimi.

Rod usiadł.

– Obawiamy się, że Człowiek wymrze i pozostawi nas samych we wszechświecie. A my potrzebujemy ludzi. Jeszcze ogrom czasu upłynie, zanim nas spotka ten sam los. Ludzie od zawsze zakładają, że koniec świata jest tuż-tuż, my też mamy zapowiedź Pierwszego Zakazanego, że nastąpi już niedługo. Jednak może się to stać za setki tysięcy lat, może za miliony. Ludzie są rozproszeni, panie McBanie, więc żadna broń nie wybije ich jednocześnie na wszystkich planetach, ale choć tak rozproszeni, sami przed sobą nie ujdą. Dochodzą do pewnego punktu w rozwoju i się zatrzymują.

– Jasne – odparł Rod, sięgając po karafkę z wodą i nalewając sobie kolejną porcję – ale od filozofii wszechświata daleka droga do moich pieniędzy. U nas, na Norstrilii, potrafi się gadać brzydko i parszywie, ale nigdy nie słyszałem, żeby jeden obywatel prosto z mostu poprosił drugiego o wszystkie pieniądze.

Oczy O-Telekelego zapłonęły jak lodowaty ogień, Rod wiedział jednak, że to nie hipnoza, nie sztuczka. Że to płonąca w oczach potężna moc jego osobowości.

– Proszę posłuchać. Jesteśmy stworzeni przez Człowieka. Ludzie są dla nas jak bogowie. To wy uczyniliście nas istotami, które mówią, przeżywają niepokoje, myślą, kochają, umierają. Większość naszych ras była przyjaciółmi człowieka zanim jeszcze staliśmy się podludźmi. Weźmy Ka-Mell. Ileż kotów służyło człowiekowi i go kochało, od jak dawna? Ile krów pracowało dla człowieka, zostało przez niego zjedzonych, albo wydojonych, w ciągu stuleci, a wciąż szło za nim wszędzie gdzie trzeba, choćby między gwiazdy? A jeszcze psy. Nie muszę ci chyba mówić, jak psy kochają człowieka. My nazywamy się Świętym Przewrotem, bo jesteśmy buntownikami. Jesteśmy nowym rządem, potęgą prawie tak wielką jak Instrumentalność. Jak myślisz, dlaczego Herbaciarzowi nie udało się ciebie ująć, kiedy wylądowałeś?

– A kto to jest „Herbaciarz”?

– Urzędnik, który chciał cię wtedy porwać. Nie udało mu się, bo jego podczłowiek mnie poinformował, a wtedy mój syn O-Eikarus, który dołączył do ciebie na Norstrilii, zasugerował rozwiązanie doktorowi Vomactowi na Marsie. Kochamy cię, Rod, nie dlatego, że jesteś bogatym Norstrilijczykiem, ale dlatego, że to nasza wiara – kochać ludzkość, która nas stworzyła.

– Strasznie kręta droga do tych moich pieniędzy – stwierdził Rod. – Proszę przejść do rzeczy, sir.

O-Telekeli uśmiechnął się ze smutkiem i słodyczą. Rod natychmiast domyślił się, że to reakcja na jego tępotę. Po raz pierwszy pogodził się z faktem, że ten ptak może naprawdę górować nad wszystkimi ludźmi, jakich znał.

– Przepraszam – powiedział Rod. – Po prostu, odkąd zdobyłem te pieniądze, nie miałem ani chwili, żeby się nimi nacieszyć. Ludzie cały czas mi mówią, że ktoś na nie dybie. Już zaczynam myśleć, że przez całe życie będę tylko uciekał...

O-Telekeli uśmiechnął się radośnie, jak uśmiecha się nauczyciel, którego uczeń nagle osiąga coś spektakularnego.

– Otóż to. Wiele się nauczyłeś od Kotmistrza, wiele od siebie samego. Ja proponuję ci jednak o wiele więcej. Szansę na uczynienie ogromnego dobra. Słyszałeś kiedyś o Fundamentach?

Rod zmarszczył czoło.

– Jak pod budynkami?

– Nie. O takich instytucjach. Funduszach fundamentalnych. Z bardzo dawnej przeszłości.

Rod pokręcił głową. Nie słyszał.

– Jeśli dar dla funduszu jest odpowiednio duży, to jest trwały i daje zyski nieustająco, póki kultura, w której żyje, nie upadnie. Gdybyś oddał większość swoich pieniędzy mądrym i dobrym ludziom, można by je wydawać w nieskończoność, polepszając ludzką rasę. A my tego potrzebujemy. Lepszy ludzie to lepsze życie dla nas. Myślisz, że nie wiemy o tym, że piloci i światłostrzelcy czasami ginęli w kosmosie, a ratowali swoje koty?

– Albo że ludzie potrafią zabijać podludzi bez mrugnięcia okiem? – skontrował Rod. – Albo upokarzać ich bez ostrzeżenia. Wygląda mi, sir, że ma pan w tym pewien własny interes.

– Bo mam. Pewien. Ale nie tylko. Ludzie są źli, kiedy się boją albo się nudzą. Są dobrzy, kiedy są szczęśliwi i zajęci. Chcę, żebyś wydał swoje pieniądze na zapewnienie im gier, zabaw, sportów, konkursów, spektakli, muzyki oraz okazji do szczerej nienawiści.

– Nienawiści? – zdziwił się Rod. – A już zaczynałem myśleć, że spotkałem ptaka-Wiernego... kogoś, kto gada o przedwiecznej magii...

– Nie chcemy kończyć świata – odparł wielki człowiek-ptak. – Chcemy tylko zmienić znacząco sytuację materialną człowieka w obecnej epoce historycznej. Zapobiec tragedii i klęsce zadanej własną ręką. Morze zaleje klify, a człowiek pozostanie. Swinburne. Mówi ci to coś?

– A gdzie to jest?

– To nie jest miasto. To nazwisko poety, z czasów przedkosmicznych. Napisał coś takiego. Posłuchaj:

*Póki nie sięgnie morze nagich klifów linii,  
Póki zatoki łąk tarasów haustem nie pochłona,  
Póki się nie wyczerpie siła fal olbrzymich,  
Strzeliste góry nie skarleją, pola nie utoną,  
Oto triumfując mocą, co każdego trwoży,  
Na zastawionych własną ręką stołach pełnych jadła,  
Jak bóg, co na własnym ołtarzu w ofierze się złożył,  
Śmierć trupem padła[9].*

– Zgadzasz się tym?

– Brzmi ładnie, ale nie rozumiem – odpowiedział Rod. – Proszę. Sir, jestem bardziej zmęczony, niż myślałem. A został mi tylko jeden dzień z Ka-Mell. Czy mogę dokończyć sprawę z tobą, żeby spędzić z nią jeszcze trochę czasu?

Wielki podczłowiek uniósł rękę. Skrzydło rozpostarło się nad Rodem jak baldachim.

– Niech tak będzie! – rzekł, a słowa te zadźwięczały jak wielka pieśń.

Rod widział, że podludzie poruszają ustami, powtarzając to, ale dźwięku nie słyszał.

– Proponuję ci więc uczciwą transakcję. Powiedz mi, czy prawidłowo odczytałem twój umysł.

Rod kiwnął głową, pełen podziwu.

– Chcesz swoich pieniędzy, ale ich nie chcesz. Zachowasz pięćset tysięcy kredytów, w pieniądzu WROG, dzięki czemu będziesz do końca choćby najdłuższego życia najbogatszym człowiekiem na Starej Australii Północnej. A resztę przekażesz funduszowi, który nauczy ludzi łatwo i bezproblemowo nienawidzić, jak w grze, a nie niezdrowo i męcząco, jak to mają w zwyczaju. Zarządzać funduszem będą lordowie Instrumentalności, znani mi, jak Żestokost, Crudelta i lady Johanna Gnade.

– A co ja dostanę w zamian?

– Spełnione pragnienie. – Piękna, mądra stara twarz wpatrzyła się w Roda jak u ojca chcącego zgłębić zaskoczenie własnego dziecka. Rod trochę się jej bał, ale i tak wyznał, co miał wyznać.

– Ja pragnę za dużo. Nie mogę mieć wszystkiego.

– Ja ci powiem, czego chcesz. Chcesz znaleźć się natychmiast w domu i mieć z głowy wszystkie problemy. Mogę cię jednym długim skokiem przenieść na Stanicę Zagłady. Popatrz na podłogę. Mam tu twoje książki i twój znaczek pocztowy – zostawiłeś to u Tostiga Amarala. One też się zabiorą.

– Ale chciałbym zobaczyć Ziemię!

– Wróc kiedy indziej, gdy będziesz starszy i mądrzejszy. Pewnego dnia. Zobacysz, ile zdziałały twoje pieniądze.

– No cóż...

– Chcesz Ka-Mell. – Beznamiętna, mądra blada twarz nie okazała zażenowania, złości ani protekcyjności. – I będziesz ją miał, we wspólnym śnie, przez połączenie umysłów, na pełen szczęścia okres subiektywnego tysiąca lat. Przeżyjesz wszystkie szczęśliwe chwile, które moglibyście spędzić razem, gdybyś tu został i pozostał ka-człowiekiem.

Zobaczysz, jak twoje dzieci-kocięta rosną, starzeją się i umierają. Obiektywnie to zajmie zaledwie pół godziny.

– Ale to tylko sen! – zaprotestował Rod. – Chcesz mi zabrać megakredyty, a w zamian dajesz mi sen?

– Tylko sen? Z dwoma umysłami? Dwoma żywymi, przyśpieszonymi umysłami, które mają ze sobą kontakt? Słyszałeś w ogóle o czymś takim?

– Nie – przyznał Rod.

– A ufasz mi? – zapytał O-Telekeli.

Rod wpatrzył się uważnie w człowieka-ptaka i poczuł, jak z ramion spada mu wielki ciężar. Ufał tej istocie bardziej niż swojemu ojcu, który go nie chciał, matce, która go zostawiła, sąsiadom, którzy starali się być dla niego dobrzy. Westchnął.

– Ufam ci.

– Oprócz tego – dodał O-Telekeli – zatroszczę się, rękoma mojej siatki, o wszystkie drobne szczegóły. Ich wspomnienie pozostanie także w twoim umyśle. Jeśli mi ufasz, to powinno wystarczyć. Trafisz bezpiecznie do domu. Na Norstrilii, gdzie rzadko sięgają moje wpływy, będziesz chroniony do końca życia. A zaraz przeżyjesz oddzielne życie z Ka-Mell, z czego większość będziesz pamiętał. Ty zaś, w zamian, podejdziesz do ściany i przelejesz swoje pieniądze, minus pół megakredytu WROG, na rzecz Funduszu Roda McBana.

Rod nie dostrzegął, że podludzie zgromadzili się wokół niego, jakby oddawali mu religijną cześć. Musiał się jednak zatrzymać, gdy bardzo blada i bardzo wysoka dziewczyna ujęła jego dłoń i przyłożyła do policzka.

– Może nie jesteś Przyobiecany, ale jesteś człowiekiem wielkim i dobrym. Nic nie możemy ci zabrać. Możemy tylko prosić. Tak nas uczy Joan. A ty nam dajesz.

– Kim ty jesteś? – odezwał się Rod przerażonym głosem, myśląc, że to jakaś zagubiona ludzka dziewczynka, którą podludzie porwali z powierzchni Ziemi.

– Jestem O-Lamelanie, córka O-Telekelego.

Rod wytrzeszczył na nią oczy i podszedł do ściany. Wcisnął dość zwyczajnie wyglądający guzik. Co za miejsce na guzik!

– Lordzie Żestokost! – zawołał. – Mówi McBan. Nie, ty głupcze, cały ten system jest mój.

Na ekranie pojawił się przystojny, zadbany, lekko pulchny mężczyzna.

– Jeśli dobrze się domyślam – powiedział – jesteś pierwszym prawdziwym człowiekiem, który dostał się w Głębinię. Czym mogę służyć, panie i posiadaczu McBanie?

– Prosimy o protokołowanie... – powiedział O-Telekeli, stojący obok Roda i niewidoczny dla maszyny.

Rod powtórzył.

Lord Żestokost zawezwał świadków po swojej stronie.

Dyktowanie ciągnęło się w nieskończoność, ale wreszcie dobiegło końca. Rod zaprotestował tylko w jednym momencie. Kiedy próbowali nazwać to Funduszem McBana, powiedział:

– Nazwijmy to Funduszem Sto Pięćdziesiątego.

– Sto Pięćdziesiątego? – zdziwił się Żestokost.

– Na pamiątkę mojego ojca. To jego numer. Ja jestem sto pięćdziesiąty pierwszy, a on był przede mną. Nie wyjaśniajcie tej liczby. Po prostu niech się tak nazywa.

– Wszystko jasne – oświadczył Żestokost. – Teraz niech notariusze i oficjalni świadkowie poświadczą odcisk twoich oczu, dłoni i mózgu. Poproś stojącą obok ciebie Osobę, żeby dała ci maskę, byś nie bulwersował świadków kocią twarzą. A gdzie ma być ta maszyna, z której korzystacie? Wydaje mi się, co prawda, że wiem.

– U podstawy Bulwaru Alfa Ralfa, na zapomnianym targowisku – powiedział O-Telekeli. – Jutro pańscy ludzie ją tam zastaną, kiedy przyjdą zweryfikować jej autentyczność.

Cały czas trzymał się poza zasięgiem obiektywu, by Żestokost słyszał go, ale nie widział.

– Znam ten głos – powiedział Żestokost. – Przychodzi do mnie we śnie. Ale nie proszę, by zobaczyć twarz.

– Pański przyjaciel zapuścił się do miejsca, gdzie trafiają tylko podludzie – powiedział O-Telekeli – i właśnie urządzamy mu los, na więcej niż jeden sposób, za pańskim uprzejmym pozwoleniem.

– Wygląda na to, że moje pozwolenie nie było specjalnie do niczego potrzebne. – Żestokost parsknął śmiechem.

– Chciałbym jeszcze z panem porozmawiać. Czy ma pan pod ręką jakiegoś inteligentnego podczłowieka?

– Mogę wezwać Ka-Mell. Zawsze jest gdzieś w pobliżu.

– Nie tym razem, milordzie. Jest tutaj.

– Tam, z tobą? Nie miałem pojęcia, że się tam wybiera. – Na twarzy lorda Żestokosta odmalowało się zdziwienie.

– Niemniej ona jest tutaj. Czy dysponuje pan jakimś innym podczłowiekiem?

Rod czuł się jak kukielka, stojąc pod obiektywem wizjofonu, gdy dwie niewidzące się nawzajem osoby rozmawiały ponad nim ze sobą. Czuł jednak, bardzo wyraźnie, że obie życzą mu dobrze. Trochę się nawet denerwował, nie mogąc się doczekać osobliwego szczęścia, które zaproponowano jemu i Ka-Mell, był jednak na tyle kulturalnym młodym człowiekiem, by zachować cierpliwość, kiedy wielcy omawiają swoje sprawy.

– Moment... – powiedział Żestokost.

Rod widział w głębi ekranu, że lord Instrumentalności robi coś na innych, pomocniczych ekranach. Chwilę później odpowiedział:

– Mam Be-Danka. Za parę minut przyjdzie do pokoju.

– Milordzie, czy za dwadzieścia minut będzie pan mógł chwycić się za rękę ze swoim sługą Be-Dankiem, tak jak kiedyś uczynił pan z Ka-Mell? Ja mam na głowie problem zapewnienia bezpiecznego powrotu temu młodemu człowiekowi. Są sprawy, o których pan nic nie wie, i wolałbym ich tą drogą nie poruszać.

Żestokost wahał się tylko przez krótką chwilę.

– No dobrze. – Zaśmiał się. – Jak mam spadać, to z wysokiego konia.

O-Telekeli odsunął się na bok. Ktoś podał Rodowi maskę kryjącą jego kocie rysy, choć pozostawiającą odsłonięte oczy i dłonie. Odcisk mózgu zrobiono przez oczy.

Wykonano zapisy.



Rod wrócił do ławy i stołu. Nalał sobie kolejną porcję wody z karafki. Ktoś zawiesił mu na szyi wianek ze świeżych kwiatów. Świeżych kwiatów! W takim miejscu... Zdumiał się. Trzy dość ładne podludzkie dziewczyny, dwie o rodowodzie kocim, jedna o psim, prowadziły ku niemu świeżo przebraną Ka-Mell. Miała na sobie najprostszą i najskromniejszą białą sukienkę na świecie, przepasaną w talii szerokim złotym pasem. Roześmiała się, szybko jednak umilkła i zarumieniła się na widok Roda.

Na ławie przygotowano dwa miejsca, wykładając je poduszkami, tak, by im było wygodnie. Na głowy założono im jedwabisto-metalowe czepki, jak czepki przyjemności używane podczas operacji chirurgicznych. Rod poczuł, jak w mózgu eksploduje mu zmysł węchu, obudzony intensywnie i nagle. Ujął Ka-Mell za rękę i ruszył z nią przez przedwieczny ziemski las, w którym w łagodnym jasnym świetle starego ziemskiego księżyca połyskiwała starsza od czasu świątynia. Wiedział, że już śni. Ka-Mell pochwyciła tę myśl i powiedziała:

– Rod, panie mój i ukochany, tak, to jest sen. Ale jestem w nim razem z tobą...

Któż odmierzy tysiąc lat rozkosznego śnienia – te podróże, te łowy, te pikniki, te wizyty w zapomnianych, pustych miastach, to odkrywanie wspaniałych widoków i nieznanych miejsc? I miłość, i wspólnotę, i wzajemne odzwierciedlanie wszystkich cudownych i osobliwych przeżyć w dwóch przepięknie zharmonizowanych ze sobą osobowościach? Ka-Mell – ka-dziewczyna i Ka-Roderick – ka-mężczyzna: wydawali się skazani na wieczne wspólne szczęście. Któż byłby w stanie przeżyć całe wieki pełne błogości, a potem streścić je w parę minut? Któż potrafiłby opowiedzieć ze szczegółami o takim prawdziwym życiu – o szczęściu, kłótniach, zgodach, problemach i rozwiązaniach, o dzieleniu się szczęściem i wszystkim innym?

Gdy go bardzo łagodnie obudzili, Ka-Mell pozwolili spać dalej. Spojrzał po sobie, spodziewając się starego ciała. Wciąż jednak był młodym człowiekiem, wciąż znajdował się w zapomnianych podziemnych czeluściach O-Telekelego – i wciąż nie czuł zapachów. Sięgnął pamięcią do

tysiąca precudownych lat, patrząc na Ka-Mell, znów młodą, śpiącą na ławie – lecz gdy sięgał ku niej, prześnione lata bladły i nikły.

Zachwiał się na nogach. Podprowadzili go do krzesła. O-Telekeli zasiadł w sąsiednim, przy tym samym stole. Wydawał się zmęczony.

– Panie i posiadaczu McBanie, obserwowałem twój współdzielony sen, pilnując, żeby zachowywał właściwy kierunek. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany.

Rod bardzo powoli kiwnął głową i sięgnął po karafkę z wodą, którą podczas snu ktoś uzupełnił.

– Kiedy spałeś – dodał wielki O-człowiek – odbyłem telepatyczną naradę z lordem Żestokostem, który jest twoim przyjacielem, choć go nie znasz. Słyszałeś o tych nowych, automatycznych statkach planoformacyjnych.

– Na razie są w fazie eksperymentów – odparł Rod.

– To prawda – rzekł O-Telekeli – ale są stuprocentowo bezpieczne. A najlepsze „automatyczne” statki w ogóle nie są automatyczne. Pilotują je ludzie-węże. Moi ludzie. Pod każdym względem górują nad wszystkimi pilotami Instrumentalności.

– To oczywiste – rzekł Rod – bo są martwi.

– Nie bardziej martwi niż ja. – Białe, spokojny ptak zaśmiał się. – Z pomocą mojego syna-lekarza, O-Eikasusa, którego poznałeś jako małego doktora Ma-Agentę, wprowadziłem ich w kataleptyczny trans. Na statkach się budzą. Jeden z nich przewiezie cię na Norstrilię jednym długim skokiem. A mój syn zoperuje cię jeszcze tutaj. W jednym z pomieszczeń mamy dobrą salę operacyjną. Zresztą to on cię ożywił na Marsie, pod okiem doktora Vomacta. Odczujesz to jako jedną noc, choć naprawdę zajmie parę dni obiektywnego czasu. Jeśli teraz się pożegnamy i powiesz, że jesteś gotowy, obudzisz się na orbicie tuż powyżej sieci obronnej Starej Australii Północnej. Nie potrzebuję bowiem, by jeden z moich podludzi rozdarł się sam na strzępy po wejściu w zasięg kotecków matki Hitton, czymkolwiek są. A nie wiesz przypadkiem?

– Nie wiem – powiedział szybko Rod – i nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć. To tajemnica królowej.

– Królowej?

– Nieobecnej Królowej. Tak mówimy o władzach Wspólnoty Narodów. W każdym razie, panie ptaku, nie mogę jeszcze lecieć. Muszę wrócić na powierzchnię Ziemi. Chcę się pożegnać z Kotmistrzem. Po drugie, nie chcę tak zostawić Eleanor. I jeszcze chciałbym zabrać znaczek, który dał mi Kotmistrz. I książki. I może jeszcze powinienem zameldować o śmierci Tostiga Amarala.

– Czy mi ufasz, panie i posiadaczu McBanie? – Biały olbrzym wstał z miejsca, oczy zapłonęły mu jak ogień.

Podludzie spontanicznym chórem dośpiewali:

– Zaufaj porządnemu i praworzádnemu, zaufaj lojalnej feudalnej mocy i pomocy podczłowieka-ptaka!

– Tak, powierzyłem ci swoje życie i fortunę – powiedział Rod z lekkim smutkiem – ale nie namówicie mnie, żebym zostawił Eleanor. Choćbym nie wiem jak chciał wrócić do domu. A tam, w domu, mam jeszcze odwiecznego wroga, któremu chciałbym pomóc. Houghton Syme, Honsek. Może jest coś na Starej Ziemi, co mógłbym mu zawieźć?

– Myślę, że mógłbyś zaufać mi jeszcze trochę bardziej – rzekł O-Telekeli.  
– Czy to by rozwiązało problem Honseka, gdybym dał mu wspólny sen z kimś, kogo kocha, żeby zrekompensować mu krótkie życie?

– Nie wiem. Być może.

– Mogę więc – powiedział pan podludzi – sporządzić dla niego lekarstwo na receptę. Zanim je zażyje, trzeba je będzie wymieszać z plazmą jego krwi. Da mu mniej więcej trzy tysiące lat subiektywnego życia. Ten środek nigdy dotąd nie opuścił granic naszego podmiasta, ty jednak jesteś Przyjacielem Ziemi, więc go dostaniesz.

Rod próbował wyjąkać podziękowanie, ale zamiast tego wymamrotał znów coś o Eleanor, że naprawdę nie może jej zostawić.

Biały olbrzym ujął Roda za rękę i poprowadził z powrotem do wizjofonu, dalej będącego zupełnie nie na miejscu w tym pomieszczeniu, tak głęboko pod ziemią.

– Wiesz, że nie oszukam cię fałszywymi przekazami, ani niczym podobnym, prawda?

Jedno spojrzenie na mocną, spokojną, opanowaną twarz – tak pełną poczucia celu, że nie miały się jej kaprysy ani preteksty – wystarczyło, by upewnić Roda, że nie ma się czego bać.

– Zatem go włącz – powiedział O-Telekeli. – Jeśli Eleanor zechce wracać do domu, umówię z Instrumentalnością jej przelot. Co do ciebie, to mój syn O-Eिकास odmieni cię z powrotem, tak jak cię wcześniej zmienił. Jest tylko jeden szczegół. Czy chcesz mieć taką twarz, jaką miałeś pierwotnie, czy wolałbyś, żeby odzwierciedlała mądrość i doświadczenie, które u nas, jak widzę, zyskałeś?

– Nie jestem jakimś gogusiem – powiedział Rod. – Wystarczy ta sama, poprzednia twarz. Jeśli okażę się mądrzejszy, nasi ludzie i tak to szybko poznają.

– Świetnie. On już się przygotowuje. A tymczasem włącz wizjofon. Jest ustawiony na poszukiwanie twoich rodaków.

Rod pstryknął. Nastąpiła oszalamiająca seria błysków i kalejdoskopowych scen, gdy maszyna pozornie pędziła wzdłuż plaży w Maja Mi Efel, szukając Eleanor. Bardzo dziwny był widok z tego urządzenia – wyglądało na to, że po drugiej stronie w ogóle nie ma żadnego wizjofonu. Widział Eleanor, wyglądającą dokładnie jak jego norstrilijska postać, ona natomiast nie miała pojęcia, że jest obserwowana.

Maszyna skupiła się na twarzy Eleanor/Roda Mc Bana. Rozmawiał/a z bardzo piękną kobietą, o dziwnie mieszanej norstrilijskiej i ziemskiej urodzie.

– Ruth Niestąd – mruknął O-Telekeli – córka lorda Williama Niestąd, szefa Instrumentalności. Chciał, żeby jego córka wyszła za „ciebie”, żeby mogli powrócić na Norstrilię. Spójrz na tę córkę. Teraz jest na „ciebie” zła.

Ruth siedziała na ławce, nerwowo i niespokojnie wyłamywała palce, jednak i one, i jej twarz wyrażały raczej złość niż desperację. Rozmawiała z Eleanor, z „Rodem McBanem”.

– Ojciec właśnie mi powiedział! – wykrzyknęła Ruth. – Czemu, ach, czemu oddałeś wszystkie pieniądze jakiemuś tam Funduszowi? Instrumentalność właśnie go poinformowała. Nie rozumiem. Teraz nie ma sensu brać ślubu...

– Mnie to pasuje – odparła Eleanor/Rod Mc Ban.

– Pasuje ci, tak?! – wrzasnęła Ruth. – Po tym, jak mnie wykorzystałeś!

Fałszywy Rod McBan uśmiechnął się tylko przyjacielsko i porozumiewawczo. Prawdziwy Rod, obserwujący ją z dziesięciu kilometrów w dole, uznał, że sporo się nauczyła, jak być młodym, bogatym mężczyzną na Ziemi.

Twarcz Ruth zmieniła się nagle. Przeszła ze złości w śmiech. Widać było oszołomienie.

– W sumie to przyznam – powiedziała szczerze – że tak naprawdę nie miałam ochoty wracać do dawnego domu rodzinnego na Starej Australii Północnej. Do prostego, uczciwego życia, lekko głupkowatego. Żadnych oceanów. Żadnych miast. Tylko wielkie, chore owce i świat pełen pieniędzy, których nie ma na co wydawać. Mnie się podoba na Ziemi, może jestem trochę dekadentka, ale...

Rod/Eleanor uśmiechnął się do niej.

– Może ja też jestem dekadentki. Biedny wcale nie jestem. Mimo wszystko cię lubię. Nie chcę się z nikim żenić. Ale mam tu górę kredytów i podoba mi się być młodym mężczyzną...

– No ja myślę! – powiedziała Ruth. – Dziwne rzeczy mówisz!

Fałszywy „Rod McBan” nie zareagował na te słowa.

– Ja po prostu postanowiłem zostać tutaj i cieszyć się życiem. Na Norstrilii każdy jest bogaty, i co z tego mają? Zaczynało mi się tam nudzić, inaczej nie zaryzykowałbym podróży tutaj. Tak, raczej zostanę. Wiem, że Rod... Rod McArthur, taki mój krewny... Rod załatwi mi zwolnienie z podatku od osobistego majątku i będę mógł tu zostać.

(– Pewnie, że to zrobię – powiedział prawdziwy Rod McBan, głęboko pod powierzchnią Ziemi).

– Będiesz tu mile widziany, kochanie – powiedziała Ruth. – Niestąd do fałszywego Roda McBana.

Głęboko pod ziemią O-Telekeli wskazał dłonią ekran.

– Napatrzyłeś się? – zapytał Roda.

– Tak, ale dopilnujcie, żeby się dowiedziała, że jestem cały i zdrowy i staram się o nią zadbać. Możecie się skontaktować z lordem Żestokostem,

czy z kim tam potrzeba, i załatwić, żeby ona mogła tu zostać i zachować swój majątek? Powiedzcie, żeby używała nazwiska „Roderick Henry McBan I”. Nie mogę pozwolić, żeby zachowała nazwisko właścicieli Stacji Zagłady, a tu, na Ziemi, nikt chyba nie zauważy różnicy. Ona będzie wiedzieć, że ja się na to zgadzam, a tylko to się liczy. Jeśli naprawdę cieszy się życiem w kopii mojego ciała, niech siądzie na niej wielka owca!

– Osobliwe błogosławieństwo – stwierdził O-Telekeli – ale da się to załatwić.

Rod nie ruszył się. Wyłączył ekran, ale dalej stał nieruchomo.

– Coś jeszcze? – zapytał O-Telekeli.

– Ka-Mell – odrzekł Rod.

– Z nią wszystko w porządku – rzekł pan podziemi. – Niczego więcej od ciebie nie oczekuje. Jest dobrym podczłowiekiem.

– Chciałbym coś dla niej zrobić.

– Ona niczego nie pragnie. Jest szczęśliwa. Nie potrzebujesz się wtrącać.

– Ale wiecznie towarkiem nie będzie – nalegał Rod. – Wy, podludzie, też się starzejecie. Nie wiem, jak sobie radzicie bez strunu.

– Ja też nie. Ja po prostu jestem z długowiecznej rasy. Ale co do niej, masz rację. Według twojej rachuby czasu zestarzeje się bardzo niedługo.

– Chciałbym więc kupić dla niej restaurację, tę, którą ma człowiek-niedźwiedź, i niech zrobi z niej coś w rodzaju miejsca spotkań, tak dla ludzi, jak i podludzi. Zrobi w niej interesujący i romantyczny klimat, będzie cieszyła się wielkim powodzeniem.

– Wspaniały pomysł. Znakomite przedsięwzięcie dla twojego Funduszu.  
– O-Telekeli uśmiechnął się. – Tak zrobimy.

– A Kotmistrz? – zapytał Rod. – Czy mogę coś zrobić dla niego?

– Nie, nim sobie głowy nie zaprzataj. On jest pod ochroną Instrumentalności i zna znak Ryby.

Wielki podczłowiek zrobił pauzę, żeby dać Rodowi czas na zapytanie, co to za znak, Rod jednak nie zauważył, że pauza jest znacząca, ptasi olbrzym ciągnął więc dalej.

– Ka-William już otrzymał nagrodę w postaci zbawiennej zmiany, jaką wprowadził w twoim życiu. Teraz, jeśli jesteś gotowy, uśpiemy cię, mój syn O-Eिकासus odmieni cię z powrotem z kociej postaci i obudzisz się na orbicie ojczyznej planety.

– A Ka-Mell? Moglibyście ją obudzić, żeby się z nią pożegnać po tym tysiącu lat?

Władca podziemia ujął Roda delikatnie za ramię i oprowadził po ogromnej podziemnej hali, cały czas mówiąc:

– Czy na jej miejscu pragnąłbyś jeszcze jednego pożegnania, po tym, jak pamięta spędzone z tobą tysiąc lat? Zostaw ją tak. Tak będzie łagodniej i lepiej dla niej. Jesteś człowiekiem. Możesz sobie pozwolić na hojne obdarzanie dobrocią. To jedna z najlepszych cech u was, ludzi.

Rod zatrzymał się.

– To może macie coś do nagrywania? Powitała mnie na Ziemi piękną piosenką o „ptakach wysoko na niebie”, więc chciałbym jej zostawić którąś z naszych norstrilijskich melodii.

– Zaśpiewaj co tylko chcesz – odparł O-Telekeli – a chór moich pomocników zapamięta to do końca życia. Niech inni też się tą melodią nacieszą.

Rod spojrzał po podludziach, którzy szli za nimi. Przez chwilę był zażenowany, że ma przed nimi wszystkimi śpiewać, gdy jednak dostrzegł ich ciepłe, pełne uwielbienia spojrzenia, przestał się wstydzić.

– Zatem zapamiętajcie to wszyscy, i koniecznie zaśpiewajcie potem Ka-Mell, kiedy się obudzi.

Podniósł odrobinę głos i zaśpiewał.

*Biegnij, gdzie baranek płąsa i figluje,  
Słuchaj, gdzie jagniątko smętnie pobekuje,  
Pędź tam, gdzie owieczki biegają, hasają.  
Popatrz, gdzie strunu zbiory rosną, dojrzewają,  
Zobacz, jak rodacy zbierają, składają  
Bogactwo dla świata!*

*Popatrz na pagórki: rządami falują,  
Usiądź, gdzie wiatry ostre ziemię wysuszają.  
Spójrz na te chmury, po niebie pływają,  
Stań, gdzie skarby Ziemi pięknie połyskują.  
Wydadaj okrzyk gromki, okrzyk wydaj tęgi  
Norstrilijskiej dumy, Norstrilii potęgi!*

Chór odśpiewał mu to z bogactwem brzmienia i harmonii, o które nigdy dotąd tej norstrilijskiej pioseneczki nie podejrzewał.

– A teraz – rzekł O-Telekeli – niech cię błogosławi Pierwszy Zakazany.

Olbrzym skłonił się odrobinę i ucałował Roda w czoło. Rod uznał to za dziwne i już miał coś powiedzieć, ale poczuł na sobie jego wzrok.

Oczy – jak dwa ognie.

Ogień – jak przyjaźń, ciepło, powitanie i pożegnanie zarazem.

Obudził się dopiero na orbicie wokół Starej Australii Północnej.

Podejście było łatwe. Statek miał okno, można było patrzeć. Pilot-wąż prawie się nie odzywał. Posadził Roda w samej Stanicy Zagłady, paręset metrów od drzwi jego własnego domu. Razem z nim wylądował dwa ciężkie pakunki. Norstrilijski pojazd patrolowy zawisł tuż nad nim, w powietrzu zaiskrzyło niebezpieczeństwem, gdy norstrilijska policja opuszczała się nad Ziemię i upewniała, czy nie wysiada nikt poza Rodem McBanem. Ziemski statek zaszemrał i zniknął.

– Pomogę panu, proszę pana – powiedział jeden z policjantów.

Chwycił Roda jednym mechanicznym szponem ornitoptera, w drugi złapał dwa pakunki i jednym machnięciem olbrzymich skrzydeł wzbił się w powietrze. Poszybowali na podwórze, skrzydła się zadarły, Rod z pakunkami zręcznie wylądował, a maszyna bezgłośnie odleciała.

Nikogo tu nie było. Wiedział, że niedługo przyjdzie ciotka Doris. I Lavinia. Lavinia! Będąc z powrotem na kochanej, suchej, własnej planecie, zdał sobie sprawę, jak bardzo odpowiada mu Lavinia. A on przecież potrafi już mówić, potrafi słuchać!

Dziwne to było. Wczoraj – to naprawdę było wczoraj? (bo wyglądało na wczoraj) – czuł się naprawdę bardzo młodo. Ale odkąd odwiedził



Kotmistrza, czuł się jakby dojrzałszy, jakby odkrył wszystkie własne wewnętrzne problemy i pozostawił je za sobą na Starej Ziemi. Wiedział, w głębi umysłu, że Ka-Mell nigdy nie należała do niego bardziej niż w dziewięciu dziesiątych, a ta pozostała dziesiąta część – najcenniejsza, najpiękniejsza i najtajniejsza dziesiąta część jej życia – była na zawsze oddana jakiemuś innemu człowiekowi czy podczłowiekowi, o którym się nie dowie. Czuł, że Ka-Mell już nigdy nie odda mu serca. A mimo to odczuwał do niej pewną szczególną czułość, której już nie zazna. To, co przeżyli, nie było małżeństwem, było za to czystym żywym romanssem.

Tu jednak czekał nań najprawdziwszy własny dom – i miłość.

Tu była Lavinia, kochana Lavinia ze swoim szalonym, zagubionym ojcem, ze swą dobrocią wobec Roda, który za bardzo dobrocią jej nie odpłacił.

Nagle w jego głowie ni stąd, ni zowąd pojawiły się słowa starego wiersza:

*Nigdy. Zawsze. Jeden raz.  
Trzy kosmosy. I narzędzie,  
Którym życie rusza czas.  
Zawsze, nigdy, jeden raz...*

Zaczął mówić. Płowiedział bardzo głośno:

– Lavinia!

Zza wzgórz dobiegł go krzyk, rozbrzmiał mu w samym środku umysłu:

– Rod, Rod! Ojej, Rod! Rod?

– Tak – płowiedział. – Nie biegnij. Wróciłem.

Poczuł, jak jej umysł się zbliża, choć musiała się znajdować za jednym z pobliskich wzgórz. Gdy zetknął się z nią umysłem, wiedział, że to jej ziemia – i jego ziemia. Nie dla nich mokre cuda Ziemi, pięknowłosa uroda Ka-Mell i ziemscy ludzie! Wiedział bez cienia wątpliwości, że Lavinia uzna i pokocha nowego Roda tak samo, jak kochała tego starego.

Czekał więc bardzo spokojnie, a potem zaśmiał się sam do siebie, pod szarym, niskim, życzliwym niebem Norstrilii. Przez chwilę miał dziecinną

ochotę puścić się biegiem przez wzgórza i ucałować swój stary komputer.  
Ale tylko czekał na Lavinie.

---

9 Cytat z wiersza *A Forsaken Garden* Algernona Charlesa Swinburne'a (przyp. tłum).

## RADY, NARADY, OBRADY I PORADY

### **Dziesięć lat później, rozmowa dwóch Ziemi**

- Nie wierzysz chyba w te wszystkie androny, co?
- Co to są „androny”?
- Piękne słowo, prawda? I starożytne. Jeden robot je wykopał. Oznacza bzdury, brednie, głupstwa, farmazony, głupoty lub halucynacje, innymi słowy, dokładnie to, co gadałeś.
- Chodzi ci o chłopaka, który kupił całą Ziemię?
- Pewnie. Na pewno by nie mógł, nawet za całe norstrilijskie pieniądze. Za dużo jest różnych przepisów. To była interwencja ekonomiczna.
- Co to jest „interwencja ekonomiczna”?
- Kolejny starożytny zwrot, który znalazłem. Prawie tak dobry jak „androny”. Ale ma sens. Chodzi o to, że rządzący coś zmieniają, przepływy finansowe albo tytuły własności. Instrumentalność chciała trochę zachwiać ziemskim rządem, albo dostać trochę darmowych kredytów do zabawy, więc wymyśliła sobie postać zwaną „Rod Mc Ban”. Potem kazali mu kupić Ziemię. A potem zniknął. To się kupy nie trzyma. Żaden normalny chłopak by czegoś takiego nie zrobił. Mówią, że miał milion kobiet. Jak myślisz, co by zrobił normalny chłopak, gdyby ktoś mu dał milion kobiet?
- To żaden dowód. Zresztą ja widziałem Roda McBana na własne oczy, dwa lata temu.
- Ale tego drugiego, nie tego, co rzekomo kupił Ziemię. Ten to tylko bogaty imigrant, który mieszka niedaleko Maja Mi Efel. O nim też mógłbym ci parę rzeczy opowiedzieć.

– Ale czemu ktoś nie miałby kupić Ziemi, skoro opanował cały rynek norstrilijskiego strunu?

– A kto go niby opanował? Ja ci mówię, „Rod McBan” to fikcyjna postać. Widziałeś go kiedyś w skrzynce obrazkowej?

– Nie.

– A znasz kogoś, kto go poznał?

– Słyszałem, że lord Żestokost był w to zamieszany, i ta luksusowa dziewczyna-towarek, jak jej tam... no, wiesz, ta ruda... Ka-Mell.

– Właśnie: gdzieś słyszałeś, nie? Androny, czyste starożytne androny. Nikt taki nigdy nie istniał. To wszystko propaganda.

– Z tobą to tak zawsze. Wiecznie coś podejrzewasz. Nie dowierzasz. Dobrze, że nie jestem jak ty.

– Wiesz co, to jest dokładnie odwrotnie. Ja mam motto, że lepiej umrzeć niż dać się nabrać.

## **Na statku planoformacyjnym, wylatującym z Ziemi, również dziesięć lat później**

Stop-kapitan rozmawia z pasażerką:

– To dobrze, że nie kupiła pani nic z tej najnowszej ziemskiej mody. W domu, przy tamtejszym powietrzu, straciłaby to pani w pół minuty.

– Bo ja jestem staromodna. – Pasażerka się uśmiechnęła. Po czym coś przyszło jej do głowy. – Panie i posiadaczu stop-kapitanie, pan siedzi w tym kosmicznym biznesie. Słyszał pan kiedyś historię o Rodzie McBanie? Według mnie jest fantastyczna.

– To znaczy o chłopcu, który kupił Ziemię?

– No właśnie – sapnęła. – To wszystko prawda?

– Najprawdziwsza – odparł – z wyjątkiem jednego małego szczegółu. Ten „Rod McBan” w ogóle się tak nie nazywał. Nie był Norstrilijczykiem. Był hominidem z jakiegoś innego świata i wykupywał Ziemię, płacąc pieniędzmi z piractwa. Chcieli mu te kredyty odebrać, ale on był Mokrym

Śmierdziuchem z Amazonas Triste, albo może którymś z tych malutkich ludzi, wielkości orzecha, z Pełnej Planety. Dlatego kupił Ziemię i niespodziewanie z niej wyjechał. Bo widzi pani szanowna, Norstrilijczycy w ogóle nie interesują się niczym poza swoimi pieniędzmi. Nawet ustrój na tej swojej planecie zachowali bardzo starożytny – na pewno by nie pozwolili żadnemu chłopakowi stamtąd kupić Ziemi. Usiedliby z nim i przekonali go, żeby te pieniądze wpłacił na rachunek oszczędnościowy i tyle. Oni są bardzo klanowi i rodzinni. Dlatego nie sądzę, żeby to mógł być ktoś z Norstrilii.

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

– Psuje mi pan, panie i posiadaczu stop-kapitanie, taką piękną historię.

– Proszę mnie nie nazywać „posiadaczem”, to jest norstrilijski tytuł.

Wystarczy po prostu „panie kapitanie”.

I oboje wpatrzyli się w mały, ścienny, wymaginowany wodospad.

Stop-kapitan, zanim wrócił do pracy, dodał jeszcze:

– Jak dla mnie, to musiał być któryś z tych malutkich ludzików z Pełnej Planety. Tylko ktoś tak głupi kupiłby sobie prawa do miliona ziemskich kobiet. Oboje jesteście dorośli, prawda? Co taki malutki facecik z Pełnej Planety począłby z jedną ziemską kobietą, a co dopiero z milionem?

Zachichotała i zaczerwieniła się, a stop-kapitan dumnie odszedł do swoich zajęć, wygłosiwszy ostatnie, męskie słowo.

## **O-Lamelanie, dwa lata po odlocie Roda z Ziemi**

– Ojczy, przynieś mi nadzieję.

O-Telekeli odezwał się łagodnie:

– Mogę ci dać prawie wszystko na tym świecie, ale ty mówisz o świecie spod znaku Ryby, nad którym nikt z nas nie panuje. Wróć lepiej do codziennego życia naszej groty i nie poświęcaj tyle czasu na ćwiczenia duchowe, skoro cię przygnębiają.

Wytrzeszczyła oczy.

– Nie. Nie o to chodzi. W ogóle nie o to. Po prostu ja wiem, że robot, szczur i Kopt zgodzili się, że Przyobiecany pojawi się tutaj, na Ziemi. – W jej głosie zabrzmiała nuta desperacji. – Ojczy, czy to możliwe, że to był Rod McBan?

– Co masz na myśli?

– Czy to nie on czasem był Przyobiecany, a ja o tym nie wiedziałam? Może przyszedł i odszedł, po prostu, żeby poddać próbie moją wiarę?

Ptak-olbrzym rzadko się śmiał; a z własnej córki nie śmiał się nigdy dotąd. Lecz to było zbyt nonsensowne – zaczął się z niej śmiać, a jakaś mądra część mózgu podpowiadała mu, że ten śmiech, choć teraz okrutny, później okaże się dla niej dobry.

– Rod? Obiecany głosicielem prawdy? O nie. Ha, ha, ha. Rod McBan to jedna z najmilszych ludzkich istot, które poznałem. Porządny, młody człowiek, prawie jak ptak. Ale posłańcem od wieczności to on nie jest.

Córka skłoniła się i odwróciła.

Miała już ułożoną tragedię o samej sobie, o kobiecie, która popełniła błąd, która spotkała „księcia słowa”, oczekiwanego przez wszystkie światy, a ona go nie rozpoznała, bo jej wiara była za słaba. Męka czekania na coś, co może zdarzyć się teraz lub za milion lat, była zbyt wielka. Łatwiej było przyjąć porażkę i zadręczać się nią, niż do końca życia znosić tortury rozciąganej w nieskończoność nadziei.

Miała małą wnękę w ścianie, gdzie często spędzała czas posiłków. Wzięła do ręki mały strunowy instrument, który zrobił jej ojciec. Wydawał starożytne, jęklive dźwięki, a ona dośpiewywała do nich własną, skromną piosneczkę, piosenkę o O-Lamelanie, która próbuje zerwać z oczekiwaniem na Roda McBana.

Wyjrzała do pomieszczenia.

Utkwiła w niej wzrok mała dziewczynka, ubrana tylko w majteczki. O-Lamelanie odwzajemniła spojrzenie. Oczy dziecka niczego nie wyrażały, po prostu się na nią gapiło. Zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest któreś z dzieci-żółwi, uratowanych przez ojca parę lat temu.

Odwróciła wzrok od dziecka i zaśpiewała mimo to:

*I znów, po tylu latach,  
Za tobą płakałam.  
Gorzkich łez zatrzymać nie mogłam,  
Dla ciebie je miałam.  
Całe pokłady wcześniejszego życia,  
Dla ciebie zmazałam.  
Inny czas, zmienny czas,  
Już na mnie czeka.  
Choć momentami przeszłość pyta,  
Dlaczego i jak.  
Przyszłość nadchodzi o wiele za szybko,  
Pozwól mi jeszcze...  
Lecz nie. To wszystko. Lata całe  
Za tobą płakałam.*

Gdy skończyła, dziecko-żółw cały czas patrzyło. O-Lamelanie, prawie ze złością, odłożyła maleńkie skrzypki.

## **Co myślało dziecko-żółw, w tym samym momencie**

Ja wiem dużo chociaż o tym nie mówię i ja wiem że najwspanialszy prawdziwy człowiek na wszystkich planetach przyleciał tutaj i przyszedł do tego wielkiego pokoju i gadał z tymi ludźmi bo to o nim śpiewa ta durna dziewczyna bo ona go nie ma ale w sumie czemu by go miała mieć bo to ja go zdobędę bo jestem żółwiczką i ci wszyscy ludzie już poumierają i pójdą do kadzi na rozpuszczanie a ja będę dalej czekać bo on któregoś dnia wróci na ziemię a ja będę dorosła i będę kobietą-żółwiem piękniejszą od wszystkich ludzkich kobiet i on się ze mną ożeni i mnie zabierze na swoją planetę i będę z nim szczęśliwa bo ja się nie będę tak cały czas kłócić jak ci wszyscy ludzie-ptaki ludzie-psy i ludzie koty więc kiedy Rod McBan będzie moim mężem i będę mu wyciągać kolację ze ściany to jak będzie próbował

się ze mną kłócić będę po prostu nieśmiała i miła i nic nie powiem nic zupełnie przez sto lat przez dwieście lat a nikt nie potrafi się przecież gniewać na kobietę-zółwicę która nigdy nie pyskuje...

## **Rada Cechu Złodziei, na Viola Siderea**

Herold obwieścił:

– Jego Śmiałość Herszt Złodziei ma zaszczyt składać meldunek przed Radą Złodziei!

Wstał starszy złodziej i rytualnie zapytał:

– Przynosisz nam, ufamy, pieniądze naiwnych, bogactwo słabych, bogactwo ludzi bez serca?

Herszt Złodziei oświadczył:

– Chodzi o sprawę Roda McBana.

Nad radą przeszedł wyraźny szmer.

Herszt Złodziei mówił dalej, równie oficjalnie:

– Nie udało się nam przechwycić go w kosmosie, choć monitorowaliśmy wszystkie pojazdy wylatujące z lepkiej, iskrzącej przestrzeni wokół Norstrilii. Oczywiście nie posłaliśmy nikogo na spotkanie z Koteckami Puhatymi Matki Hitton, niechże dopadną uczciwców! Czymkolwiek są te „kotecki”. Widzieliśmy trumnę z kobietą w środku i małe pudełko z samą głową. Nieważne. Wymknął się nam. Ale kiedy dotarł na Ziemię, złapaliśmy ich, i to czterech.

– Czterech? – sapnął jeden ze starszych członków rady.

– Tak. Czterech Rodów McBanów. Był i jeden żywy, ludzki, ale widać było od razu, że to przynęta. Pierwotnie był kobietą i świetnie się na Ziemi bawił, przerobiony na młodego mężczyznę. Więc wzięliśmy czterech. Wszystkie były ziemskimi robotami, bardzo porządnie wykonanymi.

– I je ukradłeś? – zapytał członek rady.

– Oczywiście – odpowiedział Herszt Złodziei, szczerząc się jak wilk w ludzkiej skórze. – A ziemski rząd w ogóle się nie sprzeciwiał. Kiedy



próbowaliśmy odlecieć, po prostu wysłał nam fakturę, mniej więcej na ćwierć megakredytu, za użytkowanie robionych na zamówienie robotów.

– Wredny, uczciwy numer! – wykrzyknął przewodniczący Rady Cechu Złodziei. – I co zrobiłeś? – Wytrzeszczył oczy, załamał mu się głos. – Chyba nie zszedłeś na drogę uczciwości i nie obciążylesz nas tym rachunkiem, co? Już i tak jesteśmy po szyję w długach przez tych uczciwców!

Herszt Złodziei zaczął się trochę wiercić.

– Aż tak źle to nie, Wasza Podstępność! Trochę tę Ziemię oszukałem, choć obawiam się, że jest to na pograniczu uczciwości.

– Czyli co zrobiłeś? Mów szybko, człowieku!

– Skoro nie dostałem prawdziwego Roda McBana, rozmontowałem te wszystkie roboty i nauczyłem je, jak być złodziejami. Ukradły dość pieniędzy, żeby pokryć wszystkie kary i koszty podróży.

– A zysk był?! – zawołał członek rady.

– Czterdzieści minikredytów – odparł Herszt Złodziei. – Ale nie powiedziałem jeszcze najgorszego. Wiecie, co Ziemia robi z prawdziwymi złodziejami.

Wszyscy zebrani wzdrygnęli się. Wiedzieli o ziemskich maszynach do warunkowania, zmieniających dzielnych złodziei w tępych uczciwców.

– Ale widzicie, szanowni i szacowni – ciągnął przepraszająco Herszt Złodziei – na tym też nas ziemskie władze przyłapały. I spodobały im się te roboty-złodzieje. Są świetne jako kieszonkowcy, żeby ludzie nie gnuśnieli. Poza tym wszystko oddają. Więc – zarumienił się – mamy umowę na adaptację dwustu tysięcy człekokształtnych robotów na kieszonkowców i złodziei zuchwałych. Po prostu, żeby życie na Ziemi było ciekawsze. Roboty są już na orbicie.

– Mówisz – jęknął przewodniczący – że podpisałeś uczciwą umowę? Ty, Herszt Złodziei?

Tym razem Herszt naprawdę się zaczerwienił i zaczął się jąkać.

– Jakie miałem wyjście? Mieli mnie. Ale wynegocjowałem dobre warunki. Dwieście dwadzieścia kredytów za adaptację jednego robota na mistrza złodziei. Jakiś czas można za to nieźle żyć.

Zapadła długa, martwa cisza.

W końcu jeden z najstarszych złodziei w radzie zaczął szlochać:

– Jestem już stary. Nie myślałem, że tego doczekam! To straszne! My – my – w uczciwej pracy!

– Ale chociaż uczymy te roboty na złodziei – powiedział surowo Herszt Złodziei.

Nikt nie skomentował.

Nawet herold musiał pójść na bok i wysmarkać nos.

## **W Maja Mi Efel, dwadzieścia lat po powrocie Roda**

Roderick Henry McBan, dawniej Eleanor, nie zestarzał się zauważalnie przez te lata. Odprawił swoją faworytę, małą tancerkę i zastanawiał się, dlaczego Instrumentalność (a nie ziemski rząd) przysłała mu oficjalne ostrzeżenie, nakazujące „zachować spokój i nie oddalać się z miejsca pobytu; oczekiwać uprawnionych delegatów Instrumentalności i zastosować się do poleceń ewentualnie wydanych przez wyżej wymienionych”.

Z nieskrywaną niechęcią wspominał długie lata cnoty, niezależności i ciężkiej pracy na Norstrilii. O wiele bardziej podobała mu się rola bogatego, ekscentrycznego młodego człowieka na Ziemi niż szacownej starej panny pod szarym niebem Starej Australii Północnej. W snach zdarzało mu się jeszcze być Eleanor, czasem miewał też długie, nieprzyjemne okresy, w których nie był ani Eleanor, ani Rodem, a jedynie bezimiennym bytem wyrzuconym przez nieodwracalne zaklęcia poza czas i poza przestrzeń. Te ponure interludia zdarzały się rzadko, były jednak niezmiernie intensywne. Leczył je, upijając się i pozostając w tym stanie przez parę dni. Zawsze łapał się wtedy na zastanawianiu się, kim naprawdę jest. Kim mógłby być? Czy jest Eleanor, prostolinijną gospodynią ze Stancy Zagłady? Czy jest adopcyjnym kuzynem Roda McBana, człowieka, który kupił całą Ziemię? Kim jest owo „ja” – ten cały Roderick Henry McBan? Tyle razy głądził o tym przy jednej ze swoich przyjaciółek,

piosenkarce calypso, że ta aż podłożyła pod jego słowa, nieco lepiej ułożone, muzykę w starożytnym stylu i zaśpiewała mu tak:

*Czy być sobą to jest dobrze i słusznie?  
Czy iść dalej, chociaż inni stanęli?  
Dojść do bramy i przez bramę za mur,  
Który coś od nicości dzieli.*

*Zimno jest, jestem ja, na pustkowiu,  
sobą jestem pośród tej samotności.  
A ta cisza aż tak niewątpliwa,  
Ani szmeru, ani tonu w jasności.*

*Sobą być dziwnie jest, lecz uczciwie,  
By mieć spokój, czy mam kogoś udawać?  
Kiedy przestać i po czym to poznać?  
Gdy kłopotów kres, czy przestawać?*

*Czy prawdziwa przede mną ta ściana,  
I zrobiona z powietrza, nie szklana,  
Czy się zgubię, gdy pójdę tam, gdzie  
Mam być sobą? Tak zatem czy nie?*

*Czy być sobą to jest dobrze i słusznie?  
Czy na mózgu i oku polegać?  
Lata miną, czy tobą się stanę?  
Prawda to, co mi w głowie zalega?*

*Tyś szalony w tej ścianie, ja przed nią,  
Jestem sama i zdrowa jak grób.  
Czy przegrywam, wszystko tracę w mig?  
Sobą jestem, gdy powtarzam twój krzyk?*

*Wycofałam się z życia na lata,  
Z myśli, z wierszy, co rymują się ładnie,  
Jeśli tobą się stanę, czy wtedy,  
Szansa sobą pozostać przypadnie?*

Rod/Eleanor miewał/a chwile depresji i zastanawiał/a się czasem, czy ziemskie władze Instrumentalności nie pozbawią go/jej tego Rodowego warunkowania.

Ostrzeżenie, które przyszło dzisiaj, było oficjalne i tak urzędowo zdecydowane, że aż uspokajające.

Roderick Henry McBan wbrew zdrowemu rozsądkowi nalał sobie tęgiego drinka i czekał, aż przyjdzie nieuniknione.

Przeznaczenie objawiło się pod postacią trzech mężczyzn, co do jednego nieznanomych, choć jeden miał na sobie mundur konsula Starej Australii Północnej. Kiedy podeszli bliżej, rozpoznała w konsulu lorda Williama Niestąd we własnej osobie – to z jego córką figlowała wiele lat temu na tejże samej plaży.

Powitania były męcząco długie, Rod/Eleanor nauczył się jednak, zarówno na Starej Australii Północnej, jak i na Kolebce Ludzkości, nigdy nie lekceważyć ceremoniału, znakomicie łagodzącego trudne czy bolesne sytuacje. To lord William Niestąd odezwał się pierwszy.

– Proszę teraz wysłuchać, lordzie Rodericku Eleanor, przesłania z narady plenarnej Instrumentalności, zebranej oficjalnie i formalnie, głoszącego co następuje:

– A mianowicie, że pana, lordzie Rodericku Eleanor, mianuje się odtąd i dożywotnio, z pełną mocą urzędową, oficjalnym i całkowitym szefem Instrumentalności...

– Że zasłużył pan na ten awans swoimi zdolnościami przetrwania, a osobliwe i trudne koleje pana losu, który przeżył pan, ani przez chwilę nie myśląc o samobójstwie, zapewniły panu miejsce w naszych strasznych i sumiennych szeregach...

– Że stając się i pozostając lordem Roderickiem Eleanor, będzie pan mężczyzną lub kobietą, młodą lub starą, zgodnie z rozkazem

Instrumentalności...

– Że przyjmuje pan władzę, by służyć, i będzie służyć w imię władzy, że pójdzie pan z nami, że nie będzie pan się oglądać, że będzie pan pamiętać, aby zapomnieć, że zapomni pan dawne wspomnienia, że na łonie Instrumentalności nie jest pan osobą, a jedynie osoby częścią...

– Że staje się pan członkiem najstarszego sługi ludzkiej rasy, Instrumentalności we własnej osobie.

Roderick Eleanor nie miała nic do powiedzenia.

Nowo mianowani lordowie Instrumentalności rzadko mieli coś do powiedzenia. Instrumentalność miała zwyczaj robić to z zaskoczenia, po wcześniejszym dogłębnym zbadaniu inteligencji, woli, witalności, tak, przede wszystkim witalności, danego kandydata.

Lord William uśmiechał się, wyciągając dłoń i mówiąc pozaświatowo szczerym norstrilijskim dialektem.

– Witamy, rodaku spod gęstych szarych chmur. Nieczęsto zdarza się wybierać naszych ludzi. Pozwól, że cię powitam.

Roderick/Eleanor ścisnął jego dłoń. Dalej nie miał nic do powiedzenia.

## **Pałac Gubernatora Nocy, dwadzieścia lat po powrocie Roda**

– Lavinio, ja ludzki głos wyłączyłem mu wiele lat temu. Wyłączyłem i tyle. O wiele wyraźniej wszystko widzę, gdy wyświetla cyfry na ekranie. O naszych chłopakach nie potrafił nic sensownego powiedzieć. Sto razy siedziałem przy tej konsoli. Daj spokój, kobieto. Nie ma sensu przewidywać tej przyszłości, bo ta przyszłość już nadeszła. Chłopcy zaraz wyjdą z furgonu, w takim stanie czy innym, nim zdążymy tam do nich dojść.

Powiedział to głosem, żeby przekazać też nutkę czułości.

Lavinia zapytała nerwowo:

– Może powinniśmy wziąć ornitopter i podlecieć?

– Nie, dziewczyno – odparł łagodnie Rod. – Co by nasi krewni i sąsiedzi sobie pomyśleli, gdyby zobaczyli? Rodzice lecą do dzieci jak dwójka zwariowanych pozaświatowców, albo Brytoli spod czerwonej flagi, co tracą głowę przy najmniejszym problemie? Przecież naszej najstarszej, Cashebie, dwa lata temu się udało, a z tym jej wzrokiem nie było najlepiej.

– O, ta to jest ostra – powiedziała ciepło Lavinia. – Ona to by i kosmicznym piratom dała radę, jeszcze lepiej niż ty, zanim się nauczyłeś mówić.

Poszli powoli pod górę.

Kiedy stanęli na szczycie, dobiegła do nich złowroga melodia.

*Hen do Ogrodu Śmierci poszli zeń młodzieńcy,  
Bohaterskiego strachu tam zakosztowali,  
Po czym uciekli, albowiem wygrawszy, przegrali,  
Mocnym ramieniem i językiem ciętym.*

Każdy Norstrilijczyk mniej lub bardziej wiedział, skąd się to bierze. Była to melodia, którą nucili starzy, gdy młodzi musieli iść do furgonów, gdzie decydowano, czy przeżyją, czy nie.

Zobaczyli wychodzących z furgonu sędziów. Był tam Hon. Sek. Houghton Syme, z miną nijaką, z troskami złagodzonymi przez to, co przeżył w wyśnionym życiu na receptę, przywiezionym przez Roda z tajemnych ziemskich podziemi. Był i lord Krasnadama. I doktor Wentworth.

Lavinia puściła się biegiem w dół, do ludzi, Rod jednak chwycił ją za ramię i powiedział z szorstką czułością:

– Spokojnie, pani kochana. McBanowie nigdy od niczego biegiem nie uciekają i do niczego nie biegną!

Przełknęła ślinę, ale wyrównała z nim krok.

Gdy podchodzili, ludzie zaczęli podnosić głowy.

Nic nie dało się wyczytać z ich min.

Znak dał im dopiero mały lord Krasnadama, niekonwencjonalny do końca.

Uniósł jeden palec.

Tylko jeden.

I zaraz potem zobaczyli bliźniaków. Ted, ten jaśniejszy, siedział na krześle, a Stary Bill próbował go czymś napoić. Ted odmawiał. Patrzył przed siebie, jakby nie wierzył, co widzi. Rich, ciemniejszy z bliźniaków, stał całkiem sam.

Całkiem sam. I się śmiał.

Śmiał się.

Rod McBan i jego małżonka obeszlą całą ziemię Stanicy, jak nakazywała uprzejmość wobec sąsiadów. Tak istotnie nakazywał nieubłagany zwyczaj. Ona odrobinę mocniej ścisnęła jego rękę; on nieco bardziej stanowczo trzymał ją za ramię.

Po dłuższym czasie oficjalna uprzejmość dobiegła końca. Rod przyciągnął Teda do siebie:

– Dzień dobry, chłopcze. Udało ci się. Czy wiesz, kim jesteś?

Chłopiec mechanicznie wyrecytował:

– Roderick Frederick Ronald Arnold William MacArthur McBan sto pięćdziesiąty drugi, panie ojczy!

Po czym załamał się. Tylko na chwilę. Wskazał na wciąż śmiejącego się Richa i zanurkował w objęcia ojca:

– Ale, tato! Dlaczego ja? Dlaczego ja?

# chronologia

## świata instrumentalności

Ponieważ notatki Smitha zaginęły, chronologia opiera się w dużej mierze na domysłach wysnutych z treści opowiadań. Natomiast ich kolejność oraz porządek otaczających je wydarzeń daje się ustalić dość dokładnie.

<b>Rok</b>	<b>Utwory</b>	<b>Zdarzenia</b>
2000	<i>No, not Rogov</i>	Zapomniana Pierwsza Epoka Kosmiczna.
3000	<i>War No. 81-Q</i>	Starożytne Wojny, kończące się upadkiem wszystkich państw oprócz Chin. Ucieczka prawdziwych ludzi do izolowanych miast, pozostawienie reszty Ziemi na pastwę Bestii, menszenjegrów i Bezlitosnych.
4000	<i>Mark Elf</i>	Wzrost rodu Vomactów i ponowne ożywienie ludzkości. Władzę obejmują Jwindz, po nich następuje Instrumentalność.
5000	<i>Queen of the Afternoon</i>	
6000	<i>Na próżno żyją skanerzy; Dama, co płynęła Duszą</i>	Druga Epoka Kosmiczna. Ziemia na nowo zaludniona. Ekspansja do najbliższych gwiazd. Ocalali z dawnej kolonii Raj VII zasiedlają Starą Australię Północną.
7000	<i>When the People Fell</i>	Upadek Chin. Odkrycie strunu.



<b>Rok</b>	<b>Utwory</b>	<b>Zdarzenia</b>
8000	<i>Think Blue, Count Two; The Colonel Came Back from Nothing at All</i>	Odkrycie planoformacji. Pierwsze oznaki antyutopii.
9000	<i>Gra w szczura i smoka; Wypalenie mózgu</i>	Era planoformacji; zasiedlenie tysięcy światów, wobec 200 zasiedlonych w epoce żagła.
10000	<i>From Gustible's Planet</i>	Stabilizacja utopii. Czas życia znormalizowany na 400 lat. Programowanie zarodków, intensywne wykorzystanie robotów, podludzie.
11000		Prawdopodobne pojawienie się Daimonich. Przystosowanie ludzi do dziwnych światów w rodzaju Violi Siderei.
12000	<i>Himself in Anachron</i>	
13000	<i>Zbrodnia i chwała komandora Suzdala; Jaki był złoty, jeju, jeju!</i>	Rozwój Jasnego Imperium i innych potencjalnych konkurentów Instrumentalności.
14000	<i>Umarła lady z Miasta Prostaczków</i>	Męczeństwo d'Joan, odrodzenie Dawnej Potężnej Religii. Założenie dynastii Żestokostów.
15000	<i>Pod Starą Ziemią; Drunkboat</i>	Pojawienie się lady Alice More, wspólnie z lordem Żestokostem organizującej Drugie Odkrycie Ludzkości. Święty Przewrót. Wizje z III Kosmosu.

<b>Rok</b>	<b>Utwory</b>	<b>Zdarzenia</b>
16000	<i>Matki Hitton</i> <i>kotecki</i> <i>puhate;</i> <i>Bulwar Alfa</i> <i>Ralfa;</i> <i>Ballada</i> <i>o zgubionej</i> <i>Ka-Mell;</i> <i>Planeta</i> <i>zwana</i> <i>Shayol;</i> <i>Norstrilia</i>	Prawa obywatelskie dla podludzi; odyseja Roda McBana; rozprzestrzenienie się Drugiego Odkrycia Ludzkości.
	Seria <i>Cashier</i> <i>O'Neill</i>	Embargo na religię.
	Planowana seria <i>The</i> <i>Lords of the</i> <i>Afternoon</i>	Wspólny los ludzi i podludzi; kulminacja religijności.

Opracował: J.J. Pierce.

## noty wydawnicze

*Na próżno żyją skanerzy (Scanners Live in Vain)*, copyright 1950 by Fantasy Publishing Co. Inc., w: „Fantasy Book”. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*O damie, co Duszą żeglowała (The Lady Who Sailed The Soul)*, copyright 1960 by Galaxy Publishing Co. w: „Galaxy Magazine”. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Gra w szczura i smoka (The Game of Rat and Dragon)*, copyright 1955 by Galaxy Publishing Co., w: *Galaxy Science Fiction*. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Wypalenie mózgu (The Burning of the Brain)*, copyright 1958 by Quinn Publishing Co., w: *Worlds of If*. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Zbrodnia i chwala komandora Suzdala (The Crime and Glory of Commander Suzdal)*, copyright 1964 by Ziff Davis Publishing Co, w: *Amazing Stories*. Copyright 1971 by Genevieve Linebarger.

*Jaki był złoty, jeju, jeju! (Golden the ship was – oh! Oh! Oh!)* copyright 1959 by Ziff-Davis Publishing Co., w: *Amazing Science Fiction Stories*. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Umarła lady z Miasta Prostaczków (The Dead Lady of Clown Town)*, copyright 1964 by Galaxy Publishing Co., w: „Galaxy Magazine”, 08.1964. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Pod Starą Ziemią (Under Old Earth)*, copyright 1966 by Galaxy Publishing Corporation, w: „Galaxy Magazine”. Copyright 1971 by Genevieve Linebarger.

*Matki Hitton kotecki puhate (Mother Hitton's Littul Kittons)*, copyright 1961 by Galaxy Publishing Corporation, w: „Galaxy Magazine”, 06.1961.

Copyright 1965 by Cordwainer Smith.

*Bulwar Alfa Ralfa (Alpha Ralpha Boulevard)*, copyright 1961 by Mercury Press., Inc., w: „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”. Copyright 1963 by Cordwainer Smith.

*Ballada o zgubionej Ka-Mell (The Ballad of Lost C'Mell)*, copyright 1962 by Galaxy Publishing Corp., w: „Galaxy Magazine”, 10.1962. Copyright 1964 by Cordwainer Smith.

*Planeta zwana Shayol (Planet Named Shayol)*, copyright 1961 by Galaxy Publishing Corp., w: „Galaxy Magazine”, 10.1961. Copyright 1965 by Cordwainer Smith.

## notka biograficzna

Paul Myron Anthony Linebarger (1913–1966), wydający fantastykę naukową pod pseudonimem Cordwainer Smith, był doktorem politologii po studiach na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, a w wieku dwudziestu trzech lat mówił sześcioma językami. Część dzieciństwa spędził w Chinach; był chrześniakiem chińskiego premiera Sun Jat-Sena. Podczas II wojny światowej służył w Korpusie Wywiadu Armii USA, później był doradcą wojsk brytyjskich na Półwyspie Malajskim. Jego książka *Wojna psychologiczna* (1948) przez wiele lat była klasycznym podręcznikiem. Wykładał politykę Azji na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, przewodniczył Amerykańskiemu Stowarzyszeniu do spraw Polityki Zagranicznej, był doradcą prezydenta Kennedy'ego. Pierwsze opowiadanie fantastyczne opublikował w wieku piętnastu lat, wydawał także powieści pod innymi pseudonimami. Miano „Cordwainer Smith” pojawiło się po raz pierwszy pod opowiadaniem *Na próżno żyją skanerzy*, którym od razu wyrobił sobie reputację. Jego skąpa, choć regularnie publikowana twórczość science-fiction składa się głównie z opowiadań, z których najlepsze zamieszczono w tym tomie, oraz jednej powieści: *Norstrilii*.